Andrzej
Sapkowski

Narrenturm

superNOWA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Opracowanie graficzne: Tomasz Piorunowski
Na okładce wykorzystano fragment obrazu Pietera Breughla *Triumf śmierci*

Copyright © Andrzej Sapkowski 2016

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.
Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny: Mirosław Kowalski

ISBN 978-83-7578-132-8

Opracowanie wersji elektronicznej: LogoScript Sp. z o.o.

Andrzej Sapkowski

Narrenturm

superNOWA
WARSZAWA

Spis treści

Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Przypisy

Tłumaczenia łacińskich hymnów, sentencji, swawolnych pieśni, informacje bibliograficzne, a także rozmaite ciekawostki znajdą Państwo na końcu książki. Acz – z góry uprzedzamy – nie wszystkie.

Koniec świata w Roku Pańskim 1420 nie nastąpił. Choć wiele wskazywało na to, że nastąpi.

Nie sprawdziły się mroczne proroctwa chiliastów, przepowiadających nadejście Końca dość precyzyjnie – na rok mianowicie 1420, miesiąc luty, poniedziałek po świętej Scholastyce. Ale cóż – minął poniedziałek, przyszedł wtorek, a po nim środa – i nic. Nie nastały Dni Kary i Pomsty, poprzedzające nadejście Królestwa Bożego. Nie został, choć skończyło się lat tysiąc, z więzienia swego uwolniony szatan i nie wyszedł, by omamić narody z czterech narożników Ziemi. Nie zginęli wszyscy grzesznicy świata i przeciwnicy Boga od miecza, ognia, głodu, gradu, od kłów bestii, od żądeł skorpionów i jadu węży. Próżno oczekiwali wierni nadejścia Mesjasza na górach Tabor, Baranek, Oreb, Sion i Oliwnej, nadaremnie oczekiwało powtórnego przyjścia Chrystusa *quinque civitates*, przepowiedziane w Izajaszowym proroctwie pięć miast wybranych, za które uznano Pilzno, Klatovy, Louny, Slany i Żatec. Koniec świata nie nastąpił. Świat nie zginął i nie spłonął. Przynajmniej nie cały.

Ale i tak było wesoło.

Iście, wyborna ta polewka. Gęsta, korzenna i omaszczona suto. Dawno takiej nie jadłem. Dzięki wam, cni panowie, za poczęstunek, dzięki i tobie, karczmareczko. Czy piwem, pytacie, nie pogardzę? Nie. Raczej nie. Jeśli pozwolicie, to z przyjemnością. *Comedamus tandem, et bibamus, cras enim moriemur*.

Nie było końca świata w 1420, nie było w rok później, ani w dwa, ani w trzy, ani w cztery nawet. Rzeczy biegły, że się tak wyrażę, swym przyrodzonym porządkiem. Trwały wojny. Mnożyły się zarazy, szalała *mors nigra*, szerzył się głód. Bliźni zabijał i okradał bliźniego, pożądał jego żony i generalnie był mu wilkiem. Żydowinom co czas jakiś fundowano pogromik, a kacerzom stosik. Z nowości zaś – szkielety w uciesznych podskokach pląsały po cmentarzyskach, śmierć z kosą przemierzała ziemię, inkub nocą wciskał się między drżące uda śpiących panien, jeźdźcowi samotnemu na uroczysku strzyga siadała na karku. Diabeł w sposób widomy wkraczał w sprawy powszednie i krążył między ludźmi *tamquam leo rugiens*, jak lew ryczący, szukający, kogo by tu pożreć.

Sporo ludzi sławnych w owym czasie pomarło. Ha, pewno i urodziło się wielu, ale jakoś tak jest, że daty narodzin dziwnym trafem w kronikach się nie zapisują i za cholerę nikt ich nie pamięta, za wyjątkiem może matek i za wyjątkiem tych przypadków, gdy noworodek miał dwie głowy albo dwa przynajmniej kutasy. A jeśli zgon, ha, to data pewna, jakby w kamieniu ryta.

W 1421 tedy roku, w poniedziałek po Niedzieli Śródpostnej, dożywszy zasłużonych lat sześćdziesięciu zmarł w Opolu Jan *apellatus* Kropidło, książę krwi piastowskiej i *episcopus wloclaviensis*. Przed śmiercią uczynił był na rzecz miasta Opola donację sześciuset grzywien. Mówią, że część tej kwoty ostatnią wolą umierającego poszła na słynny opolski zamtuz „U Rudej Kundzi". Z usług tego przybytku, mieszczącego się na tyłach klasztoru Braci Mniejszych, biskup hulaka korzystał do samej śmierci – nawet jeśli pod koniec życia już tylko jako obserwator.

Latem zaś – dokładnej daty nie pomnę – roku 1422 umarł w Vincennes król angielski Henryk V, zwycięzca spod Azincourt. O dwa miesiące go jeno przeżywszy, umarł król Francji, Karol VI, już od lat pięciu zupełnie pomylony. Korony zażądał syn szaleńca, delfin Karol. Ale Anglicy nie uznali jego praw. Sama przecie matka delfina, królowa Izabela, już dawno ogłosiła go bękartem poczętym w niejakim oddaleniu od łoża małżeńskiego i z mężczyzną zdrowym na umyśle. A że bękarty tronu nie dziedziczą, prawowitym władcą i monarchą Francji został Anglik, syn Henryka V, mały Henryś, dziewięć sobie jeno liczący miesięcy. Regentem we Francji został wuj Henrysia, John Lancaster, książę Bedford. Ten pospołu z Burgundami trzymał Francję północną – z Paryżem – południe zaś dzierżył delfin Karol i Armaniacy. A pomiędzy dziedzinami psy wyły wśród trupów na pobojowiskach.

W roku zaś 1423, w dzień Zielonych Świątek, zmarł w zamku Peniscola niedaleczko Walencji Piotr de Luna, papież awinioński, wyklęty schizmatyk, aż do samej śmierci, wbrew uchwałom dwóch soborów – tytułujący się Benedyktem XIII.

Z innych, co w tamte lata pomarli, a o których pamiętam, umarł Ernest Żelazny Habsburg, książę Styrii, Karyntii, Krainy, Istrii i Triestu. Umarł Jan Raciborski, książę krwi piastowskiej i przemyślidzkiej zarazem. Umarł młodo Wacław, *dux Lubiniensis*, umarł książę Henryk, wespół z bratem Janem pan na Ziębicach. Umarł na obczyźnie Henryk *dictus* Rumpoldus, książę Głogowa i landwójt Górnych Łużyc. Umarł

Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, mąż zacny i umny. Umarł w Malborku Michał Küchmeister, mistrz wielki Zakonu Najświętszej Marii Panny. Umarł także Jakub Pęczak zwany Rybą, młynarz spod Bytomia. Ha, przyznać trzeba, że krzynę mniej sławny i znany od wyżej wymienionych, ale z tą nad nimi przewagą, żem go znał osobiście i nawet pijał z nim. A z owymi wcześniej wymienionymi – jakoś nie trafiło się.

Ważne też wydarzenia i w kulturze podówczas zachodziły. Kazał natchniony Bernardyn ze Sieny, kazali Jan Kanty i Jan Kapistran, nauczali Jan Gerson i Paweł Włodkowic, pisali uczenie Krystyna de Pisan i Tomasz Hemerken à Kempis. Pisał swą kronikę wielce piękną Wawrzyniec z Brzezowej. Malował ikony Andrzej Rublow, malował Tomaso Masaccio, malował Robert Campin. Jan van Eyck, malarz króla Jana Bawarskiego, tworzył dla katedry świętego Bawona w Gandawie „Ołtarz Baranka Mistycznego", poliptyk wcale piękny, zdobiący ninie kaplicę Jodocusa Vyda. We Florencji mistrz Pippo Brunelleschi ukończył stawianie przecudnej kopuły nad czterema nawami kościoła Marii Panny Kwiecistej. A i my na Śląsku nie gorsi – u nas pan Piotr z Frankensteinu zakończył w mieście Nysa budowę wielce okazałego kościoła pod wezwaniem świętego Jakuba. To całkiem stąd, z Milicza, niedaleko, kto nie był i nie widział, ma okazję być i zobaczyć.

W tymże roku 1422, w zapusty same, w grodzie Lida, z wielką pompą wyprawił swe gody stary Litwin, król polski Jogajła – poślubił Sonkę Holszańską, dziewicę kwitnącą i młodziuśką, lat siedemnastu, od siebie tedy więcej niż pół wieku młodszą. Jak mówiono, więcej ta dziewica urodą niźli obyczajami słynęła. No, tak i kłopotów potem siła z tego było. Zaś Jogajła, całkiem jakby przepomniał, jak młodą żonką cieszyć się trzeba, już latem wczesnym ruszył na panów pruskich, na Krzyżaków znaczy. Tym to samym nowemu – po Küchmeistrze – mistrzowi wielkiemu Zakonu, panu Pawłowi z Russdorfu, już zarusiczko po objęciu urzędu przyszło z polskim orężem się poznajomić – i to srodze poznajomić. Jak tam w łożnicy u Sonki było, dociekać próżno, ale na to, by Krzyżakowi rzyć sprać, dość jeszcze był Jogajła dziarski.

Siła rzeczy ważnych także i w Czeskim Królestwie miejsce miało w tamtych czasach. Wielkie było tam poruszenie, wielki krwi przelew i nieustanna wojna. O czym nijak mi zresztą prawić... Wybaczyć raczcie dziadowi, wielmożni, ale strach ludzka rzecz, a przychodziło już po

karku brać za niebaczne słowo. Na waszych przecie jakach, panowie, polskie Nałęcze widzę i Habdanki, a na waszych, szlachetni Czesi, koguty panów z Dobrej Wody i strzały rycerzy ze Strakonic... A wyście, Marsowy mężu, przecie Zettritz, po głowie żubrzej w herbie miarkuję. A waszych, panie rycerzu, skośnych szachownic i gryfów nawet umiejscowić nie potrafię. Nie da się też wykluczyć, czy ty, fratrze z zakonu świętego Franciszka, nie donosisz Świętemu Oficjum, a że wy, bracia od świętego Dominika, donosicie, to raczej pewne. Tak tedy sami baczycie, że nijak mi w tak międzynarodowym i zróżnicowanym towarzystwie o czeskich sprawach bajać, nie wiedząc, kto tu za Albrechtem, a kto za polskimi królem i królewiczem. Kto tu za Menhartem z Hradca i Oldrzychem z Rożmberka, a kto za Hynkiem Ptaczkiem z Pirksztajnu i Janem Koldą z Żampachu. Kto tu komesa Spytka z Melsztyna stronnikiem, a kto biskupa Oleśnickiego partyzantem. Wcale mi nie tęskno do bicia, a przecie wiem, że oberwę, bom już razy kilka obrywał. Jak to, pytacie? A tak to: jeśli rzeknę, że w czasach, o których bajam, dzielni Czechowie husyci tęgo skroili kurtę Niemcom, w pył i proch rozbiwszy trzy kolejne papieżnickie krucjaty, ino patrzeć, jak wezmę po łbie od jednych. A powiem, że wonczas w bitwach pod Witkowem, Wyszehradem, Żatcem i Niemieckim Brodem zwyciężyli heretycy krzyżowców z pomocą diabelską, wezmą mnie drudzy i oćwiczą. Tedy milczeć mi wolej, a jeśli i co rzec, to z bezstronnością sprawozdawcy – sprawę zdać, jak to mówią, *sine ira et studio*, krótko, chłodno, rzeczowo i komentarza żadnego od siebie nie dobawiając.

Tak i krótko tedy powiem: jesienią roku 1420 odmówił król polski Jogajła przyjęcia korony czeskiej, którą mu husyci snębili. Umyślono w Krakowie, że koronę tę weźmie litewski *dux* Witold, któremu zawsze się królować chciało. Aby jednak króla rzymskiego Zygmunta ni papieża nie drażnić nadmiernie, posłano do Czech bratanka Witolda, Zygmunta, syna Korybutowego. Korybutowicz na czele pięciu tysięcy rycerzy polskich stanął w Złotej Pradze w roku 1422, na świętego Stanisława. Ale już wedle Trzech Króli roku następnego książątko na Litwę powrócić musiało – tak pieklili się o tę czeską sukcesję Luksemburczyk i Odo Colonna, wonczas Ojciec Święty Marcin V. I co powiecie? Już w 1424, we wigilię Nawiedzenia Marii był Korybutowicz w Pradze z powrotem. Tym razem już wbrew Jogajle i Witoldowi, wbrew papieżowi, wbrew

rzymskiemu królowi. Znaczy, jako wywołaniec i banita. Na czele podobnych sobie wywołańców i banitów. I już nie w tysiące, jak wprzódy, lecz w setki jeno się liczących.

W Pradze zaś przewrót, jak Saturn, pożerał własne dzieci, a stronnictwo zmagało się ze stronnictwem. Jana z Żeliwa, ściętego w poniedziałek po niedzieli *Reminiscere* roku 1422, już w maju tegoż roku opłakiwano we wszystkich kościołach jako męczennika. Hardo też postawiła się Złota Praga Taborowi, ale tu trafiła kosa na kamień. Znaczy, na Jana Żiżkę, wielkiego wojennika. W roku Pańskim 1424, dnia drugiego po czerwcowych nonach, pod Maleszowem, nad rzeczką Bohynką, straszną dał Żiżka prażanom nauczkę. Dużo, oj, dużo było po tej bitwie w Pradze wdów i sierot.

Kto wie, może to właśnie łzy sieroce sprawiły, że mało co potem, we środę przed Gawłem, pomarł w Przybysławiu blisko morawskiej granicy Jan Żiżka z Trocnowa, a później z Kalicha. A pogrzebiono go w Hradcu Kralove i tam leży. I tak jak wprzódy jedni płakali przez niego, teraz drudzy płakali po nim. Że ich osierocił. Dlatego nazwali się Sierotkami...

Ale to przecie wszyscy pamiętacie. Bo to całkiem niedawne czasy. A takie się wydają... historyczne.

Wiecie zaś, cni panowie, po czym poznać, że czas jest historyczny? A po tym, że dzieje się dużo i szybko.

A wówczas działo się bardzo dużo i bardzo szybko.

Końca świata, jak się rzekło, nie było. Choć wiele wskazywało, że nastąpi. Nastały przecie – rychtyk jak chciały proroctwa – wielkie wojny i wielkie klęski dla ludu chrześcijańskiego i wielu mężów zginęło. Wydawało się, sam Bóg chce, by nastanie nowego porządku poprzedziła zagłada starego. Wydawało się, że bliży się Apokalipsa. Że Bestia Dziesięcioroga wychodzi z Czeluści. Że Jeźdźców Czterech straszliwych tylko patrzeć wśród dymów pożarów i pól skrwawionych. Że już-już, a zagrzmią trąby i złamane zostaną pieczęcie. Że runie ogień z niebios. Że spadnie Gwiazda Piołun na trzecią część rzek i na źródła wód. Że człek oszalały, gdy ślad stopy drugiego na pogorzelisku zoczy, ślad ten będzie całował ze łzami.

Strasznie było nieraz, że aż, z przeproszeniem wielmożnych panów, dupa cierpła.

Groźny był to czas. Zły. I jeśli wola panów, o nim opowiem. Ot, by nudę zabić, nim słota, co nas tu w karczmie trzyma, ustanie.

Opowiem, jeśli wola, o tamtym czasie. O ludziach, co podówczas żyli, i o takich, co podówczas żyli, ale ludźmi nie byli bynajmniej. Opowiem o tym, jak i jedni, i drudzy zmagali się z tym, co im ten czas przyniósł. Z losem. I z samymi sobą.

Zaczyna się ta historia mile i lubo, mgło i czuło – przyjemnym, rzewliwym kochaniem. Ale niechaj was to, mili panowie, nie zwiedzie.

Niechaj was to nie zwiedzie.

Rozdział pierwszy

w którym czytelnik ma okazję poznać Reinmara z Bielawy, zwanego Reynevanem, i to od razu z kilku jego najlepszych stron, wliczając w to biegłą znajomość *ars amandi*, arkanów jazdy konnej i Starego Testamentu, niekoniecznie w tej kolejności. Rozdział mówi także o Burgundii – traktowanej równie wąsko, jak szeroko.

Przez otwarte okno izdebki, na tle ciemnego jeszcze po niedawnej burzy nieba, widać było trzy wieże – ratuszową, najbliższą, dalej smukłą, połyskującą w słońcu nowiutką czerwoną dachówką wieżę kościoła świętego Jana Ewangelisty, za nią zaś okrągły stołb książęcego zamku. Wokół wieży kościoła śmigały jaskółki, spłoszone niedawnym biciem dzwonów. Dzwony nie biły już od ładnych chwil paru, ale przesycone ozonem powietrze wciąż jeszcze zdawało się wibrować ich dźwiękiem.

Dzwony całkiem niedawno biły też z wież kościołów Najświętszej Marii Panny i Bożego Ciała. Wieże te nie były jednak widoczne z okienka izdebki na poddaszu drewnianego budynku, niczym jaskółcze gniazdo przylepionego do kompleksu hospicjum i klasztoru augustianów.

Była pora seksty. Mnisi zaczęli *Deus in adiutorium*. A Reinmar z Bielawy, zwany przez przyjaciół Reynevanem, pocałował spocony obojczyk Adeli von Stercza, wyzwolił się z jej objęć i legł obok, dysząc, na pościeli gorącej od miłości.

Zza muru, od strony ulicy Klasztornej dolatywały krzyki, turkot wozów, głuchy łomot pustych beczek, śpiewny brzęk cynowych i miedzianych naczyń. Była środa, dzień targowy, jak zwykle ściągający do Oleśnicy mnóstwo kupców i kupujących.

Memento, salutis Auctor
quod nostri quondam corporis,
ex illibata virgine
nascendo, formam sumpseris.
Maria mater gratiae,
mater misericordiae,
tu nos ab hoste protege,
et hora mortis suscipe...

Już śpiewają hymn, pomyślał Reynevan, rozleniwionym ruchem obejmując Adelę, pochodzącą z dalekiej Burgundii żonę rycerza Gelfrada von Stercza. Już hymn. Nie do wiary, jak prędko przemijają chwile szczęścia. Chciałoby się, by trwały wiecznie, a one przemijają niczym sen jaki ulotny...

– Reynevan... *Mon amour*... Mój boski chłopcze... – Adela drapieżnie i zachłannie przerwała jego senną zadumę. Też była świadoma upływu czasu, ale najwyraźniej nie myślała trwonić go na filozoficzne rozważania.

Adela była całkiem, zupełnie, najzupełniej naga.

Co kraj, to obyczaj, myślał Reynevan, jakżeż ciekawym jest poznawanie świata i ludzi. Ślązaczki i Niemki, przykładowo, gdy przyjdzie co do czego, nigdy nie pozwalają podciągnąć sobie koszuli wyżej niż do pępka. Polki i Czeszki podciągają same i chętnie, powyżej piersi, ale za nic w świecie nie zdejmą całkiem. A Burgundki, o, te momentalnie zrzucają wszystko, ich gorąca krew podczas miłosnych uniesień nie znosi widać na skórze ani szmatki. Ach, cóż za radość poznawać świat. Piękną musi być krainą Burgundia. Piękny być musi tamtejszy krajobraz. Góry strzeliste... Pagórki strome... Doliny...

– Ach, aaach, *mon amour* – jęczała Adela von Stercza, lgnąc do dłoni Reynevana całym swym burgundzkim krajobrazem.

Reynevan, nawiasem mówiąc, miał dwadzieścia trzy lata i świata poznał raczej niewiele. Znał bardzo mało Czeszek, jeszcze mniej Ślązaczek i Niemek, jedną Polkę, jedną Cygankę – a jeśli szło o inne narodowości, to tylko raz dostał kosza od Węgierki. Jego eksperiencje erotyczne w poczet imponujących zaliczone nie mogły być więc żadną miarą, ba, były, szczerze powiedziawszy, dość mizerne, zarówno ilościowo, jak i jakościowo. Ale i tak wbiły go w pychę i zadufanie. Reynevan – jak każdy buzujący testosteronem młodzik – miał się za wielkiego uwodziciela i miłosnego eksperta, przed którym ród niewieści nie ma żadnych tajemnic. Prawda jednak była taka, że dotychczasowe jedenaście schadzek z Adelą von Stercza nauczyły Reynevana więcej o *ars amandi* niż całe trzyletnie studia w Pradze. Reynevan nie połapał się jednak, że to Adela uczy jego – pewien był, że w grze jest tu jego samorodny talent.

Ad te levavi oculos meos
qui habitas in caelis

Ecce sicut oculi servorum
ad manum dominorum suorum.
Sicut oculi ancillae in manibus dominae suae
ita oculi nostri ad Dominum Deum nostrum,
Donec misereatur nostri
Miserere nostri Domine...

Adela chwyciła Reynevana za kark i pociągnęła na siebie. Reynevan, uchwyciwszy to, co należało, kochał ją. Kochał mocno i zapamiętale i – jakby tego było mało – szeptał jej do ucha zapewnienia o miłości. Był szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy.

●

Szczęście, którym właśnie się upajał, Reynevan zawdzięczał – pośrednio, ma się rozumieć – świętym Pańskim. Bo to było tak:

Czując skruchę za jakieś grzechy, znane tylko jemu i jego spowiednikowi, śląski rycerz Gelfrad von Stercza wybrał się na pąć pokutną do grobu świętego Jakuba. Ale w drodze zmienił plany. Uznał, że do Compostelli jest zdecydowanie za daleko, a ponieważ święty Idzi też sroce spod ogona nie wyleciał, tedy pielgrzymka do Saint-Gilles wystarczy w zupełności. Ale do Saint-Gilles nie było Gelfradowi dane dotrzeć również. Dojechał tylko do Dijon, gdzie trafem poznał szesnastoletnią Burgundkę, prześliczną Adelę de Beauvoisin. Adela, która Gelfrada zauroczyła z kretesem, była sierotą, miała dwóch braci hulaków i lekkoduchów, którzy bez mrugnięcia okiem wydali siostrę za śląskiego rycerza. Choć w mniemaniu braci Śląsk leżał gdzieś między Tygrysem a Eufratem, Stercza był w ich oczach idealnym szwagrem, nie wykłócał się bowiem zanadto w sprawie posagu. Tym to sposobem Burgundka trafiła do Heinrichsdorfu, wsi pod Ziębicami, którą Gelfrad dzierżył jako nadanie. W Ziębicach zaś, już jako Adela von Stercza, wpadła w oko Reynevanowi z Bielawy. Z wzajemnością.

– Aaaach! – krzyknęła Adela von Stercza, zaplatając nogi na plecach Reynevana. – Aaaaa-aaach!

Nigdy w życiu nie doszłoby do tego achania, wszystko skończyłoby się na rzucanych spojrzeniach i ukradkowych gestach, gdyby nie trzeci święty, Jerzy mianowicie. Na Jerzego bowiem Gelfrad von Stercza, podobnie jak reszta krzyżowców, klął się i przysięgał, dołączając we

wrześniu roku 1422 do którejś tam z rzędu krucjaty antyhusyckiej, organizowanej przez kurfirsta brandenburskiego i margrabiów Miśni. Krzyżowcy wielkich sukcesów wtedy na swe konto nie zapisali – weszli do Czech i bardzo szybko stamtąd wyszli, walki z husytami nie ryzykując w ogóle. Ale choć walk nie było, ofiary były – jedną z nich okazał się Gelfrad właśnie, który niezwykle groźnie złamał nogę przy upadku z konia i obecnie, jak wynikało ze słanych do rodziny listów, nadal kurował się gdzieś w Pleissenlandzie. Adela zaś, słomiana wdowa, mieszkająca w tym czasie właśnie u rodziny męża w Bierutowie, mogła bez przeszkód schodzić się z Reynevanem w izdebce w kompleksie oleśnickiego klasztoru augustianów, niedaleko szpitala, przy którym Reynevan miał swą pracownię.

•

Mnisi w kościele Bożego Ciała zaczęli śpiewać drugi z trzech przewidzianych na sekstę psalmów. Trzeba się pospieszyć, pomyślał Reynevan. Przy *capitulum*, a najdalej przy *Kyrie*, ani chwili po, Adela musi zniknąć z terenu hospicjum. Nikt nie powinien jej tu zobaczyć.

Benedictus Dominus
qui non dedit nos
in captionem dentibus eorum.
Anima nostra sicut passer erepta est
de laqueo venantium...

Reynevan pocałował Adelę w biodro, potem zaś, natchniony mnisim śpiewem, mocno nabrał powietrza w płuca i zagłębił się w kwiaty henny i nardu, w szafran, w wonną trzcinę i cynamon, w mirrę i aloes, i we wszelkie drzewa żywiczne. Adela, wyprężona, wyprostowała ręce i wpiła mu palce we włosy, łagodnymi ruchami bioder wspierając jego biblijne inicjatywy.

– Och, oooooch... *Mon amour... Mon magicien*... Boski chłopcze... Czarodzieju...

Qui confidunt in Domino, sicut mons Sion
non commovebitur in aeternum,
qui habitat in Hierusalem...

Już trzeci psalm, pomyślał Reynevan. Jakżeż ulotne są chwile szczęścia...

– *Revertere* – zamruczał, klękając. – Obróć się, obróć, Szulamitko.

Adela obróciła się, uklękła i pochyliła, chwytając mocno lipowych desek wezgłowia i prezentując Reynevanowi całe olśniewające piękno swego rewersu. Afrodyta Kallipygos, pomyślał, zbliżając się do niej. Antyczne skojarzenie i erotyczny widok sprawiły, że zbliżał się niczym dopiero co wspomniany święty Jerzy, szarżujący z nastawioną kopią na smoka z Syleny. Klęcząc za Adelą jak król Salomon za tronem z drzewa libańskiego, uchwycił ją oburącz za winnice Engaddi.

– Do klaczy w zaprzęgu faraona – wyszeptał, schylony nad jej karkiem, kształtnym jak wieża Dawida – porównam cię, przyjaciółko moja.

I porównał. Adela krzyknęła przez zaciśnięte zęby. Reynevan wolno przesunął dłonie wzdłuż jej mokrych od potu boków, wspiął się na palmę i pochwycił gałązki jej owocem brzemienne. Burgundka odrzuciła głowę jak klacz przed skokiem przez przeszkodę.

Quia non relinquet Dominus virgam peccatorum,
super sortem iustorum
ut non extendant iusti
ad iniquitatem manus suas...

Piersi Adeli skakały pod dłonią Reynevana jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli. Podłożył drugą dłoń pod jej gaj granatów.

– *Duo... ubera tua* – jęczał – *sicut duo... hinuli capreae gemelli... qui pascuntur... in liliis... Umbilicus tuus crater... tornatilis numquam... indigens poculis... Venter tuus... sicut acervus... tritici vallatus liliis...*

– Ach... aaaach... aaach... – kontrapunktowała nie znająca łaciny Burgundka.

Gloria Patri, et Filio et Spiritui sancto.
Sicut erat in principio, et nunc, et semper
et in saecula saeculorum, Amen.
Alleluia!

Mnisi śpiewali. A Reynevan, całując kark Adeli von Stercza, zapamiętały, oszalały, biegnąc przez góry, skacząc po pagórkach, *saliens*

in montibus, transiliens colles, był dla kochanki niczym młody jeleń na górach balsamowych. *Super montes aromatum*.

●

Uderzone drzwi otwarły się z hukiem i impetem, i to takim, że wyrwany z odrzwi skobel wyleciał przez okno jak meteor. Adela wrzasnęła cienko i przeraźliwie. A do izdebki wpadli bracia von Stercza. Z miejsca dało się miarkować, że nie była to wizyta przyjacielska.

Reynevan stoczył się z łóżka, odgrodzony nim od intruzów porwał swe ubranie i jął je pospiesznie wdziewać. Udało mu się to w znacznej mierze, ale tylko dlatego, że frontalny atak bracia Sterczowie zwrócili ku bratowej.

– Ty dziwko! – zaryczał Morold von Stercza, wywlekając nagą Adelę z pościeli. – Ty wstrętna dziwko!

– Ty gamratko rozwiązła! – zawtórował Wittich, jego starszy brat. Zaś Wolfher, najstarszy po Gelfradzie, nie otworzył nawet ust, blada wściekłość odebrała mu mowę. Z rozmachem uderzył Adelę w twarz. Burgundka wrzasnęła. Wolfher poprawił, tym razem na odlew.

– Nie waż się jej bić, Stercza! – zakrzyczał Reynevan, a głos łamał mu się i dygotał z popłochu i paraliżującego uczucia bezsiły, powodowanych przez na wpół wciągnięte spodnie. – Nie waż się, słyszysz?

Okrzyk wywarł skutek, choć nie całkiem zamierzony. Wolfher i Wittich, zapominając na chwilę o niewiernej bratowej, przyskoczyli do Reynevana. Na chłopca zwalił się grad uderzeń i kopniaków. Skulił się pod ciosami, miast bronić się czy zasłaniać, uparcie wciągał spodnie – jak gdyby nie były to spodnie wcale, lecz jakaś magiczna, zdolna zabezpieczyć i uchronić od ran zbroja, jakiś zaklęty pancerz Astolfa czy Amadisa z Walii. Kątem oka dostrzegł, jak Wittich dobywa noża. Adela wrzasnęła.

– Zostaw – warknął na brata Wolfher. – Nie tu!

Reynevan zdołał unieść się na kolana. Wittich, rozjuszony, z białą aż z wściekłości twarzą, doskoczył i walnął go pięścią, ciskając znowu o podłogę. Adela zakrzyczała świdrująco, krzyk urwał się, gdy Morold uderzył ją w twarz i targnął za włosy.

– Nie ważcie się... – wyjęczał Reynevan – ...jej bić, łajdacy!

– Ty psi synu! – wrzasnął Wittich. – Poczekaj no!

Przyskoczył, uderzył, kopnął raz, drugi. Przy trzecim Wolfher powstrzymał go.

– Nie tu – powtórzył spokojnie, a był to spokój złowrogi. – Na podwórzec z nim. Zabieramy go do Bierutowa. Tę dziwkę też.

– Jestem niewinna! – zawyła Adela von Stercza. – On mnie zauroczył! Oczarował! To czarownik! *Le sorcier! Le diab...*

Morold uciął słowo, stłumił je uderzeniem.

– Zamilcz, poćpiego – warknął. – Jeszcze damy ci sposobność pokrzyczeć. Zaczekaj jeno małość.

– Nie ważcie się jej bić! – wrzasnął Reynevan.

– Tobie też – dorzucił ze swym groźnym spokojem Wolfher – damy sposobność pokrzyczeć, kogutku. Nuże, na dwór z nim.

Droga z poddasza wiodła po dość stromych schodach. Bracia von Stercza strącili z owych Reynevana, chłopiec spadł na podest, druzgocąc sobą część drewnianej balustradki. Nim zdołał się unieść, złapali go znowu i zrzucili wprost na podwórzec, na piach udekorowany parującymi kupami końskiego nawozu.

– Proszę, proszę, proszę – powiedział trzymający konie Niklas Stercza, najmłodszy z braci, wyrostek zaledwie. – Któż to nam tu spadł? Byłbyż to Reinmar Bielau?

– Oczytany mądrala Bielau – parsknął, stając nad gramolącym się z piachu Reynevanem Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem, kmotr i familiant Sterczów. – Wyszczekany mądrala Bielau!

– Poeta zafajdana – dodał Dieter Haxt, kolejny przyjaciel rodziny. – Abelard jeden!

– A żeby mu udowodnić, że i my oczytani – powiedział schodzący ze schodów Wolfher – to mu się zrobi to samo, co Abelardowi, złapanemu u Heloizy. Kropka w kropkę to samo. Co, Bielawa? Jak ci się uśmiecha być kapłonem?

– Chędoż się, Stercza.

– Co? Co? – Choć wydawało się to niemożliwe, Wolfher Stercza zbladł jeszcze bardziej. – Kogutek jeszcze ośmiela się rozwierać dziobek? Ośmiela się piać? Daj mi bykowiec, Jencz!

– Nie śmiej go bić! – zupełnie niespodziewanie rozdarła się sprowadzana po schodach Adela, ubrana już, acz niekompletnie. – Nie odważ się! Bo po wszystkich rozgłoszę, jakiś ty! Żeś się sam do mnie

zalecał, obmacywał i do rozpusty namawiał! Za brata plecami! Żeś mi zemstę przyrzekł, gdym cię precz przegnała! Dlategoś teraz taki... Taki...

Zabrakło jej niemieckiego słowa, przez co całą tyradę diabli wzięli. Wolfher zaśmiał się tylko.

– Jużci! – zakpił. – Będzie to kto słuchał Francuzicy, kurwy wszetecznej. Bykowiec, Puchacz!

Na podwórcu zaczerniło się nagle od augustiańskich habitów.

– Co tu się dzieje? – krzyknął sędziwy przeor Erazm Steinkeller, chudy i bardzo pożółkły staruszek. – Cóż czynicie, chrześcijanie?

– Poszli won! – zaryczał Wolfher, strzelając z bykowca. – Won, golone pały, won, do brewiarza, do modlitwy! Nie mieszać się do spraw rycerskich, bo bieda wam będzie, czarnuchy!

– Panie – przeor złożył pokryte brunatnymi plamami dłonie – wybacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią. *In nomine Patris, et Filii...*

– Morold, Wittich! – wrzasnął Wolfher. – Dawać tu gamratkę! Jencz, Dieter, w pęta gaszka!

– A może – wykrzywił się milczący dotąd Stefan Rotkirch, kolejny przyjaciel domu – za koniem go krzynkę powłóczym?

– Może być. Ale wpierw go oćwiczę!

Zamierzył się na wciąż leżącego Reynevana biczem, ale nie uderzył, chwycony za rękę przez brata Innocentego. Brat Innocenty był słusznego wzrostu i postury, co znać było nawet mimo pokornego mniszego przygarbienia. Jego chwyt unieruchomił rękę Wolfhera niczym żelazna kluba.

Stercza zaklął sprośnie, wyszarpnął się i z mocą pchnął zakonnika. Ale z równym powodzeniem mógł pchnąć stołb oleśnickiego zamku. Brat Innocenty, przezywany przez konfratrów „bratem Insolentym", nawet nie drgnął. Sam natomiast zrewanżował się pchnięciem, które cisnęło Wolfherem przez pół podwórza i zwaliło na kupę obornika.

Przez moment panowała cisza. A potem wszyscy rzucili się na wielkiego mnicha. Puchacz, pierwszy, który doskoczył, dostał w zęby i pokulał się po piasku. Morold Stercza, walnięty w ucho, podreptał w bok z błędnym wzrokiem. Reszta oblazła augustianina jak mrówki. Wielka postać w czarnym habicie zupełnie znikła pod ciosami i kopniakami. Brat Insolenty, choć tęgo bity, rewanżował się jednak równie tęgo i zupełnie nie po chrześcijańsku, całkiem, ale to całkiem wbrew pokornej regule świętego Augustyna.

Na ten widok zdenerwował się staruszek przeor. Poczerwieniał jak wiśnia, zaryczał jak lew i rzucił się w bitewną gęstwę, rażąc na prawo i lewo srogimi ciosami palisandrowego krucyfiksu.

– *Pax!* – wrzeszczał, bijąc. – *Pax! Vobiscum!* Miłuj bliźniego! Swego! *Proximum tuum! Sicut te ipsum!* Skurwysyny!

Dieter Haxt kropnął go pięścią. Staruszek nakrył się nogami, jego sandały wyfrunęły w górę, opisując w powietrzu malownicze trajektorie. Augustianie podnieśli krzyk, kilku zaś nie wytrzymało i runęło w bój. Na podwórcu zakotłowało się nie na żarty.

Wypchnięty z zamętu Wolfher Stercza dobył korda i wywinął nim – groziło, że poleje się krew. Ale Reynevan, który zdołał już wstać, zdzielił go w potylicę trzonkiem podniesionego z ziemi bykowca. Stercza złapał się za głowę i obrócił, wtedy Reynevan z rozmachem chlasnął go batem przez twarz. Wolfher upadł. Reynevan rzucił się do koni.

– Adela! Tutaj! Do mnie!

Adela nawet nie drgnęła, a malująca się na jej twarzy obojętność zadziwiała. Reynevan wskoczył na siodło. Koń zarżał i zatańczył.

– Adeeelaaa!

Morold, Wittich, Haxt i Puchacz już biegli ku niemu. Reynevan obrócił konia, gwizdnął przeszywająco i runął w galop, prosto w furtę.

– Za nim! – zaryczał Wolfher Stercza. – Na koń i za nim!

Pierwszą myślą Reynevana było uciekać w stronę Bramy Mariackiej i dalej, za miasto, w Spalickie Lasy. Ulica Krowia okazała się jednak w kierunku bramy kompletnie zapchana wozami, popędzany i płoszony krzykiem obcy koń wykazał nadto mnóstwo własnej inicjatywy, w rezultacie której, zanim tak na dobre zorientował się w sprawie, Reynevan mknął już cwałem w stronę rynku, rozbryzgując błoto i rozpraszając przechodniów. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że pogoń ma na karku. Słyszał dudnienie kopyt, rżenie koni, dzikie ryki Sterczów i wściekłe wrzaski potrącanych ludzi.

Uderzył konia piętą w słabiznę, w cwale zawadził i obalił niosącego kosz piekarza, chleby, buły i rogale gradem poleciały w błoto, w które za chwilę wgniotły je podkowy koni Sterczów. Reynevan nie obejrzał się nawet, bardziej niż to, co za nim, interesowało go, co przed nim, a przed nim rósł w oczach wózek z piętrzącym się wysoko chrustem. Wózek tarasował niemal całą uliczkę, a w miejscu, którego nie tarasował,

kucała grupka półnagich dzieci, zajętych wygrzebywaniem z gnoju czegoś niezwykle interesującego.

– Mamy cię, Bielau! – zaryczał z tyłu Wolfher Stercza, też widząc, co na drodze.

Koń rwał tak, że nie było mowy o wstrzymaniu go. Reynevan przywarł do grzywy i zamknął oczy. Dzięki temu nie widział, jak półnagie dzieciaki rozprysnęły się z szybkością i gracją szczurów. Nie obejrzał się, nie widział więc również, jak ciągnący wózek z chrustem chłop w baranicy obrócił się, ogłupiały nieco, obracając zarazem dyszel i wózek. Nie widział też tego, jak na obrócony wózek wpadli Sterczowie. Ani tego, jak Jencz Knobelsdorf wyfrunął z siodła i zmiótł sobą połowę wiezionego na wózku chrustu.

Reynevan przecwałował Świętojańską, między ratuszem a domem burmistrza, w pełnym pędzie wpadł na ogromny oleśnicki rynek. Problem polegał na tym, że rynek, choć ogromny, roił się od ludzi. I rozpętało się pandemonium. Biorąc kierunek na południową pierzeję i widoczny nad nią pękaty czworobok wieży nad Bramą Oławską, Reynevan galopował wśród ludzi, koni, wołów, świń, wozów i straganów, zostawiając za sobą pobojowisko. Ludzie wrzeszczeli, wyli i klęli, bydło ryczało, nierogacizna kwiczała, przewracały się kramy i ławki, z których gradem leciały dokoła najrozmaitsze przedmioty – garnki, miski, cebry, motyki, ożogi, rybackie więcierze, owcze skóry, filcowe czapki, lipowe łyżki, łojowe świece, łapcie z łyka i gliniane kogutki z gwizdawką. Deszczem sypały się też wokół produkty spożywcze – jaja, sery, wypieki, groch, kasza, marchew, rzepa, cebula, nawet żywe raki. Latało w obłokach pierza i darło się na różne głosy najrozmaitsze ptactwo. Wciąż siedzący na karku Reynevana Sterczowie dopełniali dzieła zniszczenia.

Spłoszony przelatującą mu tuż przed nosem gęsią koń Reynevana szarpnął się i wpadł na stragan z rybami, druzgocząc skrzynki i wywalając beczki. Rozsierdzony rybak z rozmachem walnął kaszorkiem, chybiając Reynevana, ale trafiając w zad konia. Koń zarżał i rzucił się w bok, przewracając przenośny kram z nićmi i tasiemkami, przez kilka sekund tańczył w miejscu, taplając się w srebrzystej i śmierdzącej masie płoci, leszczy i karasi, pomieszanych z feerią kolorowych szpulek. Reynevan nie spadł jedynie cudem. Kątem oka dostrzegł, jak handlarka nici biegnie ku niemu z wielkim toporem, Bóg jeden tylko wie, do czego

służącym w nicianym handlu. Wypluł przyklejone do warg gęsie pierze, opanował konia i pogalopował w uliczkę Rzeźniczą, skąd, jak wiedział, do Bramy Oławskiej było już tuż-tuż.

– Jaja ci urwę, Bielawa! – ryczał z tyłu Wolfher Stercza. – Urwę i do gardzieli wtłoczę!

– Całuj mnie w rzyć!

Ścigających było już tylko czterech – Rotkircha ściągnęli z konia i turbowali właśnie rozjuszeni rynkowi przekupnie.

Reynevan pomknął jak strzała szpalerem wiszących za nogi tusz. Rzeźnicy uskakiwali w popłochu, ale i tak obalił jednego, niosącego na ramieniu wielki wołowy udziec. Obalony runął wraz z udźcem pod kopyta konia Witticha, koń spłoszył się i stanął dęba, z tyłu wpadł na niego koń Wolfhera. Wittich zleciał z kulbaki wprost na rzeźniczą ladę, nosem w wątroby, płucka i cynadry, z góry spadł na niego Wolfher. Stopa uwięzła mu w strzemieniu, nim się wyzwolił, rozwalił sobą sporą część jatek i po uszy utytłał w błocie i jusze.

Reynevan szybko i w ostatniej chwili schylił się na koński kark, mieszcząc się tym samym pod drewnianym szyldem z wymalowanym łbem prosiaka. Następujący mu na pięty Dieter Haxt nie zdążył się schylić. Decha z konterfektem radośnie uśmiechniętej świnki walnęła go w czoło, aż się rozległo. Dieter wyleciał z kulbaki, runął na kupę odpadków, płosząc koty. Reynevan obejrzał się. Ścigał go już tylko Niklas.

W pełnym galopie wypadł z zaułka rzeźników na placyk, na którym pracowali garbarze. A gdy wprost przed nosem wyrósł mu nagle obwieszony mokrymi skórami stelaż, poderwał konia i zmusił go do skoku. Koń skoczył. A Reynevan nie spadł. Znowu cudem.

Niklas nie miał tyle szczęścia. Jego koń wrył się przed stelażem i staranował go, ślizgając się w błocie, skrawkach mięsa i tłustych ochłapach. Najmłodszy Stercza fiknął przez koński łeb. Bardzo, ale to bardzo pechowo. Pachwiną i brzuchem wprost na pozostawioną przez garbarzy kosę do mizdrowania.

Początkowo Niklas w ogóle nie pojął tego, co się stało. Zerwał się z ziemi, dopadł konia, dopiero gdy wierzchowiec zachrapał i odstąpił, ugięły się pod nim i złamały kolana. Nadal niezbyt wiedząc, co się dzieje, najmłodszy Stercza pojechał po błocie za cofającym się i chrapiącym

panicznie koniem. Wreszcie puścił wodze i spróbował wstać. Zorientował się, że coś jest nie tak, spojrzał na swój brzuch. I zakrzyczał.

Klęczał pośród szybko rosnącej kałuży krwi.

Nadjechał Dieter Haxt, wstrzymał konia, zeskoczył z siodła. To samo zrobili po chwili Wolfher i Wittich Sterczowie.

Niklas usiadł ciężko. Spojrzał znowu na swój brzuch. Krzyknął, a potem rozpłakał się. Oczy zaczęły zachodzić mu mgłą. Chlustająca z niego krew mieszała się z krwią zarżniętych tu rankiem wołów i wieprzy.

– Niklaaaas!

Niklas Stercza zakaszlał, zachłysnął się. I umarł.

– Już nie żyjesz, Reynevanie Bielau! – zaryczał w kierunku bramy blady z wściekłości Wolfher Stercza. – Dopadnę cię, zabiję, zniszczę, wygubię wraz z całym twym żmijowym rodem! Wraz z całym twym żmijowym rodem, słyszysz?

Reynevan nie słyszał. Wśród łomotu podków o dyle mostu wyjeżdżał właśnie z Oleśnicy i walił na południe, wprost na wrocławski trakt.

Rozdział drugi

w którym czytelnik dowiaduje się o Reynevanie jeszcze więcej, a to z rozmów, jakie o nim wiodą różni ludzie, tak życzliwi, jak i wprost przeciwnie. W tym czasie sam Reynevan błąka się po podoleśnickich lasach. Opisu tego błąkania autor czytelnikowi skąpi, toteż czytelnik, *nolens volens*, musi sam je sobie wyobrazić.

– Siadajcie, siadajcie za stół, panowie – zaprosił rajców Bartłomiej Sachs, burmistrz Oleśnicy. – Co kazać podać? Z win, szczerze rzekłszy, nie mam niczego, czym bym mógł zaimponować. Lecz piwo, oho, dziś mi wprost ze Świdnicy dowieziono, przedni leżak, pierwszego waru, z głębokiej zimnej piwniczki.

– Piwa tedy, piwa, panie Bartłomieju – zatarł dłonie Jan Hofrichter, jeden z bogatszych kupców miasta. – Nasz to trunek, piwo, winem niechaj szlachta i różni pankowie trzewia sobie kwaszą... Z przeproszeniem waszej wielebności...

– Nic to – uśmiechnął się ksiądz Jakub von Gall, proboszcz od świętego Jana Ewangelisty. – Jam już nie szlachcic, jam pleban. A pleban, jak z samej nazwy zgadniesz, zawżdy z ludem, tedy i mnie piwem gardzić nie przystoi. A napić się mogę, bo nieszpór odprawiony.

Siedli za stołem, w wielkiej, niskiej, surowo bielonej ratuszowej sali, zwykłym miejscu obrad magistratu. Burmistrz na swym zwykłym krześle, plecami do komina, ksiądz Gall obok, twarzą ku oknu. Naprzeciw siadł Hofrichter, obok niego Łukasz Frydman, wzięty i majętny złotnik, w swym modnie watowanym wamsie i aksamitnym rondlecie na ufryzowanej głowie wyglądający iście jak szlachcic. Burmistrz odchrząknął, nie czekając na służbę z piwem, rozpoczął.

– I cóż to mamy? – przemówił, splatając dłonie na wydatnym brzuchu. – Cóż to zafundować nam raczyli w naszym grodzie szlachetni pasowani panowie rycerze? Bijatyka u augustianów. Konne, tego tam, gonitwy ulicami miasta. Tumult na rynku, kilku poturbowanych, w tym jedno dziecko poważnie. Poniszczony dobytek, zmarnowany towar. Znaczne straty, tego tam, materialne, do odwieczerza niemal pchali mi się tu *mercatores et institores* z żądaniami odszkodowań. Zaprawdę,

powinienem odsyłać ich z pretensjami do panów Sterczów, do Bierutowa, Lednej i Sterzendorfu.

– Lepiej nie – poradził sucho Jan Hofrichter. – Choć i jam zdania, że panowie rycerze ostatnio ponad miarę się nam rozwydrzyli, nie lza zapominać ni o sprawy przyczynach, ni o skutkach owej. Skutkiem zaś, skutkiem tragicznym, jest śmierć młodego Niklasa de Stercza. A przyczyną: wszeteczeństwo i rozpusta. Sterczowie bronili honoru brata, gonili za gaszkiem, co bratową uwiódł, skalał łoże małżeńskie. Prawda, że w zapale przesadzili owsinek...

Kupiec umilkł pod znaczącym spojrzeniem księdza Jakuba. Bo gdy ksiądz Jakub sygnalizował spojrzeniem chęć wypowiedzenia się, milkł nawet sam burmistrz. Jakub Gall był nie tylko proboszczem miejskiej fary, ale zarazem sekretarzem księcia oleśnickiego Konrada i kanonikiem w kapitule katedry wrocławskiej.

– Cudzołóstwo jest grzechem – przemówił ksiądz, prostując za stołem swą chudą postać. – Cudzołóstwo jest też przestępstwem. Ale za grzechy karze Bóg, a za przestępstwa prawo. Samosądów zaś i mordów nie usprawiedliwia nic.

– O to, to – wpadł w *credo* burmistrz, ale zaraz umilkł i poświęcił się piwu, które właśnie podano.

– Niklas Stercza, co nas boli wielce – dodał ksiądz Gall – zginął tragicznie, ale wskutek nieszczęśliwego wypadku. Ale gdyby Wolfher z kompanią dopadli Reinmara de Bielau, mielibyśmy w naszej jurysdykcji do czynienia z zabójstwem. Nie wiada zresztą, czy nie będziemy mieli. Przypominam, że przeor Steinkeller, dotkliwie pobity przez Sterczów świątobliwy starzec, leży bez ducha u augustianów. Jeśli z tego pobicia zemrze, będzie problem. Dla Sterczów właśnie.

– Względem zaś przestępstwa cudzołóstwa – złotnik Łukasz Frydman przyjrzał się pierścieniom na swych wypielęgnowanych palcach – to zważcie, panowie szanowni, że nie nasza to wcale jurysdykcja. Choć w Oleśnicy miała miejsce rozpusta, delikwenci nie nam podlegają. Gelfrad Stercza, zdradzony małżonek, jest wasalem księcia ziębickiego. Podobnie uwodziciel, młody medyk Reinmar de Bielau...

– U nas się zdarzyła rozpusta i u nas było przestępstwo – rzekł twardo Hofrichter. – I to niebłahe, jeśli temu wierzyć, co małżonka Sterczowa u augustianów wyznała. Że ją medykus czarami omamił i czarnoksięstwem do grzechu przywiódł. Przymusił niechcącą.

– Wszystkie tak mówią – zabuczał z wnętrza kufla burmistrz.

– Zwłaszcza – dodał bez emocji złotnik – kiedy im nóż do gardła przykłada ktoś pokroju Wolfhera de Stercza. Dobrze powiedział wielebny ojciec Jakub, że cudzołóstwo to przestępstwo, *crimen*, a jako takie wymaga śledztwa i sądu. Nie chcemy tu rodowych wróżd ani bitew na ulicach, nie dopuścimy, by rozbestwieni pankowie podnosili tu rękę na duchownych, wywijali nożami i tratowali ludzi na placach. W Świdnicy za to, że płatnerza uderzył i kordem mu groził, poszedł do wieży jeden z Pannewitzów. I tak ma być. Nie mogą wrócić czasy rycerskiej samowoli. Sprawa musi trafić przed księcia.

– Tym bardziej – potwierdził kiwnięciem głowy burmistrz – że Reinmar z Bielawy to szlachcic, a Adela Sterczowa to szlachcianka. Jego nie możemy wychłostać ani jej jak byle gamratkę z miasta wyświęcić. Sprawa musi iść przed księcia.

– Spieszyć się z tym nie należy – ocenił, patrząc w sufit, proboszcz Jakub Gall. – Książę Konrad wyjeżdża do Wrocławia, przed wyjazdem bez liku spraw ma na głowie. Plotki, jak to plotki, zapewne już do niego dotarły, ale nie czas, by plotki te uoficjalniać. Dość będzie sprawę księciu przedłożyć, gdy wróci. Do tego czasu wiele samo może się rozwiązać.

– Też tak uważam – kiwnął znowu głową Bartłomiej Sachs.

– I ja – dodał złotnik.

Jan Hofrichter poprawił kuni kołpak, zdmuchnął pianę z kufla.

– Księcia – orzekł – informować póki co nie stoi, zaczekamy, aż wróci, w tym zgadzam się z wami, szanowni. Ale Święte Oficjum powiadomić mus nam. I to szybko. O tym, cośmy u medykusa w pracowni znaleźli. Nie kręćcie głową, panie Bartłomieju, nie róbcie min, cny panie Łukaszu. A wy, wielebny, nie wzdychajcie i nie liczcie much na powale. Tak mi do tego pilno jako i wam, tak samo pragnę tu Inkwizycji, jak i wy. Ale przy otwarciu pracowni było wiele osób. A gdzie jest wiele osób, tam zawsze, wielce odkrywczy chyba nie będę, przynajmniej jeden się znajdzie taki, co Inkwizycji donosi. A gdy się zjawi w Oleśnicy wizytator, nas pierwszych zapyta, czemuśmy zwlekali.

– Ja zaś – proboszcz Gall oderwał wzrok od sufitu – zwłokę wyjaśnię. Ja, osobiście. Bo moja to fara i na mnie spoczywa obowiązek informowania biskupa i inkwizytora papieskiego. Do mnie też należy

ocena, czy zaistniały okoliczności, wzywanie i trudzenie kurii i Oficjum uzasadniające.

– Czarownictwo, o którym wydzierała się u augustianów Adela Sterczowa, okolicznością nie jest? Pracownia nie jest? Alchemiczny alembik i pentagram na podłodze nie są? Mandragora? Trupie czaszki, trupie ręce? Kryształy i zwierciadła? Butle i flakony diabli wiedzą z jakim plugastwem czy jadem? Żaby i jaszczurki w słojach? Okolicznościami nie są?

– Nie są. Inkwizytorzy to ludzie poważni. Ich rzecz to *inquisitio de articulis fidei*. Nie zaś babskie bajania, zabobony i żaby, tymi ani myślę zawracać im głowy.

– A księgi? Te, które tutaj leżą?

– Księgi – odrzekł spokojnie Jakub Gall – należy wpierw przestudiować. Wnikliwie i bez pośpiechu. Święte Oficjum nie zabrania czytania. Ani posiadania ksiąg.

– We Wrocławiu – rzekł ponuro Hofrichter – dopiero co dwóch poszło na stos. Wieść głosi, że za posiadane księgi właśnie.

– Bynajmniej nie za księgi – zaprzeczył sucho proboszcz – lecz za kontumację, za hardą odmowę wyparcia się głoszonych treści, w księgach owych zawartych. Wśród których były pisma Wiklefa i Husa, lollardzki *Floretus*, artykuły praskie i liczne inne husyckie libelle i manifesty. Czegoś podobnego nie widzę tu, wśród książek zarekwirowanych w pracowni Reinmara z Bielawy. Widzę tu niemal wyłącznie dzieła medyczne. Będące zresztą w większości, lub w całości nawet, własnością *scriptorium* klasztoru augustianów.

– Powtarzam – Jan Hofrichter wstał, podszedł do wyłożonych na stole ksiąg. – Powtarzam, wcale mi się nie pali ani do biskupiej, ani do papieskiej Inkwizycji, na nikogo donosić nie chcę i nikogo widzieć skwierczącym na stosie. Ale tu i o nasze zadki idzie. By i nas o te księgi nie oskarżono. A cóż tu mamy? Prócz Galena, Pliniusza i Strabona? Saladinus de Asculo, *Compendium aromatorium*. Scribonius Largus, *Compositiones medicamentorum*. Bartolomeus Anglicus, *De proprietatibus rerum*, Albertus Magnus, *De vegetalibus et plantis*... Magnus, ha, przydomek iście godny czarownika. A tu, proszę bardzo, Sabur ben Sahl... Abu Bekr al-Râzi... Poganie! Saraceni!

– Tych Saracenów – wyjaśnił spokojnie, oglądając swe pierścienie, Łukasz Frydman – wykłada się na chrześcijańskich uniwersytetach. Jako

medyczne autorytety. A wasz „czarownik" to Albert Wielki, biskup Ratyzbony, uczony teolog.

– Tak powiadacie? Hmmm... Spójrzmy dalej... O! *Causae et curae*, napisane przez Hildegardę z Bingen. Pewnie czarownica, ta Hildegarda!

– Nie bardzo – uśmiechnął się ksiądz Gall. – Hildegarda z Bingen, prorokini, zwana Sybillą Reńską. Zmarła w aurze świętości.

– Ha. Ale jeśli tak twierdzicie... A cóż to jest? John Gerard, *Generall... Historie... of Plantes...* Ciekawe, po jakiemu to, po żydowsku chyba. Ale to pewnie kolejny jaki święty. Tu zaś mamy *Herbarius*, przez Thomasa de Bohemia...

– Jak powiedzieliście? – uniósł głowę ksiądz Jakub. – Tomasza Czecha?

– Tak tu stoi.

– Pokażcie. Hmmm... Ciekawe, ciekawe... Wszystko, jak się okazuje, zostaje w rodzinie. I wokół rodziny się kręci.

– Jakiej rodziny?

– Tak rodzinnej – Łukasz Frydman nadal zdawał się interesować wyłącznie swymi pierścieniami – że bardziej nie można. Tomasz Czech, czyli Behem, autor tego *Herbariusa*, to pradziad naszego Reinmara, amatora cudzych żon, który tyle nam narobił zamieszania i kłopotów.

– Tomasz Behem, Tomasz Behem – zmarszczył czoło burmistrz. – Zwany też Tomaszem Medykiem. Słyszałem. Był druhem któregoś z książąt... Nie pamiętam...

– Księcia Henryka VI Wrocławskiego – pospieszył ze spokojnym wyjaśnieniem złotnik Frydman. – Faktycznie był ów Tomasz jego przyjacielem. Wybitny był to ponoć uczony, zdolny lekarz. Studiował w Padwie, w Salerno i Montpellier...

– Mówili też – wtrącił Hofrichter, już od paru chwil kiwnięciami głowy potwierdzający, że również sobie przypomniał – że był czarownikiem i kacerzem.

– Przyczepiłeś się, panie Janie – skrzywił się burmistrz – do tego czarownictwa jako pijawka. Darujże sobie.

– Tomasz Behem – pouczył surowym z lekka głosem proboszcz – był duchownym. Kanonikiem wrocławskim, potem nawet sufraganem diecezji. I tytularnym biskupem Sarepty. Znał osobiście papieża Benedykta XII.

– O owym papieżu też różnie mówiono – nie myślał rezygnować Hofrichter. – A zdarzało się czarownictwo i między infułatami. Inkwizytor Schwenckefeld, za jego czasu...

– Ostawcież to wreszcie – uciął ksiądz Jakub. – Co innego nas tu zajmować winno.

– W samej rzeczy – potwierdził złotnik. – Ja akurat wiem, co. Książę Henryk nie miał męskiego potomka, miał tylko trzy córki. Z najmłodszą, Małgorzatą, nasz ksiądz Tomasz pozwolił sobie na romans.

– Książę do tego dopuścił? Aż taka była to przyjaźń?

– Książę nie żył już wówczas – wyjaśnił znowu złotnik. – Księżna Anna zaś albo nie widziała, co się święci, albo widzieć nie chciała. Tomasz Behem nie był jeszcze wówczas biskupem, ale był w znakomitej komitywie z resztą Śląska: z Henrykiem Wiernym na Głogowie, Kazimierzem na Cieszynie i Frysztacie, Bolkiem Małym świdnicko-jaworskim, Władysławem bytomsko-kozielskim, Ludwikiem z Brzegu. Bo też i wyobraźcie sobie, panowie, ktoś, kto nie tylko że bywa w Awinionie u Ojca Świętego, ale jeszcze potrafi usunąć kamienie moczowe tak zręcznie, że pacjent nie dość, że po operacji ma jeszcze kuśkę, to owa nawet mu staje. Jeśli nawet nie codziennie, to jednak. Choć może i brzmi to jak krotochwila, ja bynajmniej nie żartuję. Powszechnie się mniema, że to dzięki Tomaszowi do dziś mamy jeszcze Piastów na Śląsku. Pomagał bowiem z równą wprawą mężczyznom, jak i kobietom. A także parom, jeśli panowie rozumieją, co mam na myśli.

– Boję się – rzekł burmistrz – że nie.

– Potrafił pomóc stadłu, któremu nie wiodło się w łożnicy. Teraz rozumiecie?

– Teraz tak – kiwnął głową Jan Hofrichter. – Znaczy się, wrocławską księżniczkę przechędożył też pewnie wedle medycznej sztuki. Naturalnie było z tego dziecko.

– Naturalnie – potwierdził ksiądz Jakub. – Sprawę załatwiono zwykłą modą. Małgorzatę zamknięto u klarysek, dzieciak trafił do Oleśnicy, do księcia Konrada. Konrad wychowywał go jak syna. Tomasz Behem stawał się coraz większą figurą, wszędzie, na Śląsku, w Pradze u cesarza Karola IV, w Awinionie, dlatego chłopak karierę miał zapewnioną już w dzieciństwie. Karierę duchowną, ma się rozumieć. Zależną od tego, jakim wykaże się rozumem. Byłby głupi, dostałby wiejską farę. Byłby

średnio głupi, zrobiono by go opatem gdzieś u cystersów. Byłby mądry, czekała na niego kapituła którejś z kolegiat.

– Jaki się okazał?

– Niegłupi. Przystojny jak ojciec. I waleczny. Zanim ktokolwiek zdołał coś przedsięwziąć, przyszły ksiądz już bił się z Wielkopolanami u boku młodszego księcia, przyszłego Konrada Starego. Bił się tak dzielnie, że nie było wyjścia, pasowano go na rycerza. Z nadaniem. Tym to sposobem umarł księżyk Tymo, niech żyje ritter Tymo Behem z Bielawy, von Bielau. Rycerz Tymo, który wkrótce nieźle się skoligacił, poślubiając najmłodszą córkę Heidenreicha Nostitza.

– Nostitz dał córkę kleszemu bękartowi?

– Klecha, rodzic bękarta, został tymczasem wrocławskim sufraganem i biskupem Sarepty, znał się z Ojcem Świętym, doradzał Wacławowi IV i był za pan brat ze wszystkimi książętami Śląska. Stary Heidenreich zapewne sam i ochotnie snębił mu córeczkę.

– To możliwe.

– Ze związku Nostitzówny z Tymonem de Bielau zrodzili się Henryk i Tomasz. W Henryku odezwała się widać krew dziada, bo został księdzem, odbył studia w Pradze i do śmierci, całkiem niedawnej, był scholastykiem u Świętego Krzyża we Wrocławiu. Tomasz zaś pojął Boguszkę, córkę Mikszy z Prochowic i spłodził z nią dwoje dzieci. Piotra, zwanego Peterlinem, i Reinmara, zwanego Reynevanem. Peterlin, czyli Pietruszka, i Reynevan, czyli Wrotycz. Takie warzywno-ziołowe cognomeny, pojęcia nie mam, sami sobie je wydumali czy to fantazja ojca. Ów zaś, jeśli już przy nim jesteśmy, poległ pod Tannenbergiem.

– Po czyjej stronie?

– Po naszej, chrześcijańskiej.

Jan Hofrichter pokiwał głową, łyknął z kufla.

– A ów Reinmar-Reynevan, zwykły dobierać się do cudzych żon... Kim on jest u augustianów? Oblatem? Konwersem? Nowicjuszem?

– Reinmar Bielau – uśmiechnął się ksiądz Jakub – jest medykiem, szkolonym w Pradze, na Uniwersytecie Karola. Jeszcze przed studiami chłopiec uczył się w szkole katedralnej we Wrocławiu, potem poznawał arkana zielarstwa u aptekarzy świdnickich i u duchaków w hospicjum brzeskim. To właśnie duchacy i stryj Henryk, scholastyk wrocławski, umieścili go u naszych augustianów, w leczeniu ziołami wyspecjalizowanych. Chłopak uczciwie i z sercem, dowodząc

powołania, popracował dla szpitala i leprozorium. Potem, jak się rzekło, studiował medycynę w Pradze, też zresztą za protekcją stryja i za pieniądze, jakie stryj miał z kanonii. Na studiach przykładał się widać, bo już po dwóch latach był bakałarzem sztuk, *artium baccalaureus*. Z Pragi wyjechał zaraz po... Hmm...

– Zaraz po defenestracji – nie bał się dokończyć burmistrz. – Co jawnie pokazuje, że nic go z husycką, tego tam, herezją nie łączy.

– Nic go z nią nie łączy – potwierdził spokojnie złotnik Frydman. – Wiem to dobrze od syna, który w tym czasie również w Pradze studiował.

– Bardzo dobrze też się stało – dodał burmistrz Sachs – że Reynevan na Śląsk powrócił, i dobrze, że do nas, do Oleśnicy, nie zaś do księstwa ziębickiego, gdzie brat jego u księcia Jana rycersko służy. To dobry chłopak i rozumny, choć młody, a w leczeniu ziołami tak zmyślny, że mało podobnych znajdziesz. Żonie mojej czyraki, co się jej na, tego tam, ciele pojawiły, wyleczył, córkę zasię z kaszlu ustawicznego uzdrowił. Mnie na oczy, co mi ropiały, dał odwar, przeszło, jak ręką odjął...

Burmistrz zamilkł, zachrząkał, wsunął dłonie w obszyte futrem rękawy delii. Jan Hofrichter popatrzył nań bystro.

– Tym sposobem – oświadczył – nareszcie przejaśniło mi się w głowie. Z owym Reynevanem. Już wszystko wiem. Choć bękarcią modą, ale krew piastowska. Syn biskupi. Ulubieniec książąt. Krewniak Nostitzów. Synowiec scholastyka wrocławskiej kolegiaty. Dla synów bogaczy kompanion ze studiów. Do tego, jakby nie dosyć, wzięty medyk, niemal cudotwórca, umiejący zaskarbić sobie wdzięczność możnych. A z czegóż to was wyleczył, wielebny ojcze Jakubie? Z jakiej, ciekawość, przypadłości?

– Przypadłości – rzekł zimno proboszcz – to żaden temat do debat. Powiedzmy więc bez detali, że wyleczył.

– Kogoś takiego – dodał burmistrz – nie warto tracić. Żal dać takiemu zginąć w rodowej wróżdzie dlatego jeno, że zapomniał się dla pary pięknych, tego tam, oczu. Niechże służy społeczności. Niechże leczy, skoro umie...

– Nawet – parsknął Hofrichter – z wykorzystaniem pentagramu na podłodze?

– Jeśli leczy – rzekł poważnie ksiądz Gall – jeśli pomaga, jeśli uśmierza bóle, to nawet. Takie zdolności to dar boży, Pan obdarza nimi wedle

Swej woli i wedle Sobie jeno znanego zamiaru. *Spiritus flat, ubi vult*, nie nam dróg Jego dociekać.

– Amen – podsumował burmistrz.

– Krótko mówiąc – nie rezygnował Hofrichter – ktoś taki jak Reynevan winny być nie może? O to idzie? Hę?

– Kto jest bez winy – odrzekł z kamienną twarzą Jakub Gall – niechaj pierwszy rzuci kamieniem. A Bóg nas wszystkich osądzi.

Przez chwilę panowała cisza, tak głęboka, że dało się słyszeć szelest skrzydełek ciem, tłukących się u okien. Z ulicy Świętojańskiej dobiegło przeciągłe i śpiewne zawołanie strażnika miejskiego.

– Tak tedy, reasumując – burmistrz wyprostował się za stołem tak, że wparł się weń brzuchem – tumultu w grodzie naszym Oleśnicy winni są bracia Sterczowie. Szkód materialnych i obrażeń cielesnych na rynku powstałych winni są Sterczowie. Zdrowia utraty, a nie daj Boże śmierci jego wielebności przeora Steinkellera winni są bracia Sterczowie. Oni i tylko oni. To zaś, co przydarzyło się Niklasowi von Stercza, było nieszczęśliwym, tego tam, wypadkiem. Tak księciu rzecz przedstawim, jeno wróci. Jest zgoda?

– Jest zgoda.

– *Consensus omnium.*

– *Concordi voce.*

– A gdyby się gdzie Reynevan objawił – dodał po chwili milczenia proboszcz Gall – doradzam pojmać go cichcem i zamknąć. Tu, w naszym ratuszowym karcerku. Dla jego własnego bezpieczeństwa. Dopokąd sprawa nie ucichnie.

– Dobrze by było – dorzucił, oglądając swe pierścienie, Łukasz Frydman – zrobić to szybko. Zanim o całej aferze dowie się Tammo Stercza.

●

Wychodząc z ratusza wprost w mrok ulicy Świętojańskiej, kupiec Hofrichter kątem oka złowił ruch na oświetlonej księżycem ścianie wieży, przesuwający się niewyraźny kształt, nieco poniżej okien miejskiego trębacza, a powyżej okien komnaty, w której dopiero co skończyła się rada. Spojrzał, osłaniając oczy przed przeszkadzającym światłem niesionej przez pachołka latarni. Ki diabeł, pomyślał i zaraz się

przeżegnał. Cóż to tam łazi po murze? Puchacz? Sowa? Nietoperz? A może...

Jan Hofrichter wzdrygnął się, przeżegnał znowu, aż na uszy wcisnął kuni kołpak, otulił szubą i szparko ruszył w stronę domu.

Nie widział więc, jak wielki pomurnik rozpostarł skrzydła, sfrunął z parapetu i bezszelestnie, jak duch, jak nocny upiór poszybował nad dachami miasta.

●

Apeczko Stercza, pan na Lednej, nie lubił bywać na zamku Sterzendorf. Powód był jeden i to prosty – Sterzendorf był siedzibą Tammona von Stercza, głowy, seniora i patriarchy rodu. Względnie, jak mówili niektórzy – tyrana, despoty i dręczyciela.

W komnacie było duszno. I ciemno. Tammo von Stercza nie pozwalał otwierać okien w obawie, by go nie zawiało, okiennice też musiały stale być zamknięte, bo światło raziło oczy kaleki.

Apeczko był głodny. I zakurzony po podróży. Ale nie było czasu ani na posiłek, ani na ochędożenie. Stary Stercza nie lubił czekać. Nie zwykł też częstować gości. Zwłaszcza rodziny.

Apeczko łykał tedy ślinę, by zwilżać gardło – niczego do picia nie podano mu, rzecz jasna – i relacjonował Tammonowi oleśnickie wydarzenia. Robił to niechętnie, ale cóż, mus. Kaleka czy nie, paralityk czy nie, Tammo był seniorem rodu. Seniorem nie tolerującym nieposłuszeństwa.

Starzec słuchał relacji, rozparty na krześle w zwykłej dla siebie, niewiarygodnie koślawej pozie. Stary pokręcony piernik, pomyślał Apeczko. Cholerny połamany dziadyga.

Przyczyny stanu, w jakim znajdował się patriarcha rodu Sterczów, nie do końca i nie wszystkim były znane. Zgoda panowała co do jednego – Tammona trafił szlag, albowiem Tammo się wściekł. Jedni twierdzili, że starzec wściekł się na wieść, że jego osobisty wróg, znienawidzony książę wrocławski Konrad otrzymał sakrę biskupią i stał się najpotężniejszą osobistością Śląska. Jeszcze inni zapewniali, że feralny wybuch spowodowała teściowa, Anna z Pogorzelów, przypaliwszy Tammonowi jego ulubione danie – kaszę gryczaną ze skwarkami. Jak tam było naprawdę, nie odgadnąć, rezultat jednak był widomy i nie do przeoczenia. Stercza po wypadku mógł poruszać – niezdarnie zresztą –

tylko lewą ręką i lewą stopą. Prawą powiekę miał opadniętą zawsze, spod lewej, którą czasami podnieść zdołał, cięgiem wypływały śluzowate łzy, a z kącika przykurczonych w koszmarny grymas ust ciekła ślina. Wypadek spowodował też zupełną niemal utratę mowy, stąd wziął się przydomek starca – Balbulus. Jąkała-bełkotacz.

Utrata zdolności mówienia nie pociągnęła jednak za sobą tego, na co liczyła cała rodzina – utraty kontaktu ze światem. O, nie. Pan na Sterzendorfie nadal trzymał ród w garści i był postrachem wszystkich, a to, co miał do powiedzenia, mówił. Zawsze miał bowiem na podorędziu kogoś, kto potrafił zrozumieć i przełożyć na ludzki język jego gulgoty, charkoty, bełkoty i krzyki. Tym kimś było z reguły dziecko – któreś z licznych wnucząt lub prawnucząt Balbulusa.

Teraz tłumaczką była dziesięcioletnia Ofka von Baruth, która siedząc u nóg starca, stroiła lalkę w strzępki kolorowych szmatek.

– Tak tedy – Apeczko Stercza skończył opowiadać i odchrząknąwszy, przeszedł do konkluzji – Wolfher przez posłańca prosił uwiadomić, że ze sprawą upora się rychło. Że Reinmar Bielau będzie schwytany na trakcie wrocławskim i poniesie karę. Teraz jednak ręce ma Wolfher związane, bo traktem podróżuje książę oleśnicki z całym dworem i różne ważne duchowne osoby, tedy nie ma jak... Nie ma jak pościgu wieść. Ale Wolfher przysięga, że złapie Reynevana. Że można mu zawierzyć honor rodu.

Powieka Balbulusa podskoczyła, z ust wyciekła strużka śliny.

– Bbbhh-bhh-bhh-bhubhu-bhhuaha-rrhhha-phhh-aaa-rrh! – rozległo się w izbie. – Bbb... hrrrh-urrrhh-bhuuh! Guggu-ggu...

– Wolfher jest pieprzonym kretynem – przełożyła cieniutkim i melodyjnym głosikiem Ofka von Baruth. – Głupkiem, któremu nie zawierzyłbym nawet wiadra rzygowin. A jedyne, co on zdolen złapać, to jego własny kutas.

– Ojcze...

– Bbb... brrrh! Bhhrhuu-phr-rrrhhh!

– Milczeć – przełożyła, nie unosząc głowy, zajęta lalką Ofka. – Słuchać, co powiem. Co rozkażę.

Apeczko cierpliwie przeczekał charkoty i skrzeki, doczekał się przekładu.

– Ustalić każesz wpierw, Apecz – rozkazywał Tammo Stercza ustami dziewczynki – która to baba z Bierutowa miała poruczony dozór nad

Burgundką. Która to nie połapała się w prawdziwym celu tych dobroczynnych wycieczek do Oleśnicy. Względnie była w zmowie z gamratką. Babie trzydzieści pięć odlewanych rózeg. Na gołą rzyć. Tu, u mnie, na moich oczach. Niech mam choć te trochę radości.

Apeczko Stercza kiwnął głową. Balbulus kaszlnął, zacharczał i opluł się cały. Potem wykrzywił upiornie i zagęgał.

– Burgundkę zaś – przełożyła Ofka, czesząc małym zgrzebełkiem pakułowe włosy lalki – o której już wiem, że schroniła się u ligockich cysterek, nakazuję wydobyć stamtąd, choćby trzeba było brać klasztor szturmem. Potem zamknąć nierządnicę u mnichów nam przychylnych, przykładowo w...

Tammo raptownie przestał jąkać się i gulgotać, rzężenie zamarło mu w gardle. Wiercony przekrwionym okiem Apeczko zrozumiał, że starzec zauważył jego zakłopotaną minę. Że połapał się. Nie można było dłużej ukrywać prawdy.

– Burgundka – wyjąkał – zdołała umknąć z Ligoty. Cichcem... Nie wiedzieć dokąd. Zajęci pościgiem... Nie upilnowali... śmy.

– Ciekawe – przełożyła Ofka po długiej chwili ciężkiej ciszy – ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie dziwi. Ale skoro tak, to niech i tak będzie. Nie będę sobie kurwą głowy zaprzątał. Niech tę sprawę załatwi Gelfrad, gdy wróci. Niech załatwi sprawę własnoręcznie. Mnie jego rogi nie obchodzą. W tej rodzinie to nic nowego zresztą. Mnie samego zdrowo musiano uwieńczyć. Bo nie może być, by to z moich własnych lędźwi zrodzili się tacy durnie.

Balbulus przez kilka chwil kaszlał, charczał i krztusił się. Ale Ofka nie przekładała, nie była to więc mowa, ale kaszel zwykły. Wreszcie starzec zarzęził, nabrał tchu, wykrzywił jak demon i walnął kosturem o podłogę, po czym dziko zagulgotał. Ofka przysłuchiwała się, włożywszy do buzi koniec warkocza.

– Ale Niklas – przełożyła – był nadzieją tego rodu. Prawdziwą moją krwią, krwią Sterczów, nie jakimiś popłuczynami po diabli wiedzą jakich kundlich koneksjach. Nie może więc być, by za jego przelaną krew morderca nie zapłacił. I to z nawiązką.

Tammo znowu łomotnął kosturem o podłogę. Kij wypadł mu z trzęsącej się dłoni. Pan na Sterzendorfie kaszlnął i kichnął, opluwając się i osmarkując. Stojąca obok Hrozwita von Baruth, córka Balbulusa, matka Ofki, otarła mu brodę, podniosła i wcisnęła do ręki kostur.

– Hgrrrhhh! Grhhh... Bbb... bhrr... bhrrrllg...

– Reinmar Bielau zapłaci mi za Niklasa – przekładała beznamiętnie Ofka. – Zapłaci, Bóg mi świadkiem i wszyscy święci. Wsadzę go do lochu, do klatki, do skrzyni takiej jak ta, w której Głogowczycy zamknęli Henryka Grubego, z jedną dziurą na pokarm i drugą na wprost przeciwnie, tak by nawet podrapać się nie zdołał. I potrzymam go tak z pół roku. I dopiero potem zabiorę się za niego. A po oprawcę poślę aż do Magdeburga, bo wybornych tam mają oprawców, nie takich jak ci tu, na Śląsku, którym delikwent umiera już drugiego dnia tortur. O nie, ja sprowadzę mistrza, który poświęci mordercy Niklasa tydzień. Albo dwa.

Apeczko Stercza przełknął ślinę.

– Ale żeby móc to zrobić, należy gaszka schwytać. A do tego trzeba głowy. Rozumu. Bo gaszek nie jest głupi. Głupi nie zostałby bakałarzem w Pradze, nie wkradłby się w łaski oleśnickich mnichów. I nie zdołałby tak gracko dobrać się do Gelfradowej Francuzki. Za takim spryciarzem nie wystarczy uganiać się jak dureń po wrocławskim trakcie, na śmiech się podawać. Nadawać sprawie rozgłos, który posłuży gaszkowi, nie nam.

Apeczko kiwnął głową. Ofka spojrzała na niego, pociągnęła zadartym noskiem.

– Gaszek – przekładała dalej – ma brata, siedzącego na nadaniu gdzieś podle Henrykowa. Jest dość prawdopodobne, że tam poszuka schronienia. Może i już poszukał. Inny zaś Bielau był, póki żył, klechą przy wrocławskiej kolegiacie, niewykluczone więc, że łajdak zechce schronić się u łajdaka. Chciałem rzec, u jego wielebności biskupa Konrada. Starego opoja i złodzieja!

Hrozwita Baruth znów wytarła starcowi brodę, osmarkaną w gniewie.

– Gaszek ma nadto znajomków u duchaków w Brzegu. W hospicjum. Tam właśnie mógł się nasz spryciarz udać, by zaskoczyć i zmylić Wolfhera. Co nie jest zresztą trudnym zadaniem. I wreszcie najważniejsze, nadstaw uszu, Apecz. Pewnym, że nasz gaszek zechce grać truwera, udawać jakiegoś zasranego Lohengrina czy innego Lancelota... Zechce zbliżyć się do Francuzki. I tam, w Ligocie, najpewniej go dostaniemy, jak pieska u ciekącej suczki.

– Jakże to, w Ligocie? – odważył się Apeczko. – Przecie ona...

– Uciekła, wiem. Ale on nie wie.

Stary pierdoła, pomyślał Apeczko, duszę ma jeszcze bardziej pokrętną niż ciało. Ale chytry jak lis. A wie, trza oddać mu cześć, dużo. Wszystko.

– Ale do tego, com dopiero był rzekł – przekładała na język ludzki Ofka – wy mi się marnie nadajecie, moi wy synowie i synowcy, krwie, podobno, z krwi i kości z kości mojej. Dlatego co tchu udasz się wpierw do Niemodlina, a później do Ziębic. Tam... Słuchaj dobrze, Apecz. Odnajdziesz Kunza Aulocka, zwanego Kyrielejson. I innych: Waltera de Barby, Sybka z Kobylejgłowy, Storka z Gorgowic. Tym rzekniesz, że Tammo Stercza płaci tysiąc złotych reńskich za żywego Reinmara von Bielau. Tysiąc, zapamiętaj.

Apeczko przełykał ślinę przy każdym nazwisku. Bo były to nazwiska najgorszych na całym niemal Śląsku zbirów i morderców, łotrów bez czci i wiary. Gotowych zamordować własną babkę za trzy skojce, a co dopiero za bajeczną sumę tysiąca guldenów. Moich guldenów, pomyślał gniewnie Apeczko. Bo to moja winna być scheda, po tym, gdy ten zatracony koślawiec wreszcie strzeli kopytami.

– Pojąłeś, Apecz?

– Tak, ojcze.

– Tedy precz, zabieraj się stąd. Jazda, w drogę, wykonać, com rozkazał.

Najpierw, pomyślał Apeczko, w drogę do kuchni, gdzie podjem sobie i wypiję za dwóch. Ty skąpy dziadu. A potem się zobaczy.

– Apecz.

Apeczko Stercza odwrócił się. I spojrzał. Ale nie na wykrzywione i nabiegłe krwią oblicze Balbulusa, które nie po raz pierwszy wydało mu się tu, na Sterzendorfie, czymś nienaturalnym, niepotrzebnym, czymś nie na miejscu. Apeczko spojrzał w wielkie orzechowe oczy małej Ofki. Na Hrozwitę, stojącą za krzesłem.

– Tak, ojcze?

– Nie zawiedź nas.

A może, przemknęło mu przez myśl, to wcale nie on? Może jego tu już nie ma, może na tym krześle siedzi zewłok, półtrup, któremu paraliż doszczętnie wyżarł już mózg? Może to... one? Może to baby – młodziuśkie, młode, średnie i stare – rządzą na Sterzendorfie?

Prędko odpędził od siebie tę niedorzeczną myśl.

– Nie zawiodę. Ojcze.

•

Apeczko Stercza ani myślał spieszyć się z wykonaniem rozkazów. Szparko udał się, pomrukując gniewnie, do zamkowej kuchni, gdzie kazał podać sobie wszystko, czym rzeczona kuchnia dysponowała. W tej liczbie resztkę jeleniego udźca, tłuste świńskie żeberka, wielkie pęto krwawej kiszki, kawał obsuszanej praskiej szynki i kilka ugotowanych w rosole gołębi. Do tego cały chleb, wielki jak saraceński puklerz. Do tego, ma się rozumieć, wina, te najlepsze, węgierskie i mołdawskie, które Balbulus miał tylko do własnego użytku. Ale paralityk mógł być sobie panem w komnacie na górze, poza komnatą komu innemu należała się władza wykonawcza. Poza komnatą panem był Apeczko Stercza.

Apeczko czuł się panem i zaraz po wejściu do kuchni pokazał, że nim jest. Pies zarobił kopniaka i ze skowytem uciekł. Uciekł kot, z gracją schodząc z trasy lotu rzuconej za nim warząchwi. Służące aż przysiadły, gdy o kamienną podłogę z nieopisanym hukiem wyrżnął żeliwny sagan. Najbardziej opieszała służąca dostała po karku i dowiedziała się, że jest kurewską niedojdą. Bardzo różnych rzeczy o sobie i swych rodzicielkach dowiedzieli się też pachołkowie, a kilku zaznajomiło się z pańskim kułakiem, twardym i ciężkim jak lite żelazo. Ten, któremu rozkaz przyniesienia win z pańskiej piwnicy trzeba było powtórzyć, dostał takiego kopa, że w drogę udał się na czworakach.

Krótko potem rozparty za stołem Apeczko – pan Apeczko – żarł łapczywie i wielkimi kęsami, pił na przemian mołdawskie i węgierskie wino, po pańsku rzucał na podłogę kości, pluł, bekał i spode łba przyglądał się grubej ochmistrzyni, czekając tylko, aż ta da mu pretekst.

Stary piernik, pierdoła, paralityk, ojcem każe się zwać, a jest mi przecie ino strykiem, ojcowym bratem. Ale mus to ścierpieć. Bo kiedy wreszcie wyciągnie nogi, ja, najstarszy Stercza, zostanę wreszcie głową rodu. Schedą, jasne, trzeba się będzie podzielić, ale głową rodu będę ja. Wszyscy to wiedzą. Nic mi nie przeszkodzi, nic nie może mi w tym...

Przeszkodzić, zaklął półgłosem Apeczko, może mi draka z Reynevanem i żoną Gelfrada. Przeszkodzić może mi rodowa wróżda, oznaczająca zadarcie z landfrydem. Przeszkodzić może najmowanie zbirów i morderców. Hałaśliwe ściganie, gnojenie w lochu, maltretowanie i torturowanie chłopaka, będącego krewnym Nostitzów i powinowatym Piastów. I lennikiem Jana Ziębickiego. A biskup

wrocławski Konrad, który Balbulusa kocha tak samo jak Balbulus jego, tylko czeka na sposobność, by dobrać się Sterczom do rzyci.

Niedobrze, niedobrze, niedobrze.

A wszystkiemu, zadecydował nagle Apeczko, dłubiąc w zębach, winien jest Reynevan, Reinmar z Bielawy. I za to zapłaci. Ale nie tak, by miało to wzburzyć cały Śląsk. Zapłaci zwyczajnie, po cichu, w ciemności, nożem między żebra. Wtedy, gdy – jak to trafnie odgadł Balbulus – zjawi się tajemnie w Ligocie, w klasztorze cysterek, pod okienkiem swej miłośnicy, Gelfradowej Adeli. Jeden cios noża, chlup do cysterskiego stawu z karpiami. I sza. Jak karpiem zasiał.

Z drugiej strony, poleceń Balbulusa całkiem zlekceważyć nie można. Choćby z tego tylko powodu, że Bełkotacz zwykł kontrolować wykonywanie swych rozkazów. Zlecać ich wykonanie nie jednej, lecz kilku osobom.

Co tedy czynić, u diaska?

Apeczko z hukiem wbił nóż w blat stołu, jednym zamachem wychylił kubek. Uniósł głowę, napotkał wzrok grubej ochmistrzyni.

– Czego się gapisz? – warknął.

– Stary pan – przemówiła spokojnie ochmistrzyni – sprowadził ostatnimi czasy jeszcze przednie włoskie. Kazać utoczyć, jaśnie panie?

– Iście – Apeczko uśmiechnął się mimo woli, poczuł, jak spokój kobiety udziela się i jemu. – Iście, proszę, każcie utoczyć, skosztujem, cóż to też tam dojrzało w Italii. Pchnijcie też, proszę, pacholika do czatowni, niechaj mi się tu na jednej nodze stawi taki, któren konno dobrze skacze, a i głowę ma na karku. Ktoś, kto zdoła posłanie doręczyć.

– Jak każecie, jaśnie panie.

●

Podkowy załomotały o most, opuszczający Sterzendorf goniec obejrzał się, pomachał swej niewieście, żegnającej go z wału bielutką nałęczką. I nagle goniec złowił ruch na oświetlonej księżycem ścianie czatowni, przesuwający się niewyraźny kształt. Ki diabeł, pomyślał, a cóż to tam łazi? Puchacz? Sowa? Nietoperz? A może...

Goniec zamruczał zaklęcie od uroku, splunął do fosy i dał koniowi ostrogę. Posłanie, które niósł, było pilne. A pan, który je zlecił, srogi.

Nie widział więc, jak wielki pomurnik rozpostarł skrzydła i bezszelestnie jak duch, jak nocny upiór poszybował nad lasami na

zachód, w stronę doliny Widawy.

●

Zamek Sensenberg, jak wszyscy wiedzieli, zbudowali templariusze, a nie bez kozery wybrali to właśnie, nie inne miejsce. Wznoszący się nad poszarpanym urwiskiem szczyt góry był w zamierzchłych czasach miejscem kultu bogów pogańskich, stała tu kącina, w której, jak głosiły podania, pradawni mieszkańcy tych ziem, Trzebowianie i Bobrzanie, składali swym bożkom ofiary z ludzi. W czasach, gdy po kącinie zostały tylko kręgi obłych, omszałych, ukrytych wśród chwastów kamieni, pogański kult szerzył się nadal, na szczycie wciąż płonęły sobótkowe ognie. Jeszcze w 1189 biskup wrocławski Żyrosław srogimi karami groził tym, którzy odważyliby się świętować na Sensenbergu *festum dyabolicum et maledictum*. Jeszcze sto bez mała lat później biskup Wawrzyniec gnoił w lochach tych, którzy świętowali.

Tymczasem zaś, jak się rzekło, przybyli templariusze. Zbudowali swe śląskie zameczki, groźne i zębate miniatury syryjskich kraków, stawiane pod nadzorem ludzi o głowach omotanych chustami i twarzach ciemnych jak garbowana bycza skóra. Nie mogło być przypadkiem, że na lokalizacje warowni zawsze wybierano święte miejsca pradawnych, ginących w niepamięci kultów – jak Mała Oleśnica, Otmęt, Rogów, Habendorf, Fischbach, Peterwitz, Owiesno, Lipa, Braciszowa Góra, Srebrna Góra, Kaltenstein. I oczywiście Sensenberg.

Potem zaś przyszła na templariuszy kryska. Sprawiedliwie czy nie, spierać się próżno, ale zrobiono z nimi koniec, każdy wie, jak to było. Ich zamki przejęli joannici, rozdrapały je między siebie szybko bogacące się klasztory i szybko wyrastający śląscy magnaci. Niektóre, mimo drzemiącej u ich korzeni potęgi, niezwykle szybko obróciły się w ruiny. Ruiny, których unikano, które omijano. Których się bano.

Nie bez powodu.

Mimo szybko postępującej kolonizacji, mimo napływających z Saksonii, Turyngii, Nadrenii i Frankonii głodnych ziemi osadników, górę i zamek Sensenberg nadal otaczał szeroki pas ziemi niczyjej, pustkowia, na które zapuszczał się jedynie kłusownik lub zbieg. To od nich właśnie, kłusowników i zbiegów, po raz pierwszy zasłyszano opowieści o niesamowitych ptakach, o koszmarnych jeźdźcach, o migających w

oknach zamku światłach, o dzikich i okrutnych krzykach i śpiewach, o dobiegającej jak gdyby spod ziemi upiornej muzyce organów.

Byli tacy, co nie wierzyli. Byli i tacy, których nęcił skarb templariuszy, podobno wciąż leżący gdzieś w podziemiach Sensenbergu. Byli zwyczajni ciekawscy i niespokojne duchy.

Ci nie wracali.

●

Tej nocy, gdyby w okolicy Sensenbergu znalazł się jaki kłusownik, zbieg lub poszukiwacz przygód, góra i zamek dałyby asumpt do kolejnych legend. Zza horyzontu nadciągała burza, niebo co i rusz płonęło światłem dalekich błyskawic, tak dalekich, że nie słychać było nawet pomruku gromów. A czarny na tle rozbłyskującego nieba blok zamku zapłonął nagle jaskrawymi ślepiami okien.

Była bowiem wewnątrz pozornej ruiny wielka, wysoko sklepiona sala rycerska. Oświetlające ją świeczniki, kandelabry i płonące w żelaznych obejmach pochodnie wydobywały z mroku freski na surowych murach. Freski przedstawiały sceny rycerskie i religijne. Na stojący pośrodku sali ogromny okrągły stół patrzył więc Percival, klęczący przed Graalem, i Mojżesz, znoszący kamienne tablice z góry Synaj. Roland w bitwie pod Albrakką i święty Bonifacy, ginący męczeńsko od fryzyjskich mieczy. Godfryd de Bouillon, wjeżdżający do zdobytej Jerozolimy. I Jezus, pod raz wtóry upadający pod krzyżem. Wszyscy oni patrzyli swymi bizantyńskimi nieco oczami na stół i na zasiadających za stołem rycerzy w pełnych zbrojach i płaszczach z kapturami.

Przez otwarte okno wleciał na fali wiatru wielki pomurnik.

Ptak zatoczył koło, rzucając widmowy cień na freski, usiadł, strosząc pióra, na oparciu jednego z krzeseł. Rozwarł dziób i zaskrzeczał, a nim skrzeczenie przebrzmiało, na krześle siedział już nie ptak, ale rycerz. W płaszczu i kapturze, bliźniaczo podobny do pozostałych.

– *Adsumus* – przemówił głucho Pomurnik. – Jesteśmy tu, Panie, zebrani w Twoim imieniu. Przybądź do nas i bądź wśród nas.

– *Adsumus* – powtórzyli jednym głosem zgromadzeni za stołem rycerze. – *Adsumus! Adsumus!*

Echo przebiegło przez zamek jak dudniący grom, jak odgłos dalekiej bitwy, jak gruchot taranu o grodową bramę. I nikło powoli wśród ciemnych korytarzy.

– Chwała Panu – przemówił Pomurnik, gdy zapadła cisza. – Bliski jest dzień, gdy w prochu legną wszyscy jego wrogowie. Biada im! Dlatego jesteśmy!

– *Adsumus!*

– Opatrzność – Pomurnik uniósł głowę, a jego oczy zalśniły odbitym światłem płomienia – zsyła nam, bracia moi, kolejną sposobność, by znowu porazić wrogów Pana i raz jeszcze pognębić nieprzyjaciół wiary. Nadszedł czas, by zadać kolejny cios! Zapamiętajcie, o bracia, to imię: Reinmar z Bielawy. Reinmar z Bielawy, zwany Reynevanem. Posłuchajcie...

Rycerze w kapturach pochylili się, słuchając. Upadający pod krzyżem Jezus patrzył na nich z fresku, a w jego bizantyńskich oczach był bezmiar bardzo ludzkiego cierpienia.

Rozdział trzeci

w którym mowa o rzeczach tak mało – pozornie – mających ze sobą wspólnego jak polowanie z sokołami, dynastia Piastów, kapusta z grochem i herezja czeska. A także o dyspucie o tym, czy, komu i kiedy należy dotrzymywać słowa.

Nad rzeczką Oleśniczką, wijącą się wśród czarnych olszowych łęgów, kęp białych brzóz i zieloniutkich łąk, na wzniesieniu, z którego widać było strzechy i dymy wsi Borowa, książęcy orszak zrobił dłuższy postój. Ale nie po to, by popasać. Wręcz przeciwnie. Po to, by się zmęczyć. Znaczy, po wielkopańsku rozerwać.

Gdy podjeżdżali, z mokradeł zerwały się chmary ptactwa, kaczek, cyranek, głowienek, rożeńców, czapli nawet. Na ten widok książę Konrad Kantner, pan na Oleśnicy, Trzebnicy, Miliczu, Ścinawie, Wołowie i Smogorzewie, a pospołu z bratem Konradem Białym także na Koźlu, natychmiast rozkazał orszakowi zatrzymać się i podać sobie ulubione sokoły. Książę maniakalnie wręcz uwielbiał polowanie z sokołami. Oleśnica i ich finanse mogły poczekać, biskup wrocławski mógł poczekać, polityka mogła poczekać, cały Śląsk i cały świat mogły poczekać – na to, by książę mógł zobaczyć, jak jego faworytny Raby drze pierze z krzyżówek, i przekonać się, że Srebrny będzie dzielny w powietrznej walce z czaplą.

Książę cwałował więc po szuwarach i łęgach jak opętany, a wraz z nim – równie dzielnie, choć trochę z musu – jego najstarsza córka Agnieszka, seneszal Rudiger Haugwitz i kilku paziów karierowiczów.

Reszta orszaku czekała pod lasem. Nie zsiadając z koni, albowiem nikt nie mógł wiedzieć, kiedy księciu się sprzykrzy. Zagraniczny gość księcia ziewał dyskretnie. Kapelan mruczał – zapewne modlitwę, komornik liczył – zapewne pieniądze, minnesinger składał – zapewne rymy, niewiasty księżniczki Agnieszki obgadywały – zapewne inne niewiasty, a młodzi rycerze zabijali nudę, objeżdżając i penetrując okoliczne zarośla.

– Ciołek!

Henryk Krompusz wrył konia i obrócił nim, zdziwiony mocno, po czym nadstawił uszu, próbując ustalić, który to z krzaków właśnie okrzyknął go z cicha jego własnym familiarnym przydomkiem.

– Ciołek!

– Kto tu? Pokaż się!

Krzaki zaszeleściły.

– Święta Jadwigo... – Krompusz ze zdumienia aż otworzył gębę. – Reynevan? To ty?

– Nie, święta Jadwiga – odrzekł Reynevan głosem kwaśnym jak agrest w maju. – Ciołek, ja potrzebuję pomocy... Czyj to orszak? Kantnera?

Do Krompusza, nim do owego wreszcie zaczęło docierać, dołączyli dwaj inni oleśniccy rycerze.

– Reynevan! – jęknął Jaksa z Wiszni. – Chryste Panie, jak ty wyglądasz!

Ciekawe, pomyślał Reynevan, jak ty byś wyglądał, gdyby ci koń padł zaraz za Bystrem. Gdybyś musiał całą noc błąkać się po bagnach i uroczyskach nad Świerzną, a nad ranem zamienić mokre i ubłocone łachy na gwizdniętą z wiejskiego płota siermięgę. Ciekawe, jak ty byś po czymś takim wyglądał, wymuskany paniczu.

Przyglądający się im dość ponurym wzrokiem trzeci oleśnicki rycerz, Benno Ebersbach, zapewne myślał podobnie.

– Zamiast dziwować się – powiedział sucho – dajcie mu jakieś odzienie. Zdejmuj te łachmany, Bielau. Nuże, panowie, wyciągajcie z juków, co tam który ma.

– Reynevan. – Do Krompusza nadal słabo dochodziło. – To ty?

Reynevan nie odpowiedział. Wciągnął rzucone mu koszulę i kabat. Był tak zły, że aż bliski płaczu.

– Potrzebuję pomocy... – powtórzył. – Nawet bardzo potrzebuję.

– Widzimy i wiemy – potwierdził skinieniem głowy Ebersbach. – I też jesteśmy zdania, że bardzo. Jak najbardziej bardzo. Chodź. Trzeba pokazać cię Haugwitzowi. I księciu.

– On wie?

– Wszyscy wiedzą. O sprawie jest głośno.

●

Jeśli Konrad Kantner ze swą pociągłą twarzą, przedłużonym łysiną czołem, czarną brodą i przenikliwymi oczami mnicha niezbyt przypominał typowego przedstawiciela dynastii, to w przypadku jego córki Agnieszki nie mogło być wątpliwości – niedaleko upadło to jabłuszko od śląsko-mazowieckiej jabłoni. Księżniczka miała płowe włosy, jasne oczy i mały, zadarty, wesoły nosek Piastówny,

unieśmiertelniony już słynną rzeźbą w katedrze naumburskiej. Agnieszka Kantnerówna, jak szybko obliczył Reynevan, miała około piętnastu lat, musiała więc już być komuś zaswatana. Reynevan nie pamiętał plotek.

– Wstań.

Wstał.

– Wiedz – przemówił książę, wiercąc go ognistym spojrzeniem – że nie pochwalam twego uczynku. Ba, mam go za niecny, naganny i karygodny. I szczerze doradzam ci skruchę i pokutę, Reinmarze Bielau. Mój kapelan zapewnia mnie, że w piekle jest specjalna enklawa dla cudzołożników. Biesy mocno trapią tam grzeszników na narzędziu grzechu. W szczegóły nie wejdę z uwagi na obecność dziewczęcia.

Seneszal Rudiger Haugwitz parsknął gniewnie. Reynevan milczał.

– Jakie zadośćuczynienie dasz Gelfradowi von Stercza – ciągnął Kantner – to już sprawa twoja i jego. Nie mieszać mi się do tej rzeczy, zwłaszcza żeście obaj wasalami nie moimi, ale księcia Jana na Ziębicach. I w zasadzie do Ziębic powinienem cię odprawić. Umywszy ręce.

Reynevan przełknął ślinę.

– Ale – podjął książę po chwili dramatycznego milczenia – jam nie Piłat, to raz. Dwa, przez wzgląd na twego ojca, który pod Tannenbergiem położył życie u boku mego brata, nie dopuszczę, by zamordowano cię w ramach głupiej rodowej wróżdy. Trzy, w ogóle najwyższy czas, by skończyć z rodowymi wróżdami i żyć jak przystało na Europejczyków. To tyle. Pozwalam ci podróżować w moim orszaku choćby i do samego Wrocławia. Ale w oczy mi się nie pchaj. Bo nie cieszy ich twój widok.

– Wasza książęca...

– Odejdź, powiedziałem.

Polowanie było zakończone definitywnie. Sokoły dostały kapturki na łby, upolowane kaczki i czaple kruszały, przytroczone do drabinek wozu, książę był zadowolony, jego orszak też, bo zapowiadająca się na dłużej gonitwa wcale długo nie trwała. Reynevan złowił kilka wyraźnie wdzięcznych spojrzeń – po orszaku zdążyło się roznieść, że to ze względu na niego książę skrócił polowanie i wznowił podróż. Reynevan miał uzasadnione obawy, że nie tylko to zdążyło się roznieść. Uszy mu płonęły jak na cenzurowanym.

– Wszyscy – zaburczał do jadącego obok Benno Ebersbacha – wszystko wiedzą...

– Wszyscy – potwierdził wcale niewesoło oleśnicki rycerz. – Ale, na twoje szczęście, nie wszystko.

– Hę?

– Ty durnia udajesz, Bielau? – spytał Ebersbach, nie podnosząc głosu. – Kantner jak nic przegnałby cię, a może i odesłał w pętach kasztelanowi, gdyby wiedział, że w Oleśnicy padł trup. Tak, tak, nie wybałuszaj na mnie oczu. Młody Niklas von Stercza nie żyje. Rogi Gelfrada rogami, ale zabitego brata Sterczowie nie wybaczą ci w życiu.

– Palcem... – powiedział po serii głębokich oddechów Reynevan. – Palcem nawet nie tknąłem Niklasa. Przysięgam.

– Do kompletu – Ebersbach w sposób widoczny nie przejął się przysięgą – piękna Adela oskarżyła cię o czary. O to, żeś ją zauroczył i bezwolną wykorzystał.

– Nawet jeśli to prawda – odpowiedział po małej chwili Reynevan – to zmuszono ją do tego. Grożąc śmiercią. Przecie mają ją w ręku...

– Nie mają – zaprzeczył Ebersbach. – Od augustianów, u których publicznie oskarżyła cię o czarcie praktyki, piękna Adela uciekła do Ligoty. Za furtę klasztoru cysterek.

Reynevan odetchnął z ulgą.

– Nie wierzę – powtórzył – w te oskarżenia. Ona mnie kocha. A ja kocham ją.

– Pięknie.

– A żebyś wiedział, że pięknie.

– Prawdziwie pięknie – spojrzał mu w oczy Ebersbach – zrobiło się wszelakoż, gdy zrewidowali twoją pracownię.

– Ha. Tego się bałem.

– I jakże słusznie. Moim skromnym zdaniem tylko dlatego nie masz już na karku Inkwizycji, że jeszcze nie skończyli inwentaryzować diabelstw, które u ciebie znaleźli. Przed Sterczami Kantner może cię obroni, ale przed Inkwizycją raczej nie. Gdy rozniesie się o tym czarnoksięstwie, sam cię im wyda. Nie jedź z nami do Wrocławia, Reynevan. Odłącz się wcześniej i uciekaj, skryj się gdzieś. Dobrze ci radzę.

Reynevan nie odpowiedział.

– A tak przy okazji – rzucił od niechcenia Ebersbach. – Faktycznie znasz się na magii? Bo ja, widzisz, pannę ostatnio poznałem... No... Jakby tu rzec... Przydałby się jakiś eliksir...

Reynevan nie odpowiedział. Od czoła orszaku rozległ się okrzyk.

– Co jest?

– Byków – zgadł Ciołek Krompusz, popędzając konia. – Karczma „Pod Gąsiorem".

– I chwalić Boga – dodał półgłosem Jaksa z Wiszni – bom zgłodniał okrutnie przez całe to zasrane polowanie.

Reynevan i tym razem nie odpowiedział. Dobywające się z jego trzewi przeciągłe burczenie było aż nadto wymowne.

Gospoda „Pod Gąsiorem" była duża i zapewne znana, sporo było tu bowiem gości, zarówno miejscowych, jak i przyjezdnych, co dało się miarkować po koniach, wozach i krzątających się wokół tychże pachołkach i zbrojnych. Gdy orszak księcia Kantnera z wielkim fasonem i hałasem wjechał na podwórze, karczmarz był już uprzedzony. Wypadł przed wejście jak kula z bombardy, rozganiając drób i rozpryskując gnój. Przestępował z nogi na nogę i giął się w ukłonach.

– Powitać, powitać, Bóg w dom – dyszał. – Jakiż to zaszczyt, jakiż honor, że wasza jaśnie oświecona łaskawość...

– Ludno tu coś dzisiaj. – Kantner zsiadł z przytrzymywanego przez pachołków gniadosza. – Kogóż to gościsz? Któż to garnki tu opróżnia? Starczy aby i dla nas?

– Niechybnie starczy, niechybnie – zapewnił karczmarz, z trudem łapiąc oddech. – A już i nie ludno wcale... Ścierciałków, goliardów i kmieciów wen wygnałem... ledwo com wasze miłoście na gościńcu zoczył. Wolna całkiem izba ninie, wolny także alkierz, jeno...

– Jeno co? – nastroszył brwi Rudiger Haugwitz.

– W izbie goście. Ważne i duchowne osoby... Posły. Nie śmiałem...

– To i dobrze – przerwał Kantner – że nie śmiałeś. Mnie byś despekt uczynił i całej Oleśnicy, gdybyś śmiał. Goście to goście! A jam Piast, nie saraceński sułtan, dla mnie żadna ujma jeść pospołu z gośćmi. Prowadźcie, panowie.

W zadymionej nieco i przepełnionej zapachem kapusty izbie faktycznie nie było ludno. Po prawdzie, to zajęty był jeden tylko stół, za którym zasiadało trzech mężczyzn. Wszyscy mieli tonsury. Dwóch nosiło strój charakterystyczny dla duchownych w podróży, ale tak bogaty, że

nie mogli to być żadni zwykli proboszcze. Trzeci miał na sobie habit dominikanina.

Na widok wchodzącego Kantnera duchowni podnieśli się z ławy. Ten, którego strój był najbogatszy, ukłonił się, ale bez przesadnej uniżoności.

– Wasza łaskawość książę Konradzie – przemówił, dowodząc dobrego poinformowania – zaiste, zaszczyt to dla nas wielki. Jam jest, za pozwoleniem waszym, Maciej Korzbok, oficjał diecezji poznańskiej, w misji do Wrocławia, do brata waszej książęcej łaskawości, biskupa Konrada, zleconej przez jego przewielebność biskupa Andrzeja Łaskarza. Oto zaś moi towarzysze podróży, jak i ja z Gniezna do Wrocławia zmierzający: pan Melchior Barfuss, wikariusz jego wielebności Krzysztofa Rotenhahna, biskupa Lubusza. Oraz wielebny Jan Nejedly z Vysoke, *prior Ordo Praedicatorum*, podróżujący z misją od krakowskiego prowincjała zakonu.

Brandenburczyk i dominikanin skłonili tonsury, Konrad Kantner odpowiedział lekkim ruchem głowy.

– Wasza dostojność, wasze wielebności – przemówił nosowo. – Miło mi będzie posilić się w tak zacnej kompanii. I pogawędzić. Pogawędki zasię, o ile to wielebnych nie znuży, zażyjemy dość i tu, i w drodze, albowiem ja też do Wrocławia jadę, z moją córką... Pozwól tu, Aneżka... Skłoń się przed sługami Chrystusa.

Księżniczka dygnęła, pochyliła główkę z zamiarem całowania w rękę, ale Maciej Korzbok powstrzymał ją, pobłogosławił szybkim znakiem krzyża nad płową grzywką. Czeski dominikanin złożył ręce, pochylił kark, zamamrotał krótką modlitwę, dorzucając coś o *clarissima puella*.

– Oto zaś – podjął Kantner – pan seneszal Rudiger Haugwitz. A to moi rycerze i mój gość...

Reynevan poczuł szarpnięcie za rękaw. Usłuchał gestów i syknięć Krompusza, wyszedł wraz z nim na podwórze, na którym nadal trwał wywołany przyjazdem księcia rejwach. Na podwórzu czekał Ebersbach.

– Zasięgnąłem języka – rzekł. – Byli tu wczoraj. Wolfher Stercza, samoszóst. Wypytałem też tych Wielkopolan. Sterczowie zatrzymali ich, lecz nie śmieli się narzucać duchownym osobom. Ale widać szukają cię po wrocławskim gościńcu. Uciekałbym na twoim miejscu.

– Kantner – bąknął Reynevan – mnie obroni...

Ebersbach wzruszył ramionami.

– Twoja wola. I twoja skóra. Wolfher bardzo głośno i ze szczegółami opowiada, co z tobą zrobi, gdy cię złapie. Ja, będąc tobą...

– Kocham Adelę i nie porzucę jej! – wybuchnął Reynevan. – To po pierwsze! A po drugie... To dokąd miałbym niby uciekać? Do Polski? Albo na Żmudź może?

– Całkiem niezła koncepcja. Ta ze Żmudzią, znaczy.

– Zaraza! – Reynevan kopnął kręcącą się u nóg kwokę. – Dobra. Pomyślę. I coś wymyślę. Ale najpierw coś zjem. Zdycham z głodu, a zapach tej kapusty mnie dobija.

Czas był najwyższy, jeszcze moment, a młodzieńcy obeszliby się smakiem. Garnki kaszy i kapusty z grochem oraz misy wieprzowych kości z mięsem postawiono na głównym stole, przed księciem i księżniczką. Naczynia wędrowały na krańce stołów dopiero po tym, gdy nasycili się nimi siedzący najbliżej Kantnera trzej duchowni, umiejący, jak się okazało, nielicho zjeść. Po drodze był na domiar złego umiejący nie gorzej zjeść Rudiger Haugwitz oraz szerszy w barach nawet od Haugwitza zagraniczny gość księcia, czarnowłosy rycerz o twarzy tak smagłej, jak gdyby dopiero co wrócił był z Ziemi Świętej. Tym sposobem w misach, które docierały do niższych rangą i młodszych, nie zostawało niemal nic. Szczęściem, za chwilę karczmarz podał księciu wielką deskę z kapłonami, te zaś wyglądały i pachniały tak smakowicie, że kapusta i wieprzowa tłuścizna straciły nieco na wzięciu i dotarły na końce stołów w stanie niemalże nienaruszonym.

Agnieszka Kantnerówna skubała ząbkami udko kapłona, starając się chronić przed kapiącym tłuszczem modnie rozcięte rękawy sukni. Mężczyźni rozprawiali o tym i o owym. Kolej przypadła właśnie na jednego z duchownych, owego dominikanina, Jana Nejedlego z Vysoke.

– Jestem – perorował wzmiankowany – a raczej byłem przeorem u świętego Klemensa na Starym Mieście praskim. *Item*, mistrzem Uniwersytetu Karola. Ninie zaś, jak widzicie, jestem wygnańcem na cudzej łasce i cudzym chlebie. Mój klasztor splądrowano, zaś w akademii, jak łacno zgadnąć możecie, nie po drodze mi było z apostatami i łotrami pokroju Jana Przybrama, Krystiana z Prachatic i Jakubka ze Strzybra, oby ich Bóg pokarał...

– Mamy tu – wpadł w słowo Kantner, łowiąc okiem Reynevana – jednego studenta z Pragi. *Scholarus academiae pragensis, artium baccalaureus*.

– Radziłbym w takim razie – oczy dominikanina błysnęły znad łyżki – uważne na niego mieć baczenie. Daleki jestem od rzucania oskarżeń, ale herezja jest jak sadza, jak smoła. Jak łajno! Kto się w pobliżu kręci, ten musi się powalać.

Reynevan szybko spuścił głowę, czując, jak znowu kraśnieją mu uszy i krew bije na jagody.

– Gdzież tam – zaśmiał się książę – naszemu scholarowi do herezji. Toć on z porządnej rodziny, na księdza i medyka się w praskiej uczelni szkoli. Prawym, Reinmarze?

– Za pozwoleniem łaski – Reynevan przełknął – już się w Pradze nie szkolę. Za radą brata porzuciłem Karolinum w roku dziewiętnastym, niedługo po świętych Abdonie i Senie... Znaczy, zaraz po defenes... No, wiecie, kiedy. Teraz myślę, że może do Krakowa po naukę spróbuję... Albo do Lipska, dokąd większość praskich mistrzów uszła... Do Czech nie wrócę. Dopokąd trwają niepokoje.

– Niepokoje! – Z ust podnieconego Czecha wyleciało i osiadło na szkaplerzu kilka pasemek kapusty. – Ładne słówko, zaiste! Wy tu, w spokojnym kraju, nawet przedstawić sobie nie możecie, co w Czechach herezja wyrabia, jakich potworności nieszczęsny kraj ten jest widownią. Podjudzony przez kacerzy, wiklefistów, waldensów i inne sługi szatana motłoch zwrócił swą bezmyślną złość przeciw wierze i Kościołowi. W Czechach niszczy się Boga i pali Jego świątynie. Morduje się sługi boże!

– Wieści dochodzą – potwierdził, oblizując palce, Melchior Barfuss, wikariusz biskupa lubuskiego – rzeczywiście straszne. Wierzyć się nie chce...

– A mus wierzyć! – krzyknął jeszcze głośniej Jan Nejedly. – Bo żadna wieść przesadzoną nie jest!

Piwo z jego kubka prysnęło, Agnieszka Kantnerówna cofnęła się odruchowo, zasłaniając, jak tarczą, udkiem kapłona.

– Chcecie przykładów? Służę niemi! Masakry zakonników w Czeskim Brodzie i Pomuku, pomordowani cystersi w Zbrasławiu, Velehradzie i Mnichowym Hradiszczu, pomordowani dominikanie w Pisku, benedyktyni w Kladrubach i Postoloprtach, pomordowane niewinne premonstratki w Chotieszowie, pomordowani kapłani w Czeskim Brodzie i Jaromierzu, ograbione i spalone klasztory w Kolinie, Milevsku i Zlatej Korunie, zbezczeszczone ołtarze i wizerunki świętych w Brzevnowie i Vodnianach... A co wyczyniał Żiżka, ten pies wściekły, ten

antychryst i diabli pomiot? Krwawe rzezie w Chomutowie i Prachaticach, czterdziestu księży żywcem spalonych w Beruniu, spalone klasztory w Sazavie i Vilemowie, świętokradztwa, jakich nie dopuściłby się Turek, ohydne zbrodnie i okrucieństwa, bestialstwa, na widok których zadrżałby Saracen! O, zaprawdę, Boże, dokądże nie będziesz sądził i wymierzał za krew naszą kary?

Ciszę, w której słychać było tylko szmer modlitwy oleśnickiego kapelana, przerwał głęboki i dźwięczny głos smagłolicego i barczystego rycerza, gościa księcia Konrada Kantnera.

– Nie musiało tak być.

– Słucham? – uniósł głowę dominikanin. – Co chcecie przez to rzec, panie?

– Można było tego wszystkiego z łatwością uniknąć. Wystarczyło nie palić Jana Husa w Konstancji.

– Wyście – zmrużył oczy Czech – już tam, wtedy, bronili kacerza, krzyczeli, protestowali, petycje składali, wiem to. A nieprawiście wtedy byli i teraz jesteście. Herezja pleni się jak kąkol, a każe Pismo Święte chwast spalać ogniem. Nakazują bulle papieskie...

– Zostawcie bulle – uciął smagłolicy – na soborowe dysputy, śmiesznie brzmią w karczmie przytaczane. A w Konstancji rację miałem, możecie gadać, co chcecie. Luksemburczyk królewskim słowem i listem żelaznym gwarantował Husowi bezpieczeństwo. Słowo i przysięgę złamał, plamiąc tym honor monarszy i rycerski. Na to patrzeć spokojnie nie mogłem. I nie chciałem.

– Przysięga rycerska – zawarczał Jan Nejedly – ma być składana w służbie Bogu, zajedno, kto przysięga, giermek czy król. Nazywacie boską służbą dotrzymywanie przysięgi i słowa kacerzowi? Zwiecie to honorem? Ja to zwę grzechem.

– Ja, jeśli daję, daję słowo rycerskie w obliczu Boga. Dlatego dotrzymuję go nawet Turkom.

– Turkom dotrzymywać można. Heretykom nie wolno.

– Iście – rzekł bardzo poważnie Maciej Korzbok, oficjał poznański. – Maur albo Turczyn tkwi w pogaństwie przez ciemnotę i dzikość. Może być nawrócony. Odszczepieniec zaś i syzmatyk od wiary i Kościoła się odwraca, szydzi z nich, bluźni. Dlatego też stokroć bardziej Bogu jest ohydny. I każdy sposób walki z herezją jest dobry. Toż przecie nikt, kto na wilka idzie albo na psa wściekłego, nie będzie, jeśli przy zdrowych

jest zmysłach, o honorze i słowie rycerskim rozprawiał! Na heretyka wszystko się godzi.

– W Krakowie – gość Kantnera zwrócił ku niemu ogorzałą twarz – kanonik Jan Elgot, gdy trzeba usidlić kacerza, za nic ma tajemnicę spowiedzi. Biskup Andrzej Łaskarz, któremu służycie, zaleca to samo księżom diecezji poznańskiej. Wszystko się godzi. Zaiste.

– Nie kryjecie, panie, swych sympatii – rzekł kwaśno Jan Nejedly z Vysoke. – Ja moich też więc krył nie będę. I powtórzę: Hus był kacerz i na stos pójść musiał. Król rzymski, węgierski i czeski słusznie postąpił, słowa danego czeskiemu heretykowi nie dotrzymując.

– I za to – odparował smagłolicy – tak go teraz Czesi kochają. Z tego to powodu uciekał spod Wyszehradu z czeską koroną pod pachą. I teraz króluje Czechom, ale w Budzie, bo na Hradczany nieprędko go wpuszczą.

– Drwić z króla Zygmunta sobie pozwalacie – zauważył Melchior Barfuss. – A przecie mu służycie.

– Właśnie dlatego.

– A może dla czego innego? – zgrzytnął zjadliwie Czech. – Wyście się przecie, rycerzu, pod Tannenbergiem bili przeciwko szpitalnikom Panny Marii po stronie Polaków. Po stronie Jagiełły. Króla neofity, który herezji czeskiej jawnym jest fautorem i ucho chętnie ku schizmatykom i wiklefistom skłania. Synowiec Jagiełły, apostata Korybutowicz, w najlepsze przecie panoszy się w Pradze, polscy rycerze w Czechach mordują katolików i rabują klasztory. I choć Jagiełło udaje, że to bez jego woli i zgody, to przecie sam z wojskiem jakoś przeciw kacerzom nie rusza! A gdyby ruszył, gdyby się z królem Zygmuntem w krucjacie sprzymierzył, w mig jeden byłoby po husytach! Czemu tedy Jagiełło tego nie czyni?

– Właśnie – smagłolicy znowu się uśmiechnął, a był to uśmieszek wielce znaczący. – Czemu? Ciekawe.

Konrad Kantner chrząknął głośno. Barfuss udał, że interesuje go wyłącznie kapusta z grochem. Maciej Korzbok zagryzł wargi, pokiwał głową z ponurą miną.

– Co prawda – przyznał – to prawda. Król rzymski nie raz pokazał, że przyjacielem Korony Polskiej nie jest. Zaprawdę, do walki w obronie wiary każdy Wielkopolanin, za nich bowiem ręczyć mogę, ochotnie stanie. Ale tylko wtedy, jeśli Luksemburczyk da gwarancję, że jeśli my

na południe ruszym, to ani Krzyżacy, ani Brandenbury na nas z najazdem nie wpadną. A jak ma taką gwarancję dać, jeśli wraz z onymi rozbiór Polski knowa? Nie mam racji, książę Konradzie?

– Cóż tu rozprawiać – uśmiechnął się wyjątkowo nieszczerze Kantner. – Nad potrzebę, widzi mi się, politykujemy. A nie idzie polityka w parze z jadłem. Które stygnie, nawiasem mówiąc.

– Właśnie że mówić trza o tym – zaprotestował Jan Nejedly, ku radości młodszego rycerstwa, do którego już dwa garnki dotarły niemal nie tknięte przez rozgadanych wielmożów. Radość była przedwczesna, wielmoże pokazali, że mogą gadać i jeść równocześnie.

– Bo to uważacie, wielmożni – ciągnął, pochłaniając kapustę, były przeor od świętego Klemensa – nie jeno czeska to rzecz, owa wiklefícka zaraza. Czesi, ja ich znam, gotowi i tu przyjść, jak chodzili na Morawę i do Rakus. Mogą przyjść do was, panowie. Do wszystkich, jak tu siedzicie.

– Pah – wydął wargi Kantner, grzebiąc łyżką w misce w poszukiwaniu skwarków. – W to nie uwierzę.

– Ja tym bardziej – prychnął piwną pianą Maciej Korzbok. – Do nas, do Poznania, krzynę za daleko mają.

– Do Lubusza i Fürstenwalde – powiedział z pełnymi ustami Melchior Barfuss – też z Taboru kawał drogi. O wa, nie bojam się.

– Tym bolej – dodał z niełądnym uśmieszkiem książę – że prędzej się sami Czesi gości doczekają, niż do kogo pójdą. Zwłaszcza teraz, gdy Żiżki nie stało. Tak sobie myślę, że gości tylko patrzeć, co dnia Czesi ich wyglądać powinni.

– Krucjata? Wiecie co może, wasza łaskawość?

– Nijak nie – odparł Kantner z miną, która sugerowała coś przeciwnego. – Jeno tak sobie dumam. Gospodarzu! Piwa!

Reynevan cichcem wymknął się na podwórze, a z podwórza za chlew i w krzaki za warzywnik. Ulżywszy sobie należycie, wrócił. Ale nie do izby. Wyszedł przed wrota, długo patrzył na ginący w sinej mgiełce gościniec. Na którym, ku uspokojeniu, nie zobaczył nadjeżdżających cwałem braci Sterczów.

Adela, pomyślał nagle, Adela wcale nie jest bezpieczna u ligockich cysterek. Powinienem...

Powinienem. Ale boję się. Tego, co mogą zrobić mi Sterczowie. Tego, o czym w szczegółach opowiadają.

Zawrócił na podwórze. Zdumiał się, ujrzawszy księcia Kantnera i Haugwitza, raźnie i lekko wychodzących zza chlewów. W zasadzie, pomyślał, czemu tu się dziwić. W krzaki za chlewikami nawet książęta i seneszale chadzają. I to piechotą.

– Nadstaw no uszu, Bielau – rzekł obcesowo Kantner, myjąc ręce w kuble, który w pośpiechu podstawiła mu dziewka służebna. – I słuchaj, coć powiem. Nie pojedziesz ze mną do Wrocławia.

– Wasza książęca...

– Zamknij gębę i nie otwieraj jej, póki nie rozkażę. Robię to dla twojego dobra, chłystku. Bo więcej niż pewien jestem, że we Wrocławiu mój brat biskup wsadzi cię do wieży prędzej, niż zdążysz wymówić *benedictum nomen Iesu*. Biskup Konrad wielce cięty jest na cudzołożców, pewnie, hehehe, nie lubi konkurencji, hehehe. Weźmiesz tedy tego konia, com ci go użyczył i pojedziesz do Małej Oleśnicy, do komandorii joannickiej. Rzekniesz komandorowi Dytmarowi de Alzey, żem cię przysłał na pokutę. Tam cicho posiedzisz, aż cię nie wezwę. Jasne? Musi być jasne. A na drogę naści tu sakiewkę. Wiem, że mała. Dałbym więcej, ale mój komornik odradził. Ta karczma nadto nadszarpnęła mój fundusz reprezentacyjny.

– Wielce dziękuję – mruknął Reynevan, choć waga sakieweczki bynajmniej na dzięki nie zasługiwała. – Wielkie dzięki waszej łaskawości. To jeno tylko, że...

– Sterczów się nie lękaj – przerwał książę. – W joannickim domie cię nie najdą, a w drodze tamój nie będziesz sam. Tak się składa, że w tamtym kierunku, bo ku Morawie, zmierza mój gość. Widziałeś go pewnie za stołem. Zgodził się, byś mu towarzyszył. Szczerze mówiąc, nie od razu. Ale przekonałem go. Chcesz wiedzieć, jak?

Reynevan pokiwał głową na znak, że chce.

– Powiedziałem mu, że twój ojciec zginął w chorągwi mego brata pod Tannenbergiem. A on też tam był. Tyle że on mawia: pod Grunwaldem. Bo był po przeciwnej stronie.

– Tak tedy, bywaj w zdrowiu. I rozchmurz się, chłopczyno, rozchmurz. Wyrzekać na moją łaskę nie możesz. Konia masz, grosz masz. A i bezpieczeństwo w podróży zapewnione.

– Jak zapewnione? – odważył się bąknąć Reynevan. – Mości książę... Wolfher Stercza jeździ samoszóst... A ja... Z jednym rycerzem? Nawet jeśli z giermkiem... Wasza łaskawość... To przecie tylko jeden rycerz!

Rudiger Haugwitz parsknął. Konrad Kantner protekcjonalnie wydął wargi.

– Oj, głupiś ty, Bielau. Niby uczony bakałarz, a sławnego człeka nie rozpoznał. Dla tego rycerza, kapcanie, sześciu to fraszka.

A widząc, że Reynevan nadal nie rozumie, wyjaśnił:

– To jest Zawisza Czarny z Garbowa.

Rozdział czwarty

w którym Reynevan i Zawisza Czarny z Garbowa rozprawiają o tym i o owym na gościńcu brzeskim. Potem Reynevan leczy Zawiszę z gazów, a Zawisza odwdzięcza się cennymi naukami z zakresu historii najnowszej.

Wstrzymując nieco konia, by zostać w tyle, rycerz Zawisza Czarny z Garbowa uniósł się w kulbace i przeciągle pierdnął. Potem westchnął mocno, wsparł oburącz na łęku i pierdnął raz jeszcze.

– To ta kapusta – wyjaśnił rzeczowo, zrównując się znowu z Reynevanem. – W moim wieku nie można jeść tyle kapusty. Na kości świętego Stanisława! Gdy byłem młody, mogłem zjeść, że ho, ho! Koflik, znaczy się więcej niż pół garnca kapusty zjadałem w trzy pacierze. I nic mi nie było. Mogłem jeść kapustę pod każdą postacią, choćby i dwa razy dziennie, byle jeno kminku było w niej dostatek. A teraz, ledwo co małość zjem, to aż mi się gotuje w żywocie, a gazy, sam baczysz, chłopcze, mało mnie nie rozsadzą. Starość, psia mać, nie radość.

Jego koń, potężny kary ogier, bryknął ciężko, jak gdyby rwał się do szarży. Ogier cały, aż po chrapy, okryty był czarnym kropierzem przyozdobionym na kłębie Sulimą, herbem rycerza. Reynevan dziwił się, że od razu nie skojarzył słynnego znaku – nietypowego wszak w heraldyce polskiej, zarówno pod względem figury zaszczytnej, jak i mobiliów.

– Coś taki milczący? – zagadnął go nagle Zawisza. – Jedziemy i jedziemy, a ty jeśliś dziesiątek słów uronił, to wszystko. I to za język ciągniony. Boczysz się na mnie? O Grunwald idzie, hę? Wiesz co, chłopcze? Mógłbym cię zapewnić, że nie mogę być tym, który zabił ci ojca. Żaden byłby dla mnie wysiłek powiedzieć, że nie mogłem się z twym ojcem zetknąć w boju, bo chorągiew krakowska była w centrum szyku wojsk polsko-litewskich, a chorągiew Konrada Białego na krzyżackim skrzydle lewym, aż za Stębarkiem. Ale nie powiem, bo byłoby to kłamstwo. Wtedy, w dzień Rozesłania Apostołów, zabiłem wielu ludzi. W totalnym zamieszaniu i sakramenckiej krętwie, w której mało co było widać. Bo to była bitwa. I tyle.

– Ojciec – odchrząknął Reynevan – nosił na tarczy...

– Nie pamiętam herbów – przerwał ostro i dość obcesowo Sulimczyk. – W walnym boju nie mają one dla mnie żadnego znaczenia. Ważne, w którą stronę zwrócony jest łeb konia. Jeśli w przeciwną niż łeb mojego, to rąbię, choćby tamten Bogurodzicę samą miał na tarczy. Zresztą gdy krew przyklei się do kurzu, a kurz do krwi, to i tak gówno na tarczach widać. Powtarzam, Grunwald to była bitwa. A w bitwie jak to w bitwie. I przy tym zostańmy. Nie bocz się na mnie.

– A i nie boczę się.

Zawisza wstrzymał lekko ogiera, uniósł się na siodle i pierdnął. Z przydrożnych wierzb zerwały się spłoszone kawki. Jadący z tyłu orszak rycerza z Garbowa, złożony ze szpakowatego giermka i czterech zbrojnych pachołków, przezornie trzymał się na dystans. Zarówno giermek, jak i pachołkowie jechali na pięknych koniach, a odziani byli dostatnio i czysto. Jak wypadało na sługi kogoś, kto był starostą kruszwickim i spiskim i kto ciągnął, jak wieść niosła, tenuty z okrągło licząc trzydziestu wsi. Ani giermek, ani pachołkowie nie wyglądali jednak na jedwabnych pańskich paziów. Przeciwnie, wyglądali na tęgich zabijaków, a broni, którą byli obwieszeni, żadną miarą nie można było uznać za paradne ornamenty.

– Tak więc – podjął Zawisza – nie boczysz się. Czemu tedy ty milczący taki?

– Bo zdaje mi się – odważył się Reynevan – że to wy więcej boczycie się na mnie. I wiem, czemu.

Zawisza Czarny obrócił się w siodle i długo mu się przyglądał.

– Ot – przemówił wreszcie – odezwała się żałościwym głosem ukrzywdzona niewinność. Wiedz, synku, że nie godzi się to, chędożyć cudze żony. I jeśli chcesz znać moje zdanie, jest to podły proceder. I wart kary. Mówiąc szczerze, wcaleś w moich oczach nie lepszy od takiego, co w tłumie obrzyna kieski albo okrada kurniki. Ot, myślę, jeden z drugim drobny hultaj, mizerny huncwot, któremu udało się skorzystać z okazji.

Reynevan nie skomentował.

– Był w Polszcze przed wiekami zwyczaj – podjął Zawisza Czarny – że schwytanego amatora cudzych żon prowadzono na most i do tego mostu ćwiekiem żelaznym przybijano mu worek z jajcami. I kładziono podle gaszka nóż. Pry, chcesz na swobodę, to się odetnij.

Reynevan nie skomentował i tym razem.

– Już się nie przybija – skonkludował rycerz. – A szkoda. Mojej pani Barbary płochą nie nazwiesz, ale gdy pomyślę, że jej chwilę słabości wykorzystuje tam może w Krakowie jaki galant, jaki tobie, chłopcze, podobny gładyszek... Ach, co tu gadać.

Ciszę, która zapadła na chwil kilka, przerwała po raz kolejny zjedzona przez rycerza kapusta.

– Taaak – Zawisza stęknął z ulgą i popatrzył w niebo. – Wiedz jednak, chłopcze, że cię nie potępiam, albowiem temu jeno kamieniami godzi się miotać, kto sam jest bez grzechu. I tym sposobem podsumowawszy, nie mówmy już o tym więcej.

– Miłość wielką jest rzeczą i niejedno ona ma imię – odezwał się Reynevan, nadęty nieco. – Pieśni i romansów słuchający, nikt nie wydziwia na Tristana i Izoldę, na Lancelota i Ginewrę ani na trubadura Gwilelma de Cabestaing i panią Małgorzatę z Roussillonu. A mnie i Adelę wcale nie mniej wielka, gorąca i szczera miłość łączy. A masz, wszyscy jakby się uwzięli...

– Jeśli ta miłość taka wielka – Zawisza dał pozór zaciekawienia – czemu tedy ty nie przy twej lubej? Czemu *fugas chrustas*, iście jak przydybany złodziejaszek? Tristan, by móc być przy Izoldzie, znalazł sposób, przeodział się, jeśli mnie pamięć nie myli, w łachmany oparszywiałego żebraka. Lancelot, by wybawić swą Ginewrę, samojeden uderzył na wszystkich Rycerzy Okrągłego Stołu.

– Nie takie to proste. – Reynevan spłonił się jak alkiermes. – Dużo przyjdzie jej, gdy mnie złapią i ubiją. O mnie samym już nie wspominając. Ale sposób znajdę, nie bójcie się. Choćby w przebraniu, jak Tristan właśnie. Miłość zawżdy zwycięży. *Amor vincit omnia*.

Zawisza uniósł się w kulbace i pierdnął. Trudno było ocenić, czy był to komentarz, czy tylko kapusta.

– Jeden z tej dysputy spor – powiedział – żeśmy pogadali, bo ckniło się milczkiem jechać, z nosem spuszczonym. Gadajmy jeszcze, młody panie Ślązaku. Na obojętny temat.

– Czemu – odważył się po chwili Reynevan – tędy jedziecie? Nie bliżej z Krakowa na Morawę przez Racibórz? I Opawsko?

– Może i bliżej – zgodził się Zawisza. – Ale ja, widzisz, Raciborczyków cierpieć nie mogę. Z niedawno zmarłego księcia Jana, świeć Panie nad jego duszą, kawał był skurwysyna. Nasłał morderców na Przemka, syna księcia cieszyńskiego Noszaka, a ja i Noszaka znałem, i Przemko druhem

mi był. Tak tedy z raciborskiej gościny nie korzystałem ani onegdaj, ani teraz nie będę, bo synalek Jana, Mikołajek, dzielnie, jak mówią, kroczy po rodzica śladach. Nadto drogi nadłożyłem, bo było z Kantnerem o czym pogadać w Oleśnicy, powtórzyć mu, co rzekł był pod jego adresem Jagiełło. Do tego, droga przez Dolny Śląsk zwykle obfituje w atrakcje. Choć widzę, że przesadzona coś ta opinia.

– Ha! – Domyślił się bystro Reynevan. – To dlatego w pełnej zbroi jedziecie! I na bojowym koniu! Bitki wypatrujecie. Zgadłem?

– Zgadłeś – przyznał spokojnie Zawisza Czarny. – Gadali, roi się tu u was od raubritterów.

– Nie tu. Tu bezpiecznie. Dlatego tak ludno.

W samej rzeczy, na brak towarzystwa narzekać nie mogli. Sami nie dogonili co prawda nikogo i nikt ich nie wyprzedził, za to w przeciwnym kierunku, z Brzegu ku Oleśnicy, ruch był ożywiony. Minęli już kilku kupców na nagrużonych, rysujących głębokie koleiny wozach, w eskorcie kilkunastu zbrojnych o wyjątkowo bandyckich gębach. Minęli pieszą kolumnę obładowanych łagwiami maziarzy, anonsowanych wcześniej ostrym zapachem żywicy. Minęli grupkę konnych Krzyżaków z Gwiazdą, minęli podróżującego z giermkiem młodego joannitę o twarzy cherubina, minęli wolarzy pędzących woły, a także pięciu podejrzanie wyglądających pielgrzymów, którzy, choć grzecznie spytali o drogę do Częstochowy, w oczach Reynevana podejrzanymi być nie przestali. Minęli jadących na drabiniastym wozie goliardów, wesołymi i niezbyt trzeźwymi głosy śpiewających *In cratere meo*, pieśń ułożoną do słów Hugona z Orleanu. A teraz właśnie – rycerza z niewiastą i małym orszaczkiem. Rycerz był w pysznej bawarskiej zbroi, a wspięty dwuogoniasty lew na tarczy dowodził przynależności do rozległego rodu Unruhów. Rycerz – widzieć to się dało – momentalnie rozpoznał herb Zawiszy, i pozdrowił ukłonem, ale tak dumnym, by jasnym było, że nie gorsi Unruhowie od Sulimczyków. Odziana w jasnofioletową suknię towarzyszka rycerza jechała po damsku na pięknej skarogniadej klaczy i nie nosiła – o dziwo – żadnego nakrycia głowy, wiatr swobodnie igrał w jej złotych włosach. Przejeżdżając obok, kobieta uniosła głowę, uśmiechnęła się leciutko i obdarzyła zagapionego na nią Reynevana spojrzeniem tak zielonym i wymownym, że chłopiec aż zadrżał.

– Oj – powiedział po chwili Zawisza. – Nie umrzesz ty, chłopaczku, śmiercią naturalną.

I pierdnął. Z siłą bombardy średniego wagomiaru.

– By dowieść – rzekł Reynevan – żem na was wcale za wasze złośliwości i przytyki nie krzywy, uleczę was z tych wzdęć i gazów.

– Ciekawość, jak.

– Zobaczycie. Niech no tylko trafi się pasterz.

Pasterz trafił się nawet prędko, ale zobaczywszy skręcających ku niemu z gościńca konnych rzucił się do panicznej ucieczki, wpadł w chaszcze i znikł jak sen jaki złoty. Zostały tylko beczące owce.

– Było – ocenił, stając w strzemionach, Zawisza – sposobem go brać, z zasadzki. Bo teraz go już po tych wertepach nie dognamy. Wnosząc z tempa, w jakim wiał, już zdążył zresztą odgrodzić się od nas Odrą.

– Albo i Nysą – dodał Wojciech, giermek rycerza, dowodząc żywego dowcipu i znajomości geografii.

Reynevan nie przejął się jednak drwinami wcale. Zsiadł, pewnym krokiem udał się do pasterskiego szałasu, skąd po chwili wyłonił się z wielkim pękiem suchych ziół.

– Nie pasterz mi potrzebny – wyjaśnił spokojnie – lecz to. I odrobinka wrzątku. Garnek się znajdzie?

– Wszystko – rzekł sucho Wojciech – się znajdzie.

– Jeśli gotowanie – Zawisza spojrzał w niebo – tedy popas. I to dłuższy, bo noc bliska.

●

Zawisza Czarny rozsiadł się wygodniej na nakrytym kożuchem siodle, zajrzał do opróżnionego przed chwilą kubka, powąchał.

– Zaprawdę – orzekł – smakuje jak ogrzana słońcem woda z fosy, a śmierdzi kotem. Ale pomaga, na mękę Pańską, pomaga! Już po pierwszym kubku, gdy mnie przesrało, poczułem się lepiej, a teraz to już jakby ręką odjął. Moje uznanie, Reinmarze. Łeż to, jak widzę, że uniwersytety mogą młodzika nauczyć jeno pijaństwa, wszeteczeństwa i plugawej mowy. Łeż, zaprawdę.

– Ociupinka wiedzy o ziołach, nic więcej – odpowiedział skromnie Reynevan. – Tym zaś, co naprawdę wam pomogło, panie Zawiszo, było zdjęcie zbroi, odpoczynek w wygodniejszej niż kulbaka pozycji...

– Za skromnyś – przerwał rycerz. – Ja moje możliwości znam, wiem, jak długo zdolnym wytrwać w siodle i zbroi. Trzeba ci wiedzieć, że często podróżuję nocą, z latarnią, bez popasania. Raz, że to skraca podróż, dwa, bo wtedy jeśli nie za dnia, to może chociaż po ciemnicy ktoś zaczepi... I dostarczy uciechy. Ale skoro twierdzisz, że to spokojna okolica, ha, po cóż konie męczyć, posiedźmy przy ogniu do świtu, pogawędźmy... W końcu to też rozrywka. Może i nie tak dobra, jak wyprucie flaków z paru raubritterów, ale zawsze.

Ogień strzelił wesoło, rozjaśnił noc. Zaskwierczał i zapachniał tłuszcz, kapiący z kiełbas i kawałów boczku, przypiekanych na patykach przez giermka Wojciecha i pachołków. Wojciech i pachołkowie zachowywali milczenie i stosowny dystans, ale w rzucanych Reynevanowi spojrzeniach dostrzegało się wdzięczność. Nie podzielali widać bynajmniej zamiłowania swego pana do całonocnego podróżowania z latarnią.

Niebo nad lasem skrzyło się od gwiazd. Noc była chłodna.

– Taak... – Zawisza oburącz pomasował brzuch. – Pomogło, pomogło, lepiej i szybciej niż zwykle zalecane modlitwy do świętego Erazma, patrona od trzewi. Cóż to za magiczna herba była, cóż za czarodziejska mandragora? I czemuś jej właśnie u pasterza szukał?

– Po świętym Janie – wyjaśnił Reynevan, rad, że może się popisać – pasterze zbierają różne sobie tylko wiadome zioła. Wiązkę z owych noszą najpierw uwiązaną do hyrkawicy, tak zwie się z czeska pasterski kij. Potem zioła suszy się w szałasie. I warzy z nich odwar, którym...

– Którym poi się trzodę – spokojnie wpadł w słowo Sulimczyk. – Znaczy, potraktowałeś mnie jak wzdętą krowę. No, ale jeśli pomogło...

– Nie sierdźcie się, panie Zawiszo. Mądrość ludowa jest ogromna. Nie gardził nią żaden z wielkich medyków i alchemików, ani Pliniusz, ani Galen, ani Walafrid Strabo, ani uczeni Arabowie, ani Gerbert z Aurillac, ani Albertus Magnus. Wiele medycyna skorzystała od ludu, a od pasterzy zwłaszcza. Bo wielką i niezmierzoną mają oni wiedzę o ziołach i ich mocach leczniczych. I o mocach... innych.

– W rzeczy samej?

– W rzeczy samej – potwierdził Reynevan, dla lepszego widoku przysuwając się bliżej do ognia. – Nie uwierzycie, panie Zawiszo, ile mocy skrywa się w tej wiązance, w tym suchym wiechciu z pasterskiej budy, za który nikt nie dałby i złamanego szeląga. Spójrzcie: rumianek,

nenufar, niby nic takiego, ale gdy nagotowić naparu, cuda czynią. Takoż te, którem wam podał: ukwap, barszcz, arcydzięgiel. A te, o tu, po czesku zwą się „sporzyczek” i „siedmikraska”. Mało który medyk wie, jak bardzo są skuteczne. Wywarem zaś z tych, które zwą się „jakubki”, pasterze dla ochrony przed wilkami skrapiają owce w maju, w dniu świętych Filipa i Jakuba. Wierzcie lub nie, ale pokropionych owiec wilk nie tknie. To zaś są jagody świętego Wendelina, a to jest ziółko świętego Linharta, obaj święci, jak pewnie wiecie, są obok Marcina patronami pasterzy. Podając te zioła trzodzie, trzeba inwokować do tych właśnie świętych.

– To, coś mruczał nad kociołkiem, nie było o świętych.

– Nie było – przyznał, odchrząknąwszy, Reynevan. – Mówiłem wam, mądrość ludowa...

– Bardzo taka mądrość stosem pachnie – rzekł poważnie Sulimczyk. – Na twoim miejscu uważałbym, kogo leczę. Z kim gadam. I w czyjej przytomności powołuję się na Gerberta z Aurillac. Uważałbym, Reinmarze.

– Uważam.

– A ja – odezwał się giermek Wojciech – myślę, że jeśli czary są, to lepiej się na nich znać, niż się nie znać. Myślę...

Zamilkł, widząc groźny wzrok Zawiszy.

– A ja myślę – rzekł ostro rycerz z Garbowa – że całe zło tego świata bierze się z myślenia. Zwłaszcza w wykonaniu ludzi całkiem ku temu nie mających predyspozycji.

Wojciech jeszcze niżej pochylił się nad uprzężą, którą czyścił i smarował sadłem. Reynevan, nim się odezwał, odczekał dłuższą chwilę.

– Panie Zawiszo?

– A?

– W karczmie, w sporze z owym dominikaninem, nie kryliście... No... Że jakby... Za czeskimi husytami jesteście. A przynajmniej bardziej za, niźli przeciw.

– A tobie co, z myśleniem od razu herezja się skojarzyła?

– Też – przyznał po chwili Reynevan. – Ale jeszcze bardziej mnie ciekawi...

– Co cię ciekawi?

– Jak to było... Jak to było pod Niemieckim Brodem, w roku dwudziestym drugim? Kiedyście do czeskiej niewoli trafili? Bo to już

legendy krążą...

– Jakie niby?

– A takie, że was husyci ujęli, bo ucieczka zdała wam się niegodną, a walczyć nie mogliście, będąc posłem.

– Tak mówią?

– Tak. I jeszcze, że... Że król Zygmunt porzucił was w potrzebie. A sam zemknął nikczemnie.

Zawisza milczał przez chwilę.

– A ty – odezwał się wreszcie – chciałbyś znać wersję prawdziwą, co?

– Jeśli – odrzekł z wahaniem Reynevan – wam to nie wadzi...

– A co mi ma wadzić. Przy pogaduszce milej czas płynie. Czemu tedy nie pogadać?

Wbrew deklaracji, rycerz z Garbowa znowu milczał długo, bawiąc się pustym kubkiem. Reynevan nie był pewien, czy aby nie czeka na jego pytania, ale nie spieszył się z ich zadawaniem. Jak się okazało, słusznie.

– Zacząć – zaczął Zawisza – trza, widzi mi się, od początku. Któren jest taki, że mnie król Władysław posłał do króla rzymskiego w delikatnej dość misji... szło o mariaż z królową Eufemią, bratową Zygmunta, wdową po Wacławie czeskim. Jak ninie wiadomo, nie wyszło z tego nic, Jagiełło wolał Sonkę Holszańską, ale wonczas wiadomo nie było. Król Władysław polecił, bym ustalił z Luksemburczykiem, co trza, posag głównie. To i pojechałem. Ale nie do Pożonia ani do Budy, jeno na Morawę, skąd Zygmunt wyruszał właśnie na swych nieposłusznych poddanych z kolejną wyprawą krzyżową, z twardym zamiarem zdobycia Pragi i ostatecznego wyplenienia w Czechach husyckiej herezji.

– Gdy tam dojechałem, a dotarłem na święty Marcin, Zygmuntowa krucjata rozwijała się wcale ładnie. Choć armię Luksemburczyk miał ciut osłabioną. Odejść do domu zdążyła już większość wiedzionego przez landwójta Rumpolda wojska z Łużyc, zadowoliwszy się spustoszeniem ziem wokół Chrudimia. Wrócił do domu kontyngent śląski, w którym, nawiasem mówiąc, był i nasz niedawny gospodarz i współbiesiadnik, książę Konrad Kantner. W marszu na Pragę króla wspierało więc na dobrą sprawę tylko rakuskie rycerstwo Albrechta i morawskie wojsko biskupa z Ołomuńca. No, ale samej węgierskiej jazdy miał Zygmunt więcej niż dziesięć tysięcy...

Zawisza zamilkł na chwilę, zapatrzony w trzaskający ogień.

– Chcąc nie chcąc – podjął – musiałem, by z Luksemburczykiem Jagiełłowy mariaż negocjować, w tej ich krucjacie udział wziąć. I różnym rzeczom się przyglądać. Bardzo różnym. Takim choćby, jak zdobycie Policzki i dokonana po zdobyciu rzeź.

Pachołkowie i giermek siedzieli bez ruchu, kto wie, może i spali. Zawisza mówił głosem cichym i dość jednostajnym. Usypiającym. Zwłaszcza dla kogoś, kto zapewne znał opowieść. Albo wręcz uczestniczył w wydarzeniach.

– Po Policzce Zygmunt ruszył na Kutną Horę. Żiżka zastąpił mu drogę, odparł kilka ataków węgierskiej jazdy, ale gdy gruchnęła wieść o zajęciu miasta zdradą, wycofał się. Królewscy weszli do Kutnej Hory, upojeni triumfem... Ha, ha, pobili samego Żiżkę, sam Żiżka pierzchnął przed nimi! I wtedy Luksemburczyk popełnił błąd niewybaczalny. Choć odradzałem mu to i ja, i Filip Scollari...

– Znaczy, Pippo Spano? Ten słynny florentyński kondotier?

– Nie przerywaj, chłopcze. Wbrew radom Pippa i moim król Zygmunt, przekonany, że Czesi uciekli w popłochu i nie zatrzymają się aż w Pradze, pozwolił Węgrom rozjechać się po całej okolicy, aby, jak to nazwał, szukać zimowisk, bo mróz był tęgi. Madziarzy rozproszyli się więc i spędzali Gody na grabieży, gwałceniu niewiast, paleniu wsi i mordowaniu tych, których uznali za kacerzy lub ich sympatyków. Czyli każdego, kto się nawinął.

– Nocą w niebo biły łuny, dniem dymy, a król w Kutnej Horze ucztował i sprawował sądy. I wtedy, w Trzech Króli, rankiem, gruchnęła wieść: idzie Żiżka. Żiżka nie uciekł, cofnął się tylko, przegrupował, wzmocnił i teraz idzie na Kutną Horę z całą siłą Taboru i Pragi, już jest w Kańku, już jest w Niebowidach! I co? Co zrobili waleczni krzyżowcy na tę wieść? Widząc, że brak czasu na zebranie do kupy rozpełzniętej po okolicy armii, uciekli, zostawiając sporo sprzętu i dobytku, podpalając za sobą miasto. Pippo Spano na chwilę opanował panikę i ustawił szyk w połowie drogi między Kutną Horą a Niemieckim Brodem.

– Mróz zelżał, było pochmurno, szaro, mokro. I wtedy z dala usłyszeliśmy... I zobaczyliśmy... Chłopcze, czegoś takiego nie słyszałem i nie widziałem jeszcze nigdy, a słyszałem i widziałem wiele. Szli na nas, oni, taboryci i prażanie, szli, niosąc sztandary i monstrancje, w pięknym, równym, karnym szyku, ze śpiewem dudniącym jak grom. Szły

te ich osławione wozy, z których szczerzyły się na nas puszki, hufnice i taraśnice...

– I wtedy zadufane niemieckie heldy, pyszni rakuscy pancerni Albrechta, Madziarzy, szlachta morawska i łużycka, najemnicy Spana, wszyscy jak jeden mąż rzucili się do ucieczki. Tak, chłopcze, nie przesłyszałeś się: zanim husyci zbliżyli się na strzał, cała Zygmuntowa armia uciekała w totalnym popłochu, w dzikiej panice, na łeb na szyję, ku Niemieckiemu Brodowi. Pasowani rycerze uciekali, tratując się i przewracając wzajemnie, wrzeszcząc ze strachu, przed praskimi szewcami i powroźnikami, przed kmiotkami w łapciach, z których jeszcze niedawno szydzili. Uciekali w panice i zgrozie, rzucając broń, którą podczas całej tej krucjaty podnosili głównie na bezbronnych. Uciekali, chłopcze, na moich zdumionych oczach jak tchórze, jak chłystki przyłapane przez sadownika na kradzieży śliwek. Jak gdyby przelękli się... prawdy. Hasła VERITAS VINCIT, wyhaftowanego na husyckich sztandarach.

– Węgrom i żelaznym panom w większości udało się uciec na lewy brzeg zamarzniętej Sazawy. Potem lód się załamał. Radzę ci, chłopcze, z całego serca, jeśli kiedy wypadnie ci wojować w zimie, nigdy w zbroi nie uciekaj po lodzie. Nigdy.

Reynevan przyrzekł sobie, że nigdy. Sulimczyk sapnął, chrząknął.

– Jak mówiłem – podjął – rycerstwo, choć straciło honor, uratowało skórę. W większości. Ale pieszy lud, setki oszczepników, strzelców, pawężników, zaciężni wojacy z Rakus i Morawy, uzbrojeni mieszczanie z Ołomuńca, tych husyci dopadli i bili, bili strasznie, bili przez dwie mile, od wsi Habry do przedpoli Niemieckiego Brodu. I śnieg na tej drodze zrobił się czerwony.

– A wy? Jak was...

– Nie uciekłem z królewskim rycerstwem, nie uciekłem i wtedy, gdy uciekali Pippo Spano i Jan von Hardegg, a oni, trza oddać im honor, uciekli jako jedni z ostatnich i nie bez walki. Ja też, wbrew bajaniom, biłem się i to ostro. Poseł nie poseł, trzeba było się bić. I nie biłem się sam, było przy mnie paru Polaków i ładnych paru morawskich panoszów. Takich, co nie lubili uciekać, zwłaszcza przez lodowatą wodę. Biliśmy się tedy i tyle ci powiem, że niejedna tam płacze z mojego powodu czeska matka. Ale *nec Hercules*...

Pachołkowie, jak się okazało, nie spali. Albowiem jeden właśnie podskoczył, jakby użądliła go żmija, drugi krzyknął zduszonym głosem, trzeci zazgrzytał dobywanym kordem. Giermek Wojciech porwał za kuszę. Wszystkich uspokoił ostry głos i władczy gest Zawiszy.

Z mroku coś wyszło.

Zrazu myśleli, że to fragment, kłębek ciemności, ciemniejszy od niej samej nawet, wypączkowany z nieprzebitej ćmy, zaznaczający się antracytową czernią w rozjaśnianym rozbłyskami ognia, migotliwym mroku nocy. Gdy płomień wybuchał gwałtowniej, żywiej i jaśniej, ten kęs ciemności, nic nie tracąc ze swej czerni, przybierał jednak kształt. I postać. Postać małą, krępą, pękatą, postać ni to ptaka stroszącego pióra, ni to zwierza o zjeżonej sierści. Wciągniętą w ramiona głowę stwora zdobiła para dużych, szpiczastych uszu, sterczących, jak u kota, pionowo i nieruchomo.

Wojciech wolno, nie spuszczając ze stwora oczu, odłożył kuszę. Któryś z pachołków wezwał instancji świętej Kingi, ale i jego uciszył gest Zawiszy, gest nie gwałtowny, ale pełen władzy i autorytetu.

– Witaj nam, przybyszu – przemówił, imponując spokojem, rycerz z Garbowa. – Zasiądź bez obawy przy naszym ognisku.

Stwór poruszył głową, Reynevan dostrzegł ulotny błysk wielkich oczu, w których czerwono przejrzał się ogień.

– Zasiądź tu bez obawy – powtórzył Zawisza głosem życzliwym i twardym zarazem. – Nie musisz się nas lękać.

– Nie lękam – odezwał się chrapliwie stwór. Ku osłupieniu wszystkich. Stwór zaś wyciągnął łapę. Reynevan byłby odskoczył, ale zbyt się bał, by móc się poruszyć. I nagle ze zdumieniem uświadomił sobie, że łapa wskazuje herb na tarczy Zawiszy. Potem zaś, ku jeszcze większemu jego zdumieniu, stwór wskazał na kociołek z ziołowym naparem.

– Sulima i Zielarz – zachrypiał stwór. – Prawość i wiedza. Czego tedy lękać? Nie lękam. Imię moje Hans Mein Igel.

– Witaj nam, Hansie Mein Igelu. Czyś głodny? Czy spragnionyś?

– Nie. Posiedzieć jeno. Posłuchać. Bo słyszał, jak mówią. I przyszedł posłuchać.

– Jesteś naszym gościem.

Stwór przybliżył się do ogniska, zjeżył w kulę, znieruchomiał.

– Taaak – znowu zaimponował spokojem Zawisza. – Na czym to ja stanąłem?

– Na tym... – Reynevan przełknął, odzyskał mowę. – Na tym, że *nec Hercules*.

– Tak właśnie – zachrypiał Hans Mein Igel.

– Ano – rzekł swobodnie Sulimczyk – tak i było. *Nec Hercules*, zmogli nas. Kupa ich była, husytów znaczy. I tak mieliśmy to szczęście, że zwaliła się na nas kalisznicka jazda, taboryccy cepnicy nie znają bowiem takich słów jak „pardon" czy „okup". Gdy zsadzili mnie w końcu z kulbaki, ktoś z tych, co zostali przy mnie, Mertwicz albo Rarowski, zdążył krzyknąć, kim jestem. Że byłem pod Grunwaldem z Żiżką i Janem Sokołem z Lamberku.

Reynevan westchnął z cicha, słysząc sławne imiona. Zawisza milczał długo.

– Resztę – powiedział wreszcie – musicie znać. Bo reszta wiele od legendy różnić się nie może.

Reynevan i Hans Mein Igel w milczeniu kiwnęli głowami. Długo potrwało, nim rycerz przemówił znowu.

– Teraz – powiedział – tak mi się coś widzi, żem sobie na starość zarobił na klątwę albo jak. Bo gdy mnie z niewoli wykupiono i wróciłem do Krakowa, to ja to wszystko, co wtedy, w dzień Trzech Króli, widziałem pod Niemieckim Brodem, to wszystko, na co patrzyłem nazajutrz, po zdobyciu miasta, opowiedziałem królowi Władysławowi. Opowiedziałem. Nie radziłem, nie pchałem się ze swoim zdaniem i opinią, nie byłem nachalny w sądach i osądach. Zwyczajnie opowiedziałem, a on, stary chytry Litwin, słuchał. I wiedział. I nigdy, chłopcze, bądź tego pewny, choćby papież ślozy ronił nad zagrożoną wiarą, a Luksemburczyk srożył się i groził, stary chytry Litwin nie pośle na Czechów polskiego i litewskiego rycerstwa. I wcale nie przez złość na Luksemburczyka za wyrok wrocławski ani za rozbiorowe knowania w Pożoniu bynajmniej, lecz z powodu mojej opowieści. I wysnutego z niej jedynie słusznego wniosku, że polskie i litewskie rycerstwo jest potrzebne na Krzyżaków i głupio, całkiem bez sensu byłoby topić je w Sazawie, Wełtawie czy Łabie. Jagiełło, po wysłuchaniu mojej opowieści, nigdy nie przyłączy się do antyhusyckich krucjat. Za moją, jak się rzekło, sprawą. Dlatego jadę nad Dunaj, na Turków, zanim mnie ekskomunikują.

– Żartujecie – bąknął Reynevan. – Gdzie was... Jaka ekskomunika? Takiego rycerza jak wy... Żartować raczycie.

– Pewnie – kiwnął głową Zawisza. – Pewnie, że raczę. Ale strach jest.

Przez czas jakiś milczeli. Hans Mein Igel sapał cicho. Konie w ciemnościach pochrapywały niespokojnie.

– Byłbyż to – zaryzykował Reynevan – koniec rycerstwa? I rycerskości? Piechota, solidarna i zwarta, ramię przy ramieniu, nie dość, że dostoi konnym pancernym, to nawet zdoła ich pokonać? Szkotowie pod Bannockburn, Flamandowie pod Courtrai, Szwajcarzy pod Sempach i Morgarten, Angielczycy pod Azincourt, Czesi na Witkowie i pod Wyszehradem, pod Sudomierzem i Niemieckim Brodem... Może to koniec... epoki? Może kończy się czas rycerstwa?

– Wojna bez rycerstwa i rycerskości – odrzekł po chwili Zawisza Czarny – musi wreszcie przerodzić się w zwykły mord. A w konsekwencji ludobójstwo. W czymś takim nie chciałbym brać udziału. Ale tak szybko to nie nastąpi, więc nie myślę, bym dożył. Między nami mówiąc, nie chciałbym dożyć.

Długo panowała cisza. Ognisko dogasało, polana żarzyły się rubinowo, od czasu do czasu wybuchając sinawym płomykiem lub gejzerem iskier. Któryś z pachołków zachrapał. Zawisza tarł czoło dłonią. Hans Mein Igel, czarny jak kłębek mroku, poruszał uszami. Gdy w jego ślepiach po raz kolejny odbił się płomień, Reynevan zorientował się, że stwór patrzy na niego.

– Miłość – odezwał się nagle Hans Mein Igel – niejedno ma imię. A tobie, młody Zielarzu, właśnie ona wyznaczy los. Miłość. Życie uratuje, gdy nie będziesz nawet wiedział, że to ona właśnie. Bo wiele ma imion Bogini. A jeszcze więcej twarzy.

Reynevan milczał osłupiały. Tym, który zareagował, był Zawisza.

– Proszę, proszę – powiedział. – Przepowiednia. Jak każda ciężka do wyrozumienia, jak każda pasuje do wszystkiego i do niczego zarazem. Bez urazy, panie Hansie. A dla mnie? Będziesz coś miał?

Hans Mein Igel poruszył głową i uszami.

– Nad wielką rzeką – powiedział wreszcie swym niezbyt wyraźnym, chrapliwym głosem – stoi na górze gród. Na górze, a woda opływa. A zwie się: Gołębi Gród. Złe miejsce. Nie jedź tam, Sulima. Złe miejsce dla ciebie, Gołębi Gród. Nie jedź tam. Zawróć.

Zawisza milczał długo, widać było, że pogrążony jest w zadumie. Milczał tak długo, że Reynevan uznał, że zbędzie milczeniem dziwne słowa dziwnego nocnego stwora. Mylił się.

– Ja – przerwał milczenie Zawisza – miecza jestem człowiek żelaznego. Ja wiem, co mnie czeka. Znam mój los. Znam go od czterdziestu bez mała lat, od chwili, gdym wziął miecz do ręki. Ale nie obejrzę się za siebie. Nie spojrzę na pozostawiane za koniem hundsfeldy, psie groby i królewskie zdrady, na podłość, na małość i bezbożność ducha. Nie zawrócę z obranej drogi, mości Hansie Mein Igelu.

Hans Mein Igel nie powiedział ani słowa, ale jego wielkie oczy rozbłysły.

– Tym niemniej – Zawisza Czarny potarł czoło – wolałbym, żebyś jak Reynevanowi wieszczył mi miłość. Nie śmierć.

– Ja też – powiedział Hans Mein Igel – bym wolał. Bywajcie.

Stwór nagle zwiększył się, mocno nastroszył sierść. I znikł. Rozpłynął się w mroku, tym samym mroku, z którego się wyłonił.

●

Konie parskały i potupywały w ciemnościach. Pachołkowie chrapali. Niebo jaśniało, gwiazdy bladły nad wierzchołkami drzew.

– Niesamowite – powiedział wreszcie Reynevan. – To było niesamowite.

Sulimczyk poderwał głowę, zbudzony z drzemki.

– Co? Co niesamowite?

– Ten... Hans Mein Igel. Wiecie, panie Zawiszo, że... No, przyznać muszę... Byłem dla was podziwu pełen.

– Czemu?

– Gdy się wyłonił z ćmy, nawet nie drgnęliście. Ba, ani głos wam nie zadrżał. A jak z nim później gadaliście, podziw brał... A przecież to był... Stwór nocny. Nieludź... Obcy.

Zawisza Czarny z Garbowa patrzył na niego długo.

– Znam mnóstwo ludzi... – odrzekł wreszcie bardzo poważnym głosem. – Całe mnóstwo ludzi bardziej mi obcych.

●

Świt był mglisty, mokry, kropelki rosy girlandami całymi wisiały na pajęczynach. Las był cichy, ale groźny jak śpiąca bestia. Konie boczyły się na nadpływający, płożący się opar, parskały, potrząsały łbami.

Za lasem, na rozdrożu, stał kamienny krzyż. Jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni. I mocno spóźnionej skruchy.

– Tu się rozstaniemy – powiedział Reynevan.

Sulimczyk spojrzał na niego, powstrzymując się jednak od komentarza.

– Tu się rozstaniemy – powtórzył chłopiec. – Jak i wam, mnie też nie w smak oglądać się na hundsfeldy. Jak i wam, wstrętna jest mi myśl o podłości i małości ducha. Wracam do Adeli. Albowiem... Nieważne, co mówił ów Hans... Moje miejsce jest przy niej. Nie będę uciekał jak tchórz, jak drobny złodziejaszek. Stawię czoło temu, czemu będę musiał stawić. Jak wy stawiliście pod Niemieckim Brodem. Bywajcie, szlachetny panie Zawiszo.

– Bywaj, Reinmarze z Bielawy. Miej baczenie na siebie.

– I wy miejcie. Kto wie, może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Zawisza Czarny z Garbowa patrzył na niego długo.

– Nie sądzę – powiedział wreszcie.

Rozdział piąty

w którym Reynevan wpierw na własnej skórze poznaje, jak czuje się otropiony wilk w obrzuconej kniei. Potem spotyka Nikolettę Jasnowłosą. A potem odpływa z prądem.

Za lasem, na rozdrożu, stał kamienny krzyż pokutny. Jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni. I mocno spóźnionej skruchy.

Krzyż miał ramiona zakończone w kształt koniczynek. Na jego rozszerzonej u dołu podstawie wykuto topór – narzędzie, za pomocą którego pokutnik wyprawił na tamten świat bliźniego. Lub paru bliźnich.

Reynevan przyjrzał się krzyżowi uważniej. I bardzo brzydko zaklął.

To był dokładnie ten sam krzyż, przy którym bite trzy godziny temu pożegnał się z Zawiszą.

Winna była mgła, od świtu snująca się niczym dym po polach i lasach, winna była mżawka, która drobnymi kroplami zacinała w oczy, a gdy ustała, mgłę jeszcze wzmogła. Winien był sam Reynevan, jego zmęczenie i niedospanie, jego rozkojarzenie wywołane nieustannymi myślami o Adeli de Stercza i o planach jej oswobodzenia. A zresztą, kto wie? Może tak naprawdę winne były licznie zamieszkujące śląskie bory mamuny, zwodnice, lesowiki, majki, koboldy, chochliki, irlichty i inne wyspecjalizowane w wodzeniu na manowce licha? Mniej sympatyczni i mniej życzliwi krewni i znajomi poznanego nocą Hansa Mein Igela?

Szukanie winnych nie miało jednak sensu i Reynevan wiedział o tym aż nadto dobrze. Należało rozumnie ocenić sytuację, podjąć decyzję i działać wedle tej ostatniej. Zsiadł z konia, oparł się o krzyż pokutny i zaczął intensywnie myśleć.

Miast po trzech godzinach jazdy być już gdzieś w połowie drogi do Bierutowa, cały ranek jeździł w kółko i był nadal tam, skąd wyruszył, a więc w bliskości Brzegu, nie dalej niż milę od grodu.

A może, pomyślał, może to los mną pokierował? Dał wskazówkę? Może jednak skorzystać z tego, że jestem blisko, jechać do miasta, do zaprzyjaźnionego szpitala Świętego Ducha, tam poprosić pomocy? Czy też lepiej nie tracić czasu i zgodnie z pierwotnym planem jechać prosto na Bierutów, do Ligoty? Do Adeli?

Miasta należy się wystrzegać, wywnioskował po zastanowieniu. Jego dobre, przyjacielskie wręcz kontakty z brzeskimi duchakami były znane wszystkim, a więc i Sterczom. Nadto, przez Brzeg wiodła droga do komandorii joannickiej w Małej Oleśnicy, miejsca, w którym chciał odosobnić go książę Konrad Kantner. Pomijając dobre w sumie intencje księcia, pomijając i fakt, że Reynevan absolutnie nie miał ochoty spędzić kilku lat na pokucie u joannitów, ktoś z orszaku Kantnera mógł się wygadać lub dać przekupić, a wówczas było prawdopodobne, że Sterczowie czają się u brzeskich rogatek.

A więc Adela, pomyślał, jadę do Adeli. Na odsiecz Adeli. Jak Tristan do Izoldy, jak Lancelot do Ginewry, jak Garet do Lionessy, jak Guinglain do Esmeraldy, jak Palmerin do Polinardy, jak Medoro do Angeliki. Słowem, trochę głupio i trochę ryzykancko, ba, szaleńczo, lwu prosto w paszczękę. Ale, po pierwsze, tym mogę pościg zaskoczyć, tego mogą się nie spodziewać. Po drugie, Adela jest w potrzebie, czeka i z pewnością tęskni, nie mogę pozwolić, by czekała.

Rozpromienił się, a wraz z nim, jak za dotknięciem różdżki Merlina, zaczęło rozpromieniać się niebo. Nadal było mglisto i mokro, ale już czuło się słońce, już coś tam w górze jaśniało pomalutku, a wszechobecna szarość zaczęła nabierać barw. Ponuro milczące dotąd ptaki poczęły się nieśmiało odzywać, wreszcie rozświegotały się na dobre. Krople na pajęczynach lśniły jak srebro. Wiodące zaś z rozstaja, tonące w oparze drogi wyglądały jak jakieś bajeczne zaświaty.

A na to, żeby nie ulec błędnym urokom, też jest sposób. Zły, że zbytnio zadufał i nie pomyślał o tym wcześniej, Reynevan rozgarnął stopą obrastające podstawę krzyża chwasty, przeszedł się skrajem drogi. Szybko i bez trudności znalazł to, czego szukał. Pierzasty łąkowy kmin, obsypany różowymi kwiatuszkami zagorzałek, wilczomlecz. Odarł łodygi z listków, złożył je razem. Chwilę potrwało, nim przypomniał sobie, jak i na które palce nawijać, jak przepleść, jak wykonać nodus, węzeł. I jak brzmi zaklęcie.

Jedna, dwie, trzy
Wolfsmilch, Kümmel, Zahntrost
Binde zu samene
Semitae eorum incurvatae sunt
Zaś ma droga prosta.

Jedna z dróg rozstaja zrobiła się po chwili jaśniejsza, sympatyczniejsza, zapraszająca. Co ciekawe, bez pomocy nawęzu Reynevan nigdy by nie przypuścił, że to właśnie jest ta właściwa. Ale Reynevan wiedział, że nawęzy nie kłamią.

•

Jechał może ze trzy pacierze, gdy usłyszał szczekanie psa i głośne, podniecone gęganie gęsi. Krótko potem nozdrza mile połechtał mu zapach dymu. Dymu wędzarni, w której ponad wszelką wątpliwość wisiało coś wielce smakowitego. Może szynka. Może boczek. A może półgęsek. Reynevan wwęszył się w woń tak zawzięcie, że zapomniał o bożym świecie i nie wiedząc nawet jak i kiedy wjechał w opłotki i na podwórze przydrożnej gospody.

Pies obszczekał go, ale tak bardziej z obowiązku, gąsior, wyciągając szyję, nasyczał na końskie pęciny. Do zapachu wędzonki dołączył zapach pieczonego chleba, wybijający się nawet ponad smród wielkiej gnojówki, oblężonej przez gęsi i kaczki.

Reynevan zsiadł, uwiązał siwka do palika. Chłopak stajenny, który opodal oporządzał konie, nawet nie zwrócił na niego uwagi, tak był zajęty. Uwagę Reynevana przykuło natomiast coś innego – na jednym ze słupów podsienia, na dość bezładnie zmotanych różnokolorowych nitkach, wisiał heks – trzy gałązki związane w trójkąt i oplecione wiankiem z przywiędłych koniczyn i kaczeńców. Reynevan zadumał się, ale specjalnie nie zdziwił. Magia była wszechobecna, ludzie używali magicznych atrybutów, nie wiedząc nawet, co znaczą i do czego naprawdę służą. Istotnym był natomiast fakt, że chroniący od złego heks, choć zapewne partacki, mógł zmylić jego nawęz.

Dlatego tu trafiłem, pomyślał. Psiakrew. Ale cóż, skoro już jestem...

Wszedł, schylając głowę pod niską belką ościeżnicy.

Błony w małych oknach ledwo przepuszczały światło, wewnątrz panował półmrok, rozjaśniany tylko rozbłyskami ognia z komina. Nad ogniem wisiał sagan, od czasu do czasu wzbierający pianą, na co ogień reagował sykiem i dymem, dodatkowo utrudniającym widoczność. Nie było wielu gości, przy jednym tylko ze stołów, w kącie, siedziało czterech mężczyzn, prawdopodobnie wieśniaków, w ćmie trudno było rozeznać.

Ledwo Reynevan siadł na ławie, dziewka w zapasce postawiła przed nim miskę. Choć zrazu miał zamiar kupić tylko chleb i jechać dalej, wstrzymał się z protestem – prażuchy w misce smakowicie i zniewalająco pachniały topioną słoniną. Położył na stole grosz – jeden z tych niewielu otrzymanych od Kantnera.

Dziewka pochyliła się lekko, podając mu lipową łyżkę. Zaleciało od niej nikłym zapachem ziół.

– Wpadłeś jak śliwka w kupę – mruknęła z cicha. – Siedź spokojnie. Już cię widzieli. Skoczą na cię, ledwo się ruszysz zza stołu. Siedź więc i ani drgnij.

Odeszła w stronę paleniska, zamieszała w parującym i pryskającym saganie. Reynevan siedział zmartwiały, wpatrzony w skwarki na kluskach. Jego oczy przyzwyczaiły się już do mroku. Na tyle, by widzieć, że czterej mężczyźni przy stole w kącie za dużo mają broni i zbroi na sobie, by być wieśniakami. I że wszyscy czterej uważnie mu się przypatrują.

Przeklął w duchu swoją głupotę.

Dziewka wróciła.

– Za mało nas już zostało na tym świecie – mruknęła, udając, że wyciera stół – bym miała dać ci przepaść, synku.

Zatrzymała rękę, a Reynevan zobaczył na jej małym palcu kaczeniec, podobny do tych w heksie na słupie. Nawiązany łodyżką w taki sposób, że żółty kwiatek tworzył jakby klejnot pierścienia. Reynevan westchnął, odruchowo dotknął własnego nawęzu, zasupłanych i wpiętych pod guz kubraka łodyg wilczomlecza, zagorzałka i kminu. Oczy dziewki zapłonęły w półmroku. Kiwnęła głową.

– Zobaczyłam, ledwoś wszedł – szepnęła. – I wiedziałam, że to właśnie na ciebie tamci polują. Ale nie dam ci przepaść. Mało nas już zostało, jeśli nie będziemy sobie wzajem pomagać, wyginiemy ze szczętem. Jedz, nie dawaj pozoru.

Jadł bardzo wolno, czując, jak ciarki chodzą mu po plecach pod wzrokiem ludzi z kąta. Dziewka pobrzękała patelnią, odkrzyknęła coś komuś w drugiej izbie, dorzuciła do ognia, wróciła. Z miotłą.

– Kazałam – mruknęła, zamiatając – zaprowadzić twego konia na gumno, za chlewik. Gdy się zacznie, uciekaj przez tamte drzwi, z tyłu, za rogożą. Za progiem miej baczenie. Na to.

Wciąż niby sprzątając, podniosła długie źdźbło słomy, ukradkiem, acz szybko zawiązała na nim trzy supełki.

– Mną się nie przejmuj – szeptem rozwiała jego skrupuły. – Na mnie nikt nie zwróci uwagi.

– Gerda! – krzyknął karczmarz. – Chleb trza wyjmować! Ruszże się, kocmołuchu!

Dziewka odeszła. Zgarbiona, szarobura, nijaka. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nikt oprócz Reynevana, któremu rzuciła na odchodnym pałające jak żagiew spojrzenie.

Czterech zza stołu w kącie ruszyło się, wstało. Podeszli, dzwoniąc ostrogami, skrzypiąc skórą, chrzęszcząc kolczugami, wspierając pięści na rękojeściach mieczy, kordów i baselardów. Reynevan jeszcze raz, tym razem dosadniej, przeklął w myśli swój brak rozumu.

– Pan Reinmar Bielau. Ot, chłopcy, sami widzicie, co znaczy łowiecki opyt. Zwierz sprawnie otropiony, knieja sprawnie obrzucona, trochę szczęścia ino, a nie być bez zdobyczy. A szczęście się dziś do nas iście uśmiechnęło.

Dwaj z typów stanęli po bokach, jeden z prawej, drugi z lewej. Trzeci zajął pozycję za plecami Reynevana. Czwarty, ten, który się odezwał, wąsaty, odziany w gęsto nabijaną guzami brygantynę, stanął naprzeciw. Po czym, nie czekając na zaproszenie, usiadł.

– Nie będziesz – nie zapytał, stwierdził raczej – rzucał się, czynił prepedycyj ani żadnego tara-rara? Hę? Bielawa?

Reynevan nie odpowiedział. Trzymał łyżkę między ustami a brzegiem miski, jak gdyby nie wiedział, co z tą łyżką począć.

– Nie będziesz – sam siebie zapewnił wąsaty typ w brygantynie. – Bo przecie wiesz, że to byłoby całkiem głupio. My nic do ciebie nie mamy, ot, jeszcze jedna zwyczajna robota. Ale my, czujesz, zwykliśmy robotę sobie ułatwiać. Zaczniesz wierzgać i hałasować, to cię ruk-cuk zrobimy potulnym. Tu, na krawędzi tego stołu złamiemy ci rękę. To wypróbowany sposób, po takim zabiegu nawet wiązać pacjenta nie trzeba. Czyś coś mówił, czy mi się zdało?

– Nic – Reynevan pokonał opór zmartwiałych warg – nie mówiłem.

– To i dobrze. Kończ jedzenie. Do Sterzendorfu kawałek drogi, po co masz głodny jechać.

– Zwłaszcza – wycedził typ z prawej, w kolczudze i żelaznych awanbrasach na przedramionach – że w Sterzendorfie pewnie nie od

razu cię nakarmią.

– A nawet jeśli – parsknął ten z tyłu, niewidoczny – to pewnikiem nie tym, co by ci mogło w smak pójść.

– Jeśli mnie puścicie... Zapłacę wam... – wydusił z siebie Reynevan. – Zapłacę wam więcej, niż dają Sterczowie.

– Znieważasz zawodowców – rzekł wąsaty w brygantynie. – Jestem Kunz Aulock, zwany Kyrielejson. Mnie się kupuje, ale nie przekupuje. Łykaj, łykaj kluski. Ruk-cuk!

Reynevan jadł. Prażuchy straciły smak. Kunz Aulock – Kyrielejson – zasadził za pas buławę, którą dotąd miał w ręce, naciągnął rękawice.

– Było – powiedział – nie dobierać się do cudzej baby.

– Całkiem niedawno – dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi – słyszałem księdza, cytującego po pijanemu jakiś list, bodajże do Hebrajczyków. Szło tak: wszelkie przekroczenie otrzyma słuszną zapłatę, *iustam mercedis retributionem*. Po ludzku znaczy to, że jeśli się co uczyniło, trzeba umieć uczynków swych znać konsekwencje i być gotowym je ponieść. Trzeba umieć przyjmować to z godnością. Ot, dla przykładu, spojrzyj w prawo. To jest pan Stork z Gorgowic. Podobnych będąc jak ty zamiłowań, całkiem niedawno popełnił pospołu z druhami na jednej opolskiej mieszczce uczynek, za który, gdy schwycą, kleszczami szarpią i kołem łamią. I co? Patrz i podziwiaj, jak pan Stork godnie los znosi, jak jasne ma lica i wejrzenie. Bierz przykład.

– Bierz przykład – zachrypiał pan Stork, który, nawiasem mówiąc, lica miał pryszczate, a wejrzenie kaprawe. – I wstawaj. Czas w drogę.

W tym momencie palenisko komina eksplodowało, ze straszliwym hukiem plunęło na izbę ogniem, kurzawą iskier, kłębami dymu i sadzy. Sagan wyleciał jak wystrzelony, łomotnął o podłogę, chlusnął warem. Kyrielejson podskoczył, a Reynevan mocnym pchnięciem zwalił na niego stół. Odkopnął w tył ławę, a niedojedzoną miską prażuchów walnął pana Storka prosto w krościatą gębę. I szczupakiem rzucił się ku drzwiom na gumno. Jeden z typów zdążył złapać go za kołnierz, ale Reynevan miał za sobą studia w Pradze, łapano go za kołnierz po wszystkich bez mała szynkach Starego Miasta i Małej Strany. Zwinął się, uderzył łokciem, aż chrupnęło, wyrwał się, skoczył w drzwi. Pamiętał o ostrzeżeniu, zwinnie ominął leżącą tuż za progiem zawęźloną słomę.

Ścigający go Kyrielejson, ma się rozumieć, o magicznej słomie nie wiedział i zaraz na progu wywalił się jak długi, z impetem i poślizgiem

jadąc przez świńskie łajna. Zaraz potem wywalił się na nawęzie Stork z Gorgowic, na klnącego na czym świat stoi Storka upadł trzeci z typów. Reynevan już był w siodle czekającego konia, już podrywał go do galopu, na wprost, na przełaj przez ogrody, przez grządki kapusty, przez agrestowe żywopłoty. Wiatr świszczał mu w uszach, za sobą słyszał klątwy i kwik świń.

Był wśród wierzb nad spuszczonym rybnikiem, gdy z tyłu usłyszał tętent i wrzask pogoni. Miast zatem omijać staw, pomknął po wąziutkiej grobli. Serce kilkakrotnie zamierało mu, gdy grobla osuwała się pod kopytami. Ale udało się.

Pościg też wpadł na groblę, ale aż tyle szczęścia nie miał. Pierwszy koń nie dobieżał nawet do połowy, osunął się wśród rżenia i po brzuch zapadł w mule. Drugi koń szarpnął się, do reszty rozwalił groblę podkowami, zjechał po zad w grząskie błocko. Jeźdźcy wrzeszczeli, klęli wściekle. Reynevan pojął, że musi wykorzystać okoliczność i dany przez nią czas. Dźgnął siwka piętą, poszedł w cwał przez wrzosowiska, w kierunku zalesionych wzgórz, za którymi spodziewał się zbawczych borów.

Choć świadom, czym ryzykuje, zmusił chrapiącego ciężko konia do forsownego galopu w górę po pochyłości. Na szczycie też nie dał siwkowi odpocząć, od razu popędził go poprzez porastające zbocze zagajniki. I wówczas, całkiem niespodzianie, drogę zagrodził mu jeździec.

Spłoszony siwek stanął dęba, przenikliwie rżąc. Reynevan utrzymał się w siodle.

– Nieźle – powiedział jeździec. Czy raczej amazonka. Była to bowiem dziewczyna.

Dość wysoka, w męskim stroju, w obcisłym aksamitnym kubraku, spod którego wyzierała pod szyją śnieżnobiała krezka koszuli. Z grubym jasnym warkoczem, spływającym na ramię spod sobolowego kołpaczka, ozdobionego pękiem czaplich piór i złotą broszą z szafirem, wartą zapewne tyle, co dobry wierzchowiec.

– Kto cię ściga? – krzyknęła, wprawnie opanowując tańczącego konia. – Prawo? Gadaj zaraz!

– Nie jestem przestępcą...

– Za co więc?

– Za miłość.

– Ha! Od razu tak pomyślałam. Widzisz ten rząd ciemnych drzew? Tamtędy płynie Stobrawa. Jedź tam co tchu i zapadnij w moczary na lewym brzegu. A ja odciągnę ich od ciebie. Dawaj opończę.

– Co też wy, pani... Jakże to...

– Dawaj opończę, powiedziałam! Jeździsz dobrze, ale ja jeżdżę lepiej. Ach, ależ przygoda! Ach, ależ będzie co opowiadać! Elżbieta i Anka skręcą się z zazdrości!

– Pani... – wybąkał Reynevan. – Nie mogę... Co będzie, jak was doścignąą?

– Oni? Mnie? – parsknęła, mrużąc oczy błękitne jak turkusy. – Chyba kpisz!

Jej klacz, zbiegiem okoliczności również siwa, rzuciła zgrabnym łbem, zatańczyła znowu. Reynevan był zmuszony przyznać rację dziwnej pannie. Ten szlachetny, na pierwszy rzut oka rączy wierzchowiec wart był znacznie więcej od szafirowej broszy z kołpaczka.

– To szaleństwo – powiedział, rzucając jej opończę. – Ale dziękuję. Odwdzięczę się...

Z dołu wzgórza dały się słyszeć krzyki pościgu.

– Nie trwoń czasu! – krzyknęła panna, nakrywając głowę kapturem. – Dalej! Tam, nad Stobrawę!

– Pani... Twe imię... Rzeknij mi...

– Nikoletta. Mój Alkasynie, ścigany za miłość. Byyywaaaaj!

Pchnęła klacz w galop, a był to raczej lot niż galop. Zjechała ze zbocza jak huragan, w obłoku kurzu, pokazała się pościgowi i poszła przez wrzosowiska tak szalonym cwałem, że Reynevan momentalnie wyzbył się wyrzutów sumienia. Zrozumiał, że jasnowłosa amazonka nie ryzykowała niczym. Ciężkie konie Kyrielejsona, Storka i pozostałych, niosące dwustufuntowych chłopów, nie mogły iść w zawody z siwą klaczą pełnej krwi, w dodatku obciążoną jedynie lekką dziewczyną i lekkim siodłem. I faktycznie, panna nie dała się nawet gonić na oko, bardzo prędko znikła za wzgórzem. Ale pościg szedł za nią, twardo i nieubłaganie.

Mogą ją zmęczyć równym biegiem, pomyślał ze strachem Reynevan. Ją i tę jej klacz. Ale, uspokajał sumienie, ona z pewnością ma gdzieś w pobliżu swój orszak. Na takim koniu, tak odziana, toć przecie oczywiste, że to dziewczyna wysokiego rodu, takie jak ona nie jeżdżą same, myślał, gnając galopem we wskazanym przez pannę kierunku.

I oczywista, myślał, łykając wiatr w cwale, wcale nie nazywa się Nikoletta. Zadrwiła sobie ze mnie, biednego Alkasyna.

●

Skryty wśród bagien olsu nad Stobrawą Reynevan odetchnął, ba, poczuł się nawet dumnie i butnie, iście Roland czy Ogier, co okpił i w pole wywiódł prześladujące go hordy Maurów. Buta i dobre samopoczucie opuściły go jednak, gdy spotkała go przygoda zupełnie nierycerska, gdy zdarzyło mu się coś, co nigdy, jeśli wierzyć balladom, nie zdarzyło się Rolandowi, Ogierowi, Astolfowi, Renaltowi z Montalbanu ani Raulowi z Cambrai.

Zwyczajnie i całkiem prozaicznie okulał mu koń.

Reynevan zsiadł zaraz, gdy tylko poczuł fałszywy, złamany rytm kroku wierzchowca. Obejrzał nogę i podkowę siwka, ale niczego nie był w stanie stwierdzić. Ani tym bardziej niczego przedsięwziąć. Mógł tylko iść, ciągnąc kulejące zwierzę za wodze. Pięknie, myślał. Od środy do piątku, jeden koń zajeżdżony, drugi okulawiony. Pięknie. Niezły wynik.

Na domiar złego z prawego, wysokiego brzegu Stobrawy rozbrzmiały naraz gwizdy, rżenie, klątwy, wykrzyczane znajomym głosem Kunza Aulocka, zwanego Kyrielejson. Reynevan wciągnął konia w co gęstsze krzaki, chwycił za chrapy, by nie zarżał. Krzyki i klątwy ucichły w oddali.

Zgonili dziewczynę, pomyślał, a serce spłynęło mu aż do podbrzusza, tak ze strachu, jak i z wyrzutów sumienia. Dognali ją.

Nie dognali, nie zgonili, uspokajał rozsądek. Dopędzili, ale co najwyżej jej orszak, gdzie poznali pomyłkę. Gdzie „Nikoletta” wyśmiała ich i wydrwiła, bezpieczna wśród swych rycerzy i pachołków.

Wrócili więc, krążą, tropią. Myśliwcy.

●

Noc przesiedział w chaszczach, szczękając zębami i opędzając się od komarów. Nie zmrużywszy oka. A może zmrużywszy, lecz na małą jeno chwilkę. Musiał zasnąć, musiał śnić, bo jakimże innym sposobem mógł widzieć dziewczynę z karczmy, tę szarą, przez nikogo nie zauważaną, tę z kaczeńcowym pierścionkiem na palcu? Jak inaczej, jak nie sennym widziadłem, mogła do niego przyjść?

Tak mało nas już zostało, powiedziała dziewczyna, tak mało. Nie daj się schwytać, nie daj się otropić. Co nie zostawia śladu? Ptak w

powietrzu, ryba w wodzie.

Ptak w powietrzu, ryba w wodzie.

Chciał ją spytać, kim jest, skąd zna nawęzy, czym – bo przecie nie prochem – wywołała eksplozję komina. Chciał ją spytać o wiele rzeczy.

Nie zdążył. Obudził się.

●

Jeszcze przed świtem ruszył w drogę. Kierował się biegiem rzeczki. Szedł może z godzinę, trzymając się wysokich grądów, gdy w dole pod nim rozciągnęła się naraz szeroka rzeka. Tak szeroka, jak jedna tylko na całym Śląsku.

Odra.

●

Odrą żeglował pod prąd mały barkas, pełen gracji w nurcie niczym perkoz zwinnie sunący skrajem jasnej mielizny. Reynevan przyglądał się chciwie.

Tacyście przebiegli, pomyślał, patrząc, jak wiatr wydyma żagiel barkasu, a przed dziobem pieni się woda. Tacy z was myśliwcy? Panie Kyrielejson *et consortes*? Takeście mnie, mniemacie, otropili, obrzuciwszy knieję? Poczekajcie, ja wam wytnę numer. Przerwę się, wyjadę z waszej obierzy tak gracko, z takim rozmachem, że diabła zjecie, nim znowu odszukacie mój trop. Bo przyjdzie wam tego tropu szukać pod Wrocławiem.

Ptak w powietrzu, ryba w wodzie...

Pociągnął siwka w stronę wiodącej ku Odrze wyjeżdżonej drogi. Dla pewności nie szedł jednak drogą, lecz trzymał się łozy i wierzbiny. Droga wszak, jak sądził, wytyczała kierunek ku przystani rzecznej. Sądził dobrze.

Już z oddalenia usłyszał podniesione głosy ludzi na przystani, zaperzone, nie wiadomo, w kłótni czy w zapale targów i handlowych negocjacji. Z łatwością dało się jednak poznać język, w którym mówili. A mówili po polsku.

Zanim więc wyszedł z łoziny i ze skarpy zobaczył przystań, Reynevan wiedział, do kogo należały tak głosy, jak i przycumowane do pali małe szkuty, barkasy i czółna. Byli to Wasserpolen, Polacy Wodni, flisacy i rybacy odrzańscy, zorganizowane bardziej na kształt klanu niż cechu

towarzystwo, maszoperia, którą oprócz wykonywanego zawodu scalał język i silne poczucie narodowej odrębności. Polacy Wodni mieli w rękach sporą część śląskiego rybołówstwa, znaczny udział w spławie drewna i jeszcze znaczniejszy w małym transporcie rzecznym, w którym całkiem udatnie konkurowali z Hanzą. Hanza nie docierała Odrą wyżej niż do Wrocławia, Polacy Wodni wozili towary aż do Raciborza. W dół Odry pływali aż do Frankfurtu, Lubusza i Kostrzynia, a nawet – w niepojęty sposób obchodząc rygorystyczne frankfurckie prawo składu – dalej w dół, za ujście Warty.

Od przystani niosło rybą, mułem i smołą.

Reynevan z trudem sprowadził kulejącego konia po śliskiej glinie skarpy, zbliżył się do przystani, wchodząc pomiędzy szopy, szałasy i suszące się sieci. Po pomoście łomotały i klaskały bose stopy, trwał załadunek i wyładunek. Z jednej szkuty wyładowywano, na drugą załadowywano. Część towaru, na którą składały się głównie garbowane skóry i beczułki z nieznaną zawartością, była z przystani przenoszona na wozy, operację nadzorował brodaty kupiec. Na jedną ze szkut wprowadzano byka. Buhaj ryczał i tupał, aż cały pomost się trząsł. Flisacy klęli po polsku.

Dość szybko się uspokoiło. Wozy ze skórami i beczkami odjechały, buhaj rogiem usiłował nadwyrężyć ciasną zagrodę, w której go zamknięto. Wodni Polacy, zgodnie ze swym obyczajem, wdali się w kłótnię. Reynevan znał polski na tyle dobrze, by wyrozumieć, że jest to kłótnia o nic.

– Czy żegluje, jeśli wolno spytać, ktoś z was w dół rzeki? Do Wrocławia?

Wodni Polacy przerwali dysputę i przyjrzeli się Reynevanowi niespecjalnie życzliwym wzrokiem. Jeden splunął do wody.

– A jeśli nawet – burknął – to co? Wielmożny panie szlachcic?

– Koń mi okulał. A trzeba mi do Wrocławia.

Polak żachnął się, charknął, splunął znowu.

– No – nie rezygnował Reynevan. – Jakże tedy będzie?

– Nie wożę Niemców.

– Nie jestem Niemcem. Jestem Ślązakiem.

– Aha?

– Aha.

– To powiedz: soczewica, koło, miele, młyn.

– Soczewica, koło, miele, młyn. A ty powiedz: stół z powyłamywanymi nogami.

– Stół z powy... myła... wały... Wsiadaj.

Reynevan nie dał sobie dwa razy powtarzać, ale żeglarz obcesowo schłodził jego zapał.

– Zaraz! Gdzie? Po pierwsze, to ja płynę ino do Oławy. Po drugie, to kosztuje pięć skojców. Za konia dodatkowe pięć.

– Jeśli nie masz – wtrącił się z lisim uśmiechem drugi Wasserpolak, widząc, jak Reynevan z nietęgą miną gmera w trzosie – to ja tego konia odkupię. Za pięć... No, niech będzie sześć skojców. Dwanaście groszy. Będziesz miał akurat na rejs. A za konia, nie mający go, płacić nie będziesz musiał. Czysty zysk.

– Ten koń – zauważył Reynevan – wart jest co najmniej pięć grzywien.

– Ten koń – zauważył bystro Polak – wart jest gówno. Bo nie dojedziesz na nim tam, dokąd ci pilno. Jakże tedy będzie? Sprzedasz?

– Jeśli dołożycie jeszcze trzy skojce za siodło i rząd.

– Jednego skojca.

– Dwa.

– Zgoda.

Koń i pieniądze zmieniły właścicieli. Reynevan na pożegnanie poklepał siwka po szyi, pogładził po zagrzywku, pociągnął nosem, żegnając się, było nie było, z przyjacielem i towarzyszem niedoli. Uchwycił się liny i wskoczył na pokład. Żeglarz zrzucił cumę z pala. Szkuta drgnęła, wolno wpłynęła w nurt. Buhaj ryczał, ryby cuchnęły. Na pomoście Polacy Wodni oglądali nogę siwka i kłócili się o nic.

Szkuta płynęła w dół rzeki. Ku Oławie. Szara woda Odry chlupotała i pieniła się u burt.

●

– Mości panie.

– Co? – Reynevan poderwał się, przetarł oczy. – Co jest, panie szyper?

– Oława przed nami.

Od ujścia Stobrawy do Oławy jest Odrą niecałe pięć mil. Odległość taką płynąca z prądem szkuta zdolna jest pokonać w czasie nie dłuższym niż dziesięć godzin. Pod warunkiem, że płynie się bez dłuższych postojów i nie ma poza żeglugą żadnych innych zajęć.

Wasserpolak, szyper szkuty, miał zajęć bez liku. Także i na brak postojów po drodze Reynevan nie mógł narzekać. Ogólnie rzecz jednak biorąc, nie miał żadnych powodów, by narzekać. Choć miast dziesięciu godzin spędził na szkucie półtora dnia i dwie noce, był w miarę bezpieczny, podróżował wygodnie, zażył wczasu, wyspał się porządnie, najadł do syta. Ba, pokonwersował nawet.

Polak Wodny – choć nie powiedział się Reynevanowi z imienia i powiadania się nie wymagał – był w sumie człekiem całkiem sympatycznym i miłym w obejściu. Choć małomówny, by nie rzec burkliwy, opryskliwym i niegrzecznym nie był bynajmniej. Choć prosty, nie był bynajmniej głupi. Szkuta lawirowała między kępami i mieliznami, zawijając do przystani już to na lewym, już to na prawym brzegu. Czteroosobowa załoga uwijała się jak w ukropie, szyper klął i poganiał. Ster pewnie dzierżyła żona Wasserpolaka, niewiasta znacznie od niego młodsza. Reynevan, by nie nadużyć uprzejmości, unikał, jeśli się dało, patrzenia na jej mocne uda widoczne spod zawiniętej spódnicy. Odwracał, jeśli zdołał, wzrok, gdy przy manewrach sterowym wiosłem opinała się koszula na piersiach godnych Wenery.

Reynevan odwiedził na szkucie nadodrzańskie przystanie o nazwach takich jak Jazica, Zagwiździe, Kłęby i Mąt, był świadkiem kolektywnych połowów ryb i transakcji handlowych, a także swatów. Widział załadunek i wyładunek najrozmaitszych towarów. Zobaczył rzeczy, jakich nigdy przedtem nie zdarzyło mu się widzieć, jak chociażby mierzącego pięć łokci i ważącego sto dwadzieścia pięć funtów suma. Jadł, czego nigdy przedtem nie jadał, jak chociażby pieczone nad żarem filety z owego suma. Dowiedział się, jak ustrzec się utopca, niksa i wirnika. Jaka jest różnica między niewodem a drygawicą, jaka między jazem a gacią, jaka między łachą a przykosą i jaka między leszczem a guściorą. Nasłuchał się bardzo brzydkich słów o niemieckich pankach, gnębiących Polaków Wodnych zbójeckimi cłami, mytami i podatkami.

A następnego ranka okazało się, że jest niedziela. Polacy Wodni i miejscowi rybacy nie pracowali. Modlili się długo u dość topornie wykonanych figur Matki Boskiej i świętego Piotra, potem ucztowali, potem odprawili coś na kształt sejmiku, potem zaś popili się i pobili.

Tak więc, choć długa, podróż nie dłużyła się wcale. A teraz był świt czy raczej poranek. I miasto Oława za zakrętem rzeki. Żona Wasserpolaka naparła na ster, jej piersi naparły na koszulę.

– W Oławie – odezwał się szyper – zejdzie mi na różne sprawy jeden, góra dwa dni. Jeśli tyle wydolicie zaczekać, wezmę was do Wrocławia, młody panie Ślązak. Bez dobawnej opłaty.

– Dziękuję. – Reynevan wyciągnął do uścisku rękę, świadom, że właśnie spotkał go zaszczyt okazanej sympatii. – Dziękuję, ale w drodze był czas przemyśleć parę spraw. I teraz Oława odpowiada mi nawet bardziej niż Wrocław.

– Wedle woli. Wysadzę was, gdzie chcecie. Na lewym wolicie brzegu czy na prawym?

– Chciałbym na strzeliński trakt.

– Tedy na lewym. Rozumiem też, że samej miejskiej rogatki wolelibyście uniknąć?

– Wolałbym – przyznał Reynevan, zadziwiony bystrością Polaka. – Jeśli wam to nie wadzi.

– Co mi ma wadzić. Ster lewo na burt, Maryśka. Płyń pod Drozdowy Jaz.

Za Drozdowym Jazem rozciągało się rozległe starorzecze, całe pokryte dywanem żółto kwitnących grążeli. Nad starorzeczem snuła się mgła. Słychać było dalekie odgłosy rozbudzonego już oławskiego podgrodzia – pianie kogutów, ujadanie psów, podzwanianie metalu o metal, sygnaturkę.

Na dany znak Reynevan zeskoczył na chwiejny pomost. Szkuta otarła się o pale, rozgarnęła dziobem wodorosty, leniwie zawróciła na nurt.

– Groblą cały czas! – zawołał Wasserpolak. – A tak, by słonko mieć za plecami! Aż do mostu na Oławie, potem ku lasowi. Będzie strumyk, a za nim już strzeliński gościniec. Zbłądzić się nie da!

– Dziękuję! Z Bogiem!

Z rzeki szybko jęła wznosić się mgła, szkuta zaczęła niknąć. Reynevan zarzucił na ramię węzełek.

– Panie Ślązak! – dobiegło od rzeki.

– Aha?

– Stół z powyłamywanymi nogami!

Rozdział szósty

w którym Reynevan najpierw zbiera cięgi, a potem rusza w drogę do Strzelina w towarzystwie czworga ludzi i jednego psa. Nudę podróży umila dysputa o herezjach, pleniących się ponoć na podobieństwo kąkolu.

Skrajem boru, wśród zielonych rdestów, wesoło tocząc nasłonecznioną wodę, płynął strumyk, meandrując szlakiem wytyczonym przez szpaler wierzb. Tam, gdzie zaczynała się przesieka i droga wchodziła w las, brzegi strumyka spinał mostek z grubych bali, bali tak czarnych, omszałych i starych, jak gdyby konstrukcję wykonano za czasów Henryka Pobożnego. Na mostku stał podróżny wóz, zaprzężony w gniadą i chudawą szkapę. Wóz był silnie przechylony. Dało się widzieć, dlaczego.

– Koło – stwierdził fakt Reynevan, podchodząc. – Jest kłopot, co?

– Większy, niźli sądzicie – odrzekła, rozmazując na spoconym czole dziegieć, młoda, rudowłosa i ładna, choć nieco tęgawa kobieta. – Ojko nam pękło.

– Ha. Tedy bez kowala ani rusz.

– Aj, aj! – złapał się za lisią czapę drugi podróżny, brodaty Żyd w skromnej, lecz zadbanej i bynajmniej nie ubogiej przyodziewie. – Boże Izaaka! Nieszczęście! Biada! Co tedy czynić?

– Jechaliście – odgadł Reynevan z kierunku, który wskazywał dyszel – na Strzelin?

– Odgadliście, młody panie.

– Pomogę wam, a wy mnie w zamian podwieziecie. Ja, widzicie, też w tamtą stronę. A też mam kłopoty...

– Nietrudno to wymiarkować – Żyd poruszył brodą, a oczy błysnęły mu chytrze. – Żeście szlachcic, młody panie, to widać. A gdzie tedy wasz koń? Wozem, chociażeście przecie nie Lancelot, myślicie podróżować? Ale niech tam. Dobrze wam z oczu patrzy. Jam jest Hiram ben Eliezer, rabin kahału brzeskiego. W drodze do Strzelina...

– A jam jest – wesoło wpadła w słowo rudowłosa kobieta, naśladując sposób mówienia Żyda – Dorota Faber. W drodze w świat daleki. A wy, młody panie?

– Zwę się – zdecydował po krótkiej chwili wahania Reynevan – Reinmar Bielau. Posłuchajcie. Uczynimy tak. Ściągniemy jakoś wóz z mostku, wyprzężemy kobyłę, ja na niej na oklep do Oławy na podgrodzie skoczę, z owym ojkiem, do kowala. Trzeba będzie, to go i przywiozę. Bierzmy się do roboty.

Okazało się, że to nie tak łatwo.

Z Doroty Faber pożytek był mały, z leciwego rabbiego żaden. Choć chuderlawa kobyła zawzięcie tłukła kopytami w nadgniłe bale i parła na chomąto, posunęli wóz ledwie o sążeń. Reynevan sam nie był w stanie unosić wehikułu. Siedli wreszcie przy złamanej osi i przypatrywali się, dysząc, kiełbiom i minogom, od których aż ruszało się piaszczyste dno rzeczki.

– Mówiliście – zapytał Reynevan rudowłosą – że idziecie w świat. Dokąd?

– Za chlebem – odrzekła swobodnie, wycierając nos wierzchem dłoni. – Na razie, skoro pan Żyd łaskawie na wóz wziął, z nim do Strzelina, potem, kto wie, choćby i do Wrocławia samego. W moim fachu wszędy pracę najdę, ale chciałoby się najlepszą...

– W waszym... fachu? – zaczął kojarzyć Reynevan. – To... to znaczy... że...

– Właśnie. Jestem... Jak wy to mówicie... Ta, no... Jawnogrzesznica. Do niedawna z brzeskiego zamtuza „Pod Koroną”.

– Rozumiem – poważnie kiwnął głową Reynevan. – I razem jechaliście? Rabbi? Ty? Wziąłeś na wóz... Hmm... Kurtyzanę?

– Co miałem nie wziąć? – szeroko rozwarł oczy rabbi Hiram. – Wziąłem. Toć, proszę ja młodego pana, na strasznego wyszedłbym ciula, gdybym nie wziął.

Omszałe bale drgnęły pod krokami.

– Kłopot? – spytał jeden z trzech mężczyzn, którzy weszli na most. – Może pomóc?

– Przygodziłoby się – przyznał Reynevan, choć niemiłe gęby i ruchliwe oczka chętnych pomocników bardzo, ale to bardzo mu się nie podobały. Okazało się, że słusznie. Zaraz, ledwie pchnięty wieloma parami silnych rąk wóz znalazł się na łące za mostkiem.

– No! – powiedział, potrząsając lagą, najwyższy z typów, zarośnięty po oczy. – Robota zrobiona, tera trza płacić. Wyprzęgaj, parchu, konia z woza, ściągaj szubę, dawaj sakiewkę. Ty, paniczu, zdymaj kubrak i

wyskakuj z botów. A ty, kraśna, wyskakuj ze wszystkiego, tobie inak płacić przyjdzie. Na gółkę!

Kamraci zarechotali, szczerząc zepsute zęby. Reynevan schylił się i uniósł kół, którym podważał wóz.

– Patrzta – wskazał go lagą zarośnięty – jaki to panicz bojowny. Jeszcze go nie naumiało życie, że jak każą boty oddać, to trza oddać. Bo boso da się chodzić, a na połamanych kulasach nie. Hajże! Bij go!

Typki zwinnie odskoczyły przed świszczącym młyńcem, którym otoczył się Reynevan, jeden dopadł od tyłu i wprawnym kopnięciem pod kolano zwalił chłopca na ziemię, sam zawył i zatoczył się, chroniąc oczy przed paznokciami siedzącej mu na karku Doroty Faber. Reynevan dostał lagą przez bark, skulił się pod kopniakami i razami kijów, zobaczył, jak jeden z typów ciosem pięści obala próbującego interweniować Żyda. A potem zobaczył czarta.

Zbiry zaczęły krzyczeć. Strasznie.

Tym, co dobrało się do zbirów, nie był, rzecz jasna, żaden czart. Był to wielki, smoliście czarny pies, brytan, noszący na karku najeżoną kolcami obrożę. Pies zwijał się przy zbirach jak czarna błyskawica, atakował zaś nie jak brytan, ale jak wilk. Ciął kłami i puszczał. By ciąć drugiego. W łydki. W uda. W krocza. A gdy upadli, w ręce i twarze. Krzyki kąsanych zrobiły się makabrycznie cienkie. Aż włosy podnosiło.

Rozległ się przeszywający, modulowany świst. Czarny brytan natychmiast odskoczył od zbirów, siadł nieruchomo z postawionym uszami. Jak figura z antracytu.

Na most wjechał jeździec. Ubrany w krótki szary płaszcz spięty srebrną klamrą, obcisły wams i szaperon z długim, opuszczonym na ramię ogonem.

– Gdy słonko ponad wierzchołek tamtego świerka wyjrzy – przemówił donośnie przybysz, prostując na siodle karego ogiera postać bynajmniej nie stolinową – puszczę Belzebuba waszym śladem, szubrawcy. Tyle macie czasu, obwiesie. A że Belzebub jest chyży, doradzam bieg. A odradzam przerwy w biegu.

Obwiesiom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zemknęli w las, kusztykając, pojękując i oglądając się strachliwie. Belzebub, jak gdyby wiedział, czym bardziej ich nastraszy, nie patrzył na nich, ale na słońce i wierzchołek świerka.

Jeździec lekko popędził źrebca. Podjechał bliżej, z wysokości siodła przyjrzał się Żydowi, Dorocie Faber i Reynevanowi, który wstawał właśnie, macając żebra i ocierając krew z nosa. Zwłaszcza Reynevanowi – co uwadze chłopca nie uszło – jeździec przypatrywał się wyjątkowo uważnie.

– No, no – powiedział wreszcie. – Sytuacja klasyczna. Jak w bajce. Bagienko, most, koło, tarapaty. I pomoc jak na zawołanie. Nie przyzywaliście aby? Nie lękacie się, że wyjmę i każę podpisać cyrografy?

– Nie – rzekł rabbi. – Nie ta bajka.

Jeździec parsknął.

– Jestem Urban Horn – oznajmił, patrząc wciąż wprost na Reynevana. – Komuż to wraz z moim Belzebubem pomogliśmy?

– Rabbi Hiram ben Eliezer z Brzegu.

– Dorota Faber.

– Lancelot z Wozu – Reynevan, mimo wszystko, nie miał jakoś zaufania.

Urban Horn parsknął znowu, wzruszył ramionami.

– Tuszę, że w stronę Strzelina wam droga. Wyprzedziłem na gościńcu podróżnego, tamże zmierzającego. Jeśli pozwolicie sobie doradzić, lepiej by było o podwodę się pokłonić, niż tu nad złamanym kołem do nocy sterczeć. Lepiej. I bezpieczniej.

Rabbi Hiram ben Eliezer obrzucił swój wehikuł tęsknym spojrzeniem, ale kiwaniem brody przyznał obcemu rację.

– A teraz – obcy spojrzał nad las, na wierzchołek świerka – bywajcie. Obowiązek wzywa.

– Myślałem – odważył się Reynevan – żeście ich tylko straszyli...

Jeździec spojrzał mu w oczy, a wzrok miał zimny. Wręcz lodowy.

– Straszyłem – przyznał. – Ale ja, Lancelocie, nigdy nie straszę na wiatr.

●

Zapowiadanym przez Urbana Horna podróżnym okazał się ksiądz. Powożący sporym wozem grubasek z głęboko wygoloną tonsurą, odziany w płaszcz obszyty tchórzami.

Ksiądz zatrzymał konia, nie schodząc z kozła wysłuchał opowieści, przyjrzał wozowi ze złamaną ośką, przypatrzył uważnie każdemu z trojga uniżenie proszących, pojął wreszcie, o cóż to proszący proszą.

– Że niby jak? – zapytał wreszcie z wielkim niedowierzaniem. – Do Strzelina? Na moim wozie?

Proszący przybrali pozy jeszcze bardziej proszące.

– Ja, Filip Granciszek z Oławy, pleban od Matki Bożej Pocieszenia, dobry chrześcijanin i katolicki duchowny, mam wziąć na wóz Żyda? Kurwę? I włóczęgę?

Reynevan, Dorota Faber i rabbi Hiram ben Eliezer popatrzyli po sobie, a miny mieli nietęgie.

– Wsiadajcie – oznajmił wreszcie sucho ksiądz. – Toć na strasznego wyszedłbym ciula, gdybym was nie wziął.

●

Nie minęła godzina, gdy przed ciągnącym księżowski wóz bułanym wałachem zjawił się Belzebub, lśniący od rosy. A nieco później na gościńcu objawił się Urban Horn na swym karoszu.

– Pojadę z wami do Strzelina – oznajmił swobodnie. – Jeśli, naturalnie, nie macie nic przeciw.

Nikt nie miał nic przeciw.

O los obwiesiów nikt nie pytał. A z mądrych ślepiów Belzebuba nie dało się wyczytać nic.

Albo wszystko.

●

I jechali tak sobie strzelińskim gościńcem, doliną rzeki Oławy, już to pośród lasów gęstych, już to wśród wrzosowisk i łąk rozległych. Przodem, niczym laufer, bieżał brytan Belzebub. Pies patrolował drogę, czasem znikał wśród lasu, bobrował w chaszczach i trawach. Gonienie i obszczekiwanie płoszonych zajęcy czy sójek nie zdarzało się jednak, było wyraźnie poniżej godności czarnego psiska. Nie zdarzało się, by musiał karcić czy przywoływać psa Urban Horn, tajemniczy nieznajomy o zimnych oczach, jadący obok wozu na swym karym źrebcu.

Zaprzężonym w bułanego wałacha księżowskim wozem powoziła Dorota Faber. Rudowłosa brzeska nierządnica wyprosiła to na proboszczu i w sposób wyraźny traktowała jako rodzaj zapłaty za przejazd. A powoziła świetnie, z wielką wprawą. Tym sposobem siedzący obok niej na koźle ksiądz Filip Granciszek mógł bez obawy o wehikuł drzemać lub dyskutować.

Na wozie, na workach z owsem – zależnie od okoliczności – drzemali lub dyskutowali Reynevan i rabbi Hiram ben Eliezer.

Na końcu, przywiązana do drabki, tuptała chuderlawa żydowska kobyła.

Jechano więc, drzemano, dyskutowano, przystawano, dyskutowano, drzemano. Zjedzono to i owo. Wypito gliniaczek gorzałki, który wyciągnął był z sepetów ksiądz Granciszek. Wypito drugi, który wyciągnął spod szuby rabbi Hiram.

Szybko, bo zaraz za Brzeźmierzem, wyszło na jaw, że proboszcz i Żyd jechali do Strzelina w identycznym niemal celu – na posłuchanie u wizytującego miasto i probostwo kanonika wrocławskiej kapituły. Jeśli jednak ksiądz Granciszek jechał, jak wyznał, na wezwanie, by nie powiedzieć dywanik, rabbi miał dopiero nadzieję uzyskać audiencję. Proboszcz nie dawał mu dużych szans.

– Wielebny kanonik – mówił – siła ma tam roboty. Mnóstwo spraw, sądów, bez liku posłuchań. Trudne nam bowiem czasy nastały, oj, trudne.

– Tak jakby – ściągnęła lejce Dorota Faber – były kiedyś łatwe.

– Mówię o trudnych czasach dla Kościoła – zaznaczył ksiądz Granciszek. – I dla prawdziwej wiary. Albowiem pleni, pleni się kąkol herezji. Spotkasz kogo, pozdrowi cię w imię Boże, a nie zgadniesz, czy nie kacerz. Mówiliście coś, rabbi?

– Kochaj bliźniego – zamruczał Hiram ben Eliezer, nie wiada, czy nie przez sen. – Prorok Eliasz objawić się może z każdą twarzą.

– Ot – lekceważąco machnął ręką ksiądz Filip. – Żydowska filozofia. A ja mówię: czujność i praca, czujność, praca i modlitwa. Albowiem drży i chwieje się Piotrowa opoka. Pleni, pleni się dokoła kąkol herezji.

– To – Urban Horn wstrzymał konia, by jechać tuż obok wozu – już mówiliście, pater.

– A bo to i prawda – księdza Granciszka, wyglądało, całkiem odeszła senność. – Ile razy by nie powiadał, prawda. Szerzy się kacerstwo, mnoży apostazja. Jak grzyby po deszczu wyrastają fałszywi prorocy, gotowi fałszywymi swymi naukami Boży Zakon wykoślawiać. Zaprawdę, iście wieszczo pisał apostoł Paweł do Tymoteusza: „Przyjdzie chwila, kiedy zdrowej nauki nie będą znosili, ale według własnych pożądań, ponieważ ich uszy świerzbią, będą sobie mnożyli nauczycieli. Będą się odwracali od słuchania prawdy, a obrócą się ku zmyślonym

opowiadaniom". I będą twierdzić, zmiłuj się Chryste, że w imię prawdy czynią to, co czynią.

– Wszystko na tym świecie – zauważył od niechcenia Urban Horn – odbywa się pod hasłem walki o prawdę. I choć zazwyczaj o bardzo różne prawdy chodzi, jedna prawda na tym korzysta. Ta prawdziwa.

– Kacersko zabrzmiało – zmarszczył czoło ksiądz – to, coście rzekli. Mnie, dajcie sobie powiedzieć, względem prawdy więcej z tym po drodze, co mistrz Johann Nider w swym *Formicariusie* napisał. A porównał on kacerzy do owych w Indii żyjących mrówek, które z piasku złota drobinki pracowicie wybierają i do mrowiska noszą, choć przecie żadnego pożytku z onego kruszcu nie mają, ani go zjedzą, ani uszczkną. Tacy sami, pisze w *Formicariusie* magister Nider, są heretycy, którzy w Piśmie Świętym grzebią i ziarn prawdy w nim szukają, choć przecie sami nie wiedzą, co z oną prawdą począć by mieli.

– Bardzo ładne to było – westchnęła Dorota Faber, poganiając wałacha. – To o tych mrówkach, znaczy. Och, prawie, gdy kogo tak mądrego słucham, aże mię w dołku ściska.

Ksiądz nie zwrócił uwagi ani na nią, ani na jej dołek.

– Katarzy – prawił – inaczej albigensi, którzy rękę, chcącą ich na łono Kościoła przywrócić, jako wilcy kąsali. Waldensi i lollardzi, ośmielający się lżyć Kościół i Ojca Świętego, a liturgię szczekaniem psów nazywać. Obmierzli zaprzańcy bogomiłowie i podobni im paulicjanie. Aleksjanie i patrypasjanie, odważający się zaprzeczać Trójcy Świętej. Fratricelli z Lombardii, ci gałganiarze i zbóje, którzy niejednego mają duchownego na sumieniu. Im podobni dulcyniści, zwolennicy Fra Dolcina. *Item*, różni inni odstępcy: pryscylianie, petrobruzjanie, arnoldyści, speroniści, passagianie, messalianie, bracia apostolscy, pastorelowie, patareni i amaurycjanie. Poplikanie i turlupini, negujący *divinitatem* w Chrystusie i odrzucający sakramenty, a kłaniający się diabłu. Lucyferianie, których nazwa jawnie mówi, komu cześć bluźnierczo oddają. No i rzecz jasna husyci, nieprzyjaciele wiary, Kościoła i papieża...

– Żeby było śmieszniej – wtrącił z uśmiechem Urban Horn – wszyscy przez was wymienieni siebie właśnie uważają za prawych, a innych mają za nieprzyjaciół wiary. Co do papieża, to przyznacie wszak, księże proboszczu, że czasem trudno wśród licznych wybrać tego właściwego. Co zaś się tyczy Kościoła, to wszyscy jak jeden mąż wołają o

konieczności reformy, *in capite et in membris*. Nie zastanawia was to, wielebny?

– Nie bardzo pojmuję słowa wasze – przyznał się Filip Granciszek. – Ale jeśli szło wam o to, że w samym łonie Kościoła herezja wyrasta, toście prawi. Wielce bliscy są tego grzechu, którzy w wierze błądzą, w pysze swej z pobożnością przesadzają. *Corruptio optimi pessima!* Że choćby przytoczę *casus* znanych wszystkim biczowników, czyli flagellantów. Już w 1349 papież Klemens VI ogłosił ich heretykami, wyklął i nakazał karać, ale czy to co pomogło?

– Nic nie pomogło – oświadczył Horn. – Nadal łazili po całych Niemczech, uciechę budząc, albowiem dziewek wśród nich co niemiara było, te zaś biczowały się do pasa obnażone, z cyckami na wierzchu. Niekiedy z całkiem ładnymi cyckami, a wiem, co mówię, widziałem ich pochody w Bambergu, w Goslarze i w Fürstenwalde. Oj, podskakiwały im te cycuszki, podskakiwały! Ostatni sobór potępił ich znowu, ale to też nic nie da. Przyjdzie jaka zaraza czy inna klęska, zaczną się znowu biczownicze procesje. Oni to zwyczajnie muszą lubić.

– Jeden uczony mistrz w Pradze – włączył się do dyskusji rozmarzony nieco Reynevan – dowodził, że to choroba. Że niektóre niewiasty w tym właśnie znajdują błogość, że się nagie chłoszczą, u wszystkich na oczach. Dlatego też tyle kobiet było i jest wśród flagellantów.

– Powoływać się na praskich mistrzów nie radzę w obecny czas – zasugerował cierpko ksiądz Filip. – Wszelako coś w tym jest. Bracia Kaznodzieje dowodzą, że wiele zła bierze się z cielesnej lubieżności, a ta w białogłowie jest nienasycona.

– Białogłowy – odezwała się niespodzianie Dorota Faber – lepiej w pokoju ostawcie. Boście sami nie są bez grzechu.

– W rajskim ogrodzie – pokosił się na nią Granciszek – wąż nie na Adama, lecz na Ewę parol zagiął, a pewnie wiedział, co robi. Także dominikanie wiedzą pewnie, co mówią. Ale mnie nie o to szło, by białogłowy obmawiać, lecz o to jeno, że wiele z obecnych herezji dziwnym trafem właśnie chuć i porubstwo ma u podstaw, wedle jakiejś małpiej chyba przewrotności, pry, Kościół zabrania, tedy róbmy na przekór. Nakazuje Kościół skromność? Nuże, wypnijmy rzyć gołą! Nawołuje do wstrzemięźliwości i obyczajności? Dalejże, gzijmy się jako koty w marcu! Pikarci i adamici w Czechach całkiem nadzy chadzają i chędożą się wszyscy ze wszystkimi, tarzają w grzechu niczym psy, nie

ludzie. Podobnie czynili bracia apostolscy, czyli sekta Segarellego. Kolońscy *condormientes*, czyli „śpiący razem", obcują ze sobą cieleśnie bez względu na płeć i pokrewieństwo. Paternianie, zwani tak od ich niegodziwego apostoła, Paterna z Paflagonii, sakramentu małżeństwa nie uznają, co nie przeszkadza im oddawać się pospólnej rozpuście, zwłaszcza takiej, co poczęcie czyni niemożliwym.

– Interesujące – rzekł w zadumie Urban Horn.

Reynevan pokraśniał, a Dorota parsknęła, dowodząc, że rzecz nie jest jej całkiem obca.

Wóz podskoczył na wyboju, tak ostro, że rabbi Hiram się rozbudził, a zabierający się do kolejnej przemowy ksiądz Granciszek o mało nie odgryzł sobie języka. Dorota Faber cmoknęła na wałacha, strzeliła lejcami. Prezbiter poprawił pozycję na koźle.

– Byli i są też inni – kontynuował – którzy tym samym grzeszą, co biczownicy, znaczy się, przesadzoną pobożnością, od której tylko krok do wynaturzeń i herezji. Jak choćby podobni biczownikom *disciplinati*, jak *battuti*, jak cyrkumcelioni, jak *bianchi*, czyli biali, jak humiliaci, jak tak zwani bracia lyońscy, jak joachimici. Znamy to i z naszego śląskiego podwórka. Mówię o świdnickich i nyskich begardach.

Reynevan, choć o begardach i beginkach miał nieco odmienne zdanie, pokiwał głową. Urban Horn nie pokiwał.

– Begardzi – powiedział spokojnie – zwani *fratres de voluntaria paupertate*, ubodzy z wyboru, mogli być wzorem dla wielu księży i zakonników. Mieli też spore zasługi wobec społeczeństwa. Dość będzie powiedzieć, że to beginki w ich szpitalach stłumiły zarazę w roku sześćdziesiątym, nie dopuściły do rozprzestrzenienia się epidemii. A to oznacza tysiące ludzi uratowanych od śmierci. Zaiste, pięknie za to beginkom odpłacono. Oskarżeniem o herezję.

– Było wśród nich – zgodził się ksiądz – i owszem, wielu ludzi pobożnych i poświęcenia pełnych. Ale byli też odstępcy i grzesznicy. Wiele beginaży, a i tych chwalonych hospicjów, okazało się kolebkami grzechu, bluźnierstwa, herezji i sprośnego wszeteczeństwa. Wiele się też ulęgło zła wśród begardów wędrownych.

– Wolno wam tak uważać.

– Mnie? – żachnął się Granciszek. – Ja jestem zwykły pleban z Oławy, co ja mam do uważania? Begardów potępił sobór w Vienne i papież Klemens, na sto bez mała lat przed moim urodzeniem. Nie było mnie na

świecie, gdy w roku tysiąc trzysta trzydziestym drugim Inkwizycja obnażyła wśród beginek i begardów praktyki tak okropne, jak rozkopywanie grobów i profanacja zwłok. Nie było mnie na świecie w siedemdziesiątym drugim, gdy na mocy nowych edyktów papieskich wznowiono Inkwizycję w Świdnicy. Śledztwo, które udowodniło kacerskość beginek i ich związki z zaprzańczym Braterstwem i Siostrzeństwem Wolnego Ducha, z pikarcką i turlupińską ohydą, skutkiem czego księżna wdowa Agnieszka zamknęła świdnickie beginaże, a begardów i beginki...

– Begardów i beginki – dokończył Urban Horn – szczuto i ścigano po całym Śląsku. Ale tu też pewnie chętnie umyjesz ręce, oławski plebanie, bo było to przed twoim urodzeniem. Wiedz, że było to i przed moim. Co nie przeszkadza mi wiedzieć, jak było naprawdę. Że większość schwytanych begardów i beginek zamęczono w katowniach. Tych, którzy przeżyli, spalono. A spora grupa, jak to zwykle bywa, uratowała skórę, denuncjując innych, wydając na tortury i śmierć towarzyszy, przyjaciół, nawet bliskich krewnych. Część zdrajców oblekła potem dominikańskie habity i wykazała się iście neofickim zapałem w walce z herezją.

– Uważacie – ostro spojrzał na niego proboszcz – że to źle?

– Denuncjować?

– Z zapałem walczyć z herezją. Uważacie, że to źle?

Horn odwrócił się gwałtownie na siodle, a twarz mu się zmieniła.

– Nie próbuj – syknął – ze mną tych sztuczek, pater. Nie bądź, kurwa, taki Bernard Gui. Co ci z tego przyjdzie, że mnie osaczysz podchwytliwym pytaniem? Rozejrzyj się. Nie jesteśmy u dominikanów, ale w Brzeźmierskich Borach. Gdy poczuję się zagrożony, zwyczajnie dam ci w łeb i wrzucę do wykrotu. A w Strzelinie powiem, żeś po drodze umarł na nagłe zagrzanie krwi, na przypływ fluidów i humorów.

Ksiądz zbladł.

– Na nasze wspólne szczęście – dokończył spokojnie Horn – nie dojdzie do tego, bom ja ani begard, ani heretyk, ani sekciarz z bractwa wolnego ducha. Ale inkwizytorskich sztuczek nie próbuj, oławski proboszczu. Zgoda? Hę?

Filip Granciszek nie odpowiedział, kiwnął tylko kilka razy głową.

●

Gdy zatrzymali się, by rozprostować kości, Reynevan nie wytrzymał. Na stronie zagadnął Urbana Horna o przyczynę ostrej reakcji. Horn początkowo gadać nie chciał, ograniczył się do paru przekleństw i burknięć o cholernych domorosłych inkwizytorach. Widząc jednak, że Reynevanowi to nie wystarczy, usiadł na zwalonym pniu, przywołał psa.

– Te ich wszystkie herezje, Lancelocie – zaczął cicho – tyle mnie obchodzą co zeszłoroczny śnieg. Choć kiep tylko, a za kpa się nie mam, nie spostrzegłby, że to *signum temporis* i że czas przejść do wniosków. Że może warto by coś zmienić? Zreformować albo jak? Ja staram się zrozumieć. I rozumieć mogę, że ich ponosi, gdy słyszą, że Boga nie ma, że na Dekalog można i należy gwizdać, a czcić trzeba Lucyfera. Rozumiem ich, gdy na takie *dictum* wrzeszczą o herezji. Ale co się okazuje? Co ich najbardziej rozwścieczа? Nie apostazja i bezbożność, nie negacja sakramentów, nie rewizje dogmatów czy zaprzeczanie tymże, nie demonolatria. Najbardziej ich rozjuszają wezwania do ewangelicznego ubóstwa. Do pokory. Do poświęcenia. Do służenia. Bogu i ludziom. Dostają szału, gdy ktoś żąda od nich wyrzeczenia się władzy i pieniędzy. Dlatego z taką furią rzucili się na *bianchich*, na humiliatów, na bractwo Gerarda Groote, na beginki i begardów, na Husa. Psiakrew, za cud uważam, że nie spalili Poverella, Franciszka Biedaczyny! Ale boję się, że codziennie płonie gdzieś stos, a na nim jakiś anonimowy, nikomu nie znany i zapoznany Poverello.

Reynevan pokiwał głową.

– Dlatego – dokończył Horn – tak mnie to denerwuje.

Reynevan kiwnął raz jeszcze. Urban Horn przypatrywał mu się uważnie.

– Rozgadałem się, nie ma co – ziewnął. – A niebezpieczne potrafi być takie gadanie. Niejeden już sam sobie gardło, jak mówią, własnym przydługim ozorem poderżnął... Ale ja ci ufam, Lancelocie. Nawet nie wiesz, dlaczego.

– Ależ wiem – uśmiechnął się wymuszenie Reynevan. – Gdybyś powziął podejrzenie, że donoszę, dasz mi w łeb, a w Strzelinie powiesz, że umarłem na nagły przypływ fluidów i humorów.

Urban Horn uśmiechnął się. Bardzo wilczo.

●

– Horn?

– Słucham cię, Lancelocie.

– Nietrudno spostrzec, że bywały i rozeznany z ciebie człowiek. Nie wiesz przypadkiem, który z możnych ma dobra w bliskiej okolicy Brzegu?

– A skąd – oczy Urbana Horna zwęziły się – ta ciekawość? Tak niebezpieczna w dzisiejszych czasach?

– Stąd co zwykle. Z ciekawości.

– Jakżeby inaczej – Horn uniósł w uśmiechu kąciki ust, ale z jego oczu ani myślał znikać podejrzliwy błysk. – Cóż, zaspokoję twą ciekawość w miarę moich skromnych możliwości. W okolicy Brzegu, powiadasz? Konradswaldau należy do Haugwitzów. Na Jankowicach siedzą Bischofsheimowie, Hermsdorf to dobra Gallów... Na Schönau zaś, z tego, co mi wiadomo, siedzi cześnik Bertold de Apolda...

– Czy któryś ma córkę? Młodą, jasnowłosą...

– Aż tak daleko – uciął Horn – moje rozeznanie nie sięga. I nie zwykło sięgać. A i tobie to odradzam, Lancelocie. Zwykłą ciekawość panowie rycerze potrafią znieść, ale bardzo nie lubią, gdy ktoś zanadto interesuje się ich córkami. I żonami...

– Pojmuję.

– To dobrze.

Rozdział siódmy

w którym Reynevan i jego kompania zjeżdżają do Strzelina w wigilię Wniebowzięcia Marii i, jak się okazuje, rychtyk na palenie. Potem zaś ci, co powinni, słuchają nauk kanonika wrocławskiej katedry. Jedni z większą, inni mniejszą ochotą.

Za wsią Höckricht, w bliskości Wiązowa, pusty dotąd gościniec zaludnił się nieco. Oprócz chłopskich fur i kupieckich wozów pojawili się także konni i zbrojni, toteż Reynevan uznał za wskazane nakryć głowę kapturem. Za Höckricht wiodąca wśród malowniczych brzezin droga znowu opustoszała, a Reynevan odetchnął. Przedwcześnie nieco.

Belzebub po raz kolejny dał dowód wielkiej psiej mądrości. Do tej pory nie warknął nawet na mijających ich żołdaków, teraz, niezawodnie czując intencje, krótkim, acz ostrym szczekiem ostrzegł przed zbrojnymi na koniach, którzy niespodziewanie wyłonili się z brzezin po obu stronach drogi. Zawarczał też złowrogo, gdy na jego widok jeden z towarzyszących rycerzom pachołków ściągnął kuszę z pleców.

– Hej, wy tam! Stój! – krzyknął jeden z rycerzy, młody i piegowaty jak przepiórcze jajo. – Stój, powiadam! Na miejscu!

Jadący obok rycerza konny pachołek wsunął stopę w strzemiączko kuszy, zręcznie napiął ją i uzbroił bełtem. Urban Horn lekkim stępem wyjechał nieco do przodu.

– Nie poważ się strzelać do psa, Neudeck. Przyjrzyj mu się wpierw. I dojdź do wniosku, żeś go już kiedyś widział.

– Na pięć ran boskich! – Piegowaty dłonią przesłonił oczy, by uchronić je od oślepiającej migotaniny szarpanych wiatrem brzozowych liści. – Horn? Tyżeś to w samej rzeczy?

– Nie kto inny. Każ pachołowi kuszy niechać.

– Jasne, jasne. Ale psa trzymaj. Nadto my tu w śledztwie. W pościgu. Spytać cię tedy muszę, Horn, kto tu z tobą? Kto jedzie?

– Uściślijmy wpierw – powiedział chłodno Urban Horn – rzecz taką: za kimż to waszmościowie w pościgu? Bo jeśli za złodziejami bydła, przykładowo, to my odpadamy. Z wielu przyczyn. *Primo*: nie mamy bydła. *Secundo*...

– Dobra, dobra – piegowaty zdążył już przyjrzeć się księdzu i rabinowi, pogardliwie machnął ręką. – Rzeknij mi jeno: znasz tych wszystkich?

– Znam. Wystarczy?

– Wystarczy.

– Wybaczenia prosim, wielebny – drugi rycerz, w saladzie i pełnej zbroi, skłonił się lekko przed proboszczem Granciszkiem – ale my nie dla krotochwili bynajmniej inkomodujemy. Popełniono zbrodnię, a my za mordercą śladem. Z rozkazu pana von Reideburga, strzelińskiego starosty. Ów to urodzony pan Kunad von Neudeck. Jam zaś jest Eustachy von Rochow.

– Cóż to za zbrodnia? – spytał pleban. – Na Boga! Zabito kogo?

– Zabito. Niedaleko stąd. Urodzonego Albrechta Barta, pana na Karczynie.

Czas jakiś panowała cisza. W której rozległ się głos Urbana Horna. A był to głos zmieniony.

– Jak? Jak to się stało?

– Dziwnie się to stało – odrzekł wolno Eustachy von Rochow, po chwili, którą poświęcił na podejrzliwe przyglądanie się. – Po pierwsze: w samiuśkie południe. Po drugie: w walce. Gdyby to nie było niemożliwe, powiedziałbym, że w pojedynku. To był jeden człowiek, konno, zbrojno. Pchnięciem miecza ubił, a bardzo pewnym, wielkiej wymagającym wprawy. W twarz. Między nos a oko.

– Gdzie?

– Ćwierć mili za Strzelinem. Wracał był pan Bart z gościny u sąsiada.

– Sam? Bez ludzi?

– Tak jeździł. Nie miał wrogów.

– Wieczne odpoczywanie – zamruczał ksiądz Granciszek – racz mu dać, Panie. A światłość...

– Nie miał wrogów – powtórzył, przerywając modły, Horn. – Ale podejrzani są?

Kunad Neudeck podjechał bliżej wozu, z wyraźnym zainteresowaniem przyjrzał się biustowi Doroty Faber. Kurtyzana obdarzyła go ślicznym uśmiechem. Eustachy von Rochow też podjechał. I też wyszczerzył zęby. Reynevan był bardzo rad. Bo na niego nie patrzył nikt.

– Podejrzanych – Neudeck oderwał wzrok – jest kilku. Po okolicy pałętało się trochę podejrzanego towarzystwa. Jakaś pogoń, jakaś

rodowa wróżda, coś w tej podobie. Widziano tu nawet takich osobników jak Kunz Aulock, Walter de Barby i Stork z Gorgowic. Krąży plotka, że jakiś młodzik żonę zbałamucił rycerzowi, a ów rycerz nie na żarty zawziął się na gaszka. I goni za nim.

– Wykluczyć nie lza – dodał von Rochow – że to ów ścigany gaszek, trafunkiem na pana Barta wpadłszy, spanikował i pana Barta ubił.

– Jeśli tak – Urban Horn podłubał w uchu – to łatwo go dostaniecie, tego, jak mówicie, gaszka. Musi mieć więcej niż siedem stóp wzrostu i ze cztery w barach. Takiemu trochę ciężko utaić się wśród zwyczajnych ludzi.

– Prawda – przyznał ponuro Kunad Neudeck. – Ułomkiem pan Bart nie był, byle chmyzowi by się nie dał... Ale może być, że tam czary albo gusła użyte były. Mówią, ów uwodziciel żon cudzych czarownikiem jest zarazem.

– Matko Przenajświętsza! – wykrzyknęła Dorota Faber, a ksiądz Filip się przeżegnał.

– A zresztą – dokończył Neudeck – okaże się, co i jak. Bo gdy my tego gaszka dopadniemy, to już go wypytamy o szczegóły, oj, wypytamy... A rozpoznać go tak czy siak trudno nie będzie. Wiemy, że wdały jest i na siwym jedzie koniu. Gdybyście takiego napotkali...

– Nie omieszkamy donieść – obiecał spokojnie Urban Horn. – Wdały młodzik, siwy koń. Nie da się przeoczyć. Ani z niczym pomylić. Bywajcie.

– Panowie wiedzą może – zainteresował się ksiądz Granciszek – czy w Strzelinie nadal bawi kanonik wrocławski?

– W samej rzeczy. Sądy odprawuje u dominikanów.

– Jestli to jego miłość notariusz Lichtenberg?

– Nie – zaprzeczył von Rochow. – Zwie się Beess. Otto Beess.

– Otto Beess, prepozyt od świętego Jana Chrzciciela – zamruczał ksiądz, gdy tylko rycerze pana starosty ruszyli w swoją drogę, a Dorota Faber popędziła wałacha. – Surowy to mąż. Wielce surowy. Oj, rabbi, marne nadzieje, by ci posłuchanie dał.

– Otóż nie – odezwał się Reynevan, rozpromieniony od chwil paru. – Będziecie przyjęci, rabbi Hiramie. Przyrzekam wam to.

Wszyscy spojrzeli na niego, Reynevan zaś uśmiechnął się tylko tajemniczo. Po czym, wesół wielce, zeskoczył z wozu i szedł obok. Został nieco z tyłu, wówczas podjechał do niego Horn.

– Teraz widzisz – rzekł z cicha – jak to jest, Reinmarze Bielau. Jak szybko się osława przykleja. Po okolicy jeżdżą najemne zbiry, łotry pokroju Kyrielejsona i Waltera de Barby, a zabiją kogo, na ciebie pierwszego pada podejrzenie. Zauważasz ironię losu?

– Zauważam – odmruknął Reynevan – dwie rzeczy. Pierwsza, to że jednak wiesz, kim jestem. Zapewne od samego początku.

– Zapewne. A druga?

– Żeś znał tego zamordowanego. Owego Albrechta Barta z Karczyna. I głowę dam, że do Karczyna właśnie jedziesz. Albo jechałeś.

– No proszę – rzekł po chwili Horn – jakiś ty bystry. I jaki pewny siebie. Nawet wiem, skąd ta pewność wypływa. Dobrze mieć znajomków na wysokich stanowiskach, co? Wrocławskich kanoników? Człowiek od razu czuje się lepiej. I bezpieczniej. Złudne to jednak bywa uczucie, oj, złudne.

– Wiem – kiwnął głową Reynevan. – Cały czas pamiętam o wykrocie. O humorach i fluidach.

– I bardzo dobrze, że pamiętasz.

●

Droga wiodła pod wzgórze, na którym stała szubienica, na owej zaś wisieli trzej wisielcy, wszyscy wysuszeni jak sztokfisze. A w dole rozłożył się przed podróżnymi Strzelin, z jego barwnym podgrodziem, murem miejskim, zamkiem z czasów Bolka Surowego, wielce starożytną rotundą świętego Gotarda i nowoczesnymi wieżami kościołów klasztornych.

– Oj – zauważyła Dorota Faber. – Coś tam się dzieje. Święto jakie dziś czy co?

W samej rzeczy, na wolnej przestrzeni pod murem miejskim zebrał się całkiem spory tłum. Od strony bramy widać zaś było zmierzający w tamtą stronę pochód.

– Procesja chyba.

– Misteria raczej – stwierdził Granciszek. – Toć dziś czternasty sierpnia, wigilia Wniebowzięcia Maryi Dziewicy. Jedźmy, jedźmy, panno Doroto. Zobaczmy z bliska.

Dorota cmoknęła na wałacha. Urban Horn przywołał brytana i wziął go na smycz, świadom widocznie, że wśród ciżby nawet tak mądry pies jak Belzebub może stracić panowanie nad sobą.

Idący od strony miasta pochód zbliżył się na tyle, by można było w nim rozróżnić kilku duchownych w szatach liturgicznych, kilku biało-czarnych dominikanów, kilku burych franciszkanów, kilku konnych rycerzy w ozdobionych herbami jakach, kilku mieszczan w sięgających niemal ziemi deliach. I kilkunastu halabardników w żółtych tunikach i matowo połyskujących kapalinach.

– Biskupie wojsko – pouczył z cicha Urban Horn, po raz któryś dowodząc dobrego poinformowania. – A ten wielki rycerz, ten na gniadoszu, ze znakiem szachownicy, to Henryk von Reideburg, starosta strzeliński.

Żołnierze biskupi prowadzili pod ręce troje ludzi, dwóch mężczyzn i kobietę. Kobieta miała na sobie białe giezło, jeden z mężczyzn nosił szpiczastą, jaskrawo pomalowaną czapkę.

Dorota Faber strzeliła lejcami, krzyknęła na wałacha i na niechętnie rozstępujący się przed wozem tłum mieszczan. Zjechawszy z pagórka, pasażerowie wozu stracili jednak widoczność – by widzieć cokolwiek, musieli wstać, a do tego wehikuł trzeba było zatrzymać. I tak zresztą nie dało się jechać dalej, ciżba stała się już zbyt gęsta.

Wstawszy, Reynevan zobaczył głowy i ramiona owych trojga, dwóch mężczyzn i niewiasty. I wznoszące się powyżej głów pale, do których byli oni przywiązani. Stosów chrustu, które piętrzyły się pod palami, nie widział. Ale wiedział, że tam były.

Słyszał głos, podniesiony i gromki, ale niewyraźny, tłumiony i rwany trzmielim buczeniem tłumu. Z trudem rozpoznawał słowa.

– Zbrodnie przeciwko ładowi społecznemu wymierzone... *Errores Hussitarum... Fides haeretica...* Bluźnierstwo i świętokradztwo... *Crimen...* W śledztwie udowodnione...

– Zdaje się – powiedział stojący w strzemionach Urban Horn – że zaraz dokona się tu naoczne podsumowanie naszej podróżnej dysputy.

– Na to patrzy – przełknął ślinę Reynevan. – Hej, ludzie! Kogóż to tracić będą?

– Haratyków – wyjaśnił, odwracając się, mężczyzna o wyglądzie żebraka. – Złapali haratyków. Powiadają, husów czy jakoś tak...

– Nie husów, jeno husonów – poprawił drugi, podobnie obdarty, z identycznym polskim akcentem. – Palić ich będą za świętokradztwo. Bo gęsiom komunię podawali.

– Ech, ciemnota! – skomentował z drugiej strony wozu pątnik z naszytymi na płaszczu muszlami. – Nic nie wiedzą!

– A ty wiesz?

– Wiem... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – pątnik dostrzegł tonsurę księdza Granciszka. – Kacerze zowią się husyci, a bierze się to od ichniego proroka Husa, nie zaś od gęsiów. Oni mówią, husyci znaczy, że czyśćca nie masz wcale, a komunię przyjmują sposobem oboim, czyli *sub utraque specie*. Po temu i mówią też na nich: utrakwiści...

– Nie udzielaj nam nauk – przerwał Urban Horn – bośmy już uczeni. Tamtych troje, pytam, za co palić będą?

– A tego to ja nie wiem. Ja nietutejszy.

– Ten tam – pospieszył z wyjaśnieniem jakiś tutejszy, wnosząc z upapranej gliną jupy, ceglarz. – Ten w czapce haniebnej to Czech, husycki wysłannik, ksiądz odstępca. W przebraniu z Taboru przywędrował, ludzi do buntu podżegał, do palenia kościołów. Rozpoznali go jego właśni rodacy, ci, co po roku dziewiętnastym z Pragi zbiegli. A ten drugi to Antoni Nelke, nauczyciel szkoły parafialnej, tutejszy Czecha kacerza wspólnik. Schronienie mu dał i wraz z nim pisma husyckie rozprowadzał.

– A niewiasta?

– Elżbieta Ehrlichowa. Ona całkiem z innej beczki. Przy okazji. Męża swego jadem otruła z miłośnikiem w zmowie. Miłośnik uszedł, gdyby nie to, też by na stosie stał.

– Wylazło zaś ninie szydło z wora – wtrącił się chudy typ w filcowej czapce, gładko przylegającej do czaszki. – Boć to jej drugi mąż, Ehrlichowej znaczy. Pierwszego niechybnie też otruła, jędza.

– Może otruła, może nie otruła, na dwoje babka wróżyła – włączyła się do dysputy gruba mieszczka w haftowanym półkożuszku. – Powiadają, ten poprzedni na śmierć się zapił. Szewc był.

– Szewc, nie szewc, otruła go, jak amen w pacierzu – zawyrokował chudy. – Musiały tam i czary jakoweś w robocie być, że pod dominikańskie sądy podpadła...

– Kiedy otruła, to dobrze jej tak.

– Pewnie, że dobrze!

– Cichajcie! – zawołał, wyciągając szyję, proboszcz Granciszek. – Wyrok księża czytają, a nie słychać nic.

– A po co ma być słychać? – zadrwił Urban Horn. – Przecie wszystko wiadomo. Ci na stosach to *haeretici pessimi et notorii*. A Kościół, który krwią się brzydzi, zdaje ukaranie winnych na *brachium saeculare*, świeckie ramię...

– Cichajcie, mówiłem!

– *Ecclesia non sitit sanguinem* – dobiegł od strony stosów rwany wiatrem i tłumiony pomrukiem ciżby głos. – Kościół nie pragnie krwi i wzdraga się przed nią... Niechaj wymierzy tedy sprawiedliwość i karę *brachium saeculare*, ramię świeckie. *Requiem aeternam dona eis...*

Tłum zaryczał wielkim głosem. Przy stosach coś się działo. Reynevan wstał, ale za późno. Kat był już przy kobiecie, coś zrobił za jej plecami, jakby poprawiał krępujący szyję powróz. Głowa kobiety opadła na ramię, miękko, jak podcięty kwiat.

– Zdusił ją – westchnął cicho proboszcz, zupełnie jakby wcześniej czegoś podobnego nie widywał. – Kark jej złomił. Temu nauczycielowi też. Musieli oboje w śledztwie skruchę okazać.

– I kogoś wsypać – dodał Urban Horn. – Normalka.

Motłoch wył i pomstował, niezadowolony z łaski okazanej nauczycielowi i trucicielce. Krzyk przybrał na sile, gdy z wiązek chrustu buchnął żywy płomień, buchnął gwałtownie, w okamgnieniu ogarniając całe stosy wraz z palami i przywiązanymi do nich ludźmi. Ogień zahuczał, wzbił się wysoko, tłum, uderzony żarem, cofnął się, przez co ścisk zrobił się jeszcze większy.

– Partanina! – krzyknął ceglarz. – Gówniana robota! Suchy wzięli chrust, suchy! Jako ta słoma!

– Iście, partanina – ocenił chudy w filcowej czapce. – Husyta ani głosu wydać nie zdołał! Nie umieją palić. U nas, we Frankonii, opat z Fuldy, oho, ten potrafił! Sam stosy dozorował. Tak kazał bierwiona układać, że wpierw same nogi smażył, do kolan, potem zasię wyżej, do jajec, potem...

– Złodziej! – cienko zawyła skryta w tłumie kobieta. – Złooodzieeeeej! Łapaj złodzieja!

Gdzieś pośród ciżby płakało dziecko, ktoś przygrywał na fujarce, ktoś rzucał kurwami, ktoś śmiał się, zanosił nerwowym, kretyńskim śmiechem.

Stosy huczały ogniem, biły silnymi podmuchami żaru. Wiatr zawiał w stronę podróżnych, przynosząc ohydny, duszący, słodkawy zapach

palonego trupa. Reynevan zasłonił nos rękawem. Ksiądz Granciszek zakasłał, Dorota zakrztusiła się, Urban Horn splunął, krzywiąc się niemiłosiernie. Wszystkich zaskoczył natomiast rabbi Hiram. Żyd wychylił się z wozu i równie gwałtownie co obficie zwymiotował – na pątnika, na ceglarza, na mieszczkę, na Frankończyka tudzież na wszystkich innych, będących w pobliżu. Dookoła natychmiast zrobiło się luźno.

– Proszę wybaczyć... – zdołał wybełkotać rabbi między kolejnymi paroksyzmami. – To nie jest żadna polityczna demonstracja. To jest zwyczajny rzyg.

●

Kanonik Otto Beess, prepozyt od świętego Jana Chrzciciela, usiadł wygodniej, poprawił pileus, przyjrzał się kołysanemu w pucharze klaretowi.

– Bardzo proszę – powiedział swym zwykłym zgrzytliwym głosem – dopilnować, by dokładnie uprzątnięto i wygrabiono pogorzelisko. Wszystkie szczątki, nawet najmniejsze, proszę zebrać i rozsypać do rzeki. Mnożą się bowiem przypadki zbierania zwęglonych kosteczek. I czczenia ich jak relikwii. Proszę, by szanowni rajcowie zadbali o to. A bracia dojrzeli zadbania.

Obecni w zamkowej komnacie strzelińscy rajcowie skłonili się w milczeniu, dominikanie i Bracia Mniejsi schylili tonsury. I jedni, i drudzy wiedzieli, że kanonik zwykł prosić, nie rozkazywać. Wiedzieli też, że różnica była tylko w słowie.

– Braci Predykantów – kontynuował Otto Beess – proszę o to, by nadal, zgodnie z wytycznymi bulli *Inter cunctas*, z czujnością śledzili wszelkie przejawy kacerstwa i działalności taboryckich emisariuszy. I meldowali o najmniejszych nawet i pozornie nieznaczących rzeczach z taką działalnością związanych. Liczę tu też na pomoc ramienia świeckiego. O którą proszę was, szlachetny panie Henryku.

Henryk Reideburg schylił głowę, ale nieznacznie, po czym zaraz wyprostował swą potężną postać w ozdobionym szachownicą wapenroku. Starosta Strzelina nie krył dumy i buty, nawet nie próbował udawać uniżonego i potulnego. Widać było, że wizytację kościelnej hierarchii toleruje, bo musi, ale tylko czeka na to, by kanonik wreszcie wyniósł się z jego terenu.

Otto Beess wiedział o tym.

– Proszę też, panie starosto Henryku – dodał – o dołożenie większych niż dotychczas starań w śledztwie w sprawie dokonanego pod Karczynem morderstwa pana Albrechta von Barta. Kapituła żywo zainteresowana jest wykryciem sprawców tej zbrodni. Pan von Bart, mimo pewnej ostrości i kontrowersyjności poglądów, był człekiem zacnym, *vir rarae dexteritatis*, wielkim dobroczyńcą henrykowskich i krzeszowskich cystersów. Domagamy się, by jego morderców spotkała zasłużona kara. Oczywista, idzie o morderców prawdziwych. Kapituły nie zadowoli obarczanie winą wróbla w garści. Nie wierzymy bowiem, by pan Bart zginął z ręki tych dziś spalonych wiklefistów.

– Mogli mieć – odchrząknął Reideburg – husyci owi jakowychś wspólników...

– Nie wykluczamy tego – kanonik przewiercił rycerza wzrokiem. – Nie wykluczamy niczego. Nadajcie, rycerzu Henryku, większy rozmach śledztwu. Poproście, jeśli trzeba, o pomoc starostę świdnickiego, pana Albrechta von Kolditz. Poproście zresztą, kogo tylko chcecie. Byleby były efekty.

Henryk Reideburg skłonił się sztywno. Kanonik odkłonił się, ale dość niedbale.

– Dziękuję wam, szlachetny rycerzu – przemówił głosem brzmiącym jak otwieranie zardzewiałej bramy cmentarnej. – Nie zatrzymuję was dłużej. Panom rajcom i świątobliwym braciom dziękuję również. Nie przeszkadzam w obowiązkach, których, tuszę, macie obfitość.

Starosta, rajcy i mnisi wyszli, szurając ciżmami i sandałami.

– Panowie klerycy i diakoni – dodał po chwili kanonik wrocławskiej katedry – również, jak mniemam, pamiętają o swoich obowiązkach. Proszę tedy przystąpić do nich. Niezwłocznie. Brat sekretarz i ojciec spowiednik zostają. Także...

Otto Beess uniósł głowę i przeszył Reynevana wzrokiem.

– Także ty zostajesz, chłopcze. Mam z tobą do pogadania. Ale wpierw przyjmę petentów. Proszę wezwać proboszcza z Oławy.

Ksiądz Granciszek, gdy wszedł, mienił się na twarzy, w sposób zgoła niepojęty blednąc i czerwieniejąc na przemian. Natychmiast ukląkł. Kanonik nie nakazał mu wstać.

– Twój problem, ojcze Filipie – zaczął zgrzytliwie – to brak szacunku i zaufania do zwierzchności. Indywidualność i własne zdanie są i

owszem, cenne, znacznie niekiedy bardziej warte uznania i pochwały niźli tępe i baranie posłuszeństwo. Aliści są takie sprawy, w których zwierzchność ma rację absolutną i jest nieomylna. Jak dla przykładu nasz papież Marcin V w sporze z koncyliarystami, różnymi Gersonami i różnymi Polaczkami: Włodkowicami, Wyszami i Łaskarzami, którzy chcieliby każdą decyzję Ojca Świętego poddawać pod dyskusję. I interpretować wedle własnego widzimisię. A to nie tak, nie tak! *Roma locuta, causa finita*.

– Dlatego też, drogi ojcze Filipie, jeśli kościelna zwierzchność mówi ci, o czym masz kazać, to masz być posłuszny. Nawet jeśli twa indywidualność protestuje i krzyczy, masz być posłuszny. Bo najwyraźniej idzie o cel wyższy. Od ciebie, naturalnie. I od całej twojej parafii. Widzę, że chcesz coś powiedzieć. Mów tedy.

– Trzy czwarte moich parafian – wymamrotał ksiądz Granciszek – to ludzie niezbyt rozgarnięci, rzekłbym, *pro maiori parte illiterati et idiotae*. Ale jest jeszcze ta jedna czwarta. Ta, której nijak mi w kazaniach mówić to, co zaleca kuria. Mówię, owszem, że husyci to kacerze, mordercy i zwyrodnialcy, a Żiżka i Koranda to diabły wcielone, zbrodniarze, bluźniercy i świętokradcy, że czeka ich wieczyste potępienie i piekielne męki. Ale nie mogę mówić, że oni jedzą niemowlęta. I że żony u nich są wspólne. I że...

– Nie zrozumiałeś? – przerwał mu ostro kanonik. – Nie pojąłeś moich słów, plebanie? *Roma locuta!* A dla ciebie Roma to Wrocław. Masz kazać, jak ci kazano, kaznodziejo. O wspólnych żonach, o zjadanych niemowlętach, o żywcem gotowanych mniszkach, o wyrywaniu języków katolickim księżom, o sodomii. Gdy otrzymasz takie wytyczne, będziesz kazał, że od komunii z kielicha husytom rosną włosy na podniebieniach i psie ogony u zadków. Ja wcale nie żartuję, widziałem odpowiednie pisma w biskupiej kancelarii.

– Zresztą – dodał, patrząc z lekkim politowaniem na skurczonego Granciszka – skąd wiesz, że nie rosną im ogony? Byłeś w Pradze? Na Taborze? W Hradcu Kralove? Przyjmowałeś komunię *sub utraque specie*?

– Nie! – omal nie udławił się wdechem proboszcz. – Nijak!

– To i bardzo dobrze. *Causa finita*. Audiencja też. We Wrocławiu powiem, że wystarczyło upomnienia, że już nie będzie z tobą kłopotów. Teraz zaś, byś nie odniósł wrażenia nadaremnej peregrynacji,

wyspowiadasz się mojemu spowiednikowi. I odbędziesz pokutę, którą ci zada. Ojcze Felicjanie!

– Tak, wasza przewielebność?

– Leżenie krzyżem przed głównym ołtarzem u świętego Gotarda, noc całą, od komplety do prymy. Reszta do twego uznania.

– Niech Bóg ma w opiece...

– Amen. Bywaj w zdrowiu, proboszczu.

Otto Beess westchnął, wyciągnął pusty puchar w stronę kleryka, który natychmiast nalał weń klaretu.

– Dziś już żadnych petentów. Pozwól, Reinmarze.

– Wielebny ojcze... Zanim... Mam prośbę...

– Słucham cię.

– Towarzyszył mi w drodze i przybył wraz ze mną rabin z Brzegu...

Otto Beess gestem wydał polecenie. Za chwilę kleryk wprowadził Hirama ben Eliezera. Żyd skłonił się głęboko, zamiótł podłogę lisią czapą. Kanonik przypatrywał mu się bacznie.

– Czegóż to – zazgrzytał – życzy sobie ode mnie rzecznik brzeskiego kahału? W jakiej sprawie przybywa?

– Czcigodny pan ksiądz pyta, w jakiej sprawie? – uniósł krzaczaste brwi rabbi Hiram. – Boże Abrahama! A w jakiej, pytam ja się, sprawie może przychodzić Żyd do czcigodnego pana kanonika? O co może, pytam ja się, chodzić? To ja odpowiadam, że o prawdę. Prawdę ewangeliczną.

– Prawdę ewangeliczną?

– Nie inaczej.

– Mów, rabbi Hiramie. Nie każ mi czekać.

– Jak czcigodny pan ksiądz rozkaże, to ja zaraz mówię, czemu ja nie mam mówić? Mówię tak: chodzą różni ichmoście po Brzegu, po Oławie, po Grodkowie, a i po wsiach okolicznych, i nawołują, by bić niecnych morderców Jezusa Chrystusa, by rabować ich domy i hańbić ich żony i córki. Na czcigodnych panów prałatów powołują się owi wołacze, że niby to po boskiej i biskupiej woli takie bicie, grabież i gwałcenie.

– Mów dalej, przyjacielu Hiramie. Wszak widzisz, żem cierpliwy.

– Cóż tu mówić wiele? Ja, rabbi Hiram ben Eliezer z kahału brzeskiego, upraszam czcigodnego pana księdza, by pilnować prawd ewangelicznych. Jeśli już mus bić i grabić morderców Jezusa Chrystusa,

to proszę bardzo, bić! Ale, na praojca Mojżesza, bijcież tych właściwych. Tych, co ukrzyżowali. Znaczy się, Rzymianów!

Otto Beess milczał długo, przypatrując się rabinowi spod półprzymkniętych powiek.

– Taak – przemówił wreszcie. – A wiesz ty, przyjacielu Hiramie, że za takie gadanie mogą cię zamknąć? Mówię oczywiście o władzach świeckich. Kościół jest wyrozumiały, ale *brachium saeculare* potrafi być ciężkie, gdy idzie o bluźnierstwo. Nie, nie, nic nie mów, przyjacielu Hiramie. Mówił będę ja.

Żyd ukłonił się. Kanonik nie zmienił pozycji na fotelu, nie drgnął nawet.

– Ojciec Święty Marcin, piąty tego imienia, idąc śladem swych światłych poprzedników, oświadczyć był raczył, że Żydzi wbrew pozorom są stworzeni na podobieństwo Boże i część z nich, jakkolwiek mała, dostąpi zbawienia. Niestosowne jest wobec tego prześladowanie ich, dyskryminowanie, represjonowanie, ciemiężenie i wszelkie inne gnębienie, w tej liczbie chrzczenie pod przymusem. Nie wątpisz chyba, przyjacielu Hiramie, że wola papieża jest dla każdego duchownego rozkazem. A może w to wątpisz?

– Jak ja mogę wątpić? Toć już chyba dziesiąty z rzędu pan papież mówi o tym... Tedy musi to być prawda, ani chybi...

– Jeśli nie wątpisz – przerwał kanonik, udając, że nie słyszy drwiny – to musisz rozumieć, że oskarżanie duchownych o podżeganie do ataków na Izraelitów jest potwarzą. Dodam: karygodną potwarzą.

Żyd ukłonił się w milczeniu.

– Rzecz jasna – Otto Beess zmrużył lekko oczy – ludzie świeccy o nakazach papieskich wiedzą mało albo zgoła nic. Także z Pismem Świętym im nielekko. Są to bowiem, jak to ktoś mi całkiem niedawno rzekł, *pro maiori parte illiterati et idiotae*.

Rabbi Hiram nie drgnął nawet.

– Twoje zaś izraelickie plemię, rabbi – ciągnął kanonik – z upodobaniem i uporem dostarcza motłochowi pretekstów. Już to dżumy epidemię wywołacie, studnie zatruwszy, już to dzieweczkę niewinną chrześcijańską zamęczycie, już to z dziecięcia krew na macę spuścicie. Kradniecie i bezcześcicie hostie. Trudnicie się bezecną lichwą, a z dłużnika, który waszych złodziejskich procentów nie może

spłacić, żywe mięsa kawałki wyrzynacie. I różnym innym plugawym procederem się paracie. Jak mniemam.

– Cóż uczynić trzeba, czcigodnego pana księdza zapytuję – zapytał po pełnej napięcia chwili Hiram ben Eliezer. – Cóż uczynić, by owe rzeczy się nie zdarzały? Znaczy się, studni zatruwanie, dzieweczek męczenie, krwi spuszczanie i hostii bezczeszczenie? Cóż, zapytuję, potrzebne jest?

Otto Beess milczał długo.

– Lada dzień – rzekł wreszcie – będzie obwołany specjalny, jednorazowy, obejmujący wszystkich podatek. Na krucjatę antyhusycką. Każdy Żyd będzie musiał zapłacić jednego guldena. Gmina brzeska ponad to, co dać musi, dołoży z dobrej woli... Tysiąc guldenów. Dwieście pięćdziesiąt grzywien.

Rabin kiwnął brodą. Nie próbując się targować.

– Wspólnemu dobru – zaznaczył bez specjalnego nacisku kanonik – posłużą te pieniądze. I wspólnej, powiedziałbym, sprawie. Kacerze czescy zagrażają nam wszystkim. Oczywiście, najbardziej nam, prawym katolikom, ale i wy, Izraelici, nie macie powodów, by husytów kochać. Wprost, powiedziałbym, przeciwnie. Dość będzie przypomnieć marzec roku dwudziestego drugiego, krwawy pogrom na Starym Mieście praskim. Późniejsze rzezie Żydów w Chomutowie, Kutnej Horze i Pisku. Będzie więc, Hiramie, okazja datkiem choćby przyczynić się do pomsty.

– Pomsta jest moja – odrzekł po chwili Hiram ben Eliezer. – Tak mówi Pan, Adonai. Nikomu, mówi Pan, nie oddawajcie złem za złe. A Pan nasz, jak zaświadcza prorok Izajasz, hojny jest w przebaczaniu.

– Poza tym – dodał cicho rabin, widząc, że kanonik milczy z dłonią przyłożoną do czoła – husyci mordują Żydów od sześciu lat zaledwie. Cóż jest sześć wobec tysiąca?

Otto Beess uniósł głowę. Jego oczy były zimne jak stal.

– Źle skończysz, przyjacielu Hiramie – zgrzytnął. – Boję się o ciebie. Odejdź w pokoju.

– Teraz – rzekł, gdy za Żydem zawarły się drzwi – kolej wreszcie na ciebie, Reinmarze. Porozmawiamy. Sekretarzem i klerykiem przejmować się nie musisz. To ludzie zaufani. Są obecni, ale tak, jakby ich nie było.

Reynevan odchrząknął, ale kanonik nie dopuścił go do głosu.

– Książę Konrad Kantner przybył do Wrocławia cztery dni temu, na świętego Wawrzyńca. Z orszakiem złożonym z potwornych plotkarzy.

Sam książę też do dyskretnych nie należy. Tym samym nie tylko ja, ale i cały bez mała Wrocław orientuje się już w zawiłościach pozamałżeńskiej afery Adeli, żony Gelfrada de Stercza.

Reynevan odchrząknął znowu, spuścił głowę, nie mogąc znieść świdrującego spojrzenia. Kanonik złożył dłonie jak do modlitwy.

– Reinmarze, Reinmarze – przemówił z nieco sztuczną egzaltacją. – Jak mogłeś? Jak mogłeś tak obrazić prawo boskie i ludzkie? Powiedziane jest wszak: we czci niech będzie małżeństwo i łoże nieskalane, gdyż rozpustników i cudzołożników osądzi Bóg. Ja zaś dodam od siebie jeszcze, że nader często zdradzonym mężom zbyt nierychliwa zdaje się sprawiedliwość boża. I nader często sami ją wymierzają. Srogo wymierzają.

Reynevan chrząknął jeszcze głośniej i pochylił głowę jeszcze niżej.

– Aha – domyślił się Otto Beess. – Już za tobą gonią?

– Gonią.

– Na pięty następują?

– Następują.

– Głupcze młody! – przemówił po chwili milczenia duchowny. – W Narrenturmie cię zamknąć, ot co! W Wieży Błaznów. Świetnie byś pasował do tamtejszych lokatorów.

Reynevan pociągnął nosem i zrobił minę, w jego własnym mniemaniu skruszoną. Kanonik pokiwał głową, westchnął głęboko, splótł palce.

– Nie dało się strzymać, co? – spytał ze znawstwem. – Śniła się po nocach?

– Nie dało – przyznał Reynevan, czerwieniejąc. – Śniła się.

– Wiem, wiem – Otto Beess oblizał usta, a oczy rozbłysły mu nagle. – Wiem ci ja, że słodki jest owoc zakazany, że chce się, oj, chce się obejmować piersi nieznanej. Wiem ci ja, że miód wycieka z warg obcej, a podniebienie jej gładkie jak olej. Lecz w końcu, wierz mi, mądrze uczą *Proverbia* Salomonowe: będzie ona gorzka niby piołun i ostra jak miecz obosieczny, *amara quasi absinthium et acuta quasi gladius biceps*. Strzeż się, synu, byś nie spłonął dla niej jako ta ćma w płomieniu. Byś nie podążył za nią ku śmierci, nie przepadł w Otchłani. Posłuchaj słów mądrych Pisma: idź drogą swą od niej daleko, pod drzwi jej domu nie podchodź, *longe fac ab ea viam tuam et ne adpropinques foribus domus eius*.

– Pod drzwi jej domu nie podchodź – powtórzył kanonik, a z głosu jego, jak zdmuchnięta wiatrem, znikła kaznodziejska egzaltacja. – Nadstaw no uszu, Reinmarze Bielau. Dobrze zakonotuj sobie słowa Pisma i moje. Dobrze wryj je sobie w pamięć. Posłuchaj rady: trzymaj się z daleka od wiadomej osoby. Nie rób tego, co zamierzasz zrobić, a co czytam w twoich oczach, smyku. Trzymaj się od niej z daleka.

– Tak, wielebny ojcze.

– Aferę z czasem załagodzi się jakoś. Sterczów postraszy się kurią i landfrydem, udobrucha zwyczajową nawiązką dwudziestu grzywien, zwykłą karę dziesięciu grzywien trzeba też będzie zapłacić magistratowi Oleśnicy. Wszystko to niewiele więcej niż wartość dobrego rasowego konia, tyle zdołasz zebrać z brata pomocą, a trzeba będzie, dołożę. Twój stryj, scholastyk Henryk, dobrym był mi przyjacielem. I nauczycielem.

– Dzięki niech będą...

– Ale nic nie poradzę – przerwał ostro kanonik – gdy cię złapią i utłuką. Pojmujesz to, narwany głupku? Masz raz na zawsze wybić sobie z głowy żonę Gelfrada Sterczy, masz wybić sobie z głowy odwiedzanie jej potajemne, listy, posłańców, wszystko. Masz zniknąć. Wyjechać. Sugeruję Węgry. Od razu, nie mieszkając. Zrozumiałeś?

– Chciałbym wcześniej do Balbinowa... Do brata...

– Absolutnie nie pozwalam – uciął Otto Beess. – Ci, co cię ścigają, z pewnością to przewidzieli. Podobnie zresztą jak wizytę u mnie. Zapamiętaj: gdy się ucieka, ucieka się jak wilk. Nigdy po ścieżkach, którymi się kiedyś chodziło.

– Ale brat... Peterlin... Jeśli naprawdę muszę wyjechać...

– Ja sam, przez zaufanych posłańców, uwiadomię o wszystkim Peterlina. Tobie zaś zabraniam tam jeździć. Zrozumiałeś, szaleńcze? Nie wolno ci podróżować po ścieżkach, które twoi wrogowie znają. Nie wolno ci pojawiać się w miejscach, gdzie mogą na ciebie czekać. A to znaczy, że w żadnym razie do Balbinowa. I w żadnym razie do Ziębic.

Reynevan słyszalnie westchnął, a Otto Beess słyszalnie zaklął.

– Nie wiedziałeś – wycedził. – Nie wiedziałeś, że ona jest w Ziębicach. To ja, stary dureń, ci to zdradziłem. Cóż, stało się. Ale to bez znaczenia. Obojętne, gdzie ona jest. W Ziębicach, w Rzymie, w Konstantynopolu czy w Egipcie, obojętne. Nie zbliżysz się do niej, synu.

– Nie zbliżę.

– Sam nie wiesz, jak bardzo chciałbym ci wierzyć. Posłuchaj mnie, Reinmarze, a posłuchaj uważnie. Dostaniesz list, zaraz każę sekretarzowi go napisać. Nie obawiaj się, pismo będzie zredagowane tak, że zrozumieć je zdoła tylko adresat. Weźmiesz list i postąpisz jak ścigany wilk. Ścieżkami, którymi nigdy nie chodziłeś i na których szukać cię nie będą, pojedziesz do Strzegomia, do klasztoru karmelitów. Oddasz mój list tamtejszemu przeorowi, on zaś zapozna cię wówczas z pewnym człowiekiem. Temu zaś, gdy zostaniecie sam na sam, powiesz: osiemnasty lipca, rok osiemnasty. On cię wtedy zapyta: gdzie? Odpowiesz: Wrocław, Nowe Miasto. Zapamiętałeś? Powtórz.

– Osiemnasty lipca, rok osiemnasty. Wrocław, Nowe Miasto. A po co to wszystko? Nie rozumiem.

– Gdyby zrobiło się naprawdę niebezpiecznie – wyjaśnił spokojnie kanonik – ja cię nie uratuję. Chyba żebym ostrzygł cię w mnichy i zamknął u cystersów, pod kluczem i za murem, a tego, tuszę, wolałbyś uniknąć. W każdym razie na Węgry wywieźć cię nie zdołam. Ten, którego ci polecam, zdoła. Zapewni ci bezpieczeństwo, a gdy trzeba będzie, obroni. Człek to natury dość kontrowersyjnej, w obyciu częstokroć nieprzyjemny, ale mus ścierpieć, bo w pewnych razach niezastąpiony. Zapamiętaj więc: Strzegom, klasztor braci Zakonu *Beatissimae Virginis Mariae de Monte Carmeli*, na zewnątrz murów miejskich, przy drodze do Bramy Świdnickiej. Zapamiętałeś?

– Tak, wielebny ojcze.

– Wyruszysz bez zwłoki. W Strzelinie i tak zbyt wielu ludzi cię widziało. Zaraz dostaniesz list i hajda w drogę.

Reynevan westchnął. Miał bowiem szczery zamiar pogawędzić jeszcze gdzieś przy piwie z Urbanem Hornem. Horn budził w Reynevanie wielką estymę i admirację, w parze ze swym psem Belzebubem rósł w jego oczach co najmniej do rycerza Yvaina z Lwem. Reynevana bardzo korciło, by złożyć Hornowi pewną propozycję, dotyczącą sprawy o rycerskim właśnie charakterze – wspólnego uwolnienia pewnej uciśnionej niewiasty. Myślał także o pożegnaniu się z Dorotą Faber. Ale cóż, nie traktuje się lekko rad i poleceń ludzi takich jak kanonik Otto Beess.

– Ojcze Ottonie?

– Słucham?

– Kim jest ten człowiek od strzegomskich karmelitów?

Otto Beess milczał przez chwilę.
– Kimś – powiedział wreszcie – dla kogo nie ma rzeczy niemożliwych.

Rozdział ósmy

w którym z początku jest pięknie. A później nie bardzo.

Reynevan był wesół i szczęśliwy. Przepełniała go radość, a wszystko dokoła zachwycało pięknem. Piękna była dolina Górnej Oławy, wcinającej się zakolami w zielone wzgórza. Pięknie dreptał biegnącą wzdłuż rzeki drogą przysadzisty gniady źrebiec, podarunek od kanonika Ottona Beessa. Cudnie śpiewały wśród drzew drozdy, jeszcze cudniej wśród łąk skowronki. Nastrojowo brzęczały pszczoły, żuki i końskie muchy. Wiejący od wzgórz zefirek przynosił upojne wonie – już to jaśminu, już to czeremchy. Już to gówna – były widać w okolicy ludzkie sadyby.

Reynevan był wesół i szczęśliwy. Miał powody.

Nie udało mu się, mimo wysiłków, spotkać ani pożegnać z niedawnymi towarzyszami podróży, żałował tego, zwłaszcza tajemnicze zniknięcie Urbana Horna rozczarowało go mocno. Ale to właśnie wspomnienie Horna natchnęło go do działania.

Oprócz gniadego ogierka z białą strzałką na czole kanonik Otto obdarzył go dodatkowo na drogę trzosem, i to o wiele cięższym niż sakieweczka otrzymana przed tygodniem od Konrada Kantnera. Ważąc trzos w ręce i po wadze domyślając się wewnątrz nie mniej niż trzydziestu praskich groszy, Reynevan po raz kolejny przekonywał się o wyższości stanu duchownego nad rycerskim.

Ów trzos odmienił jego los.

W jednej ze strzelińskich karczem, które odwiedził w poszukiwaniu Horna, napotkał bowiem totumfackiego kanonika, ojca Felicjana, łapczywie wyjadającego z rynki usmażoną w grubych plastrach kiełbasę i popijającego tłustość ciężkim lokalnym piwem. Reynevan z miejsca wiedział, co należy uczynić. I nawet nie musiał się zbytnio wysilać. Księżulo na widok trzosa oblizał się, a Reynevan wręczył mu go bez cienia żalu. I bez liczenia, ile w nim faktycznie jest. Rzecz jasna, natychmiast zdobył wszystkie potrzebne informacje. Ojciec Felicjan powiedział wszystko, ba, był gotów zdradzić dodatkowo kilka sekretów zasłyszanych na spowiedzi, Reynevan jednak odmówił grzecznie,

albowiem imiona penitentów nic mu nie mówiły, a ich grzechy i grzeszki nie interesowały go wcale.

Wyjechał ze Strzelina rankiem. Bez szeląga niemal przy duszy. Ale wesół i szczęśliwy.

Jechał zaś bynajmniej nie tam, dokąd kazał mu jechać kanonik. Nie głównym traktem, na zachód, przez Dębowe Góry, południowym podnóżem Raduni, ku Świdnicy i Strzegomiowi. Całkiem wbrew kategorycznemu zakazowi, obróciwszy się do masywu Raduni i Ślęży plecami, Reynevan jechał na południe, w górę Oławy, drogą wiodącą do Henrykowa i Ziębic.

Wyprostował się w siodle, łowiąc nozdrzami kolejne niesione przez wiatr miłe wonie. Ptaszęta śpiewały, przygrzewało słonko. Ach, jakżeż piękny był świat cały. Reynevan miał ochotę zakrzyczeć z radości.

Piękna Adela, Gelfradowa żona, zdradził mu ojciec Felicjan w zamian za ważącą około trzydziestu groszy sakiewkę, choć, wydawałoby się, osaczona przez szwagrów Sterczów w ligockim klasztorze cysterek, zdołała uciec i zmylić pogonie. Umknęła do Ziębic, by tam utaić się w klasztorze klarysek. Prawda, opowiadał księżulo, wylizując rynkę, prawda, że książę ziębicki Jan, zwiedziawszy się, surowo nakazał mniszkom wydać żonę swego wasala. Wziął ją pod areszt domowy, dopokąd nie wyjaśni się sprawa domniemanego cudzołóstwa. Ale, tu ojciec Felicjan beknął zdrowo i piwnie, choć grzech woła kary, niewiasta jest w Ziębicach bezpieczna, ze strony Sterczów nie grozi już jej samosądna przemoc ni ukrzywdzenie. Książę Jan, tu ojciec Felicjan wysmarkał się, dobitnie przestrzegł Apecza Sterczę, ba, na posłuchaniu palcem mu pogroził. Nie, nie zdołają już Sterczowie niczego złego uczynić bratowej. Nie ich siła.

Reynevan popędził gniadosza przez żółtą od dziewanny i fioletową od łubinu łąkę. Chciało mu się śmiać i krzyczeć z radości. Adela, jego Adela pokazała Sterczom dulę, zrobiła z nich durniów i kpów, wystrychnęła na dudków. Myśleli, że osaczyli ją w Ligocie, a ona – smyk! I tyle ją widzieli. Ach, jak pieklił się pewnie Wittich, jak srożył i miotał bezsilne bluźnierstwa Morold, jak krew mało nie zalała Wolfhera! A Adela w skok, w noc, na siwej klaczy, z powiewającym warkoczem...

Zaraz, zreflektował się. Adela nie nosi warkocza.

Muszę się opanować, pomyślał trzeźwo, popędzając ogierka. Nikoletta, amazonka z jasną jak słoma kosą, nie znaczy wszak dla mnie

nic. Owszem, ocaliła mnie, odciągnęła pościg, odwdzięczę się za to przy sposobności. Ba, do nóg padnę. Ale kocham Adelę i tylko Adelę, to Adela jest panią mego serca i mych myśli, myślę tylko o Adeli, w ogóle nie zaprząta mnie ni ten jasny warkocz, ni to błękitne wejrzenie spod sobolowego kołpaczka, ni te malinowe usta, ni te kształtne uda, obejmujące boki siwej klaczy...

Kocham Adelę. Adelę, od której dzielą mnie wszystkiego jakieś trzy mile. Gdybym puścił konia w cwał, byłbym u ziębickich bram jeszcze przed wybiciem południa.

Spokojnie, spokojnie. Bez ferworu. Z chłodną głową. Wpierw, korzystając z okazji, że to po drodze, muszę odwiedzić brata. Gdy wyzwolę Adelę z książęcego aresztu w Ziębicach, uciekniemy oboje do Czech lub na Węgry. Peterlina mogę nie zobaczyć już nigdy. Muszę się pożegnać z nim, wyjaśnić. Prosić o braterskie błogosławieństwo.

Kanonik Otto zabronił. Kanonik Otto nakazał, by po wilczemu, by nigdy po uczęszczanych ścieżkach. Kanonik Otto ostrzegł, że pościg może czatować w okolicach Peterlinowego siedliszcza...

Ale Reynevan i na to miał sposób.

Do Oławy wpadał dopływ, rzeczka, strumyk raczej, utajony wśród sitowia, ledwie widoczny pod baldachimem olch. Reynevan ruszył w górę owego strumyka. Znał drogę. Drogę, która wiodła nie do Balbinowa, gdzie Peterlin mieszkał, ale do Powojowic, gdzie pracował.

Pierwszy sygnał, że do Powojowic już blisko, dał po jakimś czasie właśnie ów strumyk, brzegiem którego Reynevan podróżował. Strumyk wpierw zaczął śmierdzieć, zrazu lekko, potem mocniej, potem wręcz okropnie. Jednocześnie woda zmieniła kolor, i to radykalnie – na brudnoczerwony. Reynevan wyjechał z lasu i z daleka już ujrzał przyczyny – ogromne drewniane stojaki suszarni, z których zwisały ufarbowane sztuki płótna i postawy sukna. Przeważał kolor czerwony – zasygnalizowana już przez strumyk produkcja dzienna – ale były też tkaniny błękitne, ciemnoniebieskie i zielone.

Reynevan znał te kolory, obecnie bardziej już kojarzone z Piotrem von Bielau niźli tynktury rodowego herbu. Miał zresztą w tych kolorach jakąś tam cząstkę własnego udziału, pomagał bratu w uzyskiwaniu barwników. Głęboka, żywa czerwień barwionych u Peterlina sukien i płócien pochodziła z sekretnej kompozycji alkiermesu, żmijowca i marzanny. Wszystkie odcienie błękitu Peterlin uzyskiwał poprzez

mieszanie soku borówek z urzetem, który to urzet zresztą – jako jeden z nielicznych na Śląsku – sam uprawiał. Urzet mieszany z szafranem i krokoszem dawał piękną intensywną zieleń.

Wiatr powiał w jego stronę, przynosząc smród, od którego aż łzawiły oczy i skręcały się włoski w nozdrzach. Komponenty barwierskie, bielidła, ługi, kwasy, potaże, glinki, popioły i łoje były dostatecznie smrodliwe, nielicho woniała też zepsuta serwatka, w której – wedle receptur flamandzkich – moczono lniane płótno w końcowym stadium procesu bielenia. Wszystko to nie umywało się jednak do odoru używanego w Powojowicach podstawowego środka – wystałego ludzkiego moczu. Mocz, który w wielkich kadziach leżakował około dwóch tygodni, był potem obficie używany w foluszu, przy spilśnianiu sukna. Efekt był taki, że powojowicki folusz wraz z okolicą cuchnął szczynami jak jasne nieszczęście, a przy sprzyjających wiatrach smród potrafiło donieść aż do klasztoru cystersów w Henrykowie.

Reynevan jechał brzegiem czerwonej i śmierdzącej jak latryna rzeczki. Słyszał już folusz – nieustający łoskot poruszanych wodą kół napędowych, stukot i skrzyp zębatek, zgrzyty przekładni; na wszystko rychło nałożył się głęboki, wstrząsający gruntem łomot – bicie stęporów, tłukących sukno w stępach. Folusz Peterlina był foluszem nowoczesnym, oprócz kilku tradycyjnych stanowisk ze stęporami posiadał też napędzane wodą młoty, które pilśniły szybciej, lepiej i równiej. I głośniej.

W dole nad rzeczką, za dalszymi suszarniami i rzędem dołów farbiarni zobaczył zabudowania, szopy i zadaszenia folusza. Stało tam, jak zwykle, dobrych dwadzieścia wozów, najróżniejszej wielkości i konstrukcji. Reynevan wiedział, że były to wozy zarówno dostawców – Peterlin importował z Polski duże ilości potażu – jak i wehikuły tkaczy, przywożących sukno do pilśnienia. Renoma Powojowic sprawiała, że przybywali tu tkacze z całej okolicy, z Niemczy, Ziębic, Strzelina, Grodkowa, Frankensteinu nawet. Widział majstrów tkackich, tłoczących się dookoła folusza i dozorujących robotę, słyszał ich wybijające się nawet ponad łoskot maszyny krzyki. Jak zwykle kłócili się z folusznikami o sposób układania i przewracania sukna w stępach. Dostrzegł wśród nich kilku mnichów w białych habitach z czarnymi szkaplerzami, to też nie była nowina, henrykowski klasztor cystersów produkował liczące się ilości sukna i był u Peterlina stałym klientem.

Tym, którego Reynevan nie widział natomiast, był właśnie Peterlin. Jego brat, który bywał w Powojowicach bardzo widoczny, zwykł był bowiem objeżdżać cały teren. Na koniu, by się dystyngwować. Piotr von Bielau był w końcu rycerzem.

Co dziwniejsze, nigdzie nie dało się też widzieć chudej i wysokiej postaci Nicodemusa Verbruggena, pochodzącego z Gandawy Flamanda, wielkiego majstra od folusznictwa i farbiarstwa.

Przypomniawszy sobie w porę przestrogi kanonika, Reynevan wjechał w zabudowania skrycie, za wozami kolejnych przybywających klientów. Opuścił na nos kapelusz, zgarbił się w siodle. Nie zwróciwszy niczyjej uwagi podjechał pod dom Peterlina.

Gwarny zwykle i pełen ludzi budynek zdawał się zupełnie pusty. Nikt nie zareagował na jego okrzyk, nie zainteresował się trzaśnięciem drzwiami. Ni żywego ducha nie było ani w długiej sieni, ani w czeladnej. Wszedł do izby.

Na podłodze przed paleniskiem komina siedział majster Nicodemus Verbruggen, szpakowaty, ostrzyżony jak chłop, ale odziany jak pan. Komin huczał ogniem. Flamand zaś darł i wrzucał w płomienie karty papieru. Kończył już. Na kolanach miał kilka zaledwie arkuszy, w ogniu zaś czerniała i zwijała się cała sterta.

– Panie Verbruggen!

– *Jezus Christus...* – Flamand uniósł głowę, wrzucił w ogień następną kartę. – *Jezus Christus*, panicz Reinmar... Ależ nieszczęście, paniczu... Ależ okropne nieszczęście...

– Jakie nieszczęście, panie majstrze? Gdzie jest brat? Cóż to tu palicie?

– *Mynheer* Peter kazali. Rzekli, jakby co się stało, wyjąć ze skrytki, spalić, a wartko. Tako rzekli: „Jakby się co, Nicodemusie, nie daj Boże, stało, spal wartko. A folusz ma pracować". Tako rzekli *mynheer* Peter. *En het woord is vlees geworden...*

– Panie Verbruggen... – Reynevan poczuł, jak straszliwe przeczucie unosi mu włosy na karku. – Panie Verbruggen, mówcież! Co to są za dokumenty? I jakie słowo stało się ciałem?

Flamand wciągnął głowę w ramiona, rzucił w palenisko ostatnią kartę. Reynevan przyskoczył, parząc dłoń wyciągnął ją z ognia, machając ugasił. Częściowo.

– Mówcież!

– Zabili – przemówił głucho Nicodemus Verbruggen. Reynevan zobaczył łzę, meandrującą po zjeżonym siwą szczeciną policzku. – Nie żyje dobry *mynheer* Peter. Zabili go. Zamordowali. Paniczu Reinmarze... Takie nieszczęście, *Jezus Christus*, takie nieszczęście...

Trzasnęły drzwi. Flamand obejrzał się i pojął, że jego ostatnich słów już nikt nie wysłuchał.

●

Twarz Peterlina była biała. I porowata. Jak ser. W kąciku ust, mimo mycia, zostały ślady zakrzepłej krwi.

Starszy von Bielau leżał na ustawionych pośrodku świetlicy marach, wśród dwunastu gorejących świec. Na oczy położono mu dwa złote węgierskie dukaty, pod głowę podścielono gałązki świerczyny, której zapach, mieszając się z wonią topniejącego wosku, napełniał świetlicę mdlącym, wstrętnym, cmentarnym cuchem śmierci.

Mary nakryte były czerwonym suknem. Barwionym alkiermesem w jego własnej farbiarni, pomyślał niedorzecznie Reynevan, czując, jak łzy cisną mu się do oczu.

– Jak to... – wydusił ze ściśniętego gardła. – Jak to... się mogło... stać?

Gryzelda z Derów, żona Peterlina, spojrzała na niego. Twarz miała zaczerwienioną i opuchniętą od płaczu, do spódnic przyciskała obydwoje chlipiących dzieci, Tomaszka i Sybillę. Ale jej spojrzenie było nieżyczliwe, wręcz złe. Niezbyt przyjaźnie patrzyli też teść i szwagier Peterlina, stary Walpot Der i jego klocowaty syn Krystian.

Nikt, ani Gryzelda, ani Derowie, nie raczył odpowiedzieć na jego pytanie. Ale Reynevan ani myślał rezygnować.

– Co się stało? Czy ktoś mi wreszcie powie?

– Ubili go jacyś – bąknął sąsiad Peterlina, Gunter von Bischofsheim.

– Bóg – dorzucił proboszcz z Wąwolnicy, Reynevan nie pamiętał jego nazwiska – Bóg ich za to pokarze.

– Mieczem pchnęli – powiedział chrapliwie Matjas Wirt, okoliczny dzierżawca. – Koń bez jeźdźca przybieżał. W samo południe.

– W samo południe – powtórzył, składając ręce, wąwolnicki pleban. – *Ab incursu et daemone meridiano libera nos, domine...*

– Koń przybieżał – powtórzył Wirt, zbity krzynę z tropu modlitewnym wtrętem – z okrwawionym siodłem i czaprakiem. Tedy zaczęlim szukać i znaleźlim. W lesie, tuż przed Balbinowem... Przy drodze samej. Z

Powojowic musi pan Piotr jechał. Grunt wieloma tamój zryty był kopytami, widać, kupą obskoczyli...

– Kto?

– Nie wiada – wzruszył ramionami Matjas Wirt. – Zbóje pewnie...

– Zbóje? Zbóje nie zabrali konia? Być nie może.

– A kto tam wie, co być może, a co nie – wzruszył ramionami von Bischofsheim. – Pana Derowi i moi knechci gonią po lasach, nuż kogoś ułowią. A i do starosty znać daliśmy. Przybędą starostowi ludzie, zrobią śledztwo, wybadają, *cui bono*. Znaczy, kto miał do morderstwa powody i kto skorzystał na nim.

– Może to – odezwał się zjadliwie Walpot von Der – jaki lichwiarz, krzyw za lichwę niespłaconą? Może jaki kamrat farbiarz, rad pozbyć się konkurenta? Może klient jaki, na trzy złamane grosze oszukany? Tak to jest, tym się kończy, gdy się o urodzeniu zapomina i z chamstwem kuma. W kupczyka bawi. Kto z kim przestaje, takim się staje. Tfu! Dałem cię za rycerza, córko, a teraz-żeś wdową po...

Umilkł nagle, a Reynevan pojął, że to pod jego wzrokiem. Rozpacz i wściekłość walczyły w nim zaciekle, raz jedna brała górę, raz druga. Opanowywał się ostatkiem woli, ale ręce mu dygotały. Głos też.

– Nie widziano czasem w pobliżu – wykrztusił – czterech konnych? Zbrojnych? Jeden wysoki, wąsaty, w kurcie nabijanej... Jeden mały, z krostami na gębie...

– Byli tacy – przemówił niespodziewanie pleban. – Wczoraj, w Wąwolnicy, podle kościoła. Rychtyk na Anioł Pański dzwoniono... O, na srogich patrzyli rębaczów. Czterej. Zaprawdę, jeźdźcy Apokalipsy...

– Wiedziałam! – krzyknęła ochrypłym i zdartym od płaczu głosem Gryzelda, zatapiając w Reynevanie spojrzenie godne bazyliszka. – Wiedziałam, jeno cię zoczyłam, niecnoto ty! To przez ciebie! To przez twoje grzeszki i sprawki!

– Drugi von Bielau – Walpot Der z przekąsem zaakcentował tytuł. – Też szlachcic. Ten dla odmiany od pijawek i lewatyw.

– Niecnoto, nicponiu! – wrzeszczała coraz głośniej Gryzelda. – Ktokolwiek tym dzieciom ojca zamordował, twoim tu śladem przybył! Nieszczęście tylko przez ciebie! Zawsześ bratu tylko wstyd przynosił a zgryzoty! Czego tu chcesz? Już ci scheda pachnie, kruku ty? Wynoś się! Wynoś się z mojego domu!

Reynevan z wielkim trudem opanował drżenie rąk. Ale głosu nie dobył. Aż gotował się wewnętrznie od pasji i furii, aż rzucała nim chęć, by wywrzeszczeć tym wszystkim Derom w oczy, co myśli o całej ich rodzinie, mogącej grać panów tylko dzięki zarabianym w foluszu pieniądzom Peterlina. Ale pohamował się. Peterlin nie żył. Leżał zamordowany, z węgierskimi dukatami na oczach, w świetlicy własnego gródka, wśród kopcących świec, na marach, na czerwonym suknie. Peterlin nie żył. Nie godziły się, wstrętne były przy jego zwłokach kłótnie i pyskówki, mierziła sama myśl o tym. Reynevan bał się nadto, że gdy tylko otworzy usta, to się rozszlocha.

Wyszedł bez słowa.

Żałoba i przygnębienie wisiały nad całym balbinowskim gródkiem. Było pusto i cicho, służba skryła się gdzieś, świadoma, że pogrążonym w żalu żałobnikom niedobrze jest włazić pod rękę. Nawet psy nie szczekały. W ogóle nie widać było psów. Oprócz...

Przetarł wciąż wypełnione łzami oczy. Siedzący między stajnią a łaźnią czarny brytan nie był zjawą. Ani myślał znikać.

Reynevan szybkim krokiem przemierzył podwórze, wszedł do budynku od strony wozowni. Przeszedł wzdłuż koryta dla krów – budynek był zarazem oborą i chlewem – dotarł do przegród dla koni. W kącie przegrody zajmowanej zwykle przez konia Peterlina, dziobiąc nożem glinę klepiska, klęczał wśród odgarniętej słomy Urban Horn.

– Tego, czego szukasz, nie ma tutaj – powiedział Reynevan, sam dziwiąc się swemu spokojowi. Horn, o dziwo, wcale nie wydawał się być zaskoczony. Patrzył mu w oczy, nie wstając.

– To, czego szukasz, ukryte było w innej skrytce. Ale już tego nie ma. Spłonęło.

– Doprawdy?

– Doprawdy – Reynevan wydobył z kieszeni nadpalony fragment arkusza, rzucił go niedbale na polepę. Horn nadal nie wstawał.

– Kto zabił Peterlina? – Reynevan postąpił krok. – Kunz Aulock i jego banda na zlecenie Sterczów? Pana Barta z Karczyna też oni zabili? Co ty masz z tym wspólnego, Horn? Dlaczego jesteś tu, w Balbinowie, pół dnia zaledwie po śmierci mego brata? Skąd znasz jego skrytkę? Dlaczego szukasz w niej dokumentów, które spłonęły w Powojowicach? I co to były za dokumenty?

– Uciekaj stąd, Reinmarze – powiedział Urban Horn, przeciągając słowa. – Uciekaj stąd, jeśli ci życie miłe. Nie czekaj nawet na pochówek brata.

– Najpierw odpowiesz mi na pytania. Zacznij od tego najważniejszego: co ciebie łączy z tym zabójstwem? Co łączy z Kunzem Aulockiem? Nie próbuj kłamać!

– Nie będę próbował – odrzekł Horn, nie spuszczając wzroku – ani kłamać, ani odpowiadać. Dla twojego dobra zresztą. Może cię to zdziwi, ale taka właśnie jest prawda.

– Zmuszę cię do odpowiedzi – Reynevan postąpił krok i dobył puginału. – Zmuszę cię, Horn. Jeśli trzeba będzie, siłą.

O tym, że Horn zagwizdał, świadczyło tylko złożenie warg, dźwięk słyszalny nie był. Ale tylko dla Reynevana. W następnej bowiem chwili coś ze straszliwą mocą uderzyło go w pierś. Runął na klepisko. Gnieciony ciężarem otworzył oczy, po to, by zobaczyć tuż przed nosem pełny garnitur zębisk czarnego brytana Belzebuba. Psia ślina kapała mu na twarz, smród przyprawiał o mdłości. Złowrogi, gardłowy warkot paraliżował lękiem. W polu widzenia pojawił się Urban Horn, chowający za pazuchę nadpalony papier.

– Do niczego mnie nie możesz zmusić, chłopcze – Horn poprawił na głowie szaperon. – Wysłuchasz jednak tego, co powiem ci z dobrej woli. Ba, z życzliwości. Belzebub, nie rusz.

Belzebub nie ruszył. Choć widać było, że wielką miał chętkę.

– Z życzliwości – powtórzył Horn – radzę ci zatem, Reinmarze: uciekaj. Zniknij. Posłuchaj rady kanonika Beessa. Bo głowę stawię, że udzielił ci rad, dał wskazówki, jak wyplątać się z kabały, w którą popadłeś. Nie lekceważy się, chłopcze, wskazówek i poleceń ludzi takich, jak kanonik Beess. Belzebub, nie rusz.

– Z powodu twego brata – powiedział Urban Horn – przykro mi niezmiernie. Sam nie wiesz, jak. Bywaj. I strzeż się.

Gdy Reynevan otworzył oczy, zaciśnięte przed dotykającym niemal twarzy pyskiem Belzebuba, w stodole nie było już ani psa, ani Horna.

●

Przykucnięty na grobie brata Reynevan kurczył się i dygotał ze strachu. Sypał dookoła siebie sól zmieszaną z leszczynowym popiołem i

drżącym głosem powtarzał zaklęcie. Coraz mniej wierząc w jego skuteczność.

Wirfe saltze, wirfe saltze
Non timebis a timore nocturno
Ni moru, ni gościa z ciemności
Ani demona
Wirfe saltze, wirfe saltze...

Monstra kłębiły się i hałasowały w mroku.

Choć świadom ryzyka i traconego czasu, Reynevan zaczekał na pochówek brata. Nie dał się, mimo wysiłków bratowej i jej rodzinki, zniechęcić do czuwania przy zwłokach, wziął udział w egzekwiach, wysłuchał mszy. Był przy tym, gdy w obecności szlochającej Gryzeldy, proboszcza i nielicznego konduktu zakopano Peterlina w dole na cmentarzu na tyłach starodawnego wąwolnickiego kościółka. Dopiero wówczas wyjechał. To znaczy – udał, że wyjeżdża.

Gdy zapadł zmrok, Reynevan pospieszył na cmentarz. Ułożył na świeżej mogile czarodziejskie instrumentarium, skompletowane – o dziwo – bez specjalnych kłopotów. Najstarsza część wąwolnickiej nekropolii przylegała do wypłukanego przez rzeczkę jaru, grunt obsunął się tam nieco, przez co dostęp do starożytnych grobów nie nastręczył trudności. W magicznym arsenale Reynevana znalazły się więc nawet gwóźdź z trumny i trupi palec.

Nie pomógł jednak ani trupi palec, ani zerwane pod cmentarnym płotem tojad, szałwia i złocień, ani zaklęcia, szeptane nad ideogramem, wyrytym na grobie krzywym trumiennym gwoździem. Duch Peterlina, wbrew zapewnieniom ksiąg magicznych, nie uniósł się nad mogiłą w postaci eteralnej. Nie przemówił. Nie dał znaku.

Gdybym miał tu moje księgi, pomyślał Reynevan, rozżalony i zniechęcony licznymi próbami. Gdybym miał *Lemegeton* lub *Necronomicon*... Kryształ wenecki... Trochę mandragory... Gdybym miał dostęp do alembiku i mógł wydestylować eliksir... Gdybym...

Niestety. Grymuary, kryształ, mandragora i alembik były daleko, w Oleśnicy. W klasztorze augustianów. Albo, co prawdopodobniejsze, w posiadaniu Inkwizycji.

Zza horyzontu szybko zbliżała się burza. Towarzyszące rozbłyskom nieba pomruki grzmotów były coraz głośniejsze. Wiatr ustał zupełnie,

powietrze zrobiło się martwe i ciężkie jak całun. Musiało być blisko północy.

I wtedy się zaczęło.

Kolejna błyskawica oświetliła kościół. Reynevan z przerażeniem zobaczył, że cała dzwonnica roi się od pająkopodobnych stworów, pełzających w górę i w dół. Na jego oczach kilka cmentarnych krzyży poruszyło się i pochyliło, jedna z dalszych mogił wybrzuszyła się mocno. Z ciemności nad jarem dobiegł chrupot kruszonych trumiennych desek, potem rozbrzmiało głośne mlaskanie. A potem wycie.

Gdy sypał wokół siebie sól, ręce latały mu jak w ataku febry, a wargi ledwo dały się zmusić do wybełkotania formuły zaklęcia.

Największy ruch panował nad jarem, w najstarszej, zarośniętej olszyną części cmentarza. Tego, co się tam wyprawiało, Reynevan na szczęście nie widział, nawet błyskawice nie wydobywały z mroku nic poza niewyraźnymi kształtami i sylwetkami. Mocnych wrażeń dostarczał jednak słuch – buszujące wśród starych mogił towarzystwo tupało, ryczało, wyło, gwizdało, klęło, do tego kłapało i zgrzytało zębami.

Wirfe saltze, wirfe saltze...

Jakaś kobieta śmiała się cienko i spazmatycznie. Jakiś baryton złośliwie parodiował liturgię mszy, czemu towarzyszył dziki rechot pozostałych. Ktoś walił w bęben.

Z mroku wyłonił się kościotrup. Trochę się pokręcił, potem siadł na grobie i tak siedział, objąwszy pochyloną czaszkę kościstymi dłońmi. Przy nim przysiadł po chwili kosmaty stwór o wielkich stopach. W stopy te stwór jął drapać się zapamiętale, stękając przy tym i pojękując. Zamyślony kościotrup nie zwracał na niego uwagi.

Obok przeszedł muchomór na pajęczych nogach, za nim po chwili przeczłapało coś, co wyglądało zupełnie jak pelikan, ale miast piór miało łuskę, a dziób pełen kończystych kiełków.

Na sąsiednią mogiłę wskoczyła wielka żaba.

I było tam jeszcze coś. Coś, co – Reynevan przysiągłby – stale go obserwowało, nie spuszczało z oka. Co było zupełnie skryte w mroku, niewidzialne nawet w blasku błyskawic. Ale uważne spojrzenie pozwalało dostrzec ślepia świecące jak próchno. I długie zęby.

– *Wirfe saltze* – sypnął przed siebie kończącą się już solą. – *Wirfe saltze...*

Nagle przyciągnęła jego wzrok jasna, wolno poruszająca się plama. Śledził ją, czekając na kolejną błyskawicę. Gdy błysnęło, zobaczył ku swemu zdumieniu dziewczynę w białym gieźle, zrywającą i kładącą do kosza wielkie i rozłożyste cmentarne pokrzywy. Dziewczyna też go zobaczyła. Po chwili wahania podeszła, postawiła kosz. Nie zwróciła najmniejszej uwagi ani na frasobliwego kościotrupa, ani na kosmatego stwora, dłubiącego między paluchami wielkich stóp.

– Dla przyjemności? – spytała. – Czy z obowiązku?

– Eee... Z obowiązku... – pokonał strach, pojął, o co pytała. – Brat... Brata mi zabili. Tutaj leży...

– Aha – odgarnęła włosy z czoła. – A ja tu, widzisz, pokrzywy zbieram.

– Żeby uszyć koszule – westchnął po chwili, odgadując. – Dla braci zaklętych w łabędzie?

Milczała długo.

– Dziwny jesteś – powiedziała wreszcie. – Pokrzywy są na płótno, a jakże. Na koszule. Ale nie dla braci. Ja nie mam braci. A gdybym miała, nigdy nie pozwoliłabym, by włożyli te koszule.

Zaśmiała się gardłowo, widząc jego minę.

– Po co ty z nim w ogóle gadasz, Eliza? – odezwało się to zębate coś, niewidzialne w mroku. – Nie szkoda to zachodu? Nad ranem spadnie deszcz, rozmyje tę jego sól. Wtedy odgryzie mu się głowę.

– To nie jest w porządku – powiedział, nie podnosząc czaszki, frasobliwy kościotrup. – To nie jest w porządku.

– Pewnie, że nie – przytaknęła nazwana Elizą dziewczyna. – Przecież to Toledo. Jeden z nas. A mało nas już zostało.

– Chciał gadać z umarlakiem – oświadczył, wyłaniając się jak spod ziemi, karzeł ze sterczącymi spod górnej wargi zębami. Był pękaty jak dynia, goły brzuch świecił mu spod przykrótkiej wystrzępionej kamizeli.

– Z umarlakiem chciał gadać – powtórzył. – Z bratem, co tu leży pochowany. Chciał odpowiedzi na pytania. Ale ich nie dostał.

– Tedy godzi się pomóc – powiedziała Eliza.

– Pewnie – powiedział kościotrup.

– Jasne, brekek – powiedziała żaba.

Łysnęła błyskawica, przetoczył się grom. Zerwał się wiatr, zaszumiał w badylach, zakołował i zakurzył suchymi liśćmi. Eliza bez wahania

przestąpiła rozsypaną sól, silnie pchnęła Reynevana w pierś. Upadł na mogiłę, walnął potylicą o krzyż. W oczach rozbłysło mu, potem pociemniało, potem rozbłysło znowu, ale tym razem była to błyskawica. Ziemia pod plecami zadygotała. I zawirowała. Dokoła zapląsały cienie, tańczące sylwetki, dwa kręgi, wirujące naprzemiennie wokół mogiły Peterlina.

– Barbelo, Hekate, Holda!

– *Magna Mater!*

– Eia!

Grunt pod nim zakołysał się i pochylił tak stromo, że Reynevan gwałtownie rozpostarł ręce, by nie zsunąć się i nie spaść. Nogi nadaremnie szukały oparcia. Nie spadał jednak. W uszy wdzierały się dźwięki, śpiew. W oczy cisnęły widziadła.

Veni, veni, venias,
ne me mori, ne me mori facias!
Hyrca! Hyrca! Nazaza!
Trillirivos! Trillirivos! Trillirivos!

Adsumus, mówi Percival, klęczący przed Graalem. *Adsumus*, powtarza Mojżesz, zgarbiony pod ciężarem znoszonych z góry Synaj kamiennych tablic. *Adsumus*, mówi Jezus, upadający pod krzyżem. *Adsumus*, powtarzają jednym głosem zgromadzeni za stołem rycerze. *Adsumus! Adsumus!* Jesteśmy tu, Panie, zebrani w Twoim imieniu.

Echo przebiega przez zamek jak dudniący grom, jak odgłos dalekiej bitwy, jak gruchot taranu o grodową bramę. I niknie powoli wśród ciemnych korytarzy.

Nadejdzie *Viator*, Wędrowiec, mówi młoda dziewczyna o lisiej twarzy i podkrążonych oczach, ustrojona w wianek z werbeny i koniczyny. Ktoś odchodzi, ktoś przychodzi. *Apage! Flumen immundissimum, draco maleficus...* Nie pytaj o imię, ono jest tajemnicze. Z tego, który pożera, wyszło to, co się spożywa, a z mocnego wyszła słodycz. A kto jest winien? Ten, który prawdę powie.

Zostaną zgromadzeni, uwięzieni w lochu; będą zamknięci w więzieniu, a po wielu latach będą ukarani. Strzeż się Pomurnika, strzeż się nietoperzy, strzeż się demona, co niszczy w południe, strzeż i tego, który idzie w mroku. Miłość, mówi Hans Mein Igel, miłość ocali ci życie. Żałujesz, pyta pachnąca tatarakiem i miętą dziewczyna. Żałujesz?

Dziewczyna jest naga, naga nagością niewinną, *nuditas virtualis*. Jest ledwie widoczna w mroku. Ale tak blisko, że czuje się jej ciepło.

Słońce, wąż i ryba. Wąż, ryba, słońce wpisane w trójkąt. Wali się Narrenturm, rozpada w gruzy *turris fulgurata*, wieża trafiona piorunem. Biedny błazen spada z niej, leci w dół, ku zagładzie. Ja jestem tym błaznem, przebiega przez głowę Reynevana, błaznem i szaleńcem, to ja spadam, lecę w otchłań, na dno.

Człowiek, cały w płomieniach, biegnący z krzykiem po płytkim śniegu. Kościół w ogniu.

Potrząsnął głową, by odpędzić widziadła. I wtedy, w rozbłysku kolejnej błyskawicy, zobaczył Peterlina.

Zjawa, nieruchoma jak posąg, zajaśniała nagle nienaturalnym światłem. Reynevan zobaczył, że światło to, niczym blask słoneczny przez dziurawe ściany szałasu, bije z licznych ran – w piersi, szyi i podbrzuszu.

– Boże, Peterlin... – wyjęczał. – Jak cię strasznie... Zapłacą mi za to, przysięgam! Pomszczę cię... Pomszczę, braciszku... Klnę się...

Widziadło wykonało gwałtowny gest. Ewidentnie przeczący, zabraniający. Tak, to był Peterlin, nikt inny oprócz ojca nie gestykulował tak, gdy czemuś zaprzeczał lub gdy czegoś zabraniał, gdy karcił małego Reynevana za psoty lub szaleńcze pomysły.

– Peterlin... Braciszku...

Taki sam gest, jeszcze ostrzejszy, gwałtowniejszy, dobitniejszy. Nie pozostawiający wątpliwości. Ręka, wskazująca południe.

– Uciekaj – odezwało się widziadło głosem Elizy od pokrzyw. – Uciekaj, mały. Daleko. Jak najdalej. Za lasy. Nim pochłonie cię loch Narrenturmu. Uciekaj, biegnąc przez góry, skacząc po pagórkach, *saliens in montibus, transiliens colles*.

Ziemia zawirowała wściekle. I wszystko się skończyło. Zapadło w ciemność.

●

O świcie zbudził go deszcz. Leżał na mogile brata na wznak, nieruchomy i otępiały, a krople rozpryskiwały mu się na twarzy.

●

– Pozwól, młodzieńcze – powiedział Otto Beess, kanonik od świętego Jana Chrzciciela, prepozyt wrocławskiej kapituły. – Pozwól, że pokrótce zrekapituluję, coś mi tu opowiedział, a co sprawiło, że uszom własnym przestałem dowierzać. Tak więc Konrad, biskup Wrocławia, mając okazję, by dobrać się do rzyci Sterczom, którzy go szczerze nienawidzą i których on nienawidzi, nie czyni nic. Mając niezbite niemal dowody, że Sterczowie zamieszani są w rodową wróżdę i morderstwo, biskup Konrad nie podejmuje w sprawie żadnych kroków. Czy tak?

– Dokładnie tak – odparł Gwibert Bancz, sekretarz biskupa wrocławskiego, młody kleryk o ładnej twarzy, czystej cerze i łagodnych aksamitnych oczach. – Postanowione to jest. Żadnych kroków przeciw rodowi Sterczów. Nawet upomnień. Nawet przesłuchań. Biskup postanowił to w obecności jego wielebności sufragana Tylmana. I w przytomności owego rycerza, któremu śledztwo poruczono. Tego, który dziś rankiem do Wrocławia zjechał.

– Rycerz – powtórzył kanonik, wpatrzony w obraz przedstawiający męczeństwo świętego Bartłomieja, jedyną, prócz półki z lichtarzami i krucyfiksem, dekorację surowych ścian izby. – Rycerz, który rankiem do Wrocławia zjechał.

Gwibert Bancz przełknął ślinę. Sytuacja, co tu dużo gadać, nie była dla niego najzręczniejsza. Nigdy nie była. I nic nie wskazywało, by kiedyś mogło się to zmienić.

– Właśnie – Otto Beess zabębnił palcami po stole, skupiony, zdawałoby się, wyłącznie na męczonym przez Ormian świętym. – Właśnie. Cóż to za rycerz, synu? Imię? Ród? Herb?

– Khem... – chrząknął kleryk. – Ni imię nie padło, ni ród... Ni herbu nie nosił, cały w czerń będąc odzianym. Aleć jam go już u biskupa widywał.

– Jak tedy wygląda? Nie każ się ciągnąć za język.

– Niestary. Wysoki, szczupły... Włosy czarne do ramion. Nos długi, by dziób... *Tandem* wejrzenie jakieś takie... ptasie... Przenikliwe... *In summa*, gładkim nazwać go trudno... Ale męski...

Gwibert Bancz urwał nagle. Kanonik nie odwrócił głowy, nie przerwał nawet bębnienia palcami. Znał tajone upodobania erotyczne kleryka. To, że je znał, pozwoliło mu zrobić zeń swego informatora.

– Mów dalej.

– Owóż to ten właśnie przybysz rycerz, który, nawiasem mówiąc, w obecności biskupa nie wykazał ni uniżoności, ni skrępowania nawet

bynajmniej, zdał relację ze śledztwa w sprawie zabójstw panów Barta z Karczyna i Piotra von Bielau. A była ta relacja taka, że jego wielebność sufragan nie zdzierżył w pewnym momencie i śmiać się począł...

Otto Beess bez słowa uniósł brwi.

– Rzekł ów rycerz, że winni są Żydzi, albowiem w pobliżu miejsc obu zbrodni dało się wywęszyć *foetor judaicus*, właściwy Żydom smród... Aby się tego odoru pozbyć, Żydowini piją, jak wszystkim wiadomo, krew chrześcijańską. Mord, prawił dalej przybysz, nie bacząc, że wielebny Tylman do rozpuku się zaśmiewa, nosi więc znamiona rytualnego i winnych należałoby szukać w najbliższych kahałach, zwłaszcza brzeskim, albowiem rabina z Brzegu widziano w okolicach Strzelina właśnie, i to w towarzystwie młodego Reinmara de Bielau... Tego, co to wie wasza wielebność...

– Wiem. Mów dalej.

– Na takie *dictum* wielebny sufragan Tylman oświadczył był, że to bajka, że obaj zamordowani padli od mieczów. Że taki pan Albrecht von Bart siłacz był i szermierz zawołany. Że żaden rabin, z Brzegu czy skądkolwiek, nie dałby rady panu Bartowi nawet wówczas, gdyby bili się na Talmudy. I znowu jął śmiać się do łez.

– A rycerz?

– Rzekł, że jeśli nie Żydzi zabili dobrych panów Barta i Piotra de Bielau, to musiał uczynić to diabeł. Co w sumie na jedno wychodzi.

– Co na to biskup Konrad?

– Jego dostojność – odchrząknął kleryk – wzrokiem spiorunował wielebnego Tylmana, nierad, widać było, z jego wesołości. I od razu przemówił. Wielce surowo, poważnie i urzędowo, a mnie zapisać to kazał...

– Umorzył śledztwo – uprzedził kanonik, bardzo wolno wymawiając słowa. – Po prostu umorzył śledztwo.

– Jakbyście przy tym byli. A wielebny sufragan Tylman siedział i słowem się nie odezwał, ale minę miał dziwną. Biskup Konrad pomiarkował to i rzekł, a gniewnie, że racja jest po jego stronie, historia to zaświadczy i że to *ad maiorem Dei gloriam*.

– Tak rzekł?

– Tymi słowy. Dlatego nie idźcie, wielebny ojcze, w tej sprawie do biskupa. Ręczę, nic nie wskóracie. Nadto zaś...

– Nadto zaś co?

– Rzekł ów przybysz do biskupa, że jeśli w sprawach obydwu zbrodni będzie kto inwokował, składał petycje albo dalszego domagał się śledztwa, to on żąda być o tym uwiadomiony.

– On żąda – powtórzył Otto Beess. – A co na to biskup?

– Głową kiwał.

– Głową kiwał – powtórzył kanonik, też kiwając. – No, no. Konrad, Piast Oleśnicki. Głową kiwał.

– Kiwał, wielebny ojcze.

Otto Beess znowu spojrzał na obraz, na katowanego Bartłomieja, z którego Ormianie zdzierali długie pasy skóry za pomocą wielgaśnych obcęgów. Jeśli wierzyć *Złotej legendzie* Jakuba da Voragine, pomyślał, nad miejscem męczeństwa unosił się zapach róż przecudny. Akurat. Męka śmierdzi. Nad miejscami tortur unosi się smród, cuch, odór. Nad wszystkimi miejscami kaźni i męki. Także nad Golgotą. Tam też, głowę dam, nie było róż. Był, jakże trafnie, *foetor judaicus*.

– Proszę, chłopcze. Weź.

Kleryk, jak zwykle, najpierw sięgnął po sakiewkę, potem raptownie cofnął rękę, jak gdyby kanonik podawał mu skorpiona.

– Wielebny ojcze... – bąknął. – Toć ja nie dla... Nie dla grosza marnego... Jeno dlatego, że...

– Weź, synu, weź – przerwał z protekcjonalnym uśmiechem kanonik. – Mówiłem ci już przy innych okazjach, że informator musi brać zapłatę. Gardzi się przede wszystkim tymi, którzy donoszą za darmo. Dla idei. Ze strachu. Ze złości i zawiści. Mówiłem ci już: więcej niźli zdradą Judasz zasłużył na wzgardę tym, że zdradził tanio.

●

Popołudnie było pogodne i ciepłe, miła odmiana po kilku dniach słoty. Lśniła w słońcu wieża kościoła Marii Magdaleny, lśniły dachy kamieniczek. Gwibert Bancz przeciągnął się. U kanonika zmarzł. Izba była zacieniona, od murów wiało zimnem.

Oprócz siedziby w domu kapitulnym na Ostrowiu Tumskim prepozyt Otto Beess miał we Wrocławiu dom na Szewskiej, niedaleko rynku, tam zwykł był przyjmować tych, o których wizytach nie powinno być głośno, w tej liczbie oczywiście i Gwiberta Bancza. Gwibert Bancz postanowił więc wykorzystać okazję. Na Ostrów wracać mu się nie chciało, było mało prawdopodobne, by biskup potrzebował go przed

nieszporami. A z Szewskiej były trzy kroki do pewnej znanej klerykowi piwnicy za Kurzym Targiem. W piwnicy zaś można było wydać część otrzymanych od kanonika pieniędzy. Gwibert Bancz święcie wierzył, że pozbywając się pieniędzy pozbywa się grzechu.

Gryząc nabyty na mijanym straganie precel, dla skrócenia drogi skręcił w ciasny zaułek. Było tu cicho i bezludno, tak bezludno, że prysnęły mu spod nóg zdumione pojawieniem się człowieka szczury.

Usłyszał szelest piór i łopot skrzydeł. Obejrzał się i zobaczył wielkiego pomurnika, niezgrabnie siadającego na fryzie nad zamurowanym oknem. Upuścił precel, cofnął się raptownie, odskoczył.

Na jego oczach ptak zjechał po murze, chrobocząc szponami. Zamazał się. Wyrósł. I zmienił kształt. Bancz chciał wrzasnąć, ale nie zdołał dobyć głosu ze skurczonego gardła.

Tam, gdzie przed chwilą był pomurnik, teraz stał znany klerykowi rycerz. Wysoki, szczupły, czarnowłosy, czarno odziany, o przenikliwym ptasim wejrzeniu.

Bancz znowu rozwarł usta i znowu nie wydobył z nich nic poza cichym skrzekiem. Rycerz Pomurnik zbliżył się posuwiście. Będąc zupełnie blisko uśmiechnął się, mrugnął i złożył usta, przesyłając klerykowi bardzo erotyczny pocałunek. Nim kleryk zrozumiał, w czym rzecz, złowił okiem błysk klingi, dostał w brzuch, na uda chlusnęła mu krew. Dostał drugi raz, w bok, nóż zachrupał na żebrach. Uderzył plecami o mur, trzeci cios niemal go doń przygwoździł.

Teraz już mógł wrzeszczeć i byłby wrzasnął, ale nie zdążył. Pomurnik doskoczył i szerokim pociągnięciem rozpłatał mu gardło.

•

Skurczonego, leżącego w czarnej kałuży trupa znaleźli żebracy. Zanim zjawiła się straż grodowa, przybiegli jeszcze handlarze i przekupki z Kurzego Targu.

Nad miejscem zbrodni wisiała groza. Groza okropna, dławiąca, skręcająca kiszki. Groza straszna.

Tak straszna, że do momentu nadejścia straży nikt nie odważył się ukraść sakiewki z pieniędzmi, sterczącej zamordowanemu z rozerżniętych nożem ust.

•

– *Gloria in excelsis Deo* – zaintonował kanonik Otto Beess, opuszczając złożone dłonie i skłaniając głowę przed ołtarzem. – *Et in terra pax hominibus bonae voluntatis...*

Diakoni stanęli po jego bokach, przyciszonymi głosami włączając się do śpiewu. Celebrujący mszę Otto Beess, prepozyt wrocławskiej kapituły, kontynuował. Kontynuował mechanicznie, rutynowo. Myślami był gdzie indziej.

Laudamus te, benedicimus te, adoramus te,
glorificamus te, gratias agimus tibi...

Zamordowali kleryka Gwiberta Bancza. W biały dzień, w centrum Wrocławia. A biskup Konrad, który umorzył śledztwo w sprawie zabójstwa Peterlina von Bielau, śledztwo w sprawie swego sekretarza zapewne umorzy również. Nie wiem, co tu się dzieje. Ale trzeba zadbać o własne bezpieczeństwo. Nigdy, pod żadnym pozorem, nie dać pretekstu ani okazji. I nie dać się zaskoczyć.

Śpiew wznosił się aż pod wysokie sklepienie wrocławskiej katedry.

Agnus Dei, Filius Patris, qui tollis peccata mundi,
miserere nobis;
Qui tollis peccata mundi, suscipe deprecationem
nostram...

Otto Beess przyklęknął przed ołtarzem.

Mam nadzieję, pomyślał, czyniąc znak krzyża, mam nadzieję, że Reynevan zdążył... Że jest już bezpieczny. Mam wielką nadzieję...

– *Miserere nobis...*

Msza trwała.

●

Czterech jeźdźców przegalopowało przez rozstaje, obok kamiennego krzyża, jednej z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i skruchy. Wiatr siekł, deszcz zacinał, błoto pryskało spod kopyt. Kunz Aulock, zwany Kyrielejson, zaklął, mokrą rękawicą ścierając wodę z twarzy. Stork z Gorgowic zawtórował spod ociekającego kaptura jeszcze bardziej sprośnie. Walterowi de Barby i Sybkowi z Kobylejgłowy nawet już nie chciało się kląć. W cwał, myśleli, byle prędzej pod jaki dach, do jakiej oberży, do ciepła, suchości i grzanego piwa.

Błoto bryznęło spod kopyt, błocąc i tak już ubłoconą postać, skurczoną pod krzyżem i nakrytą płaszczem. Żaden z jeźdźców nie zwrócił na postać uwagi.

Reynevan też nawet nie uniósł głowy.

Rozdział dziewiąty

w którym zjawia się Szarlej.

Przeor strzegomskiego klasztoru karmelitów był chudy jak szkielet; kompleksja, sucha cera, niedokładnie zgolony zarost i długi nos czyniły go podobnym do oskubanej czapli. Gdy patrzył na Reynevana, mrużył oczy, gdy wracał do czytania listu Ottona Beessa, przysuwał list do nosa na odległość dwóch cali. Kościste i sine dłonie drżały mu nieustannie, usta co i rusz krzywił ból. Przeor nie był przy tym bynajmniej starcem. Była to choroba, którą Reynevan znał i widywał, choroba tocząca niczym trąd – tyle tylko, że niewidocznie, od środka. Choroba, wobec której bezsilne były wszelkie leki i zioła, na którą skutkowała tylko najsilniejsza magia. Co z tego zresztą, że skutkowała. Nawet jeśli kto wiedział, jak leczyć, nie leczył, bo czasy były takie, że wyleczony potrafił zadenuncjować lekarza.

Przeor chrząknięciem wyrwał go z zadumy.

– Tylko więc dla tej oto rzeczy jedynie – uniósł list wrocławskiego kanonika – czekałeś na mój powrót, młodzieńcze? Całe cztery dni? Wiedząc, że ojciec gwardian ma na czas mojej nieobecności wszelkie plenipotencje?

Reynevan ograniczył się do kiwnięcia głową. Powoływanie się na warunek oddania listu do rąk własnych przeora było tak trywialnie oczywiste, że aż niewarte wspominania. Jeśli zaś szło o cztery spędzone w podstrzegomskiej wsi dni, to też szkoda było o nich wspominać – minęły nie wiedzieć kiedy. Jak we śnie. Od tragedii w Balbinowie Reynevan wciąż był jak we śnie. Odrętwiały, rozkojarzony i półprzytomny.

– Czekałeś – stwierdził fakt przeor – by oddać list do rąk własnych. I wiesz co, młodzieńcze? Bardzo dobrze, że czekałeś.

Reynevan nie skomentował i tym razem. Przeor powrócił do listu, przysuwając go do samego niemal nosa.

– Taaak – powiedział wreszcie przeciągle, podnosząc wzrok i mrużąc oczy. – Wiedziałem, że przyjdzie dzień, gdy czcigodny kanonik przypomni mi o długu. I upomni się o spłatę. Z lichwiarskim procentem. Którego, nawiasem mówiąc, Kościół pobierać zabrania. Mówi wszak

Ewangelia Łukaszowa: pożyczajcie, niczego się za to nie spodziewając. Czy wierzysz, młodzieńcze, bez zastrzeżeń w to, w co każe wierzyć Kościół, matka nasza?

– Tak, wielebny ojcze.

– Chwalebna to cnota. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Zwłaszcza w miejscu takim, jak to. Czy wiesz, gdzie jesteś? Wiesz, czym jest to miejsce? Oprócz klasztoru?

– Nie wiesz – przeor odgadł z milczenia. – Lub zręcznie udajesz, że nie wiesz. Jest to otóż dom demerytów. Co to takiego dom demerytów, zapewne nie wiesz również lub z równą zręcznością udasz, że nie wiesz. Tedy ci powiem: jest to więzienie.

Przeor zamilkł, splótł dłonie, patrzył na rozmówcę badawczo. Reynevan, ma się rozumieć, dawno już odgadł, w czym rzecz, ale nie zdradzał się z tym. Nie chciał psuć karmelicie przyjemności, której ten sposób prowadzenia rozmowy ewidentnie mu dostarczał.

– Czy wiesz – podjął po chwili zakonnik – o co jego wielebność kanonik pozwala sobie prosić mnie w tym liście?

– Nie, wielebny ojcze.

– Ta niewiedza usprawiedliwia cię poniekąd. A ponieważ ja wiem, mnie nic usprawiedliwić nie może. Tym samym, jeśli prośbie odmówię, postępek mój usprawiedliwion będzie. Co ty na to? Czyż moja logika nie równa Arystotelesowej?

Reynevan nie odpowiedział. Przeor milczał. Bardzo długo. Potem zapalił list kanonika od świecy, obrócił nim tak, by płomień buchnął, rzucił na posadzkę. Reynevan patrzył, jak papier zwija się, czernieje i kruszy. Oto obracają się w popiół moje nadzieje, pomyślał. Niewczesne zresztą, bezsensowne i płonne. Może to więc i lepiej, że stało się tak, jak się stało.

Przeor wstał.

– Idź do szafarza – rzekł krótko i sucho. – Niechaj cię nakarmi i napoi. Potem zaś pokwapisz się do naszego kościoła. Tam spotkasz się z tym, z kim powinieneś. Rozkazy będą wydane, będziecie mogli opuścić klasztor bez przeszkód. Kanonik Beess w swym liście podkreślił, że obaj udajecie się w daleką podróż. Od siebie dodam, że bardzo dobrze, że w daleką. Byłoby, dodam, wielkim błędem wyjeżdżać zbyt blisko. I wracać zbyt rychło.

– Dziękuję waszej wielebności...

– Nie dziękuj. Jeśli zaś któregoś z was napadłaby myśl prosić mnie przed odejściem o błogosławieństwo na drogę, niechaj tę myśl porzuci.

●

Wikt u strzegomskich karmelitów był, w samej rzeczy, iście więzienny. Reynevan był jednak wciąż zbyt przybity i apatyczny, by smakować. Był nadto, co tu gadać, nazbyt głodny, by wykrzywiać się na solonego śledzia, kaszę bez omasty i piwo, od wody różniące się jedynie kolorem, a i to nieznacznie. A może zresztą był akurat post? Nie pamiętał.

Jadł więc żywo i żwawo, czemu z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się staruszek szafarz, niewątpliwie obyty z dużo mniejszym entuzjazmem ugaszczanych. Ledwie Reynevan uporał się z ulikiem, uśmiechnięty zakonnik obdarzył go drugim, wyciągniętym wprost z beczułki. Reynevan postanowił wykorzystać ten akt przyjaźni.

– Prawdziwa to forteca, wasz klasztor – odezwał się z pełnymi ustami. – I nie dziwota, wiem wszak, czemu służy. Ale przecie zbrojnej straży nie macie. Z tych, co tu pokutują, nigdy nikt nie uciekł?

– Oj, synu, synu – szafarz pokiwał głową nad jego naiwną tępotą. – Uciekać? A po cóż? Nie zapominaj, kto tu pokutuje. Każdemu z nich kiedyś się pokuta skończy. A choć nikt z tutejszych nie pokutuje *pro nihilo*, koniec pokuty zmazuje winę. *Nullum crimen*, wszystko wraca do normy. A zbieg? Byłby wywołańcem po kres swych dni.

– Rozumiem.

– To dobrze, bo mnie o tym gadać nie wolno. Jeszcze kaszy?

– Chętnie. A owi pokutnicy, to za co, ciekawość, pokutują? Za jakie przewiny?

– Mnie o tym gadać nie wolno.

– Toć nie o konkretne przypadki pytam. Jeno tak, ogólnie.

Szafarz zachrząkał i rozejrzał się trwożliwie, niewątpliwie świadom, że w domu demerytów uszy mogą mieć nawet obwieszone patelniami i czosnkiem ściany kuchni.

– Oj – powiedział cicho, wycierając o habit ręce tłuste od śledzi. – Za różności tu pokutują, synu, za różności. Główną miarą księża zdrożni. I mnisi. Ci, co im śluby nadto ciążyły. Sam imaginujesz: ślub posłuszeństwa, pokory, ubóstwa... Także abstynencji i umiarkowania... Jak to mówią: *plus bibere, quam orare*. Także ślub czystości, niestety...

– *Femina* – odgadł Reynevan – *instrumentum diaboli?*

– Żebyż tylko femina... – westchnął szafarz, wznosząc oczy. – Ach, ach... Bezmiar grzechów, bezmiar... Nijak zaprzeczyć... A są u nas i sprawy poważniejsze... Oj, poważniejsze... Ale o tym gadać mi nie wolno. Skończyłeś jeść, synu?

– Skończyłem. Dziękuję. Było smaczne.

– Zachodź, ilekroć zechcesz.

●

Wnętrze kościoła było wyjątkowo mroczne, blask świec i światło z wąziutkich okienek padały tylko na okolice samego ołtarza, tabernakulum, krucyfiks i tryptyk przedstawiający Opłakiwanie. Reszta prezbiterium, cała nawa, drewniane empory i stalle tonęły w mętnym półmroku. Może to celowo, nie opędził się przed myślą Reynevan, może to dlatego, by podczas modłów demeryci nie widzieli wzajem swych twarzy, by nie próbowali odgadywać z nich cudzych grzechów i występków. I porównywać ich z własnymi.

– Tutaj jestem.

Dźwięczny i głęboki głos, który dobiegł od strony ukrytej między stallami wnęki, pobrzmiewał – trudno było oprzeć się takiemu wrażeniu – powagą i dostojeństwem. Ale prawdopodobnie było to jedynie echo, pogłos baldachimu sklepienia, kołaczący się wśród kamiennych ścian. Reynevan podszedł bliżej.

Nad roztaczającym nikłą woń kadzidła i pokostu konfesjonałem górował wizerunek świętej Anny Samotrzeciej, z Marią na jednym, a Jezusem na drugim kolanie. Reynevan obraz widział, był bowiem oświetlony kagankiem. Oświetlając obraz, kaganek pogrążał okolicę w tym mroczniejszym mroku, toteż mężczyznę, który siedział wewnątrz konfesjonału, Reynevan widział jedynie w zarysach.

– Tobie tedy – powiedział mężczyzna, budząc kolejne echa – przyjdzie mi dziękować za szansę odzyskania swobody poruszania się, hę? Dziękuję zatem. Choć zdaje mi się, że raczej więcej do zawdzięczenia mam pewnemu wrocławskiemu kanonikowi, nieprawdaż? I wydarzeniu, które miało miejsce... No, powiedz dla porządku. Żebym był zupełnie pewien, że rozmawiam z właściwą osobą. I że to nie sen.

– Osiemnasty lipca, rok osiemnasty.

– Gdzie?

– Wrocław. Nowe Miasto...

– Oczywiście – potwierdził po chwili mężczyzna. – Jasna rzecz, że Wrocław. Gdzieżby to mogło być, jeśli nie tam? Dobra. Zbliż się teraz. I przybierz przepisową pozycję.

– Słucham?

– Klęknij.

– Zabito mi brata – powiedział Reynevan, nie ruszając się z miejsca. – Mnie samemu grozi śmierć. Jestem ścigany, muszę uciekać. A wcześniej załatwić kilka spraw. I kilka porachunków. Ojciec Otto zapewnił mnie, że ty zdołasz mi pomóc. Właśnie ty, kimkolwiek jesteś. Ale ani myślę klękać przed tobą... Jak mam cię zwać? Ojcem? Bratem?

– Zwij jak chcesz. Choćby wujem. Jest mi to głęboko obojętne.

– Nie do śmiechów mi. Mówiłem, brata mi zabili. Przeor rzekł, że możemy stąd wyjść. Wyjdźmy więc, opuśćmy to smutne miejsce, ruszajmy w drogę. A w drodze opowiem, co trzeba. Byś wiedział, co trzeba. I nie więcej niż trzeba.

– Prosiłem – echo głosu mężczyzny zadudniło jeszcze głębiej – byś uklęknął.

– A ja mówiłem: spowiadać ci się nie myślę.

– Kimkolwiek jesteś – rzekł mężczyzna – do wyboru masz dwie drogi. Jedną tu, do mnie, na klęczki. Drugą przez klasztorną bramę. Beze mnie, ma się rozumieć. Nie jestem jurgieltnikiem, chłopcze, ani najemnym zbirem do załatwiania twoich spraw i porachunków. To ja, zakarbuj sobie, decyduję, ile i jakiej potrzeba mi wiedzy. Zresztą, rzecz jest również we wzajemnym zaufaniu. Ty nie ufasz mi, jakże tedy ja mogę tobie?

– To, że wyjdziesz z więzienia – odszczeknął czupurnie Reynevan – możesz zawdzięczać mnie właśnie. I ojcu Ottonowi. Sam to sobie zakarbuj i nie próbuj strugać ważniaka. I stawiać przed wyborami. Bo to nie ja, lecz ty stoisz przed wyborem. Albo idziesz ze mną, albo gnij tu dalej. Wybór...

Mężczyzna przerwał mu głośnym pukaniem w deskę konfesjonału.

– Wiedz – powiedział po chwili – że trudne wybory nie są mi pierwszyzną. Grzeszysz pychą, mniemając, że się ich ulęknę. Jeszcze dziś rano nie wiedziałem o twoim istnieniu, jeszcze dziś wieczorem, jeśli trzeba będzie, o twym istnieniu zapomnę. Powtarzam, a po raz ostatni: albo będąca wyrazem zaufania spowiedź, albo żegnaj. Pospiesz się z

wyborem, niewiele czasu zostało do seksty. A tu surowo przestrzega się liturgii godzin.

Reynevan zacisnął pięści, walcząc z przemożną ochotą, by odwrócić się i wyjść, wyjść na słońce, świeże powietrze, zieleń i przestrzeń. Wreszcie przełamał się. Zdrowy rozsądek zwyciężył.

– Nie wiem nawet – wydusił z siebie, klękając na wyślizganym drewnie – czy jesteś kapłanem.

– To bez znaczenia – w głosie człowieka z konfesjonału zabrzmiało coś na kształt drwiny. – Idzie mi tylko o spowiedź. Rozgrzeszenia nie oczekuj.

– Nie wiem nawet, jak cię zwać.

– Mam wiele nazwisk – dobiegło zza kratki, cicho, ale wyraźnie. – Pod różnymi imionami zna mnie świat. Skoro mam szansę być światu przywrócony... Trzeba będzie coś wybrać... Wilibald z Hirsau? A może, hmm... Benignus z Aix? Paweł z Tyńca? Cornelius van Heemskerck? A może... A może... mistrz Szarlej? Jak ci się to widzi, chłopcze: mistrz Szarlej? No, dobra, nie rób min. Po prostu: Szarlej. Może być?

– Może. Przystąpmy do rzeczy. Szarleju.

●

Ledwo masywne, iście godne twierdzy wrzeciądze strzegomskiego karmelu zatrzasnęły się za nimi z hukiem, ledwo obaj oddalili się od wysiadujących pod bramą żebraków i proszalnych dziadów, ledwo weszli w cień przydrożnych topoli, Szarlej zaskoczył Reynevana totalnie i z kretesem.

Niedawny demeryt i więzień, jeszcze przed chwileczką fascynująco tajemniczy, zasępiony i dostojnie milczący, teraz ryknął nagle homeryckim śmiechem, dał jeleniego susa w górę, rzucił się na wznak w chwasty i przez chwil kilka tarzał wśród zieleni niczym źrebak, przez czas cały rycząc i śmiejąc się na przemian. Wreszcie na oczach osłupiałego Reynevana jego niedawny spowiednik machnął kozła, zerwał się i uczynił w stronę bramy wielce obelżywy gest na zgiętym łokciu. Gest poparty został długą litanią krańcowo nieprzyzwoitych przekleństw i wyzwisk. Kilka dotyczyło przeora personalnie, kilka strzegomskiego klasztoru, kilka zakonu karmelitów jako całości, kilka miało wymiar ogólny.

– Nie sądziłem – Reynevan uspokoił konia, spłoszonego występem – że tak tam było ciężko.

– Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. – Szarlej otrzepał odzienie. – To po pierwsze. Po drugie, powstrzymaj się łaskawie od komentarzy, przynajmniej chwilowo. Po trzecie, pospieszajmy do miasta.

– Do miasta? A po co? Myślałem...

– Nie myśl.

Reynevan wzruszył ramionami, popędził wierzchowca gościńcem. Udawał, że odwraca głowę, ale nie mógł powstrzymać się od ukradkowej obserwacji kroczącego obok konia mężczyzny.

Szarlej nie był zbyt wysoki, był nawet odrobinę niższy od Reynevana, ale detal ten umykał uwadze, albowiem niedawny demeryt był barczysty, mocno zbudowany i zapewne silny, co można było wnioskować po żylastych i grających mięśniami przedramionach, wyzierających spod przykrótkich rękawów. Szarlej nie zgodził się opuścić karmelu w habicie, a strój, który mu dano, był lekko dziwaczny.

Twarz demeryta miała rysy dosyć grube, żeby nie rzec toporne; było to jednak oblicze żywe, zmieniające się bez przerwy, grające całą gamą wyrazów. Garbaty i męsko wydatny nos nosił ślady dawnego złamania, dołek podbródka niknął w starej, ale wciąż widocznej bliźnie. Oczy Szarleja, zielone jak szkło butelki, były bardzo dziwne. Gdy się w nie spojrzało, dłoń machinalnie sprawdzała, czy sakiewka jest na miejscu, a pierścień na palcu. Myśl z niepokojem biegła ku pozostawionym w domu żonie i córkach, a wiara w cnotę niewieścią obnażała całą swą naiwność. Nagle traciło się wszelkie nadzieje na zwrot pożyczonych pieniędzy, pięć asów w talii do pikiety przestawało dziwić, autentyczna pieczęć pod dokumentem zaczynała wyglądać cholernie nieautentycznie, a drogo kupionemu koniowi zaczynało dziwnie rzęzić w płucach. To właśnie się czuło, gdy patrzyło się w butelkowo zielone oczy Szarleja. Na jego oblicze, w którym zdecydowanie więcej było z Hermesa niźli z Apollina.

Minęli wielką połać podmiejskiej ogrodowizny, potem kaplicę i szpital świętego Mikołaja. Reynevan wiedział, że hospicjum prowadzą joannici, wiedział też, że w Strzegomiu zakon ma komandorię. Zaraz przypomniał sobie księcia Kantnera i jego rozkaz, kierujący go do Małej Oleśnicy. I zaczął się niepokoić. Z joannitami mógł być kojarzony, zatem droga, którą jechał, nie była drogą ściganego wilka; wątpił, by kanonik Otto

Beess pochwalił wybór. W tym momencie Szarlej po raz pierwszy dał dowód swej przenikliwości. Lub równie rzadkiej umiejętności czytania w myślach.

– Nie ma powodów do niepokoju – powiedział swobodnie i wesoło. – Strzegom ma ponad dwa tysiące mieszkańców, znikniemy pośród nich jak bździna w śnieżycy. Poza tym jesteś pod moją opieką. Wszak zobowiązałem się.

– Cały czas – odrzekł Reynevan po długiej chwili, jakiej potrzebował na ochłonięcie. – Czas cały zastanawiam się, ile dla ciebie znaczy takie zobowiązanie.

Szarlej wyszczerzył białe zęby ku maszerującym w przeciwnym kierunku zbieraczkom lnu, hożym dziewojom w mocno rozchełstanych koszulach, odsłaniających wiele ze spoconych i zakurzonych wdzięków. Dziewoi było kilkanaście, a Szarlej szczerzył się do wszystkich po kolei, toteż Reynevan stracił nadzieję na to, że usłyszy odpowiedź.

– Pytanie – zaskoczył go demeryt, odrywając wzrok od krągłego tyłeczka ostatniej ze zbieraczek, podrygującego pod mokrym od potu giezłem – było natury filozoficznej. Na takowe nie zwykłem odpowiadać na trzeźwo. Ale obiecuję ci: odpowiedzi udzielę jeszcze przed zachodem słońca.

– Nie wiem, czy doczekam. Czy wcześniej nie spłonę z ciekawości.

Szarlej nie odpowiedział, przyspieszył natomiast kroku tak, że Reynevanowi przyszło zmusić konia do lekkiego kłusa. Szybko więc znaleźli się pod Bramą Świdnicką. Za nią zaś, za gromadą kucających w cieniu brudnych pątników i pokrytych wrzodami żebraków był już Strzegom, jego wąskie, błotniste, cuchnące i pełne ludzi uliczki.

Dokąd by i jakim bądź celu ich droga wiodła, Szarlej ją znał, prowadził bowiem pewnie i bez żadnego wahania. Przeszli uliczką, w której stukotało tyle krosien, że niechybnie była to Tkacka lub Sukiennicza. Wkrótce znaleźli się na placyku, nad którym górowała wieża kościelna. Przez placyk – dało się to widzieć i czuć – niedawno przeganiano bydło.

– Popatrz jeno – rzekł Szarlej, zatrzymując się. – Kościół, karczma, bordel, a w środku między nimi kupa gówna. Oto parabola ludzkiego żywota.

– A podobno – Reynevan nie uśmiechnął się nawet – na trzeźwo nie filozofujesz.

– Po długim okresie abstynencji – Szarlej skierował nieomylne kroki w zaułek, w stronę lady zastawionej antałkami i kuflami – upaja mnie sama jeno woń dobrego piwa. Hej, dobry człeku! Białe strzegomskie poproszę! Z piwnicy! Zechciej zapłacić, chłopcze, albowiem, jak powiada Pismo, *argentum et aurum non est mihi*.

Reynevan parsknął, ale rzucił na ladę kilka halerzy.

– Czy dowiem się wreszcie, jakie sprawy cię tu przywiodły?

– Dowiesz. Ale dopiero wówczas, gdy przynajmniej trzy z tych spraw wypiję.

– A potem? – Reynevan zmarszczył brwi. – Ów dopiero co wspomniany zamtuz?

– Nie wykluczam – Szarlej uniósł kufel. – Nie wykluczam, chłopcze.

– A dalej? Trzydniowa libacja na okoliczność odzyskania wolności?

Szarlej nie odpowiedział, pił bowiem. Nim jednak przechylił kufel, mrugnął zza niego, a mrugnięcie to mogło znaczyć wszystko.

– To był jednak błąd – przemówił poważnie Reynevan, wpatrzony w grającą łykami grdykę demeryta. – Może błąd kanonika. A może mój, że go posłuchałem. Że zadałem się z tobą.

Szarlej pił, nie zwracając na niego żadnej uwagi.

– Na szczęście – ciągnął Reynevan – łatwo można temu wszystkiemu zaradzić. I kres położyć.

Szarlej odjął kufel od ust, westchnął, oblizał pianę z górnej wargi.

– Chcesz mi coś powiedzieć – odgadł. – Mówże więc.

– My dwaj – rzekł zimno Reynevan – zwyczajnie nie pasujemy do siebie.

Demeryt skinął, by nalano mu drugie piwo, przez moment zdawał interesować się wyłącznie kuflem.

– Trochę się różnimy, fakt – przyznał, łyknąwszy. – Ja, dla przykładu, nie zwykłem chędożyć cudzych żon. Gdyby dobrze poszukać, znajdzie się zapewne jeszcze kilka różnic. To normalne. Stworzono nas bowiem na obraz i podobieństwo, ale Stwórca zadbał o cechy indywidualne. I chwała Mu za to.

Reynevan machnął ręką, coraz bardziej zły.

– Zastanawiam się – wypalił – czy cię w imię Stwórcy nie pożegnać. Tu, zaraz. Abyśmy rozeszli się, każdy w swoję stronę. Bo doprawdy nie wiem, w czym możesz mi się przygodzić. Boję się, że w niczym.

Szarlej spojrzał na niego znad kufla.

– Przygodzić? – powtórzył. – W czym? Łatwo się przekonać. Krzyknij: „Pomocy, Szarleju!”, a pomoc będzie ci dana.

Reynevan wzruszył ramionami i odwrócił się z zamiarem odejścia. Potrącił kogoś. A ten ktoś uderzył jego konia tak mocno, że koń kwiknął i cisnął się, obalając go w gnój.

– Jak chodzisz, żłobie? Gdzie z tą chabetą? Tu jest miasto, nie twoja zafajdana wiocha!

Tym, który go potrącił i rugał, był jeden z trzech młodych mężczyzn, odzianych bogato, modnie i elegancko. Wszyscy trzej byli niezwykle podobni – ustrojeni w jednakowe fantazyjne fezy na włosach fryzowanych na żelazkach oraz watowane kabaty, pikowane tak gęsto, że ich rękawy wyglądały jak wielkie gąsienice. Nosili też będące w modzie obcisłe paryskie spodnie zwane *mi-parti*, mające nogawki w kontrastowych kolorach. Wszyscy trzej dzierżyli toczone laski z gałkami.

– Jezu Chryste i wszyscy święci – powtórzył galant, wywijając laską młynka. – Cóż za chamstwo na tym Śląsku, cóż za sprosna dzicza! Czy ktoś ich kiedyś nauczy kultury?

– Trzeba będzie – powiedział drugi, z identycznym galijskim akcentem – samemu wziąć na się ten trud. I wprowadzić ich do Europy.

– Racja – zawtórował trzeci modniś, w błękitno-czerwonych *mi-parti*. – Na początek w ramach wprowadzania wygarbujmy po europejsku skórę temu tu prostakowi. Nuże, panowie, do kijów! I niech się nikt nie leni!

– Hola! – krzyknął właściciel piwnej ławki. – Bez burd, panowie kupcy! Bo straż zawezwę!

– Zawrzyj gębę, śląski ćwoku, bo i ty oberwiesz.

Reynevan usiłował zerwać się, ale nie zdążył. Laska łomotnęła go w bark, druga z suchym trzaskiem spadła na plecy, trzecia strzeliła w pośladki. Uznał, że nie ma co czekać na dalsze cięgi.

– Pomocy! – wrzasnął. – Szarleju! Pomocy!

Szarlej, który przyglądał się zajściu z umiarkowanym zainteresowaniem, odstawił kufel i nie spiesząc się podszedł.

– Dosyć zabawy.

Galanci obejrzeli się – i jak na komendę ryknęli śmiechem. Faktycznie, Reynevan musiał przyznać, w swym kusym i pstrokatym odzieniu demeryt nie prezentował się najdostojniej.

– Chryste Panie – parsknął pierwszy galant, pobożny widać. – Ależ pocieszne figury spotyka się na tym krańcu świata!

– To jakiś miejscowy błazen – ocenił drugi. – Widać po cudacznym stroju.

– Nie suknia zdobi człowieka – odrzekł zimno Szarlej. – Odejdźcie stąd, łaskawcy. Prędziutko.

– Coo?

– Panowie – powtórzył Szarlej – łaskawie zechcą się oddalić. Znaczy, pójść sobie stąd gdzieś daleko. Nie musi być Paryż. Wystarczy przeciwległy kraniec miasta.

– Cooooo?

– Panowie – powtórzył Szarlej, wolno, cierpliwie i dobitnie, jak dzieciom. – Panowie raczą sobie stąd pójść. I zająć czymś dla siebie zwykłym. Sodomią, dla przykładu. W przeciwnym wypadku zostaną panowie obici, i to gruntownie. I zanim którykolwiek z panów zdąży wymówić *credo in Deum patrem omnipotentem*.

Pierwszy modniś zamachnął się laską. Szarlej zwinnie uniknął ciosu, chwycił za kij i zakręcił, modniś wywinął kozła i plasnął w błoto. Laską, która została mu w dłoni, demeryt zdzielił przez łeb drugiego galanta, posyłając go na piwowarską ladę, ciosem szybkim jak myśl dał po łapie trzeciemu. Ten pierwszy zerwał się tymczasem i rzucił na Szarleja, rycząc jak ranny żubr. Demeryt bez widocznego wysiłku powstrzymał szarżę ciosem, który zgiął galanta wpół. Szarlej zaś łokciem uderzył go potężnie w nerki, padającego kopnął w ucho, zdawałoby się, od niechcenia. Ale kopnięty zwinął się jak robak i już nie wstał.

Dwaj pozostali spojrzeli po sobie i jak na komendę dobyli puginałów. Szarlej pogroził im palcem.

– Nie radzę – powiedział. – Noże kaleczą!

Modnisie ostrzeżenia nie posłuchali.

Reynevanowi zdawało się, że obserwuje zajście uważnie. Czegoś jednak nie zauważył, bo nie pojął, jak stało się to, co się stało. Wobec sadzących na niego i wymachujących jak wiatraki galantów Szarlej wydawał się niemal nieruchomy, ruchy zaś, jakie wykonał, gdy go dopadli, były nieznaczne, lecz tak szybkie, że umykające oku. Jeden z modnisiów upadł na kolana, pochyliwszy głowę niemal do ziemi charczał i jeden po drugim wypluwał w błoto zęby. Drugi siedział i krzyczał. Otworzywszy usta na pełną szerokość krzyczał i płakał, cienko,

modulowanie, nieustannie, zupełnie jak długo nie karmione niemowlę. Własny puginał wciąż trzymał w dłoni, a nóż kolegi tkwił mu w udzie, wbity aż po złoconą gardę.

Szarlej spojrzał w niebo, rozłożył ręce gestem znaczącym „a nie mówiłem". Zdjął swój śmieszny przyciasny kubraczek. Podszedł do plującego zębami. Zręcznie chwycił go za łokcie, poderwał, ucapił za rękawy i kilkoma precyzyjnymi kopniakami wykopał galanta z watowanego kabata. Po czym sam się weń ustroił.

– Nie suknia czyni człowieka – rzekł, przeciągając się z lubością – lecz ludzka godność. Ale tylko człowiek dobrze ubrany czuje się prawdziwie godnie.

Potem pochylił się i zdarł modnisiowi z pasa wyszywaną jałmużniczkę.

– Bogate miasto, Strzegom – powiedział. – Bogate miasto. Pieniądze, patrzcie sami, walają się na ulicach.

– Na waszym miejscu... – powiedział drżącym nieco głosem właściciel piwnej ławki. – Na waszym miejscu uciekałbym, panie. To bogate kupce, goście wielmożnego pana Guncelina von Laasan. Dobrze im tak, za burdy, co je cięgiem wszczynają... Ale uciekajcie lepiej, bo pan von Laasan...

– ...w mieście rządzi – dokończył Szarlej, zabierając sakiewkę trzeciemu galantowi. – Dzięki za piwo, dobry człowieku. Pójdźmy, Reinmarze.

Poszli. Galant z nożem w udzie długo żegnał ich rozpaczliwym, nieustającym, niemowlęcym wyciem:

– Uaa-uaa! Uaa-uaa! Uaa-uaa! Uaa-uaa!

Rozdział dziesiąty

w którym zarówno Reynevan, jak i czytelnik mają okazję lepiej poznać Szarleja – sposobność po temu daje wspólna wędrówka i różne towarzyszące tejże wydarzenia. Na koniec zaś pojawiają się trzy wiedźmy – absolutnie klasyczne, absolutnie kanoniczne i absolutnie anachroniczne.

Rozsiadłszy się wygodnie na omszałym pniaku, Szarlej przyglądał się monetom, które wysypał z sakiewek do czapki. Nie ukrywał niezadowolenia.

– Wnosząc z ubioru i obejścia – sarkał – rzekłbyś, zamożni nowobogaccy. A w mieszkach, spójrz sam, chłopcze, jaka bryndza. Jaki śmietnik! Dwa ecu, trochę oberżniętych paryskich soldów, czternaście groszy, półgroszki, magdeburskie fenigi, pruskie skojce i szelągi, denary i halerze cieńsze od opłatków, jakieś inne gówna, których nawet rozpoznać nie potrafię, dalibóg, fałszywe. Więcej, niech mnie diabli, warte te sakiewki, srebrną nicią i perłami wyszywane. Ale sakiewki to nie gotówka, gdzie ja je teraz spieniężę? A monety nie starczy tu nawet na lichego konia, a ja, psiakrew, muszę mieć konia. Niech to mór, odzienie tych fircyków też więcej było warte. Powinienem ich do goła obedrzeć.

– Wtedy – zauważył dość cierpko Reynevan – w pościg za nami pan von Laasan posłałby pewnie nie dwunastu, ale stu ludzi. I nie jednym, ale wszystkimi traktami.

– Ale posłał dwunastu, więc nie dywaguj.

W samej rzeczy, nie dłużej niż w pół godziny po tym, gdy obaj opuścili Strzegom Bramą Jaworską, z tejże bramy wypadł i pognał gościńcem tuzin jeźdźców w barwach Guncelina von Laasan, wielmoży, pana na strzegomskim zamku i faktycznego władcy grodu. Szarlej jednak, dowodząc sprytu, krótko po wyjeździe kazał Reynevanowi skręcić w las i skryć się w gąszczu. Teraz czekał i upewniał się, czy aby pościg nie zawróci.

Reynevan westchnął i przysiadł obok Szarleja.

– Efekt naszej znajomości jest taki – powiedział – że jeśli dziś rano ścigali mnie tylko bracia Sterczowie i najęte przez nich zbiry, to już na

odwieczerz depczą mi po piętach von Laasan i strzegomscy zbrojni. Co będzie dalej, aż strach pomyśleć.

– To ty wzywałeś pomocy – wzruszył ramionami demeryt. – A ja wszak zobowiązałem się do opieki i ochrony. Wspominałem już o tym, ty zaś raczyłeś nie dowierzać, niewierny Tomaszu. Czy naoczny dowód cię przekonał? Czy też musisz dotknąć ran?

– Gdyby wtedy wcześniej nadbiegła straż – wydął wargi Reynevan – albo kompani tych obitych, to zaiste, byłoby czego dotykać. A o tej porze już bym wisiał. A ty, mój opiekunie i obrońco, wisiałbyś obok. Na sąsiednim haku.

Szarlej nie odpowiedział, wzruszył tylko znowu ramionami i rozłożył ręce. Reynevan uśmiechnął się mimowolnie. Nadal nie nabrał zaufania do dziwnego demeryta i nadal nie rozumiał, skąd brało się zaufanie kanonika Ottona Beessa. Nadal nie tylko nie zbliżał się do Adeli, lecz wręcz zdawał od niej oddalać. Do listy miejscowości, w których nie mógł się pokazać, dopisany został Strzegom. Szarlej jednak, co tu dużo gadać, zaimponował mu trochę. Reynevan oczyma duszy widział już, jak Wolfher Stercza klęczy i jeden po drugim wypluwa zęby. Jak Morold, który w Oleśnicy targał Adelę za włosy, siedzi i wyje: „Uaaua-uaaua".

– Gdzie się nauczyłeś tak bić? W klasztorze?

– W klasztorze – potwierdził spokojnie Szarlej. – Wierz mi, chłopcze, klasztory pełne są nauczycieli. Niemal każdy, kto tam przybywa, coś umie. Wystarczy więc chęć do nauki.

– U demerytów, w karmelu, było podobnie?

– Jeszcze lepiej, pod względem nauki oczywiście. Mieliśmy dużo czasu, z którym nie było co począć. Zwłaszcza jeśli nie gustowało się w bracie Barnabie. Brat Barnaba, cysters, choć ładny i pulchny jak dzieweczka, dzieweczką jednak nie był, a fakt ten niektórym z nas odrobinę przeszkadzał.

– Oszczędź mi szczegółów, proszę. Co teraz robimy?

– Wzorem synów Aymona – Szarlej wstał i przeciągnął się – wsiadamy obaj na twego gniadego Bayarda. I ruszamy na południe, ku Świdnicy. Bezdrożami.

– Dlaczego?

– Mimo zdobycia trzech sakiewek, nadal cierpimy na niedostatek *argentum et aurum*. W Świdnicy znajdę na to *antidotum*.

– Pytałem, dlaczego bezdrożami?

– Traktem świdnickim przybyłeś do Strzegomia. Duża szansa, że spotkalibyśmy się tam nos w nos z tymi, którzy cię ścigają.

– Zgubiłem ich. Jestem pewien...

– Oni też liczą na tę pewność – przerwał demeryt. – Z twojej relacji wynikało, że ścigają cię zawodowcy. Takich niełatwo zgubić. W drogę, Reynevanie. Mądrze będzie, nim noc zapadnie, znaleźć się jak najdalej od Strzegomia i pana von Laasan.

– Zgadzam się. Będzie mądrze.

●

Wieczór zastał ich wśród lasów, zmrok zaskoczył w okolicach jakiejś sadyby, dym pełzał tam po strzechach chat i rozsnuwał się po okolicy, mieszając z mgłą wstającą z łąk. Początkowo mieli zamiar zanocować w bliskim chałup brogu, zakopani w ciepłe siano, ale psy wyczuły ich i obszczekały tak zajadle, że zrezygnowali. Już niemalże po omacku znaleźli na skraju boru na wpół rozwalony pasterski szałas.

●

W lesie stale coś szuściło, coś chrobotało, coś popiskiwało i powarkiwało, co i rusz zapalały się też w mroku blade latarenki ślepiów. Najprawdopodobniej były to kuny lub borsuki, ale Reynevan dla pewności wrzucił do ogniska ostatki zebranego na wąwolnickim cmentarzu tojadu, dorzucił zerwany przed wieczorem rozchodnik, mrucząc przy tym pod nosem zaklęcia. Tego, czy były to dobre zaklęcia ani tego, czy dobrze je zapamiętał, nie był jednak całkiem pewien.

Szarlej przyglądał się ciekawie.

– Mów dalej – rzekł. – Opowiadaj, Reinmarze.

O wszystkich swych kłopotach Reynevan opowiedział już Szarlejowi podczas „spowiedzi" u karmelitów, tamże w ogólnych zarysach wyłożył był swe plany i zamiary. Podówczas demeryt nie komentował. Tym bardziej niespodziana była jego reakcja teraz, gdy zaczęła być mowa o szczegółach.

– Nie chciałbym – rzekł, grzebiąc patykiem w ogniu – by sam miły początek naszej znajomości skaziły niedomówienia i nieszczerości. Szczerze a bez ogródek powiem ci tedy, Reinmarze, że twój plan wart jest tego jedynie, by wsadzić go psu w dupę.

– Co?

– Psu w dupę – powtórzył Szarlej, modulując głos jak kaznodzieja. – Do tego nadaje się twój przedstawiony mi przed chwilą plan. Będąc młodzieńcem roztropnym i wykształconym, nie możesz sam tego nie widzieć. Nie możesz też liczyć na to, że ja w czymś takim wezmę udział.

– Ja i kanonik Otto Beess wyciągnęliśmy cię spod klucza – Reynevan, choć gotował się ze złości, zapanował nad głosem. – Nie z miłości, bynajmniej, lecz po to i tylko po to, byś wziął udział. Będąc roztropnym demerytem nie mogłeś tego nie wiedzieć, tam, w klasztorze. A jednak dopiero teraz komunikujesz mi, że udziału nie weźmiesz. Więc i ja powiem szczerze a bez ogródek: wracaj do więzienia u karmelitów.

– Ja wciąż jestem w więzieniu u karmelitów. Przynajmniej oficjalnie. Ale ty chyba tego nie pojmujesz.

– Pojmuję – Reynevan przypomniał sobie naraz rozmowę z karmelickim szafarzem od śledzi. – Doskonale pojmuję też, że zależy ci na odpokutowaniu, bo po pokucie *nullum crimen*, wracasz do łask i przywilejów. Ale rozumiem i to, że kanonik Otto ma cię w ręku. Wystarczy mu bowiem ogłosić, żeś zbiegł od karmelitów, a będziesz wywołańcem do końca życia. Nie będzie powrotu do twojego zakonu i ciepłego klasztorku. Nawiasem mówiąc, jaki to zakon i jaki klasztorek? Można wiedzieć?

– Nie można. W istocie, drogi Reinmarze, pojąłeś rzecz właściwie. Faktycznie, od demerytów wypuszczono mnie niejako nieoficjalnie, pokuta wciąż mi biegnie. A i to prawda, że dzięki kanonikowi Beessowi biegnie mi ona na wolności, za co kanonikowi chwała, albowiem ja kocham wolność. Dlaczegóż by jednak miał świątobliwy kanonik odbierać mi to, co dał? Wszakże czynię to, do czego mnie zobowiązał.

Reynevan otworzył usta, ale Szarlej natychmiast mu przerwał, i to dość obcesowo.

– Twoja opowieść o miłości i zbrodni, choć porywająca, godna zaiste Chrétiena de Troyes, mnie porwać nie zdołała. Nie wmówisz mi, chłopcze, że kanonik Otto Beess polecił ci mnie jako pomocnika w wybawianiu z opresji uciśnionych niewiast i wspólnika w rodowej zemście. Ja kanonika znam. To człek mądry. Skierował cię do mnie, bym cię ocalił. A nie po to, byśmy obaj położyli głowy pod topór. Spełnię tedy, czego oczekuje ode mnie kanonik. Ocalę cię przed pościgiem. I wywiozę bezpiecznie na Węgry.

– Nie opuszczę Śląska bez Adeli. I nie pomściwszy brata. Nie kryję, że zdałaby mi się pomoc, że liczyłem na nią. Na ciebie. Ale jeśli nie, to trudno. Sam sobie poradzę. Ty zaś czyń podług woli. Jedź na Węgry, na Ruś, do Palestyny, dokąd tylko chcesz. Ciesz się wolnością, którą tak kochasz.

– Dzięki za sugestię – odrzekł zimno Szarlej. – Ale nie skorzystam.

– Ach. Czemuż to?

– Sam w oczywisty sposób nie poradzisz sobie. Stracisz głowę. A wówczas kanonik upomni się o moją.

– Ha. Jeśli tedy zależy ci na głowie, nie masz wyboru.

Szarlej milczał długo. Reynevan zdążył go już jednak trochę poznać i nie liczył, że to koniec.

– Względem brata – przemówił wreszcie niedawny więzień karmelu – będę stanowczy. Choćby z tego powodu, że nie masz pewności, kto go zabił. Nie przerywaj mi! Wróżda rodowa to rzecz poważna. A ty, jak wyznałeś, ni świadków nie masz, ni dowodów, jedyne, czym dysponujesz, to domysły i domniemania. Nie przerywaj, prosiłem! Wysłuchaj. Wyjedźmy, odczekajmy, zbierzmy informacje, zdobędźmy dowody, zgromadźmy środki. Skrzyknijmy partię. Pomogę ci. Jeśli mnie usłuchasz, obiecuję, posmakujesz zemsty tak, jak trzeba ją smakować. Na zimno.

– Ale...

– Jeszcze nie skończyłem. Względem twej wybranki Adeli, plan nadal jest psu do dupy, ale cóż, zawadzając o Ziębice drogi nadto nie nadłożymy. A w Ziębicach wiele się wyjaśni.

– Coś sugerujesz? Adela mnie kocha!

– Czy ktoś przeczy?

●

– Szarleju?

– Słucham.

– Dlaczego kanonik i ty upieracie się przy Węgrach?

– Bo to daleko.

– A dlaczego nie Czechy? Też daleko. A ja Pragę znam, mam tam znajomków...

– Ty co, do kościoła nie chodzisz? Kazań nie słuchasz? Praga i całe Czechy to teraz kocioł z wrzącą smołą, można się boleśnie poparzyć. A

za jakiś czas może być jeszcze weselej. Zuchwałość husytów przekroczyła granice, tak bezczelnej herezji nie zniesie ani papież, ani Luksemburczyk, ani kurfirst saski, ani landgrafowie Miśni i Turyngii, ba, całej Europie solą w oku jest husyckie odstępstwo. I tylko patrzeć, jak cała Europa ruszy na Czechy z krucjatą.

– Były już – zauważył kwaśno Reynevan – antyhusyckie krucjaty. Chodziła już na Czechy cała Europa. I zdrowo dostała w skórę. O tym, jak dostawała, opowiadał mi całkiem niedawno naoczny świadek.

– Wiarygodny?

– Wręcz przysłowiowo.

– I co z tego? Dostała, to i wyciągnęła wnioski. Teraz lepiej się przygotuje. Powtarzam: świat katolicki husytów nie zniesie. To tylko kwestia czasu.

– Znoszą ich już od lat siedmiu. Bo muszą.

– Albigensi trzymali się lat sto. I gdzie teraz są? To tylko kwestia czasu, Reinmarze. Czechy spłyną krwią, jak spłynęła Langwedocja katarów. I metodą sprawdzoną w Langwedocji w Czechach też mordować będzie się wszystkich równo, zostawiając Bogu rozpoznanie niewinnych i prawowiernych. Dlatego nie jedziemy do Czech, lecz na Węgry. Tam mogą nam zagrozić co najwyżej Turcy. Wolę Turków niż krzyżowców. Turcy, gdy idzie o mordowanie, nie dorastają krzyżowcom do pięt.

●

Las był cichy, nic w nim już nie szuściło i nie piszczało, stwory albo przelękły się zaklęć, albo, co bardziej prawdopodobne, zwyczajnie się znudziły. Reynevan dla pewności wrzucił do ognia resztkę ziół.

– Jutro – spytał – dotrzemy już, mam nadzieję, do Świdnicy?

– Absolutnie.

●

Jazda bezdrożami miała, jak się okazało, swoje złe strony. Gdy się mianowicie wyjechało z bezdroży na drogę, bardzo trudno było się zorientować, skąd i dokąd dana droga wiedzie.

Szarlej postał pochylony nad odciśniętymi w piasku śladami, przyglądał się im, złorzecząc pod nosem. Reynevan puścił konia ku przydrożnym trawom, sam popatrzył na słońce.

– Wschód – zaryzykował – jest tam. Tedy nam raczej trzeba tędy.

– Nie mędrkuj – uciął Szarlej. – Właśnie badam ślady i ustalam, którędy odbywa się główny ruch. I stwierdzam, że my musimy... tędy.

Reynevan westchnął, albowiem Szarlej wskazał dokładnie w tę samą stronę, co i on. Pociągnął konia i ruszył za demerytem, dziarsko maszerującym w wybranym kierunku. Po niedługim czasie wyszli na rozstaje. Cztery absolutnie jednakowo wyglądające drogi wiodły w cztery strony świata. Szarlej zamruczał gniewnie i znowu schylił się nad śladami podków. Reynevan westchnął i zaczął rozglądać się za ziołami, wyglądało bowiem, że bez magicznego nawęzu się nie obędzie.

Krzaki zaszeleściły, koń prychnął, a Reynevan podskoczył.

Z zarośli wyszedł, podciągając portki, dziad, klasyczny przedstawiciel lokalnego folkloru. Jeden z wędrownych proszalnych dziadów, jakich setki łaziły po gościńcach, żebrały po bramach i kruchtach, wybłagiwały datki pod żeńskimi klasztorami i strawę po karczmach i chłopskich zagrodach.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków, amen.

Dziad, ma się rozumieć, wyglądał jak typowy dziad. Jego siermięga pstrzyła się od różnobarwnych łat, łykowe łapcie i krzywy kostur były reminiscencją wielu dróg. Spod obdartej czapy, na którą surowca dostarczyły głównie zające i koty, wyglądał czerwony nos i zmierzwiona broda. Na ramieniu dziad niósł sięgającą ziemi torbę, a na szyi zawieszony na sznurku cynowy garnuszek.

– Wspomagaj was święty Wacław i święty Wincenty, święta Petronela i święta Jadwiga patronka...

– Kędy to te drogi wiodą? – przerwał litanię Szarlej. – Którędyż to, dziadku, ku Świdnicy będzie?

– Eee? – dziad przyłożył dłoń do ucha. – Jak powiadacie?

– Dokąd drogi wiodą!!!

– Aaa... Drogi... Aha... Wiem! Tamój idzie się na Olszany... A tamój ku Świebodzicom... A tamój... Wciurnaści... Zabacułem, kaj...

– Nieważne – Szarlej machnął ręką. – Ja już wszystko wiem. Jeśli tam są Świebodzice, to w przeciwną są Stanowice, przy strzegomskim trakcie. Ku Świdnicy, przez Jaworową Górę, wiedzie zatem właśnie ta droga. Bywaj w zdrowiu, dziadku.

– Wspomagaj was święty Wacław...

– Gdyby zaś – tym razem przerwał Reynevan. – Gdyby zaś ktoś się o nas dopytywał... Toście nas nie widzieli. Pojęliście?

– Co miałem nie pojąć. Wspomagaj was święta...

– Abyś zaś dobrze pamiętał, o co cię proszono – Szarlej pogrzebał w kalecie – naści tu, dziadku, pieniążek.

– Olaboga! Dzięki! Wspomagaj was...

– I was też.

– Spójrz – Szarlej obejrzał się, nim ujechali kawałątek. – Popatrz tylko, Reinmarze, jak on się raduje, jak maca i radośnie obwąchuje monetę, ciesząc się jej grubością i wagą. Zaiste, widok taki jest prawdziwą nagrodą darczyńcy.

Reynevan nie odpowiedział, zajęty obserwacją stad ptaków, które nagle wzbiły się nad lasem.

– Zaprawdę – gadał dalej Szarlej z poważną miną, krocząc obok konia – nigdy nie wolno obojętnie i bezdusznie mijać ludzkiej nędzy. Nigdy nie należy odwracać się do człowieka ubogiego plecami. Głównie dlatego, że człowiek ubogi może wtedy znienacka walnąć kosturem w tył głowy. Słuchasz mnie, Reinmarze?

– Nie. Patrzę na te ptaki.

– Jakie ptaki? O, psia mać! W las! W las, żywo!

Szarlej z rozmachem uderzył konia po zadzie, sam zaś puścił się takim pędem, że spłoszony do galopu koń zdołał go doścignąć dopiero za linią drzew. W lesie Reynevan zeskoczył z siodła, zaciągnął wierzchowca w chaszcze, potem dołączył do demeryta, obserwującego gościniec z zarośli. Przez chwilę nic się nie działo, ptaki przestały skrzeczeć, było cicho i tak spokojnie, że Reynevan już, już sposobił się wydrwić Szarleja i jego przesadną płochliwość. Nie zdążył.

Na rozstaje wpadli czterej jeźdźcy, otoczyli dziada wśród łomotu kopyt i chrapu koni.

– To nie strzegomscy – mruknął Szarlej. – A więc muszą to być... Reinmarze?

– Tak – potwierdził głucho Reynevan. – To oni.

Kyrielejson pochylił się z kulbaki, głośno pytał o coś dziada, Stork z Gorgowic napierał na niego koniem. Dziad kręcił głową, składał ręce, niechybnie życząc im, by ich wspomagała święta Petronela.

– Kunz Aulock – rozpoznał, zaskakując Reynevana, Szarlej – vel Kyrielejson. Kawał zbója, choć przecież rycerz ze znacznego rodu. Stork

z Gorgowic i Sybek z Kobylejgłowy, rzadkie łotry. A ten w kuniej czapce to Walter de Barby. Obłożony klątwą biskupią za napad na folwark w Ocicach, własność raciborskich panien dominikanek. Nie wspomniałeś, Reinmarze, że twoim tropem podążają aż takie sławy.

Dziad padł na kolana, nadal składał ręce, błagał, krzyczał i bił się w piersi. Kyrielejson zwisł z siodła i chlasnął go przez grzbiet nahajem, użytek z batów zrobili też Stork i pozostali, przy czym zrobił się ścisk, w którym wszyscy wzajem sobie przeszkadzali, a konie jęły się płoszyć i ciskać. Stork i obłożony klątwą de Barby zeskoczyli więc z siodeł i zaczęli okładać wrzeszczącego dziada kułakami, a gdy upadł, wzięli się do kopania. Dziad wrzeszczał i wył, aż litość brała.

Reynevan zaklął, walnął pięścią w ziemię. Szarlej spojrzał na niego koso.

– Nie, Reinmarze – powiedział zimno. – Nic z tych rzeczy. To nie są francuscy lalusie ze Strzegomia. To jest czterech kutych, uzbrojonych po zęby zbójów i rzeźników. To jest Kunz Aulock, któremu chyba nie dałbym rady nawet jeden na jednego. Porzuć więc głupie myśli i nadzieje. Siedzimy jak myszy pod miotłą.

– I przypatrujemy się, jak mordują Bogu ducha winnego człowieka.

– I owszem – odparł po chwili demeryt, nie spuściwszy wzroku. – Bo jeśli mam wybierać, moje życie bardziej mi lube. A ja, prócz ducha Bogu, winien jestem kilku osobom pieniądze. Byłoby to nieetycznym głupim ryzykanctwem pozbawiać ich szans na zwrot długu. Zresztą, próżno gadamy. Już po wszystkim. Znudzili się.

W rzeczy samej, de Barby i Stork potraktowali dziada kilkoma pożegnalnymi kopniakami, napluli na niego, wsiedli na konie, za chwilę cała czwórka galopowała, hałłakując i wzbijając kurz, w kierunku Jaworowej Góry i Świdnicy.

– Nie zdradził nas – westchnął Reynevan. – Zbili go i skopali, a on nas nie wydał. Na przekór twoim szyderstwom, ocaliła nas dana biednemu jałmużna. Miłosierdzie i szczodrość...

– Gdyby Kyrielejson, miast brać się do bata, dał mu skojca, dziadyga wydałby nas jednym tchem – skomentował zimno Szarlej. – Jedziemy. Niestety, znowu przez dzikie bezdroża. Ktoś tu, jak pamiętam, przechwalał się całkiem niedawno, że zgubił pościg i zatarł za sobą ślady.

– A nie godzi się – Reynevan zlekceważył sarkazm, patrzył, jak dziad na czworakach szuka w rowie czapki – nie godzi się odwdzięczyć? Dać nawiązkę? Dysponujesz wszak pochodzącym z grabieży grosiwem, Szarleju. Okaż więcej miłosierdzia.

– Nie mogę. – W butelkowych oczach demeryta zapaliła się drwina. – A to z miłosierdzia właśnie. Dałem dziadowi fałszywą monetę. Gdy będzie próbował wydać jedną, obiją go tylko. Jeśli złapią z kilkoma więcej, powieszą. Miłosiernie oszczędzę mu więc takiego losu. W las, Reinmarze, w las. Nie trwońmy czasu.

●

Spadł krótki i ciepły deszcz, gdy ustał, mokry las zaczął zasnuwać się mgłą. Ptaki nie śpiewały. Było cicho. Jak w kościele.

– Twoje grobowe milczenie – odezwał się wreszcie idący obok konia Szarlej – zdaje się coś wskazywać. Dezaprobatę jakby. Pozwól, niech zgadnę... idzie o tego dziada?

– Owszem, o niego. Postąpiłeś niełądnie. Nieetycznie, delikatnie mówiąc.

– Ha. Ktoś, kto zwykł pieprzyć cudze żony, zaczyna nauczać moralności.

– Nie porównuj, łaskawie, rzeczy nieporównywalnych.

– Tylko ci się zdaje, że są nieporównywalne. Nadto, mój niecny, w twym mniemaniu, uczynek podyktowany był troską o ciebie.

– Zaiste, trudno to pojąć.

– Przy sposobności ci to wyjaśnię – Szarlej zatrzymał się. – Na razie jednak proponowałbym skupienie się na rzeczy ważniejszej nieco. Nie mam mianowicie pojęcia, gdzie jesteśmy. Zgubiłem się w tej parszywej mgle.

Reynevan rozejrzał się, spojrzał w niebo. W rzeczy samej, przezierający przez mgłę blady krążek słońca, jeszcze przed momentem widoczny i wskazujący kierunek, teraz znikł zupełnie. Gęsty opar wisiał nisko, niknęły w nim nawet czubki wyższych drzew. Przy ziemi mgła zalegała miejscami tak, że paprocie i krzaki zdawały się wystawać z oceanu mleka.

– Miast frasować się losem ubogich dziadów – odezwał się znowu demeryt – i przeżywać rozterki moralne, użyłbyś raczej swych talentów celem odnalezienia drogi.

– Słucham?

– Daruj mi miny niewiniątka. Dobrze wiesz, o czym mówię.

Reynevan też uważał, że nawęzy będą nieodzowne, nie zsiadał jednak z konia, zwlekał. Był zły na demeryta i chciał dać mu to odczuć. Koń parskał, chrapał, trząsł łbem, tupał przednim kopytem, odgłos tupania głucho niósł się przez zatopioną w mgle knieję.

– Czuję dym – oświadczył nagle Szarlej. – Gdzieś tu palą ogień. Drwale albo węglarze. U nich wypytamy się o drogę. A twoje magiczne nawęzy zachowamy na lepszą okazję. Twoje demonstracje również.

Ruszył szparko. Reynevan ledwie za nim nadążał, koń wciąż boczył się, opierał, chrapał niespokojnie, miażdżył kopytami bedłki i surojadki. Wysłany grubym dywanem zbutwiałych liści grunt zaczął się nagle obniżać, nie wiedzieć kiedy znaleźli się w głębokim jarze. Ściany jaru porastały pochyłe, koślawe, obrośnięte liszajami mchu drzewa, ich odsłonięte przez osuwającą się ziemię korzenie wyglądały jak macki potworów. Reynevan poczuł ciarki na plecach, skurczył się w siodle. Koń parskał.

Z mgły przed sobą usłyszał klątwy Szarleja. Demeryt stał w miejscu, w którym jar rozwidlał się na dwie odnogi.

– Tędy – rzekł wreszcie z przekonaniem, podejmując marsz.

Jar wciąż się rozwidlał, byli wśród istnego labiryntu parowów, zapach dymu zaś, jak zdawało się Reynevanowi, dochodził ze wszystkich stron naraz. Szarlej szedł jednak prosto i pewnie, dziarsko przyspieszył kroku, ba, zaczął sobie nawet podgwizdywać. I przestał równie szybko, jak zaczął.

Reynevan zrozumiał, dlaczego. Gdy pod podkowami zachrupały kości.

Koń zarżał dziko, Reynevan zeskoczył, oburącz uwiesił się uzdy, w samą porę, chrapiący panicznie gniadosz łypnął na niego zalęknionym okiem, cofnął się, ciężko bijąc kopytami, krusząc czerepy, miednice i piszczele. Stopa Reynevana uwięzła między połamanymi żebrami ludzkiej klatki piersiowej, strząsnął ją dzikimi wymachami nogi. Dygotał z odrazy. I strachu.

– Czarna Śmierć – powiedział stojący obok Szarlej. – Zaraza roku tysiąc trzysta osiemdziesiątego. Wymierały wtedy całe wsie, ludzie uciekali do lasów, ale i tam dopadał ich mór. Umarlaków chowano po jarach, jak tu. Potem zwierz wykopał trupy i rozwłóczył kości...

– Zawróćmy... – odchrząknął Reynevan. – Zawróćmy co rychlej. Nie podoba mi się to miejsce. Nie podoba mi się ta mgła. Ani zapach tego dymu.

– Płochliwy jesteś – zadrwił Szarlej – jak dzieweczka. Umarlaki...

Nie dokończył. Rozległ się świst, gwizd i chichot, taki, że aż przykucnęli. Nad jarem, wlokąc za sobą iskry i warkocz dymu, przeleciała trupia czaszka. Nim zdążyli ochłonąć, przeleciała druga, świszcząc jeszcze straszliwiej.

– Zawróćmy – rzekł głucho Szarlej. – Co rychlej. Nie podoba mi się to miejsce.

Reynevan był absolutnie pewien, że wracają po własnych śladach, tą samą drogą, którą przyszli. A jednak po chwili przed nosami wyrosło im strome zbocze parowu. Szarlej bez słowa zawrócił, skręcił w drugi wąwóz. Po paru krokach tu także zatrzymała ich pionowa, najeżona plątaniną korzeni ściana.

– Niech to diabli porwą – sapnął Szarlej, zawracając. – Nie rozumiem...

– A ja – jęknął Reynevan – boję się, że tak...

– Nie ma wyjścia – warknął demeryt, gdy po raz kolejny utknęli w ślepym zaułku. – Musimy zawrócić i przejść przez cmentarzysko. Szybko, Reinmarze. Raz, dwa.

– Poczekaj – Reynevan schylił się, rozejrzał, szukając ziół. – Jest inny sposób...

– Teraz? – przerwał ostro Szarlej. – Dopiero teraz? Teraz nie ma czasu!

Nad lasem przeleciała z gwizdem następna czerepia kometa i Reynevan natychmiast zgodził się z demerytem. Poszli przez zwałowisko kości. Koń chrapał, szarpał łbem, płoszył się, Reynevan ciągnął go za wodze z najwyższym trudem. Zapach dymu stał się silniejszy. Dawało się już w nim wyczuwać zioła. I coś jeszcze, coś nieuchwytnego, mdlącego. Przerażającego.

A potem zobaczyli ognisko.

Ognisko dymiło opodal wykrotu, pod ogromnym zwalonym pniem. Na ogniu stał, buchając kłębami pary, osmolony kocioł. Obok piętrzył się stos trupich czaszek. Na czaszkach leżał czarny kot. W typowo kociej, rozleniwionej pozie.

Reynevan i Szarlej stali jak sparaliżowani. Nawet koń przestał chrapać.

U ogniska siedziały trzy kobiety.

Dwie zasłaniał dym i bijąca z kotła para. Trzecia, siedząca po prawej, wydawała się dość leciwa. Jej ciemne włosy gęsto wprawdzie przetykała siwizna, ale wygarbowana słońcem i słotą twarz myliła nieco – kobieta mogła równie dobrze mieć na karku czwarty, jak i ósmy krzyżyk. Siedziała w niedbałej pozycji, chwiejąc się i nienaturalnie kręcąc głową.

– Witaj – zaskrzeczała, po czym beknęła gromko i przeciągle. – Witaj, thanie Glamis!

– Przestań bredzić, Jagna – powiedziała druga kobieta, ta siedząca w środku. – Znowu się, cholera, spiłaś.

Powiew wiatru przytłamsił nieco dym i parę, teraz mogli przyjrzeć się dokładniej.

Kobieta siedząca pośrodku była wysoka i dość mocno zbudowana, spod czarnego kapelusza opadały jej na ramiona płomiennorude, falujące włosy. Miała wystające i zabarwione intensywnym rumieńcem kości policzkowe, kształtne usta i bardzo jasne oczy. Szyję spowijał jej szal z brudnozielonej wełny. Z identycznego materiału udziergane były pończochy – kobieta siedziała w dość swobodnym rozkroku i z dość swobodnie uniesioną spódnicą, co pozwalało podziwiać nie tylko pończochy i łydki, ale i sporo wartej podziwu reszty.

Siedząca po jej prawicy trzecia była najmłodszą, dziewczynką zaledwie. Miała błyszczące, mocno podkrążone oczy i chudą lisią twarz o bladej i niezbyt zdrowej cerze. Jej jasne włosy przyozdabiał wianek z werbeny i koniczyny.

– No i patrzcie – powiedziała ruda, drapiąc się w udo nad zieloną pończochą. – Nie było co do garnka włożyć, a, ot, żarcie samo przyszło.

Nazwana Jagną ciemnolica beknęła, czarny kot zamiauczał. Zgorączkowane oczy dzierlatki w wianku zapaliły się złym ogniem.

– Wybaczenia upraszamy za najście – ukłonił się Szarlej. Był blady, ale nieźle nad sobą panował. – Przepraszamy szanowne i wielce łaskawe panie. I proszę sobie nie przeszkadzać. Żadnych subiekcji. My tu przypadkiem. Całkiem niechcący. I już sobie idziemy. Już nas nie ma. Jeśli łaskawe panie pozwolą...

Rudowłosa podjęła ze stosu czaszkę, uniosła ją wysoko, głośno wyskandowała zaklęcie. Reynevanowi wydało się, że rozpoznaje w nim słowa chaldejskie i aramejskie. Czaszka zakłapała żuchwą, wystrzeliła w górę i z gwizdem poleciała ponad szczyty sosen.

– Żarcie – powtórzyła ruda bez emocji. – I do tego gadające. Będzie sposobność przed jedzeniem pokonwersować.

Szarlej zaklął pod nosem. Kobieta sugestywnie oblizała wargi i wpiła w nich wzrok. Nie można było dłużej zwlekać. Reynevan wziął głęboki wdech.

Dłonią dotknął ciemienia. Prawą nogę zgiął w kolanie, uniósł, krzyżując z tyłu z lewą, lewą ręką uchwycił czubek buta. Choć wcześniej robił to wszystkiego dwa razy, poszło mu nad podziw gładko. Wystarczyła chwila koncentracji i wymruczane zaklęcie.

Szarlej zaklął znowu. Jagna beknęła. Oczy rudowłosej rozszerzyły się.

A Reynevan, jak stał, w tej samej pozie, pomalutku uniósł się nad ziemię. Niewysoko, na trzy, cztery piędzi. I nie na długo. Ale wystarczyło.

Rudowłosa podniosła gliniany gąsiorek, łyknęła z niego solidnie, raz, potem drugi raz. Dziewczyny nie poczęstowała, Jagnie, która chciwie wyciągnęła rękę, usunęła naczynie z zasięgu szponiastych palców. Nie spuszczała z Reynevana wzroku, a źrenice jej jasnych oczu były jak dwa ciemne punkciki.

– No, no – powiedziała. – Kto by się spodziewał. Magicy, prawdziwi magicy, pierwsza gildia, Toledo. U mnie, u prostej wiedźmy. Cóż za zaszczyt. Podejdźcie, podejdźcie bliżej. Bez obaw! Chyba nie potraktowaliście poważnie tej krotochwili o żarciu i ludożerstwie? Hę? Chyba nie wzięliście tego za dobrą monetę?

– Nie, skądże znowu – zapewnił skwapliwie Szarlej, tak skwapliwie, że oczywistym było, że kłamie. Rudowłosa parsknęła.

– Czegóż więc – spytała – poszukują w moim ubogim zakątku panowie czarodzieje? Czego sobie życzą? A może...

Urwała, zaśmiała się.

– A może panowie czarodzieje zwyczajnie zabłądzili? Poputali drogę? Zaniedbawszy magii w męskiej pysze? I teraz ta sama pycha nie pozwala im przyznać się, zwłaszcza przed niewiastami?

Szarlej odzyskał kontenans.

– Bystrość pani – skłonił się dwornie – w parze idzie z urodą.

– Popatrzcie tylko, siostrzyczki – błysnęła zębami wiedźma – jakiż dworny trafił się kawaler, jak miłym potrafi uraczyć komplementem. Umie zrobić radość kobiecie, pomyślałabyś: trubadur. Albo biskup. Iście żal, że tak rzadko... Bo niewiasty i dziewczęta, i owszem, wcale często

ryzykują drogę przez ostęp i uroczysko, moja reputacja sięga daleko, mało kto umie usunąć płód tak zgrabnie, bezpiecznie i bezboleśnie jak ja. Ale mężczyźni... Cóż, przybywają tu znacznie rzadziej... Znacznie rzadziej... A szkoda... Szkoda...

Jagna zaśmiała się gardłowo, dzierlatka pociągnęła nosem. Szarlej zarumienił się, ale chyba bardziej z ochoty niż z zakłopotania. Reynevan tymczasem też odzyskał rezon. Zdążył wywęszyć co trzeba w parze z bulgocącego kociołka i przyjrzeć się pękom ziół, tych suszonych i tych świeżych.

– Urodzie i bystrości pań – wyprostował się, trochę butnie, ale świadom, że błyśnie – dorównuje skromność. Bo pewien jestem, że liczni przychodzą tu goście i nie tylko po usługi medyczne. Widzę przecie biały dyptam, a tam cóż, jeśli nie „*kolczasty chlebek*", czyli bieluń, datura? A tam ckliwica, tam znowu bożybyt, ziele wyroczni. A tu, proszę, lulek czarny, *herba Apollinaris*, i ciemiernik, *Helleborus*, oba wywołujące wieszcze wizje. A na wróżby i wieszczby jest popyt, wszak się nie mylę?

Jagna beknęła. Dzierlatka wierciła go wzrokiem. Ruda uśmiechała się zagadkowo.

– Nie mylisz się, biegły w ziołach konfratrze – rzekła wreszcie. – Wielki jest popyt na wróżby i wieszczby. Nadchodzi czas zmian i przemian, wielu chce wiedzieć, co ten czas przyniesie. I wy też tego chcecie. Dowiedzieć się, co niesie wam los. Wszak się nie mylę?

●

Rudowłosa wrzucała do kociołka zioła i mieszała w nim. Wieszczyć miała zaś ta młoda dzierlatka o twarzy lisicy i oczach płonących od gorączki. W kilka chwil po wypiciu odwaru jej oczy zmętniały, sucha skóra na policzkach ściągnęła się, dolna warga odsłoniła zęby.

– *Columna veli aurei* – przemówiła nagle niezbyt wyraźnie. – Kolumna złotej zasłony. Urodzona w Genazzano, w Rzymie żywota dokona. Za lat sześć. Miejsce opróżnione zajmie wilczyca. W niedzielę *Oculi*. Za lat sześć.

Cisza, zakłócana tylko potrzaskiwaniem ognia i mruczeniem kota, panowała tak długo, że Reynevan zwątpił. Niesłusznie.

– Nim dwa dni miną – powiedziała dziewczyna, wyciągając rozdygotaną dłoń w jego kierunku. – Nim dwa dni miną, sławnym on

będzie poetą. Sławne u wszystkich będzie miano jego.

Szarlej zatrząsł się lekko od tłumionego śmiechu, uspokoił się natychmiast pod ostrym spojrzeniem rudowłosej.

– Nadejdzie wędrowiec – wieszczka kilka razy odetchnęła głośno. – Nadejdzie *Viator*, Wędrowiec, od słonecznej strony. Zamiana się staje. Od nas ktoś odchodzi, do nas Wędrowiec przychodzi. Mówi Wędrowiec: *ego sum qui sum*. Nie pytaj Wędrowca o imię, ono jest tajemnicze. Bo cóż jest, kto to zgadnie: z tego, który pożera, wyszło to, co się spożywa, a z mocnego wyszła słodycz.

Martwy lew, pszczoły i miód, pomyślał Reynevan, zagadka, którą Samson zadał Filistynom. Samson i miód... Co to ma oznaczać? Co symbolizować? Kim jest ów Wędrowiec?

– Brat twój woła – zelektryzował go cichy głos medium. – Brat twój woła: Idź i przyjdź. Idź, skacząc po górach. Nie zwlekaj.

Zamienił się w słuch.

– Mówi Izajasz: zgromadzeni, uwięzieni w lochu, zamknięci w więzieniu. Amulet... I szczur... Amulet i szczur. Jin i jang, Keter i Malkut. Słońce, wąż i ryba. Odemkną się, uchylą wrota Piekieł, wonczas runie wieża, zawali się *turris fulgurata*, wieża trafiona piorunem. W proch rozsypie się Narrenturm, błazna pod gruzami pogrzebie.

Narrenturm, powtórzył w myśli Reynevan. Wieża Błaznów! Na Boga!

– *Adsumus, adsumus, adsumus!* – krzyknęła nagle dziewczyna, wyprężając się silnie. – Jesteśmy! Strzała za dnia lecąca, *sagitta volans in die*, strzeż się jej, strzeż! Strzeż się strachu nocnego, strzeż się istoty, która idzie w mroku, strzeż się demona, co niszczy w południe! I co woła: *Adsumus!* Strzeż się pomurnika! Bój się ptaków nocnych, bój cichych nietoperzy!

Korzystając z nieuwagi rudej, Jagna cichcem dorwała się do gąsiorka, wypiła kilka głębokich łyków. Zakaszlała, czknęła.

Strzeżcie się też – zaskrzeczała – Lasu Birnamskiego...

Rudowłosa uciszyła ją kuksańcem.

– A ludzie – westchnęła rozdzierająco wieszczka – palić się będą, płonąć w ognistym biegu. Omyłkowo. Skutkiem podobieństwa nazwisk.

Reynevan pochylił się w jej stronę.

– Kto zabił... – spytał cicho. – Kto ponosi winę za śmierć mojego brata?

Rudowłosa syknęła gniewnie i ostrzegawczo, pogroziła mu kopyścią. Reynevan świadom był, że robi to, czego robić nie wolno, że ryzykuje bezpowrotne przerwanie wieszczego transu. Ale pytanie powtórzył. Odpowiedź zaś dostał natychmiast.

– Winę ponosi wierutny kłamca. – Głos dziewczyny zmienił ton na niższy i bardziej chrapliwy. – Kłamca lub ten, który prawdę powie. Prawdę powie. Skłamie, albo prawdę powie. A to w zależności od tego, kto jakie żywi w tym względzie poglądy. Upalony, nadpalony, spalony. Nie spalony, bo umarły. Umarły pochowany. Niebawem wykopany. Nim trzy lata miną. Z grobu wyrzucony. *Buried at Lutterworth, remains taken up and cast out...* Płynie, płynie rzeką popiół ze spalonych kości... Avon do Severn, Severn do mórz, z mórz na oceany... Uciekajcie, uciekajcie, życie ratujcie. Tak mało nas już zostało.

– Koń – wtrącił nagle bezczelnie Szarlej. – Żeby uciekać, potrzebny mi koń. Chciałbym...

Reynevan uciszył go gestem. Dziewczyna patrzyła niewidzącymi oczyma. Wątpił, by odpowiedziała. Był w błędzie.

– Cisawy... – bąknęła. – Cisawy będzie.

– A ja chciałbym jeszcze... – spróbował Reynevan, ale urwał, widząc, że już koniec. Oczy dziewczyny zamknęły się, głowa opadła bezwładnie. Rudowłosa podtrzymała ją, położyła delikatnie.

– Nie zatrzymuję was – powiedziała po chwili. – Pojedziecie jarem, skręcając tylko w lewo, zawsze w lewo. Będzie bukowy las, potem polana, na niej kamienny krzyż. Na wprost krzyża przesieka. Wywiedzie was na trakt świdnicki.

– Dzięki, siostro.

– Uważajcie na siebie. Tak mało nas już zostało.

Rozdział jedenasty

w którym pokrętne przepowiednie zaczynają sprawdzać się w pokrętny sposób, a Szarlej spotyka znajomą. I objawia nowe, dotąd nieobjawione talenty.

Za bukowiną, przy skrzyżowaniu duktu z przesieką, stał wśród wysokich traw kamienny krzyż pokutny, jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni. Wnosząc ze śladów erozji i wandalizmu, zbrodni bardzo dawnej, być może dawniejszej nawet niż osada, której rozwaliny widoczne były opodal w postaci gęsto zarośniętych chwastem pagórków i dołów.

– Mocno spóźniona pokuta – skomentował zza pleców Reynevana Szarlej. – Wręcz rozłożona na pokolenia. Dziedziczna, rzekłbym. Wyrzeźbienie takiego krzyża zajmuje szmat czasu, stawia go więc już najczęściej syn, w głowę zachodząc, kogo też nieboszczyk tatuś utrupił i co go na starość natchnęło do skruchy. Prawda, Reinmarze? Jak myślisz?

– Ja nie myślę.

– Wciąż jeszcze zły jesteś na mnie?

– Nie jestem.

– Ha. Tedy jedźmy. Nasze nowe znajome nie kłamały. Przesieka na wprost krzyża, choć pewnie pamięta Bolka Chrobrego, niezawodnie wywiedzie nas na świdnicki trakt.

Reynevan popędził konia. Wciąż milczał, ale Szarlejowi to nie przeszkadzało.

– Przyznam, że zaimponowałeś mi, Reinmarze z Bielawy. U wiedźm, znaczy. Wrzucić do ognia garść zielska, bełkotać zamawiania i zaklęcia, zasupłać nawęz potrafi, bądźmy szczerzy, byle znachor i baba guślarka. Ale twoja lewitacja, no, no, to nie w kij dmuchał. Gdzieś ty się, przyznaj, w Pradze edukował: na Uniwersytecie Karola czy u czeskich czarowników?

– Jedno – Reynevan uśmiechnął się do wspomnień – drugiego nie wykluczało.

– Rozumiem. Wszyscy tam lewitowali podczas wykładów?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, demeryt poprawił się na końskim zadzie.

– Nie mogę się jednak oprzeć zdziwieniu – podjął – że oto zmykasz, kryjąc się przed pościgiem po lasach modą bardziej przystającą zającowi niż magikowi. Magicy, nawet jeśli muszą uciekać, robią to z większą klasą. Medea, dla przykładu, uciekła z Koryntu rydwanem zaprzężonym w smoki. Atlantes latał na hippogryfie. Morgana w pole wywodziła mirażami. Wiwiana... Nie pamiętam, co robiła Wiwiana.

Reynevan nie skomentował. Też zresztą nie pamiętał.

– Nie musisz odpowiadać – podjął Szarlej z jeszcze wyraźniejszą drwiną w głosie. – Pojmuję. Za mało masz wiedzy i wprawy, jesteś tylko adeptem nauk tajemnych, zaledwie uczniem czarnoksiężnika. Nieopierzonym pisklęciem magii, z którego wyrośnie jednak kiedyś orzeł, Merlin, Alberich albo Maugis. A wówczas biada...

Urwał, widząc na drodze to samo, co Reynevan.

– Nasze znajome wiedźmy – szepnął – nie kłamały zaiste. Nie ruszaj się.

Na przesiece, schyliwszy głowę i szczypiąc trawę, stał koń. Zgrabny koń pod wierzch, lekki *palefrois* o cienkich pęcinach. Cisawej maści, z ciemniejszą grzywą i ogonem.

– Nie ruszaj się – powtórzył Szarlej, zsiadając ostrożnie. – Taka okazja może się już nie powtórzyć.

– Ten koń – rzekł Reynevan z naciskiem – jest czyjąś własnością. Do kogoś należy.

– Owszem. Do mnie. Jeśli go nie spłoszysz. Więc nie spłosz.

Na widok zbliżającego się wolniutko demeryta koń wysoko uniósł łeb, potrząsnął grzywą, prychnął przeciągle, nie spłoszył się jednak, pozwolił uchwycić za kantar, który nosił. Szarlej pogłaskał go po chrapach.

– To cudza własność – powtórzył Reynevan. – Cudza, Szarleju. Trzeba będzie oddać właścicielowi.

– Ludzie, ludzie... – zanucił cichutko Szarlej. – Hej-hej... Czyj to koń? Gdzie właściciel? Widzisz, Reinmarze? Nikt się nie zgłosił. A zatem *res nullius cedit occupanti*.

– Szarleju...

– Dobra, dobra, uspokój się, nie trwóż twego delikatnego sumienia. Oddamy konia prawowitemu posiadaczowi. Pod warunkiem, że go napotkamy. Przed czym niechaj, błagam, ustrzegą nas bogi.

Błaganie ewidentnie nie dotarło do adresatów lub nie zostało wysłuchane, albowiem przesieka zaroiła się nagle od pieszych, zdyszanych i wskazujących konia palcami...

– To wam uciekł ten cisek? – uśmiechnął się życzliwie Szarlej. – Jego szukacie? To macie szczęście. Rwał na północ, co sił w kopytach. Ledwo zdołałem go zatrzymać.

Jeden z przybyszów, wielki brodacz, przyjrzał mu się podejrzliwie. Wnosząc z nieschludnej przyodziewy i odrażającej aparycji był, jak i pozostali, wieśniakiem. Jak i pozostali, uzbrojony był w gruby kij.

– Zatrzymaliśta – przemówił, wyrywając Szarlejowi postronek kantara – to i chwali się wam. A tera idźta sobie z Panem Bogiem.

Pozostali podeszli, otaczając ich ciasnym wieńcem i dusząco nieznośnym smrodem gospodarki rolnej. Nie byli to kmiecie, lecz wiejska biedota – zagrodnicy, komornicy i owczarze. Wykłócać się z takimi o znaleźne sensu nie miało, Szarlej zrozumiał to od razu. Bez słowa przepchnął się przez ciżbę. Reynevan ruszył za nim.

– Ejże – krępy i ohydnie woniejący owczarz chwycił nagle demeryta za rękaw. – Kumie Gamrat! Tak ich puszczacie? Nie wypytawszy, co za jedni? A nie będą to wypadkiem owi wywołańcy? Owi dwaj, co ich strzegomskie pany szukają? I nagrodę za złapanych obiecują? Nie będą to ci właśnie?

Wieśniacy zaszemrali. Kum Gamrat zbliżył się, podpierając jesionową lagą, ponury jak poranek w Zaduszki.

– Może i oni – burknął złowrogo. – A może i nie oni...

– Nie oni, nie oni – zapewnił z uśmiechem Szarlej. – To nie wiecie? Tamtych już schwytano. I nagrodę wypłacono.

– Widzi mi się, że łżecie.

– Puść rękaw, chłopie.

– A jak nie, to co?

Demeryt przez chwilę patrzył mu w oczy. Potem zaś ostrym szarpnięciem wytrącił go z równowagi, z półobrotu kopnął w goleń, tuż pod kolano. Owczarz gwałtownie padł na klęczki, a Szarlej krótkim ciosem z góry złamał mu nos. Chłop złapał się za twarz, krew spod palców polała się obficie, jaskrawym zaciekiem przyozdabiając przód siermięgi.

Nim wieśniacy zdołali ochłonąć, Szarlej wydarł kumowi Gamratowi kij i zdzielił go nim w skroń. Kum Gamrat błysnął białkami oczu i upadł w

ramiona chłopa stojącego za nim, a demeryt walnął i tego. Zawirował jak bąk, piorąc kosturem na lewo i prawo.

– Uciekaj, Reinmarze! – wrzasnął. – W nogi!

Reynevan żgnął konia, roztrącił czeredę, ale uciec nie zdołał. Wieśniacy doskoczyli jak psy, z obu stron, wczepili się w uprząż. Tłukł pięściami jak szalony, ale zwlekli go z siodła. Bił, ile mocy, i kopał jak muł, ale i na niego sypały się razy. Słyszał wściekły ryk Szarleja i suche trzaski czaszek, w które trafiały ciosy jesionowej lagi.

Obalili go, przytłamsili, przygnietli. Sytuacja była rozpaczliwa. To, z czym usiłował walczyć, to nie była już banda kmiotów, ale straszliwy wielogłowy potwór, śliska od brudu, śmierdząca łajnem, moczem i zjełczałym mlekiem hydra o stu nogach i dwustu kułakach.

Przez wrzask zgrai i szum krwi w uszach usłyszał nagle bojowe krzyki, tętent i rżenie koni, a grunt zadygotał od podków. Zaświszczały nahaje, rozbrzmiały wrzaski boleści, a dławiące go wielorękie monstrum rozpadło się na elementy składowe. Agresywni przed momentem wieśniacy teraz na własnej skórze poznawali, czym jest agresja. Hulający po przesiece jeźdźcy rozjeżdżali ich końmi i bez zmiłowania siekli batami, siekli tak, że aż kłaki leciały z kożuchów. Kto zdołał, pierzchał w las, ale na sucho nie uszło nikomu.

Po chwili uciszyło się nieco. Jeźdźcy uspokajali chrapiące konie, krążyli po pobojowisku, wypatrując, komu by tu jeszcze przylać. Była to malownicza dość kompania, towarzystwo, z którym należało się liczyć, a nie należało żartować, znać to było od pierwszego rzutu oka, tak po odzieniu i rynsztunku, jak i po gębach, których sklasyfikowanie jako zakazane i bandyckie nie nastręczyłoby trudności nawet niezbyt wprawnemu fizjonomiście.

Reynevan wstał. I znalazł się tuż przed nosem jabłkowitej klaczy, na której, flankowana przez dwóch konnych, siedziała tęga i sympatycznie pucołowata kobieta w męskim wamsie i berecie na jasnopłowych włosach. Spod zdobiącego beret pęku żołnich piór patrzyły twarde, kłujące i mądre orzechowe oczy.

Szarlej, który, wyglądało, znaczniejszych obrażeń nie odniósł, stanął obok, odrzucił ułomek jesionowej lagi.

– Wszelki duch – powiedział. – Oczom nie wierzę. A jednak nie miraż to, nie ułuda. Jejmość Dzierżka Zbylutowa we własnej osobie. Dobrze mówi przysłowie: góra z górą...

Jabłkowita klacz potrząsnęła łbem, aż zadzwoniły kółka munsztuka. Kobieta poklepała ją po szyi, milczała, mierząc demeryta przenikliwym spojrzeniem orzechowych oczu.

– Zmizerniałeś – powiedziała wreszcie. – A i włos ciut ci poszedział, Szarleju. Witaj. A teraz zabierajmy się stąd.

●

– Zmizerniałeś, Szarleju.

Siedzieli za stołem w bielonym przestronnym alkierzu na tyłach zajazdu. Jedno okno wychodziło na sad, na krzywe grusze, krzaki czarnej porzeczki i brzęczące od pszczół ule. Z drugiego okna widać było zagrodę, w której spędzano i grupowano w tabun konie. Wśród dobrej setki rumaków przeważały masywne śląskie *dextrarii*, wierzchowce dla ciężkozbrojnych, były też kastelany, ogiery krwi hiszpańskiej, były kopijnicze konie wielkopolskie, były mierzyny i podjezdki. Wśród łomotu kopyt i rżenia co i rusz dawały się słyszeć okrzyki i klątwy masztalerzy, koniuchów i eskorty o zakazanych gębach.

– Zmizerniałeś – powtórzyła kobieta o orzechowych oczach. – I głowę śnieżkiem coś jakby przyprószyło.

– Cóż robić – odrzekł z uśmiechem Szarlej. – *Tacitisque senescimus annis*. Choć tobie, jejmość Dzierżko Zbylutowa, lata zdają się dodawać urody i uroku.

– Nie kadź mi. I nie jejmościuj, bo zaraz czuję się jak jakaś starka. A i Zbylutową już nie jestem. Gdy się Zbylutowi zmarło, wróciłam do panieńskiego miana. Dzierżka de Wirsing.

– Prawda, prawda – pokiwał głową Szarlej. – Toć rozstał się z tym światem Zbylut z Szarady, świeć Panie nad jego duszą. Ile to już lat, Dzierżko?

– Na Młodzianków będzie dwa roki.

– Prawda, prawda. Ja zaś w tym czasie...

– Wiem – ucięła, przenikliwym spojrzeniem obrzuciła Reynevana. – Wciąż nie przedstawiłeś mi twego towarzysza.

– Jestem... – Reynevan wahał się przez moment, decydując wreszcie, że wobec Dzierżki de Wirsing Lancelot z Wozu może być i nietaktowny, i ryzykowny. – Jestem Reinmar z Bielawy.

Kobieta milczała chwilę, wiercąc go wzrokiem.

– Iście – wycedziła wreszcie. – Góra z górą. Zjecie biermuszki, chłopcy? Podają tu wyśmienitą biermuszkę. Ilekroć tu staję, jem. Skosztujecie?

– No pewnie – oczy Szarleja zabłysły. – Pewnie, że tak. Dzięki, Dzierżko.

Dzierżka de Wirsing klasnęła w dłonie, obsługa zjawiła się natychmiast, zakrzątała. Musiano tu znać i poważać handlarkę koni, w rzeczy samej, pomyślał Reynevan, niejeden raz musiała tu gościć z pędzonym na sprzedaż tabunem, niejeden floren musiała tu wydać, w tym zajeździe niedaleko świdnickiego traktu, pod wsią, której nazwy zapomniał. I nie miał czasu sobie przypominać, albowiem podano jadło. Po chwili obaj z Szarlejem siorbali polewkę, łowiąc grudki twarogu, pracując lipowymi łyżkami szybko, acz w rytmie, by unikać zderzania się w misie. Dzierżka milczała taktownie, przyglądała się im, hołubiąc kufel spocony od zimnego piwa.

Reynevan odetchnął głęboko. Nie jadł ciepłej strawy od czasu obiadu z kanonikiem Ottonem w Strzelinie. Szarlej zaś wpatrywał się w piwo Dzierżki tak wymownie, że i im przyniesiono niebawem ociekające pianą kubki.

– Dokąd to Bóg prowadzi, Szarleju? – odezwała się wreszcie niewiasta. – I czemuż to wdajesz się po lasach w bitki z wieśniakami?

– Pielgrzymujemy do Barda – zełgał niefrasobliwie demeryt. – Do Matki Boskiej Bardzkiej, pomodlić się w intencji naprawy tego świata. A napadli nas bez dania racji. Zaprawdę, świat pełen jest niegodziwości, a po gościńcach i lasach znacznie łatwiej o łotrzyka niźli o przeoryszę. Hołota owa zaatakowała nas, powtarzam, bez powodu, wiedziona grzeszną chucią czynienia zła. Ale my odpuszczamy naszym winowajcom...

– Kmiotów – Dzierżka przerwała mu tok wymowy – najęłam, by pomogli szukać źrebca, co uciekł. Że obmierzłe to chamy, nie zaprzeczę. Ale potem bajdurzyli coś o ściganych, coś o wyznaczonych nagrodach...

– Rojenia głów próżniaczych – westchnął demeryt – i umysłów miałkich. Któż je odgadnąć zdoła...

– Siedziałeś pod kluczem na klasztornej pokucie. Prawda?

– Prawda.

– I cóż?

– I nic – twarz Szarleja nie drgnęła. – Nuda. Każdy dzień taki sam. W kółko. *Matutinum*, laudesy, pryma, tercja, potem na Barnabę, seksta, nona, potem na Barnabę, nieszpory, *collationes*, kompleta, na Barnabę...

– Przestań wreszcie kręcić – Dzierżka przerwała mu ponownie. – Dobrze wiesz, o co mi idzie, gadaj więc: zwiałeś? Ścigają cię? Wyznaczyli nagrodę?

– Uchowaj Boże! – Szarlej przybrał minę urażonego supozycją. – Zostałem zwolniony. Nikt mnie nie ściga, nikt nie prześladuje. Jestem człowiekiem wolnym.

– Jakżeż mogłam zapomnieć – odrzekła z przekąsem. – Ale dobrze, niech będzie, daję wiarę. A jeśli daję... To wniosek nasuwa się prosty.

Szarlej uniósł brwi znad oblizywanej łyżki, dając wyraz zaciekawieniu. Reynevan niespokojnie powiercił się na ławie. Jak się okazało, słusznie.

– Wniosek nasuwa się prosty – powtórzyła, przypatrując mu się, Dzierżka de Wirsing. – Tedy to imć młody pan Reinmar z Bielawy jest obiektem polowania i pościgu. Że od razu nie zgadłam, chłopcze, to przez to, że w takich aferach rzadko przegrasz, stawiając na Szarleja. Oj, dobraliście się wy, dobraliście niczym w korcu maku...

Zerwała się nagle, doskoczyła do okna.

– Hej, ty! – wrzasnęła. – Tak, ty! Łajzo jedna! Kulfonie zołzowaty! Kutasie krzywy! Jeszcze raz uderzysz konia, a każę cię nim po majdanie włóczyć!

– Wybaczcie – wróciła do stołu, splotła ramiona pod falującym biustem. – Ale wszystkiego muszę sama dopilnować. Ledwo oko odwrócę, a już się bieszą, nicponie. O czym to ja? Aha. Żeście się dobrali, figlarze.

– Wiesz zatem.

– A jakże. Krąży plotka po narodzie. Kyrielejson i Walter de Barby uganiają się po gościńcach, Wolfher Stercza jeździ samoszóst po Śląsku, śledzi, wypytuje, odgraża się... Zbytecznie jednak sępisz nos, Szarleju, a i ty niepotrzebnie się niepokoisz, chłopcze. Przy mnie jesteście bezpieczni. Nic mnie nie obchodzą miłosne awantury i rodowe swary, Sterczowie ni braty mi, ni swaty. W przeciwieństwie do ciebie, Reinmarze Bielau. Boś dla mnie, może cię to zdziwi, ale krewniak. Nie rozdziawiaj gęby. Jam jest wszak *de domo* Wirsing, z Wirsingów na Reichwalde. A Wirsingowie z Reichwalde poprzez Zedlitzów spokrewnieni są z Nostitzami. A przecie twoja babka była Nostitzówna.

– To prawda – przemógł zdumienie Reynevan. – Ale żeście, pani, tak biegli w koneksjach...

– Wiem to i owo – ucięła kobieta. – Brata twego, Piotra, znałam dobrze. Drużył ze Zbylutem, moim małżonkiem. Gościł u nas, na Skałce, niejeden raz. Na koniach ze skałeckiej stadniny zwykł jeździć.

– Mówicie w czasie przeszłym – Reynevan spochmurniał. – Tedy wiecie już...

– Wiem.

Trwające czas jakiś milczenie przerwała Dzierżka de Wirsing.

– Szczerze z tobą współczuję – powiedziała, a jej poważna twarz szczerość potwierdzała. – To, co stało się pod Balbinowem, to i dla mnie tragedia. Twego brata znałam i lubiłam. Zawsze ceniłam go za rozsądek, za trzeźwe spojrzenie, za to, że nigdy nie robił z siebie nadętego półpanka. Co tu dużo gadać, toć za przykładem Peterlina właśnie mój Zbylut nabrał umu-rozumu. Nos, co go zwykł był po wielkopańsku zadzierać, opuścił ku ziemi, zobaczył, na czym nogami stoi. I jął się hodowli koni.

– Tak to było?

– A jakże. Przedtem Zbylut z Szarady był pan, szlachcic, znana jakoby w Małopolsce familia, samym Melsztyńskim piąta pono woda po kisielu. Herbowy rycerz, z tych, co to wiecie: na piersi Leliwa, pod Leliwą podarte gacie. Aż tu Piotr Bielau, taki sam *miles mediocris*, dumny, ale biedny, bierze się za interes, buduje farbiarnię i folusz, sprowadza majstrów z Gandawy i Ypres. Bimbając na to, co powiedzą inni rycerze, robi pieniądze. I co? Wkrótce jest prawdziwym panem, możnym i bogatym, a pogardzający nim herbowi gną się w ukłonach i ślinią w uśmiechach, byle tylko był łaskaw pożyczyć im gotówki...

– Peterlin – oczy Reynevana błysnęły. – Peterlin pożyczał pieniądze?

– Wiem, co podejrzewasz – Dzierżka spojrzała na niego bystro. – Ale to wątpliwe. Twój brat pożyczał tylko ludziom dobrze sobie znanym i pewnym. Za lichwę można podpaść Kościołowi. Peterlin brał mały procent, nawet nie połowę tego, co Żydzi, ale przed donosem nie tak łatwo się obronić. A względem twoich podejrzeń... Ha, fakt, nie brakuje takich, co gotowi zamordować, nie mogąc lub nie chcąc spłacić długu. Ale ludzie, którym pożyczał twój brat, do takich raczej nie należeli. Błądzisz więc po zimnym tropie, krewniaku.

– Niewątpliwie – zacisnął wargi Reynevan. – Nie ma co mnożyć podejrzeń. Ja wiem, kto i dlaczego zabił Peterlina. Wątpliwości w tym względzie nie mam żadnych.

– Należysz więc do mniejszości – rzekła zimno kobieta. – Bo większość wątpliwości ma.

Ciszę, która zapadła, znowu przerwała Dzierżka de Wirsing.

– Krążą plotki po narodzie – powtórzyła. – Ale wielce nierozsądnym, ba, głupim wręcz byłoby na podstawie onych pochopnie brać się do wróżdy i zemsty. Mówię to na wypadek, gdybyście trafunkiem wcale nie do Matki Boskiej Bardzkiej zmierzali, lecz całkiem inne mieli plany i zamiary.

Reynevan udał, że całkowicie pochłania go zaciek na powale. Szarlej miał minę niewinną jak dziecię.

Dzierżka nie spuszczała z obu orzechowych oczu.

– Względem zaś śmierci Peterlina – podjęła po chwili, zniżając głos – to wątpliwości są. I to poważne. Bo to, uważacie, dziwna się zaraza szerzy na Śląsku. Dziwny pomór padł na przedsiębiorców i kupców, a i rycerskich głów nie oszczędza. Umierają ludzie zagadkową śmiercią...

– Pan Bart – mruknął pod nosem Reynevan. – Pan Bart z Karczyna...

– Pan von Bart – dosłyszała, kiwnęła głową. – A wcześniej pan Czambor z Heissensteinu. A przed nim dwaj płatnerze z Otmuchowa, imion zapomniałam. Tomasz Gernrode, mistrz cechu rymarzy z Nysy. Pan Fabian Pfefferkorn z niemodlińskiej spółki handlowej, od handlu ołowiem. A ostatnio, ledwo tydzień temu, Mikołaj Neumarkt, świdnicki *mercator* sukienny. Iście pomór...

– Niechaj zgadnę – odezwał się Szarlej. – Żaden z wymienionych nie umarł na ospę. Ani ze starości.

– Zgadłeś.

– Będę zgadywał dalej: nie bez kozery masz liczniejszą niż zwykle eskortę. Nie bez kozery złożoną z uzbrojonych po zęby bandziorów. Dokąd to, mówiłaś, jedziesz?

– Nie mówiłam – ucięła. – Tamtej sprawy tknęłam zaś jeno po to, byście pojęli, jak jest dużą. Byście pojęli, że tego, co się dzieje na Śląsku, przy najlepszych chęciach nie da się przypisać Sterczom. Ani obciążyć tym Kunza Aulocka. Bo to się zaczęło na długo przed tym, nim przyłapano młodego pana de Bielau w łóżku z panią Sterczową. Warto, byście o tym pamiętali. Ja nie mam już nic więcej do dodania.

– Powiedziałaś zbyt dużo – Szarlej nie spuścił wzroku – by nie dokończyć. Kto zabija śląskich kupców?

– Gdybyśmy wiedzieli – oczy Dzierżki de Wirsing zapłonęły groźnie – to już by nie zabijał. Ale bez obawy, dowiemy się. Wy trzymajcie się od tego z dala.

– Czy mówi wam coś – wtrącił Reynevan – nazwisko Horn? Urban Horn?

– Nie – odrzekła, a Reynevan od razu wiedział, że kłamie. Szarlej spojrzał na niego, w jego oczach Reynevan odczytał wskazówkę, by nie zadawać dalszych pytań.

– Trzymajcie się od tego z dala – powtórzyła Dzierżka. – To niebezpieczna rzecz. A wy macie, jeśli wierzyć plotkom, dość własnych zmartwień. Gadają ludziska, że Sterczowie srodze się zawzięli. Że Kyrielejson i Stork krążą jak wilki, że są już na tropie. Wreszcie, że pan Guncelin von Laasan wyznaczył nagrodę za jakowychś dwóch szelmów...

– Plotki – przerwał Szarlej. – Pogłoski.

– Możliwe. Niemniej niejednego one zawiodły na szubienicę. Radziłabym więc trzymać się z dala od głównych traktów. A w miejsce Barda, do którego pono zmierzacie, doradzałabym jakiś inny, odleglejszy gród. Mógłby to być Pożoń, dla przykładu. Albo Ostrzyhom. Buda wreszcie.

Szarlej ukłonił się z atencją.

– Rada cenna – rzekł. – I dzięki za nią. Ale Węgry daleko, hen... A ja na piechotę... Bez konia...

– Nie żebrz, Szarleju. Nie do twarzy ci z tym... Zaraza!

Znowu zerwała się, dopadła okna, znowu obrzuciła wyzwiskami kogoś, kto niedbale obchodził się z koniem.

– Wyjdźmy – rzekła, poprawiając włosy i falując biustem. – Jak sama nie dojrzę, skurwysyny pomarnują mi źrebce.

– Ładny tabunik – ocenił Szarlej, gdy wyszli. – Nawet jak na skałecką stadninę. Niezły grosz się szykuje. Jeśli sprzedasz.

– Nie ma strachu – Dzierżka de Wirsing z lubością przyjrzała się swym rumakom. – Jest popyt na kastelany, idą i podjezdki. Gdy idzie o konia, panowie rycerze zapominają o wężu w kieszeni. Wiecie, jak to jest: na wyprawie każdy chce się i własnym koniem pochwalić, i pocztem.

– Na jakiej wyprawie?

Dzierżka odchrząknęła, rozejrzała się. Potem wykrzywiła usta.

– W intencji naprawy tego świata.

– Aha – odgadł Szarlej. – Czesi.

– O tym – handlarka koni wykrzywiła się jeszcze bardziej – lepiej nie gadać za głośno. Biskup wrocławski pono ostro się za lokalnych heretyków zabrał. Po drodze, ilem minęła grodów, pod każdym ciężkie od wisielców szubienice. Zgliszcza po stosach.

– Przecie my nie heretycy. To czego mamy się lękać?

– Gdzie ogiery kastrują – rzekła Dzierżka ze znajomością rzeczy – tam nie zaszkodzi uważać i na własne jajca.

Szarlej nie skomentował. Zajęty był obserwacją kilku zbrojnych, którzy właśnie wyprowadzali z szopy wóz, zakryty czarnym smołowanym wańtuchem. Do wozu zaprzężono dwójkę koni. A potem, ponaglani przez grubego sierżanta, zbrojni wynieśli i załadowali pod płachtę spory zamczysty kufer. Wreszcie z karczmy wyszedł wysoki typ w bobrowym kołpaku i płaszczu z bobrowym kołnierzem.

– Kto zacz? – zaciekawił się Szarlej. – Inkwizytor?

– Bliskoś trafił – odrzekła półgłosem Dzierżka de Wirsing. – To kolektor. Podatek ściąga.

– Jaki podatek?

– Specjalny, jednorazowy. Na wojnę. Z kacerzami.

– Czeskimi?

– Są inni? – Dzierżka wykrzywiła się znowu. – A podatek uchwalili panowie na Reichstagu we Frankfurcie. Czyj majątek większy niż dwa tysiące guldenów, ma zapłacić guldena, czyj mniejszy – guldena pół. Każdy giermek z rycerskiego rodu dać ma trzy guldeny, rycerz pięć, baron dziesięć... Wszyscy duchowni uiścić mają pięć od sta ze swego rocznego dochodu, duchowni bez dochodów – dwa grosze...

Szarlej wyszczerzył w uśmiechu swe białe zęby.

– Brak dochodów zadeklarowali pewnie wszyscy duchowni. Z dopiero co wspomnianym biskupem wrocławskim na czele. A jednak skrzyneczkę musiało podnieść czterech krzepkich drabów. Eskorty zaś naliczyłem ośmiu. Dziwi, iż tak sensownego ciężaru strzeże tak nieliczna grupa.

– Eskorta się wymienia – wyjaśniła Dzierżka. – Na całej trasie. Którego rycerza dziedzina, ten dostarcza zbrojnych. Dlatego w tej chwili tak ich

mało. To jest, Szarleju, jak z tym przejściem Żydów przez Morze Czerwone. Żydzi przeszli, Egipcjanie jeszcze nie nadciągnęli...

– A morze się rozstąpiło – Szarlej też znał ten dowcip. – Rozumiem. Cóż, Dzierżko, będziemy się żegnać. Dzięki piękne za wszystko.

– Podziękujesz za chwilę. Bo zaraz każę wyszykować ci konika. Byś nie musiał drałować na piechotę. I miał jakieś szanse, gdy dojdzie cię pościg. Nie myśl tylko, że to z miłosierdzia i dobroci serca. Zwrócisz mi pieniądze przy sposobności. Czterdzieści reńskich. Nie rób min. Cena jak dla brata! Wdzięcznym być powinieneś.

– I jestem – uśmiechnął się demeryt. – Jestem, Dzierżko. Dzięki przeogromne. Zawsze można było na ciebie liczyć. A żeby nie wyszło, żem tylko do brania skory, proszę, oto prezent dla ciebie.

– Sakiewki – chłodno stwierdziła fakt Dzierżka. – Niebrzydkie. Srebrną nicią wyszywane. I perłami. Ładnymi nawet. Choć fałszywymi. Ale dlaczego trzy?

– Bom hojny. To jeszcze nie wszystko – Szarlej zniżył głos, rozejrzał się. – Trzeba ci wiedzieć, Dzierżko, że obecny tu młody Reinmar ma pewne... Hmmm... Zdolności. Zgoła niezwykłe, by nie rzec... magiczne.

– Hę?

– Szarlej przesadza – żachnął się Reynevan. – Jestem medykiem, nie magikiem...

– Właśnie – wpadł mu w słowo demeryt. – Gdybyś potrzebowała jakiegoś eliksiru albo filtru... Miłosnego, dajmy na to... Afrodyzjaku... Czegoś na potencję...

– Na potencję – powtórzyła w zamyśleniu. – Hmm... Mogłoby się przygodzić...

– No proszę. Nie mówiłem?

– ...dla ogierów – dokończyła Dzierżka de Wirsing. – Ja z miłością sobie sama radzę. I jeszcze całkiem gracko obywam się bez czarnoksięstwa.

– Poproszę o utensylia do pisania – rzekł po chwili ciszy Reynevan. – Wypiszę receptę.

●

Wyszykowanym konikiem okazał się ów zgrabny cisawy *palefrois*, ten sam, którego znaleźli na przesiece. Reynevan, który wieszczbom leśnych czarownic początkowo wiary raczej nie dawał, teraz zadumał

się głęboko. Szarlej zaś wskoczył na konia i dziarsko obkłusował majdan. Demeryt ujawnił kolejny talent – powodowany pewną ręką i mocnymi kolanami cisek szedł jak po sznurku, pięknie unosząc nogi i wysoko trzymając głowę, zaś w niewymuszenie eleganckiej pozycji jeździeckiej Szarleja największy znawca i mistrz hippiki nie znalazłby nic do skrytykowania. Koniuchy i zbrojni z eskorty zaklaskali w dłonie. Nawet opanowana Dzierżka de Wirsing zacmokała z uznaniem.

– Anim wiedziała – mruknęła – że tyli z niego kawalkator. Iście, nie zbywa mu na talentach.

– Prawda.

– Ty zaś, krewniaku – odwróciła się – uważaj na siebie. Polowanie trwa na husyckich emisariuszy. Na obcych i przybyszów wszędzie teraz bacznie patrzą, a o wypatrzonych zaraz donoszą. Bo kto nie doniesie, sam w podejrzeniu. Tyś zaś nie dość, że obcy i przybysz, to jeszcze twoje imię i ród znane się na Śląsku zrobiły, coraz więcej ludzi ma na Bielawę wyostrzone uszy. Wymyśl sobie coś. Nazwij się... Hmm... Żeby imię choć to samo zostało i nie myliło ci się cięgiem... Niechaj tedy będzie... Reinmar von Hagenau.

– Przecież – uśmiechnął się Reynevan – tak nazywał się sławny poeta...

– Nie grymaś. A zresztą czasy mamy trudne. Kto w takich pamięta nazwiska poetów?

Szarlej zakończył pokaz krótkim, acz energicznym galopem, wrył konia, aż prysnął żwir. Podjechał, zmuszając ciska do kroków tak tanecznych, że znowu zarobił na aplauz.

– Wdała bestyjka – powiedział, klepiąc źrebca po szyi. – I ścigła. Jeszcze raz dziękuję, Dzierżko. Bywaj.

– Bywajcie. I niech Bóg prowadzi.

– Do widziska.

– Do obaczyska. Oby w lepszych czasach.

Rozdział dwunasty

w którym w wigilię świętego Idziego, wypadającą w piątek, Reynevan i Szarlej jedzą postny obiad w klasztorze benedyktynów. Po obiedzie zaś egzorcyzmują diabła. Z całkiem niespodziewanym efektem.

Klasztor usłyszeli, zanim go zobaczyli, bo skryty wśród lasu odezwał się nagle głębokim, acz melodyjnym biciem dzwonu. Nim dzwon przebrzmiał, otoczone murem budynki nagle zaczerwieniły się dachówkami wśród listowia olch i grabów, przeglądających się w zielonej od rzęsy i poryblinu wodzie stawów, gładkiej jak lustro, chwilami jeno poruszanej rozchodzącymi się kołami, oznakami żerowania wielkich ryb. W szuwarach rechotały żaby, kwakały kaczki, pokrekiwały i pluskotały wodne kurki.

Konie szły stępa po umocnionej grobli, w szpalerze drzew.

– Ot – wskazał Szarlej, stając w strzemionach. – Ot i mamy klasztorek. Ciekawość, jakiej też reguły. Mówi znany dwuwiersz:

Bernardus valles, montes Benedictus amabat,
Oppida Franciscus, celebres Dominicus urbes.

Tutaj zaś ktoś ulubił bagna, stawy i groble. Choć pewnie nie do stawów i grobli to miłość, lecz do karpi. Jak myślisz, Reinmarze?

– Ja nie myślę.

– Ale karpia byś zjadł? Albo lina? Piątek dzisiaj, a mnisi dzwonili na nonę. Może podejmą obiadkiem?

– Wątpię.

– Dlaczego i w co?

Reynevan nie odpowiedział. Patrzył na półotwartą furtę klasztoru, z której wypadł srokaty konik z zakonnikiem w siodle. Zakonnik zaraz za furtą poderwał srokacza do ostrego galopu – i skończyło się to źle. Choć daleko mu było do dzianeta czy kopijniczego *dextrariusa*, srokaty konik okazał się ognisty i narowisty, a mnich – jak znać było po czarnym habicie, benedyktyn – jeździecką sprawnością nie grzeszył bynajmniej, w dodatku zaś dosiadał srokacza obuty w sandały, nijak nie chcące trzymać się strzemion. Ujechawszy może z ćwierć stajania srokaty konik

wierzgnął, a zakonnik wyfrunął z siodła i pokulał się pod wierzby, błyskając gołymi łydkami. Srokacz bryknął, zarżał, zadowolony z siebie, po czym lekkim kłusikiem pobiegł po grobli w kierunku obu wędrowców. Gdy ich mijał, Szarlej złapał go za wodze.

– Popatrz tylko – powiedział – na tego centaura! Uzda z postronka, siodło z derki, szmaciany popręg. Nie wiem, zali reguła świętego Benedykta z Nursji dozwala jazdę konną czy jej zakazuje, doprawdy nie wiem. Ale takiej powinna zakazywać.

– Spieszył się gdzieś. Było to widać.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie.

Zakonnika, jak przedtem klasztor, usłyszeli wcześniej niż zobaczyli. Siedział bowiem wśród łopianów i złożywszy głowę na kolanach, płakał żałośnie, szlochał tak, że serce się krajało.

– No, no – przemówił z wysokości siodła Szarlej. – Nie ma co łez ronić, frater. Strata żadna. Koniczek nie uciekł, mamy go, o, tu. A jeździć wierzchem jeszcze zdąży się frater nauczyć. Czasu na to bowiem, jak widzę, ma frater bardzo, baaardzo dużo.

W samej rzeczy, Szarlej miał rację. Mnich był mniszkiem. Gołowąsem. Wyrostkiem, któremu trzęsły się od szlochu ręce, wargi i cała reszta twarzy.

– Brat... Deodat... – załkał. – Brat... Deodat... Przeze mnie... Umrze...

– Hę?

– Przeze mnie... Umrze... Zawiodłem... Zawiodłem...

– Spieszyłeś po medyka? – domyślił się bystro Reynevan. – Do chorego?

– Brat... – zaszlochał chłopiec – Deodat... Przeze mnie...

– Mówże składniej, frater!

– W brata Deodata – krzyknął mniszek, unosząc zaczerwienione oczy – wstąpił zły duch! I opętał go! To i nakazał mi opat co tchu... Co tchu gonić do Świdnicy, do Braci Kaznodziejów... Po egzorcystę!

– Lepszego jeźdźca w klasztorze nie było?

– Nie było... Toć ja najmłodszy... O, ja nieszczęsny!

– Raczej szczęsny – rzekł z poważną miną Szarlej. – Zaprawdę, szczęsny raczej. Odnajdź, synu, wśród zieleni twe trepy i biegnij do klasztoru. Oznajmij opatowi dobrą nowinę. Że łaska Pańska widomie nad klasztorem waszym. Żeś na grobli napotkał był magistra Benignusa,

bywałego egzorcystę, którego niechybnie anioł jaki skierował w te strony.

– Wy, dobry panie? Wy jesteście...

– Biegnij, rzekłem, co tchu do opata. Obwieść mu, że nadchodzę.

●

– Powiedz mi, że się przesłyszałem, Szarleju. Powiedz mi, że ty się przejęzyczyłeś. Że wcale nie powiedziałeś tego, co przed chwilą powiedziałeś.

– Znaczy, czego? Że wyegzorcyzmuję brata Deodata? Ależ wyegzorcyzmuję, jak najbardziej. Z twoją pomocą, chłopcze.

– O, co to, to nie. Na mnie nie licz. Ja i bez tego mam dość kłopotów. Nowe mi niepotrzebne.

– Mnie też nie. Potrzebne są mi natomiast obiad i pieniądze. Obiad najlepiej zaraz.

– To najgłupszy pomysł z wszystkich możliwych głupich pomysłów – ocenił Reynevan, rozglądając się po zalanym słońcem klasztornym wirydarzu. – Czy ty świadom jesteś, co wyczyniasz? Czy wiesz, co grozi za podszywanie się pod duchownego? Pod egzorcystę? Pod jakiegoś zatraconego magistra Benignusa?

– Jakie podszywanie? Jestem duchownym. I egzorcystą. Jest to sprawa wiary, a ja wierzę. W to, że mi się uda.

– Ty kpisz chyba ze mnie.

– Bynajmniej. Zacznij duchowo przygotowywać się do zadania.

– Nie wezmę udziału w czymś podobnym.

– A to czemu? Jesteś jakoby lekarzem. Godzi się pomóc cierpiącemu.

– Jemu – Reynevan wskazał w stronę infirmerii, z której niedawno wyszli, a w której spoczywał brat Deodat. – Jemu nie można pomóc. To jest letarg. Zakonnik jest w letargu. W śpiączce. Słyszałeś, jak mnisi mówili, że próbowali go zbudzić, kłując w pięty gorącym nożem? Zatem to coś podobnego do *grand mal*, do wielkiej choroby. Niemocą tknięty jest tu mózg, *spiritus animalis*. Czytałem o tym w *Canon medicinae* Avicenny, także u Razesa i Averroesa... I wiem, że tego leczyć się nie da. Można tylko czekać...

– Czekać, i owszem, można – przerwał Szarlej. – Ale czemu z założonymi rękami? Zwłaszcza jeśli można działać? I zarobić na tym? Nikomu nie szkodząc?

– Nie szkodząc? A etyka?

– Z pustym brzuchem – wzruszył ramionami Szarlej – nie zwykłem rozprawiać o filozofii. Dziś wieczorem natomiast, gdy będę syty i podchmielony, wyłożę ci *principia* mojej etyki. I zadziwię ich prostotą.

– To się może źle skończyć.

– Reynevan – Szarlej odwrócił się gwałtownie. – Myśl-że, do diabła, pozytywnie.

– Właśnie to robię. Myślę, że to się źle skończy.

– A myśl, co tylko chcesz. Ale teraz zamknij się łaskawie, bo nadchodzą.

Istotnie zbliżał się opat w asyście kilku mnichów. Opat był niski, okrągławy i pucołowaty, dobrodusznemu i poczciwemu wyglądowi przeczył jednak zacięty grymas ust oraz żywe i bystre oczy. Którymi szybko skakał od Szarleja do Reynevana. I z powrotem.

– I cóż powiecie? – spytał, chowając ręce pod szkaplerz. – Co z bratem Deodatem?

– Niemocą – oznajmił Szarlej, dumnie wydąwszy wargi – tknięty jest *spiritus animalis*. Jest to coś w typie *grand mal*, wielkiej choroby, opisanej przez Avicennę, krótko mówiąc: Tohu Wa Bohu. Musicie wiedzieć, *reverende pater*, że najlepiej rzecz nie wygląda. Ale podejmuję się.

– Podejmujecie się czego?

– Wypędzić z opętanego złego ducha.

– Takiście pewni – opat przekrzywił głowę – że to opętanie?

– Pewnym – głos Szarleja był dość zimny – że to nie biegunka. Biegunka inaczej się objawia.

– Wszakże – w głosie opata wciąż pobrzmiewała nutka podejrzliwości – nie jesteście duchownymi.

– Jesteśmy – Szarlejowi nie drgnęła powieka. – Tłumaczyłem to już bratu infirmierzowi. A że nosimy się ze świecka, to dla kamuflażu. By omamić diabła. By móc przez zaskoczenie z mańki go zażywać.

Opat popatrzył nań bystro. Oj, niedobrze, niedobrze, pomyślał Reynevan, on głupi nie jest. To się naprawdę może źle skończyć.

– Jakżeż więc – opat nie spuszczał z Szarleja sondującego wzroku – myślicie postąpić? Wedle Avicenny? Czy może wedle zaleceń świętego Izydora z Sewilli, zawartych w słynnym dziele o tytule... Oj, przepomniałem... Ale wy, uczony egzorcysta, niezawodnie znacie...

– *Etymologiae.* – Szarlejowi i tym razem nie drgnęła powieka. – Owszem, korzystam z zawartych tam nauk, wszak to wiedza elementarna. Podobnie jak tegoż autora *De natura rerum*. Jak *Dialogus magnus visionum atque miraculorum* Cezarego z Heisterbachu. I jak *De universo* Rabana Maura, arcybiskupa mogunckiego.

Wzrok opata złagodniał nieco, ale widać było, że nie ze wszystkim opuściła go podejrzliwość.

– Uczeniście, trudno zaprzeczyć – rzekł z przekąsem. – Dowieść tego umieliście. I co teraz? Wprzód o jadło poprosicie? I napitek? I o zapłatę z góry?

– O zapłacie i mowy być nie może – wyprostował się Szarlej tak pysznie, że Reynevana ogarnął prawdziwy podziw. – Mowy być nie może o groszach, bom ja nie kupiec i nie lichwiarz. Zadowolę się jałmużną, datkiem jakim skromnym, a i to nie z góry bynajmniej, lecz po skończonym dziele. Względem zaś jadła i napitku, to przypominam wam, wielebny ojcze, słowa Ewangelii: złe duchy wyrzuca się tylko modlitwą i postem.

Twarz opata rozjaśniła się, a z oczu znikła wroga twardość.

– Zaprawdę – rzekł. – Widzę, że z prawymi i świątobliwymi mam do czynienia chrześcijanami. I zaprawdę powiadam: Ewangelia Ewangelią, ale cóż to, uczciwszy uszy, za dzieło z pustym brzuchem. Zapraszam na *prandium*. Skromne postne *prandium*, bo dziś przecie *feria sexta*, piątek. Pluski bobrze w sosie...

– Prowadźcie, cny ojcze opacie – głośno przełknął ślinę Szarlej. – Prowadźcie.

●

Reynevan otarł usta i stłumił beknięcie. Bobrzy plusk, czyli ogon, uduszony w gęstym chrzanowym sosie okazał się, podany z kaszą, prawdziwym przysmakiem. Reynevan do tej pory słyszał jedynie o tym specjale, wiedział, że w niektórych klasztorach jadano go w czas postu, albowiem z niewiadomych i ginących w pomroce dziejów przyczyn uważany był za coś podobnego rybie. Był to jednak rzadki dość delikates, nie każde opactwo miało w okolicy bobrowe gony i nie każde dysponowało przywilejem odłowu. Wielką przyjemność ze zjedzenia smakołyku psuła jednak pełna niepokoju myśl o czekającym ich

zadaniu. Ale, dumał, skrupulatnie wycierając miskę chlebem, tego, co zjadłem, nikt mi już nie odbierze.

Szarlej, który w okamgnieniu poradził sobie z małą dość – bo postną przecie – porcją, perorował, robiąc wielce mądre miny.

– Względem diabelskiego opętania – gadał – różne wypowiadały się autorytety. Te największe, co do których wątpić nie śmiem, że czcigodni bracia znają je również, to święci ojcowie i doktorowie Kościoła: miarą główną Bazyli, Izydor z Sewilli, Grzegorz z Nazjanzu, Cyryl Jerozolimski i Efrem Syryjczyk. Z pewnością znane są też wam dzieła Tertuliana, Orygenesa i Laktancjusza. Prawda?

Niektórzy z obecnych w refektarzu benedyktynów z zapałem pokiwali głowami, inni głowy spuścili.

– Są to jednak źródła wiedzy dość ogólne – tłumaczył dalej Szarlej – a zatem poważny egzorcysta do nich jedynie ograniczyć swego poznania nie może.

Mnisi znowu pokiwali głowami, pilnie wyjadając z misek ostatki kaszy i sosu. Szarlej wyprostował się, odkaszlnął.

– Ja – oznajmił nie bez dumy – znam *Dialogus de energia et operatione daemonum* Michała Psellosa. Znam na wyrywki *Exorcisandis obsessis a daemonio*, dzieło autorstwa papieża Leona III, zaiste, dobrze to i z korzyścią, gdy namiestnicy Piotrowi parają się piórem. Czytywałem *Picatrix*, przetłumaczony z arabskiego przez Alfonsa Mądrego, uczonego króla Leonu i Kastylii. Znam *Orationes contra daemoniacum* i *Flagellum daemonum*. Znam też *Księgę tajemnic Henocha*, ale tu nie ma się czym chwalić, to znają wszyscy. Zaś mój asystent, odważny magister Reinmar, zgłębił nawet księgi saraceńskie, choć świadom był hazardu, jaki niesie kontakt z czarnoksięstwem pogan.

Reynevan poczerwieniał. Opat uśmiechnął się życzliwie, wziąwszy to za przejaw modestii.

– Zaprawdę! – ogłosił. – Toć widzim, że uczeni z was męże i bywali egzorcyści. Ciekawość, siła czartów macie na rozkładzie?

– Po prawdzie – Szarlej spuścił oczy, skromny jak klaryska nowicjuszka – to z rekordami mi się nie mierzyć. Najwięcej diabłów, ile udało mi się od jednego machu wygonić z opętanego, to dziewięć.

– W samej rzeczy – zatroskał się widomie opat – nie jest to wiele. Słyszałem o dominikanach...

– Ja też słyszałem – przerwał Szarlej. – Ale nie widziałem. Nadto, ja mówiłem o diabłach pierwszej gildii, a wszak wiadomo, że każdy jeden diabeł pierwszej gildii ma na usługi co najmniej trzydziestu mniejszych czarciuków. Tych jednak szanujący się egzorcyści przy wypędzaniu nie liczą, bo jeśli wygoni się herszta, uciekają i ciury. Ale gdy wszystkie policzyć metodą braci predykantów, to wnet okazać się może, że śmiało mogę z onymi w paragon iść.

– Jużci prawda – przyznał opat, ale dość niepewnie.

– Niestety – dorzucił Szarlej zimno i trochę jakby od niechcenia – nie mogę też przyobiecać pisemnych gwarancyj. Proszę to mieć na uwadze, żeby potem nie było pretensyj.

– Hę?

– Święty Marcin z Tours – Szarlejowi i tym razem nawet powieka nie drgnęła – od każdego egzorcyzmowanego diabła brał podpisany jego własnym diabelskim imieniem dokument, zobowiązanie, że dany czart już nigdy, przenigdy nie poważy się opętać danej osoby. Wielu słynnym świętym i biskupom to samo się później udawało, lecz ja, skromny egzorcysta, takiego dokumentu załatwić nie zdołam.

– Może to i lepiej! – opat przeżegnał się, pozostali bracia również. – Matko Boska, królowo niebiańska! Pergamin podpisany ręką Złego? Toż to abominacja! I grzech! Nie chcemy, nie chcemy...

– To dobrze – uciął Szarlej – że nie chcecie. Ale najpierw obowiązki, potem przyjemności. Azali pacjent już w kaplicy?

– Niezawodnie.

– Wszelakoż – odezwał się nagle jeden z młodszych benedyktynów, od dłuższego czasu nie spuszczający z Szarleja oczu – czym wyjaśnicie, mistrzu, że brat Deodat leży jak kłoda, ledwo dycha i palcem nie ruszy, gdy tymczasem wszystkie niemal cytowane przez was uczone księgi mówią, że opętany zwykle w nadzwyczajnej członków jest agitacji i że diabeł przez niego stale gada i krzyczy. Nie maszli tu sprzeczności jakowejś?

– Wszelka choroba – Szarlej spojrzał na zakonnika z góry – w tym i opętanie, jest dziełem Szatana, destruktora dzieła Bożego. Każda choroba wywołana jest przez któregoś z czterech Czarnych Aniołów Zła: Mahazela, Azazela, Azraela lub Samaela. To, że opętany nie miota się, nie krzyczy, lecz leży jakoby martwy, dowodzi, że zawładnął nim któryś z demonów podległych Samaelowi właśnie.

– Chryste Panie! – przeżegnał się opat.

– Aliści – nadął się Szarlej – ja sposób na takie demony wiem. Latają one na wietrze, a opętują człeka cichcem i chyłkiem, poprzez wdech, znaczy się *insufflatio*. Tą samą drogą, to jest poprzez *exsufflatio*, każę diabłu chorego opuścić.

– Jakże to jednak jest – nie rezygnował młody mnich. – Diabeł w opactwie, gdzie dzwony, msza, brewiarz i świętości? Opętuje zakonnika? Jakże to tak?

Szarlej zrewanżował mu się ostrością spojrzenia.

– Jak uczy nas święty Grzegorz Wielki, doktor Kościoła – przemówił surowo i dobitnie – zakonnica połknęła kiedyś diabła wraz z liściem sałaty z klasztornej grządki. Albowiem zlekceważyła obowiązek modlitwy i znaku krzyża przed spożyciem. Czy bratu Deodatowi nie zdarzały się przypadkiem podobne przewiny?

Benedyktyni spuścili głowy, opat zachrząkał.

– Jużci prawda – zamamrotał. – Nader świecki potrafił być brat Deodat, nader świecki i mało obowiązkowy.

– Łatwym tym samym – skonkludował sucho Szarlej – stając się dla Złego łupem. Prowadźcie do kaplicy, wielebni.

– Co będzie potrzebne, mistrzu? Woda święcona? Krzyż? Obrazy? Benedykcjonał?

– Tylko woda święcona i Biblia.

●

Kaplica ziała chłodem i tonęła w półmroku, rozjaśnionym tylko jarzącymi się aureolami świec i skośnym słupem kolorowego światła przesączonego przez witraż. W świetle, na nakrytym płótnem katafalku, spoczywał brat Deodat. Wyglądał identycznie jak przed godziną w klasztornej infirmerii, gdy Reynevan i Szarlej zobaczyli go po raz pierwszy. Miał twarz woskowo zastygłą i żółtawą jak wygotowana kość tukowa, zapadłe policzki i usta, zamknięte oczy, a jego oddech był tak płytki, że niemal niezauważalny. Ułożono go, krzyżując na piersi ręce poznaczone ranami po puszczaniu krwi i wplatając w bezwładne palce różaniec i fioletową stułę.

Kilka kroków od katafalku, oparty plecami o mur, siedział na posadzce olbrzymi, ostrzyżony do skóry mężczyzna o zamglonych oczach i twarzy mało rozgarniętego dziecka. Waligóra ów trzymał dwa

palce prawej dłoni w ustach, lewą zaś przyciskał do brzucha gliniany garnuszek. Co kilka chwil osiłek ohydnie pociągał nosem, odrywał brudny i lepki garnuszek od brudnej i lepkiej tuniki, wycierał palce o brzuch, pakował je do garnuszka, nabierał miodu i niósł do ust. Po czym rytuał powtarzał się.

– To sierota, podrzutek – uprzedził pytanie opat, widząc zdegustowaną minę Szarleja. – Przez nas ochrzczony Samsonem, jako że postury i siły jest słusznej. Posługacz klasztorny, trochę upośledzony... Ale brata Deodata miłuje wielce, jak piesek za nim wszędy chodzi... Na krok nie odstępuje... Tedy myśleliśmy...

– Dobrze, dobrze – przerwał Szarlej. – Niechaj siedzi, gdzie siedzi, byle cicho był. Zaczynamy. Magistrze Reinmarze...

Reynevan, naśladując Szarleja, zawiesił sobie stułę na szyi, złożył ręce, pochylił głowę. Nie wiedział, czy Szarlej udaje, czy nie, sam jednak modlił się szczerze i żarliwie. Był, co tu dużo gadać, w wielkim strachu. Szarlej natomiast wydawał się absolutnie pewny siebie, był władczy i aż chlupało w nim od autorytetu.

– Módlcie się – polecił benedyktynom. – Odmawiajcie *Domine sancte*.

Sam stanął nad katafalkiem, przeżegnał się, uczynił znak krzyża nad bratem Deodatem. Dał znak, Reynevan pokropił opętanego wodą święconą. Opętany, ma się rozumieć, nie zareagował.

– *Domine sancte, Pater omnipotens* – pomruk mnisiej modlitwy wibrował echem zwielokrotnionym przez gwiaździste sklepienie – *aeterne Deus, propter tuam largitatem et Filii tui...*

Szarlej mocnym chrząknięciem oczyścił gardło.

– *Offer nostras preces in conspectu Altissimi* – przemówił gromko, budząc jeszcze silniejsze echa – *ut cito anticipent nos misericordiae Domini, et apprehendas draconem, serpentem antiquum, qui est diabolus et satanas, ac ligatum mittas in abyssum, ut non seducat amplius gentes. Hinc tuo confisi praesidio ac tutela, sacri ministerii nostri auctoritate, ad infestationes diabolicae fraudis repellendas in nomine Iesu Christi Dei et Domini nostri fidentes et securi aggredimur.*

– *Domine* – włączył się na dany znak Reynevan – *exaudi orationem meam*.

– *Et clamor meus ad te veniat*.

– Amen.

– *Princeps gloriosissime caelestis militiae, sancte Michael Archangele, defende nos in praelio et colluctatione. Satanas! Ecce Crucem Domini, fugite partes adversae! Apage! Apage! Apage!*

– Amen!

Brat Deodat na katafalku nie dał znaku życia. Szarlej dyskretnie otarł czoło końcem stuły.

– Tak oto – nie spuścił oczu pod pytającymi spojrzeniami benedyktynów – wstęp mamy za sobą. I wiemy jedno: z nie byle jakim diabliną chudziną mamy do czynienia, taki bowiem już by uciekł. Trzeba będzie cięższe wytoczyć bombardy.

Opat zamrugał i poruszył się niespokojnie. Siedzący na posadzce Samson waligóra podrapał się w krocze, smarknął, charknął, pierdnął, z trudem odlepił od brzucha garnuszek z miodem i zajrzał doń, sprawdzając, ile zostało.

Szarlej powiódł po zakonnikach spojrzeniem, które w jego własnej opinii było mądre i natchnione zarazem.

– Jak uczy nas Pismo – rzekł – szatana cechuje pycha. Nic innego, a pycha niezmierzona przywiodła Lucyfera do buntu przeciw Panu, za pychę został on ukarany strąceniem do piekielnej czeluści. I pyszny jest diabeł nadal! Pierwszym przykazaniem egzorcysty jest przeto urazić diabelską pychę, dumę i miłość własną. Krótko mówiąc: zelżyć go porządnie, skląć, obrazić, naubliżać. Znieważyć, a wonczas umknie on jak niepyszny.

Mnisi czekali, pewni, że to jeszcze nie koniec. I mieli rację.

– Zaraz tedy – ciągnął Szarlej – zaczniemy czarta znieważać. Jeśli który z fratrów jest na grubsze wyrazy wrażliwy, niechaj oddali się nie mieszkając. Przybliż się, magistrze Reinmarze, przemów słowy Mateuszowej Ewangelii. Wy zaś, bracia, módlcie się.

– Jezus rozkazał mu surowo i zły duch opuścił go – wyrecytował Reynevan. – Od owej pory chłopiec odzyskał zdrowie. Wtedy uczniowie zbliżyli się do Jezusa na osobności i pytali: Dlaczego my nie mogliśmy go wypędzić? On zaś im rzekł: Z powodu małej wiary waszej.

Szmer mamrotanej przez benedyktynów modlitwy mieszał się z recytacją. Szarlej zaś poprawił stułę na szyi, stanął nad nieruchomym i sztywnym bratem Deodatem i rozpostarł ręce.

– Diable plugawy! – wrzasnął tak, że Reynevan zająknął się, a opat aż podskoczył. – Rozkazuję ci, natychmiast wynijdź z tego ciała, nieczysta

siło! Precz od tego chrześcijanina, ty brudny, otyły i sprośny wieprzu, bestio spośród wszystkich bestii najbardziej bestialska, zakało Tartaru, ohydo Szeolu! Wypędzam cię, ty szczeciniasta żydowska świnio, do piekielnego chlewa, gdzie obyś utopił się w gównie!

– *Sancta Virgo virginem* – szeptał opat – *ora pro nobis...*

– *Ab insidiis diaboli* – wtórowali mnisi – *libera nos...*

– Ty krokodylu stary! – ryczał Szarlej, czerwieniejąc. – Bazyliszku zdychający, koczkodanie obsrany! Ty nadęta ropucho, ty kulawy ośle ze zbitym zadem, ty zaplątana w sieć własną tarantulo! Ty zapluty wielbłądzie! Ty robaku nędzny, tkwiący w padlinie zaśmiardłej na samym dnie Gehenny, ty chrząszczu obrzydły siedzący w łajnie! Słysz, jak nazywam cię twym prawdziwym mianem: *scrofa stercorata et pedicosa*, świnia nieczysta i zawszona, o ty najpodlejszy z podłych, o najgłupszy z głupców, *stultus stultorum rex*! Ty węglarzu tępy! Ty szewcze przepity! Ty capie ze spuchniętymi jajcami!

Leżący na marach brat Deodat nie drgnął nawet. Choć Reynevan kropił go wodą święconą ile wlazło, krople bezsilnie spełzały po stężałym obliczu starca. Mięśnie na szczękach Szarleja zadrgały mocno. Zbliża się kulminacja, pomyślał Reynevan. Nie pomylił się.

– Wynijdź z tego ciała! – zaryczał Szarlej. – Ty w rzyć jebany katamito!

Jeden z młodszych benedyktynów uciekł, zakrywając uszy, wzywając imienia Pana nadaremno. Inni byli albo bardzo bladzi, albo bardzo czerwoni.

Ostrzyżony osiłek stękał i pojękiwał, usiłując wetknąć do garnuszka z miodem całą dłoń. Było to niewykonalne, dłoń była dwa razy większa od garnuszka. Waligóra wysoko uniósł naczynie, zadarł głowę i rozdziawił usta, ale miód nie wyciekał, było go już zwyczajnie za mało.

– I cóż – odważył się wybąkać opat – z bratem Deodatem, mistrzu? Co ze złym duchem? Azali już wyszedł?

Szarlej schylił się nad egzorcyzmowanym, przyłożył niemal ucho do jego bladych warg.

– Jest już pod samym wierzchem – ocenił. – Zaraz go wygonimy. Trzeba jeno porazić go smrodem. Czart czuły jest na smród. Nuże, fratrzy, przynieście kubeł łajna, patelnię i kaganek. Będziemy opętanemu smażyć pod nosem świeże łajno. Zresztą wszystko, co dobrze śmierdzi, nada się. Siarka, wapno, asafetyda... A najlepiej zepsuta

ryba. Albowiem powiada księga Tobiasza: *incenso iecore piscis fugabitur daemonium.*

Kilku braci pobiegło zrealizować zamówienie. Siedzący pod murem osiłek podłubał palcem w nosie, obejrzał palec, wytarł w nogawkę. Po czym wznowił wybieranie resztek miodu z garnuszka. Tym samym palcem. Reynevan poczuł, jak zjedzony bobrzy plusk podchodzi mu do gardła na wzbierającej fali chrzanowego sosu.

– Magistrze Reinmarze – ostry głos Szarleja przywrócił go światu. – Nie ustawajmy w wysiłkach. Ewangelia według Marka, proszę, stosowny ustęp. Módlcie się, bracia.

– A Jezus widząc, że tłum się zbiega – przeczytał posłusznie Reynevan – rozkazał surowo duchowi nieczystemu: Duchu niemy i głuchy, rozkazuję ci, wyjdź z niego i nie wchodź więcej w niego.

– *Surde et mute spiritus ego tibi praecipio* – powtórzył groźnie i rozkazująco schylony nad bratem Deodatem Szarlej – *exi ab eo! Imperet tibi dominus per angelum et leonem! Per deum vivum! Justitia eius in saecula saeculorum!* Niechaj moc Jego wypędzi cię i zmusi do wyjścia razem z całą twoją zgrają!

– *Ego te exorciso per caracterum et verborum sanctum! Impero tibi per clavem salomonis et nomen magnum tetragrammaton!*

Żrący miód osiłek zakaszlał nagle, opluł się i usmarkał. Szarlej otarł pot z czoła.

– Ciężki i trudny to *casus* – wyjaśnił, unikając coraz bardziej podejrzliwego wzroku opata. – Przyjdzie jeszcze mocniejszych użyć argumentów.

Przez chwilę było tak cicho, że słychać było dzikie bzyczenie muchy, którą pająk dopadł w pajęczynie we wnęce okiennej.

– Na apokalipsę – rozległ się w ciszy trochę już zachrypnięty baryton Szarleja – przez którą Pan zdradził rzeczy, które nadejść mają, i potwierdził owe rzeczy usty anioła przez siebie zesłanego, wyklinam cię, szatanie! *Exorciso te, flumen immundissimum, draco maleficus, spiritum mendacii!*

– Na siedem świeczników złotych i na jeden świecznik między siedmioma stojący! Na głos, będący głosem wód wielu, który powiada: Jam jest ten, który umarł, i ten, który zmartwychwstał, ten, który żyje i żyć będzie wiecznie, który mam w pieczy klucze do śmierci i piekła,

powiadam ci, odejdź, duchu nieczysty, który znasz karę wiecznego potępienia!

Skutku jak nie było, tak nie było. Na twarzach przypatrujących się benedyktynów malowały się różne, bardzo różne uczucia. Szarlej wziął mocny wdech.

– Niechaj porazi cię Agyos, jak poraził Egipt! Niechaj cię ukamienują, jak Izrael ukamienował Achana! Niechaj podepcą cię nogami i zawieszą na widłach, jak zawieszono pięciu królów amoryckich! Niechaj przyłoży Pan do czoła twego ćwiek i niechaj walnie w ów ćwiek młotkiem, jak uczyniła Siserze niewiasta Jael! Niechaj ci, jak przeklętemu Dagonowi, łeb wraży i ręce obie odrąbane będą! I niech ci ogon utną przy samej twej diabelskiej dupie!

Oj, pomyślał Reynevan, to się źle skończy. To się źle skończy.

– Duchu piekielny! – Szarlej gwałtownym ruchem rozpostarł ręce nad nadal nie dającym znaku życia bratem Deodatem. – Zaklinam cię na Acharona, Eheya, Homusa, Athanatosa, Ischirosa, Aecodesa i Almanacha! Zaklinam cię na Aratona, Bethora, Phalega i Oga, na Pophiela i na Phula! Zaklinam cię potężnymi imionami Shmiela i Shmula! Zaklinam cię najokropniejszym z imion: imieniem przemożnego i straszliwego Semaphora!

Semaphor nie poskutkował lepiej niż Phul i Shmul. Nie dało się tego ukryć. Szarlej też to widział.

– Jobsa, hopsa, afia, alma! – zakrzyczał dziko. – Melach, Berot, Not, Berib *et vos omnes*! Hemen etan! Hemen etan! Hau! Hau! Hau!

Zwariował, pomyślał Reynevan. A nas zaraz zaczną bić. Zaraz połapią się, że to wszystko bezsens i parodia, przecież aż tacy głupi być nie mogą. Zaraz skończy się to wszystko strasznym biciem.

Szarlej, spocony już jak cholera i zdrowo zachrypnięty, przyciągnął jego wzrok i mrugnął z aż nadto czytelną prośbą o wsparcie, prośbę poparł dość gwałtownym, choć ukradkowym gestem. Reynevan wzniósł oczy ku sklepieniu. Wszystko, pomyślał, starając się przypomnieć sobie stare księgi i rozmowy z zaprzyjaźnionymi czarownikami, wszystko jest lepsze od „hau-hau-hau”.

– Hax, pax, max! – zawył, wymachując rękami. – Abeor super aberer! Aie Saraye! Aie Saraye! Albedo, rubedo, nigredo!

Szarlej, oddychając ciężko, spojrzeniem wyraził mu wdzięczność, gestem nakazał kontynuować. Reynevan mocno nabrał powietrza w

płuca.

– Tumor, rubor, calor, dolor! *Per ipsum, et cum ipso, et in ipso!* Jobsa, hopsa, *et vos omnes! Et cum spiritu tuo!* Melach, Malach, Molach!

Zaraz będą nas bić, pomyślał gorączkowo, a może nawet i kopać. Zaraz, za małą, za tycią chwilę. Nie ma rady. Trzeba iść na całość. Na arabski. Stój przy mnie, Averroesie. Ratuj, Avicenno.

– Kullu-al-szaitanu-al-radżim! – wrzasnął. – Fa-anasahum Tarisz! Qasura al-Zoba! Al-Ahmar, Baraqan al-Abayad! Al-szaitan! Khar-al-Sus! Al ouar! Mochefi al relil! El feurdż! El feurdż!

Ostatnie słowo, jak niejasno pamiętał, znaczyło po arabsku „cipa" i mało miało wspólnego z egzorcyzmowaniem. Świadom był, jak wielkie głupstwo popełnia. Tym mocniej zadziwił go efekt.

Miał wrażenie, że świat zamarł na moment. I wówczas, w zupełnej ciszy, wśród zastygłego na tle szarych murów *tableau* benedyktynów w czarnych habitach, coś nagle drgnęło, coś się wydarzyło, coś zakłóciło martwy spokój ruchem i dźwiękiem.

Siedzący pod ścianą tępooki waligóra gwałtownie, z obrzydzeniem i wstrętem odrzucił brudny i lepiący się garnuszek z miodem. Garnuszek stuknął o posadzkę, nie rozbił się jednak, lecz poturlał, wdzierając w ciszę głuchym, acz głośnym turkotaniem.

Waligóra uniósł do oczu lepkie od słodkości palce. Przyglądał się im przez chwilę, a na jego nalanym księżycowym obliczu odmalowało się najpierw niedowierzanie, a potem przerażenie. Reynevan przyglądał mu się, oddychając ciężko. Czuł na sobie ponaglający wzrok Szarleja, ale nie był już w stanie wykrztusić ani słowa. Koniec, pomyślał. Koniec.

Osiłek, wciąż patrząc na swe palce, zajęczał. Rozdzierająco.

I wówczas leżący na marach brat Deodat zastękał, zakaszlał, zacharczał i wierzgnął nogami. Po czym zaklął, nader świecko.

– Święta Eufrozyno... – jęknął opat, klękając. Pozostali mnisi poszli za jego przykładem. Szarlej otworzył usta, ale szybko i przytomnie je zamknął. Reynevan przyłożył ręce do skroni, nie wiedząc, modlić się czy uciekać.

– Zaraza... – zaskrzeczał brat Deodat, siadając. – Ale mnie suszy... Co? Przespałem wieczerzę? Mór na was, braciszkowie... Chciałem się ino zdrzemnąć... Ale przecieżem prosił, by rozbudzić mnie na nieszpory...

– Cud! – krzyknął jeden z klęczących zakonników.

– Nastało królestwo Boże! – Drugi padł krzyżem na posadzkę. – *Igitur pervenit in nos regnum Dei!*

– *Alleluia!*

Siedzący na marach brat Deodat wodził dookoła nie rozumiejącym wzrokiem, od klęczących konfratrów do Szarleja ze stułą na szyi, od Reynevana do waligóry Samsona, wciąż oglądającego swe dłonie i brzuch, od modlącego się opata do mnichów, którzy właśnie nadbiegli z kubłem łajna i miedzianą patelnią.

– Czy ktoś – zapytał niedawny opętany – zechciałby mi wyjaśnić, co tu się wyprawia?

Rozdział trzynasty

w którym po opuszczeniu klasztoru benedyktynów Szarlej wykłada Reynevanowi swą filozofię egzystencjalną, sprowadzającą się – w uproszczeniu – do tezy, że wystarczą spuszczone spodnie i chwila nieuwagi, by ktoś nieżyczliwy dobrał ci się do dupy. Za chwilę życie potwierdza te wywody w całej rozciągłości i każdym detalu. Z opresji ratuje Szarleja ktoś, kogo czytelnik już zna – a raczej zdaje mu się, że zna.

Egzorcyzmowanie u benedyktynów – choć w zasadzie uwieńczone sukcesem – wzmogło jeszcze niechęć Reynevana do Szarleja, niechęć budowaną, rzec by można, od pierwszego wejrzenia, a zyskującą na ostrości po wypadku z proszalnym dziadem. Reynevan zdążył już zrozumieć, że jest od demeryta zależny i że nie da sobie bez niego rady, że w szczególności operacja wyswobodzenia jego ukochanej Adeli ma w pojedynkę znikome szanse powodzenia. Rozumienie rozumieniem, zależność zależnością, ale niechęć była, dokuczała i złościła jak naderwany paznokieć, jak ukruszony ząb, jak drzazga w opuszku palca. A pozy i wypowiedzi Szarleja pogłębiały ją tylko.

Do sporu – czy raczej dysputy – doszło wieczorem po opuszczeniu klasztoru, w całkiem, jak twierdził demeryt, niedużym już oddaleniu od Świdnicy. Paradoksalnie Reynevan wspomniał egzorcystyczne szelmostwa Szarleja i jął mu je wyrzucać podczas spożywania darów, dzięki szelmostwu zdobytych – na odchodnym wdzięczni benedyktyni wręczyli im bowiem pokaźne zawiniątko, zawierające, jak się okazało, żytni chleb, tuzin jabłek, kilkanaście jaj na twardo, pęto wędzonej jałowcowej kiełbasy i grubą polską kiszkę kaszaną.

W miejscu, gdzie zrujnowany częściowo jaz spiętrzył i rozlał rzeczkę, na suchym stoku na skraju boru, wędrowcy siedzieli zatem i jedli, przyglądając się słońcu, opuszczającemu się coraz to niżej ku szczytom sosen. I dysputując. Reynevan rozgalopował się nieco, wychwalając normy etyczne, a ganiąc sowizdrzalstwo. Szarlej usadził go natychmiast.

– Nie przyjmuję – oświadczył, wypluwając skorupki niedokładnie obłupanego jajka – nauk moralnych od kogoś, kto zwykł pieprzyć cudze żony.

– Ile razy jeszcze – uniósł się Reynevan – każesz sobie powtarzać, że to nie to samo? Że nie ma porównania?

– Jest, Reinmarze, jest.

– Ciekawe.

Szarlej oparł chleb o brzuch i ukroił kolejną pajdę.

– Różni nas – zaczął po chwili z pełnymi ustami – jak łatwo zauważyć, doświadczenie i mądrość życiowa. Dlatego to, co ty robisz instynktownie, kierowany prostą, dziecięcą wręcz dążnością do zaspokojenia popędów, ja czynię z rozmysłu i planowo. Ale u podstaw leży wciąż to samo. Przekonanie mianowicie, ze wszech miar słuszne zresztą, że liczę się ja, moje dobro i moja przyjemność, resztę zaś, o ile mojemu dobru i interesowi niczego nie przysparza, może spokojnie trafić szlag, albowiem cóż ta reszta może mnie obchodzić, w niczym mi nie służąc. Nie przerywaj. Wdzięki twej lubej Adeli były dla ciebie jak cukierek dla dziecka. By móc polizać i pociućkać, zapomniałeś o wszystkim, liczyła się tylko i wyłącznie twoja własna przyjemność. Nie, nie próbuj wyjeżdżać mi tu z miłością, cytować Petrarki i Wolframa von Eschenbach. Miłość to też przyjemność, i to jedna z najbardziej egoistycznych, jakie znam.

– Nie chcę tego słuchać.

– *In summa* – ciągnął niewzruszenie demeryt – nasze programy egzystencjalne niczym się nie różnią, będąc opartymi o *principium*: wszystko, co czynię, ma służyć mnie. Moje własne dobro, błogość, wygoda i szczęśliwość są jedynie ważne, resztę pal diabli. Tym, co nas jednak różni...

– Więc jednak?

– ...jest umiejętność perspektywicznego myślenia. Ja, mimo częstych pokus, powstrzymuję się w miarę możliwości od chędożenia cudzych żon, ponieważ perspektywiczne myślenie podpowiada, że nie tylko nie przyniesie mi to korzyści, ale wręcz przeciwnie: przysporzy kłopotów. Ubogich, jak owego przedwczorajszego dziada, nie rozpieszczam datkami nie ze skąpstwa, jeno dlatego, że taka dobroczynność nic nie daje, ba, wręcz szkodzi... grosza ubywa, a człowiek zarabia sobie na opinię durnia i frajera. A że frajerów i durniów *infinitus est numerus*, sam wyłudzam, co i ile się da. Nie stosując taryfy ulgowej wobec benedyktynów. I innych zakonów. Pojąłeś?

– Pojąłem – Reynevan ugryzł kęs jabłka – za co siedziałeś w pudle.

– Niczego nie pojąłeś. Ale czas na naukę jest, na Węgry daleka droga.

– A dotrę tam aby? Cało?

– Co chciałeś przez to powiedzieć?

– A bo słucham cię, słucham, i coraz większym czuję się frajerem. Który w każdej chwili może zostać ofiarą całopalną na ołtarzu twej własnej wygody. Ową resztą, którą pal diabli.

– No proszę – ucieszył się Szarlej – jednak czynisz postępy. Zaczynasz rozumować rozsądnie. Pomijając nieuzasadniony sarkazm, już zaczynasz łapać podstawową zasadę życiową: zasadę ograniczonego zaufania. Uczącą, że otaczający świat nieustannie na ciebie dybie, nigdy nie przepuści okazji, by wyrządzić ci zniewagę, przykrość lub krzywdę. Że tylko czeka, aż spuścisz portki, by natychmiast dobrać się do twej gołej dupy.

Reynevan parsknął.

– Z czego – nie dał zbić się z pantałyku demeryt – płyną dwa wnioski. *Primo*: nigdy nie ufaj i nigdy nie wierz w intencje. *Secundo*: jeśliś sam wyrządził komuś przykrość lub krzywdę, nie gryź się tym. Byłeś zwyczajnie szybszy, zadziałałeś prewencyjnie...

– Zamilcz!

– Co znaczy, zamilcz? Mówię szczerą prawdę i wyznaję zasadę wolności słowa. Swoboda...

– Zamilcz, psiakrew. Coś słyszałem. Ktoś tu się podkrada...

– Pewnie wilkołek! – zarechotał Szarlej. – Straszliwy mężowilk, postrach okolicy!

Gdy opuszczali klasztor, troskliwi zakonnicy ostrzegli ich i uprzedzili, by mieli się na baczności. W okolicy, rzekli, osobliwie podczas pełni, grasuje od jakiegoś czasu groźny *lykanthropos*, czyli mężowilk, czyli wilkołek, czyli człowiek, mocą piekielną zamieniony w wilkopodobne monstrum. Ostrzeżenie wyjątkowo rozbawiło Szarleja, który przez dobrych kilka staj śmiał się do rozpuku i szydził z zabobonnych mnichów. Reynevan też nie bardzo wierzył w mężowilki i wilkołki, nie śmiał się jednak.

– Słyszę – powiedział, nadstawiwszy uszu – czyjeś kroki. Ktoś nadchodzi, bez dwóch zdań.

W chaszczach alarmująco zaskrzeczała sójka. Konie zaparskały. Trzasnęła gałązka. Szarlej przysłonił oczy dłonią, zachodzące słońce oślepiało blaskiem.

– Niech to czart – zamruczał pod nosem. – Tego nam, zaiste, jeszcze brakowało. Spójrz tylko, któż to nam tu zawitał.

– Byłby to... – zająknął się Reynevan. – To jest...

– Waligóra od benedyktynów – potwierdził jego podejrzenie Szarlej. – Klasztorny wielkolud, Beowulf miodożerca. Garnkoliz o biblijnym imieniu. Jak mu tam było? Goliat?

– Samson.

– Samson, prawda. Nie zwracaj na niego uwagi.

– Co on tu robi?

– Nie zwracaj uwagi. Może sobie pójdzie. Swoją drogą, dokądkolwiek ona wiedzie.

Nie wyglądało jednak na to, by Samson zamierzał sobie pójść. Wręcz przeciwnie, wyglądało, jakby znalazł się u kresu swej drogi – rozsiadł się bowiem na oddalonym o trzy kroki pniaku. I siedział, obróciwszy ku nim swe nalane matołkowate oblicze. Twarz jednak miał czystą, dużo czyściejszą niż poprzednio, znikły też zeskorupiałe smarki spod nosa. Także chałat, który obecnie nosił, był nowy i schludny. Mimo tego od wielkoluda wciąż dolatywał nikły zapach miodu.

– Cóż – odchrząknął Reynevan. – Grzeczność nakazuje...

– Wiedziałem – przerwał Szarlej i westchnął. – Wiedziałem, że to powiesz. Hej, ty tam! Samsonie! Pogromco Filistynów! Głodnyś?

– Głodnyś? – Szarlej, nie doczekawszy się reakcji, potrząsnął w stronę osiłka kawałem kiszki, zupełnie jakby przywabiał psa lub kota. – Na! Rozumiesz mnie? Na, tu, tu, na! Papu-papu! Mniamu-mniamu! Zjesz?

– Dziękuję – odrzekł nagle olbrzym, nadspodziewanie wyraźnie i przytomnie. – Ale nie skorzystam. Nie jestem głodny.

– Dziwna jest to sprawa – zamruczał Szarlej, pochylając się ku uchu Reynevana. – Skąd on się tu wziął? Szedł za nami? Przecie jakoby zwykle łazi za bratem Deodatem, naszym niedawnym pacjentem... Od klasztoru dzieli nas dobra mila, żeby tu dotrzeć, musiał wyruszyć natychmiast po nas. I szparko iść naszym tropem. W jakim celu?

– Zapytaj go.

– Zapytam. Gdy przyjdzie pora. Na razie zaś dla pewności mówmy po łacinie.

– *Bene*.

●

Słońce opuszczało się coraz to niżej nad ciemny bór, odkrzyczały hejnał lecące na zachód żurawie, rozpoczęły głośny koncert żaby w bagnie nad rzeczką. A na suchym stoku na skraju lasu, niczym w uniwersyteckiej auli, rozbrzmiewała mowa Wergilego.

Reynevan po raz nie wiadomo który – ale po raz pierwszy po łacinie – opowiadał swe niedawne dzieje i opisywał perypetie. Szarlej słuchał – lub udawał, że słucha. Klasztorny osiłek Samson przyglądał się tępo nie wiadomo czemu, a jego nalanej fizjonomii nadal nie znaczyła żadna poważniejsza emocja.

Opowieść Reynevana była, ma się rozumieć, tylko wstępem do rzeczy zasadniczej – do kolejnej próby wciągnięcia Szarleja w zaczepną akcję przeciw Sterczom. Rzecz jasna, nic z tego nie wyszło. Także wtedy, gdy Reynevan jął nęcić demeryta perspektywą wielkich pieniędzy – pojęcia zresztą nie mając, skąd w razie czego wziąć takie pieniądze. Problem miał jednak charakter czysto akademicki, albowiem Szarlej ofertę odrzucił. Odżył spór, w którym obaj dyskutanci mocno posiłkowali się klasycznymi cytatami – od Tacyta po Eklezjastesa.

– *Vanitas vanitatum*, Reinmarze! Marność nad marnościami i wszystko marność! Nie bądź pochopny, gniew przebywa w piersi głupców. Zapamiętaj – *melior est canis vivus leone mortuo*, lepszy jest żywy pies niż lew nieżywy.

– Że co?

– Jeśli nie porzucisz głupich planów zemsty, będziesz nieżywy, bo te plany to dla ciebie pewna śmierć. A mnie, nawet jeśli nie zabiją, wsadzą na powrót do więzienia. Ale tym razem nie na wywczasy u karmelitów, lecz do lochu, *ad carcerem perpetuum*. Albo, co uznają za łaskę, na długoletnie *in pace* w klasztorze. Czy ty wiesz, Reinmarze, co to jest *in pace*? To jest pogrzebanie żywcem. W piwnicy, w celi ciasnej i tak niskiej, że można tylko siedzieć, a w miarę przybywania ekskrementów trzeba się coraz bardziej garbić, by nie szorować ciemieniem o strop. Chybaś zmysły postradał, jeśli myślisz, że zaryzykuję coś takiego dla twojej sprawy. Sprawy mętnej, żeby nie powiedzieć: śmierdzącej.

– Co jest dla ciebie śmierdzące? – obruszył się Reynevan. – Tragiczna śmierć mojego brata?

– Towarzyszące jej okoliczności.

Reynevan zaciął usta i odwrócił głowę. Przez chwilę patrzył na Samsona waligórę, siedzącego na pieńku. Wygląda jakoś inaczej,

pomyślał. Wciąż ma, i owszem, fizys kretyna, ale coś się w nim zmieniło. Co?

– W okolicznościach śmierci Peterlina – podjął – nie ma nic niejasnego. Zamordował go Kyrielejson. Kunz Aulock *et suos complices*. *Ex subordinatione* i za pieniądze Sterczów. Sterczowie powinni więc ponieść...

– Nie słuchałeś – przerwał Szarlej – tego, co mówiła Dzierżka, twoja powinowata?

– Słuchałem. Ale wagi nie przywiązywałem.

Szarlej wyciągnął z juków i odkorkował gąsiorek, wokół rozszedł się zapach nalewki. Gąsiorka ponad wszelką wątpliwość nie było wśród pożegnalnych benedyktyńskich darów, Reynevan pojęcia nie miał, kiedy i w jaki sposób demeryt wszedł w jego posiadanie. Ale podejrzewał najgorsze.

– To wielki błąd – Szarlej pociągnął z gąsiorka, podał go Reynevanowi. – To błąd, nie słuchać Dzierżki, ona zwykle wie, co mówi. Okoliczności śmierci twego brata nie są jasne, chłopcze. Z pewnością nie na tyle, by z punktu brać się do krwawej pomsty. Nie masz żadnych dowodów winy Sterczów. *Tandem*, nie masz żadnych dowodów winy Kyrielejsona. Ba, *in hoc casu* brak nawet przesłanek i motywów.

– Co ty... – Reynevan zakrztusił się nalewką. – Co ty gadasz? Aulocka i jego bandę widziano w okolicy Balbinowa.

– Jako dowód *non sufficit*.

– Mieli motyw.

– Jaki? Uważnie przysłuchiwałem się twej opowieści, Reinmarze. Kyrielejsona wynajęli Sterczowie, szwagrowie twojej lubej. Aby schwytał cię żywym. Bezwzględnie żywym. Wydarzenia z owej podbrzeskiej karczmy dowodzą tego niezbicie. Kunz Aulock, Stork i de Barby to zawodowcy, robią tylko to, za co im zapłacono. Zapłacono im za ciebie, nie za twego brata. Po co mieliby na drodze za sobą zostawiać trupa? Taki zostawiony na szlaku *cadaver* to dla zawodowców kłopot: grozi pościg, prawo, zemsta... Nie, Reinmarze. W tym nie ma za grosz logiki.

– Kto więc, według ciebie, zamordował Peterlina? Kto? *Cui bono?*

– Właśnie. Warto, naprawdę warto się nad tym zastanowić. Musisz więcej opowiedzieć mi o twoim bracie. W drodze na Węgry, ma się rozumieć. Przez Świdnicę, Frankenstein, Nysę i Opawę.

– Zapomniałeś o Ziębicach.

– Fakt. Ale ty nie zapomniałeś. I nie zapomnisz, obawiam się. Ciekawe, kiedy on to zauważy.

– Kto? Co?

– Samson Miodek od benedyktynów. W pniaku, na którym siedzi, jest gniazdo szerszeni.

Waligóra zerwał się. I usiadł z powrotem, pojąwszy, że wpadł w pułapkę.

– Tak podejrzewałem – wyszczerzył zęby Szarlej. – Rozumiesz łacinę, bratku.

Na oczach zdumionego do granic Reynevana olbrzym odwzajemnił uśmiech.

– *Mea culpa* – odrzekł z akcentem, którego nie zganiłby Cyceron. – Ale to wszak nie grzech. A nawet jeśli, to któż *sine peccato est*?

– Nie nazwałbym cnotą – wydął usta Szarlej – podsłuchiwania cudzych rozmów pod pozorem nieznajomości języka.

– Racja to – lekko skłonił głowę Samson. – I już przyznałem, że moja wina. A żeby przewin nie mnożyć, uprzedzę od razu, że przejście na mowę Franków też nie zapewni wam dyskrecji. Znam francuski.

– Ach – głos Szarleja był zimny jak lód. – *Est-ce vrai?* W samej rzeczy?

– W samej zaiste. *On dit, et il est verité*.

Jakiś czas panowała cisza. Wreszcie Szarlej chrząknął głośno.

– Mową Angielczyków – zaryzykował – władasz, nie wątpię, równie dobrze.

– *Ywis* – odparł bez zająknienia olbrzym. – *Herkneth, this is the point, to speken short and plain. That ye han said is right enough. Namore of this*, dość tego. Bo gdybym nawet mówił wszystkimi językami ludzi i aniołów, byłbym tu jak cymbał brzmiący. Miast tedy popisywać się elokwencją, przejdźmy do rzeczy, bo czas nagli. Nie szedłem w ślad za wami dla rozrywki, lecz wiedziony trudną koniecznością.

– Doprawdy? A w czym to zasadza się, jeśli można wiedzieć, owa *dira necessitas*?

– Przyjrzyjcie mi się uważnie i odpowiedzcie z ręką na sercu – chcielibyście tak wyglądać?

– Nie chcielibyśmy – odpowiedział rozbrajająco szczerze Szarlej. – Pod niewłaściwym jednak adresem zanosisz pretensje, kumotrze. Twój

wygląd zawdzięczasz bezpośrednio twym tacie i mamie. Pośrednio zaś Stwórcy, choć wiele zdaje się temu przeczyć.

– Mój wygląd – Samson całkowicie zlekceważył drwinę – zawdzięczam wam. Waszym idiotycznym egzorcyzmom. Narozrabialiście, chłopaki, i to zdrowo. Czas spojrzeć prawdzie w oczy i zacząć medytować, w jaki sposób skorygować to, coście uczynili. A godziłoby się pomyśleć i o zadośćuczynieniu dla tego, komuście narobili kłopotów.

– Nie mam pojęcia, o czym gadasz – stwierdził Szarlej. – Mówisz, przyjacielu, wieloma językami ludzi i aniołów, ale wszystkimi niezrozumiale. Powtarzam: nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Przysięgam na wszystko, co mi drogie, to znaczy: na mą kuśkę starą. *Je jure ça sur mon coullon.*

– Tyle elokwencji, tyle swady – skomentował waligóra. – A pomyślunku za grosz. Naprawdę nie pojmujesz tego, co się stało w wyniku waszych cholernych zaklęć?

– Ja... – wykrztusił Reynevan. – Ja pojmuję... Podczas egzorcyzmów... Coś zaszło.

– No proszę – olbrzym spojrzał na niego – jak triumfują młodość i studia uniwersyteckie, zważywszy kolokwializmy, prawdopodobnie Praga. Tak, tak, młodzieńcze. Inkantacje i zaklęcia mogą mieć skutki uboczne. Powiada Pismo: modlitwa pokornego przeniknie obłoki. Przeniknęła.

– Nasze egzorcyzmy... – szepnął Reynevan. – Czułem to. Czułem nagły przypływ Mocy. Ale czy to możliwe, aby... Czy to możliwe...

– *Certes.*

– Nie bądź dzieckiem, Reinmarze, nie daj się podejść – rzekł spokojnie Szarlej. – Nie daj mu się omamić. On drwi sobie z nas. Udaje. Pozuje na przypadkowo wywołanego mocą naszych egzorcyzmów diabła. Demona, przyzwanego z zaświatów i przesadzonego w cielesną powłokę Samsona Miodojadka, klasztornego idioty. Udaje inkluza, którego nasze zaklęcia wyzwoliły z klejnotu, dżinna, uwolnionego z dzbana. Czego zapomniałem wymienić, przybyszu? Czym jesteś? Kim jesteś? Powracającym z Avalonu królem Arturem? Ogierem Duńczykiem? Barbarossą przybywającym z Kyffhausenu? Żydem Wiecznym Tułaczem?

– Dlaczego zamilkłeś? – Samson skrzyżował potężne przedramiona na piersi. – Wszakże ty, w niezmierzonej swej mądrości, wiesz, kim jestem.

– *Certes* – Szarlej zrewanżował się akcentem. – Wiem. Ale to ty, bratku, podszedłeś do naszego biwaku, a nie odwrotnie. Dlatego to tobie wypada się przedstawić. Nie czekając, aż cię zdemaskują.

– Szarleju – wtrącił dość poważnie Reynevan. – On chyba mówi prawdę. Wywołaliśmy go za pomocą naszych egzorcyzmów. Dlaczego nie zauważasz tego, co oczywiste? Dlaczego nie widzisz tego, co widzialne? Dlaczego...

– Dlatego – przerwał demeryt – że w przeciwieństwie do ciebie nie jestem naiwniakiem. I doskonale wiem, kim on jest, skąd się wziął u benedyktynów i czego chce od nas.

– Kim więc jestem? – uśmiechnął się olbrzym uśmiechem wcale nie głupawym. – Zdradź mi to, proszę. Pilnie. Nim spłonę z ciekawości.

– Jesteś poszukiwanym zbiegiem, Samsonie Miodku. Uciekinierem. Zważywszy kolokwializmy, prawdopodobnie zbiegłym księdzem. W klasztorze ukrywałeś się przed pościgiem, udając półgłówka, w czym, bez urazy, wydatnie pomogła ci aparycja. Półgłówkiem ewidentnie nie będąc, momentalnie poznałeś się na nas... a raczej na mnie. Nie nadstawiałeś tu uszu nadaremno. Chcesz zbiec na Węgry, a wiedziałeś, że w pojedynkę będzie trudno. Nasza kompania, kompania ludzi sprytnych i bywałych, to dla ciebie dar niebios. Pragniesz się przyłączyć. Mylę się?

– Tak, i to grubo. I w zasadzie w każdym szczególe. Poza jednym: faktycznie na tobie od razu się poznałem.

– Aha – Szarlej wstał również. – Ja się więc mylę, a ty mówisz prawdę. Dalej więc, dokaż jej. Jesteś istotą nadprzyrodzoną, mieszkańcem zaświatów, skąd niechcący cię wyciągnęliśmy egzorcyzmami. Zademonstruj zatem swą moc. Niech zatrzęsie się ziemia. Niechaj zagrzmią grzmoty i rozbłysną błyskawice. Niech zaszłe właśnie słońce znowu wzejdzie. Niechaj żaby w bagnisku, miast kumkać i żegotać, zaśpiewają chórem *Lauda Sion Salvatorem*.

– Nie zdołam tego sprawić. A nawet gdybym zdołał, uwierzyłbyś mi?

– Nie – przyznał Szarlej. – Z natury nie jestem łatwowierny. A do tego mówi Pismo: nie dowierzajcie każdemu duchowi. Gdyż wielu fałszywych proroków pojawiło się na świecie. Krótko: kłamca na kłamcy i kłamcą pogania.

– Nie lubię – odrzekł waligóra, łagodnie i spokojnie – gdy nazywa się mnie kłamcą.

– Och, doprawdy? – demeryt opuścił ręce, lekko pochylił się do przodu. – I co wtedy czynisz? Ja, dla przykładu, nie lubię, gdy ktoś łże w żywe oczy. Do tego stopnia, że zdarza mi się nawet złamać łgarzowi nos.

– Nie próbuj.

Choć Szarlej był od Samsona o więcej niż głowę niższy, Reynevan nie miał wątpliwości, co zajdzie. Widział to już. Kopniak w goleń, tuż pod kolano, padający na klęczki dostaje z góry w nos, kość pęka z chrupnięciem, krew bryzga na ubranie. Reynevan był do tego stopnia pewien scenariusza, że zdziwienie jego nie miało granic.

Jeżeli Szarlej był szybki jak kobra, to wielki Samson był jak pyton, poruszał się z zaskakującą zwinnością. Błyskawicznym kontrkopniakiem sparował kopniak, zręcznie zablokował przedramieniem cios pięści. I odskoczył. Szarlej odskoczył również, błyskając zębami spod górnej wargi. Reynevan, sam nie wiedząc, dlaczego to czyni, wpadł pomiędzy nich.

– Pokój! – rozpostarł ręce. – *Pax!* Panowie! Nie wstyd wam? Zachowujcież się jak ludzie cywilizowani!

– Bijesz się... – Szarlej wyprostował postać. – Bijesz się jak dominikanin. Ale to tylko potwierdza moją teorię. A łgarzy nie lubię nadal.

– On – rzekł Reynevan – może mówić prawdę, Szarleju.

– Doprawdy?

– Doprawdy. Takie przypadki już bywały. Istnieją byty równoległe, niewidzialne... Światy astralne... Można się z nimi komunikować, były też... Hmmm... Przypadki odwiedzin.

– O czym ty bajdurzysz, nadziejo mężatek?

– Nie bajdurzę. Wykładano o tym w Pradze! Wspomina o tym *Zohar*, pisze o tym w *De universo* Raban Maur. Istnienia paralelnego świata duchowego dowodzi też Duns Scotus. Według Dunsa Scotusa, *materia prima* może istnieć bez fizycznego kształtu. Ciało ludzkie nieuduchowione to wyłącznie *forma corporeitatis*, kształt niedoskonały, który...

– Przestań, Reinmarze – przerwał niecierpliwym gestem Szarlej. – Pohamuj ferwor. Tracisz słuchaczy. Przynajmniej jednego. Odchodzę bowiem, by przed snem wypróżnić się pośród gąszcza. Będzie to,

nawiasem, czynność stokroć bardziej płodna niż ta, na którą tracimy tu czas.

– Poszedł się wypróżnić – skomentował po chwili wielkolud. – Duns Scotus w grobie się przewraca, podobnie jak Raban Maur i Mojżesz z Leonu wraz z resztą kabalistów. Jeśli takie autorytety go nie przekonują, jakie szanse mam ja?

– Marne – przyznał Reynevan. – Bo po prawdzie moich wątpliwości też nie udało ci się rozwiać. I mało robisz w tym kierunku. Kim jesteś? Skąd tu przybyłeś?

– Tego, kim jestem – odpowiedział spokojnie waligóra – nie pojmiesz. Ani tego, skąd przybyłem. Tego zaś, jak się znalazłem akurat tutaj, sam do końca nie pojmuję. Jak mówi poeta: Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierżawy.

Io non so ben ridir com'i' v'intrai,
tant'era pien di sonno a quel punto
che la verace via abbandonai.

– Jak na przybysza z zaświatów – pokonał zdumienie Reynevan – nieźle znasz języki ludzi. I poezję Dantego.

– Jestem... – rzekł Samson po chwili milczenia. – Jestem wędrowcem, Reinmarze. A Wędrowcy wiedzą wiele. To się nazywa: mądrość przebytych dróg, odwiedzonych miejsc. Więcej powiedzieć ci nie mogę. Powiem ci natomiast, kto ponosi winę za śmierć twego brata.

– Co? Ty coś wiesz? Mów!

– Nie teraz, muszę rzecz jeszcze przemyśleć. Słuchałem twej opowieści. I mam pewne podejrzenia.

– Mówże, na Boga!

– Tajemnica śmierci twego brata tkwi w owym nadpalonym dokumencie, tym, który wyciągnąłeś z ognia. Postaraj się przypomnieć sobie, co tam było, fragmenty zdań, słowa, litery, cokolwiek. Odcyfruj dokument, a ja wskażę ci winnego. Potraktuj to jako przysługę.

– A dlaczego to wyświadczasz mi przysługi? I czego oczekujesz w zamian?

– Byś się odwdzięczył. Wpływając na Szarleja.

– W jakim względzie?

– Aby odwrócić to, co się stało, abym mógł powrócić do mojej własnej postaci i mojego własnego świata, trzeba powtórzyć, w miarę

dokładnie, cały egzorcyzm. Całą procedurę...

Przerwało im dobiegające z zarośli dzikie wycie wilka. I makabryczny wrzask demeryta.

Obaj natychmiast rzucili się biegiem, mimo swej tuszy Samson nie dał się wiele wyprzedzić. Wpadli w mroczny gąszcz, kierując się krzykiem i trzaskiem łamanych gałęzi. A potem zobaczyli.

Szarlej zmagał się z potworem.

Ogromny, człekopodobny, ale porośnięty czarną sierścią dziwostwór musiał zaatakować niespodziewanie, od tyłu, od razu chwytając Szarleja w straszliwy nelson kosmatych i szponiastych łap. Mając kark przygięty tak, że podbródek wbijał się w pierś, demeryt nie krzyczał już, charczał tylko, usiłując odsunąć głowę z zasięgu zębatej i ociekającej śliną paszczęki. Walczył, ale bezkutecznie – monstrum trzymało go chwytem modliszki, skutecznie unieruchamiając jedno ramię i mocno ograniczając drugie. Mimo tego Szarlej zwijał się jak łasica i na oślep tłukł łokciem w wilczy pysk, próbował też wierzgać i zadawać kopniaki, ale próby te udaremniały opuszczone poniżej kolan spodnie.

Reynevan stał jak słup, sparaliżowany grozą i niezdecydowaniem. Natomiast Samson ruszył do boju bez wahania.

Olbrzym, jak się ponownie okazało, umiał poruszać się z szybkością pytona i gracją tygrysa. W trzech skokach był przy walczących, precyzyjnie, acz potężnie zdzielił potwora kułakiem prosto w wilczą mordę, zaskoczonego ucapił za kosmate uszy, oderwał od Szarleja, zakręcił, zakręconego kopnął, posyłając na pień sosny, w który stwór wyrżnął łbem z głuchym stukiem, tak że aż sypnęło się igliwie. Od podobnego uderzenia czaszka człowieka pękłaby jak jaje, ale wilkołek zerwał się natychmiast, zawył wilczo i rzucił na Samsona. Nie atakował, jak należało oczekiwać, otwartą paszczą i kłami, lecz zasypał olbrzyma gradem błyskawicznych, umykających oku ciosów i kopniaków. Samson parował i odbijał wszystkie, niewiarygodnie wręcz przy swej staturze szybki i zwrotny.

– Bije się... – wystękał Szarlej, którego Reynevan próbował podnieść. – Bije się... jak dominikanin.

Odbiwszy serię ciosów i wypatrzywszy stosowny moment, Samson przeszedł do kontrataku. Wilkołek zawył, trafiony prosto w nos, zakolebał się, kopnięty w kolano, uderzony w pierś poleciał na pień sosny. Stuknęło głucho, ale i tym razem czerep wytrzymał. Potwór

zaryczał i skoczył, pochyliwszy łeb jak szarżujący byk, zamierzając obalić olbrzyma samym rozpędem. Próba nie powiodła się, Samson ani drgnął pod naporem, oplótł wilkołka ramionami, stali tak, iście Tezeusz i Minotaur, stękając, pchając się i orząc stopami ściółkę. Wreszcie przemógł Samson. Odrzucił potwora i zdzielił go pięścią – a jego pięść była jak taran. Stuknęło głucho – bo sosna nadal stała tam, gdzie wprzódy. Teraz Samson nie dał potworowi czasu na atak. Doskoczył, wymierzając kilka potężnych, precyzyjnych ciosów, po których wilkołek znalazł się na czworakach. A Samson znalazł się z tyłu za nim. Zad stwora, nieowłosiony i czerwony, stanowił wyborny cel, nie można było chybić, a buty nosił Samson ciężkie. Kopnięty wilkołek zakwiczał i poleciał, już po raz czwarty waląc łbem w pień nieszczęsnej sosny. Samson pozwolił mu się unieść tylko na tyle, by zad znowu utworzył cel. I kopnął raz jeszcze, wkładając w kopniak jeszcze więcej impetu. Wilkołek skoziołkował z pochyłości, z pluskiem wpadł do rzeczki, wydarł z niej jak jeleń, przechlupotał przez bagnisko, z trzaskiem przedarł się przez łozę i zemknął w bór. Zawył tylko raz, z oddali. Żałośnie raczej.

Szarlej wstał. Był blady. Trzęsły mu się ręce i dygotały łydki. Ale opanował się szybko. Klął tylko cicho, trąc i masując kark.

Zbliżył się Samson.

– Cały jesteś? – spytał. – Nienaruszony?

– Podstępem mnie skurwysyn wziął – usprawiedliwił się demeryt. – Od tylca zaszedł... Żeber mi ciut nadwyrężył... Ale i tak dałbym mu radę. Gdyby nie te spodnie... Poradziłbym sobie...

Zreflektował się pod znaczącymi spojrzeniami.

– Kiepsko ze mną było – przyznał. – Karku mało mi nie złamał... Dzięki za pomoc, kumotrze. Uratowałeś mnie. Mogłem, co tu gadać, jak nic stracić życie.

– Życie jak życie – przerwał Samson – ale tyłka całego byś nie uniósł. Tu tego lykantropa znają, cała okolica go zna. Jako człowiek też miał upodobania do perwersji, w wilczej postaci mu to zostało. Teraz czyha na takich, co ściągną spodnie i odsłonią słabiznę. Zwykł, paskudnik, od tyłu capnąć, unieruchomić... A potem... Sam rozumiesz.

Szarlej rozumiał niezawodnie, bo wzdrygnął się zauważalnie. A potem uśmiechnął i wyciągnął do olbrzyma prawicę.

•

Miesiąc w pełni świecił urocznie, płynąca dnem kotlinki rzeczka lśniła w jego blasku jak merkuriusz w tyglu alchemika. Ognisko strzelało płomieniami, sypało iskrami, potrzaskiwały polana i smolne gałęzie.

Szarlej nie uronił ni jednej drwiny, ni jednego słowa dezaprobaty – ograniczył się do kręcenia głową i paru westchnień, którymi kilka razy unaocznił swą rezerwę dla przedsięwzięcia. Ale udziału w przedsięwzięciu nie odmówił. Reynevan wziął udział z entuzjazmem. I optymizmem. Przedwczesnym.

Na prośbę dziwnego olbrzyma powtórzyli cały rytuał egzorcyzmu od benedyktynów, według Samsona nie było bowiem wykluczone, że tym sposobem dojdzie do ponownej przesiadki, to znaczy: on wróci do swego bytu, a klasztorny kretyn z powrotem do swego wielkiego ciała. Powtórzyli więc egzorcyzm, starając się nie pomijać niczego. Ani cytatów z Ewangelii, ani z modlitwy do Michała Archanioła, ani z *Picatrixa*, przełożonego przez uczonego króla Leonu i Kastylii. Ani z Izydora z Sewilli, ani z Cezarego z Heisterbachu. Ani z Rabana Maura, ani z Michała Psellosa.

Nie zapomnieli o powtórzeniu zaklinań – tych na Acharona, Eheya i Homusa, i tych na Phalega, Oga, Pophiela i straszliwego Semaphora. Spróbowali wszystkiego, nie pomijając ani „jobsa, hopsa", ani „hax, pax, max", ani „hau-hau-hau". Reynevan z ogromnym wysiłkiem przypomniał sobie nawet i powtórzył arabskie – czy też pseudoarabskie – sentencje zaczerpnięte z Averroesa, Avicenny i Abu Bekra Mohameda ibn Zakariaha al-Râziego, znanego w świecie zachodnim jako Razes.

Wszystko na nic.

Nie dało się odczuć żadnego drgnięcia i poruszenia Mocy. Nic się nie stało i nic nie zaszło, jeśli nie liczyć dobiegających z lasu skrzeków ptaków i parskania koni, spłoszonych wrzaskami egzorcystów. W szczególności, dziwny przybysz w dalszym ciągu był Samsonem, waligórą od benedyktynów. Jeśli nawet przyjąć, że względem niewidzialnych światów, paralelnych bytów i kosmosów nie mylili się Duns Scotus, Raban Maur oraz Mojżesz z Leonu wraz z resztą kabalistów, do ponownej przesiadki doprowadzić się nie udało. O dziwo, najmniej rozczarowanym wydawał się najbardziej zainteresowany.

– Potwierdza się – mówił – teza, że w zaklęciach magicznych znaczenie słów i w ogóle dźwięków jest znikome. Decydująca jest predyspozycja duchowa, determinacja, wysiłek woli. Wydaje mi się...

Urwał, jak gdyby czekał na pytania albo komentarz. Nie doczekał się.

– Nie mam innego wyjścia – dokończył – jak się was trzymać. Będę musiał wam towarzyszyć. Licząc, że kiedyś powtórzy się to, co któremuś z was – lub obu wam – udało się przypadkowo osiągnąć w klasztornej kaplicy.

Reynevan niespokojnie spojrzał na Szarleja, ale demeryt milczał. Milczał długo, poprawiając okład z liści babki, który Reynevan przyłożył mu na podrapany i pokąsany kark.

– Cóż – powiedział wreszcie – jestem twym dłużnikiem. Pomijając wątpliwości, których rozwiać, kumotrze, nie do końca ci się powiodło, jeśli chcesz nam towarzyszyć w wędrówce, nie oponuję. Kim jesteś, pal diabli. Ale umiałeś udowodnić, że w drodze bardziej się przydasz, niż zawadzisz.

Waligóra ukłonił się w milczeniu.

– Powinno nam się więc – podjął demeryt – dobrze i wesoło wspólnie wędrować. Jeśli naturalnie zechcesz powstrzymywać się od nadmiernej ostentacji w publicznym głoszeniu tez o twoim pozaświatowym pochodzeniu. Winieneś – wybacz szczerość – raczej powstrzymywać się od głoszenia czegokolwiek. Twoje wypowiedzi bardzo konfundująco kłócą się bowiem z twoim wyglądem.

Olbrzym ukłonił się ponownie.

– Kim naprawdę jesteś, powtarzam, w sumie mi obojętne, spowiedzi ani wyznań nie oczekuję i nie domagam się ich. Ale chciałbym wiedzieć, jakim imieniem cię zwać.

– Dlaczego – zacytował z cicha Reynevan, przypominając sobie trzy leśne wiedźmy i ich wieszczbę – pytasz się o moje imię: ono jest tajemnicze.

– Zaiste – uśmiechnął się olbrzym. – *Nomen meum, quod est mirabile...* Zbieżność ciekawa i w sposób oczywisty nieprzypadkowa. Wszakże to Księga Sędziów. Słowa odpowiedzi, jaką otrzymał na swe pytanie Manoach... Ojciec Samsona. Zostańmy więc przy Samsonie, wszak to imię dobre jak każde inne. A nazwisko, cóż, nazwisko wszak mogę zawdzięczać twej właśnie, Szarleju, inwencji i fantazji... Choć wyznam, że mdli mnie na samą myśl o miodzie... Ilekroć sobie

przypomnę to przebudzenie, tam, w kaplicy, z lepkim naczyniem w ręce... Ale przyjmuję. Samson Miodek, do usług.

Rozdział czternasty

który opisuje wydarzenia, dziejące się tego samego wieczora co w rozdziale poprzednim, lecz w innym miejscu: dużym mieście, odległym o około osiem mil – lotem wrony – w kierunku północno-wschodnim. Rzut oka na mapę Śląska, do którego autor gorąco czytelnika zachęca, wyjaśni, o jakie miasto chodzi.

Siadający na dzwonnicy kościoła pomurnik spłoszył gawrony; czarne ptaszyska zerwały się, krocząc donośnie, poszybowały w dół, na dachy kamienic, wirując jak niesione z pożaru płaty sadzy. Gawrony miały przewagę liczebną i niełatwo dawały się wyganiać z wież. Nigdy nie skapitulowałyby przed zwykłym pomurnikiem. Ale to nie był zwykły pomurnik, gawrony poznały to od razu.

Silny wiatr dął nad Wrocławiem, gnał ciemne chmury od strony Ślęży, marszczyła się pod podmuchami szarosina woda Odry, kołysały gałęziami wierzby na Wyspie Słodowej, falowały trzcinowiska między starorzeczami. Pomurnik rozpostarł skrzydła, skrzekliwie rzucił wyzwanie krążącym nad dachami gawronom, wzbił się w powietrze, okrążył wieżę, siadł na gzymsie. Przecisnąwszy się przez maswerki okna, runął w ciemną otchłań dzwonnicy, poleciał w dół, kręcąc karkołomną spiralę wzdłuż drewnianych schodów. Wylądował, siadł, bijąc skrzydłami i strosząc pióra, na posadzce nawy, prawie natychmiast zmienił postać, przeobrażając się w czarnowłosego i czarno odzianego mężczyznę.

Od strony ołtarza nadchodził, stukając sandałami i mrucząc do siebie, ostiariusz, staruszek o bladej pergaminowej cerze. Pomurnik wyprostował się dumnie. Ostiariusz na jego widok zbladł jeszcze bardziej, przeżegnał się, nisko pochylił głowę i szybko wycofał ku zakrystii. Postukiwanie jego sandałów zaalarmowało jednak tego, z kim Pomurnik chciał się spotkać. Spod kryjącej kaplicę arkady bezszelestnie wyłonił się wysoki mężczyzna z krótką szpiczastą brodą, owinięty w płaszcz ze znakiem czerwonego krzyża i gwiazdy. Wrocławski kościół świętego Macieja należał do szpitalników *cum Cruce et Stella*, ich hospicjum znajdowało się tuż przy kościele.

– *Adsumus* – pozdrowił półgłosem Pomurnik.

– *Adsumus* – odrzekł cicho Krzyżak z Gwiazdą, składając dłonie. – W imieniu Pana.

– W imieniu Pana – Pomurnik w sposób odruchowo ptasi poruszył głową i ramionami. – W imieniu Pana, bracie. Jak się mają sprawy?

– Jesteśmy stale w pogotowiu – szpitalnik nadal mówił cicho. – Ludzie wciąż przychodzą. Notujemy pilnie wszystko, o czym donoszą.

– Inkwizycja?

– Niczego nie podejrzewa. Otworzyli nowe własne punkty donosicielskie, w czterech kościołach: w Wojciechu, Wincentym, Łazarzu i Pannie Marii na Piasku, nie połapią się, że dodatkowo działa nasz. W te same dni i pory, we wtorki, czwartki i niedziele, od godziny...

– Wiem, kiedy – przerwał obcesowo Pomurnik. – Przybywam właśnie na stosowny czas. Wskaż mi konfesjonał, bracie. Posiedzę, posłucham, dowiem się, co nurtuje społeczeństwo.

Nie minęły trzy pacierze, gdy przed kratką klęknął pierwszy klient.

●

– ...nie ma dla zwierzchności poszanowania brat Tytus, nikogo nie uszanuje... Raz, Boże odpuść, nawrzeszczał na samego przeora, że nietrzeźwy mszę odprawia, a przecie maleńkość jeno przeor wtedy wypił, no bo co to jest, kwarta na trzech. A brat Tytus bez szacunku nijakiego... Tedy kazał przeor baczniej mu się przyglądać... I cichcem mu, Boże odpuść, celę zrewidować... I pokazały się księgi i broszury, pod łóżkiem schowane. Uwierzyć trudno... *Trialogus* Wiklefa... *De ecclesia* Husa... Pisma lollardów i waldensów... Do tego zaś *Postilla apocalypsim*, które spisał Petrus Olivi, ów heretyk wyklęty, apostoł begardów i joachimitów, kto to ma i czyta, ten niechybnie sam begard utajony. A że nakazała zwierzchność na begardów donosić... Tedy donoszę... Boże odpuść...

●

– Uniżenie donoszę, jako Gaston de Vaudenay, trubadur, co się w łaski księcia na Głogowie wcisnął, jest moczymorda, kurewnik, furfant, kacerz i bezbożnik. Wierszami swymi nędznymi najniższym gustom gawiedzi schlebia, nie wiada zaiste, co w nim widzą, czemu prymitywne jego rymy nad moje... chciałem rzec, nad rodzime przedkładają. Wierę,

godziłoby się precz przybłędę wygnać, niechże wraca do swej Prowansji, nam tu kulturowo obce wzorce niepotrzebne!

●

– ...zataił, że ma brata za granicą, w Czechach. A było co taić, boć brat jego, przed rokiem dziewiętnastym diakon u świętego Szczepana w Pradze, teraz też służy za księdza, ale na Taborze, u Prokopa, brodę nosi, nabożeństwa w szczerym polu, bez alby ni ornatu odprawia i komunii pod obiema postaciami udziela. Czy dobry katolik, pytam ja się, tai, iż ma takiego brata? Czy może, pytam ja się, dobry katolik w ogóle mieć takiego brata?

●

– ...i wołał, że prędzej proboszcz własne ucho obaczy, niż od niego dziesięcinę, i żeby mór na tych popów rozbestwionych i że husytów na nich trza i oby jak najrychlej z Czech przyszli. Tak wołał, klnę się na wszystkie relikwie. I to jeszcze powiem, że złodziej jest, kozę moją skradł... Gada, że nieprawda, że to jego koza, aleć ja swoją kozę poznam, bo to, uważacie, czarną plamkę ma na końcu ucha...

●

– Ja, jegomość, na Magdę skarżę... Na jątrewkę znaczy. Bo to zdzira bezwstydna... W nocy, gdy jej dziewierz na wyrku dosiada, to dyszy, jęczy, stęka, krzyczy, jak kocica miauczy. Żeby ino w nocy, gdzie tam, bywa i za dnia, przy robocie, gdy myśli, że nikt nie widzi... Rzuci motykę, pochyli się, ułapi płotu, a dziewierz ją, kieckę aż na plecy zadarłszy, jako ten cap chędoży... Tfu, sromota... A memu chłopu, baczę, oczy się świecą, aż się nieraz obliże... Tedy jej gadam, obyczajność miej, poćpiego jedna, czego cudzym mężom głowy kręcisz. A ona na to: wygódź chłopu, jak należy, to się nie będzie za innymi oglądał ani ucha nadstawiał, gdy inni wełnę gręplują. I rzekła jeszcze, że cicho się kochać nie myśli, bo jej przyjemno, a jak przyjemno, to jęczy a krzyczy. A że ksiądz w kościele kazał, że to grzech, taka przyjemność, tedy on, musi, durny albo zbiesił się, bo nie może być rozkosz grzechem, przecie to Pan Bóg tak rzeczy stworzył. Jakem to sąsiadce powtórzyła, rzekła mi owa, że taka gadka to nic, ino hyrezja, i żeby naskarżyć na zdzirę. No to i skarżę...

●

– ...gadał, że w kościele, pry, na ołtarzu to przecie nie może być ciało Chrystusowe żadną miarą, bo chociażby i był Jezus wielki jako ta, nie przymierzając, katedra, to by ciała nie starczyło na te wszytkie msze, już by to wszytko, pry, księża dawno sami zeżarli. Tak brechał, tymi właśnymi słowy, żebym tak zdechł, jeśli łżę, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż. A jak go już na stos powiodą i spalą, to uniżenie dopraszam się, aby te jego dwie morgi podle strumienia moje były... Toć mówią, że zasługi, pry, będą policzone...

●

– ...Dzierżka, wdowa po Zbylucie z Szarady, co się po śmierci małżonka odmieniła na „de Wirsing", stadninę po nieboszczyku przejęła i końmi handluje. Godzi się to, by białogłowa przemysłem i handlem się parała? Konkurencję nam... Znaczy, uczciwym katolikom, robiła? Dlaczego jej tak dobrze idzie, he? Gdy innym nie idzie? Bo czeskim husytom konie sprzedaje! Heretykom!

●

– ...dopiero co na sieneńskim soborze uchwalono, a królewskimi edyktami potwierdzono, że z husyckimi Czechami wszelki obchód zakazany jest, że kto by z husytami handlował, na majątku i ciele ma być karany. Nawet ten polski poganin Jagiełło infamią, banicją, utratą godności i przywilejów karze, kto by się z kacerzami znosił, ołów, broń, sól abo spyżę im przedawał. A u nas, na Śląsku? Drwią sobie z zakazów pyszni panowie kupcy. Mówią, że zarobek grunt, że jak zarobić, to choćby i z diabłem. Chcecie nazwisk? Oto one: Tomasz Gernrode z Nysy. Mikołaj Neumarkt ze Świdnicy. Hanusz Throst z Raciborza. Tenże Throst, dodam, bluźnił nadto na księży, że rozwiązli, świadków na to będzie wielu, bo miała rzecz miejsce we Wrocławiu mieście, w karczmie *Pod Głową Maura* na Placu Solnym, *vicesima prima Iulii*, w godzinach wieczornych. Aha, byłbym zabył, handluje jeszcze z Czechami niejaki Fabian Pfefferkorn z Niemodlina... A może on już nie żyje?

●

– ...powiada się: Urban Horn. Znają go, wichrzyciel to i podżegacz, kacerz pono i przechrzta. Waldens! Begard! Matka jego była beginka, spalili ją w Świdnicy, wcześniej na mękach do ohydnych się przyznała praktyk. Było jej Roth, Małgorzata Roth. Tego ci Horna, alias Rotha, w Strzelinie na własne oczy widziałem. Do buntów nawoływał, z papieża sobie dworował. Włóczył się za nim ów Reinmar de Bielau, pociotek jakiś Ottona Beessa, kanonika od Jana Chrzciciela. Wart jeden drugiego, same przechrzty i heretyki...

●

Zmierzchało już, gdy ostatni klient opuścił kościół świętego Macieja. Pomurnik wyszedł z konfesjonału, przeciągnął się, oddał brodatemu Krzyżakowi z Gwiazdą zapisane karty.

– Przeor Dobeneck – spytał – nie wydobrzał jeszcze?

– Nie wydobrzał – potwierdził szpitalnik. – Wciąż niemocą złożon. Praktycznie inkwizytorem *a Sede Apostolica* jest więc Grzegorz Hejncze. Też dominikanin.

Szpitalnik skrzywił lekko usta, jakby poczuł w nich coś niesmacznego. Pomurnik zauważył to. Szpitalnik zauważył, że Pomurnik zauważył.

– Młodzik, ten Hejncze – wyjaśnił z lekkim ociąganiem. – Formalista. Na wszystko żąda dowodów, nader rzadko każe na męki brać. Co i rusz podejrzanego znajdzie niewinnym i wypuści. Miękki jest.

– Widziałem pogorzeliska po stosach na podwalu za Świętym Wojciechem.

– Wszystkiego dwa stosy – wzruszył ramionami szpitalnik. – Za ostatnie trzy niedziele. Za czasów brata Schwenckefelda byłoby dwadzieścia. Prawda, że tylko patrzeć, jak będzie palony trzeci. Jego wielebność ułapił czarownika. Podobno ze szczętem zaprzedany diabłu. Właśnie poddawany jest bolesnemu śledztwu.

– U dominikanów?

– Na ratuszu.

– Hejncze jest przy tym?

– Wyjątkowo – uśmiechnął się brzydko Krzyżak – jest.

– Ten czarownik, co za jeden?

– Zachariasz Voigt, aptekarz.

– Na ratuszu, powiadasz, bracie?

– Na ratuszu.

•

Grzegorz Hejncze, w praktyce obecny *inquisitor a Sede Apostolica specialiter deputatus* na diecezję wrocławską, był faktycznie człowiekiem wyjątkowo młodym. Pomurnik nie dawał mu więcej niż trzydzieści lat – co oznaczało, że byli rówieśnikami. Gdy Pomurnik wszedł do ratuszowej piwnicy, inkwizytor właśnie się posilał. Wysoko podwinąwszy rękawy, ochoczo pałaszował wprost z garnka kaszę ze skwarkami. W świetle łuczyw i świec scena prezentowała się malowniczo i nastrojowo – żebrowane sklepienie, surowe ściany, dębowy stół, krucyfiks, świeczniki obrosłe festonami wosku, plama białego dominikańskiego habitu, kolorowa polewa glinianych naczyń, spódnica i zapaska usługującej dziewki – wszystko to komponowało się niczym na miniaturze z graduału, brakowało tylko iluminacji.

Nastrój psuły jednak i zakłócały przeszywające wrzaski i ryki bólu, w regularnych odstępach dobiegające z głębszego podziemia, zejście do którego, niczym wrota piekieł, czerwono rozświetlała migotliwa poświata ognia.

Pomurnik zatrzymał się przy schodach, czekał. Inkwizytor jadł. Nie spieszył się. Zjadł wszystko, do samego dna, wydrapał nawet łyżką to, co się przypaliło. Dopiero po tym uniósł głowę. Krzaczaste, groźnie zrośnięte brwi nad bystrymi oczyma dodawały mu powagi, sprawiały, że wydawał się starszy, niż był w istocie.

– Od biskupa Konrada, prawda? – rozpoznał. – Imć pan...

– Von Grellenort – przypomniał Pomurnik.

– Oczywiście – Grzegorz Hejncze powściągliwymi ruchami palców ponaglił dziewkę, by sprzątnęła ze stołu. – Birkart von Grellenort, biskupi zaufany i doradca. Siadajcie, proszę.

Torturowany zawył z podziemia, zakrzyczał dziko i nieartykułowanie. Pomurnik usiadł. Inkwizytor wytarł z podbródka resztki tłuszczu.

– Biskup – zaczął po chwili – opuścił, jak się zdaje, Wrocław? Wyjechał?

– Raczyła rzec wasza wielebność.

– Do Nysy pewnie? Odwiedzić panią Agnieszkę Salzwedel?

– Jego dostojność – Pomurnik nawet drgnięciem powieki nie zareagował na utrzymywane w głębokim sekrecie nazwisko najnowszej biskupiej miłośnicy. – Jego dostojność nie zwykł informować mnie o

takich detalach. Ja też ich nie dociekam. Kto wściubia nos w sprawy infułatów, ryzykuje jego utratę. A mnie mój nos miły.

– W to nie wątpię. Ale ja wszak nie sensację, lecz jeno zdrowie dostojnego mam na uwadze. Biskup Konrad nie jest przecie pierwszej młodości, unikać winien nadmiaru gorących turbacyj... A wszak ledwo tydzień minął, jak zaszczycał Ulrykę von Rhein. Do tego te wizyty u benedyktynek... Dziwicie się, panie rycerzu? Rzeczą inkwizytora jest wiedzieć.

Z podziemia rozległ się krzyk. Urwany, przechodzący w charkot.

– Rzeczą inkwizytora jest wiedzieć – powtórzył Grzegorz Hejncze. – Toteż wiem, że biskup Konrad podróżuje po Śląsku nie tylko po to, by odwiedzać mężatki, młode wdówki i mniszki. Biskup Konrad przygotowuje kolejny wypad na Broumovsko. Usiłuje nakłonić do współpracy Przemka Opawskiego i pana Albrechta von Kolditz. Uzyskać zbrojną pomoc pana Puty z Czastolovic, starosty kłodzkiego.

Pomurnik nie skomentował, nie spuścił oczu.

– Biskupowi Konradowi – ciągnął inkwizytor – zdaje się nie przeszkadzać, że całkiem co innego postanowił król Zygmunt i książęta Rzeszy. Że nie wolno powtarzać błędów poprzednich krucjat. Że trzeba postępować rozważnie i bez euforii. Że trzeba się przygotować. Zawrzeć sojusze i alianse, zebrać środki. Przeciągnąć na naszą stronę panów morawskich. A do tego czasu powstrzymać się od zbrojnych awantur.

– Jego dostojność biskup Konrad – przerwał milczenie Pomurnik – nie musi się oglądać na książąt Rzeszy, na Śląsku jest im bowiem równy... jeśli nie wyższy. Zaś dobry król Zygmunt zdaje się być zajęty... Jako przedmurze chrześcijaństwa zbrojnie zabawia się z Turkami nad Dunajem. Prosi się o nowy Nikopol. A może stara się zapomnieć inne baty, te, które trzy lata temu dostał od husytów pod Niemieckim Brodem, może usiłuje zapomnieć, jak stamtąd uciekał. Ale chyba wciąż jeszcze pamięta, bo mu coś do nowej czeskiej wyprawy nie spieszno. Na biskupa Konrada tedy, Bóg to widzi, spada obowiązek posiania postrachu wśród kacerzy. Wie wszak wasza wielebność: *si vis pacem, para bellum*.

– Wiem też – inkwizytor bez wysiłku wytrzymał spojrzenie – że *nemo sapiens, nisi patiens*. Ale zostawmy to. Miałem do biskupa spraw parę. Parę pytań. Ale skoro wyjechał... Trudna rada. Bo na to, że na te pytania odpowiecie wy, panie Grellenort, liczyć raczej nie mogę, prawda?

– To zależy od pytań, jakie wasza wielebność raczy zadać.

Inkwizytor milczał przez chwilę, wyglądało, że czeka, aż torturowany w podziemiu znowu zakrzyczy.

– Chodzi – przemówił, gdy wrzask przebrzmiał – o owe dziwne przypadki śmierci, zagadkowe zabójstwa... Pan Albrecht von Bart, zamordowany pod Strzelinem. Pan Piotr de Bielau, zabity gdzieś pod Henrykowem. Pan Czambor z Heissensteinu, zasztyletowany skrytobójczo w Sobótce. Kupiec Neumarkt, napadnięty i zabity na świdnickim gościńcu. Kupiec Fabian Pfefferkorn, zamordowany na samym progu niemodlińskiej kolegiaty. Dziwne, tajemnicze, zagadkowe zgony, niewyjaśnione morderstwa zdarzają się ostatnimi czasy na Śląsku. Nie mógł o tym biskup nie słyszeć. Ani wy.

– Coś tam, nie przeczę, obiło się nam o uszy – przyznał obojętnie Pomurnik. – Głów sobie jednak tym specjalnie nie zaprzątaliśmy, ni biskup, ni ja. Od kiedy to morderstwo jest takim ewenementem? Co i rusz ktoś kogoś zabija. Miast kochać bliźniego swego, ludzie się nienawidzą i gotowi za byle co posłać na tamten świat. Wrogów ma każdy, a motywów nigdy nie brakuje.

– Czytacie moje myśli – oświadczył równie obojętnie Hejncze. – I wyjmujecie mi słowa z ust. To samo dotyczy pozornie owych niewyjaśnionych zabójstw. Pozornie ni motywu nie brak, ni wroga, na którego szybko pada podejrzenie. Już to zatargi sąsiedzkie, już to zdrady małżeńskie, już to wróżdy rodowe, masz, sądziłbyś, winnych w zasięgu ręki, wszystko jasne. A przyjrzysz się sprawie uważniej... i nic nie jest jasne. I to właśnie jest w tych morderstwach ewenementem.

– Tylko to?

– Nie tylko. Dochodzi zaskakująca, niewiarygodna wręcz wprawa zbrodniarza... lub zbrodniarzy. We wszystkich przypadkach ataki następowały znienacka, były to iście gromy z jasnego nieba. Dosłownie z jasnego. Zabójstwa dokonywane były bowiem w południe. Niemal dokładnie w południe.

– Ciekawe.

– To właśnie miałem na myśli.

– Ciekawe – powtórzył Pomurnik – jest co innego. To, że nie rozpoznajecie słów psalmu. Nic nie mówi wam *sagitta volans in die*? Strzała godząca niby błyskawica, padający z jasnego nieba grot, który

niesie śmierć? Nic nie przypomina wam demon, co niszczy w południe? Dziwię się, zaiste.

– A więc demon. – Inkwizytor zbliżył złożone dłonie do warg, ale nie zdołał całkiem zasłonić sarkastycznego uśmiechu. – Demon grasuje po Śląsku i popełnia zbrodnie. Demon i demoniczna strzała, *sagitta volans in die*. No, no. Nie do wiary.

– *Haeresis est maxima, opera daemonum non credere* – odparował natychmiast Pomurnik. – Zali uchodzi, abym to ja, zwykły śmiertelnik, przypominał o tym papieskiemu inkwizytorowi?

– Nie uchodzi – wzrok inkwizytora stwardniał, w głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta. – Nijak nie uchodzi, panie von Grellenort. Nie przypominajcie mi już, proszę, o niczym więcej. Skoncentrujcie się raczej na odpowiadaniu na pytania.

Pełen boleści ryk z podziemia dość znacząco skontrapunktował wypowiedź. Ale Pomurnik nie drgnął nawet.

– Nie jestem – oświadczył chłodno – w stanie pomóc waszej wielebności. Choć, jak rzekłem, plotki o zabójstwach dotarły do mnie, nazwiska rzekomych ofiar nic mi nie mówią. Nigdy nie słyszałem o tych ludziach, wieści o ich losie są dla mnie nowiną. Nie wydaje mi się, by warto było pytać o nich jego dostojność biskupa. Odpowie to samo, co ja. I doda pytanie, którego ja zadać się nie ośmielę.

– Ależ ośmielcie się. Nic wam nie grozi.

– Biskup zapytałby: czym pomienieni, ów von Bielau, ów Pfefferkorn, ów, nie pamiętam, Czambor czy Bambor, zasłużyli na uwagę Świętego Oficjum?

– Biskup – odparł z miejsca Hejncze – otrzymałby odpowiedź. Święte Oficjum miało wobec pomienionych *suspicio de haeresi*. Podejrzenia o sympatie prohusyckie. O uleganie kacerskim wpływom. O kontakty z czeskimi odszczepieńcami.

– Ha. A to niegodziwcy. Jeśli więc zostali zabici, nie ma Inkwizycja powodów, by ich opłakiwać. Biskup, jak go znam, niezawodnie powiedziałby, że tylko się cieszyć. Że ktoś Oficjum wyręczył.

– Oficjum nie lubi, gdy się je wyręcza. Tak odpowiedziałbym biskupowi.

– Biskup zareplikowałby, że w takim razie Oficjum winno działać sprawniej i szybciej.

Z podziemi znowu doleciał wrzask – tym razem znacznie głośniejszy, przeraźliwszy, bardziej przeciągły i trwający dłużej. Wąskie usta Pomurnika skrzywiły się w parodii uśmiechu.

– Oho – wskazał ruchem głowy. – Czerwone żelazo. Przedtem było zwykłe *strappado* i kluby na palcach rąk i nóg. Prawda?

– To zatwardziały grzesznik – odrzekł niechętnie Hejncze. – *Haereticus pertinax...* Nie odbiegajmy jednak od tematu, rycerzu. Bądźcie łaskawi powtórzyć jego dostojności biskupowi Konradowi, że Święta Inkwizycja z rosnącym niezadowoleniem obserwuje, jak tajemniczo giną ludzie, na których są delacje. Ludzie podejrzani o herezję, o konszachty i spiskowanie z kacerzami. Ludzie ci giną, zanim Inkwizycja zdoła ich przesłuchać. Wygląda tak, jakby ktoś chciał zacierać ślady. A temu, kto zaciera ślady herezji, samemu trudno będzie przed zarzutem herezji się obronić.

– Powtórzę biskupowi słowo w słowo – uśmiechnął się drwiąco Pomurnik. – Ale wątpię, by się zląkł. Nie jest z tych strachliwych. Jak wszyscy Piastowie.

Po poprzednim wrzasku wydawało się, że torturowany głośniej i przeraźliwiej wrzasnąć już nie zdoła. Ale tylko się tak wydawało.

– Jeśli teraz nic nie wyzna – powiedział Pomurnik – to nie wyzna nigdy.

– Wygląda, że macie wprawę.

– Nie praktyczną, broń Boże. – Pomurnik uśmiechnął się paskudnie. – Czytywało się jednak praktyków. Bernarda Gui. Mikołaja Eymericha. I waszych wielkich śląskich poprzedników: Peregryna z Opola, Jana Schwenckefelda. Zwłaszcza tego ostatniego polecałbym uwadze waszej młodej wielebności.

– Rzeczywiście?

– Nie inaczej. Brat Jan Schwenckefeld bowiem cieszył się i radował, ilekroć jakaś tajemnicza ręka zakatrupiła łotra, kacerza czy kacerskiego poplecznika. Brat Jan dziękował w duchu owej tajemniczej ręce i odmawiał pacierz w jej intencji. Było zwyczajnie jednego łotra mniej, sam brat Jan miał dzięki temu więcej czasu na innych łotrów. Za słuszne i dobre uważał bowiem brat Jan, by grzesznicy żyli w trwodze. By, jak każe Księga Powtórzonego Prawa, drżał grzesznik dniem i nocą ze strachu, nie będąc pewnym życia. By rano myślał: któż sprawi, by nadszedł wieczór, a wieczorem: któż sprawi, by nadszedł poranek.

– Interesujące mówicie rzeczy, panie. Przemyślę je, bądźcie pewni.

– Twierdzicie – powiedział po chwili Pomurnik – a pogląd ten usankcjonowali już liczni papieże i doktorowie kościoła, że czarownicy i kacerze to jedna wielka sekta, działająca bynajmniej nie chaotycznie, lecz według wielkiego, wymyślonego przez samego Szatana planu. Twierdzicie z uporem, że herezja i *maleficium* to ta sama tajna, potężna liczebnie, zintegrowana, perfekcyjnie urządzona, kierowana przez diabła organizacja. Organizacja, która w ostrym i zaciętym boju konsekwentnie realizuje plan obalenia Boga i przejęcia władzy nad światem. Dlaczego więc aż tak zapalczywie odpychacie od siebie myśl, że w tym boju także druga wojująca strona... powołała do życia... swoją własną... tajną organizację? Dlaczego tak nie chce się wam w to wierzyć?

– Dlatego choćby – odrzekł spokojnie inkwizytor – że poglądu podobnego nie usankcjonował żaden z papieży ani doktorów kościoła. Dlatego, dodam, że Bóg nie potrzebuje żadnych tajnych organizacji, mając nas, Święte Oficjum. Dlatego, dodam jeszcze, że zbyt wielu widziałem pomyleńców, mających się za Boże narzędzia, działające w boskim posłannictwie i w imieniu Opatrzności. Zbyt wielu już widziałem takich, którzy słyszeli głosy.

– Pozazdrościć. Wieleście widzieli. Któżby przypuścił, patrząc na waszą młodą wielebność.

– Toteż – Grzegorz Hejncze nie przejął się drwiną – gdy wreszcie wpadnie mi w ręce owa *sagitta volans*, ów samozwańczy demon i Boże narzędzie... Skończy się nie męczeństwem bynajmniej, na które ów pewnie liczy, ale zamknięciem na trzy spusty w Narrenturmie. W Wieży Błaznów bowiem jest miejsce błazna i szaleńca.

Na schodach do podziemia, z którego już od dłuższego czasu nie dobiegały krzyki, zaszurały buty.

Wkrótce do sali wszedł chudy dominikanin. Zbliżył się do stołu, schylił w ukłonie, demonstrując upstrzoną brunatnymi plamami łysinę nad wąskim wianuszkiem tonsury.

– I jak? – spytał z wyraźną niechęcią Hejncze. – Bracie Arnulfie? Wyznał wreszcie?

– Wyznał.

– *Bene*. Bo już mnie to zaczynało nużyć.

Mnich uniósł oczy. Nie było w nich niechęci. Ani znużenia. Oczywistym było, że procedura w ratuszowym podziemiu nie znużyła go bynajmniej ani nie zdegustowała. Wręcz przeciwnie. Oczywistym było, że z chęcią zacząłby od nowa. Pomurnik uśmiechnął się do bratniej duszy. Dominikanin uśmiechu nie odwzajemnił.

– I cóż? – ponaglił inkwizytor.

– Zeznania są spisane. Powiedział wszystko. Poczynając od wezwania i wywołania demona, poprzez teurgię i konjurację do tetragramacji i demonomagii. Podał treść i obrządek podpisania cyrografu. Opisał osoby, które widywał podczas sabatów i czarnych mszy... Nie zdradził jednak, choć się staraliśmy, miejsca ukrycia magicznych ksiąg i grymuarów... No, ale zmusiliśmy go do podania nazwisk osób, dla których sporządził amulety, w tym i amulety zabójcze. Przyznał się też, że z diabelską pomocą, używając urim i thurim, zmusił do uległości i uwiódł dziewicę...

– O czym ty mi tu bajesz, braciszku – warknął Hejncze. – Co ty mi tu o demonach i dziewicach? Kontakty z Czechami! Nazwiska taboryckich szpiegów i emisariuszy! Skrzynki kontaktowe! Miejsca ukrycia broni i materiałów propagandowych! Nazwiska zwerbowanych! Nazwiska sympatyków husytyzmu!

– Z tych rzeczy – zająknął się mnich – nie wyznał niczego.

– Tedy – Hejncze wstał – jutro zabierzcie się za niego od nowa. Panie von Grellenort...

– Poświęćcie mi – Pomurnik oczami wskazał chudego zakonnika – jeszcze chwilkę.

Inkwizytor odprawił mnicha niecierpliwym gestem. Pomurnik czekał, aż wyjdzie.

– Chciałbym – powiedział – dowieść dobrej woli. Licząc, że zostanie to tajemnicą, w sprawie tych zagadkowych zabójstw chciałbym, jeśli wolno, doradzić waszej wielebności...

– Nie mówcie jeno, proszę – Hejncze, nie podnosząc wzroku, pukał palcami o stół. – Nie mówcie, że winni są Żydzi. Używający urim i thurim.

– Radziłbym pojmać... I dokładnie przesłuchać... Dwie osoby.

– Nazwiska.

– Urban Horn. Reinmar z Bielawy.

– Brat tego zamordowanego? – Grzegorz Hejncze zmarszczył się, ale trwało to tylko sekundę. – Ha. Bez komentarza, bez komentarza, panie Birkarcie. Bo znowu gotowiście wytknąć mi brak znajomości Pisma, tym razem historii o Kainie i Ablu. Tych dwóch zatem. Ręczycie mi słowem?

– Ręczę.

Przez chwilę mierzyli się kłującymi spojrzeniami. Znajdę obu, myślał inkwizytor. I to szybciej, niż przypuszczasz. Moja w tym głowa. A moja, myślał Pomurnik, w tym, byś nie znalazł ich żywymi.

– Żegnam, panie von Grellenort. Bóg z wami.

– Amen, wasza wielebność.

●

Aptekarz Zachariasz Voigt stękał i jęczał. W celi ratuszowego karceru rzucono go w kąt, w dołek, w którym zbierała się cała ściekająca z murów wilgoć. Słoma była tu zgniła i mokra. Aptekarz nie mógł jednak zmienić miejsca, nawet pozycję zmieniał nieznacznie i z ledwością – miał poprzetrącane łokcie, powyciągane stawy barkowe, połamane golenie, pogruchotane palce rąk, do tego rwące jątrzącym bólem oparzeliny na bokach i stopach. Leżał więc na wznak, stękał, jęczał, mrugał pokrytymi zakrzepłą krwią powiekami. I majaczył.

Wprost ze ściany, wprost z pokrytego liszajem pleśni muru, wprost, wydawało się, ze szczelin między cegłami wyszedł ptak. I natychmiast przeobraził się w czarnowłosego i czarno odzianego człowieka. To znaczy, w człekokształtną postać. Zachariasz Voigt wiedział bowiem dobrze, że to nie był człowiek.

– O panie mój... – zastękał, wijąc się na słomie. – O, książę ciemności... Mistrzu ukochany... Przybyłeś! Nie porzuciłeś w potrzebie wiernego twego sługi...

– Muszę cię rozczarować – powiedział czarnowłosy, schylając się nad nim. – Nie jestem diabłem. Ani wysłannikiem diabła. Diabeł losem jednostek przejmuje się mało.

Zachariasz Voigt otworzył usta jak do krzyku, ale zdołał tylko zaskrzeczeć. Czarnowłosy chwycił go za skronie.

– Miejsce ukrycia traktatów i grymuarów – powiedział. – Przykro mi, ale muszę je z ciebie wydobyć. Ty nie będziesz już miał z ksiąg żadnego pożytku. A mnie bardzo się przydadzą. Przy okazji ocalę cię od dalszych tortur i ognia stosu. Nie dziękuj.

– Jeśliś nie diabłem... – oczy tracącego władzę nad sobą czarownika rozwarły się w zgrozie. – Tedy przybywasz... Od tego drugiego? O Boże...

– Znowu cię rozczaruję – uśmiechnął się Pomurnik. – Ten losem jednostek przejmuje się jeszcze mniej.

Rozdział piętnasty

w którym okazuje się, że choć pojęcia „opłacalna sztuka” i „artystyczny geszeft” wcale nie muszą oznaczać *contradictio in adiecto*, to jednak w dziedzinie kultury nawet epokowe wynalazki nie tak łatwo znajdują sponsorów.

Jak każde większe miasto na Śląsku, Świdnica karą grzywny groziła każdemu, kto poważyłby się wyrzucać na ulicę śmieci bądź nieczystości. Nie wyglądało jednak na to, by zakaz ten egzekwowano przesadnie surowo, wręcz przeciwnie, widać było, że nikt nic sobie z tego zakazu nie robi. Krótka, acz obfita poranna ulewa podmoczyła uliczki grodu, a kopyta koni i wołów szybko zmiesiły je w gówniano-błotnisto-słomianą topiel. Z topieli, niczym zaklęte wyspy z oceanu, wyrastały stosy odpadków, bogato udekorowane przeróżnymi, niekiedy bardzo widowiskowymi egzemplarzami padliny. Po co gęstszym gnoju człapały gęsi, po co rzadszym pływały kaczki. Ludzie z trudem poruszali się po trotuarach z desek i dranic, co i rusz z nich spadając. Choć wilkierze magistratu groziły grzywną również za puszczanie samopas inwentarza, ulicami w obu kierunkach biegały kwiczące wieprze. Wieprze sprawiały wrażenie oszalałych, kłusowały na oślep na wzór swych biblijnych praszczurów z Gadary, potrącając pieszych i płosząc konie.

Minęli uliczkę Tkaczy, potem huczącą młotkami Bednarską, wreszcie Wysoką, za którą już był rynek. Reynevana korciło, by zajrzeć do pobliskiej a słynnej apteki „Pod Złotym Lindwurmem”, znał bowiem dobrze aptekarza, pana Krzysztofa Eschenloera, u którego studiował kiedyś podstawy alchemii i białej magii. Porzucił jednak zamiar, ostatnie trzy tygodnie sporo nauczyły go o zasadach konspiracji. Nadto Szarlej ponaglał. Nie zwolnił kroku nawet obok żadnej z piwnic, w których nalewano świdnickie marcowe, piwo o światowej renomie. Przeszli szybko – na ile pozwalał ścisk – targ warzywny w podcieniach na wprost ratusza, powędrowali ciasną od wozów uliczką Kraszewicką.

Weszli za Szarlejem pod niskie kamienne sklepienie, w ciemny tunel bramy, w której śmierdziało tak, jak gdyby już z dawien dawna szczały tu starożytne plemiona Ślężan i Dziadoszan. Z bramy wyszli na podwórze. Ciasna przestrzeń zagracona była wszelakim śmieciem i

złomem, a kotów było tu tyle, że nie powstydziłby się chram bogini Bastet w egipskim Bubastis.

Koniec podwórza otoczony był podkową krużganka, obok wiodących nań stromych schodów stała drewniana podobizna, nosząca nikłe i pochodzące sprzed wieków ślady farby i pozłotki.

– Jakiś święty?

– Łukasz Ewangelista – objaśnił Szarlej, wstępując na skrzypiące schody. – Patron artystów malarzy.

– A po co myśmy tu przyszli, do owych artystów malarzy?

– Po różny ekwipunek.

– Strata czasu – orzekł niecierpliwy i tęskniący do swej lubej Reynevan. – Tracimy czas! Jaki ekwipunek? Nie rozumiem...

– Dla ciebie – przerwał Szarlej – znajdziemy nowe onuce. Wierz mi, są ci pilnie potrzebne. A i my odetchniemy, gdy pozbędziesz się starych.

Wylegujące się na stopniach koty ustępowały niechętnie. Szarlej zakołatał, masywne drzwi otwarły się i stanął w nich niski, chuderlawy i rozczochrany jegomość z sinym nosem, w chałacie upstrzonym feerią różnobarwnych plam.

– Mistrz Justus Schottel jest nieobecny – oznajmił, śmiesznie mrużąc powieki. – Zajdźcie później, dobrzy... Dla Boga! Oczom nie wierzę! Czcigodny pan...

– Szarlej – uprzedził szybko demeryt. – Nie każcież mi stać na progu, panie Unger.

– A jakże, a jakże... Proszę, proszę...

Wewnątrz mocno pachniało farbą, lnianym olejem i żywicą, wrzała wytężona praca. Kilku młodzików w zatłuszczonych i uczernionych fartuchach uwijało się obok dwóch dziwacznych maszyn. Maszyny zaopatrzone były w kołowroty i przypominały prasy. I faktycznie były to prasy. Na oczach Reynevana spod przyciskanego drewnianą śrubą tłoczydła wyciągnięto kartę papieru, na której widniała Madonna z Dzieciątkiem.

– Ciekawe.

– Hę? – sinonosy pan Unger oderwał wzrok od Samsona Miodka. – Co powiadacie, młody panie?

– Że to ciekawe.

– To bardziej. – Szarlej uniósł arkusz wyjęty spod drugiej maszyny. Na arkuszu widniało kilka równo ułożonych prostokątów. Były to karty do

pikiety, asy, wyżniki i niżniki, nowoczesne, według wzoru francuskiego, w kolorach *pique* i *trèfle*.

– Pełną talię – pochwalił się Unger – znaczy, trzydzieści sześć kart, robimy w cztery dni.

– W Lipsku – odrzekł Szarlej – robią w dwa.

– Ale seryjną tandetę! – uniósł się honorem sinonosy. – Z byle jakich drzeworytów, byle jak malowane, krzywo cięte. Nasze, spójrzcie jeno, jak wyraźne w rysunku, gdy się pokoloruje, arcydzieło będzie. Tedy w nasze grają na zamkach i dworach, ba, w katedrach i kolegiatach, a w te lipskie ino łapserdaki rżną po szynkach i bordelach...

– Dobrze, dobrze. Ile bierzecie za talię?

– Półtorej kopy groszy, jeśli *loco* pracownia. Jeśli *franco* klient, dochodzi transport.

– Prowadźcie do indergmaszku, panie Szymonie. Tam na mistrza Schottela zaczekam.

W drugiej izbie, przez którą przechodzili, było ciszej i spokojniej. Przy sztalugach siedziało tu trzech artystów. Byli tak pochłonięci pracą, że nawet nie odwrócili głów.

Na desce pierwszego artysty był tylko grunt i szkic, nie dało się więc odgadnąć, co malowidło będzie wyobrażać. Dzieło drugiego malarza było znacznie bardziej zaawansowane, widniała na nim Salome z głową Jana Chrzciciela na tacy. Salome miała na sobie odzienie powłóczyste i zupełnie przejrzyste, artysta zadbał o to, by widoczne były szczegóły. Samson Miodek parsknął z cicha, Reynevan westchnął. Spojrzał na trzecią deskę. I westchnął jeszcze głośniej.

Obraz był zupełnie niemal gotowy i przedstawiał świętego Sebastiana. Sebastian z obrazu różnił się jednak dość zasadniczo od zwykłych wyobrażeń męczennika. Owszem, nadal stał u pala, nadal z natchnionym uśmiechem mimo licznych strzał wbitych w brzuch i tors efeba. I tu podobieństwa się kończyły. Ten Sebastian był bowiem całkowicie goły. Stał sobie z przyrodzeniem grubaśnym i zwisającym tak okazale, że widok ten każdego mężczyznę musiał przyprawić o zakłopotanie.

– Specjalne zamówienie – wyjaśnił Szymon Unger. – Dla klasztoru cysterek w Trzebnicy. Pozwólcie, panowie, do indergmaszku.

●

Od strony pobliskiej ulicy Kotlarskiej dolatywał dziki brzęk i łoskot.

– Ci – wskazał ruchem głowy Szarlej, od jakiegoś czasu zajęty pisaniem czegoś na karcie papieru. – Ci snadź mają sporo zamówień. Kręci się interes w kociołkowej branży. A jak u was, drogi panie Szymonie?

– Zastój – odrzekł dość ponuro Unger. – Zamówienia to i nie powiem, są. Ale co z tego? Kiedy nie ma jak towaru rozwozić. Ćwierci mili nie ujedziesz, a już cię zatrzymują, skąd, pry, dokąd, pytają, w jakiej sprawie, po sepetach i jukach grzebią...

– Kto? Inkwizycja? Czy Kolditz?

– Jedni i drudzy. Księża inkwizytorzy u dominikanów, o rzut burakiem stąd, rezydują. A w pana starostę Kolditza jakby diabeł wstąpił. A to wszystko przez to, że naraz złapali paru czeskich emisariuszy z kacerskimi pismami i manifestami. Ci, jak ich na ratuszu mistrz małodobry przypiekł, wyznali, z kim się znosili, kto im dopomagał. U nas, a takoż w Jaworze, w Rychbachu, po wsiach nawet, w Kleczkowie, we Wirach... Tylko tu, w Świdnicy, ośmiu na stosach spłonęło na błoniu przed Dolną Bramą. Ale prawdziwa bieda to się zaczęła tydzień temu, gdy w dniu Bartłomieja apostoła, w samo południe, na wrocławskim gościńcu, zamordował ktosik bogatego kupca, pana Mikołaja Neumarkta. Dziwna, oj dziwna to była sprawa...

– Dziwna? – zainteresował się nagle Reynevan. – Czemu?

– A bo to, młody panie, nikt wyrozumieć nie mógł, kto i dlaczego pana Neumarkta ubił. Jedni gadali, pry, rycerze rabusie, choćby taki Hayn von Czirne albo Buko Krossig. Drudzy zasię mówili, że to Kunz Aulock, też zbir nielichy. Aulock, gadają, jakiegoś junaka, wywołańca, po całym Śląsku goni, bo ów junak czyjąś żonę zhańbił gwałtem i czarostwem. Inni mówią, że to musowo ten właśnie ścigany junak ubił. Jeszcze inni gadali, że mordercami są husyci, którym się pan Neumarkt czymsiś naraził. Jak tam było naprawdę, nie zgadniesz, ale pan starosta Kolditz się wściekł. Klął się, że zabójcę pana Neumarkta, gdy go złapie, żywcem ze skóry obłupi. A skutek taki, że nijak towar rozwozić, bo cięgiem kontrolują, jedni albo drudzy, jak nie Inkwizycja, to starostowi... Tak, tak...

– Tak, tak.

Reynevan, który od dłuższego czasu zabawiał się bazgraniem węglem po karcie, poderwał nagle głowę, szturchnął łokciem Samsona Miodka.

– *Publicus super omnes* – powiedział cicho, pokazując mu kartę. – *Annis de sanctimonia. Positione hominis. Voluntas vitae.*

– Słucham?

– *Voluntas vitae*. A może *potestas vitae*? Staram się odtworzyć napis na nadpalonym papierze Peterlina. Na tym, który wyciągnąłem z ognia w Powojowicach. Zapomniałeś? Twierdziłeś, że to ważne. Miałem sobie przypomnieć, co tam było napisane. Więc sobie przypominam.

– Ach, prawda. Hmmm... *Potestas vitae?* Niestety. Z niczym mi się nie kojarzy.

– A mistrza Justusa – mówił do siebie Unger – jak nie ma, tak nie ma.

Jakby na wypowiedziane zaklęcie drzwi otwarły się i stanął w nich jegomość odziany w czarną, obszerną i podbitą futrem delię z bardzo szerokimi rękawami. Nie wyglądał na artystę. Wyglądał na burmistrza.

– Witaj, Justus.

– Na kości świętego Wolfganga! Pawle? To ty? Na swobodzie?

– Jak widzisz. A zwę się teraz Szarlejem.

– Szarlej, hmm... A twoi... Hmm... kompanioni?

– Oni też na swobodzie.

Mistrz Schottel pogłaskał kota, który, zjawiwszy się nie wiedzieć skąd, ocierał mu się o łydki. Potem siadł za stołem, splótł dłonie na brzuchu. Przyjrzał się bacznie Reynevanowi, długo, bardzo długo nie odrywał wzroku od Samsona Miodka.

– Przyjechałeś po pieniądze – odgadł wreszcie ponuro. – Muszę cię uprzedzić...

– Że interesy idą źle – uciął bezceremonialnie Szarlej. – Wiem. Słyszałem. Tu jest lista. Spisałem, znudzony czekaniem na ciebie. Wszystko, co na niej figuruje, muszę mieć jutro.

Kot wskoczył Schottelowi na kolana, drzeworytnik pogłaskał go w zamyśleniu. Czytał długo. Wreszcie podniósł wzrok.

– Pojutrze. Wszak jutro niedziela.

– Racja, zapomniałem – kiwnął głową Szarlej. – Cóż, uczcimy i my dzień święty. Nie wiem, kiedy ponownie do Świdnicy zawitam, grzechem więc byłoby paru chłodnych piwnic nie odwiedzić, nie sprawdzić, jak się tegoroczne marcowe udało. Ale pojutrze, *maestro*, to pojutrze. Poniedziałek, ni dnia dłużej. Pojmujesz?

Mistrz Schottel kiwnięciem zapewnił, że tak.

– Nie pytam cię – podjął po chwili Szarlej – o stan mojego rachunku, bo spółki rozwiązywać ani udziału wycofywać nie zamierzam. Upewnij mnie jednak, że o spółkę dbasz. Że nie lekceważysz danych ci niegdyś dobrych rad. Ani idei, które dla spółki mogą być intratne. Wiesz, o czym mówię?

– Wiem – Justus Schottel wygrzebał z kalety duży klucz. – I zaraz cię upewnię, że twe pomysły i rady biorę sobie do serca. Panie Szymonie, proszę wyjąć ze skrzyni i przynieść próbki ksylografów. Tych z serii biblijnej.

Unger sprawił się szybko.

– Proszę – Schottel rozrzucił arkusze na stole. – Wszystko moja własna ręka, nie dawałem uczniom. Niektóre gotowe pod tłocznię, nad niektórymi jeszcze pracuję. Wierzę, że twój pomysł był dobry. Że ludzie to kupią. Naszą serię biblijną. Proszę, proszę, oceń. Oceńcie, panowie.

Wszyscy pochylili się nad stołem.

– Co to... – Reynevan, czerwony, wskazał jeden z arkuszy, przedstawiający nagą parę w absolutnie niedwuznacznej pozycji i sytuacji. – Co to jest?

– Adam i Ewa. Przecież widać. To, o co Ewa się opiera, to wszak Drzewo Zakazane.

– Aha.

– Tutaj zaś, proszę spojrzeć – demonstrował dalej snycerz, pełen dumy ze swych dzieł – Mojżesz i Hagar. Tutaj Samson i Dalila. Tutaj Amnon i Tamar. Wcale ładnie mi się to udało, nieprawdaż? Tu zaś...

– Na mą duszę... Co to ma być? Ta plątanina?

– Jakub, Lea i Rachela.

– A to... – zająknął się Reynevan, czując, że krew lada moment tryśnie mu z jagód. – Co to... To...

– Dawid i Jonatan – wyjaśnił niefrasobliwie Justus Schottel. – Ale to muszę jeszcze poprawić. Przerobić...

– Przerób – przerwał dość zimno Szarlej – na Dawida i Batszebę. Bo brakuje tu, cholera, tylko Balaama i oślicy. Powściągnij nieco wyobraźnię, Justus. Jej nadmiar szkodzi, podobnie jak nadmiar soli w zupie. A to źle robi interesom.

– Generalnie jednak – dodał, by udobruchać obrażonego nieco artystę – *bene, bene, benissime, maestro*. Powiem krótko: lepiej, niż oczekiwałem.

Justus Schottel pojaśniał, jak każdy artysta próżny i łasy na pochwały.

– Widzisz więc, Szarleju, że gruszek w popiele nie zasypiam, że o firmę dbam. A to ci jeszcze powiem, żem bardzo ciekawe nawiązał kontakty, takie, które wielce korzystnymi dla spółki naszej mogą się okazać. Trzeba ci bowiem wiedzieć, żem „Pod wołem i jagnięciem" poznał niezwykłego młodego człowieka, zdolnego wynalazcę... Ach, po cóż opowiadać, sam zobaczysz i usłyszysz. Albowiem zaprosiłem go. Tylko go patrzeć. Zaręczam, gdy go poznasz...

– Nie poznam – przerwał Szarlej. – Nie chciałbym, by ów młody człowiek w ogóle mnie widział u ciebie. Ani mnie, ani moich towarzyszy.

– Rozumiem – zapewnił po chwili milczenia Schottel. – Znowu wdepnąłeś więc w jakieś gówno.

– Można to tak nazwać.

– Kryminalne czy polityczne?

– Zależy od punktu widzenia.

– Cóż – westchnął Schottel – takie czasy. Że nie chcesz, by cię tu widziano, rozumiem. W danym przypadku twe obiekcje są jednak nieuzasadnione. Młodzieniec, o którym mówię, to Niemiec, rodem z Moguncji, bakałarz uniwersytetu w Erfurcie. W Świdnicy jest przejazdem. Nikogo tu nie zna. I nie pozna, bo wkrótce wyjeżdża. Warto, Szarleju, warto się z nim zaznajomić, warto zastanowić się nad tym, co wynalazł. Niezwykły to, światły umysł, wizjoner, rzekłbym. Zaprawdę, *vir mirabilis*. Zobaczysz sam.

●

Głęboko i dźwięcznie rozległ się dzwon kościoła farnego, jego wezwanie do modlitwy na Anioł Pański podjęły dzwonnice wszystkich pozostałych czterech świdnickich świątyń. Dzwony ostatecznie zakończyły dzień pracy – zamilkły wreszcie nawet pracowite i hałaśliwe warsztaty z ulicy Kotlarskiej.

Już dawno poszli do domów również artyści i czeladnicy z pracowni mistrza Justusa Schottela, toteż gdy wreszcie zjawił się zapowiadany gość, ów wart poznania światły umysł i wizjoner, w izbie z tłoczniami powitali go tylko sam mistrz, Szymon Unger, Szarlej, Reynevan i Samson Miodek.

Gość był rzeczywiście człowiekiem młodym, rówieśnikiem Reynevana. Szkolarz wnet poznał też szkolarza – podczas powitania gość miał dla Reynevana ukłon nieco mniej formalny, a uśmiech nieco bardziej szczery.

Przybysz nosił wysokie kurdybanowe buty, miękki aksamitny beret i krótki płaszcz na skórzanym kubraku zapinanym na liczne mosiężne klamry. Na ramieniu niósł wielką podróżną torbę. W sumie wyglądał bardziej na truwera wagabundę niż na szkolarza – jedynym, co wskazywało na akademickie związki, był szeroki sztylet norymberski, broń popularna we wszystkich uczelniach Europy, tak wśród studentów, jak i pracowników naukowych.

– Jestem – zaczął przybysz, nie czekając, aż przedstawi go Schottel – bakałarzem akademii erfurckiej, zwę się Jan Gensfleisch von Sulgeloch zum Gutenberg. Wiem, że to trochę przydługie, dlatego zwykle skracam do samego Gutenberg. Jan Gutenberg.

– Chwali się – odrzekł Szarlej. – A że i ja jestem zwolennikiem skracania rzeczy niepotrzebnie długich, przejdźmy nie mieszkając do sedna. Czego dotyczy wasz wynalazek, panie Janie Gutenberg?

– Druku. Dokładniej, drukowania tekstów.

Szarlej od niechcenia przerzucił leżące na ławie ksylografy, wyjął i pokazał jeden, na którym pod symbolem Trójcy Świętej widniał napis: BENEDICITE POPULI DEO NOSTRO.

– Wiem... – poczerwieniał lekko Gutenberg. – Wiem, panie, co dajecie do zrozumienia. Raczcie aliści zauważyć, że celem umieszczenia tekstu na waszym ksylografie, celem sporządzenia tego napisu, niezbyt długiego, przyznacie, snycerz musiał żmudnie rżnąć w drewnie ze dwa dni. A gdyby się pomylił nawet w jednej literze, cała praca na nic, musiałby zaczynać od nowa. A gdyby przyszło mu sporządzić drzeworyt dla, weźmy, całego psalmu sześćdziesiątego piątego, jak długo musiałby pracować? A gdyby chciał wydrukować wszystkie psalmy? A całą Biblię? Jak długo...

– Wieczność, ani chybi – przerwał Szarlej. – Waszmości zaś wynalazek, jak mniemam, likwiduje minusy pracy w drewnie?

– W znacznej mierze.

– Ciekawym.

– Jeśli pozwolicie, zademonstruję.

– Pozwolę.

Jan Gensfleisch von Sulgeloch zum Gutenberg otworzył swą torbę, wysypał zawartość na stół. I jął demonstrować, opisując swe czynności słowami.

– Wykonałem – mówił i pokazywał – z twardego metalu klocki z poszczególnymi literami. Litery na klocku są, jak widzicie, wyrżnięte wypukło, więc nazwałem to patrycą. Odbiwszy taką patrycę w miękkiej miedzi, otrzymałem...

– Matrycę – odgadł Szarlej. – To oczywiste. Wypukłe pasuje do wklęsłego jak tata do mamy. Słucham dalej, panie von Gutenberg.

– We wklęsłych matrycach – pokazywał bakałarz – mogę sztuką giserską wykonać odlewy, tyle ile zechcę mieć buksztab, czyli czcionek. O, takich, proszę spojrzeć. Czcionki, których klocki idealnie do siebie przystają, układam... we właściwym porządku... na tej oto ramce... Ramka jest mała, dla celów demonstracyjnych, ale normalnie, zechcą panowie spojrzeć, jest ona wielkości stronicy przyszłej księgi. Jak widzicie, ustalam sobie długość wierszy. Wkładam kliny celem ustawienia równych marginesów. Ściskam ramkę żelazną obejmą, żeby mi się to wszystko nie rozpieprzyło... Smaruję tuszem, tym samym, którego używacie wy... Można poprosić o pomoc, panie Unger? Kładę pod tłoczydło... Na to kartę papieru... Panie Unger, szruba... I proszę, gotowe.

Na karcie, równiutko pośrodku, wydrukowane wyraźnie i czysto, widniało:

IUBILATE DEO OMNIS TERRA
PSALMUM DICITE NOMINI EUIS

– Psalm sześćdziesiąty piąty – klasnął w dłonie Justus Schottel. – Jak żywy!

– Jestem pod wrażeniem – przyznał Szarlej. – Pod dużym wrażeniem, panie Gutenberg. Byłbym pod jeszcze większym, gdyby nie fakt, że powinno być „dicite nomini eius", nie zaś „euis".

– Ha-ha! – bakałarz rozpromienił się jak żak, któremu udał się figiel. – Z rozmysłem to uczyniłem! Celowo popełniłem pomyłkę składacza, znaczy, błąd zecerski. By zademonstrować, popatrzcie jeno, z jaką łatwością można dokonać korekty. Błędnie wstawioną buksztabę wyjmuję oto... Wkładam na miejsce właściwe... Szruba, panie Unger... I oto tekst poprawny.

– *Bravo* – rzekł Samson Miodek. – *Bravo, bravissimo*. Rzeczywiście robi wrażenie.

Nie tylko Gutenberg, ale i Schottel oraz Unger otwarli usta. Jasnym było, że mniej zdziwiłoby ich, gdyby odezwał się kot, podwórkowa statua świętego Łukasza albo malowany Sebastian z wielkim fiutem.

– Pozory – wyjaśnił, chrząknąwszy, Szarlej – czasem mylą. Nie jesteście pierwsi.

– I pewnie nie ostatni – dodał Reynevan.

– Przepraszam – rozłożył ręce olbrzym. – Nie mogłem się oprzeć pokusie... Będąc, bądź co bądź, świadkiem wynalazku, który odmieni oblicze epoki.

– Ha! – rozpromienił się Gutenberg, jak każdy artysta rad z pochwały, choćby i wygłoszonej przez sięgającego głową powały osiłka o obliczu idioty. – Tak właśnie będzie! Nie inaczej! Bo wyobrazić raczyć sobie chciejcie, cni panowie, uczone księgi w dziesiątkach, a kiedyś, jakby śmiesznie to dziś nie brzmiało, może i w setkach egzemplarzy! Bez uciążliwego i wieki trwającego przepisywania! Mądrość ludzkości wydrukowana i dostępna! Tak, tak! A jeśli wy, cni panowie, mój wynalazek poprzecie, to ręczę wam, że to właśnie wasz gród, prześwietna Świdnica, po wsze czasy słynąć będzie jako miejsce, w którym zapłonął kaganek oświaty. Jako miejsce, z którego na świat cały rozeszła się światłość.

– Zaiste – przemówił po chwili Samson Miodek, swym łagodnym i spokojnym głosem. – Widzę to oczyma duszy mojej. Masowa produkcja papieru, gęsto pokrytego literami. Każdy papier w setkach, a kiedyś, jakby śmiesznie to nie zabrzmiało, może i w tysiącach egzemplarzy. Wszystko po wielokroć powielone i szeroko dostępne. Łgarstwa, brednie, oszczerstwa, paszkwile, donosy, czarna propaganda i schlebiająca motłochowi demagogia. Każda podłość nobilitowana, każda nikczemność oficjalna, każde kłamstwo prawdą. Każde świństwo cnotą, każda zapluta ekstrema postępową rewolucją, każde tanie hasełko mądrością, każda tandeta wartością. Każde głupstwo uznane, każda głupota ukoronowana. Bo wszystko to wydrukowane. Stoi na papierze, więc ma moc, więc obowiązuje. Zacząć to będzie łatwo, panie Gutenberg. I rozruszać. A zatrzymać?

– Wątpię, by zaszła konieczność – wtrącił pozornie poważnie Szarlej. – Będąc większym od ciebie realistą, Samsonie, aż takiej popularności

temu wynalazkowi nie wróżę. A nawet gdyby faktycznie poszło prorokowanym przez ciebie torem, to da się to, da się zatrzymać. Sposobem prostym jak dyszel. Najzwyczajniej w świecie stworzy się indeks ksiąg zakazanych.

Gutenberg, jeszcze niedawno promieniejący, przygasł. Tak bardzo, że Reynevanowi zrobiło się go żal.

– Nie wróżycie więc memu wynalazkowi przyszłości – stwierdził po chwili grobowo. – Z iście inkwizytorskim zapałem wyśledziwszy ciemne jego strony. I zupełnie jak inkwizytorzy lekceważąc jasne. Świetliste. Najświętsze. Wszak drukować można będzie, i tym samym szeroko propagować, Słowo Boże. Co na to odpowiecie?

– Odpowiemy – usta Szarleja skrzywił drwiący uśmieszek – jak inkwizytorzy. Jak papież. Jak ojcowie soborowi. Cóż to, panie Gutenberg, nie wiecie, co w tym względzie orzekli ojcowie soborowi? *Sacra pagina* winna być przywilejem duchownych, tylko oni bowiem są zdolni ją zrozumieć. Wara od niej świeckim głąbom.

– Szydzicie.

Reynevan też tak myślał. Bo Szarlej, gdy gadał dalej, wcale nie skrywał ni szydliwego uśmiechu, ni drwiącego tonu.

– Świeckim, nawet tym wykazującym szczątkowy rozum, wystarczą kazania, lekcje, ewangelia niedzielna, wypisy, opowieści i moralitety. A ci całkiem ubodzy duchem niechaj poznają Pismo na jasełkach, miraklach, pasjach i drogach krzyżowych, śpiewając laudy i gapiąc się w kościołach na rzeźby i obrazy. A wy chcecie wydrukować i dać tej ciemnocie Pismo Święte? Może jeszcze w dodatku przetłumaczone z łaciny na język ludowy? Żeby każdy mógł je czytać i po swojemu interpretować? Chcielibyście, by do tego doszło?

– Wcale nie muszę chcieć – odrzekł spokojnie Gutenberg. – Bo do tego już doszło. Całkiem niedaleko stąd. W Czechach. I jakkolwiek się dalsze dzieje potoczą, nic nie zmieni już ani tego faktu, ani jego skutków. Czy chcemy tego, czy nie, stoimy w obliczu reform.

Zapadła cisza. Reynevanowi wydało się, że powiało zimnem. Od okna, od strony odległego o rzut burakiem klasztoru dominikanów, w którym rezydowała Inkwizycja.

– Kiedy Husa spalili w Konstancji – odważył się przerwać długie milczenie Unger – uleciała, mówią, z dymu i popiołu gołębica. Powiadają: omen. Nadejdzie prorok nowy...

– A bo to też i czasy takie – wybuchnął nagle Justus Schottel – że nic tylko wziąć, spisać jakieś tezy i przybić je, kurważ jego mać, na drzwiach jakiegoś kościoła. Psik, Luter, psik ze stołu, bezczelny kocie.

Znowu długo panowała cisza, w której rozlegało się pełne zadowolenia mruczenie kota Lutra.

Ciszę przerwał Szarlej.

– Plunąwszy na dogmaty, doktryny i reformy – powiedział – stwierdzam, że jedno mi się podoba, jedna myśl cieszy mnie ogromnie. Jeśli waszmość swym wynalazkiem ksiąg nadrukujesz, to a nuż ludzie zaczną uczyć się czytać, wiedząc, że jest co czytać? Wszak nie tylko popyt rodzi podaż, lecz i *vice versa*. Na początku było wszak słowo, *in principio erat verbum*. Warunkiem jest oczywista, by słowo, czyli księga, była tańsza jeśli nie od talii kart, to od gąsiora wódki, jako że jest to kwestia wyboru. Reasumując: wie pan co, panie Janie Gutenberg? Pomijając jego minusy, po głębszym przemyśleniu dochodzę do wniosku, że ten pański wynalazek może jednak być epokowy.

– Z ust mi to wyjąłeś, Szarleju – powiedział Samson Miodek. – Z ust mi to wyjąłeś.

– Tedy – twarz bakałarza pojaśniała znowu – zechcecie sponsorować...

– Nie – uciął Szarlej. – Nie zechcę. Epokowość epokowością, ale ja tu, panie Gutenberg, interes prowadzę.

Rozdział szesnasty

w którym Reynevan, szlachetny jak Perceval i równie głupi, rzuca się z odsieczą i staje w obronie. W efekcie cała kompania musi uciekać. Bardzo szybko.

– *Basilicus super omnes* – powiedział Reynevan. – *Annus cyclicus. Voluptas?* Tak, na pewno *voluptas. Voluptas papillae. De sanctimonia et... Expeditione hominis.* Samsonie!

– Słucham?

– *Expeditione hominis.* Albo *positione hominis*. Na nadpalonym papierze. Tym z Powojowic. Kojarzy ci się z czymś?

– *Voluptas papillae...* Oj, Reinmarze, Reinmarze.

– Pytałem, czy ci się kojarzy!

– Nie. Niestety. Ale cały czas myślę.

Reynevan nie skomentował, choć mimo zapewnień Samson Miodek zdawał się mniej myśleć, a więcej drzemać w siodle rosłego myszatego wałacha, konia, którego załatwił Justus Schottel, świdnicki mistrz drzeworytnik, na podstawie sporządzonej przez Szarleja listy.

Reynevan westchnął. Skompletowanie zamówionego ekwipunku trwało nieco dłużej, niż planowano. Miast trzech, spędzili w Świdnicy bite cztery dni. Demeryt i Samson nie narzekali, ba, wręcz radzi byli, mogąc poszwendać się po sławnych świdnickich piwnicach i dogłębniej przebadać jakość tegorocznego marcowego. Reynevan natomiast, któremu dla konspiracji włóczenie się po szynkach odradzono, nudził się w pracowni w towarzystwie nudnego Szymona Ungera, złościł, niecierpliwił, kochał i tęsknił. Pilnie liczył dni rozłąki z Adelą i za nic w świecie nie chciało mu wyjść mniej niż dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem dni! Miesiąc bez mała! Zastanawiał się, czy i jak Adela jest w stanie to znieść.

Piątego dnia rankiem oczekiwania nadszedł kres. Pożegnawszy się z drzeworytnikami, trzej wędrowcy opuścili Świdnicę, tuż za Bramą Dolną dołączając do długiej kolumny innych wędrowców, konnych, pieszych, obładowanych, objuczonych, pędzących bydło i owce, ciągnących wózki, pchających taczki, jadących na wehikułach

najprzeróżniejszej konstrukcji i urody. Nad kolumną unosił się smród i duch przedsiębiorczości.

Do sporządzonej przez Szarleja listy ekwipunku Justus Schottel z własnej inicjatywy dołączył i dostarczył całkiem sporo rozmaitych, acz wyraźnie chaotycznie zebranych sztuk odzieży, wszyscy trzej wędrowcy zyskali więc szansę przeodziania się. Szarlej skorzystał z szansy natychmiast i teraz prezentował się poważnie, ba, wojacko nawet, odziany w pikowany *haqueton*, noszący rdzawe i budzące respekt odciski pancerza. Poważny ubiór w magiczny iście sposób zmienił też samego Szarleja – pozbywszy się błazeńskiego stroju demeryt wyzbył się też błazeńskich manier i odzywek. Teraz siedział wyprostowany na swym pięknym cisku, opierał pięść o biodro i patrzył na mijanych kupców z marsową miną, z prezencją jeśli nie Gawaina, to co najmniej Gareta.

Samson Miodek też zmienił wygląd, choć w dostarczonych przez Schottela pakunkach niełatwo było znaleźć coś na olbrzyma pasującego. Wreszcie udało się zastąpić workowaty klasztorny chałat luźną krótką żurnadą i kapuzą powycinaną w modne ząbki. Był to ubiór na tyle popularny, że Samson przestał się – na ile było to możliwe – wyróżniać z tłumu. Teraz, w kolumnie innych wędrowców, każdy przyglądający się widział szlachcica w kompanii żaka i sługi. Taką przynajmniej miał Reynevan nadzieję. Liczył też, że Kyrielejson i jego banda, jeśli nawet zwiedzieli się o towarzyszącym mu Szarleju, wypytują o dwóch – nie o trzech – podróżnych.

Sam Reynevan, wyrzuciwszy swe podniszczone i niezbyt świeże rzeczy, wybrał z oferty Schottela obcisłe spodnie i lentner z modnie watowanym przodem, nadającym sylwetce ptasi nieco wygląd. Całość uzupełniał beret, jaki zwykli nosić szkolarze – jak choćby świeżo poznany Jan von Gutenberg. Ciekawe, że właśnie Gutenberg stał się przedmiotem dyskursu, przy czym, o dziwo, wcale nie szło o wynalazek druku. Gościniec za Bramą Dolną, biegnący do Rychbachu doliną rzeki Piławy, stanowił część ważnego szlaku handlowego Nysa–Drezno i jako taki był bardzo uczęszczany. Tak bardzo, że zaczęło to drażnić czuły Szarlejowy nos.

– Panowie wynalazcy – gderał demeryt, opędzając się od much – pan Gutenberg *et consortes*, mogliby wreszcie wynaleźć coś praktycznego. Jakiś, dajmy na to, inny sposób komunikacji. Jakieś *perpetuum mobile*,

coś, co porusza się samo, bez konieczności zdawania się na konie i woły, jak te tu, bez ustanku demonstrujące nam ogromne zaiste możliwości swych kiszek. Ach, zaprawdę powiadam wam, marzy mi się coś, co samo jedzie, nie zanieczyszczając zarazem środowiska naturalnego. Co? Reinmarze? Samsonie? Hę? Co ty na to, przybyły z zaświatów filozofie?

– Coś, co samo jeździ, a nie smrodzi – zastanowił się Samson Miodek. – Samo się porusza, a nie paskudzi na drogi i nie zatruwa środowiska. Ha, zaiste, niełatwy to dylemat. Doświadczenie podpowiada mi, że wynalazcy go rozwiążą, ale tylko w części.

Szarlej może i miał zamiar indagować olbrzyma o sens wypowiedzi, przeszkodził mu jednak jeździec, oberwaniec na chudej szkapie, wyrywający na oklep w stronę czoła kolumny. Szarlej opanował spłoszonego ciska, pogroził oberwańcowi pięścią, rzucił za nim serię wyzwisk. Samson stanął w strzemionach, spojrzał w tył, skąd oberwaniec przygalopował. Szybko zdobywający doświadczenie Reynevan wiedział, czego wypatruje.

– Na złodzieju czapka gore – odgadł. – Tego uciekiniera ktoś spłoszył. Ktoś jadący od strony miasta...

– ...i uważnie przyglądający się wszystkim podróżnym – dokończył Samson. – Pięciu... Nie, sześciu zbrojnych. Kilku ma godło na jakach. Czarny ptak z rozpostartymi skrzydłami...

– Znam ten herb...

– Ja też! – rzekł ostro Szarlej, ściągając wodze. – W konie! Za chudą kobyłą! Jazda! Co tchu!

Blisko już czoła kolumny, w miejscu, gdzie droga wchodziła w mroczne bukowiny, skręcili w las, po jakimś czasie ukryli się w krzakach. I widzieli, jak oboma skrajami drogi, przyglądając się wszystkim, skrupulatnie zaglądając do wozów i pod płachty furgonów, przejechało sześciu konnych. Stefan Rotkirch. Dieter Haxt. Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem. Oraz Wittich, Morold i Wolfher Sterczowie.

– Taak – powiedział przeciągle Szarlej. – Tak, Reinmarze. Siebie miałeś za mądrego, a cały świat za głupi. Z przykrością informuję cię, że było to mniemanie błędne. Bo cały świat już przejrzał i ciebie, i twoje łatwe do przejrzenia zamiary. Wie, że zmierzasz do Ziębic, gdzie twa luba. Jeśli zaś właśnie zaczynasz mieć wątpliwości, jeśli zaczynasz

szukać sensu jazdy do Ziębic, to nie trudź się myśleniem. Ja ci to powiem: sensu nie ma. Żadnego. Twój plan jest... Pozwól, niech poszukam odpowiedniego słowa... Hmm...

– Szarleju...

– Mam! Absurdalny.

●

Spór był krótki, ostry i zupełnie bezcelowy. Reynevan pozostał głuchy na logikę Szarleja, Szarleja nie wzruszyły Reynevanowe miłosne tęsknoty. Samson Miodek wstrzymał się od głosu.

Reynevan, którego myśli zaprzątała głównie kalkulacja dni rozłąki z kochanką, nalegał, rzecz jasna, by kontynuować jazdę ku Ziębicom, bądź to śladem Sterczów, bądź też podjąwszy próbę wyprzedzenia ich, na przykład gdy staną na popas, prawdopodobnie gdzieś w pobliżu Rychbachu lub w samym mieście. Szarlej był zdecydowanie przeciw. Dany przez Sterczów pokaz ostentacji, twierdził, świadczyć może tylko o jednym.

– Oni – pouczył – mają za zadanie właśnie wypłoszyć cię w kierunku Rychbachu i Frankensteinu. A tam gdzieś czekają już Kyrielejson i de Barby. Wierz mi, chłopcze, to standardowy sposób chwytania zbiegów.

– Jakie więc masz propozycje?

– Moje propozycje – Szarlej wskazał wokół siebie szerokim gestem – limituje geografia. Tamto wielkie, zasnute chmurami, na wschodzie, to jest, jak wiesz, Ślęża. To, co się wznosi tam, to są zaś Góry Sowie, tamto duże to jest góra zwana Wielką Sową. Przy Wielkiej Sowie są dwie przełęcze, Walimska i Jugowska, tamtędy migiem moglibyśmy dostać się do Czech, na Broumovsko.

– Czechy, jak twierdziłeś, są ryzykowne.

– W tej chwili – odparł zimno Szarlej – największym ryzykiem jesteś ty. I pościg, który depcze ci po piętach. Wyznam, że najchętniej ruszyłbym teraz właśnie do Czech. Z Broumova przeskoczył na Kłodzko, z Kłodzka na Morawę i na Węgry. Ale ty, podejrzewam, nie zrezygnujesz z Ziębic.

– Słusznie podejrzewasz.

– Cóż, przyjdzie więc nam zrezygnować z bezpieczeństwa, jakie zapewniłyby przełęcze.

– Byłoby to – wtrącił niespodzianie Samson Miodek – bezpieczeństwo bardzo względne. I trudno osiągalne.

– To fakt – zgodził się spokojnie demeryt. – Nie jest to najbezpieczniejsza okolica. Cóż, zatem kierujmy się jednak na Frankenstein. Ale nie traktem, lecz podnóżem gór, skrajem borów Przesieki Śląskiej. Drogi nadłożymy, trochę powędrujemy przez bezdroża, ale cóż nam pozostaje?

– Jechać traktem – wybuchnął Reynevan. – Za Sterczami! Dopaść ich...

– Sam – uciął ostro Szarlej – nie wierzysz w to, co mówisz, chłopcze. Bo przecież nie chcesz wpaść im w łapy. Bardzo nie chcesz.

●

Jechali więc, początkowo przez bukowiny i dąbrowy, potem duktami, wreszcie drogą, wijącą się wśród pagórków. Szarlej i Samson gawędzili cicho. Reynevan milczał i rozpamiętywał ostatnie słowa demeryta.

Szarlej po raz kolejny dowiódł, że umie jeśli nie czytać w myślach, to bezbłędnie zgadywać na podstawie przesłanek. Widok Sterczów obudził, co prawda, w Reynevanie zrazu wściekłość i dziką żądzę zemsty, gotów był niemal natychmiast ruszyć tropem, doczekać nocy, zakraść się i podrzynać gardła uśpionym. Powstrzymywał go jednak nie tylko rozsądek, ale i paraliżujący strach. Kilka razy już budził się, zlany zimnym potem, ze snu, w którym pojmano go i wleczono do katowni w lochach Sterzendorfu, względem zaś zgromadzonych tam narzędzi sen był przerażająco dokładny. Gdy Reynevan przypominał sobie te narzędzia, robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Teraz też ciarki pełzały mu po plecach, a serce stawało, ilekroć na skraju drogi wyrastały ciemne sylwetki, które dopiero po uważniejszym spojrzeniu okazywały się nie Sterczami, lecz jałowcami.

Sprawę pogorszyło jeszcze, gdy Szarlej i Samson zmienili temat rozmowy i jęli się rozważań z zakresu historii literatury.

– Gdy trubadur Gwilelm de Cabestaing – prawił Szarlej, wymownie zerkając na Reynevana – uwiódł żonę pana de Château-Roussillon, ów kazał zakatrupić poetę, wypatroszył go, serce kazał kucharzowi usmażyć i dał niewiernej małżonce do zjedzenia. Ta zaś rzuciła się z wieży.

– Tak przynajmniej mówi legenda – odpowiadał Samson Miodek z erudycją, która w zestawieniu z jego kretyńską gębą wprawiała w osłupienie. – Panom trubadurom nie zawsze można dawać wiarę, ich strofy o miłosnych sukcesach u zamężnych dam częściej oddają chęci i marzenia, rzadziej zdarzenia rzeczywiste. Przykładem choćby Marcabru, którego, pomimo nachalnych sugestii, zdecydowanie nic nie łączyło z Eleonorą Akwitańską. Wyolbrzymione są też, moim zdaniem, romanse Bernarta de Ventadorn z panią Alaiz de Montpellier i Raula de Coucy z panią Gabrielą de Fayel. Wątpliwości budzi też Tybald z Szampanii, gdy przechwala się względami Blanki Kastylijskiej. A także Arnold de Mareil, według własnych słów kochanek Adalazji z Béziers, faworyty króla Aragonii.

– Tu może być – godził się Szarlej – że trubadur konfabulował, bo skończyło się na przepędzeniu z dworu, byłoby w poezji ziarno prawdy, rzecz mogłaby mieć smutniejszy finał. Albo gdyby król był bardziej krewki. Jak choćby pan de Saint-Gilles. Ten za dwuznaczną kanconę do swej żony kazał trubadurowi Piotrowi de Vidal uciąć język.

– Według legendy.

– A trubadur Giraut de Corbeilh, zrzucony z murów Carcassonne, to też legenda? A Gaucelm de Pons, otruty za przyczyną jakiejś pięknej mężatki? Mów co chcesz, Samsonie, ale daleko nie każdy rogacz był takim błaznem jak markiz Montferrat, który znalazłszy w ogrodzie swą żonę, śpiącą w objęciach trubadura Raimbauta de Vaqueyras, nakrył oboje płaszczem, by nie przemarzli.

– To była jego siostra, nie żona. Ale reszta się zgadza.

– A co spotkało Daniela Carreta za przyprawienie rogów baronowi de Faux? Baron zabił go rękami wynajętych zbirów, kazał sporządzić sobie puchar z jego czaszki i teraz pija z niego.

– Wszystko prawda – kiwnął głową Samson Miodek. – Oprócz tego, że nie był to baron, lecz hrabia. I nie zabił, lecz uwięził poetę. I sporządził nie puchar, lecz ozdobny woreczek. Na sygnet i drobne pieniądze.

– Wo... – zachłysnął się Reynevan. – Woreczek?

– Woreczek.

– Cóżeś to nagle tak posiniał, Reinmarze? – udał troskę Szarlej. – Cóżeś to, niezdrów może? Wszak zawsześ twierdził, że wielka miłość żąda poświęceń. Mówi się wybrance: wolę cię niźli królestwo, niźli

sceptr, niźli zdrowie, niźli długi wiek i życie... A woreczek? Woreczek to drobiazg.

●

Z niedalekiego kościółka – jak twierdził Szarlej, ze wsi o nazwie Lutomia – dobiegł akurat dźwięk dzwonu, gdy jadący na czele Reynevan zatrzymał się, uniósł rękę.

– Słyszycie?

Byli na rozstaju, przy krzywym krzyżu i figurze, rozmytej przez deszcze w bezkształtny bałwan.

– To waganci – stwierdził Szarlej. – Śpiewają.

Reynevan pokręcił głową. Dobiegające z ginącego w lesie wąwozu dźwięki niczym nie przypominały ani *Tempus est iocundum*, ani *Amor tenet omnia*, ani *In taberna quando sumus*, ani żadnej z innych popularnych goliardzkich pieśni. Głosy, które słyszał, niczym nie przypominały głosów wagantów, którzy wyprzedzili ich niedawno. Przypominały raczej...

Zmacał dłonią rękojeść korda, kolejnego z otrzymanych w Świdnicy podarunków. A potem pochylił się w siodle i popędził konia. W kłus. A potem w cwał.

– Dokąd? – ryknął za nim Szarlej. – Stój! Stój, do diabła! Wpakujesz nas w kłopoty, głupcze!

Reynevan nie słuchał. Wjeżdżał w jar. A za jarem, na polanie, wrzała bitwa. Stał tam zaprzęg, dwa przysadziste konie i furgon nakryty czarnym smołowanym płótnem. Obok furgonu jakichś dziesięciu pieszych w brygantynach, kolczych kapturach i kapalinach, uzbrojonych w broń drzewcową, atakowało dwóch rycerzy. Zajadle jak psy. Rycerze bronili się. Zajadle. Jak osaczone dziki.

Jeden rycerz, konny, był w pełnej zbroi płytowej, zakuty w blachy od stóp do głów, znaczy, od kopuły salady po szpiczaste sabatony. Ostrza sulic i glewi odskakiwały od napierśnika, dzwoniły na taszkach i bejgwantach, nie dawały wrazić się w szczeliny. Nie mogąc dobrać się do jeźdźca, napastnicy wyżywali się na koniu. Nie dźgali, starali się nie kaleczyć – w końcu koń kosztował grube pieniądze – ale tłukli drzewcami, co się zmieści, licząc, że szalejące zwierzę zwali rycerza. Koń faktycznie szalał, trząsł łbem, chrapał i gryzł ociekające pianą kiełzno. Szkolony snadź w tym sposobie walki wierzgał przy tym i kopał,

utrudniając dostęp do siebie i swego pana. Rycerz jednak kolebał się w siodle tak energicznie, że aż dziw brał, że się w nim utrzymuje.

Drugiego z rycerzy, również w pełnej płycie, z siodła bowiem zsadzić się pieszym udało – teraz bronił się zaciekle, przyparty do czarnego furgonu. Nie miał hełmu, spod odrzuconego kaptura powiewały długie, jasne, okrwawione włosy, spod podobnie jasnych wąsów błyskały zęby. Atakujących go przepędzał ciosami trzymanego oburącz szarszuna, który, lubo długi i ciężki, śmigał w dłoniach rycerza niby jakiś ozdobny dworski mieczyk. Broń była groźna nie tylko z wyglądu – przystęp atakującym utrudniało już trzech leżących na ziemi rannych, wyjących z bólu i usiłujących odczołgać się na bok. Reszta napastników okazywała więc respekt, nie podchodząc, a usiłując dziabnąć rycerza z bezpiecznej odległości. Jednak nawet jeśli pchnięcia trafiały, jeśli nie zostawały odbite ciężką klingą szarszuna, ostrza ześlizgiwały się po blachach.

Obserwacja wydarzenia, opisanie którego zająć tych kilka linijek musiało, Reynevanowi zajęła chwilkę tylko. Miał przed oczami to, co miałby każdy: dwóch pasowanych rycerzy w biedzie, napastowanych przez hordę opryszków. Albo: dwa lwy kąsane przez hieny. Albo: Rolanda i Florismarta, stawiających opór przewadze Maurów. Reynevan w jednej chwili poczuł się więc Olivierem. Wrzasnął, wyszarpnął z pochwy kord, uderzył konia piętami i runął na odsiecz, zupełnie nie zważając na ostrzegawcze krzyki i przekleństwa Szarleja.

Jakkolwiek szaleńcza, odsiecz nie była nawet o moment za wczesną. Atakowany rycerz zwalił się bowiem właśnie z konia, czyniąc huk, jak gdyby miedziany kocioł zrzucono z wieży kościelnej. Przyparty zaś drzewcami do wozu blondyn z szarszunem mógł wspomóc go jedynie plugawymi słowy, którymi szczodrze obrzucał napastników.

Na to wszystko wpadł Reynevan. Koniem roztrącił i obalił kłębiących się nad zrzuconym z siodła, jednego, siwowąsego, który obalić się nie dał, ciął, aż zadzwoniło, kordem po kapalinie. Kapalin spadł, a siwowąsy obrócił się, wykrzywił złowrogo i z rozmachem zdzielił Reynevana halabardą, z bliska, na szczęście więc jedynie drzewcem. Ale Reynevan i tak spadł z konia. Siwowąsy skoczył na niego, przygniótł, chwycił za gardło. I odfrunął. Dosłownie. Z taką bowiem mocą Samson Miodek huknął go pięścią w bok głowy. Na Samsona momentalnie skoczyli inni, olbrzym znalazł się w opałach. Porwał z ziemi halabardę, pierwszego atakującego walnął płazem po hełmie tak, że żeleźce odleciało, a

walnięty padł jak skoszony. Samson zawinął ratyszczem, zamłynkował nim jak trzciną, czyniąc rum wokół siebie, Reynevana i podnoszącego się z ziemi rycerza. Rycerz przy upadku zgubił saladę, znad kryjącego szyję bartu widać było młodą, rumianą twarz, perkaty nos i zielone oczy.

– Poczekajcie, świńskie ryje! – krzyczał śmiesznym dyszkantem. – Ja wam pokażę, gównojady! Na czerep świętej Sabiny! Popamiętacie mnie!

W sukurs będącemu już w położeniu opłakanym, broniącemu się przy wozie jasnowłosemu przyszedł Szarlej. Demeryt w iście akrobatycznym stylu, w pełnym cwale podniósł czyjś upuszczony miecz, rozpędził pieszych, rąbiąc na prawo i lewo z podziwu godną wprawą. Jasnowłosy, któremu w ścisku przy wozie wytrącono szarszun, nie tracił czasu na szukanie go w piachu, rzucił się w wir walki z pięściami.

Niespodziewana odsiecz przechyliła, wydawałoby się, szalę na stronę napadniętych, gdy wtem załomotały podkute kopyta i na polanę w pełnym galopie wpadli czterej ciężkozbrojni. Jeśli nawet Reynevan przez moment miał wątpliwości, rozwiał je triumfalny wrzask pieszych, ze zdwojoną ochotą rzucających się do boju na widok posiłków.

– Żywcem brać! – wrzeszczał spod zasłony hełmu przywódca ciężkozbrojnych, z trzema srebrnymi rybami na tarczy. – Żywymi hultajów!

Pierwszą ofiarą nowo przybyłych był Szarlej. Demeryt wprawdzie zwinnie uniknął ciosu bojowego topora, zeskakując z kulbaki, ale na ziemi przeważającą siłą opadli go piesi. Z pomocą pospieszył mu Samson Miodek, gromiąc swym ratyszczem. Olbrzym nie uląkł się napierającego nań rycerza z toporem, walnął jego rumaka w chroniący łeb żelazny naczółek z taką siłą, że ratyszcze pękło z trzaskiem. Ale koń zakwiczał i padł na kolana. A jeźdźca ściągnął z siodła jasnowłosy. Obaj zaczęli się barować, spleceni jak dwa niedźwiedzie.

Reynevan i strącony z siodła młodzik desperacko stawili opór pozostałym pancernym, dodając sobie odwagi dzikim krzykiem, klątwami i wzywaniem świętych. Beznadziejność sytuacji była jednak nie do przeoczenia. Nic nie wskazywało, by atakujący w ferworze pamiętali o rozkazie brania żywcem – a nawet jeśli, Reynevan widział się już na stryczku.

Ale fortuna była im tego dnia łaskawą.

– Bij, w imię Boże! Morduj, kto w Boga wierzy!

Wśród tętentu i bogobojnych okrzyków do walki wkroczyły następne siły – trzech kolejnych ciężkich jeźdźców w pełnych zbrojach i przyłbicach z zasłonami typu hundsgugel, psia kapuca. Nie było wątpliwości, po czyjej są stronie. Ciosy długich mieczy jednego po drugim rozciągały na zakrwawionym piasku pieszych w kapalinach. Cięty potężnie, zachwiał się w siodle rycerz z rybami w herbie. Drugi osłonił go tarczą, podtrzymał, złapał konia za wodze, obaj rzucili się w galop, do ucieczki. Trzeci też chciał uciekać, ale dostał mieczem po głowie i runął pod kopyta. Co mężniejsi piesi próbowali się jeszcze zastawiać drzewcami, ale co i rusz któryś rzucał broń i zmykał w las.

Jasnowłosy potężnym ciosem pięści w żelaznej rękawicy obalił tymczasem swego przeciwnika, usiłującego wstać pchnął stopą w ramię, gdy zaś pchnięty usiadł ciężko, rozejrzał się za czymś, czym by go mógł grzmotnąć.

– Łap! – krzyknął jeden z ciężkozbrojnych. – Łap, Rymbaba!

Nazwany Rymbabą jasnowłosy chwycił w locie rzucony mu czekan, paskudnie wyglądający *martel de fer*, z rozmachem, aż zahuczało, walnął po hełmie usiłującego wstać, raz, drugi, potem trzeci raz. Głowa bitego opadła na ramię, spod wgiętej blachy krew obficie wylała się na *aventail*, obojczyk i napiersnik. Jasnowłosy stanął nad rannym okrakiem i grzmotnął raz jeszcze.

– Jezu Chryste – sapnął. – Jak ja lubię tę robotę...

Młodzik z perkatym nosem zacharczał, wypluł krew. Potem wyprostował się, uśmiechnął ubroczonymi usty i wyciągnął do Reynevana dłoń.

– Dzięki za pomoc, szlachetny paniczu. Na piszczele świętego Afrodyzjusza, nie przepomnę wam tego! Jestem Kuno von Wittram.

– A mnie – jasnowłosy wyciągnął prawicę do Szarleja – niech czarci w piekle oprawią, jeśli przepomnę pomocy waścinej. Jam jest Paszko Pakosławic Rymbaba.

– Zbierać się – skomenderował jeden z pancernych, pokazując spod otwartej zasłony śniadą twarz i sine od gładko zgolonego zarostu policzki. – Rymbaba, Wittram, łapcież konie! Żywiej, u kaduka!

– O, wa – Rymbaba pochylił się i wysmarkał w palce. – Toć uciekli!

– Wrócą wnet – orzekł drugi z przybyłych z odsieczą, wskazując na porzuconą tarczę z trzema rybami w słup. – Czyście się obaj blekotu naćpali, by napadać podróżnych akurat tu?

Szarlej, głaszcząc ciska po chrapach, obdarzył Reynevana znaczącym, bardzo znaczącym spojrzeniem.

– Akurat tu – powtórzył rycerz. – Na dziedzinie Seidlitzów. Nie darują...

– Nie darują – potwierdził trzeci. – W konie, wszyscy!

Drogą i lasem niósł się krzyk, rżenie, łomot kopyt. Przez paprocie i karcze biegli halabardnicy, drogą pędziło kilkunastu konnych, ciężkozbrojnych i kuszników.

– W nogi! – wrzasnął Rymbaba. – W nogi, komu szyja miła!

Poszli w cwał, ścigani wrzaskiem i świstem pierwszych bełtów.

●

Nie ścigano ich długo. Gdy piechota została z tyłu, konni zwolnili, nie dowierzając widać przewadze. Strzelcy posłali za uciekającymi jeszcze jedną salwę – i na tym pogoń się skończyła.

Dla pewności gnali jeszcze galopem parę staj, pokluczyli, oglądając się co i rusz, wśród wzgórz i jaworowych lasów. Nikt ich jednak nie ścigał. By dać odetchnąć koniom, zatrzymali się w pobliżu wioski, przy skrajnej chałupie. Chłopina, nie czekając, aż mu splądrują chatę i obejście, sam wyniósł miskę pierogów i ceber maślanki. Raubritterzy siedli u płota. Jedli i pili w milczeniu. Najstarszy, który wcześniej przedstawił się jako Notker von Weyrach, długo przypatrywał się Szarlejowi.

– Taaaak – rzekł wreszcie, oblizując umazane maślanką wąsy. – Porządni i śmiali z was ludzie, panie Szarleju i ty, paniczu von Hagenau. Nawiasem, czyście jaki potomek tego sławnego poety?

– Nie.

– Aha. O czym to ja? A, że śmiałe i dzielne z was chłopy. A i wasz pachoł, choć na oko przygłup, odważny jest i waleczny ponad podziwienie. Taaak. Pospieszyliście z pomocą moim chłopcom. I przez to samiście w opałach, nie miną was kłopoty. Zadarliście z Seidlitzami, a oni są mściwi.

– Prawda – poświadczył drugi rycerz, z długimi włosami i sumiastym wąsem, który przedstawił się jako Woldan z Osin. – Seidlitze są osobliwe sukinsyny. Cały ich ród, znaczy się, także samo Laasany. I Kurzbachy. Wszystko wyjątkowo złośliwe bydlaki i mściwe dranie... Ej, Wittram, ej, Rymbaba, aleście nabździli w sprawę, żeby was zaraza!

– Myśleć trzeba – pouczył Weyrach. – Myśleć, jeden z drugim!

– Przecie myślelim – wybąkał Kuno Wittram. – Bo było tak: patrzym, jedzie wóz. Tedy pomyślelim: może go tak ograbić? Od słowa do słowa... Tfu, na powrozy świętego Dyzmy! Sami wiecie, jak to jest.

– Wiemy. Ale myśleć trzeba.

– A takoż – dodał Woldan z Osin – baczenie mieć na eskortę!

– Nie było eskorty. Tylko woźnica, ciury i konny w bobrowej szubie, musi kupiec. Te uciekli. To i myślimy: dobra nasza. Aż tu masz: jak spod ziemi wyskakuje piętnastu zawziętych chmyzów z halebardami...

– Toć mówię. Myśleć trzeba.

– A bo to też i czasy takie! – zaperzył się Paszko Pakosławic Rymbaba. – Do czego to doszło! Głupi zasrany wóz, towaru tam pod tym wańtuchem pewnie za trzy grosze, a bronili, jakby tam był, nie przymierzając, Święty Graal.

– Drzewiej tak nie bywało – pokiwał modnie po rycersku podstrzyżoną czarną czupryną trzeci rycerz, ten śniady, niewiele starszy od Rymbaby i Wittrama, zwący się Tassilo de Tresckow. – Drzewiej, jak się zakrzykło: „Stój i dawaj!", to dawali. A dziś bronią się, biją jak czarty, jak weneckie kondotiery. Gorze nam się stało! Jak tu w takich warunkach na przemysł chodzić?

– Nijak – podsumował Weyrach. – Coraz trudniejsze nasze *exercitium*, coraz to cięższa nasza raubritterska dola. Hej...

– Heej... – zawtórowali żałosnym chórem rycerze rabusie. – Heeeej...

– Po gnojowisku – zauważył i wskazał Kuno Wittram – świnia ryje. Może zarżniem i zabierzem?

– Nie – zdecydował po chwili namysłu Weyrach. – Czasu szkoda.

Wstał.

– Panie Szarleju – rzekł. – Isto się nie godzi, samotrzeć cię tu ostawiać. Seidlitze pamiętliwi, niechybnie już pościgi rozsłali, będą śledzić po drogach. Tedy, jedźcie, prosim, z nami. Do Kromolina, naszego siodła. Tam nasi giermkowie są, a i druhów dość będzie. Nikt wam tam nie zagrozi ani nie ubliży.

– Niechby spróbował! – nastroszył jasne wąsy Rymbaba. – Jedźcież z nami, jedźcież, panie Szarleju. Bo to wam powiem, żeście mi się nadzwyczajnie udali.

– Jak i mnie młody panicz Reinmar – Kuno Wittram walnął Reynevana w plecy. – Klnę się na kielnię świętego Ruperta z Salzburga! Jedźcież tedy z nami do Kromolina. Panie Szarleju? Dobra?

– Dobra.

– Tedy – przeciągnął się Notker von Weyrach – w drogę, *comitiva*.

●

Gdy orszak się formował, Szarlej został z tyłu, dyskretnie wezwał ku sobie Reynevana i Samsona Miodka.

– Ów Kromolin – rzekł cicho, poklepując po szyi ciska – to gdzieś w pobliżu Srebrnej Góry i Stoszowic, przy tak zwanej Ścieżce Czeskiej, szlaku, który z Czech wiedzie przez Przełęcz Srebrną do Frankensteinu, do traktu wrocławskiego. Jechać z nimi tedy bardzo nam po drodze i bardzo na rękę. I dużo bezpieczniej. Trzymajmy się ich. Przymknąwszy oczy na proceder, którym się parają. W biedzie się nie wybiera. Radzę wszelako zachować ostrożność i za dużo nie gadać. Samsonie?

– Milczę i udaję gamonia. *Pro bono commune*.

– Świetnie. Reinmarze, zbliż się. Mam ci coś rzec.

Reynevan, już w siodle, podjechał, podejrzewając, co go czeka i co usłyszy. Nie pomylił się.

– Posłuchaj mnie uważnie, niepoprawny durniu. Stanowisz dla mnie śmiertelne zagrożenie już samym faktem istnienia. Nie pozwolę, byś to zagrożenie zwiększał kretyńskim zachowaniem i postępkami. Nie będę komentował faktu, że chcąc być szlachetny, okazałeś się głupi, żeś rzucił się na odsiecz zbójcom i wsparł owych w walce z siłami porządku. Nie będę się naigrawał, da Bóg, fakt ten nauczył cię czegoś. Ale zapowiadam: jeśli jeszcze raz zrobisz coś podobnego, zostawię cię na łaskę losu, nieodwołalnie i definitywnie. Zapamiętaj, ośle, zakonotuj sobie, bałwanie: tobie nikt nie pospieszy z pomocą w potrzebie, tylko idiota zatem spieszy z pomocą innym. Jeśli ktoś wzywa pomocy, należy odwrócić się plecami i prędko oddalić. Zapowiadam: jeśli w przyszłości głowę choć zwrócisz w stronę biedaka, dziewicy w opresji, krzywdzonego dziecka lub bitego psa, rozstaniemy się. Strugaj sobie potem Percevala na własny rachunek i ryzyko.

– Szarleju...

– Milcz. I czuj się ostrzeżony. Ja nie żartuję.

●

Jechali przez śródleśne łąki, wśród sięgających strzemion traw i ziół. Niebo na zachodzie, zasnute poszarpanym pierzem chmur, gorzało

smugami ognistej purpury. Ciemniała ściana gór i czarnych borów Przesieki Śląskiej.

Jadący w awangardzie Notker von Weyrach i Woldan z Osin, poważni i skupieni, śpiewali hymn, od czasu do czasu wznosząc ku niebu oczy spod podniesionych hundsgugli. Śpiew ich, choć niegłośny, brzmiał dostojnie i surowo.

Pange lingua gloriosi
Corporis mysterium,
Sanguinisque pretiosi,
Quem in mundi pretium
Fructus ventris generosi
Rex effudit Gentium.

Nieco z tyłu, tak daleko, by nie przeszkadzać własnym śpiewem, jechali Tassilo de Tresckow i Szarlej. Obaj, ze znacznie mniejszą powagą, śpiewali balladę miłosną.

Sô die bluomen ûz dem grase dringent,
same si lachen gegen der spilden sunnen,
in einem meien an dem morgen fruo,
und diu kleinen vogelin wol singent
in ir besten wîse, die si kunnen,
waz wünne mac sich dâ gelîchen zuo?

Za śpiewakami jechali stępa Samson Miodek i Reynevan. Samson przysłuchiwał się, kiwał w kulbace i mruczał, jasnym było, że słowa minnesangu zna i że – gdyby nie zachowywane incognito – chętnie przyłączyłby się do chóru. Reynevan pogrążony był w myślach o Adeli. Myśli trudno było jednak zebrać, albowiem zamykający kawalkadę Rymbaba i Kuno Wittram nieustannie ryczeli pieśni pijackie i sprośne. Ich repertuar sprawiał wrażenie niewyczerpanego.

Pachniało dymem i sianem.

Verbum caro, panem verum
verbo carnem efficit:
fitque sanguis Christi merum,
et si sensus deficit,
ad firmandum cor sincerum

sola fides sufficit.

Podniosła melodia i bogobojne wersy Tomasza z Akwinu nie były w stanie nikogo zmylić, rycerzy wyprzedzała snadź reputacja. Na widok orszaku w popłochu pierzchały zbierające chrust baby, zmykały niczym sarny dorastające dziewczęta. Drwale uciekali przez zręby, a zdjęci zgrozą pasterze wczołgiwali się pod owce. Uciekł, porzucając wózek, dziegciarz. Umknęło, zadarłszy habity aż po zadki, trzech wędrownych Braci Mniejszych. Wcale, ale to wcale nie podziałały na nich uspokająco poetyckie strofy Waltera von der Vogelweide.

Nü wol dan, welt ir die wârheit schouwen,
gen wir zuo des meien hôhgezîte!
der ist mit aller sîner krefte komen.
seht an in und seht an werde frouwen,
wederz dâ daz ander überstrîte:
daz bezzer spil, ob ich daz hân genomen.

Samson Miodek nucił pod nosem do wtóru. Moja Adela, myślał Reynevan, moja Adela. Zaprawdę, gdy wreszcie będziemy razem, gdy skończy się rozłąka, będzie tak, jak u Walthera von der Vogelweide, w pieśni, którą śpiewają – nastanie maj. Albo jak w innych strofach tegoż poety...

Rerum tanta novitas
in solemni vere
et veris auctoritas
jubet nos gaudere...

– Mówiłeś coś, Reinmarze?
– Nie, Samsonie. Nic nie mówiłem.
– Ha. Ale dziwne jakieś wydawałeś pomruki.

Ech wiosna, wiosna... A moja Adela piękniejsza jest od wiosny. Ach, Adelo, Adelo, gdzieżeś jest, ukochana? Kiedyż wreszcie cię ujrzę? Ucałuję twe usta? Twe piersi...

Prędzej, naprzód, prędzej! Do Ziębic!

Ciekawe też, pomyślał nagle, gdzież jest i cóż też porabia Nikoletta Jasnowłosa?

Genitori, Genitoque

laus et jubilatio,
salus, honor, virtus quoque
sit et benedictio...

Z końca orszaku, niewidoczni za zakrętem drogi, darli się, płosząc zwierzynę, Rymbaba i Wittram.

Garbarze kurwiarze
dupę wyprawili.
Szewcy skurwysyny
buty z niej zrobili!

Rozdział siedemnasty

w którym w raubritterskim siodle Kromolin Reynevan robi znajomości, je, pije, przyszywa ucięte uszy i uczestniczy w tingu anielskiej milicji. Do czasu, gdy do Kromolina przybywają zupełnie niespodziewani goście.

Z punktu widzenia strategii i obronności, raubritterska osada Kromolin była ulokowana korzystnie – leżała na wyspie, utworzonej przez szeroką i zamuloną odnogę rzeki Jadkowej. Przystęp dawał skryty wśród wierzb i wiklin most, ale przystępu można było łatwo bronić – świadczyły o tym zapory, kozły i kolczaste kobylice, najwyraźniej przygotowane po to, by w razie konieczności drogę zatarasować. Nawet w półmroku zapadającego zmierzchu widoczne były dalsze elementy fortyfikacji – zasieki i zaostrzone pale, wbite w bagnisty brzeg. Przy samym wjeździe most dodatkowo przegrodzony był grubym łańcuchem, ale ten został natychmiast zdjęty przez pachołków – zanim jeszcze Notker von Weyrach zdążył zadąć w róg. Niewątpliwie wcześniej dostrzeżono ich z czatowni, wznoszącej się nad olszynką.

Wjechali na wyspę, między kryte darnią klecie i szopy. Głównym, podobnym do fortecy budynkiem był, jak się okazało, młyn, to, co mieli za odnogę rzeki okazało się młynówką. Stawidła były podniesione, młyn pracował, koło huczało, woda lała się z szumem, pieniąc białą pianą. Zza młyna i strzech chałup widać było poświatę licznych ogni. Słychać było muzykę, krzyki, rejwach.

– Hulają – odgadł Tassilo de Tresckow.

Zza chałup wypadła rozchełstana i rozchichotana dziewka z powiewającym warkoczem, ścigana przez grubego bernardyna. Oboje wpadli do stodółki, z której po chwili rozległy się śmiechy i piski.

– No proszę – mruknął Szarlej. – Zupełnie jak w domu.

Minęli ukrytą w chaszczach, ale dekonspirującą się smrodem latrynę, wyjechali na majdan, pełen ludzi, jasny od ogni, rozbrzmiewający muzyką i gwarem. Dostrzeżono ich, od razu zjawiło się przy nich kilku pachołków i giermków. Zsiedli, o rycerskie konie natychmiast zadbano. Szarlej mrugnięciem dał znak Samsonowi, olbrzym westchnął i odszedł ze służbą, ciągnąc za sobą wierzchowce.

Notker von Weyrach oddał armigerowi hełm, ale miecz wziął pod pachę.

– Dużo ludzi zjechało – zauważył.

– Dużo – potwierdził sucho armiger. – A mówią, więcej będzie.

– Chodźcie, chodźcie – ponaglił, zacierając dłonie, Rymbaba. – Głodnym!

– Prawda! – zawtórował Kuno Wittram. – I pić się chce!

Przeszli obok buchającej żarem, śmierdzącej węglem i dzwoniącej metalem kuźni, kilku kowali czarnych jak cyklopi uwijało się tam przy robocie, której mieli pełne ręce. Przeszli obok stodoły, którą zamieniono na rzeźnię – w szeroko rozwartych wrotach widać było wiszące za nogi sprawione tusze kilku wieprzy i wielkiego wołu, z tego ostatniego, rozpłatanego właśnie, wywalano do balii wnętrzności. Przed stodołą płonęły ogniska, nad żarem skwierczały na rożnach prosiaki i barany. Parowały i urzekały wonią osmolone kotły i sagany. Obok, na ławach, za stołami lub wprost na ziemi, siedzieli jedzący, wśród rosnących gór ogryzionych kości kłębiły się i gryzły psy. Świeciła oknami i lampami podsienia karczma, z której co i rusz wytaczano beczki, natychmiast oblegane przez spragnionych.

Otoczony zabudowaniami majdan zalany był migotliwym światłem płonących maźnic. Kręciło się tu sporo ludzi, wieśniaków, pachołków, giermków, dziewek, handlarzy, żonglerów, bernardynów, franciszkanów, Żydów i Cyganów. I sporo rycerzy i armigerów, w zbroi i nieodmiennie z mieczami u pasa lub pod pachą.

Rynsztunek rycerzy określał ich status i stan majątkowy. Większość była w pełnej płycie, a kilku wręcz pyszniło się wyrobami norymberskich, augsburskich i insbruckich mistrzów sztuki płatnerskiej. Byli jednak i tacy, których stać było tylko na płytę niekompletną, na noszone na kolczym pancerzu napierśniki, obojczyki, opachy lub nabiodrki.

Przeszli obok spichrza, na schodach którego koncertowała grupa grajków wagantów, rzępoliły gęśle, piskały fujarki, buczała basetla, grały fletnie i rożki. Waganci podskakiwali do rytmu, podzwaniały przy tym przyszyte do ich strojów dzwoneczki i brzękadełka. Opodal, na drewnianym podeście, kilku rycerzy tańczyło, jeśli można było tak nazwać skoki i hołubce kojarzące się raczej z chorobą świętego Wita. Czyniony przez nich na deskach łomot prawie zagłuszał gędźbę, a

wzbijany kurz unosił się wiercącą w nosie chmurą. Dziewki i Cyganki śmiały się i piszczały cieniej od goliardzkich piszczałek.

Na środku majdanu, na wielkim, wytyczonym na rogach maźnicami kwadracie udeptanej ziemi oddawano się rozrywkom bardziej męskim. Rycerze w zbrojach poddawali próbom wzajemne umiejętności w posługiwaniu się orężem i wytrzymałość blach. Dzwoniły klingi, hukały o tarcze topory i morgensterny, rozbrzmiewały dosadne klątwy i zachęcające okrzyki widzów. Dwóch rycerzy, z tego jeden ze złotym karpiem Glaubitzów na tarczy, bawiło się dość ryzykownie, bo bez hełmów. Glaubitz zadawał ciosy mieczem, jego przeciwnik, osłaniając się puklerzem, próbował chwycić broń w zęby łamacza głowni.

Reynevan stanął, by przyglądać się walce, ale Szarlej pociągnął go za łokieć, nakazując iść za raubritterami, których najwyraźniej jadło i napoje interesowały bardziej niż orężne zapasy. Niebawem znaleźli się w samym środku uczty i zabawy. Przekrzykując zgiełk, Rymbaba, Wittram i de Tresckow witali się ze znajomymi, wymieniali uściski dłoni i walnięcia w plecy. Wkrótce wszyscy, wliczając Szarleja i Reynevana, siedzieli już w ścisku za stołem, ogryzali z mięsa wieprzowe i baranie łopatki i spełniali kubki pod życzenia zdrowia, szczęścia i tego, by się nam dobrze działo. Gardząc czymś tak nikczemnie małym jak kubek, srodze widać spragniony Rymbaba pił miód z mieszczącego garniec ceberka, złocisty trunek lał mu się z wąsów na napierśnik.

– Zdrowia! W ręce wasze!

– Na honor, w wasze!

– Żeby nam się dobrze działo!

Oprócz walczącego na majdanie Glaubitza byli wśród raubritterów i inni, którzy najwyraźniej nie uważali, by zbójecki proceder hańbił rodowy herb i wcale się z owym nie kryli. Niedaleko Reynevana miażdżył zębami chrząstki dryblas w jace z herbem rodu Kottwitzów – czerwonym balkiem w polu srebrnym. W pobliżu kręcił się drugi, kędzierzawy, noszący Różę, herb Porajów, polskich rycerzy takim właśnie skrzykujących się *cri de guerre*. Jeszcze inny, szeroki w barach jak tur, odziany był w lentner ozdobiony złotym rysiem. Reynevan nie pamiętał, co to za herb, ale wnet mu przypomniano.

– Pan Bożywoj de Lossow – dokonał prezentacji Notker von Weyrach. – Panowie Szarlej i Hagenau.

– Na honor – Bożywoj de Lossow wyjął z ust świńskie żebro, tłuszcz kapnął na złotego rysia. – Na honor, powitać. Hagenau, hmm... Potomek jaki tego słynnego poety?

– Nie.

– Aha. Tedy napijmy się. Zdrowia!

– Zdrowia.

– Pan Wencel de Hartha – przedstawiał kolejnych podchodzących Weyrach. – Pan Buko von Krossig.

Reynevan przyjrzał się ciekawie. Noszący lamowaną mosiądzem zbroję Buko von Krossig był osobą na Śląsku sławną, zwłaszcza od ubiegłorocznych Zielonych Świątek, kiedy to dopuścił się głośnej grabieży na orszaku i osobie kustosza głogowskiej kolegiaty. Teraz, zmarszczywszy czoło i zmrużywszy powieki, sławny raubritter wpatrywał się w Szarleja.

– Czy my się nie znamy? Czyśmy się już gdzie nie widzieli?

– Nie wykluczam – odparł swobodnie demeryt. – Może w kościele?

– Zdrowia!

– Szczęścia!

– Żeby nam się!

– ...rada – mówił Buko von Krossig do Weyracha. – Będziemy radzić. Niech jeno wszyscy zjadą. Traugott von Barnhelm. I Ekhard von Sulz.

– Ekhard Sulz – skrzywił się Notker von Weyrach. – No jasne. Ten wszędy nos wściubi. A o czym to radzić mamy?

– O wyprawie – rzekł rycerz siedzący opodal, dystyngowanie niosąc do ust kawałki mięsa, które sztyletem odrzynał z trzymanego w garści udźca. Miał długie, silnie szpakowate włosy, zadbane dłonie i oblicze, którego szlachetności nie kaziły nawet stare szramy.

– Podobno – powtórzył – wyprawa się szykuje.

– A na kogóż to, panie Markwarcie?

Szpakowaty nie zdążył odpowiedzieć. Na majdanie wszczęło się zamieszanie i rwetes. Ktoś klął, ktoś wrzeszczał, urwanie zaskomlał kopnięty pies. Ktoś gromko wołał cyrulika lub Żyda. Lub obu.

– Słyszycie? – wskazał głową szpakowaty, uśmiechając się drwiąco. – Rychło w czas. Co tam się stało? Hę? Panie Jaśku?

– Otto Glaubitz poszczerbił Johna Schoenfelda – odrzekł zdyszany rycerz z wąsami cienkimi i opadającymi jak u Tatara. – Medyka mu trza. A ów uszedł. Przepadł, parch, szelma.

– A kto się wczoraj odgrażał, że nauczy Żyda jeść obyczajnie? Kto się brał przemocą karmić go świniną? Kogom prosił, by w pokoju ostawić nieboraka? Kogom upominał?

– Jako zwykle praw byliście, cny panie von Stolberg – przyznał niechętnie wąsaty. – Ale co nam teraz czynić? Schoenfeld krwawi jak wieprz, a po cyruliku jeno jego żydowskie przyrządy ostały...

– Dawać tu te przyrządy – rzekł głośno i bez zastanowienia Reynevan. – I dawać tu rannego. I światła, więcej światła!

Rannym, który po chwili z hukiem zbroi wylądował na stole, okazał się ów z majdanu, jeden z walczących bez hełmu. Skutkiem nierozwagi okazał się rozrąbany aż do kości policzek i nadcięte mocno, zwisające ucho. Ranny klął i rzucał się, krew obficie lała się na lipowe deski stołu, plamiła mięso, wsiąkała w chleb.

Przyniesiono sakwę medyka, w świetle kilku skwierczących łuczyw Reynevan zabrał się do pracy. Znalazł flakon z larendogrą, wylał zawartość na ranę, przy tej operacji pacjent zatrzepotał jak jesiotr i o mało nie spadł ze stołu, musiano go więc przytrzymać. Reynevan prędko nawlókł dratwą krzywą igłę i wziął się do szycia, starając się robić w miarę równe ściegi. Operowany jął potwornie bluźnić, plugawie dotykając niektórych dogmatów religijnych, szpakowaty Markwart von Stolberg zatkał mu więc usta kawałem schabu. Reynevan podziękował wzrokiem. I szył, szył i wiązał pod ciekawym wzrokiem oblegającej stół publiki. Ruchami głowy opędzając się od ciem, gęsto lecących do pochodni, skupiał się na tym, by przytwierdzić ucięte ucho jak najbliżej pierwotnej lokalizacji.

– Czyste płótno – poprosił po jakimś czasie. Natychmiast złapano i odarto z koszuli jedną z przyglądających się dziewek, protesty uciszono, dając jej parę razy w papę.

Reynevan dokładnie i grubo obandażował głowę rannego poprutym na pasy lnem. Ranny, o dziwo, nie zemdlał, lecz usiadł, niewyraźnie powiedział coś o świętej Łucji, zajęczał, zastękał i uścisnął Reynevanowi dłoń. Zaraz potem wszyscy inni wzięli się do ściskania, gratulując medykowi dobrej roboty. Reynevan gratulacje przyjmował, uśmiechnięty i dumny. Choć świadom był, że z uchem nie bardzo mu poszło, to jednak na licznych otaczających go gębach widział ślady po ranach zszytych dużo gorzej. Ranny bełkotał coś spod bandaży, ale nikt go nie słuchał.

– A co? Zuch, nieprawdaż? – obok przyjmował gratulacje Szarlej. – *Doctus doctor*, niech mnie diabli. Dobry medyk, hę?

– Dobry – przyznał, wcale nie okazując skruchy, winowajca, ów Glaubitz ze złotym karpiem w herbie, wręczając Reynevanowi kubek miodu. – I trzeźwy, a to wśród konowałów rzadkość. Miał Schoenfeld szczęście!

– Miał szczęście – skomentował zimno Buko von Krossig – boś to ty go ciął. Gdybym to był ja, nie byłoby co szyć.

Zainteresowanie zdarzeniem spadło nagle, przerwane przez nowych gości, wjeżdżających na kromoliński majdan. Raubritterzy zaszumieli, zapanowało podniecenie, świadczące, że nie byle kto wjeżdża. Reynevan przyjrzał się, wycierając ręce.

Kawalkadę kilkunastu zbrojnych wiodło trzech jeźdźców. W środku jechał łysiejący grubas w czarno emaliowanej płycie, mający po prawicy rycerza z ponurą gębą i ukośną blizną na czole, a po lewicy księdza lub mnicha, ale z kordem u boku i w żelaznym obojczyku na kolczudze wdzianej wprost na habit.

– Przyjechali Barnhelm i Sulz – ogłosił Markwart von Stolberg. – Do karczmy, panowie rycerze! Na ting! Dalej, dalej! Zawołać mi tych, co się z dziewkami gżą po sąsiekach! Pobudzić śpiących! Na ting!

Powstało małe zamieszanie, niemal każdy z udających się na naradę rycerzy zaopatrywał się w coś do jedzenia i picia. Gromko i groźnie wzywano pachołków, by wytaczali nowe antałki i kufy. Wśród tych, którzy na wezwanie przybiegli, pojawił się i Samson Miodek. Reynevan cichaczem przyzwał go i zatrzymał przy sobie. Chciał oszczędzić towarzyszowi losu służby, której raubritterzy nie żałowali kuksańców i kopniaków.

– Idźcie na ten ting – rzekł Szarlej. – Wmieszajcie się w tłum. Dobrze będzie wiedzieć, co planuje to towarzystwo.

– A ty?

– Mam chwilowo inne plany – demeryt złowił wzrokiem płomienne oczy kręcącej się w pobliżu Cyganki, urodziwej, choć nieco przysadzistej, ze złotymi pierścionkami powplatanymi w kruczoczarne loki. Cyganka mrugnęła do niego.

Reynevan miał chęć na komentarz. Ale zwalczył ją w sobie.

●

W karczmie był ścisk. Pod niską powałą snuł się dym i smród. Woń ludzi od dawna nie zdejmujących zbroi, to znaczy odór żelaza i nie tylko. Rycerze i armigerzy pogrupowali ławy tak, by utworzyć coś w rodzaju imitacji okrągłego stołu króla Artura, ale daleko nie dla wszystkich starczyło tam miejsca. Duża część stała. Wśród tych, na końcu, by nie rzucać się w oczy, Reynevan i Samson Miodek.

Ting otworzył, witając co znaczniejszych z imienia, Markwart von Stolberg. Zaraz potem głos zabrał Traugott von Barnhelm, ów nowo przybyły, otyły i łysawy, w blachach pokrytych czarną emalią.

– Rzecz, znaczy się, w tym – zagaił, ze szczękiem kładąc przed sobą miecz w pochwie – że Konrad, biskup Wrocławia, zwołuje zbrojnych pod swe znaki. Znaczy się, zbiera wojsko, żeby znowu uderzyć na Czechów, znaczy się, na kacerzy. Będzie, znaczy się, krucjata. Uwiadomił mnie przez poufnika pan starosta Kolditz, że kto chce, może się do wojska krzyżowego zaciągnąć. Winy będzie krzyżowiec miał przebaczone, a co zarobi, to jego. Konradowi popi gadali przy tym różności, jednako nie spamiętałem, ale jest tu pater Hiacynt, com go, znaczy się, wziął po drodze, on wam to lepiej wyłoży.

Pater Hiacynt, ów ksiądz w zbroi, wstał, rzucił na stół własną broń, ciężki i szeroki kord.

– Błogosławiony Pan – zagrzmiał jak z ambony, wznosząc ręce kaznodziejskim gestem – opoka moja! On moje ręce zaprawia do walki, moje palce do wojny! Bracia! Wiara odeszła! W Czechach kacerska zaraza nabrała sił nowych, ohydny smok husyckiej herezji unosi łeb obmierzły! Czyż wy, pasowani rycerze, będziecie patrzeć na to obojętnie, gdy pod znaki krzyżowe garną się tłumnie ludzie stanów niższych? Gdy widząc, że husyci wciąż żyją, co rano płacze i frasuje się Matka Boska? Szlachetni panowie! Przypominam wam słowa świętego Bernarda: zabić nieprzyjaciela dla Chrystusa to zyskać go dla Chrystusa!

– Do rzeczy – wtrącił ponuro Buko von Krossig. – Streszczaj się, pater.

– Husyci – pater Hiacynt walnął w stół obu pięściami naraz – Bogu są wstrętni! Bogu więc będzie miłe, gdy uderzym w nich mieczem, nie pozwalając, by wciągali dusze w swój błąd i plugastwo! Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć! Śmierć tedy, śmierć czeskim odszczepieńcom, ogień i zagłada kacerskiej zarazie! Dlatego powiadam i proszę, imieniem jego dostojności biskupa Konrada, obleczcie, bracia rycerze, na zbroje znak krzyża, stańcie się anielską milicją! A będą wam

grzechy i winy odpuszczone, tak na tym padole, jak i na Sądzie Bożym. A co który zarobi, to jego.

Czas jakiś panowała cisza. Komuś się odbiło, komuś przeciągle zaburczało w brzuchu. Markwart von Stolberg odchrząknął, podrapał się za uchem, powiódł wzrokiem dookoła.

– I cóż – zagaił – powiecie, panowie rycerze? Hę? Panowie anielska milicja?

– Należało się tego spodziewać – przemówił jako pierwszy Bożywoj de Lossow. – Gościł we Wrocławiu legat Branda, z orszakiem bogatym, ha, dumałem nawet napaść gdzieś na krakowskim trakcie, ale eskorta była za silna. Nie tajna to rzecz, że kardynał Branda do krucjaty wzywa. Dojedli husyci rzymskiemu papie!

– Bo też i prawda, że w Czechach faktycznie nie jest wesoło – dodał Jaśko Chromy z Łubni, znany już Reynevanowi raubritter o wąsach jak u Tatara. – Oblężone są twierdze Karlsztajn i Żebrak, mogą paść lada dzień. Widzi mi się, że jeśli my w porę czegoś z Czechami nie zrobimy, to Czesi coś zrobią z nami. Trza to, widzi mi się, pod rozwagę wziąć.

Ekhard von Sulz, ten z ukośną blizną na czole, zaklął, walnął dłonią w rękojeść miecza.

– Jest mi co rozważać! – parsknął. – Dobrze gada pater Hiacynt: śmierć kacerzom, ogień i zagłada! Bij Czecha, kto cnotliwy! A przy okazji obłowimy się, bo i słusznie to, by za grzech była kara, a za cnotę nagroda.

– Prawda to – odezwał się Woldan z Osin – że krucjata to duża wojna. A na dużej wojnie rychlej się ludzie bogacą.

– Rychlej też – zauważył kędzierzawy Poraj – po łbie biorą. I mocniej.

– Lękliwy się zrobiłeś, panie Błażeju – zawołał Otto Glaubitz, rębacz uszu. – A czego się tu bać? Raz matka rodziła! A tutaj co, nie nadstawiamy szyi, na przemysł chodząc? A czym się tu wzbogacisz? Co tu urwiesz? Kupcowi sakiewkę? A tam, w Czechach, w walnym boju, jak poszczęści ci się rycerza żywym wziąć, możesz żądać okupu nawet i dwieście kóp groszy. Powalisz zaś, weźmiesz konia, zbroję z ubitego, to jest najmniej dwadzieścia grzywien, licz jak chcesz. A miasto jakie zdobędziem...

– No! – podochocił się Paszko Rymbaba. – Miasta tamój bogate, w zamkach skarbce pełne. Choćby ten Karlsztajn, o którym wciąż się gada. Dobędziemy i złupimy...

– Ot, wymyślił – parsknął rycerz z czerwonym balkiem w herbie. – Toć Karlsztajn nie w husyckim, lecz katolickim ręku. Oblężona jest twierdza przez heretyków, krucjata ma iść na odsiecz właśnie! A ty, Rymbaba, głupi capie, nic się na polityce nie rozumiesz.

Paszko Rymbaba poczerwieniał i nastroszył wąsy.

– Ty bacz, Kottwitz – wrzasnął, wyciągając zza pasa czekan – kogo głupim zwiesz! O politykę nie stoję, ale na tym, jak w łeb dać, to ja się rozumiem dość!

– *Pax, pax* – uspokoił Bożywoj de Lossow, przemocą nieledwie sadzając Kottwitza, który już przechylał się przez stół z dłonią zaciśniętą na mizerykordii. – Spokój! Obaj! Zupełnie jak dzieci! Nic, tylko schlać się i do nożów.

– A pan Hugo praw – dodał Traugott von Barnhelm. – Iście nie przyswajasz ty, Paszko, politycznych arkanów. Toć o krucjacie mówim. Wiesz li ty, co to krucjata? To tak, jak Gotfryd de Bouillon, jak Ryszard Lwie Serce, znaczy się, wiecie, rozumiecie, Jeruzalem i w ogóle. Nie?

Raubritterzy pokiwali głowami, ale Reynevan stawiał każde pieniądze, że nie każdy pojął. Buko von Krossig wypił duszkiem kubek, walnął nim o stół.

– Jebał pies – ogłosił trzeźwo – Jeruzalem, Ryszarda Lwie Serce, bulion, politykę i religię. Będziem łupić i tyle, kogo popadnie i kto podleci, czort z nim i z jego wiarą. Niesie wieść, że tak Polacy w Czechach czynią, Fedor z Ostrogu, Dobko Puchała i insi. Nieźle się już, mówią, nachapali. A my, anielska milicja, to co, gorsi?

– Nie gorsi! – wrzasnął Rymbaba. – Dobrze Buko gada!

– Na mękę Pańską, dobrze!

– Na Czechy!

Podniósł się rwetes. Samson nachylił się nieznacznie ku uchu Reynevana.

– Wypisz wymaluj – szepnął – Clermont w roku tysiąc dziewięćdziesiątym piątym. Tylko patrzeć chóralnego *Dieu le veult*.

Wielkolud mylił się jednak, euforia trwała nader krótko, zgasła, niby słomiany ogień, stłumiona przekleństwami i groźnymi spojrzeniami sceptyków.

– Nazwani Puchała i Ostrogski – odezwał się milczący do tej pory Notker Weyrach – nachapali się, bo wojują po zwycięskiej stronie. Tej,

co bije, a nie tej, co jest bita. Jak do tej pory krzyżowcy z Czech więcej przywozili guzów niźli bogactw.

– Prawda – potwierdził po chwili Markwart von Stolberg. – Opowiadali ci, co byli pod Pragą w roku dwudziestym, jak to Miśniacy Henryka Isenburga uderzyli na Wzgórze Witkowskie. I jak uciekli, zostawiając pod szańcem górę trupów.

– Husyccy księża – dodał, kiwając głową, Wencel de Hartha – bili się pono na tym szańcu u boku wojaków, a wyli przy tym jako wilcy, zgroza brała. Nawet baby tam wojowały, tłukły cepami, jak szałem jęte... A tych, co żywi wpadli husytom w łapy...

– Bajanie! – machnął ręką pater Hiacynt. – Zresztą na Witkowie był Żiżka. I diabelska moc, której się zaprzedał. A teraz nie ma już Żiżki. Rok mija, jak się w piekle smaży.

– Nie było – powiedział Tassilo de Tresckow – Żiżki pod Wyszehradem, w dzień Wszystkich Świętych. A tam, chociaż czterokrotną mieliśmy przewagę, srogie wzięliśmy od husytów baty. Okrutnie nas zbili, stłukli i pogonili tak, że do dziś wstyd wspominać, jakeśmy stamtąd uciekali. W popłochu, na oślep, byle dalej, dopokąd konie nie zaczęły charczeć... A pięć setek trupów zaległo pole. Znamienitsi z czeskich i morawskich panów: Henryk z Plumlova, Jarosław ze Szternberka... Z Polski pan Andrzej Balicki herbu Topór. Z Łużyc pan von Rathelau. Z naszych zaś, ze Ślązaków, pan Henryk von Laasan...

– Pan Stosz z Schellendorfu – dokończył w ciszy Stolberg. – Pan Piotr Schirmer. Nie wiedziałem, że byłeś pod Wyszehradem, panie Tassilo.

– Byłem. Bom poszedł, jak głupi, ze śląskim wojskiem, z Kantnerem Oleśnickim i Rumpoldem z Głogowa. Tak, tak, panowie, Żiżkę diabli wzięli, ale są w Czechach insi, co nie gorzej bić umieją. Pokazali to pod Wyszehradem, wtedy, w dzień Wszystkich Świętych: Hynek Kruszyna z Lichtenburka, Hynek z Kolsztajnu, Wiktoryn z Podiebrad. Jan Hviezda. Rohacz z Dube. Zapamiętajcie sobie te nazwiska. Bo je usłyszycie, z krucjatą się do Czech wybrawszy.

– O, wa – przerwał ciężką ciszę Hugo Kottwitz. – Strachy na Lachy! Pobili was, boście sami bić się nie umieli. Wojowałem i ja z husytami, w roku dwudziestym pierwszym, pod panem Putą z Czastolovic. Pod Petrovicami daliśmy kacerzom bobu, że wióry leciały! Potem nawiedziliśmy mieczem i ogniem kraj chrudimski, puściliśmy z dymem

Żampach i Litice. I braliśmy łup, aż hej! Zbroja, co ją noszę, bawarskiej roboty, stamtąd właśnie...

– Próżno ględzić – uciął Stolberg. – Trza wreszcie coś uradzić. Idziem do Czech czy nie?

– Ja idę! – oznajmił gromko i dumnie Ekhard von Sulz. – Plenić trza kąkol herezji, ot co. Wypalać trąd, nim wszystko stoczy.

– Ja też idę – rzekł de Hartha. – Muszę łupu nabrać. W potrzebie jestem. Żenić się zamiaruję.

– Na zęby świętej Apolonii! – wyrwał się Kuno Wittram. – Łupem i ja nie pogardzę!

– Łup jedno – bąknął niepewnie nieco Woldan z Osin – ale pono kto weźmie krzyż, grzechy będzie miał na pytel odpuszczone. A nagrzeszyło się... Oj, nagrzeszyło!

– Ja nie idę – rzekł krótko Bożywoj de Lossow. – Nie będę guza szukał po obcych stronach.

– Ja nie idę – rzekł spokojnie Notker Weyrach. – Bo jeśli Sulz idzie, znaczy, sprawa jest śliska i śmierdzi.

Znowu wybuchła wrzawa, posypały się klątwy, przemocą posadzono Ekharda Sulza z kordem już do połowy dobytym.

– Mnie – rzekł, gdy się uspokoiło, Jaśko Chromy z Łubni – jeśli gdzie iść, to wolej do Prus. Z Polakami na Krzyżaków. Albo *vice versa*. Zależy, kto lepiej zapłaci.

Przez chwilę wszyscy gadali i przekrzykiwali jeden drugiego, wreszcie gestami uciszył towarzystwo kędzierzawy Poraj.

– Ja na tę krucjatę nie ruszę – oznajmił w ciszy. – Bo nie pójdę na sznurek do biskupów i popów. Nie dam, by mię jako psa na kogo szczuli. Co to za krzyżowa wyprawa? Na kogo? Czesi nie Saraceni. Do boju monstrancję przed sobą niosą. A że im się nie podoba Rzym? Papa Odo Colonna? Branda Castiglione? Nasz biskup Konrad i insi prałaci? Nie dziwię się. Mnie też się nie podobają.

– Breszesz ty, Jakubowski! – rozdarł się Ekhard von Sulz. – Czesi kacerze są! Heretycką naukę wyznają! Kościoły palą! Diabłu cześć oddają!

– Goli chadzają!

– A żony – krzyknął pater Hiacynt – to chcą, by wspólne były! Chcą...

– Pokażę wam – przerwał gromko Poraj – czego Czesi chcą. A wy, wierę, zastanowicie się, z kim tu, a przeciw komu iść trzeba.

Na dany znak zbliżył się niemłody goliard w czerwonym rogatym kapturze i kabacie z powycinaną w ząbki baskiną. Goliard wyciągnął zza pazuchy zwinięty pergamin.

– Niech wiedzą wszyscy wierni chrześcijanie – przeczytał donośnie i dźwięcznie – że Królestwo Czeskie niezmiennie trwa i z Bożą pomocą trwać będzie, na śmierć i życie, przy niżej spisanych artykułach. Po pierwsze: by w Królestwie Czeskim swobodnie i bezpiecznie głoszono słowo Boże i by księża głosili je bez przeszkód...

– Co to jest? – zawołał von Sulz. – Skąd ty to masz, grajku?

– Niechaj go – zmarszczył się Notker von Weyrach. – Skąd ma, to ma. Czytaj, chłopie.

– Po drugie: by Ciało i Krew Chrystusa Pana rozdawane były pod postacią obojgą chleba i wina wszystkim wiernym...

– Po trzecie: by księżom odebrano i zniesiono ich świecką władzę nad bogactwem i dobrem doczesnym, aby dla zbawienia swego wrócili do reguły Pisma i żywota, jaki wiódł Chrystus ze swymi apostołami.

– Po czwarte: by wszystkie grzechy śmiertelne i inne występki przeciw prawu bożemu karano i potępiono...

– Kacerskie pismo! Samo słuchanie to grzech! Kary bożej się nie boicie?

– Zawrzyj gębę, pater!

– Cisza! Niech czyta!

– ...wśród księży: świętokupstwo, kacerstwo, branie pieniędzy za chrzest, za bierzmowanie, za spowiedź, za komunię, za oleje święte, za wodę świeconą, za msze i modlitwy za zmarłych, od postów, od bicia w dzwony, za probostwa, za stanowiska i prałatury, za dostojeństwa, za odpusty...

– A co? – wziął się pod boki Jakubowski. – Nieprawda może?

– Dalej: wynikające stąd herezje i hańbiące kościół Chrystusowy cudzołóstwo, przeklęte płodzenie synów i córek, sodomia i inne rozpusty, gniew, kłótnie, zwady, obmowa, dręczenie prostego ludu, ograbianie go, ściąganie opłat, danin i ofiar. Każdy sprawiedliwy syn swej matki, kościoła świętego, powinien to wszystko odrzucić, wyrzec się, nienawidzić jak diabła i mieć to w obrzydzeniu...

Dalsze czytanie zakłóciła ogólna wrzawa i zamieszanie, podczas którego, jak zauważył Reynevan, goliard wymknął się cichcem wraz ze

swym pergaminem. Raubritterzy wrzeszczeli, klęli, popychali się, skakali sobie do oczu, ba, zaczęły już zgrzytać klingi w pochwach.

Samson Miodek trącił Reynevana w bok.

– Wydaje mi się – mruknął – że warto, byś rzucił okiem w okno. I to szybko.

Reynevan rzucił. I zmartwiał.

Na kromoliński majdan wjeżdżało stępa trzech konnych.

Wittich, Morold i Wolfher Sterczowie.

Rozdział osiemnasty

w którym do tradycji i obyczajów rycerskich wkracza – z hukiem – nowoczesność, a Reynevan – jakby chciał uzasadnić tytuł książki – robi z siebie błazna. I jest zmuszony przyznać się do tego. Przed całą przyrodą.

Reynevan miał powody do wstydu i złości, uległ bowiem panice. Na widok wjeżdżających do Kromolina Sterczów owładnął nim bezmyślny, głupi strach i strach ten głupio i bezmyślnie nim pokierował. Jego wstyd był tym większy, że w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Miast trzeźwo ocenić sytuację i zadziałać w myśl rozsądnego planu, zareagował jak spłoszone i szczute zwierzę. Wyskoczył przez okno alkierza i rzucił się do ucieczki. Między szopy i klecie, w kierunku gąszcza nadrzecznej wikliny, oferującego, jak mu się wydawało, bezpieczny i ciemny azyl.

Ocaliło go szczęście i katar, który od kilku dni gnębił Stefana Rotkircha.

Sterczowie bowiem dobrze zaplanowali łowy. Wjechali do Kromolina we trzech. Pozostała zaś trójka, czyli Rotkirch, Dieter Haxt i Puchacz von Knobelsdorf, przybyli do osady wcześniej i niepostrzeżenie obsadzili najbardziej prawdopodobne drogi ucieczki. Reynevan jak nic wpakowałby się wprost na zasadzonego za szopą Rotkircha, gdyby nie to, że przeziębiony Rotkirch kichnął, kichnął tak potężnie, że jego spłoszony koń huknął kopytem w deski. Reynevan, choć panika mroziła mu mózg i niemal odbierała władzę w nogach, zatrzymał się w porę, zawrócił, przemknął obok kleci, obok kupy gnoju, na czworakach przepełzł pod płotem i skrył się za suchym chruśniakiem. Trząsł się tak, że zdawało mu się, iż cały chruśniak szeleści niczym targany wichurą.

– Pst! Pst, panicu!

Obok, za płotem, stał sześcioletni może chłopczyk w filcowej czapie i przewiązanej powrósłem koszuli sięgającej połowy brudnych łydek.

– Pst! Do sernika, panicu... Do sernika... Tamój!

Spojrzał we wskazanym kierunku. Na odległą o jakiś rzut kamieniem drewnianą konstrukcję, czworokątną, nakrytą szpiczastym gontowym dachem budę, wznoszącą się prawie trzy sążnie nad ziemią na czterech

solidnych słupach. Nazwana sernikiem buda bardziej przypominała wielki gołębnik. A najbardziej pułapkę bez wyjścia.

– Do sernika – ponaglił chłopczyk. – Sybko... Tamój się schowajta...

– Tam?

– Ano. My się wsyscy zawse tam chowamy.

Reynevan nie podjął dyskusji, tym bardziej, że całkiem niedaleko ktoś zagwizdał, a głośne kichnięcie i tup konia zwiastowały zbliżanie się zakatarzonego Rotkircha. Szczęściem Rotkirch, skręciwszy między klecie, wjechał wprost na gęsią obórkę, a gęsi podniosły dziki i zagłuszający wszystko jazgot. Reynevan zrozumiał, że albo teraz, albo nigdy. Skulony puścił się biegiem skrajem chruśniaka, dopadł sernika. I zmartwiał. Nie było drabiny, a o wspięciu się po wygładzonej dębinie słupów nie mogło być i mowy.

Klnąc w duchu swą głupotę już miał zamiar uciekać dalej, gdy usłyszał ciche syknięcie, a z góry, z czarnego otworu, spłynął, niczym wąż, zawęźlony sznur. Reynevan ucapił linę rękoma i nogami, migiem znalazł się na górze, w mrocznym, dusznym i przesyconym odorem starego sera wnętrzu. Tym, który spuścił sznur i pomógł mu wejść, był goliard w czerwonym kabacie i rogatym kapturze. Ten sam, który dopiero co odczytywał w karczmie husycką libellę.

– Pst – syknął, kładąc palec na ustach. – Bądźcie cicho, panie.

– Czy tu jest...

– Bezpiecznie? Tak. My się zawsze tu chowamy.

Reynevan może i próbowałby ustalić, dlaczego w takim razie tak regularnie się chowających nikt regularnie nie znajduje, ale nie było czasu. Tuż obok sernika przejechał Rotkirch. Kichnął i pojechał dalej, nie zaszczycając budowli na słupach nawet spojrzeniem.

– Wyście – odezwał się w mroku goliard – Reinmar z Bielawy. Brat Piotra. Zamordowanego w Balbinowie.

– Bezbłędnie – potwierdził po chwili Reynevan. – Ty zaś skryłeś się tu ze strachu przed Inkwizycją.

– Bezbłędnie – potwierdził po chwili goliard. – To, co w karczmie czytałem... Artykuły...

– Wiem, co to były za artykuły. Ale ci, co przyjechali, to nie Inkwizycja.

– Nigdy nie wiadomo.

– Prawda. Ale wyglądało, że masz protektorów. A jednak się ukryłeś.

– A wy nie?

●

Sernik miał w ścianach liczne otwory, służące zapewnieniu suszonym gomółkom obiegu powietrza, ale i umożliwiające wszechstronną obserwację. Reynevan przywarł okiem do dziury wychodzącej na karczmę i oświetlony przez maźnice majdan. Mógł widzieć, co się działo. Odległość nie pozwalała słyszeć. Ale domyślić się wcale nie było trudno.

●

Narada wojenna w karczmie trwała jeszcze, opuścili ją tylko nieliczni. Sterczów powitały więc na majdanie głównie psy, oprócz tych tylko armigerzy i kilku zaledwie raubritterów, wśród nich Kuno Wittram i John von Schoenfeld z obandażowaną gębą. „Powitali" było zresztą słowem wybitnie za dużym, mało który z rycerzy w ogóle podniósł głowę. Wittram i dwóch jeszcze całą uwagę poświęcali szkieletowi barana, z żeber którego zdrapywali i pakowali do ust resztki mięsa. Schoenfeld gasił pragnienie małmazją, ciągnąc ją za pomocą przepchniętej przez bandaże słomki. Kowale i kupcy poszli spać, dziewki, mnisi, waganci i Cyganie gdzieś przezornie znikli, pachołkowie udawali bardzo zajętych. Skutek był taki, że Wolfher Stercza musiał powtórzyć zadane pytanie.

– Pytałem – zagrzmiał z wysokości siodła – czyście widzieli młodzika, odpowiadającego opisowi. Czy był lub jest tu taki? Może ktoś wreszcie zechce mi odpowiedzieć? Hę? Czyście, zaraza na was, pogłuchli?

Kuno Wittram wypluł baranią kostkę wprost pod kopyta Sterczowego konia. Drugi rycerz wytarł palce o wapenrok, spojrzał na Wolfhera i znacząco obrócił pas z mieczem. Schoenfeld, nie podnosząc wzroku, zabulgotał przez swoją słomkę.

Podjechał Rotkirch, po chwili dołączył Dieter Haxt. Obaj przecząco pokręcili głowami pod pytającymi spojrzeniami Wolfhera i Morolda. Wittich zaklął.

– Kto widział takiego, któregom opisał? – powtórzył Wolfher. – Kto? Może ty? Nie? A może ty? Tak, ty, wielgusie, do ciebie mówię! Widziałeś?

– Nie – zaprzeczył stojący pod karczmą Samson Miodek. – Nie widziałem.

– Kto widział i wskaże – Wolfher oparł się o łęk – ten dostanie dukata. No? Ot, dukat, żebyście nie myśleli, że łżę. Wystarczy wskazać mi człeka, którego szukam. Potwierdzić, że tu jest lubo był. Kto to uczyni, dukat jego! No? Kto chce zarobić? Ty? A może ty?

Jeden z pachołków zbliżył się z ociąganiem, rozglądając niepewnie.

– Ja, panie, widzia... – zaczął. Ale nie dokończył, bo John von Schoenfeld potężnie kopnął go w tyłek. Pachołek upadł na czworaki. A potem zerwał się i uciekł, kulejąc.

Schoenfeld wziął się pod boki, spojrzał na Wolfhera i niewyraźnie zabełkotał spod bandaży.

– Hę? – Stercza pochylił się na kulbace. – Czego? Co on rzekł? Co to było?

– Nie jestem pewien – odrzekł spokojnie Samson. – Ale wydaje mi się, że coś o zasranych Judaszach.

– I mnie się tak zdaje – potwierdził Kuno Wittram. – Na beczkę świętego Wilibroda! Nie lubimy Judaszów, tu, w Kromolinie.

Wolfher poczerwieniał, a potem zbladł, zaciskając pięść na trzonku nahaja. Wittich ruszył konia, a Morold sięgnął po miecz.

– Nie radzę – rzekł stojący w drzwiach karczmy Notker von Weyrach, mający u jednego boku de Tresckowa, u drugiego Woldana z Osin, a za plecami Rymbabę i Bożywoja de Lossow. – Nie radzę zaczynać, panowie Sterczowie. Bo klnę się na Boga, co wy zaczniecie, to my skończymy.

●

– To oni zamordowali mi brata – sapnął Reynevan, wciąż z okiem przy dziurze w ścianie sernika. – Oni, Sterczowie, zlecili to zabójstwo. Da Bóg, dojdzie do kłótni... I raubritterzy ich rozsieką... Peterlin będzie pomszczony.

– Nie liczyłbym na to.

Odwrócił się. Oczy goliarda świeciły w mroku. Co on sugeruje, pomyślał. Na co mam nie liczyć, na kłótnię czy na zemstę? Czy ani na jedno, ani na drugie?

●

– Nie chcę zwady – mówił, spuściwszy z tonu, Wolfher Stercza. – I nie szukam kłopotów. Ot, pytam grzecznie. Człek, którego ścigam, brata mi ubił i bratową zhańbił. Moje prawo dochodzić sprawiedliwości...

– Oj, panowie Sterczowie – pokiwał głową Markwart von Stolberg, gdy przebrzmiały śmiechy. – Kiepsko żeście się z tą waszą bolączką do Kromolina wybrali. Idźcie, radzę wam, dokądś indziej szukać sprawiedliwości. Do sądu, przykładowo.

Weyrach parsknął, de Lossow ryknął śmiechem. Stercza pobladł, świadom, że z niego kpią, Morold i Wittich zgrzytali zębami tak, że niemal krzesali iskry. Wolfher kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, na majdan wpadł cwałem Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem.

●

– Łajdaki – zgrzytnął zębami Reynevan. – Że też nie ma na nich kary... Że też nie smagnie ich Bóg swoim biczem, że też nie ześle na nich jakiegoś anioła...

– Kto wie? – westchnął w pachnącej serem ciemności goliard. – Kto wie?

●

Puchacz podjechał do Wolfhera, mówił coś szybko, podniecony i czerwony na twarzy, wskazywał w stronę młyna i mostu. Nie musiał mówić długo. Bracia Sterczowie dali rumakom ostrogi i galopem puścili się przez majdan, w stronę przeciwną, między klecie, w kierunku brodu na rzece. Za nimi gnali, nie oglądając się za siebie, Puchacz, Haxt i kichający Rotkirch.

– Krzyż na drogę! – splunął za nimi Paszko Rymbaba.

– Poczuły myszy kota! – zaśmiał się sucho Woldan z Osin.

– Tygrysa – poprawił znacząco Markwart von Stolberg. Stał bliżej i dosłyszał, co Puchacz powiedział Wolfherowi.

●

– Ja tam – rzekł z ciemności goliard – nie wychodziłbym jeszcze.

Reynevan, już prawie wisząc na zawęźlonej linie, zatrzymał się.

– Nic mi już nie grozi – zapewnił. – Ale ty uważaj. Za to, co czytałeś, palą na stosie.

– Są rzeczy – goliard przysunął się bliżej, tak by sącząca się szparą jasność księżyca oświeciła mu twarz – są rzeczy warte tego, by życiem dla nich ryzykować. Sami dobrze o tym wiecie, panie Reynevanie.

– Coś chciał przez to rzec?

– Toć dobrze wiecie, co.

– Ja cię znam – westchnął Reynevan. – Widziałem cię już...

– Widzieliście i owszem. U brata w Powojowicach. Ale ostrożnie z tym, lepiej o tym nie gadać. Gadulstwo to przywara w dzisiejszych czasach zgubna. Niejeden już sobie gardło własnym przydługim ozorem poderżnął, jak mawia...

– Urban Horn – dokończył Reynevan, sam dziwiąc się swej domyślności.

– Ciszej – syknął goliard. – Ciszej z tym imieniem, panie.

●

Sterczowie, zaiste, pierzchnęli z osady w dziwnym popłochu, jak przed tatarskim zagonem, jak na wieść o dżumie, wiali, jakby diabeł następował im na pięty. Widok ten bardzo poprawił samopoczucie Reynevana. Kiedy jednak zobaczył, przed kim uciekali, gdy spostrzegł, kto do Kromolina wjeżdża, dziwić się przestał.

Na czele oddziałku rycerzy i konnych strzelców jechał mężczyzna o mocno zarysowanej szczęce i barach szerokich jak wrota katedry, odziany w przepyszną i bogato złoconą mediolańską zbroję. Także koń rycerza, wielki karosz, był opancerzony: łeb zbroił mu *chamfron*, czyli naczółek, szyję folgowy nakarczek, *crinet*.

●

Reynevan wmieszał się pomiędzy kromolińskich raubritterów, którzy tymczasem tłumnie wysypali się na majdan. Nikt oprócz Samsona nie zauważył go i nie zwrócił na niego uwagi. Po Szarleju nigdzie nie było śladu. Wokół raubritterzy szumieli jak rój os.

Po bokach rycerza w mediolańskiej zbroi jechało dwóch – przetowłosy, ładny jak panna młodzik i smagły chudzielec o zapadniętych policzkach. Obaj byli również w pełnej płycie, obaj siedzieli na ladrowanych wierzchowcach.

– Hayn von Czirne – rzekł z podziwem Otto Glaubitz. – Widzicie, jaką nosi milanezę? Niech mnie licho, warta jak nic czterdzieści grzywien.

– Ten z lewej, ten młody – sapnął Wencel de Hartha – to Fryczko Nostitz. A ten z prawej to Vitelozzo Gaetani, Italczyk...

Reynevan westchnął lekko. Dokoła słyszał podobne westchnienia, sapnięcia i ciche klątwy, świadczące, że nie tylko jego zbulwersowało pojawienie się jednego z bardziej znanych i groźniejszych śląskich raubritterów. Hayn von Czirne, pan na zamczysku Nimmersatt, cieszył się sławą najgorszą z możliwych, a jego imię, jak się okazywało, budziło nie tylko przerażenie wśród kupców i spokojnych ludzi, ale i groźny respekt między kolegami po fachu.

Hayn von Czirne zatrzymał tymczasem konia przed starszyzną, zsiadł, podszedł, dzwoniąc ostrogami i zgrzypiąc zbroją.

– Panie Stolberg – przemówił głębokim basem. – Panie Barnhelm.

– Panie Czirne.

Raubritter obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy jego orszak ma broń pod ręką, a strzelcy kusze w pogotowiu. Upewniony, wsparł lewą dłoń na rękojeści miecza, a prawą na biodrze. Rozstawił nogi, zadarł głowę.

– Rzeknę krótko – zagrzmiał – bo czasu nie mam na długie gadanie. Ktoś napadł i obdarł Walonów, gwarków ze złotostockiej kopalni. A jam ostrzegał, że Waloni ze Złotego Stoku są pod moją opieką i ochroną. Tedy rzeknę wam coś, a wy baczcie: jeśli któryś z was, łotrzyki, palce w tym napadzie maczał, to niech się lepiej sam przyzna, bo jak ja go złapię, to pasy będę darł z takiego syna, choćby był i rycerz.

Twarz Markwarta Stolberga pokryła, rzekłbyś, czarna chmura. Kromolińscy raubritterzy zaszumieli. Fryczko Nostitz i Vitelozzo Gaetani nie poruszyli się, siedzieli na koniach jak dwie żelazne kukły. Ale strzelcy z orszaku pochylili kusze, gotowi do akcji.

– Podejrzenie o ów uczynek – kontynuował Hayn von Czirne – jest duże na Kunza Aulocka i Storka z Gorgowic, tedy rzeknę wam coś, a wy słuchajcie pilnie: będziecie tych złodziei i bękartów taić w Kromolinie, to mnie popamiętacie.

– Znaną jest rzeczą – ciągnął Czirne, nic sobie nie robiąc z rosnącego wśród rycerzy pogwaru – że bękarty Aulock i Stork są na żołdzie Sterczów, braci Wolfhera i Morolda, takich samych bękartów i szubrawców. Z tymi mam dawne sprawy, ale teraz przebrała się miarka. Pokaże się z Walonami prawda, to kiszki ze Sterczów wypuszczę. A za jednym obrotem i z tych, co ich kryć zamyślą.

– I jeszcze rzecz jedna, na sam koniec. Ale rzecz to nie najmniej ważna, więc uszu nadstawcie. Ktoś ostatnimi czasy sielnie się na

kupców zawziął. Co i rusz jakiegoś *mercatora* znajdują zimnym i sztywnym. Rzecz jest zresztą dziwna i wgłębiać się w nią nie myślę, ale rzeknę wam coś: augsburska kompania Fuggerów płaci mi za ochronę. Jeśli tedy którego *mercatora* od Fuggerów jaka niedobra przygoda spotka, a pokaże się, że to któryś z was, to niech się nad nim Bóg zlituje. Pojmujecie? Pojmujecie, tacy synowie?

Wśród rosnącego wściekłego pomruku Hayn von Czirne dobył nagle miecza, machnął nim, aż zaświszczało.

– A pakliby – ryknął – przeciwił się kto temu, com rzekł, lubo mniemał, że łżę, pakliby któremu to nie w smak było, tedy prosim tu, na plac! Wnet żelazem rzecz rozstrzygniem. Nuże! Czekam! Psia mać, od Wielkanocy nikogo nie ubiłem.

– Niepięknie postępujecie, panie Hayn – powiedział spokojnie Markwart von Stolberg. – Godzi się to?

– Nie tyczy się, com rzekł – Czirne jeszcze bardziej wysunął żuchwę – ani was, cny panie Markwarcie, ani imć pana Traugotta, ni w ogóle nikogo ze starszyzny. Ale swoje prawa znam. Z gromady wyzwać mi wolno.

– Jać tylko mówię, że to niepięknie. Wszyscy was znają. Was i wasz miecz.

– Tedy co? – parsknął zbój. – Mam, by mnie nie poznawano, za dziewkę się przebierać, jak Lancelot z Jeziora? Rzekłem, prawa swoje znam. A i oni je znają. Tu stojąca gromada posrańców z drżącymi łydkami.

Raubritterzy zaszumieli. Reynevan widział, jak stojącemu obok Kottwitzowi krew z wściekłości odpłynęła z twarzy, usłyszał, jak Wencel de Hartha zgrzytnął zębami. Otto Glaubitz porwał za rękojeść i zrobił ruch, jakby chciał wystąpić, ale Jaśko Chromy złapał go za ramię.

– Nie próbuj – mruknął. – Jemu spod miecza jeszcze nikt żywy nie uszedł.

Hayn von Czirne znowu wywinął mieczyskiem, przeszedł się, brzęcząc ostrogami.

– No i co, pierdziwory? – zagrzmiał. – Co, gównoluby? Nikt nie występuje? Wiecie, za co was mam? Za dupy wołowe was mam i dupami wołowymi ogłaszam! A co? Może kto zaprzeczy? Może się który poważy kłam mi zadać? Co, nikt? Tedy wszyscy, co do jednego, jesteście pierdoły, fafuły i cienkobzdzieje. I ogólna hańba dla rycerstwa!

Rycerze rabusie szumieli coraz donośniej, Hayn zdawał się jednak tego nie dostrzegać.

– Jednego – ciągnął, wskazując – tylko widzę między wami mężczyznę, o, tam stojącego Bożywoja de Lossow. Zaiste nie pojmuję, co taki czyni między gromadą wam podobnych popaprańców, porwiszów i łupikotów. Pewnie sam zszedł na psy, tfu, wstyd i srom.

Lossow wyprostował się, skrzyżował ramiona na ozdobionej herbowym rysiem piersi, bez lęku wytrzymał spojrzenie. Nie poruszył się jednak, stał z kamienną twarzą. Jego spokój wyraźnie rozzłościł Hayna von Czirne. Zbój poczerwieniał, wziął się pod bok.

– Kozojeby! – zaryczał. – Kiernozy nieskrobane! Obszczybruzdy! Wyzywam was, słyszycie, fajdanisy? No, który stanie? Pieszo lub konno, zaraz, tu, na tym placu! Na miecze lub na topory, na co zresztą chcecie, wybierajcie! No, który? Może ty, Hugonie Kottwitz? Może ty tam, Krossig? Może ty, Rymbaba, gnoju jeden?

Paszko Rymbaba pochylił się i złapał za miecz, szczerząc zęby spod wąsów. Woldan z Osin chwycił go za ramię, osadził w miejscu ciężką ręką.

– Nie błaznuj – syknął. – Życie ci niemiłe? Jemu nikt nie dostoi.

Hayn von Czirne zarechotał, jak gdyby dosłyszał.

– Nikt? Nikt nie wystąpi? Nie ma odważnego? Takem myślał! A, wy portkosraje! Psie chwosty! Dybidzbany! Garnkoskroby!

– A kurwa twoja mać! – wrzasnął nagle, występując, Ekhard von Sulz. – Hardopyszku! Gębaczu! Nadmidupo! Wychodź na plac!

– Stoję na nim – odrzekł spokojnie Hayn von Czirne. – Na co się spróbujemy?

– Na to! – Sulz uniósł samopał. – Hardyś, Czirne, boś gracz na miecze, mocarz na topory! Ale ninie idzie nowe! Oto nowoczesność! Równe szanse! Będziemy się strzelać!

Wśród wrzawy, jaka się podniosła, Hayn von Czirne podszedł do konia, po chwili wrócił, niosąc strzelbę. Jeśli zaś Ekhard Sulz miał zwyczajną piszczałę, prostą rurę na kiju, bronią Czirna była artystycznie wręcz wykonana rucznica, z graniastą lufą osadzoną w wyprofilowanym dębowym łożu.

– Niechaj będzie tedy broń ognista – ogłosił. – Niechaj będzie nowoczesność w domu i w zagrodzie. Wytyczcie szrank.

Poszło szybko. Mety wytyczono za pomocą dwóch wbitych w ziemię włóczni, wyznaczających dystans dziesięciu kroków w szpalerze płonących maźnic. Czirne i Sulz stanęli naprzeciw siebie, każdy z samopałem pod pachą i tlącym się lontem w drugiej ręce. Raubritterzy usunęli się na boki, schodząc z linii strzału.

– Gotów broń! – Notker Weyrach, który wziął na się obowiązek herolda, uniósł buzdygan. – Cel!

Adwersarze pochylili się, podnosząc lonty na wysokość zapałów.

– Pal!

Przez chwilę nic się nie działo, panowała cisza, lonty syczały i pryskały iskrami, śmierdział proch palony na panewkach. Wyglądało, że trzeba będzie przerwać pojedynek celem ponownego nabicia broni. Notker Weyrach już sposobił się, by dać znak, gdy niespodzianie piszczała Sulza wypaliła ze straszliwym hukiem, błysnął ogień, zakłębił się cuchnący dym. Bliżej stojący słyszeli gwizd kuli, która chybiła cel i poleciała gdzieś w stronę wychodka. W tym samym niemal momencie plunęła dymem i ogniem handkanona Hayna von Czirne. Z lepszym skutkiem. Kula trafiła Ekharda Sulza w podbródek i urwała mu głowę. Z szyi orędownika antyhusyckiej krucjaty trysnęła fontanna krwi, głowa łupnęła w ścianę stodółki, spadła, poturlała się po majdanie, wreszcie spoczęła w trawie, martwym okiem patrząc na obwąchujące ją psy.

– Kurde – powiedział w zupełnej ciszy Paszko Rymbaba. – Tego się chyba przyszyć już nie da.

●

Reynevan nie docenił Samsona Miodka.

W stajni nie zdążył nawet osiodłać konia, gdy poczuł na karku łaskotanie wzroku. Odwrócił się, zobaczył i stanął jak słup soli z trzymanym oburącz siodłem. Zaklął, po czym z rozmachem wpakował siodło koniowi na grzbiet.

– Nie potępiaj mnie – powiedział, nie odwracając się i udając bez reszty pochłoniętego uprzężą. – Muszę jechać za nimi. Chciałem uniknąć pożegnań. A właściwie pożegnalnych dyskusji, które nie dałyby nic poza zbytecznymi swarami i stratą czasu. Pomyślałem, że będzie lepiej...

Samson Miodek, wsparty o ościeżnicę, splótł ręce na piersi i milczał, ale jego spojrzenie było aż nadto wymowne.

– Muszę jechać za nimi – wypalił po chwili napiętego wahania Reynevan. – Nie mogę inaczej. Zrozum mnie. To dla mnie niepowtarzalna okazja. Opatrzność...

– Osoba pana Hayna von Czirne – uśmiechnął się Samson – nasuwa i mnie wiele skojarzeń. Żadnego jednak nie nazwałbym opatrznościowym. Ale cóż, rozumiem cię. Choć nie powiem, by łatwo mi to przychodziło.

– Hayn Czirne to wróg Sterczów. Wróg Kunza Aulocka. Nieprzyjaciel moich nieprzyjaciół, a więc mój naturalny sojusznik. Dzięki niemu mogę mieć szansę pomścić brata. Nie wzdychaj, Samsonie. Nie miejsce i nie czas na kolejną dysputę, zakończoną wywodem, że zemsta to rzecz płonna i bezsensowna. Tam mordercy mojego brata nie tylko chodzą sobie spokojnie po ziemi, ale jeszcze bez przerwy depczą mi po piętach, grożą śmiercią, prześladują kobietę, którą kocham. Nie, Samsonie. Nie ucieknę na Węgry, zostawiając ich tu w pysze i glorii. Mam okazję, mam sprzymierzeńca, znalazłem wroga mojego wroga. Czirne zapowiedział, że ze Sterczów i z Aulocka kiszki wypuści. Może to i płonne, może przyziemne, może niegodne, może bezsensowne, ale chcę go w tym wspomóc i chcę przy tym być. Chcę patrzeć, jak będzie wypuszczał.

Samson Miodek milczał. A Reynevan po raz nie wiadomo który nie mógł wyjść z podziwu, ile w jego mętnych oczach i nalanym obliczu idioty mogło pojawiać się zadumy i mądrej troski. I niemego, acz czytelnego wyrzutu.

– Szarlej... – zająknął się, dociągając popręg. – Szarlej, prawda to, pomógł mi, zrobił dla mnie wiele. Ale przecież sam słyszałeś, sam byłeś świadkiem... Nie raz. Ilekroć napomykałem o odwecie na Sterczach, odmawiał. Drwiąc przy tym i traktując mnie jak głupiego wyrostka. Kategorycznie odmawia pomocy w zemście, ba, nawet Adelę, sam słyszałeś, bagatelizuje, wyśmiewa, stale próbuje odwodzić mnie od jazdy do Ziębic!

Koń parsknął i zatupał, jak gdyby udzieliło mu się zdenerwowanie. Reynevan odetchnął głęboko, uspokoił się.

– Przekaż mu, Samsonie, niech nie ma żalu. Psiakrew, nie jestem niewdzięcznikiem, zdaję sobie sprawę, ile dla mnie zrobił. Ale chyba tak się właśnie najlepiej odwdzięczę, odchodząc. Sam powiedział: jestem największym ryzykiem. Beze mnie będzie mu łatwiej. Wam obu...

Zamilkł.

– Chciałbym, byś poszedł ze mną. Ale nie proponuję. Byłoby to z mojej strony brzydkie i nieuczciwe. To, co zamierzam, to rzecz ryzykowna. Z Szarlejem będziesz bezpieczniejszy.

Samson Miodek milczał długo.

– Odwodzić cię od twego zamiaru nie będę – powiedział wreszcie. – Nie będę narażał cię na, jak to ładnie nazwałeś, swary i stratę czasu. Powstrzymam się nawet z moją opinią co do sensowności przedsięwzięcia. Nie chcę też bynajmniej dodatkowo pogarszać sprawy i obarczać cię wyrzutami sumienia. Bądź jednak świadom, Reinmarze, że odchodząc, niweczysz moje nadzieje na powrót do mego własnego świata i własnej postaci.

Reynevan milczał długo.

– Samsonie – rzekł wreszcie. – Odpowiedz. Szczerze, jeśli możesz. Jesteś naprawdę... Czy jesteś... Czy to, co mówiłeś o sobie... Kim jesteś?

– *Ego sum, qui sum* – przerwał łagodnie Samson. – Jestem, kim jestem. Darujmy sobie pożegnalne wyznania. Nic one nie dadzą, niczego nie usprawiedliwią i niczego nie zmienią.

– Szarlej to człek bywały i zaradny – rzekł prędko Reynevan. – Na Węgrzech, zobaczysz, bez ochyby zdoła skontaktować cię z kimś, kto...

– Jedź już. Jedź, Reinmarze.

●

W całej kotlinie zalegała gęsta mgła. Na szczęście tuman leżał nisko, tuż przy ziemi, dzięki czemu nie groziło – przynajmniej na razie – zabłądzenie, widać było, którędy biegł gościniec, szlak widocznie i wyraźnie wytyczał rząd wystających z białego całunu krzywych wierzb, dzikich grusz i krzaków głogu. Nadto daleko, w ciemności, migotało i wskazywało drogę niewyraźne tańczące światełko – latarnia oddziału Hayna von Czirne.

Było bardzo zimno. Gdy Reynevan przejechał most na Jadkowej i wjechał w mgłę, miał wrażenie, że zanurza się w lodowatą wodę. Cóż, pomyślał, w końcu to już wrzesień.

Rozciągająca się wokół biała połać mgły dawała, odbijając światło, w sumie niezłą widoczność na boki, Reynevan jednak jechał wśród zupełnej ciemności, ledwo widząc uszy konia. Największy mrok panował – paradoksalnie – na samym gościńcu, w szpalerze drzew i gęstych krzy. Te ostatnie miały niejednokroć sylwetki tak sugestywnie

demoniczne, że młodzieniec kilka razy z wrażenia aż się wzdrygał i odruchowo ściągał wodze, płosząc i tak już płochliwego wierzchowca. Jechał dalej, wyśmiewając w duchu swą lękliwość. Jakżeż można, u diaska, bać się krzaków?

Dwa krzaki nagle zagrodziły mu drogę, trzeci wyrwał wodze. A czwarty przystawił do piersi coś, co mogło być tylko grotem rohatyny.

Dookoła zatupały kopyta, zgęstniał odór końskiego i ludzkiego potu. Szczęknęło krzesiwo, sypnęły się iskry, rozbłysły latarnie. Reynevan zmrużył oczy i odchylił się w siodle, bo jedną przysunięto mu niemal do samej twarzy.

– Na szpiega za ładny – powiedział Hayn von Czirne. – Na płatnego mordercę za młody. Pozory jednak potrafią mylić.

– Jestem...

Urwał i skulił się w kulbace, bo dostał czymś twardym w plecy.

– Na razie to ja decyduję, czym jesteś – stwierdził zimno Czirne. – I czym nie jesteś. Nie jesteś, przykładowo, rozwalonym bełtami trupem w rowie. Chwilowo, dzięki mojej decyzji właśnie. Ale teraz milcz, bo myślę.

– A co tu myśleć – odezwał się Vitelozzo Gaetani, Italczyk. Mówił po niemiecku płynnie, ale zdradzał go śpiewny akcent. – Nożem go po gardle i tyle. I jedziem, bo chłód i jeść się chce.

Z tyłu załomotały kopyta, zaparskały konie.

– Jest sam – zawołał Fryczko von Nostitz, którego z kolei zdradzał głos młody i miły. – Nikt za nim nie jedzie.

– Pozory potrafią mylić – powtórzył Czirne.

Z nozdrzy jego konia biła biała para. Podjechał blisko, zupełnie blisko, tak że zetknęli się strzemionami. Byli na wyciągnięcie ręki. Reynevan z przerażającą jasnością zdał sobie sprawę, dlaczego. Czirne sprawdzał. Prowokował.

– A ja – powtórzył z ciemności Italczyk – mówię, co by go nożem po gardle.

– Nożem, nożem – uniósł się Czirne. – U was wszystko proste. A mnie potem spowiednik dziurę w brzuchu wierci, nęka, wypomina, pry, to wielki grzech ubić bez powodu, trzeba mieć, pry, ważny powód, by ubić. Co spowiedź tak mi zrzędzi, powód, powód, nie lza bez powodu, skończy się tym, że wezmę i rozdziakam klesze czerep buławą, w końcu zniecierpliwienie to też powód, nie? Ale póki co, niechaj będzie, jak mi na spowiedzi nakazał.

– No, bratku – zwrócił się do Reynevana – gadaj, kim jesteś. Zobaczymy, jest powód, azali trzeba go dopiero wymyślić.

– Nazywam się Reinmar z Bielawy – zaczął Reynevan. A ponieważ nikt nie przerywał, kontynuował. – Mój brat, Piotr z Bielawy, został zamordowany. Morderstwo zlecili bracia Sterczowie, a dokonał Kunz Aulock i jego szajka. Nie mam więc powodów, by ich lubić. Zasłyszałem w Kromolinie, że i między wami nie ma przyjaźni. Jadę tedy waszym tropem, by donieść, że Sterczowie byli w osadzie, uciekli stamtąd na wieść o was. Pojechali na południe, przez bród na rzece. Mówię to wszystko i robię powodowany nienawiścią do Sterczów. Sam zemścić się na nich nie zdołam. Mam na to nadzieję w waszej kompanii. Niczego więcej nie chcę. Jeśli się pomyliłem... Wybaczcie i pozwólcie ruszyć w swoją drogę.

Wziął głęboki wdech, zmęczony szybko wygłoszoną oracją. Konie raubritterów pochrapywały, pobrzękiwały uprzężą, latarnie wydobywały z mroku upiorne, pląsające cienie.

– Von Bielau – parsknął Fryczko Nostitz. – U diaska, wychodzi, że to chyba jakiś mój pociotek.

Vitelozzo Gaetani zaklął po włosku.

– W drogę – rozkazał nagle krótko Hayn von Czirne. – Ty, panie z Bielawy, przy mnie. Blisko przy mnie.

Nawet nie kazał mnie obszukać, pomyślał Reynevan, ruszając. Nie sprawdził, czy mam ukrytą broń. A każe być przy sobie. To kolejna próba. I prowokacja.

Na przydrożnej wierzbie kołysała się powieszona latarnia, sprytny trik, mający zmylić jadącego śladem, upewnić go, że oddział jest daleko przed nim. Czirne zdjął latarnię, uniósł, jeszcze raz oświetlił Reynevana.

– Uczciwa twarz – skomentował. – Szczere, uczciwe oblicze. Wychodzi, pozory nie kłamią, a ów tu prawdę gada. Nieprzyjaciel Sterczów, tak?

– Tak, panie Czirne.

– Reinmar z Bielawy, tak?

– Tak.

– Wszystko jasne. Dalej, brać go. Rozbroić, związać. Postronek na szyję. Żywo!

– Panie Czirne... – wydusił z siebie chwycony mocnymi ramionami Reynevan. – Jakże to... Jakże...

– Jest na ciebie biskupi *significavit*, młodzieńcze – oświadczył niedbale Hayn von Czirne. – I nagroda za żywego. Poszukuje cię, widzisz, Inkwizycja. Czary albo herezja, mnie zresztą zajedno. Ale pojedziesz w pętach do Świdnicy, do dominikanów.

– Puśćcie mnie... – Reynevan stęknął, bo powróz boleśnie wgryzł mu się w przeguby rąk. – Proszę, panie Czirne... Jesteście wszak rycerzem... A ja muszę... Mnie spieszno... Do niewiasty, którą kocham!

– Jak nam wszystkim.

– Wszakże nienawidzicie moich wrogów! Sterczów i Aulocka!

– Fakt – przyznał raubritter. – Nienawidzę sukinsynów. Ale ja, młodzieńcze, nie jestem jakiś tam dzikus. Jestem Europejczyk. Nie pozwalam, by w interesach kierowały mną sympatie i antypatie.

– Ale... Panie Czirne...

– W konie, panowie.

– Panie Czirne... Ja...

– Panie Nostitz! – przerwał ostro Hayn. – To pański pono krewny. Niechże więc pan sprawi, by się uciszył.

Reynevan dostał pięścią w ucho tak, że w oczach mu rozbłysło, a głowę przygięło niemal do końskiej grzywy.

Nie odzywał się więcej.

●

Niebo na wschodzie pojaśniało w przeczuciu świtu. Zrobiło się jeszcze zimniej. Skrępowany Reynevan trząsł się, dygotał, w równej mierze z chłodu, co ze strachu. Nostitz kilka razy musiał przywołać go do porządku szarpnięciem powroza.

– Co z nim zrobimy? – spytał nagle Vitelozzo Gaetani. – Będziemy z sobą ciągnąć przez całe góry? Czy osłabimy oddział, dając mu eskortę do Świdnicy? Hę?

– Nie wiem jeszcze – w głosie Hayna von Czirne pobrzmiało zniecierpliwienie. – Myślę.

– A czy – nie rezygnował Italczyk – ta nagroda aż tyle warta? I czy za martwego dają dużo mniej?

– Nie o nagrodę mi idzie – warknął Czirne – ale o dobre stosunki ze Świętym Oficjum. A w ogóle to dosyć tego gadania! Powiedziałem, myślę.

Wyjechali na trakt, Reynevan poznał to po zmianie odgłosu i rytmu kopyt uderzających o grunt. Domniemywał, że był to gościniec wiodący do Frankensteinu, największego okolicznego grodu. Stracił jednak orientację i nie był w stanie odgadnąć, czy jadą w stronę miasta, czy oddalają się od niego. Zapowiedź odstawienia go do Świdnicy wskazywała na to drugie, rozpoznane na podstawie gwiazd strony świata mogły jednak sugerować, że jadą do Frankensteinu właśnie, na nocleg, dajmy na to. Zaniechał na chwilę plucia sobie w brodę i rozpamiętywania własnej głupoty, zaczął gorączkowo myśleć, układając fortele i plany ucieczki.

– Hoooo! – krzyknął ktoś z przodu. – Hoooo!

Zabłysła latarnia, wyławiając z mroku kanciaste kontury wozów i sylwetki jeźdźców.

– Jest – powiedział cicho Czirne. – Punktualnie! I tam, gdzie umówione. Lubię takich. Ale pozory potrafią mylić. Broń w pogotowiu. Panie Gaetani, zostańcie z tyłu i bądźcie czujni. Panie Nostitz, miejcie baczenie na krewniaka. Reszta za mną. Hoooo! Bywaj!

Latarnia z przeciwka zatańczyła w rytmie kroku konia. Zbliżało się trzech jeźdźców. Jeden pałubowaty w ciężkiej, obszernej, okrywającej zad wierzchowca szubie, w asyście dwóch kuszników, identycznych ze strzelcami Czirna – odzianych w łebki, żelazne kołnierze i brygantyny.

– Pan Hayn von Czirne?

– Pan Hanusz Throst?

– Lubię słownych i punktualnych – pociągnął nosem człowiek w szubie. – Widzę, że nasi wspólni znajomi nie przesadzali, wydając wam opinię i polecając. Rad jestem was widzieć i cieszę się ze współpracy. Możemy ruszać, jak mniemam?

– Moja współpraca – odrzekł von Czirne – kosztuje sto guldenów. Nasi wspólni znajomi nie mogli wam o tym nie nadmienić.

– Ale snadź nie z góry – parsknął człowiek w szubie. – Chyba nie sądziliście, panie, że na to pójdę. Jestem kupcem, człowiekiem interesu. A w interesach jest tak, że wpierw usługa, potem zapłata. Wasza usługa: eskortować mnie bezpiecznie przez Przełęcz Srebrną do Broumova. Wykonacie, będzie zapłacone. Sto guldenów, co do halerza.

– Lepiej – rzekł ze znaczącym naciskiem Hayn von Czirne – żeby tak było. Naprawdę lepiej, panie Throst. A na wozach cóż to wieziecie, jeśli wolno spytać?

– Towar – odrzekł spokojnie Throst. – Jaki, to rzecz moja. I tego, kto zań płaci.

– Jasne – kiwnął głową Czirne. – Mnie zresztą po cóż to wiedzieć. Mnie i tyle wiedzy dość, że towar to pewnikiem nie lichszy niźli ten, którym handlowali ostatnio inni. Fabian Pfefferkorn. I Mikołaj Neumarkt. Że o innych zmilczę.

– Może i dobrze, że zmilczycie. Za dużo gadamy. A czas by w drogę. Po co na rozstajach wystawać, licho kusić?

– Prawiście – Czirne obrócił konia. – Niczego tu nie wystoim. Dajcie znak, niech ruszą wozy. Względem zaś licha, to nie bójcie się. Owo licho, co się tak ostatnio sroży po Śląsku, ma zwyczaj z jasnego nieba uderzać. W samo południe. Iście, jak mówią popi, *daemonium meridianum*, demon, co niszczy w południe. A tu wokół, toć rozejrzyjcie się: ciemność.

Kupiec popędził konia, zrównał się z karoszem raubrittera.

– Na miejscu demona – powiedział po chwili – odmieniłbym zwyczaje, bo się zrobiły zanadto znane i przewidywalne. A ten sam psalm napomyka i o ciemnościach. Nie pamiętacie? *Negotio perambulans in tenebris...*

– Gdybym wiedział – w ponurym głosie Czirna zabrzmiało rozbawienie – żeście w takim strachu, podbiłbym stawkę. Do półtorej setki guldenów co najmniej.

– Zapłacę tyle – oświadczył Throst tak cicho, że Reynevan ledwo dosłyszał. – Sto pięćdziesiąt guldenów do ręki, panie Czirne. Gdy bezpiecznie dotrzemy na miejsce. Bo i prawda to, że jestem w strachu. Alchemik w Raciborzu stawiał mi horoskop, wróżył z kurzych kiszek... Wyszło, że śmierć krąży nade mną...

– Wierzycie w takie rzeczy?

– Do niedawna nie wierzyłem.

– A teraz?

– A teraz – rzekł twardo kupiec – znikam ze Śląska. Mądrej głowie dość dwie słowie, nie chcę skończyć tak, jak Pfefferkorn i Neumarkt. Wyjeżdżam do Czech, tam nie dosięgnie mnie żaden demon.

– Fakt – przytaknął Hayn von Czirne. – Tam nie. Husytów nawet demony się boją.

– Wyjeżdżam do Czech – powtórzył Throst. – A wasza rzecz sprawić, bym dotarł tam bezpiecznie.

Czirne nie odpowiedział. Wozy turkotały, skrzypiały na wybojach osie i piasty.

Wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń, tu zrobiło się jeszcze zimniej i jeszcze mgliściej. Usłyszeli szum wody na kamieniach.

– Węża – wskazał Czirne. – Rzeczka Węża. Stąd do przełęczy niecała mila. Hooo! Poganiaj, pogaaaniaj!

Pod podkowami i obręczami kół zastukały i zazgrzytały otoczaki, wkrótce woda zapluskała i spieniła się u końskich nóg. Rzeczka była niezbyt głęboka, ale rwąca.

Hayn von Czirne zatrzymał się nagle pośrodku brodu, znieruchomiał w siodle. Vitelozzo Gaetani obrócił konia.

– Co jest?

– Cicho. Ani słowa.

Zobaczyli wcześniej, niż usłyszeli. A zobaczyli białe rozbryzgi wody, pieniącej się pod kopytami koni szarżujących na nich korytem Węży. Dopiero potem dostrzegli sylwetki jeźdźców, dostrzegli płaszcze, powiewające na kształt upiornych skrzydeł.

– Do broni! – wrzasnął Czirne, wyszarpując miecz. – Do broni! Kusze!

Uderzył w nich wiatr, raptowny, dziki, wyjący, tnący twarze wicher. A potem uderzył w nich szaleńczy krzyk.

– *Adsumus! Adsuuumuuuus!*

Szczęknęły cięciwy kusz, zaśpiewały bełty. Ktoś krzyknął. A za moment konni runęli na nich w rozbryzgach wody, zwalili się jak huragan, tnąc mieczami, obalając i tratując. Zakłębiło się, noc rozdarły krzyki, wrzaski, łomot i szczęk żelaza, kwik i rżenie koni. Fryczko Nostitz runął w rzekę razem z wierzgającym wierzchowcem, obok zwalił się z pluskiem zarąbany armiger. Któryś ze strzelców zawył, wycie zamieniło się w charkot.

– *Adsuuumuuus!*

Uciekający Hanusz Throst odwrócił się w kulbace, zakrzyczał, widząc tuż za sobą wyszczerzony koński pysk, a za nim czarną sylwetkę w kapturze. Była to ostatnia rzecz, jaką zobaczył na ziemi. Wąskie ostrze miecza ugodziło go w twarz, między oko a nos, z chrupem wbiło się w czaszkę. Kupiec wyprężył się, zatrzepał rękami i runął na kamienie.

– *Adsumus!* – wrzasnął z triumfem czarny jeździec. – *In nomine Tuo!*

Czarni jeźdźcy spięli konie i runęli w mrok. Z jednym wyjątkiem. Hayn von Czirne rzucił się w ślad, skoczył z kulbaki, ucapił jednego, obaj

zwalili się w wodę, obaj zerwali zaraz, zaświszczały i ze szczękiem zderzyły się miecze. Walczyli zaciekle, stojąc po kolana w pieniącej się rzeczce, snopy iskier sypały się z kling.

Czarny rycerz potknął się. Czirne, stary gracz, takiej okazji przepuścić nie mógł. Uderzył z półobrotu, w głowę, ciężki passawski brzeszczot rozciął kaptur, rozłupał i zniósł hełm. Czirne zobaczył przed sobą zalaną krwią, trupiobiałą, upiornie wykrzywioną twarz, wiedział nagle, że twarzy tej nie zapomni nigdy. Ranny zaryczał i zaatakował, ani myśląc upaść, choć upaść powinien. Czirne zaklął, uchwycił miecz oburącz i ciął jeszcze raz, z mocnego skrętu bioder, płasko w szyję. Trysnęła czarna krew, głowa opadła na ramię, zwisła, trzymając się chyba tylko na skrawku skóry. A bezgłowy rycerz szedł dalej, wymachując mieczem i chlapiąc dokoła posoką.

Któryś ze strzelców zawył ze zgrozy, dwaj inni rzucili się do panicznej ucieczki. Hayn von Czirne nie cofnął się. Zabluźnił straszliwie i niezwykle bezbożnie, stanął mocno na nogach i ciął raz jeszcze, tym razem odrąbując głowę do końca i odwalając całe niemal ramię. Czarny rycerz runął w płytką przybrzeżną wodę, tłukąc się tam, rzucając i kopiąc w konwulsjach. Długo trwało, zanim znieruchomiał.

Hayn von Czirne odepchnął od kolan obracanego prądem trupa kusznika w brygantynie. Dyszał ciężko.

– Co to było? – spytał wreszcie. – Co to, na Lucyfera, było?

– Jezu, bądź miłościw... – mamrotał stojący obok Fryczko Nostitz. – Jezu, bądź miłościw...

Rzeczka Węża śpiewnie szumiała na kamieniach.

•

Reynevan tymczasem uciekał, a szło mu tak, jak gdyby całe życie nie robił nic innego, tylko galopował w więzach. A galopował jak się patrzy, mocno zahaczywszy spętane przeguby o łęk siodła, wtuliwszy twarz w grzywę, z całej mocy ściskając boki konia kolanami, rwał takim cwałem, że aż ziemia drżała i wyło w uszach powietrze. Koń, kochane zwierzę, zdawał się rozumieć, w czym rzecz, wyciągał szyję i dawał z siebie, ile mógł, dowodząc, że przez ostatnie pięć czy sześć lat nie dawano mu owsa na darmo. Podkowy biły o stwardniały grunt, szumiały zawadzane w dzikim galopie krzaki i wysokie trawy, smagały gałęzie. Szkoda, że Dzierżka de Wirsing tego nie widzi, pomyślał Reynevan, choć w zasadzie

świadom był, że jego umiejętności jeździeckie w tej chwili sprowadzają się raczej tylko do tego, by jakoś utrzymać się w siodle. Ale, pomyślał zaraz, to i tak dużo.

Pomyślał może odrobinę za wcześnie, bo koń zdecydował się właśnie przeskoczyć zwalony pień. I przeskoczył, całkiem zgrabnie, tyle, że za pniem był wykrot. Wstrząs osłabił chwyt, Reynevan zleciał między łopiany, szczęściem tak wielkie i gęste, że zdolne choć w części zamortyzować impet upadku. Ale uderzenie o ziemię i tak wytłoczyło mu z płuc całe powietrze i sprawiło, że z jękiem zwinął się w kłębek.

Rozwinąć się już nie zdążył. Ścigający go Vitelozzo Gaetani zeskoczył z siodła tuż obok.

– Chciałeś uciec? – wycharczał. – Mnie? Ty wyskrobku!

Zamierzył się, by kopnąć, ale nie kopnął. Szarlej wyrósł jak spod ziemi, pchnął go w pierś i poczęstował swoim ulubionym kopniakiem pod kolano. Italczyk nie upadł jednak, zatoczył się tylko, wyrwał miecz z pochwy i ciął od ucha. Demeryt zwinnie uskoczył z zasięgu ostrza, obnażył własną broń, krzywą szablę. Zawinął nią, świsnął na krzyż, szabla śmigała w jego dłoni jak błyskawica i syczała jak żmija.

Gaetani nie dał się zastraszyć demonstrowaną sprawnością szermierczą, z dzikim wrzaskiem skoczył na Szarleja z mieczem. Ścięli się ze szczękiem. Trzy razy. Za czwartym Italczyk nie zdążył sparować ciosu znacznie szybszej szabli. Dostał w policzek, zalał się krwią. Mało mu było, byłby może i chciał walczyć dalej, ale Szarlej nie dał mu szans. Doskoczył, głowicą trzasnął między oczy. Gaetani runął między łopuchy. Zawył dopiero wtedy, gdy upadł.

– *Figlio di puttana!*

– Podobno – Szarlej wytarł klingę liściem. – Ale cóż począć, matka jest tylko jedna.

– Nie chcę psuć zabawy – powiedział Samson Miodek, wyłaniając się z mgły z trzema końmi, w tym i z chrapiącym i spienionym gniadoszem Reynevana. – Ale może by tak odjechać? I może galopem?

●

Mleczna opona pękła, mgły uniosły się, rozwiały w blasku przebijającego się przez chmury słońca. Zatopiony w *chiaroscuro* długich cieni świat pojaśniał nagle, zalśnił, zapłonął barwami. Zupełnie jak u Giotta. Jeśli, naturalnie, ktoś widział freski Giotta.

Zalśniły czerwoną dachówką wieże niedalekiego Frankensteinu.

– A teraz – rzekł, napatrzywszy się, Samson Miodek – teraz do Ziębic.

– Do Ziębic – zatarł ręce Reynevan. – Ruszamy do Ziębic. Przyjaciele... Jak się wam odwdzięczę?

– Pomyślimy o tym – obiecał Szarlej. – Na razie zaś... Zsiądź z konia.

Reynevan usłuchał. Wiedział, czego się spodziewać. Nie pomylił się.

– Reynevanie z Bielawy – powiedział Szarlej głosem dostojnym i uroczystym. – Powtarzaj za mną: Jestem durniem!

– Jestem durniem...

– Głośniej!

– Jestem durniem! – dowiadywały się zamieszkujące okolicę, a budzące się właśnie stworzenia boże: myszy badylarki, ropuchy, kumaki, chomiki, kuropatwy, trznadle i kukułki, ba, nawet muchołówki żałobne, krzyżodzioby świerkowe i salamandry plamiste.

– Jestem durniem – powtarzał za Szarlejem Reynevan. – Durniem patentowanym, głupcem, kretynem, idiotą i błaznem godnym zamknięcia w Narrenturmie! Cokolwiek wymyślę, okazuje się szczytem głupoty, cokolwiek uczynię, szczyty te przekracza. Solennie przyrzekam, że się poprawię.

– Szczęściem dla mnie – toczyła się po mokrych łąkach poranna litania – szczęściem całkiem niezasłużonym, mam przyjaciół, którzy nie zwykli zostawiać w biedzie. Mam przyjaciół, na których zawsze mogę liczyć. Albowiem przyjaźń...

Słońce uniosło się wyżej i złotym blaskiem zalało pola.

– Przyjaźń to rzecz piękna i wielka!

Rozdział dziewiętnasty

w którym nasi bohaterowie trafiają w Ziębicach na bardzo europejski turniej rycerski. Dla Reynevana zaś kontakt z Europą okazuje się bardzo przykry. Ba, bolesny nawet.

Byli już tak blisko Ziębic, że mogli w całej okazałości podziwiać imponujące mury i wieże, wyłaniające się zza porośniętego lasem pagórka. Dookoła jaśniały strzechy chałup podgrodzia, wśród pól i łąk trudzili się rolnicy, pełzał nisko nad ziemią brudny dym palonych chwastów. Pastwiska pstrzyły się od owiec, łąki nad stawami bieliły od gęsi. Maszerowali obładowani koszami wieśniacy, dostojnie stąpały utuczone woły, turkotały wypełnione sianem i jarzynami wozy. Słowem, gdzie się nie spojrzało, widziało się znamiona dobrobytu.

– Przyjemny kraj – ocenił Samson Miodek. – Pracowita, dostatnia dziedzina.

– I praworządna – Szarlej wskazał na szubienice, uginające się pod ciężarem wisielców. Obok, ku radości wron, kilkanaście trupów gniło na palach, bielały też kości na kołach.

– Prawdziwie! – zarechotał demeryt. – Widać, że prawo tu prawo znaczy, a sprawiedliwość sprawiedliwość.

– Gdzie sprawiedliwość?

– Tu, o.

– Ach.

– Stąd też – gadał dalej Szarlej – bierze się dostatek, jakże słusznie przez ciebie, Samsonie, zauważony. Zaiste, takie miejscowości godzi się odwiedzać w celach sensowniejszych niźli ten, co nam przyświeca. Dla przykładu, by oszwabić, wykiwać i w butlę nabić któregoś z dobrze sytuowanych mieszkańców tej dziedziny, co nie byłoby trudne, jako że dobrobyt masami wręcz rodzi kpów, frajerów, naiwniaków i durniów. A my jedziemy, aby... Eeech... Szkoda słów.

Reynevan nie skomentował ni jednym nawet słowem. Nie chciało mu się. Słuchał podobnych tekstów już od bardzo długiego czasu.

Wyjechali zza pagórka.

– Chryste – sapnął Reynevan. – Ależ ludzi! Co to jest?

Szarlej zatrzymał konia, stanął w strzemionach.

– Turniej – odgadł po chwili. – To jest turniej, drodzy panowie. *Torneamentum*. Co dziś za dzień? Czy ktoś pamięta?

– Ósmy – policzył na palcach Samson. – *Mensis Septembris*, naturalnie.

– O! – Szarlej spojrzał na niego z ukosa. – To macie tam, w zaświatach, taki sam kalendarz?

– Ogólnie rzecz biorąc, owszem – Samson nie zareagował na zaczepkę. – Pytałeś o datę, odpowiedziałem. Życzysz sobie czegoś jeszcze? Jakiś bliższych danych? Jest święto Narodzin Marii Panny, *Nativitas Mariae*.

– A zatem – skonstatował Szarlej – turniej odbywa się z tej właśnie okazji. W drogę, panowie.

Podmiejskie błonie pełne było luda, widać też było prowizoryczne trybuny dla widzów lepszej kategorii, obite kolorowym suknem, udekorowane girlandami, wstęgami, piastowskimi orłami i tarczami herbowymi rycerstwa. Obok trybun wznosiły się budy rzemieślników i stragany sprzedawców jadła, relikwii i suwenirów, nad wszystkim zaś powiewała feeria różnobarwnych flag, chorągwi, proporców i gonfalonów. Nad pomruk tłumu wybijał się co i raz miedziany głos surm i trąb.

Wydarzenie w zasadzie nikogo dziwić nie powinno. Książę ziębicki Jan wraz z kilkoma innymi książętami i wielmożami śląskimi należał do Rudenbandu, Towarzystwa Obroży, którego członkowie zobowiązywali się do turniejowania przynajmniej raz do roku. W odróżnieniu jednak od większości książąt, którzy z kosztochłonnego obowiązku wywiązywali się raczej niechętnie i mało regularnie, Jan z Ziębic co i rusz urządzał turnieje. Księstwo, malutkie wszak, było, wbrew pozorom, mało dochodowe, kto wie, czy nie najuboższe pod tym względem na Śląsku, mimo to książę Jan zastawiał się, a stawiał się. Zadłużył się po uszy u Żydów, sprzedał, co miał do sprzedania, puścił w dzierżawę, co miał do puszczenia. Od ruiny uratowało go małżeństwo z Elżbietą Melsztyńską, bardzo bogatą wdową po wojewodzie krakowskim Spytku. Księżna Elżbieta, póki żyła, hamowała nieco Jana i jego szeroki gest, ale gdy zmarła, książę ze zdwojoną siłą wziął się za trwonienie schedy. W Ziębicach znowu zaczęły się turnieje, hulaszcze uczty i wystawne polowania.

Znowu zagrzmiały trąby, zakrzyczał tłum. Byli już na tyle blisko, by ze wzgórza zobaczyć szranki – klasyczne, długie na półtrzeciasta, szerokie na sto kroków, ogrodzone podwójnym płotem z bali, po zewnętrznej szczególnie solidnym, zdolnym powstrzymać napór tłuszczy. Wewnątrz szranków ustawiono barierę, wzdłuż której, pochyliwszy kopie, właśnie szarżowało na siebie dwóch rycerzy. Tłum ryczał, gwizdał i bił brawo.

– Ten turniej – ocenił Szarlej – owo *hastiludium*, które podziwiamy, ułatwi nam zadanie. Całe miasto się tu zebrało. Patrzcie, o, tam powłazili nawet na drzewa. Założę się, Reinmarze, że twojej ukochanej nie pilnuje nikt. Zsiadajmy z koni, by nie rzucać się w oczy, obejdźmy ten hałaśliwy jarmark, wmieszajmy się między rolników i wkroczmy do miasta. *Veni, vidi, vici!*

– Nim pójdziemy w ślady Cezara – pokręcił głową Samson Miodek – należałoby sprawdzić, czy ukochanej Reinmara nie ma trafunkiem wśród turniejowych spektatorów. Jeśli zebrało się całe miasto, może i ona tu jest?

– A cóż Adela – Reynevan zsiadł z konia – miałaby robić wśród tego towarzystwa? Ją tu więżą, przypominam. Więźniów nie zaprasza się na turnieje.

– Zapewne. Ale cóż szkodzi sprawdzić?

Reynevan wzruszył ramionami.

– Dalejże więc. Chodźmy.

Musieli iść ostrożnie, uważając, by nie wdepnąć w kupę. Okoliczne zagajniki stały się, jak przy okazji każdego turnieju, powszechną latryną. Ziębice liczyły sobie około pięciu tysięcy mieszkańców, turniej mógł też przywabić gości, co razem dawało w przybliżeniu jakieś pięć i pół tysiąca osób. Wyglądało na to, że każda z tych osób była w krzakach przynajmniej dwukrotnie, by wysrać się, wysikać i wyrzucić niedogryziony obwarzanek. Śmierdziało jak diabli. Ewidentnie nie był to pierwszy dzień turnieju.

Trąby zatrąbiły, tłum znowu krzyknął jednym wielkim głosem. Tym razem byli już na tyle blisko, by wcześniej usłyszeć trzask kruszonych kopii i łomot, z jakim zderzyli się kolejni zawodnicy.

– Wystawny turniej – ocenił Samson Miodek. – Wystawny i bogaty.

– Jak to u księcia Jana.

Minął ich krzepki parobczak, prowadzący w krzaki hożą, rumianą i ognistooką krasawicę. Reynevan z sympatią przyjrzał się parze, życząc

im w duchu, by znaleźli miejsce dyskretne i zarazem wolne od gówien. Myśl zaprzątnął mu natrętny obraz tego, czemu zaraz para w krzakach się odda, w kroczu przyjemnie zamrowiło. Nic to, pomyślał, nic to, mnie od podobnych rozkoszy z Adelą dzielą też już tylko chwile.

– Tędy – Szarlej z właściwym sobie wyczuciem poprowadził ich między budy kowali i płatnerzy. – Dajcie wierzchowce tu, do płotu. I chodźcie tędy, tu luźniej.

– Spróbujmy podejść bliżej trybuny – powiedział Reynevan. – Jeśli Adela tu jest, to...

Jego słowa zagłuszyły fanfary.

– *Aux honneurs, seigneurs chevaliers et escuiers!* – zakrzyknął gromko marszałek heroldów, gdy fanfary przebrzmiały. – *Aux honneurs! Aux honneurs!*

Dewizą księcia Jana była nowoczesność. I europejskość. Wyróżniając się w tym względzie nawet pośród Piastów śląskich, książę ziębicki cierpiał na kompleks prowincjusza, bolał nad tym, że jego księstwo leży na peryferiach cywilizacji i kultury, na rubieży, za którą już nic, tylko Polska i Litwa. Książę ciężko to przeżywał i chorobliwie wręcz parł ku Europie. Dla otoczenia było to nieraz bardzo uciążliwe.

– *Aux honneurs!* – krzyczał po europejsku marszałek heroldów, odziany w żółty tabart z wielkim czarnym piastowskim orłem. – *Aux honneurs! Laissez les aller!*

Rzecz jasna, marszałek, stary dobry niemiecki *Marschall*, u księcia Jana zwał się z europejska *Roy d'armes*, pomagali mu heroldowie – europejscy persewanci, a gonitwa na kopie przez płot, stare dobre *Stechen über Schranken*, zwała się kulturalnie i europejsko: *la jouste*.

Rycerze złożyli kopie w toki i z łomotem kopyt poszli na się wzdłuż bariery. Jeden, jak wynikało z godeł na kropierzu, wyobrażających szczyt góry nad srebrno-czerwoną szachownicą, pochodził z rodu Hobergów. Drugi rycerz był Polakiem, świadczył o tym herb Jelita na tarczy i kozioł w klejnocie modnie zakratowanego turniejowego hełmu.

Europejski turniej księcia Jana przyciągnął mnóstwo gości ze Śląska i zagranicy. Przestrzeń między płotami szranków i specjalnie ogrodzony plac wypełniali bajecznie kolorowi rycerze i giermkowie, w tym i przedstawiciele co ważniejszych śląskich rodów. Na tarczach, końskich kropierzach, lentnerach i wapenrokach widniały zatem jelenie poroża Bibersteinów, baranie głowy Haugwitzów, złote klamry Zedlitzów, turze

łby Zettritzów, szachownice Borschnitzów, skrzyżowane klucze Uechteritzów, ryby Seidlitzów, bełty Bolzów i dzwonki Quasów. Jakby tego było mało, tu i ówdzie widziało się godła czeskie i morawskie – ostrzewie panów z Lipy i Lichtenburka, odrzywąsy panów z Kravarz, Dube i Bechyni, osęki Mirovskich, lilie Zvolskich. Nie brakowało i Polaków – Starychkoniów, Awdańców, Doliwów, Jastrzębców i Łodziów.

Wspomożeni potężnymi ramionami Samsona Miodka Reynevan i Szarlej wdrapali się na węgieł, a potem na dach budy kowala. Stamtąd Reynevan uważnie zlustrował bliską już trybunę. Zaczął od końca, od osób mniej ważnych. Był to błąd.

– Na Boga – westchnął bardzo głośno – Adela tam jest! Tak, na mą duszę... Na trybunie!

– Która to?

– Ta w zielonej sukni... Pod baldachimem... Obok...

– Obok samego księcia Jana – nie przegapił Szarlej. – Rzeczywiście, piękność. Cóż, Reinmarze, gustu gratuluję. Znajomości kobiecej duszy pogratulować nie mogę. Potwierdza się, oj, potwierdza mój pogląd, że poronionym pomysłem była nasza ziębicka odyseja.

– To nie jest tak – zapewnił sam siebie Reynevan. – To nie może być tak... Ona... Ona jest więźniem...

– Czyim, zastanówmy się? – Szarlej osłonił oczy dłonią. – Obok księcia siedzi Jan von Biberstein, pan na zamku Stolz, za Bibersteinem leciwa niewiasta, której nie znam...

– Eufemia, starsza siostra księcia – rozpoznał Reynevan. – Za nią... Czyżby Bolko Wołoszek?

– Dziedzic na Głogówku, syn księcia opolskiego – Szarlej jak zwykle imponował wiedzą. – Obok Wołoszka zaś siedzi starosta kłodzki, pan Puta z Czastolovic, z żoną, Anną z Kolditzów. Dalej siedzą Kilian Haugwitz i jego małżonka Ludgarda, dalej stary Herman Zettritz, dalej Janko z Chotiemic, pan na zamku Książ. Właśnie wstaje i bije brawo Gocze Schaff z Greifensteinu, z żoną, chyba, obok niej zasiada Mikołaj Zedlitz na Alzenau, starosta otmuchowski, obok niego Gunczel Świnka ze Świn, dalej ktoś z trzema rybami w polu czerwonym, a więc Seidlitz albo Kurzbach. Z drugiej zaś strony dostrzegam Ottona von Borschnitz, dalej któregoś z Bischofsheimów, dalej widzę Bertolda Apoldę, cześnika z Schönau. Dalej siedzą Lotar Gersdorf i Hartung von Klüx, obaj

Łużyczanie. Na dolnej ławie zasiadają, jeśli mnie wzrok nie myli, Boruta z Więcemierzyc i Seckil Reichenbach, pan na Ciepłowodach... Nie, Reinmarze. Nie widzę nikogo, kto mógłby uchodzić za strażnika twojej Adeli.

– Tam dalej – bąknął Reynevan – siedzi Tristram von Rachenau. To krewniak Sterczów. Tak samo von Baruth, ten z turem w herbie. A tam... Ach! Psiakrew! To być nie może!

Szarlej mocno złapał go za ramię, gdyby nie to, Reynevan byłby spadł z dachu.

– Czyj to widok – spytał zimno – tak tobą wstrząsnął? Widzę, że twe wytrzeszczone oczy przylgnęły do dziewoi z jasnymi kosami. Tej, do której zalecają się właśnie młody von Dohna i jakiś polski Rawicz. Znasz ją? Któż to jest?

– Nikoletta – powiedział cicho Reynevan. – Nikoletta Jasnowłosa.

●

Plan, zdawałoby się, genialny w swej prostocie i zarazem zuchwałości, wziął w łeb, przedsięwzięcie nie powiodło się na całej linii. Szarlej przewidywał to, ale Reynevan nie dał się powstrzymać.

Do zaplecza turniejowej trybuny przylegały prowizoryczne konstrukcje, zbudowane z pali i rusztowań opiętych płótnem. Widzowie – przynajmniej ci lepiej urodzeni i sytuowani – spędzali tam przerwy w turnieju, bawiąc się wzajem rozmową, flirtując i popisując strojem. A także racząc się jadłem i napitkiem – w stronę owych namiotów co i rusz bowiem posługacze toczyli beczki, nosili antałki i kadki, transportowali nosidła z koszami. Pomysł, by zakraść się do kuchni, wmieszać między sługi, chwycić kosz bułek i udać się z nim do namiotu, Reynevan uważał za genialny właśnie. Niesłusznie.

Udało mu się dotrzeć jedynie do przedsionków, do miejsca, w którym produkty składowano, a z którego dalej nosili je paziowie. Reynevan, konsekwentnie realizując swój plan, postawił kosz, niepostrzeżenie wymknął się z szeregu wracających do kuchni pachołków i zakradł za namioty. Wyciągnął sztylet, by wyciąć w płótnie dziurkę obserwacyjną. I wtedy go capnięto.

Unieruchomił go chwyt kilku par krzepkich rąk, żelazna dłoń ścisnęła za gardło, druga, równie żelazna, wydusiła sztylet z palców. Wewnątrz

pełnego rycerstwa namiotu znalazł się szybciej, niż się spodziewał, choć niezupełnie tak, jak się spodziewał.

Pchnięto go silnie, upadł, tuż przed sobą zobaczył modne ciżmy z nieprawdopodobnie długimi noskami. Ciżmy takie zwano *poulaines*, nazwa zaś, choć europejska, wcale nie z Europy się brała, lecz od Polski, obuwiem takim zasłynęli bowiem na cały świat szewcy krakowscy. Szarpnięto go, wstał. Znał z widzenia tego, który go szarpnął. Był to Tristram Rachenau. Krewniak Sterczów. Towarzyszyło mu kilku Baruthów z czarnymi turami na lentnerach, też Sterczowskich powinowatych. Reynevan nie mógł gorzej trafić.

– Zamachowiec – przedstawił go Tristram Rachenau. – Skrytobójca, mości książę. Reinmar z Bielawy.

Otaczający księcia rycerze zaszemrali groźnie.

Książę Jan Ziębicki, przystojny i postawny czterdziestoletni mężczyzna, odziany był w czarny obcisły *justaucorps*, na którym nosił modnie obfitą, obszytą sobolami bordową *houppelande*. Na szyi miał ciężki złoty łańcuch, na głowie modny *chaperon turban* z opadającą na ramię *liripipe* z flamandzkiego muślinu. Ciemne włosy księcia obcięte były również wedle najnowszych europejskich wzorców i mód – pod garnek dookoła głowy, dwa palce nad uszami, z przodu grzywka, z tyłu wygolone aż po potylicę. Obuty był zaś książę w czerwone krakowskie *poulaines* z modnie długimi noskami, te same, które Reynevan dopiero co podziwiał był z poziomu podłogi.

Książę, co Reynevan skonstatował z bolesnym uciskiem na gardło i przeponę, trzymał pod ramię Adelę de Stercza, w sukni w najmodniejszym kolorze *vert d'emeraude*, z trenem, z rozciętymi rękawami zwisającymi aż do ziemi, w złotej siateczce na włosach, ze sznurem pereł na szyi, z dekoltem pysznie wyzierającym spod ciasnego gorsetu. Burgundka przypatrywała się Reynevanowi, a wzrok miała zimny jak u węża.

Książę Jan wziął w dwa palce sztylet Reynevana, podany mu przez Tristrama von Rachenau, obejrzał go, potem podniósł oczy.

– Pomyśleć tylko – przemówił – że nie bardzo wierzyłem, gdy oskarżano cię o zbrodnie. O zabicie pana Barta z Karczyna i świdnickiego kupca Neumarkta. Nie chciałem dać wiary. I oto proszę, chwyta się ciebie na licu, gdy z nożem w ręce starasz się zajść mnie od

pleców. Aż tak mnie nienawidzisz? A może ktoś ci za to zapłacił? Czy też jesteś po prostu szaleńcem? Hę?

– Mości książę... Ja... Ja nie jestem skrytobójcą... Prawda, że się zakradłem, ale ja... Ja chciałem...

– Ach! – książę Jan wykonał smukłą dłonią bardzo książęcy i bardzo europejski gest. – Rozumiem. Zakradłeś się tu z puginałem, by przedłożyć mi petycję?

– Tak! To znaczy nie... Wasza książęca mość! Nie jestem winien niczemu! Przeciwnie, to mnie spotkała krzywda! Jestem ofiarą, ofiarą spisku...

– No jasne – wydął wargi Jan Ziębicki. – Spisek. Wiedziałem.

– Tak! – wrzasnął Reynevan. – Tak właśnie! Sterczowie zabili mi brata! Zamordowali go!

– Łżesz, psubracie – warknął Tristram Rachenau. – Nie szczekaj, radzęć, na mych swaków.

– Sterczowie zabili Peterlina! – szarpnął się Reynevan. – Jeśli nie własnoręcznie, to przez najemnych zbirów! Kunza Aulocka, Storka, Waltera de Barby! Łotrów, którzy i na mnie dybią! Wasza łaskawość książę Janie! Peterlin twym był wasalem! Domagam się sprawiedliwości!

– To ja się domagam! – krzyknął Rachenau. – Ja, prawem krwi! Ten psi syn ubił w Oleśnicy Niklasa Sterczę!

– Sprawiedliwość! – zawołał jeden z Baruthów, zapewne Henryk, bo u Baruthów rzadko chrzczono dzieci inaczej. – Książę Janie! Kara za ten mord!

– To kłamstwo i potwarz! – wrzasnął Reynevan. – To Sterczowie są winni morderstwa! Oskarżają mnie, by się sami wybielić! I z zemsty! Za miłość, która łączy mnie i Adelę!

Twarz księcia Jana zmieniła się, a Reynevan pojął, jak straszne palnął głupstwo. Patrzył na obojętne oblicze swej kochanki i powoli, powoli zaczynał rozumieć.

– Adelo – odezwał się w zupełnej ciszy Jan Ziębicki. – O czym on mówi?

– Kłamie, Jaśku – uśmiechnęła się Burgundka. – Nic mnie z nim nie łączy i nigdy nie łączyło. Prawda to, że narzucał mi się z afektami, zalecał się natrętnie, ale odszedł jak niepyszny, nic nie wskórał. Nawet z pomocą czarnej magii, którą mnie omamiał.

– To nieprawda – Reynevan z trudem wydobył głos ze ściśniętego gardła. – To wszystko nieprawda. Kłamstwo. Łeż! Adelo! Powiedz... Powiedz, że ty i ja...

Adela rzuciła głową, gestem, który znał, rzucała tak, gdy kochała się z nim w swej ulubionej pozycji, siedząc na nim okrakiem. Oczy jej błysnęły. Ten błysk znał również.

– W Europie – powiedziała głośno, rozglądając się – nie mogłoby się zdarzyć coś podobnego. By brzydką aluzją znieważono cześć cnotliwej damy. I to na turnieju, na którym damę ową zaledwie wczoraj okrzyknięto *La Royne de la Beaulté et des Amours*. W przytomności turniejowych rycerzy. A jeżeli nawet coś takiego by się w Europie przydarzyło, to taki *mesdisant*, taki *mal-faiteur* ni chwili nie stałby bezkarnie.

Tristram Rachenau z miejsca pojął aluzję i z rozmachem walnął Reynevana pięścią w kark. Henryk Baruth poprawił z drugiej strony. Widząc, że książę Jan nie reaguje, że patrzy w bok z kamienną twarzą, doskoczyli następni, wśród nich jakiś Seidlitz albo Kurzbach z rybami w polu czerwonym. Reynevan dostał w oczodół, świat zginął w wielkim błysku. Skulił się pod gradem ciosów. Dobiegł ktoś jeszcze, Reynevan upadł na kolana, uderzony w ramię turniejową maczugą. Zasłonił głowę, maczuga boleśnie palnęła go w palce. Dostał potężnie w nerki, padł na ziemię. Zaczęto go kopać, więc zwinął się w kłębek, chroniąc głowę i brzuch.

– Stać! Dość! Natychmiast przestać!

Ciosy i kopniaki ustały. Reynevan otworzył jedno oko.

Wybawienie przyszło z najmniej spodziewanej strony. Jego dręczycieli powstrzymał groźny, suchy, nieprzyjemny głos i rozkaz chudej jak szczapa niemłodej niewiasty w czarnej sukni i białej podwice pod sztywno wykrochmalonym toczkiem. Reynevan wiedział, kto to jest. Eufemia, starsza siostra księcia Jana, wdowa po Fryderyku hrabim Oettingen, która po śmierci męża wróciła do rodzinnych Ziębic.

– W Europie, którą ja znam – powiedziała hrabina Eufemia – nie kopie się leżących. Nie pozwoliłby na to żaden ze znanych mi europejskich książąt, mój panie bracie.

– Zawinił – zaczął książę Jan. – Tedy ja...

– Wiem, czym zawinił – przerwała mu sucho hrabina. – Bom słyszała. A ja go niniejszym biorę pod ochronę. *Mercy des dames*. Znam bowiem,

pochlebiam sobie, europejski obyczaj turniejowy nie gorzej niż obecna tu ślubna małżonka rycerza von Stercza.

Ostatnie słowa wypowiedziane zostały z takim naciskiem i tak zjadliwie, że książę Jan spuścił wzrok i zaczerwienił się aż po wygolony kark. Adela wzroku nie spuściła, na twarzy jej próżno szukałbyś choć śladu rumieńca, tryskającej zaś z jej oczu nienawiści mógł przestraszyć się każdy. Ale nie hrabina Eufemia. Eufemia, jak wieść niosła, w Szwabii nader szybko i nader zręcznie radziła sobie z miłośnicami hrabiego Fryderyka. To nie ona się bała, to jej się bano.

– Panie marszałku Borschnitz – skinęła władczo. – Proszę wziąć w areszt Reinmara de Bielau. Odpowiadasz za niego przede mną. Głową.

– Rozkaz, jaśnie pani.

– Wolnego, pani siostro, wolnego – odzyskał mowę Jan Ziębicki. – Wiem, co znaczy *mercy des dames*, ale tu o zbyt poważne idzie grawamina. Zbyt ciężkie są przeciw temu młodzieńcowi zarzuty. Morderstwa, czarna magia...

– Będzie w areszcie – ucięła Eufemia. – W wieży. Pod strażą pana Borschnitza. Stawi się na sąd. Jeśli go ktoś oskarży. Mam na myśli oskarżenie poważne.

– At! – książę machnął ręką i zamaszyście odrzucił *liripipe* na plecy. – Do diabła z nim. Ważniejsze mam tu sprawy. Dalejże, panowie, zaraz zacznie się buhurt. Nie będę sobie psuł turnieju, nie przegapię buhurtu. Pozwól, Adelo. Nim rozpoczną walkę, rycerze muszą zobaczyć na trybunie Królową Urody i Miłości.

Burgundka ujęła podane jej ramię, uniosła tren. Wiązany przez giermków Reynevan wpijał w nią wzrok, licząc, że się obejrzy, że okiem lub dłonią da mu sygnał, znak. Że to tylko podstęp, gra, fortel, że w rzeczywistości wszystko jest tak, jak było, że nic nie zmieniło się między nimi. Czekał na taki znak do ostatniej chwili.

Nie doczekał się.

Jako ostatni opuścili namiot ci, którzy całej scenie przypatrywali się jeżeli nie z gniewem, to z niesmakiem. Siwowłosy Herman Zettritz. Starosta kłodzki Puta z Czastolovic i Gocze Schaff, obaj z żonami ustrojonymi w kopulaste ażurowe henniny, zmarszczony Lotar Gersdorf z Łużyc. I Bolko Wołoszek, syn księcia opolskiego, dziedzic Prudnika, pan na Głogówku. Zwłaszcza ten ostatni, nim odszedł, śledził zajście pilnie i spod przymrużonych powiek.

Rozbrzmiały fanfary, wzniósł gromką owację tłum, herold wykrzyczał swoje *laissez les aller* i *aux honneurs*. Zaczynał się buhurt.

– Idziemy – rozkazał armiger, któremu marszałek Borschnitz zlecił eskortę. – Nie stawiaj oporu, chłopcze.

– Nie będę. Jaka u was wieża?

– Pierwszy raz? Ha, widzę, że pierwszy. Przyzwoita. Jak na wieżę.

– Pójdźmy więc.

Reynevan starał się nie rozglądać, by nadmiernym podnieceniem nie zdradzić Szarleja i Samsona, co do których pewien był, że obserwują go skryci wśród tłumu. Szarlej, co tu gadać, był jednak zbyt szczwanym lisem, by dać się zauważyć.

Zauważył go natomiast ktoś inny.

Odmieniła uczesanie. Wtedy, pod Brzegiem, nosiła grubą kosę, teraz słomiane w kolorze, rozdzielone pośrodku głowy włosy miała splecione w dwa warkocze, zwinięte na uszach w ślimaki. Na czole nosiła złotą obrączkę, na sobie błękitną suknię bez rękawów, pod suknią białą batystową koszulę, *chemise*.

– Jaśnie panienko – armiger zachrząkał, podrapał się pod czapką. – Nie wolno... Będę miał kłopoty...

– Chcę – śmiesznie przygryzła wargę i tupnęła, trochę po dziecinnemu – zamienić z nim parę słów. Parę słów, nic więcej. Nie mów o tym nikomu, a kłopoty cię ominą. A teraz odwróć się. I nie przysłuchuj.

– Za co tym razem, Alkasynie? – spytała, mrużąc lekko błękitne oczy. – Za co w pętach i pod strażą? Uważaj! Jeśli odpowiesz, że za miłość, pogniewam się bardzo.

– A jednak – westchnął – to prawda. Ogólnie rzecz biorąc.

– A szczególnie?

– Przez miłość i głupotę.

– Oho! Stajesz się wiarygodniejszy. Ale wyjaśnij, proszę.

– Gdyby nie moja głupota, byłbym w tej chwili na Węgrzech.

– Ja – spojrzała mu prosto w oczy – i tak będę wszystko wiedziała. Wszystko. Każdy detal. Ale nie chciałabym oglądać cię na szafocie.

– Cieszę się, że cię wtedy nie dogonili.

– Nie mieli szans.

– Jaśnie panienko – armiger odwrócił się, zakasłał w kułak. – Miejcie litość...

– Bywaj, Alkasynie.
– Bywaj w zdrowiu, Nikoletto.

Rozdział dwudziesty

w którym po raz kolejny znajduje potwierdzenie stara prawda, że na kogo jak na kogo, ale na kolegów ze studiów zawsze można liczyć.

– Wiesz, Reynevan – powiedział Henryk Hackeborn – powszechnie się twierdzi, że źródłem wszystkich nieszczęść, które cię spotykają, całym złem i przyczyną twego marnego losu jest ta Francuzka, Adela Stercza.

Reynevan nie zareagował na tak odkrywcze stwierdzenie. Krzyże go swędziały, a nijak było się podrapać, mając ręce związane w przegubach i dodatkowo w łokciach przyciśnięte do boków skórzanym pasem. Konie oddziału klapały kopytami po wyboistej drodze. Strzelcy sennie kiwali się w siodłach.

Przesiedział w wieży ziębickiego zamku trzy doby. Ale daleki był od załamania. Był zamknięty i pozbawiony swobody, prawda, niepewny jutra, też prawda. Ale póki co nie bili, a karmili, choć podle i monotonnie, lecz codziennie, a od tego ostatnio odwykł i z przyjemnością przywykał.

Sypiał źle, nie tylko z przyczyny pcheł imponujących rozmiarów, grasujących w słomie. Ilekroć zamknął oczy, widział białą, porowatą jak ser twarz Peterlina. Albo Adelę i Jana Ziębickiego, w różnych konfiguracjach. Sam nie wiedział, co gorsze.

Zakratowane okienko w grubym murze dawało widok na malusieńki jeno kawałątek nieba, ale Reynevan wciąż wisiał u wnęki, uczepiony krat, pełen nadziei, że zaraz usłyszy Szarleja, niczym pająk pnącego się po murze z pilnikiem w zębach. Lub spoglądał na drzwi, marząc, że za moment wylecą z zawiasów pod mocarnym barkiem Samsona Miodka. Nie pozbawiona przesłanek wiara w omnipotencję przyjaciół podtrzymywała go na duchu.

Rzecz oczywista, żaden ratunek nie nadszedł. Wczesnym rankiem dnia czwartego wyciągnięto go z celi, związano i wsadzono na konia. Wyjechał z Ziębic Bramą Paczkowską, eskortowany przez czterech konnych kuszników, armigera i rycerza w pełnej zbroi, z tarczą przyozdobioną ośmioramienną gwiazdą Hackebornów.

– Wszyscy mówią – ciągnął Henryk Hackeborn – że to był twój pech, ruszenie tej Francuzki. To, żeś ją przeleciał, było twoją zgubą.

Reynevan i tym razem nie odpowiedział, ale przed pełnym zadumy kiwnięciem głową nie ustrzegł się.

Ledwo stracili z oczu miejskie wieże, z pozoru ponury i do obrzydzenia służbisty Hackeborn ożywił się, poweselał i zrobił rozmowny, bez żadnej zachęty. Nosił – jak połowa Niemców – imię Henryk i był, jak się okazało, krewniakiem możnych Hackebornów z Przewozu, niedawno, bo wszystkiego przed dwoma laty przybyłym z Turyngii, gdzie ród coraz niżej spadał rangą w służbie landgrafów, co za tym idzie, coraz bardziej biedniejąc. Na Śląsku, gdzie nazwisko Hackeborn coś znaczyło, rycerz Henryk liczył w służbie Jana Ziębickiego na przygodę i karierę. Tej pierwszej miała mu dostarczyć spodziewana lada dzień wielka antyhusycka krucjata, drugą miała zapewnić korzystna koligacja. Henryk Hackeborn wyznał Reynevanowi, że wzdycha właśnie do ślicznej i pełnej temperamentu Jutty de Apolda, córki cześnika Bertolda Apoldy, pana na Schönau. Jutta niestety, wyznał dalej rycerz, afektu nie tylko że nie odwzajemnia, ale i podkpiwać z awansów pozwala sobie. Ale nic to, grunt to wytrwałość, kropla drąży skałę.

Reynevan, choć sercowe perypetie Hackeborna obchodziły go wielekroć mniej od zeszłorocznego śniegu, udawał, że słucha, grzecznie potakiwał, nie warto, w końcu, być niemiłym wobec własnej eskorty. Gdy po jakimś czasie rycerz wyczerpał zasób nurtujących go tematów i zamilkł, Reynevan spróbował zadrzemać, ale nic z tego nie wyszło. Przed zamkniętymi oczami stale stawał mu martwy Peterlin na marach lub Adela z łydkami na ramionach księcia Jana.

Byli w Służejowskim Lesie, barwnym i pełnym aromatów po porannym deszczyku, gdy rycerz Henryk przerwał milczenie. Sam, nie indagowany, zdradził Reynevanowi cel podróży – zamek Stolz, gniazdo możnego pana Jana Bibersteina. Reynevan zainteresował się i zaniepokoił zarazem. Miał zamiar wypytać gadułę, ale nie zdążył, bo rycerz płynnie zmienił temat i jął dywagować na temat Adeli von Stercza i marnego losu, jaki romans z ową przyniósł Reynevanowi.

– Wszyscy uważają – powtórzył – że to był twój pech, żeś ją przeleciał.

Reynevan nie polemizował.

– A przecie tak nie jest – ciągnął Hackeborn, robiąc wszechwiedzącą minę. – Na odwrót wręcz jest. Są tacy, co to odgadli. I wiedzą. To, żeś tę Francuzkę przefiknął, życie ci uratowało.

– Słucham?

– Książę Jan – wyjaśnił rycerz – bez najmniejszych oporów wydałby cię Sterczom, Rachenau i Baruthowie mocno na niego naciskali. Ale co to by oznaczało? Że Adela kłamie, zapierając się. Żeś jednak ją chędożył. Dociera do ciebie? Z tych samych powodów książę nie dał cię katu na śledztwo w sprawie owych morderstw, któreś jakoby popełnił. Bo wiedział, że na mękach zaczniesz paplać o Adeli. Rozumiesz?

– Trochę.

– Trochę! – zaśmiał się Hackeborn. – Owo trochę dupę ci uratuje, bratku. Zamiast na szafot czy do katowni, jedziesz na zamek Stolz. Bo tam o miłosnych przewagach w Adelinej łożnicy możesz opowiadać tylko murom, a mury tamój grube. Cóż, posiedzieć trochę posiedzisz, ale ocalisz głowę i inne członki. Na Stolzu nikt cię nie dostanie, nawet biskup, nawet Inkwizycja. Bibersteinowie to potężni wielmoże, nie boją się nikogo, a z nimi nikt zadrzeć się nie ośmieli. Tak, tak, Reynevan. Ocaliło cię to, że księciu Janowi nijak przyznać, żeś przed nim obracał jego nową metresę. Rozumiesz? Kochanka, której rozkoszne poletko orał przedtem jedynie ślubny małżonek, to niemal dziewica, a taka, która już dawała innym miłośnikom, to poćpiega. Bo jeśli był w jej łożu Reinmar de Bielau, to mógł przecie być każdy.

– Miły jesteś. Dziękuję.

– Nie dziękuj. Rzekłem, za sprawą Amora jesteś uratowany. I tak na to patrz.

Oj, nie do końca, pomyślał Reynevan. Nie do końca.

– Wiem, o czym myślisz – zaskoczył go rycerz. – O tym, że umrzyk jest jeszcze dyskretniejszy? Że na Stolzu gotowi cię otruć albo kark cichaczem skręcić? Otóż nie, błędnie mniemasz, jeśli tak mniemasz. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

– Chcę.

– Dyskretne odosobnienie cię na Stolzu zaoferował księciu sam pan Jan von Biberstein. A książę przystał na to w mig. A teraz najlepsze: wiesz, czemu Biberstein pospieszył z taką ofertą?

– Pojęcia nie mam.

– A ja mam. Bo plotka poszła po Ziębicach. Poprosiła go o to siostra księcia, hrabina Eufemia. A ową książę w wielkiej ma estymie. Gadają, jeszcze z dziecięcych lat. Dlatego hrabina na ziębickim dworze tyle znaczy. Choć przecie pozycji to ona nie ma nijakiej, bo cóż ona za

hrabina, pusty to tytuł i czczy. Urodziła szwabskiemu Fryderykowi jedenaścioro dzieci, a gdy owdowiała, dzieci te wysiudały ją z Oettingen, żadna to tajemnica. Ale w Ziębicach z niej całą gębą pani, nie zaprzeczysz temu.

Reynevan ani myślał zaprzeczać.

– Nie ona jedna – podjął po małej chwili Hackeborn – prosiła za tobą u pana Jana Bibersteina. Chcesz wiedzieć, kto jeszcze?

– Chcę.

– Bibersteinowa córa, Katarzyna. Musiałeś jej w oko wpaść.

– Czy to taka wysoka? Jasnowłosa?

– Nie udawaj głupka. Znasz ją wszak. Plotka głosi, że już wcześniej ratowała cię przed pogonią. Ech, jak to się wszystko poplotło dziwacznie. Powiedz sam, nie jest to ironia losu, komedia z omyłek? Nie jest to Narrenturm? Istna Wieża Błaznów?

To prawda, pomyślał Reynevan. To jest istna Wieża Błaznów, Narrenturm. A ja... Szarlej miał rację – jestem błaznem największym. Królem durniów, marszałkiem głupków, wielkim przeorem zakonu kretynów.

– W wieży na Stolzu – podjął wesoło Hackeborn – długo nie posiedzisz, jeśli wykażesz rozsądek. Szykuje się, wiem to na pewno, wielka wyprawa krzyżowa na czeskich heretyków. Złożysz śluby i przyjmiesz krzyż, to cię wypuszczą. Powojujesz. A zasłużysz się w walce ze schizmą, to wybaczą ci winy.

– Jest tylko jeden szkopuł.

– Jaki?

– Nie chcę wojować.

Rycerz odwrócił się w kulbace, długo mu się przyglądał.

– A to – spytał z przekąsem – niby dlaczego?

Reynevan nie zdążył odpowiedzieć. Rozległ się jadowity świst i syk, a zaraz potem donośny trzask. Hackeborn zachłysnął się, sięgnął rękami do gardła, w którym, przebiwszy blachę gorgetu, tkwił bełt z kuszy. Rycerz obficie opluł się krwią, powoli przechylił do tyłu i spadł z konia. Reynevan widział jego oczy, szeroko otwarte, pełne bezbrzeżnego zdumienia.

Potem zaczęło się dziać dużo i szybko.

– Napaaad! – wrzasnął armiger, wyszarpując miecz z pochwy. – Do broooni!

Z krzaków przed nimi huknęło straszliwie, błysnął ogień, zakłębił się dym. Koń pod jednym z pachołków padł jak rażony gromem, przygniatając jeźdźca. Pozostałe konie postawały dęba, spłoszone wystrzałem, stanął dęba także koń Reynevana. Związany Reynevan nie zdołał utrzymać równowagi, spadł, boleśnie uderzając biodrem o grunt.

Z chaszczy wypadli konni. Reynevan, choć skulony na piasku, poznał ich od razu.

– Bij, zabij! – ryczał, wywijając mieczem, Kunz Aulock. Znany jako Kyrielejson.

Ziębiccy strzelcy dali salwę z kusz, ale wszyscy trzej bezbożnie chybili. Chcieli uciekać, ale nie zdążyli, padli pod ciosami mieczy. Armiger mężnie ścinał się z Kyrielejsonem, konie chrapały i tańczyły, klingi dzwoniły. Starciu koniec położył Stork z Gorgowic, wbijając armigerowi burderz w plecy. Armiger wyprężył się, a wtedy Kyrielejson dobił go pchnięciem w gardło.

Głęboko w lesie, w gęstwinie, alarmująco krzyczała wystraszona sroka. Śmierdziało prochem.

– Proszę, proszę – powiedział Kyrielejson, trącając leżącego Reynevana czubkiem buta. – Pan Bielawa. Dawnośmy się nie widzieli. Nie cieszysz się?

Reynevan nie cieszył się.

– Naczekaliśmy się tu na ciebie – poskarżył się Aulock – w słocie, chłodzie i niewygodzie. No, ale *finis coronat opus*. Mamy cię, Bielawa. I to gotowego, że tak powiem, do użycia, już stroczonego jak pakunek. Oj, nie jest, nie jest to twój dzień.

– Daj, Kunz, kopnę go w zęby – zaproponował jeden z bandy. – On mnie oka wonczas mało nie wybił, w tamtej karczmie pod Brzegiem. To ja mu tera zębce wykopnę.

– Zostaw, Sybek – warknął Kyrielejson. – Trzymaj nerwy na wodzy. Idź lepiej i sprawdź, co ów rycerz miał w jukach i kiesce. A ty, Bielawa, czemu tak gały na mnie wytrzeszczasz?

– Zabiłeś mi brata, Aulock.

– Hę?

– Brata mi zabiłeś. W Balbinowie. Będziesz za to wisiał.

– Bredzisz – rzekł zimno Kyrielejson. – Musiałeś z tego konia na głowę spaść.

– Zabiłeś mi brata!

– Powtarzasz się w bredniach.

– Łżesz!

Aulock stanął nad nim, z wyrazu jego twarzy dało się odczytać, iż rozważa dylemat – kopnąć, azali nie kopnąć. Nie kopnął, w sposób oczywisty z lekceważenia. Odszedł kilka kroków, stanął nad koniem zabitym wystrzałem.

– Niech mnie diabli schwycą – powiedział, kiwając głową. – Oręż prawie groźny i morderczy, ta twoja handkanona, Stork. Podziwuj się sam, jaką dziurę w kobyle zrobiło. Kułak się zmieści! Iście, broń to przyszłości. Nowoczesność!

– Do dupy z taką nowoczesnością – odrzekł kwaśno Stork z Gorgowic. – Nie w konia, jeno w jeźdźca mierzył żem z tej cholernej rury. I nie w tego jeźdźca, ale w tamtego.

– Nic to. Nieważne, gdzie mierzony, grunt, że trafiony. Hej, Walter, co tam czynisz?

– Dorzynam tych, co jeszcze dychają! – odkrzyknął Walter de Barby. – Świadków nam nie trza, nie?

– Pospiesz się! Stork, Sybek, ruk-cuk, wsadźcie Bielawę na konia. Na tego rycerskiego kastelana. A przywiążcie krzepko, bo to zbytnik. Pamiętacie?

Stork i Sybek pamiętali, oj, pamiętali, bo wsadzenie Reynevana na siodło poprzedzili serią kuksańców i niewybrednych wyzwisk. Skrępowane ręce przywiązano mu do łęku siodła, a łydki do puślisk. Walter de Barby skończył dorzynanie, trupy ziębiczan zawleczono w krzaki, konie przegnano, na komendę Kyrielejsona cała czwórka – plus Reynevan – ruszyła z kopyta. Jechali ostro, ewidentnie pragnąc jak najszybciej oddalić się od miejsca napadu i odsadzić od możliwej pogoni. Reynevan podrygiwał w siodle. Żebra kłuły przy każdym oddechu, bolały jak diabli. Nie może tak dalej być, pomyślał niedorzecznie, nie może tak być, by mnie co i rusz bito.

Kyrielejson poganiał kamratów krzykiem, jechali galopem. Cały czas gościńcem. Najwyraźniej przedkładali tempo nad możliwość ukrycia się, gęsty las nie pozwoliłby nawet na kłus, o galopie nie wspominając.

Wpadli na rozstaje. Wprost w zasadzkę.

Ze wszystkich dróg, także z tyłu, runęli na nich ukryci dotąd w zaroślach konni. Było ich łącznie ze dwudziestu, z czego połowa pancernych w pełnych białych zbrojach. Kyrielejson i jego kompania nie

mieli żadnych szans, ale i tak, trzeba przyznać, stawili zaciekły opór. Aulock zwalił się z konia jako pierwszy, z głową strasznie rozrąbaną toporem. Runął pod końskie kopyta Walter de Barby, na wylot przebity mieczem przez wielkiego rycerza z polskim Ogończykiem na tarczy. Wziął po łbie buzdyganem Stork. Sybka z Kobylejgłowy zsiekano i skłuto tak, że krew sowicie obryzgała skulonego w siodle Reynevana.

– Wolnyś, kamracie.

Reynevan zamrugał oczami. W głowie mu wirowało. Wszystko stało się zbyt szybko jak na jego gust.

– Dzięki, Bolko... Przepraszam... Wasza książęca mość...

– Dobra, dobra – przerwał Bolko Wołoszek, dziedzic Opola i Prudnika, pan na Głogówku, przecinając kordelasem jego więzy. – Nie mościuj mi. W Pradze tobie było Reynevan, a mnie Bolko. Przy piwie i w bitce. I wtedy, kiedyśmy dla oszczędności brali we dwu jedną kurwę w bordelu na Celetnej, na Starym Mieście. Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem.

– Ja też nie. Jak widzisz. Nie zostawia się scholara kamrata w biedzie. A Jan Ziębicki w rzyć mnie może pocałować. Zresztą stwierdzam z zadowoleniem, że to wcale nie ziębickich porąbaliśmy. Choć przypadkiem, ale uniknęliśmy dyplomatycznego incydentu, bośmy, wyznaję, na drodze do Stolza czatując, ziębickiej się raczej spodziewali eskorty. A tu masz, niespodzianka. Cóż to za jedni, panie podstarosto? Poznaj, Reynevan, to mój podstarosta, pan Krzych z Kościelca. Cóż tedy, panie Krzychu? Rozpoznano którego? Żyje który może?

– To Kunz Aulock i jego kompania – uprzedził Reynevana olbrzym z Ogończykiem na tarczy. – Dycha zaś jeszcze ino jeden. Stork z Gorgowic.

– Oho! – zmarszczył brew i zaciął usta pan na Głogówku. – Stork. I żywy? Dawać go tu.

Wołoszek ruszył konia, z wysokości siodła przyjrzał się zabitym.

– Sybek z Kobylejgłowy – rozpoznał. – Kilka razy uciekł już katu, ale, jak to mówią, nosił wilk razy kilka. A tu Kunz Aulock, cholera, z takiej porządnej rodziny. Walter de Barby, cóż, jakie życie, taka śmierć. A kogóż tu mamy? Pan Stork?

– Litości – zabełkotał Stork z Gorgowic, krzywiąc zalaną krwią twarz. – Pardonu... Pomiłuj, panie...

– Nie, panie Stork – odparł zimno Bolko Wołoszek. – Opole to niebawem moja będzie dziedzina, moje księstwo. Gwałt na opolskiej mieszczce to zatem w moich oczach bardzo ciężka zbrodnia. Zbyt ciężka na szybką śmierć. Szkoda, że tak mało mam czasu.

Młody książę stanął w strzemionach, rozejrzał się.

– Związać łotra – rozkazał. – I utopić.

– Gdzie? – zdziwił się Ogończyk. – Toć nie masz tu nijakiej wody.

– Tam w rowie – wskazał Wołoszek – jest kałuża. Fakt, niewielka, ale głowa zmieści się akuratnie.

Głogóweccy i opolscy rycerze zawlekli ryczącego i szamoczącego się w więzach Storka do rowu, obrócili i trzymając za nogi, wepchnęli głową do kałuży. Ryk zmienił się we wściekłe bulgotanie. Reynevan odwrócił twarz.

Trwało to bardzo, bardzo długo.

Wrócił Krzych z Kościelca w towarzystwie drugiego rycerza, również Polaka, herbu Nieczuja.

– Całą wodę z kałuży wychlał, niecnota – powiedział wesoło Ogończyk. – Dopiero mułem się zadławił.

– Czas by nam stąd znikać, wasza książęca mość – dodał Nieczuja.

– Racja – zgodził się Bolko Wołoszek. – Racja, panie Ślaski. Posłuchaj, Reynevan. Ze mną jechać nie możesz, nie zdołam cię ukryć u siebie w Głogówku ani w Opolu, ani w Niemodlinie. Ani ojciec, ani stryj Bernard nie będą chcieli zwady z Ziębicami, wydadzą cię Janowi, gdy się upomni. A upomni się.

– Wiem.

– Wiem, że wiesz. – Młody Piast zmrużył oczy. – Ale nie wiem, czy rozumiesz. Dlatego wejdę w szczegóły. Obojętne, który kierunek wybierzesz, omijaj Ziębice. Omijaj Ziębice, kamracie, radzę ci to po starej amicycji. Omijaj to miasto i księstwo z daleka. Wierz mi, nie masz tam czego szukać. Może miałeś, ale już nie masz. Czy to dla cię jasne?

Reynevan kiwnął głową. Było to dla niego jasne, ale przyznanie za nic nie chciało mu przejść przez gardło.

– Tedy – książę szarpnął wodze, obrócił konia – każdy w swoją drogę. Radź sobie sam.

– Jeszcze raz dzięki. Jestem twoim dłużnikiem, Bolko.

– Nie ma o czym gadać – machnął ręką Wołoszek. – Rzekłem, po starej uczelnianej drużbie. Ech, to były czasy, w Pradze... Bywaj, Reinmar. *Bene*

vale.

– *Bene vale*, Bolko.

Wkrótce ścichły na trakcie kopyta koni opolskiego orszaku, znikł wśród brzeziny wiozący Reynevana skarogniady kastelan, do niedawna własność Henryka Hackeborna, rycerza z Turyngii, przybyłego na Śląsk po własną śmierć. Na rozstaju uspokoiło się, ucichły wrzaski srok i sójek, wznowiły śpiew wilgi.

Nie minęła godzina, gdy pierwszy lis zaczął obgryzać twarz Kunza Aulocka.

●

Wydarzenia na wiodącym do Stolza gościńcu stały się – na kilka dni przynajmniej – sensacją, ewenementem towarzyskim, modnym tematem rozmów i plotek. Książę ziębicki Jan przez kilka dni chodził zachmurzony, wścibscy dworacy rozpowiedzieli, że dąsa się na siostrę, księżną Eufemię, irracjonalnie przypisując jej winę za wszystko. Rozniosło się też, że boleśnie po uszach oberwała służka pani Adeli de Stercza. Fama głosiła, że za wesołość, za szczebiotanie i za śmiech – w chwili, gdy pani całkiem nie było do śmiechu.

Hackebornowie z Przewozu zapowiedzieli, że morderców młodego Henryka dostaną choćby spod ziemi. Piękna i pełna temperamentu Jutta de Apolda śmiercią zalotnika nie przejęła się, jak mówiono, wcale.

Młodzi rycerze zorganizowali pościg za zbrodniarzami, cwałując od zamku do zamku wśród grania rogów i grzmotu kopyt. Pościg bardziej przypominał piknik i rezultaty też przyniósł piknikowe. Niektóre, jak ciąże i słanie swatów – z dużym opóźnieniem.

Ziębice odwiedziła Inkwizycja, lecz tego, z czym przybyła, nie dowiedzieli się zza dominikańskich murów najbardziej nawet wścibscy i żądni sensacji plotkarze. Inne wieści i plotki rozchodziły się szybko.

We Wrocławiu, u świętego Jana Chrzciciela, kanonik Otto Beess modlił się żarliwie przed głównym ołtarzem, dziękował Bogu, opuściwszy czoło na złożone dłonie.

W Księginicach, wsi pod Lubinem, staruteńka, zupełnie zgrzybiała matka Waltera de Barby myślała o nadchodzącej zimie i o głodzie, który teraz, gdy została bez opieki i pomocy, niezawodnie zabije ją na przednówku.

W Niemczy, w karczmie „Pod Dzwonkiem”, było przez jakiś czas bardzo głośno – Wolfher, Morold i Wittich Sterczowie, a z nimi Dieter Haxt, Stefan Rotkirch i Jencz von Knobelsdorf, zwany Puchaczem, wrzeszczeli, klęli i odgrażali się, wypijając kwaterkę za kwaterką i garniec za garncem. Donosząca napitek służba kurczyła się ze zgrozy, słysząc opisy mąk, jakie biesiadnicy zamierzają w najbliższej przyszłości zadać niejakiemu Reynevanowi de Bielau. Nad ranem nastroje poprawiła nadspodziewanie trzeźwa uwaga Morolda. Nie ma tego złego, stwierdził Morold, co by na dobre nie wyszło. Skoro Kunza Aulocka diabli wzięli, tysiąc złotych reńskich Tammona Sterczy zostanie w kieszeni. Znaczy, w Sterzendorfie.

Po czterech dniach wieść doszła i do Sterzendorfu.

•

Mała Ofka Baruth była bardzo, ale to bardzo niezadowolona. I bardzo zła na ochmistrzynię. Ofka nigdy nie darzyła ochmistrzyni sympatią, nazbyt często jej matka wyręczała się ochmistrzynią przy zmuszaniu Ofki do czynności przez Ofkę nielubianych – zwłaszcza jedzenia kaszy i mycia. Dziś jednak ochmistrzyni podpadła Ofce strasznie – przemocą oderwała ją od zabawy. Zabawa polegała na rzucaniu płaskiego kamienia na świeże krowie kupy i dzięki swej radosnej prostocie była ostatnio w modzie wśród rówieśników Ofki, głównie potomstwa straży grodowej i czeladzi.

Oderwana od igraszek dziewczynka marudziła, dąsała się i starała, jak mogła, utrudnić ochmistrzyni zadanie. Stawiała na złość małe kroczki, przez co ochmistrzyni musiała ją niemal wlec. Złym fukaniem reagowała na upomnienia i na wszystko, co ochmistrzyni mówiła. Bo guzik ją to obchodziło. Miała dość przekładania mów dziadka Tammona, bo u dziadka w komnacie śmierdziało, dziadek zresztą też śmierdział. Guzik ją obchodziło, że właśnie przyjechał do Sterzendorfu wuj Apecz, że wuj Apecz przywiózł dziadkowi niesłychanie ważne wiadomości, że właśnie przekazuje je, a gdy skończy, dziadek Tammo będzie miał, jak zwykle, dużo do powiedzenia, a przecie oprócz niej, urodzonej panienki Ofki, nikt nie rozumie tego, co dziadek Tammo gada.

Urodzona panienka Ofka miała to wszystko gdzieś. Miała tylko jedno pragnienie – wrócić pod wał grodowy i rzucać płaski kamień na krowie kupy.

Już na schodach usłyszała dźwięki dobiegające z komnaty dziadka. Wieści przekazane przez wuja Apecza musiały być zaiste przerażające i wielce niemiłe, Ofka bowiem jeszcze nigdy nie słyszała, by dziadek tak ryczał. Nigdy. Nawet wtedy, gdy dowiedział się, że najlepszy ogier stadniny struł się czymś i zdechł.

– Wuaahha-wuaha-buhhauahhu-uuuaaha! – dobiegało z komnaty. – Hrrrrhyr-hhhyh... Uaarr-raaah! O-o-oooo...

Potem zaś rozległo się:

– Bzpppprrrr... Pppppprrrruuu...

I zapadła głucha cisza.

A potem z komnaty wyszedł wuj Apecz. Długo patrzył na Ofkę. Jeszcze dłużej zaś na ochmistrzynię.

– Proszę naszykować jadła w kuchni – powiedział wreszcie. – Wywietrzyć w komnacie. I wezwać księdza. W takiej właśnie kolejności. Dalsze dyspozycje wydam, gdy zjem.

– Wiele – dodał, widząc odgadujące prawdę spojrzenie ochmistrzyni. – Wiele się teraz tutaj zmieni.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym znowu zjawiają się czerwony goliard i czarny wóz, a na wozie pięćset z górą grzywien. A wszystko skutkiem tego, że Reynevan znowu leci za spódniczką.

Około południa drogę zatarasował mu wiatrołom – ogromna, sięgająca dalekiej ściany boru połać połamanych, leżących pokotem pni. Zapora strzaskanych tramów, bezład splątanych konarów, chaos powykręcanych jakby w męce, wydartych z ziemi korzeni i labirynt wykrotów były iście obrazem jego duszy. Alegoryczny krajobraz nie tylko zatrzymał go, lecz zmusił do myślenia.

Po rozstaniu z księciem Bolkiem Wołoszkiem Reynevan apatycznie jechał na południe, tam, dokąd wiatr gnał zwały ciemnych chmur. Właściwie nie wiedział, czemu właśnie taki kierunek wybrał. Czy dlatego, że wskazał go na odjezdnym Wołoszek? Czy instynktownie wybrał szlak oddalający go od miejsc i spraw budzących w nim lęk i odrazę? Od Sterczów, Strzegomia i pana von Laasan, Hayna von Czirne, świdnickiej Inkwizycji, zamczyska Stolz, Ziębic, księcia Jana...

I Adeli.

Wiatr pędził chmury tak nisko, że niemal, wydawało się, zawadzą o szczyty drzew za wiatrołomem. Reynevan westchnął.

Ach, jak zabolały, jak targnęły sercem i trzewiami zimne słowa księcia Bolka! W Ziębicach nie ma już czego szukać! Na rany Chrystusa! Słowa te, może dlatego, że tak bezlitośnie szczere, tak prawdziwe, zabolały bardziej niż zimne i obojętne spojrzenie Adeli, niż jej okrutny głos, gdy poduszczała na niego rycerzy, niż ciosy, które z tej przyczyny spadły na niego, niż więzienie. W Ziębicach nie ma już czego szukać. W Ziębicach, ku którym zmierzał pełen nadziei i miłości, skroś niebezpieczeństw, ryzykując zdrowiem i życiem. W Ziębicach nie ma już czego szukać!

Nigdzie zatem nie mam już niczego, pomyślał zapatrzony w plątaninę korzeni i konarów. Miast zatem uciekać, by szukać tego, czego już nie ma, czy nie lepiej zawrócić do Ziębic? Znaleźć sposobność spotkania oko w oko z niewierną kochanką? By jak ów rycerz z ballady, co za rzuconą przez płochą damę rękawiczką wszedł w cwinger między lwy i pantery, cisnąć Adeli w twarz, jak rękawiczkę właśnie, gorzki wyrzut i

zimną wzgardę? Zobaczyć, jak niegodziwa blednie, jak miesza się, jak łamie ręce, jak spuszcza wzrok, jak drżą jej usta. Tak, tak, niech się dzieje, co chce, byle zobaczyć, jak ona blednie, jak sroma się w obliczu hańby swego własnego przeniewierstwa! Sprawić, by cierpiała! By gryzło ją sumienie, dręczyły wyrzuty...

Akurat, odezwał się rozsądek. Wyrzuty? Sumienie? Ty durniu! Ona roześmieje się, każe cię znowu obić i wsadzić do wieży. A sama pójdzie do księcia Jana i obydwoje legną w łożnicy, będą się kochać, ba, gzić tak, że łożnica zatrzeszczy. I nie będzie tam ni wyrzutów, ni żalów. Będzie śmiech, bo miłosnym igraszkom dodadzą, niby korzenna przyprawa, smaku i ognia szyderstwa z naiwnego głupca, Reinmara z Bielawy.

Rozsądek, Reynevan skonstatował to zupełnie bez zdziwienia, przemawiał głosem Szarleja.

Koń Henryka Hackeborna zarżał, zatrząsł łbem. Szarlej, pomyślał Reynevan, klepiąc go po szyi, Szarlej i Samson. Zostali w Ziębicach. Zostali? A może też zaraz po jego aresztowaniu ruszyli na Węgry, radzi, że pozbyli się wreszcie kłopotu? Szarlej całkiem niedawno wychwalał przyjaźń, rzecz to wielka, prawił, i piękna. Ale wcześniej – a jakoś prawdziwiej i szczerzej to brzmiało, jakoś mniej w tym dźwięczało drwiny – deklarował, że liczy się dlań wyłącznie jego własna wygoda, jego własne dobro i szczęśliwość, że resztę pal diabli. Tak mówił, i w sumie...

W sumie coraz mniej mu się dziwię.

Kastelan Hackeborna zarżał znowu. I odpowiedziało mu rżenie.

Reynevan poderwał głowę, w samą porę, by zdążyć na skraju lasu zobaczyć jeźdźca.

Amazonkę.

Nikoletta, pomyślał ze zdumieniem, Nikoletta Jasnowłosa! Siwa klacz, jasna kosa, szara opończa. To ona, ona, bez dwóch zdań!

Nikoletta zobaczyła go w tym samym niemal momencie, co on ją. Ale wbrew oczekiwaniu nie pomachała mu ręką, nie okrzyknęła ochoczo i wesoło. Gdzie tam. Obróciła konia i rzuciła się do ucieczki. Reynevan nie zastanawiał się długo. Dokładniej mówiąc, nie zastanawiał się ni sekundy.

Poderwał kastelana i rzucił się w ślad, skrajem wiatrołomu. Galopem. Wykroty groziły rumakowi połamaniem nóg, a jeźdźcowi skręceniem

karku, ale jak się rzekło, Reynevan nie myślał. Koń też nie.

Gdy wpadł za amazonką w bór, między sosny, już wiedział, że się pomylił. Po pierwsze, siwy koń nie był znaną mu rasową i rączą klaczą, lecz kościstą i niezgrabną szkapą, cwałującą przez paprocie ociężale i zupełnie bez gracji. A jadąca na szkapie dziewczyna w żaden sposób nie mogła być Nikolettą Jasnowłosą. Śmiała i rezolutna Nikoletta – czyli Katarzyna Biberstein, poprawił się w myśli – nie jechałaby, po pierwsze, w damskim siodle. Po drugie, nie kurczyłaby się w nim tak haniebnie, nie oglądała w popłochu. I nie piszczałaby tak przeraźliwie. Z całą pewnością by tak nie piszczała.

Gdy wreszcie dotarło do niego, że niczym kretyn lub zboczeniec ściga po lasach zupełnie obce dziewczyny, było już za późno. Amazonka wśród tętentu i pisku wyjechała na polanę, Reynevan wyjechał tuż za nią. Wstrzymywał konia, ale narowisty rycerski rumak nie dał się zatrzymać.

Na polanie byli ludzie, konie, cały orszaczek. Reynevan dostrzegł kilku pielgrzymów, kilku franciszkanów w burych habitach, kilku zbrojnych kuszników, grubego sierżanta, zaprzężony w parę koni furgon nakryty czarnym smołowanym wańtuchem. Jegomościa na karoszu, w bobrowym kołpaku i płaszczu z bobrowym kołnierzem. Jegomość z kolei dostrzegł Reynevana, wskazał go sierżantowi i zbrojnym.

Inkwizytor, pomyślał ze strachem Reynevan, ale od razu zorientował się w pomyłce, przypomniał sobie. Widział już ten wóz, widział już osobnika w bobrowym kołpaku i kołnierzu. Kim był, zdradziła im Dzierżka de Wirsing, w folwarku, gdzie stała ze swym tabunem. Był to kolektor. Poborca podatków.

Wpatrując się w nakryty czarnym płótnem wóz, zdał sobie sprawę z faktu, że widział ten wehikuł również później. Przypomniał sobie również okoliczności, co sprawiło, że natychmiast zapragnął uciekać. Nie zdążył. Nim zdołał obrócić tupiącego i szarpiącego łbem konia, zbrojni dojechali cwałem, otoczyli go, odcinając od lasu. Widząc się celem kilku napiętych kusz, Reynevan puścił wodze, uniósł ręce.

– Ja przypadkiem! – zawołał. – Omyłkowo! Bez złych zamiarów!

– Każdy tak może rzec – powiedział, podjechawszy, bobrowy kolektor. Przyglądał się nadzwyczaj ponurym wzrokiem, przyglądał się tak bacznie i podejrzliwie, że Reynevan zamarł w oczekiwaniu najgorszego i nieuniknionego. Czyli tego, że kolektor go rozpozna.

– Hola, hola! Niechajcie. Ja tego junaka znam!

Reynevan przełknął ślinę. Zdecydowanie był to dzień odnawiania znajomości. Wołającym był bowiem poznany w raubritterskim Kromolinie goliard, ten sam, który odczytywał husycki manifest, a później wraz z Reynevanem krył się w serniku. Niemłody, noszący kabat z powycinaną w ząbki baskiną i czerwony rogaty kaptur, spod którego wyłaziły kręte kosmyki mocno szpakowatych już włosów.

– Znam dobrze – powtórzył, podjechawszy – tego młodzieńca. Z porządnej jest szlachty. Zwie się on... Reinmar von Hagenau.

– Potomek może – rysy bobrowego kolektora złagodniały odrobinę – tego słynnego poety?

– Nie.

– A czemu to śledzi za nami? Tropem jedzie? Hę?

– Jakimże znowu tropem – uprzedził, parsknąwszy, czerwony goliard. – Ślepiście czy jak? Toć z boru wyjechał! Gdyby tropił, jechałby duktem, po śladach.

– Niby, hmmm, prawda. I znacie się, mówicie?

– Jak amen w pacierzu – potwierdził wesoło goliard. – Przecie ja jego imię wiem. A on moje. Że zwę się Tybald Raabe. No, rzeknijcie, paniczu Reinmarze, jak się zwę?

– Tybald Raabe.

– Widzicie?

W obliczu niezbitego dowodu kolektor odkaszlnął, poprawił bobrowy kołpak, nakazał żołnierzom, by odstąpili.

– Wybaczcie, hmm... Wierę, nazbyt ostrożnym... Ale muszę być czujny! Więcej rzec mi nie lza. Cóż, panie Hagenau, możecie...

– ...jechać z nami – dokończył ochoczo goliard, wcześniej przesławszy Reynevanowi nieznaczne mrugnięcie. – My do Barda. Wspólnie. Bo to w kupie raźniej i... bezpieczniej.

●

Orszaczek posuwał się wolno, wyboista leśna droga ograniczała tempo zaprzęgu do takiego, któremu bez żadnego trudu mogli sprostać piesi, czterej pątnicy z kosturami i ciągnący mały wózek czterej franciszkanie. Pątnicy wszyscy, jak jeden mąż, mieli nosy sinoczerwone, dowodnie świadczące o zamiłowaniu do trunków i innych grzechach młodości. Franciszkanie byli ludźmi młodymi.

– Pątnicy i Bracia Mniejsi – wyjaśnił goliard – też zmierzają do Barda. Do świętej Figury na Górze, wiecie, Madonny Bardzkiej...

– Wiem – przerwał Reynevan, upewniając się, czy ktoś nie słucha, zwłaszcza jadący obok czarnego furgonu kolektor. – Wiem, panie... Tybaldzie Raabe. Jeśli zaś czegoś nie wiem...

– To tak widać musi być – uciął goliard. – Nie zadawajcie zbędnych pytań, paniczu Reinmarze. I bądźcie Hagenau. Nie Bielau. Tak bezpieczniej.

– Byłeś – odgadł Reynevan – w Ziębicach.

– Byłem. I słyszałem co nieco... Dość, by się zdumieć, widząc was tutaj, w Goleniowskich Borach. Bo niosła wieść, że w wieży siedzicie. Oj, przypisywano wam grzeszki... Plotkowano... Gdybym was nie znał...

– Ale znasz wszak.

– Znam. I życzliwy wam jestem. Dlatego powiadam: jedźcie z nami. Do Barda... Dla Boga! Nie wpatrujcież się tak w nią, paniczu. Nie dość, żeście ją po lesie ganiali?

Gdy jadąca na czele orszaczku panna obejrzała się po raz pierwszy, Reynevan aż westchnął. Z wrażenia. I zdumienia. Że mógł pomylić to brzydactwo z Nikolettą. Z Katarzyną Biberstein.

Włosy miała, fakt, identyczne niemal w kolorze, jasne jak słoma, częsty na Śląsku produkt mieszanki krwi jasnowłosych ojców znad Łaby i jasnowłosych matek znad Warty i Prosny. Ale to był koniec podobieństw. Nikoletta miała cerę jak alabaster, czoło i podbródek dziewczyny dekorowały wypryski trądziku. Nikoletta miała oczy jak bławatki, pryszczata dziewczyna nijakie, wodniste i wciąż żabio wybałuszone, co można było przypisać przestrachowi. Nos zbyt mały i perkaty, wargi natomiast za wąskie i za blade. Coś tam widać usłyszawszy o modzie, wyskubała sobie brwi, ale z kiepskim skutkiem – miast wyglądać modnie, wyglądała jak głupia. Wrażenia dopełniał strój – nosiła trywialną czapeczkę z królika, a pod opończą szarą sukienczynę, prosto skrojoną, uszytą z kiepskiej, zmechaconej wełny. Katarzyna Biberstein zapewne w lepsze ubierała służki.

Brzydactwo, pomyślał Reynevan, biedna brzydula. Brakuje jej tylko dziobów po ospie. Ale wszystko przed nią.

Jadący bok w bok z dziewczyną rycerz miał – nie można było tego przeoczyć – ospę za sobą, śladów nie kryła krótka szpakowata broda. Rząd gniadosza, na którym jechał, był mocno wystrzępiony, a kolczug,

jaką nosił, nie noszono od czasów bitwy legnickiej. Ubogi rycerz, pomyślał Reynevan, jakich wielu. Zaściankowy *vassus vassallorum*. Wiezie córkę do klasztoru. Bo dokąd by? Kto by taką chciał? Tylko klaryski albo cysterki.

– Przestańcież – syknął goliard – gapić się na nią. To nie uchodzi.

Cóż, rzeczywiście nie uchodziło. Reynevan westchnął i odwrócił wzrok, skupiając się całkowicie na rosnących na skraju drogi dębach i grabach. Ale już było za późno.

Goliard zaklął z cicha. A ustrojony w legnicką kolczugę rycerz zatrzymał konia i poczekał, aż do niego podjadą. Minę miał bardzo poważną i bardzo ponurą. Głowę uniósł dumnie, pięść wsparł o biodro, tuż obok rękojeści miecza. Równie niemodnego jak kolczuga.

– Szlachetny pan Hartwig von Stietencron – odchrząknąwszy, dokonał prezentacji Tybald Raabe. – Pan Reinmar von Hagenau.

Szlachetny Hartwig von Stietencron przyglądał się Reynevanowi przez chwilę, ale wbrew oczekiwaniom nie zapytał o pokrewieństwo ze słynnym poetą.

– Zalękliście mi córę, mości panie – oznajmił wyniośle. – Goniąc za nią.

– Wybaczenia upraszam – Reynevan skłonił się, czuł, jak kraśnieją mu policzki. – Jechałem za nią, albowiem... Omyłkowo. Proszę o wybaczenie. I ją też, jeśli pozwolicie, poproszę, klęknę...

– Nie klękajcie – uciął rycerz. – Niechajcie ją. Lękliwa jest. Nieśmiała. Ale dobre dziecko. Do Barda ją wiozę...

– Do klasztoru?

– Dlaczego – rycerz zmarszczył brwi – tak sądzicie?

– Toć na wielce pobożnych – wybawił Reynevana z opresji goliard. – Na wielce pobożnych patrzycie oboje.

Szlachetny Hartwig von Stietencron schylił się z kulbaki, zacharczał i splunął, całkiem niepobożnie i zupełnie nie po rycersku.

– Niechajcie mą córę, panie von Hagenau – powtórzył. – Całkiem i zawżdy. Pojęliście?

– Pojąłem.

– Dobrze. Kłaniam.

●

Po jakiejś godzinie jazdy nakryty czarnym wańtuchem wóz ugrzązł w błocku, do wyciągnięcia trzeba było solidarnie zaangażować wszystkie siły, Braci Mniejszych nie wyłączając. Rzecz jasna, do pracy fizycznej nie zniżyła się ani szlachta, czyli Reynevan i von Stietencron, ani kultura i sztuka w osobie Tybalda Raabego. Bobrowy kolektor incydentem zdenerwował się okropnie, biegał, klął, wydawał komendy, z niepokojem oglądał się na bór. Zauważył widać spojrzenia Reynevana, bo gdy tylko wehikuł uwolniono i orszak ruszył, uznał za celowe rzecz wyjaśnić.

– Trzeba wam wiedzieć – zaczął, wprowadziwszy konia między Reynevana i goliarda – że tu o ładunek idzie, co go wiozę. Wierę, nie byle jaki.

Reynevan nie skomentował. Dobrze zresztą wiedział, w czym rzecz.

– Tak, tak – kolektor zniżył głos, rozejrzał się nieco płochliwie na boki. – Na wozie tym nie byle szysz wieziemy. Innemu bym nie zdradził, ale wyście przecie szlachta, z uczciwego rodu i uczciwie wam z oczu patrzy. Tedy wam rzekę: wieziemy ściągnięty podatek.

Znowu zrobił pauzę, odczekał na ciekawość, nie doczekał się.

– Podatek – podjął – uchwalony frankfurckim Reichstagiem. Specjalny, jednorazowy. Na wojnę z czeską herezją. Każdy płaci podług majętności. Rycerz pięć guldenów, baron dziesięć, duchowni pięć od sta ze swego rocznego dochodu. Pojmujecie?

– Pojmuję.

– A jam jest kolektor. Co zebrane, na wozie wiozę. W szkatule. A jest tego, trzeba wam wiedzieć, niemało, bo w Ziębicach nie od byle baronka, ale od Fuggerów zainkasowałem. Nie powinno dziwić, żem ostrożny. Ledwo tydzień, jak napadli na mnie. Niedaleko Rychbachu, podle wsi Lutomia.

Reynevan i tym razem nie odezwał się i nie pytał. Kiwał tylko głową.

– Rycerze rabusie. Iście zuchwała szajka! Sam Paszko Rymbaba, rozpoznano go. Wierę, byliby nas pomordowali, szczęściem pan Seidlitz w sukurs się zjawił, przepędził łotrów. Sam w potyczce o ranę przyszedł, co do okrutnej go przywiodło cholery. Klął się, że raubritterom odpłaci, a wierę, słowa dotrzyma, pamiętliwi są Seidlitze.

Reynevan oblizał wargi, wciąż machinalnie kiwając głową.

– Wołał w cholerze pan Seidlitz, że wszystkich ich połapie i tak sprawi, tak umęczy, że i lepiej książę cieszyński Noszak zbója Chrzana

nie umęczył, wiecie, tego, co mu syna ubił, młodego księcia Przemka. Pomnicie? Na rozpalonego konia miedzianego go posadzić kazał, do białości rozgrzanymi obcęgami i hakami ciało szarpać... Pomnicie? Ha, widzę po waszej minie, że pomnicie.

– Mhm.

– Dobrze się więc stało, że mogłem panu Seidlitzowi rzec, kto owi rabusie byli. Paszko, jakem wprzódy mówił, Rymbaba, a gdzie Paszko, tam i Kuno Wittram, a gdzie ci dwaj, tam, wierę, i Notker Weyrach, rozbójnik stary. Ale i inni tamój byli, tych też panu Seidlitzowi opisałem. Wielgachne jakieś drabisko, z gębą głupią, wierę, pomylone. Mniejszy typek, garbonos taki, spojrzysz i wiesz: szubrawiec. I jeszcze chłystek, młodzik, waszego wieku, tylej co i wy postury, trochę nawet do was podobny, zda mi się... Ale nie, co ja gadam, wyście młodzian urodziwy, szlachetnego oblicza, wypisz wymaluj święty Sebastian na obrazie. A tamtemu z oczu patrzało, że wykolejeniec.

– Opowiadam tedy, opowiadam, a pan Seidlitz jak nie wrzaśnie! Pry, on zna tych hultajów, słyszał o nich, jego swak, pan Guncelin von Laasan, też takich ściga, tych dwóch, garbonosa i chłystka, a to za napad, którego się owi w Strzegomiu dopuścili. Jak to się, popatrzcie, losy plotą... Dziwujecie się? Czekajcie, zaraz lepsze będzie, dopieróż będzie się czemu dziwować. Już, już mam z Ziębic wyjeżdżać, a donosi mi pacholik, że ktoś się koło wozu kręcił. Przyczaiłem się i co widzę? Ówże garbonos i ówże wielgas matoł! Uważacie? Jak zuchwałe łotry?!

Kolektor aż zachłysnął się z oburzenia. Reynevan kiwał głową i przełykał ślinę.

– Tedy ja co tchu – podjął poborca – do ratusza, uwiadomiłem, złożyłem doniesienie. Już ich tam pewnie pojmali, już ich w loszku mistrz na koło naciąga. A miarkujecie, w czym tu proceder? Owe dwa łotry, z tym trzecim, chłystkiem, niechybnie dla raubritterów szpiegowali, znać dawali bandzie, na kogo się zasadzić ma. W strachu byłem, czy już na mnie się gdzie na gościńcu nie czają, uwiadomieni. A eskorta moja, jak widzicie, mniej niźli skromna! Całe ziębickie rycerstwo woli turniej, uczty, igry, tfu, tańce! Strach więc, bo i życie mi miłe, a i żal, by w zbójeckie łapy wpadło te pięćset z górą grzywien... Na święty cel przecie przeznaczone.

– No pewnie – dorzucił goliard – że żal. I pewnie, że na święty. Ba, na święty i na dobry, a to nie zawsze w parze idzie, he-he. Ja to więc panu

kolektorowi doradziłem, by głównych traktów się wystrzegać, a cichcem lasami przemknąć, szach-mach, do Barda.

– I niech nas – kolektor wzniósł oczy ku niebu – ma w opiece Bóg. I patroni podatkowych poborców, święci Adaukt i Mateusz. I Matka Boska Bardzka, cudami słynąca.

– Amen, amen – zawołali, dosłyszawszy, idący obok wozu pątnicy z kosturami. – Pochwalona Najświętsza Panienka, opiekunka i orędowniczka!

– Amen! – zawołali chórem idący z drugiej strony Bracia Mniejsi.

– Amen – dodał von Stietencron, a brzydula przeżegnała się.

– Amen – zakończył kolektor. – Święte miejsce, panie Hagenau, powiadam wam, Bardo, przez Matkę Boską widać ulubione. Wiecie to, że podobnież znowu się na Górze Bardzkiej objawiła? I znowu płacząca, jak wonczas, w roku czterechsetnym. Jedni powiadają, zapowiedź to nieszczęść, co wkrótce spadną na Bardo i Śląsk cały. Inni mówią, płacze Matka Boska, bo wiara upada, schizma się szerzy. Husyci...

– Wy cięgiem ino – przerwał goliard – husytów widzicie i herezję wietrzycie. A nie zda się wam, że z całkiem innych powodów może płakać Najświętsza Panienka? Może jej łzy płyną, gdy patrzy na księży, na Rzym? Gdy widzi świętokupstwo, zbereźną rozpustę, złodziejstwo? Apostazję i herezję wreszcie, bo czymż, jeśli nie herezją, jest czynienie wbrew Ewangeliom? Może płacze Matka Boska, gdy widzi, jak święte sakramenty stają się fałszem i kuglarskim igrzyskiem, bo udziela ich kapłan trwający w grzechu? Może ją oburza i smuci to, co smuci i oburza wielu: będąc bogatym ponad magnatów, czemu to papież nie za swoje własne pieniądze, lecz za pieniądze ubogich wiernych buduje kościół Piotrowy?

– Oj, ścichlibyście lepiej...

– Może płacze Matka Boska – nie dał się uciszyć goliard – gdy patrzy, jak miast modlić się i żyć w pobożności, rwą się księża do wojny, do polityki, do władzy? Jak rządzą? A do rządów ich jakże trafnie przystają słowa Izajasza proroka: Biada prawodawcom ustaw bezbożnych i tym, co ustanowili przepisy krzywdzące, aby słabych odepchnąć od sprawiedliwości i wyzuć z prawa biednych mego ludu; by wdowy uczynić swoim łupem i by móc ograbiać sieroty!

– Wierę – uśmiechnął się krzywo kolektor – ostre słowa, ostre, mości Raabe. A rzekłbym, że i do was samych można je zastosować, że

samiście nie bez grzechu. Przemawiacie jak polityk, by nie rzec ksiądz. Miast, co wam przystoi, patrzeć luteńki, rymu i śpiewu.

– Rymu i śpiewu, mówicie? – Tybald Raabe zdjął z łęku lutnię. – Wedle woli waszej!

Cesarscy popowie
są antychrystowie;
ich moc nie od Chrysta,
ale od antychrysta
z cesarskiego lista!

– Zaraza – zamruczał, rozglądając się, kolektor. – To już wolę, byście przemawiali.

Chryste, przez Twe rany,
racz nam dać kapłany,
iżby prawdę wiedli,
antychrysta pogrzebli,
nas k'tobie przywiedli!
Lachowie, Niemcowie,
Wszyscy językowie
Wątpicie li w mowie
I waszego pisma słowie
Wiklef prawdę powie!

Prawdę powie, machinalnie powtórzył w myśli zasłuchany Reynevan. Prawdę powie. Gdzie ja już słyszałem te słowa?

– Będzie wam kiedyś, panie Raabe, jeszcze bieda za te przyśpiewki – mówił tymczasem kwaśno kolektor. – A wam, braciszkowie, dziwię się, że tak spokojnie tego słuchacie.

– W pieśniach – uśmiechnął się jeden z franciszkanów – nader często prawda się ukrywa. Prawda zaś to prawda, nie zakłamać jej, trza ścierpieć, choćby i boleć miała. A Wiklef? Cóż, błądził, lecz *libri sunt legendi, non comburendi*.

– Wiklef, odpuść mu Panie – dorzucił drugi – pierwszy nie był. Bolał już nad tym, o czym tu mowa była, nasz wielki brat i patron, Biedaczyna z Asyżu. Oczu nie ma co zamykać ni głowy odwracać: źle się dzieje. Oddalają się duchowni od Boga, świeckich rzeczy patrzą. Miast żyć skromnie, bogatsi bywają od książąt i baronów...

– A mówił wszak Jezus, jak zaświadcza Ewangelia – dodał cicho trzeci – *nolite possidere aurum neque argentum neque pecuniam in zonis vestris*.

– A słów Jezusowych – wtrącił, odchrząknąwszy, gruby sierżant – poprawiać ni odmieniać nie może nikt, nawet papież. A jeśli to czyni, tedy on nie papież, lecz jak w pieśni: antychryst prawy.

– Ano! – zawołał, trąc siny nos, najstarszy pątnik. – Tak ono i jest!

– Ech, na Boga! – żachnął się kolektor. – Cichajcież! Ależ mi kompania wypadła! Toż to, wypisz wymaluj, waldenskie i begardzkie gadanie. Grzech!

– Będzie wam odpuszczony – parsknął, strojąc lutnię, goliard. – Ściągacie wszak podatek na święty cel. Ujmą się za wami święci Adaukt i Mateusz.

– Uważacie, panie Reinmarze – powiedział kolektor z wyraźnym żalem – z jakim przekąsem to rzekł? Wierę, każdy świadom jest, że podatki na zbożne się cele ściąga, że ku dobru społecznemu wiodą. Że płacić trza, bo taki jest porządek! Wszyscy to wiedzą. I co? Nikt poborców nie kocha. Bywa, zobaczą, że nadjeżdżam, w las uciekają. Psami, bywa, poszczują. Grubym słowem rzucą. A nawet ci, co płacą, patrzą jak na zadżumionego.

– Ciężka dola – kiwnął głową goliard, mrugnąwszy do Reynevana. – Nie pragnęliście tego nigdy odmienić? Tyle mając okazji?

●

Tybald Raabe był, jak się okazało, człekiem bystrym i domyślnym.

– Nie wierćcie się w kulbace – rzekł cicho do Reynevana, podprowadziwszy konia bardzo blisko. – Nie oglądajcie na Ziębice. Unikać wam Ziębic.

– Moi przyjaciele...

– Słyszałem – przerwał goliard – co gadał kolektor. Iść na pomoc przyjaciołom rzecz szczytna, ale wasi przyjaciele, pozwólcie sobie rzec, nie wyglądali na takich, co sobie sami rady nie dają. Co pozwolą się aresztować ziębickiej grodowej stróży, słynącej wszak, jak zwykli słynąć wszyscy stróże prawa, z przedsiębiorczości, zapału, szybkości działania, odwagi i inteligencji. Nie myślcie, powtarzam, o powrocie. Waszym kamratom w Ziębicach nic się nie stanie, ale dla was ten gród to zguba. Jedźcie z nami do Barda, paniczu Reinmarze. A stamtąd osobiście

przeprowadzę was do Czech. Co tak oczy otwieracie? Wasz brat bliskim był mi komilitonem.

– Bliskim?

– Zdziwilibyście się, jak bardzo. Zdziwilibyście się, ile nas łączyło.

– Mnie już nic nie zdziwi.

– To się wam tylko tak zdaje.

– Jeśli faktycznie byłeś Peterlinowi druhem – rzekł po chwili wahania Reynevan – to uraduje cię wieść, że jego zabójców spotkała kara. Nie żyje już Kunz Aulock ani nikt z jego kompanii.

– Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka – powtórzył oklepaną sentencję Tybald Raabe. – Czyżby z waszej padli ręki, paniczu Reinmarze?

– Nieważne, z czyjej – Reynevan pokraśniał lekko, łowiąc w głosie goliarda nutkę drwiny. – Grunt, że ziemię gryzą. A Peterlin jest pomszczony.

Tybald Raabe milczał długo, obserwując lecącego ponad lasem kruka.

– Daleki jestem – rzekł wreszcie – od tego, by Kyrielejsona żałować czy Storka opłakiwać. Niech się w piekle smażą, zasłużyli. Ale to nie oni zamordowali pana Piotra. Nie oni.

– Któż... – zachłysnął się Reynevan. – Któż więc?

– Niejeden chciałby to wiedzieć.

– Sterczowie? Albo z poduszczenia Sterczów? Kto? Gadaj!

– Ciszej, paniczu, ciszej. Dyskretniej. Lepiej, by nie wpadło w niewłaściwe uszy. Nie umiem wam powiedzieć niczego ponad to, co sam zasłyszałem...

– A coś zasłyszał?

– Że w rzecz zamieszane są... ciemne siły.

Reynevan milczał czas jakiś.

– Ciemne siły – powtórzył z przekąsem. – Tak, też już to słyszałem. Mówili to konkurenci Peterlina. Że wiodło mu się w interesach, bo mu diabeł pomagał, w zamian za duszę zaprzedaną. I że go ów diabeł któregoś dnia do piekła porwie. Zaiste, ciemne i szatańskie siły. A pomyśleć, że miałem cię, mości Tybaldzie Raabe, za człeka poważnego i rozsądnego.

– Już milczę tedy – goliard wzruszył ramionami i odwrócił głowę. – Już i słowa nie uronię, paniczu. Bo się boję jeszcze bardziej was rozczarować.

Na popas orszaczek stanął pod olbrzymim dębem, prastarym, niezawodnie pamiętającym wiele wieków drzewem. Po dębie wesoło harcowały wiewiórki, nic sobie nie robiąc z powagi i dostojeństwa. Wyprzężono konie z nakrytego czarnym wańtuchem wozu, kompania zaś rozsiadła się pod konarami. Niebawem, jak oczekiwał Reynevan, wdano się w dyskusje polityczne, zgodnie z jego oczekiwaniem, tyczące się nadciągającego od strony Czech zagrożenia herezją husycką i spodziewanej lada dzień wielkiej krucjaty, mającej owej herezji kres położyć. Ale choć temat, i owszem, był dość typowy i przewidywalny, dyskusja nie poszła oczekiwanym torem.

– Wojna – oznajmił niespodziewanie jeden z franciszkanów, trąc tonsurę, na którą wiewiórka strąciła żołądź. – Wojna jest złem. Powiedziane jest wszak: nie zabijaj.

– A w obronie własnej? – spytał kolektor. – I majątku?

– A w obronie wiary?

– A w obronie czci? – szarpnął głową Hartwig von Stietencron. – Też gadanie! Czci mus bronić, a zniewagi zmywa się krwią!

– Jezus w Getsemani nie bronił się – odrzekł cicho franciszkanin. – I nakazał Piotrowi schować miecz. Czyżby był bezecnym?

– A co pisze Augustyn, *doctor Ecclesiae*, w *De civitate Dei*? – zakrzyknął jeden z pątników, demonstrując oczytanie – dość zaskakujące, kolor jego nosa świadczył bowiem o innych raczej upodobaniach. – Toć mowa jest tam o wojnie sprawiedliwej. A cóż bardziej sprawiedliwego niźli wojna z pogaństwem i herezją? Nie jestli taka wojna miła Bogu? Nie jest Mu miłe, gdy ktoś zabija Jego wrogów?

– A Jan Chryzostom, a Izydor, co piszą? – zawołał drugi erudyta, z podobnie sinoczerwonym nosem. – A święty Bernard z Clairvaux? Zabijać każe kacerzy, Maurów i bezbożników! Wieprzami ich nazywa nieczystymi. Zabijać takich, rzecze, to nie grzech! To na chwałę Bożą!

– Kimżeż jestem, Boże bądź miłościw – złożył ręce franciszkanin – bym miał przeczyć świętym i doktorom Kościoła? Toż ja nie do dysputy tu staję. Ja jeno powtarzam słowa Chrystusa na Górze. A nakazał on miłować bliźniego swego. Przebaczać tym, którzy przeciw nam zawinili. Miłować nieprzyjacioły i modlić się za nich.

– A Paweł każe Efezjanom – dorzucił drugi z mnichów, głosem równie cichym – zbroić się przeciw szatanowi w miłość i wiarę. Nie w dzidy.

– Da to i Bóg, amen – przeżegnał się znakiem krzyża trzeci z franciszkanów – że miłość i wiara zwyciężą. Że zgoda i *pax Dei* zapanują między chrześcijany. Bo też popatrzcie, kto z dyferencji między nami korzysta? Bisurmanin! My się dziś spieramy z Czechami o Słowo Boże, o postać komunii, a jutro co może być? Mahomet i półksiężyce na kościołach!

– Cóż – parsknął najstarszy pątnik – może i Czesi przejrzą na oczy, wyrzekną się kacerstwa. Może im w tym głód dopomoże! Bo cała Europa przystąpiła do embarga, handlu i wszelakiego przemysłu z husytami zakazała. A im potrzebne broń i proch, sól i żywność! Jeśli im tego nie stanie, to się ich rozbroi i zagłodzi. Gdy na kiszkach głód zagra, to się poddadzą, obaczycie.

– Wojna – powtórzył z naciskiem pierwszy franciszkanin – jest złem. To już ustaliliśmy. A wam co, zda się owa blokada po myśli z Chrystusa nauką? Kazał Jezus na Górze bliźniego głodem morzyć? Chrześcijanina? Religijne dyferencje pomijając, Czesi są chrześcijanami. Nie godzi się owo embargo.

– Racja, bracie – wtrącił rozparty pod dębem Tybald Raabe. – Nie godzi się to. A to wam jeszcze powiem, że to czasem obosieczne bronie bywają, takie blokady. Żeby nas one tylko do nieszczęść nie przywiodły, jak przywiodły Łużyczan. Żeby nie kosztowały Śląska tyle, co Górne Łużyce Wojna Śledziowa roku łońskiego.

– Wojna Śledziowa?

– Tak ją nazwano – wyjaśnił spokojnie goliard. – Bo i o embargo poszło, i o śledzie. Chcecie, opowiem.

– Toć chcemy! Chcemy!

– Owóż – Tybald Raabe wyprostował się, rad z zainteresowania – było tak: pan Hynek Boczek z Kunsztatu, szlachcic czeski, husyta, wielkim był smakoszem śledzi, mało co z równym smakiem jadał jak bałtyckie uliki, osobliwie pod piwo lub gorzałkę albo w post. A górnołużycki rycerz Henryk von Dohna, pan na Grafensteinie, wiedział o pana Boczkowym apetycie. Że zaś akuratnie Reichstag o embargu radził, postanowił pan Henryk w czyn gadanie obrócić i na własną rękę husytę pognębić. I dostawy śledzi mu zablokował. Zezłościł się pan Boczek, jął prosić, pry, religia religią, ale śledź śledziem! Wojuj, papisto jeden, o doktrynę i liturgię, ale śledzie mi ostaw, bo ich lubię! A pan Dohna mu na to: śledzi ci, heretyku, nie przepuszczę, żryj, Boczku, boczek nawet w piątek. I tu

przebrała się miarka! Skrzyknął rozwścieczony pan Hynek Boczek drużynę, runął na łużyckie dzierżawy, niosąc tam miecz i ogień. Pierwszy poszedł z dymem zamek Karlsfried, graniczny punkt celny, gdzie śledziowe transporty zatrzymywano. Ale tego mało było panu Boczkowi, strasznie był ozeźlony. Zapłonęły wsie wokół Hartau, kościoły, folwarki, ba, przedmieściom samej Żytawy zaświeciła w oczy łuna. Trzy dni pan Boczek palił i łupił. Nie opłaciła się, oj, nie opłaciła Łużyczanom Śledziowa Wojna! Nie życzę Śląskowi czegoś podobnego.

– Będzie – rzekł franciszkanin – co Bóg zdarzy.

Długo nikt nic nie mówił.

●

Pogoda jęła się psuć, gnane wiatrem chmury ściemniały groźnie, las szumiał, pierwsze krople deszczu zaczęły znaczyć kaptury, opończe, zady koni i wańtuch czarnego wozu. Reynevan zbliżył wierzchowca do Tybalda Raabe, jechali strzemię w strzemię.

– Ładna opowieść – zagadnął z cicha. – Ta o śledziach. I kantylena o Wiklefie też niczego sobie. Dziw tylko, żeś wszystkiego nie podsumował, jak w Kromolinie, odczytaniem czterech artykułów praskich. Podatkowy kolektor zna, ciekawość, twoje zapatrywania?

– Pozna je – odrzekł cicho goliard – gdy czas przyjdzie. Bo jest, jak mówi Eklezjastes, czas milczenia i czas mówienia. Czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas miłowania i czas nienawiści, czas wojny i czas pokoju. Jest czas na wszystko.

– Tym razem zgodzę się z tobą w całej rozciągłości.

Na rozstaju, wśród jasnej brzeziny, stał kamienny krzyż pokutny, jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i skruchy.

Na wprost jaśniał piaszczysty gościniec, w pozostałych kierunkach wiodły mroczne leśne dukty. Wiatr szarpał korony drzew, miotał suchymi liśćmi. Deszcz – na razie tylko drobny – zacinał w twarze.

– Na wszystko – rzekł Reynevan do Tybalda Raabe – jest czas. Tak mówi Eklezjastes. Przyszedł zatem czas się pożegnać. Zawracam ku Ziębicom. Nic nie mów.

Kolektor przyglądał się im. Podobnie Bracia Mniejsi, pątnicy, żołnierze, Hartwig Stietencron i jego córka.

– Nie mogę – podjął Reynevan – zostawić przyjaciół, którzy mogą być w biedzie. Nie godzi się to. Przyjaźń to rzecz wielka i piękna.

– A czy ja co mówię?

– Jadę.

– Jedźcie – kiwnął głową goliard. – Gdyby jednak przyszło wam zmienić plany, paniczu, gdybyście jednak woleli Bardo i drogę do Czech... Dogonicie nas łatwo. Będziemy jechać wolno. A podle Ściborowej Poręby mamy w planie dłużej popasać. Ściborowa Poręba, zapamiętacie?

– Zapamiętam.

Pożegnanie było krótkie. Wręcz zdawkowe. Ot, zwykłe życzenia szczęścia i boskich *auxiliów*. Reynevan obrócił konia. W pamięci miał spojrzenie, którym rozstała się z nim córka Stietencrona. Spojrzenie cielęce, maślane, spojrzenie wodnistych i pełnych tęsknoty oczu spod wyskubanych brwi.

Takie brzydactwo, pomyślał w galopie pod wiatr i deszcz. Taka szpeciula, taki wypłosz. Ale wdałego mężczyznę zauważy od razu i umie się poznać.

Koń przecwałował ze staje, nim Reynevan rzecz przemyślał i pojął, jaki jest głupi.

●

Gdy wpakował się na nich w okolicy wielkiego dębu, nawet się bardzo nie zdumiał.

– Ho! Ho! – krzyknął Szarlej, wstrzymując tańczącego konia. – Wszelki duch! Toż to nasz Reynevan!

Zeskoczyli z siodeł, za moment Reynevan zastękał w serdecznym, acz grożącym pogruchotaniem żeber uścisku Samsona Miodka.

– Proszę, proszę, proszę – mówił zmienionym nieco głosem Szarlej. – Uciekł ziębickim siepaczom, uciekł panu Bibersteinowi z zamku Stolz. Moje uznanie. Spójrz jeno, Samsonie, cóż za zdolny młodzieniec. Jest ze mną dwie niedziele zaledwie, a ile się już nauczył! Sprytny się zrobił, mać jego, jak dominikanin!

– Jedzie ku Ziębicom – zauważył Samson, pozornie chłodno, ale w jego głosie też brzmiało wzruszenie. – A to świadczy wybitnie na niekorzyść sprytu. I rozumu. Jak to jest, Reinmarze?

– Sprawę ziębicką – rzekł Reynevan, zaciskając zęby – uważam za zakończoną. I niebyłą. Nic mnie już nie łączy z... z Ziębicami. Nic mnie już nie łączy z przeszłością. Ale bałem się, że was tam schwytali.

– Oni? Nas? Wolne żarty!

– Rad jestem was widzieć. Naprawdę się cieszę.

– Uśmiejesz się. My też.

Deszcz przybrał na sile, wiatr targał konarami drzew.

– Szarleju – rzekł Samson. – Myślę, że nie ma co jechać dalej tropem... To, cośmy zamierzyli, nie ma już ni celu, ni sensu. Reinmar jest wolny, nic go nie łączy, dajmy tedy koniom ostrogi i hajda, ku Opawie, ku węgierskiej granicy. Zostawmy, sugeruję, za plecami Śląsk i wszystko, co śląskie. W tym i nasze desperackie plany.

– Jakie plany? – zaciekawił się Reynevan.

– Nieważne. Szarleju? Co powiesz? Ja radzę zamiary porzucić. Zerwać umowę.

– Nie rozumiem, o czym mówicie.

– Później, Reinmarze. Szarleju?

Demeryt chrząknął głośno.

– Zerwać umowę? – powtórzył za Samsonem.

– Zerwać.

Szarlej, widać to było, bił się z myślami.

– Noc zapada – rzekł wreszcie. – A noc przynosi radę. *La notte*, jak mawiają w Italii, *porta la consiglia*. Warunkiem jest, dodam już od siebie, aby była to noc przespana w miejscu suchym, ciepłym i bezpiecznym. Na koń, chłopcy. I za mną.

– Dokąd?

– Zobaczycie.

●

Było już zupełnie niemal ciemno, gdy zamajaczyły przed nimi płoty i budynki. Rozszczekały się psy.

– Co to jest? – spytał Samson z niepokojem w głosie. – Czy aby...

– To jest Dębowiec – przerwał Szarlej. – Grangia należąca do klasztoru cystersów w Kamieńcu. Gdy siedziałem u demerytów, kazali mi tu, bywało, pracować. W ramach kary, jak słusznie podejrzewacie. Stąd wiem, że to miejsce suche i ciepłe, jakby stworzone do tego, by się dobrze wyspać. A rano da się i coś do żarcia zorganizować.

– Rozumiem – rzekł Samson – że cystersi cię znają. Że poprosimy o gościnę...

– Tak dobrze nie ma – uciął znowu demeryt. – Pętajcie konie. Zostawimy je tu, w lesie. A sami za mną. Na paluszkach.

Cysterskie psy uspokoiły się, szczekały już ciszej i od niechcenia, gdy Szarlej zręcznie wyłamywał deskę w ścianie stodoły. Po chwili byli już w ciemnym, suchym, ciepłym wnętrzu, miło pachnącym słomą i sianem. Po chwili, wlazłszy po drabinie na strop, już się w siano zagrzebywali.

– Śpijmy – zamruczał Szarlej, szeleszcząc. – Szkoda, że na głodno, ale z jedzeniem proponuję wstrzymać się do rana, wtedy z pewnością da się ukraść jakiejś spyży, choćby jabłek. Ale jeśli mus, mogę pójść zaraz. Jeśli ktoś do rana nie strzyma. Co, Reinmarze? Ciebie głównie miałem na myśli jako osobę mającą trudności z opanowywaniem prymitywnych popędów... Reinmarze?

Reynevan spał.

Rozdział dwudziesty drugi

w którym okazuje się, że nasi bohaterowie bardzo pechowo wybrali miejsce na nocleg. Potwierdza się też – choć rzecz ujawni się dużo później – znana prawda, że w historycznych czasach najdrobniejsze nawet zdarzenie może okazać się brzemienne w historyczne skutki.

Reynevan, mimo zmęczenia, spał źle i niespokojnie. Przed zaśnięciem ciskał się w kłującym, pełnym ostów sianie i wiercił między Szarlejem a Samsonem, zarabiając na kilka przekleństw i kuksańców. Potem jęczał przez sen, widząc krew płynącą z ust przeszywanego mieczami Peterlina. Wzdychał, widząc nagą Adelę de Stercza, siedzącą okrakiem na księciu Janie Ziębickim, pojękiwał, widząc, jak książę bawi się jej tańczącymi rytmicznie piersiami, głaszcząc je i ściskając. Potem, ku jego zgrozie i rozpaczy, miejsce zwolnione przez Adelę zajęła na księciu Nikoletta Jasnowłosa, czyli Katarzyna Biberstein, ujeżdżając niezmordowanego Piasta z nie mniejszymi niż Adela energią i entuzjazmem. I z nie mniejszą w finale satysfakcją.

Potem były półgołe dziewczyny z rozwianym włosem, lecące na miotłach przez podświetlone łunami niebo, wśród stad kraczących wron. Był pełznący po ścianie pomurnik, bezgłośnie rozwierający dziób. Był oddział cwałujących wśród pól zakapturzonych rycerzy, krzyczących niezrozumiale. Była *turris fulgurata*, trafiona piorunem, rozsypująca się wieża, był spadający z niej człowiek. Był człowiek biegnący po śniegu, palący się, cały w płomieniach. Potem była bitwa, huk dział, palba samostrzałów, łomot kopyt, rżenie koni, szczęk oręża, krzyki...

Obudził go łomot kopyt, rżenie koni, szczęk oręża, krzyki. Samson Miodek w samą porę zakrył mu usta dłonią.

Podwórzec grangii roił się od pieszych i konnych.

– Aleśmy wpadli – mruknął Szarlej, obserwujący majdan przez szparę między belkami. – Zaprawdę, jak jeż w gówno.

– Czy to pościg? Z Ziębic? Za mną?

– Gorzej. To jakiś, cholera, zjazd. Cały tłum ludzi. Widzę wielmożów. I rycerzy. Psiakrew, akurat tutaj? Na tym odludziu?

– Zwiewajmy póki czas.

– Niestety – Samson wskazał głową w stronę owczarni – czas minął. Zbrojni gęsto otoczyli cały teren. Wygląda, że po to, by nikogo tu nie dopuścić. Ale wątpię, by zechcieli kogoś wypuścić. Zbyt późno się zbudziliśmy. Aż dziw, że nie wyrwał nas ze snu aromat, mięso pieką od świtu...

Faktycznie, od strony podwórca dolatywał coraz silniejszy zapach pieczeni.

– Ci zbrojni – Reynevan znalazł i dla siebie dziurę do patrzenia – noszą biskupią barwę. To może być Inkwizycja.

– Pięknie – mruknął Szarlej. – Kurwa, pięknie. Jedyna nasza nadzieja w tym, że do stodoły nie zajrzą.

– Niestety – powtórzył Samson Miodek. – Nadzieja to płonna, bo właśnie tu idą. Zakopmy się w siano. A gdyby nas znaleźli, udawajmy idiotów.

– Tobie łatwo mówić.

Reynevan dogrzebał się przez siano aż do desek pułapu, znalazł szparę, przyłożył do niej oko. Widział więc, jak do stodoły wpadli knechci, ku jego rosnącemu przerażeniu penetrując wszystkie zakamarki, bodąc nawet glewiami snopki i słomę w sąsieku. Jeden wdrapał się na drabinę, ale na poddasze nie wszedł, zadowolił się pobieżnym rzutem oka.

– Chwała i dzięki – wyszeptał Szarlej – odwiecznemu żołnierskiemu olewactwu.

Niestety, nie był to koniec. Po knechtach do stodoły wpadli pachołkowie i mnisi. Klepisko uprzątnięto i wymieciono. Nasypano pachnącej jedliny. Wtarabaniono ławy. Wstawiono sosnowe krzyżaki, na nich ułożono deski. Deski nakryto płótnem. Zanim jeszcze wniesiono antałki i kubki, Reynevan wiedział już, na co się zanosi.

Trochę potrwało, nim do stodoły wkroczyli wielmoże. Zrobiło się kolorowo, pojaśniało od zbroi, klejnotów, złotych łańcuchów i klamr, słowem, rzeczy zupełnie nie pasujących do obskurnego wnętrza.

– Zaraza... – szepnął Szarlej, też z okiem przy szparze. – Akurat w tej stodole urządzili sobie tajną naradę. Nie byle jakie to figury... Konrad, biskup wrocławski, we własnej osobie. A ten obok niego to Ludwik, książę na Brzegu i Legnicy...

– Ciszej...

Reynevan też rozpoznał obu Piastów. Konrad, od lat ośmiu biskup Wrocławia, zadziwiał swą iście rycerską posturą i czerstwym obliczem, zaskakującymi wobec zamiłowania do opilstwa, obżarstwa i wszeteczeństwa, powszechnie znanych i przysłowiowych już przywar kościelnego dostojnika. Pewnie była to zasługa mocnego organizmu i zdrowej piastowskiej krwi, inni bowiem dostojnicy, nawet chlejący mniej i kurwiący się rzadziej, w wieku Konrada nosili już brzuchy do kolan, wory pod oczami i sinoczerwone nosy – jeśli jeszcze mieli nosy. Liczący zaś sobie czterdzieści wiosen Ludwik Brzeski przypominał króla Artura z rycerskich miniatur – długie falujące włosy okalały, niby aureola, oblicze natchnione jak u poety, choć męskie zarazem.

– Prosim za stół, szlachetni panowie – przemówił biskup, znowu zaskakując, tym razem dźwięcznym głosem młodzieńca. – Choć to stodoła, nie pałac, ugościmy czym chata bogata, a proste wiejskie jadło nagrodzimy węgrzynem, jakiego i u króla Zygmunta w Budzie nie zawsze staje. Co nam potwierdzi królewski kanclerz, imć pan Schlick. Jeśli, rzecz jasna, takim trunek znajdzie.

Młody, lecz bardzo poważnie i bogato wyglądający mężczyzna ukłonił się. Na lentnerze nosił herb – klin srebrny w polu czerwonym i trzy pierścienie o odwrotnej tynkturze.

– Kaspar Schlick – szepnął Szarlej. – Osobisty sekretarz, poufnik i doradca Luksemburczyka. Duża kariera jak na takiego gołowąsa...

Reynevan wyciągnął słomkę z nosa, nadludzkim wysiłkiem tłumiąc kichnięcie. Samson Miodek syknął ostrzegawczo.

– Szczególnie serdecznie witam – kontynuował biskup Konrad – jego dostojność Jordana Orsiniego, członka kolegium kardynalskiego, ninie legata Jego Świątobliwości papieża Marcina. Witam także przedstawiciela państwa zakonnego, szlachetnego Gotfryda Rodenberga, wójta z Lipy. Witam również naszego czcigodnego gościa z Polski oraz gości z Moraw i z Czech. Witajcie i siadajcie.

– Aż tu pieprzonego Krzyżaka przyniosło – mruczał Szarlej, usiłując nożem powiększyć szparę w pułapie. – Wójt z Lipy. Gdzie to? W Prusiech pewnie. A któż ci inni będą? Widzę tam pana Putę z Czastolovic... Ten barczysty, z czarnym lwem w złotym polu, to Albrecht von Kolditz, starosta świdnicki... Zaś ten z Odrzywąsem w herbie to musi być któryś z panów z Kravarz.

– Bądź cicho – syknął Samson. – I przestań dłubać... Bo nas wykryją po wpadających do kubków drzazgach...

Na dole, w rzeczy samej, wznoszono kubki i przepijano do się, służba uwijała się z dzbanami. Kanclerz Schlick skomplementował wino, ale nie wiadomo było, czy nie z dyplomatycznej grzeczności. Siedzący za stołem wydawali się nawzajem znać. Z pewnymi wyjątkami.

– Kimże jest – zainteresował się biskup Konrad – wasz młody towarzysz, *monsignore* Orsini?

– To mój sekretarz – odparł legat papieski, mały, siwy i mile uśmiechnięty staruszek. – Zwie się Mikołaj z Kuzy. Wielką wróżę mu karierę w służbie naszego Kościoła. *Vero*, wielce mi się w mej misji przysłużył, umie bowiem jak nikt heretyckie, a zwłaszcza lollardzkie i husyckie tezy obalać. Jego dostojność biskup krakowski może potwierdzić.

– Biskup krakowski... – syknął Szarlej. – Zaraza... To jest...

– Zbigniew Oleśnicki – potwierdził szeptem Samson Miodek. – Na Śląsku, w konszachtach z Konradem. Cholera, aleśmy wpadli. Bądźcie cicho jako te myszki. Bo jeśli nas odkryją, to po nas.

– Jeśli tak – podjął na dole biskup Konrad – to może wielebny Mikołaj z Kuzy rozpocznie? Bo przecie właśnie taki cel przyświeca naszemu zgromadzeniu: husyckiej zarazie kres położyć. Nim tu jadła podadzą a wina, nim podjemy i popijemy, niechaj nam księżyk Husa nauki obali. Słuchamy.

Służba wniosła na nosiłkach i zwaliła na stół upieczonego wołu. Błysnęły i poszły w ruch sztylety i noże. Młody Mikołaj z Kuzy wstał zaś i zaczął przemawiać. A choć oczy świeciły mu się na widok pieczystego, głos młodego księdza nie zadrżał.

– Iskra rzecz jest mała – mówił z egzaltacją – lecz gdy na suchą rzecz trafi, miasta, mury, lasy wielkie gubi. Kwas też mała i nikczemna rzecz się zda, a wszakże wszystkie dzieże kwasi. Zaś nieżywa mucha, powiada Eklezjastes, zepsuje naczynie wonnego olejku. Tak zła nauka od jednego się poczyna, ledwie dwóch albo trzech ma na początku słuchaczów, lecz pomału kancer się w ciele szerzy, a jako mówią: parszywa owca wszystką trzodę zaraża. A tak iskrę wnetże, skoro się ukaże, gasić, i kwas od dzieży odmiatać, i złe ciało odcinać, i parszywą owcę z owczarni wypędzać potrzeba, aby dom wszystek i ciało, i dzieża, i bydło nie zginęło...

– Złe ciało odcinać – powtórzył biskup Konrad, szarpiąc zębami kawał wołowiny, ociekający tłuszczem i krwawym sokiem. – Dobrze, iście dobrze prawicie, młody panie Mikołaju. W chirurgii sprawa! Żelazo, ostre żelazo najlepszą na husycki kancer medycyną. Wyciąć! Rżnąć heretyków, rżnąć, a bez litości!

Zgromadzeni za stołem też wyrazili aprobatę, bełkocąc z pełnymi ustami i gestykulując ogryzanymi kośćmi. Wół pomału przemieniał się w woli szkielet, a Mikołaj Kuzańczyk obalał po kolei wszystkie husyckie błędy, po kolei obnażał wszystkie niedorzeczności nauki Wiklefa: zaprzeczanie Przemienieniu, zaprzeczanie istnieniu czyśćca, odrzucanie kultu świętych i ich wizerunków, odrzucanie spowiedzi usznej. Wreszcie doszedł do komunii *sub utraque specie* i obalił ją również.

– Pod jedną – wołał – pod chleba jeno postacią ma być dla wiernych komunia. Mówi przecie Mateusz: Chleba naszego powszedniego, *panem nostrum supersubstantialem* daj nam dzisiaj. Mówi Łukasz: Wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Gdzie tu o winie mowa? Zaprawdę, jeden i tylko jeden jest od Kościoła uchwalony i potwierdzony zwyczaj, by pospolity człowiek pod jedną tylko postacią przyjmował. I na tym każdy, który wyznawa, poprzestawać winien!

– Amen – dokończył, oblizując palce, Ludwik Brzeski.

– Dla mnie – lwio ryknął biskup Konrad, cisnąwszy kość w kąt – mogą sobie husyci przyjmować choćby nawet pod postacią klistiery, od dupy strony! Ale te skurwysyny chcą mnie ograbić! O bezwzględnej sekularyzacji dóbr kościelnych wrzeszczą, o ewangelicznym jakoby ubóstwie kleru! Znaczy się: nam odebrać, a między siebie rozdrapać! O, na mękę Pańską, temu nie być! Po moim trupie! A prędzej po ich kacerskiej padlinie! Oby zdechli!

– Na razie żyją – powiedział cierpko Puta z Czastolovic, starosta kłodzki, którego przed zaledwie pięcioma dniami Reynevan i Szarlej widzieli na turnieju w Ziębicach. – Na razie żyją i mają się świetnie, całkiem wbrew temu, co po śmierci Żiżki prorokowano. Że się wzajem pozagryzają, Praga, Tabor i Sierotki. Nic z tego, panowie. Jeśli ktoś na to liczył, srodze się zawiódł.

– Niebezpieczeństwo nie tylko nie maleje, ale wręcz rośnie – zagrzmiał głębokim basem Albrecht von Kolditz, starosta i hetman ziemski księstwa wrocławsko-świdnickiego. – Moi szpiedzy donoszą o coraz ściślejszej współpracy prażan i Korybuta ze spadkobiercami Żiżki:

Janem Hviezdą z Vicemilic, Bohusławem ze Szwamberku i Rohaczem z Dube. Głośno się mówi o wspólnych wyprawach wojennych. Pan Puta ma rację. Pomylili się ci, którzy po Żiżkowym zgonie liczyli na cud.

– I nie ma co – wtrącił z uśmiechem Kaspar Schlick – liczyć na dalsze cuda. Ani na to, że sprawę czeskiej schizmy załatwi za nas Prezbiter Jan, który nadciągnie z Indii z tysiącami koni i słoni. My, my sami rzecz tę musimy załatwić. W tej właśnie sprawie przysyła mnie tu król Zygmunt. Musimy wiedzieć, na co realnie możemy liczyć na Śląsku, na Morawie, w księstwie opawskim. Dobrze będzie też poznać, na co realnie możemy liczyć w Polsce. A to, mam nadzieję, zakomunikuje nam zaraz jego dostojność biskup krakowski. Jego nieprzejednana postawa wobec polskich popleczników wiklefizmu znana jest wszakże szeroko. A jego obecność tutaj dowodzi przychylności dla polityki króla rzymskiego.

– Wiemy w Romie – wtrącił Giordano Orsini – z jakim zapałem i poświęceniem zwalcza herezję biskup Sbigneus. Wiemy o tym w Romie i nie zapomnimy wynagrodzić.

– Mogę zatem przyjąć – uśmiechnął się znowu Kaspar Schlick – że Królestwo Polskie politykę króla Zygmunta wspiera? I wesprze jego inicjatywy? Czynnie?

– Wielce radbym – parsknął rozparty za stołem Krzyżak, Gotfryd von Rodenberg – iście, wielce radbym poznać odpowiedź na to pytanie. Dowiedzieć się, kiedy to możemy się spodziewać czynnego udziału wojsk polskich w antyhusyckiej wyprawie krzyżowej. Z ust obiektywnych chciałbym się tego dowiedzieć. Słucham tedy, *monsignore* Orsini. Wszyscy słuchamy!

– Tak jest – dorzucił z uśmiechem Schlick, nie spuszczając oczu z Oleśnickiego. – Wszyscy słuchamy. Jak się wasza misja u Jagiełły powiodła?

– Rozmawiałem z królem Ladislasem długo – rzekł zasmuconym nieco głosem Orsini. – Ale, hmm... Bez większego skutku. W imieniu i z upoważnienia Jego Świątobliwości wręczyłem królowi polskiemu nie byle jaką relikwię... jeden z gwoździ, którymi nasz Zbawiciel przybity był do krzyża. *Vero*, jeśli taka relikwia nie jest w stanie chrześcijańskiego monarchy natchnąć do antyheretyckiej krucjaty, to...

– To nie jest to chrześcijański monarcha – dokończył za legata biskup Konrad.

– Zauważyliście? – szydliwie wykrzywił się Krzyżak. – Lepiej późno niż wcale!

– Na poparcie Polaków widać tedy – wtrącił Ludwik Brzeski – prawdziwa wiara liczyć nie może.

– Królestwo Polskie i król Władysław – odezwał się po raz pierwszy Zbigniew Oleśnicki – wspierają prawdziwą wiarę i Kościół Piotrowy. Sposobem najlepszym z możliwych. Świętopietrzem mianowicie. Żaden z władców tu reprezentowanych powiedzieć tego o sobie nie może.

– Pah! – machnął ręką książę Ludwik. – Gadajcie sobie, ile chcecie. Ładny mi z Jagela chrześcijanin. To neofita, wciąż diabła mający za skórą!

– Jego pogaństwo – uniósł się Gotfryd Rodenberg – najwidoczniej przejawia się w zaciekłej nienawiści do całej niemieckiej nacji, podporą Kościoła będącej, zwłaszcza zaś do nas, szpitalników Najświętszej Panny, *antemurale christianitatis*, którzy wiary katolickiej własną piersią przed pogany bronim, i to już od lat dwustu! I prawda to, że ów Jagel to neofita i bałwochwalca, który, by Zakon móc pognębić, nie tylko z husytami, ale i z piekłem samym sprzymierzyć się gotów. O, zaprawdę, nie o tym nam tu dziś radzić, jak Jagela i Polskę do krucjaty przekonać, ale do tego nam wrócić, o czymeśmy w Preszburgu, wtedy, dwa roki temu, we Trzech Króli radzili, jak na samą Polskę z krucjatą uderzyć. I na kawałki rozszarpać twór ten niewydarzony, tego bękarta unii horodelskiej!

– Wasza mowa – rzekł bardzo zimno biskup Oleśnicki – zda się Falkenberga samego godną. I nie dziwi to, bo przecież to nie sekret, że i tamte osławione *Satyry* nie gdzie indziej, a w Malborku Falkenbergowi podyktowano. Przypominam wam, że paszkwil ów potępił sobór, a sam Falkenberg gorszące i kacerskie swe tezy musiał odwołać pod groźbą stosu. Dziwnie więc, zaiste, brzmią w ustach kogoś, kto się *antemurale christianitatis* powiada!

– Nie złobcie się, biskupie – wtrącił pojednawczo Puta z Czastolovic. – Toć faktem jest, że wasz król husytów wspiera, jawnie i tajnie. Wiemy i rozumiemy, że Krzyżaków tym w szachu trzyma, a że ich w szachu trzymać musi, temu, jeśli szczery mam być, dziwić się trudno. Ale skutki takiej polityki dla całej chrześcijańskiej Europy mogą okazać się zgubne. Przecie sami to wiecie.

– Niestety – potwierdził Ludwik Brzeski. – A skutki widzimy. Korybutowicz w Pradze, z nim Polaków całe roty. Na Morawie Dobko Puchała, Piotr z Lichwina i Fedor z Ostrogu. Wyszek Raczyński u boku Rohacza z Dube. Oto, gdzie Polacy są, oto, gdzie na tej wojnie polskie widać herby i polskie słychać zawołania bojowe. Oto, jak Jagiełło prawdziwą wiarę wspiera. A te jego edykty, manifesty, ukazy? Oczy nam mydli, ot co.

– Ołów zaś tymczasem, konie, broń, żywność, wszelkie towary – dodał ponuro Albrecht von Kolditz – nieprzerwanie płyną z Polski do Czech. Jakże tedy, biskupie? Jedną drogą świętopietrze, którym się tak chwalicie, do Rzymu ślecie, a drugą proch i kule do husyckich dział? Wierę, podobne to do waszego króla, który, jak mówią, Bogu świeczkę, a diabłu ogarek.

– Nad pewnymi sprawami – przyznał po chwili Oleśnicki – i ja boleję. By szło ku lepszemu, starań dołożę, tak mi dopomóż Bóg. Ale słów mi szkoda, by wciąż te same powtarzać kontrargumenta. Powiem więc, a krótko: dowodem intencyj Królestwa Polskiego jest moja tu obecność.

– Którą doceniamy – pacnął dłonią w stół biskup Konrad. – Ale cóż jest dziś wasze Królestwo Polskie? Wy nim jesteście, cny panie Zbigniewie? Czy Witold? Czy Szafrańcy? Czy Ostrorogowie może? Czy też Jastrzębce i Biskupce? Kto w Polszcze rządzi? Bo przecie nie król Władysław, starzec zgrzybiały, który nawet własną żoną rządzić nie zdoła. Więc może to Sonka Holszańska w Polszcze włada? I jej miłośnicy: Ciołek, Hińcza, Kurowski, Zaremba? I kto tam tylko jeszcze tę Rusinkę chędoży?

– *Vero, vero* – smutno pokiwał głową legat Orsini. – Wstyd, żeby taki król był *cornuto*...

– Niby poważne zgromadzenie – zmarszczył czoło biskup krakowski – a plotkami się bawi niby baby. Albo żacy w bordelu.

– Nie zaprzeczycie, że Sonka Jagielle rogi przyprawia i hańbą go okrywa.

– Zaprzeczę, bo to *vana rumoris*. Plotki przez Malbork puszczone i podsycane.

Krzyżak uniósł się zza stołu, czerwony i gotów do repliki, ale Kaspar Schlick powstrzymał go szybkim gestem.

– *Pax!* – uciął. – Zostawmy ten temat, są ważniejsze. Jak rozumiem, zbrojny udział Polski w krucjacie to rzecz na razie niepewna. Cóż, choć

z żalem, przyjmuję do wiadomości. Ale, na muszle świętego Jakuba, dopilnujcie, biskupie Zbigniewie, by faktycznie respektowane były punkty układu z Kieżmarku i Jagiełłowe edykty z Trembowli i Wielunia. Edykty te niby granice zamykają, z husytami handlujących karami niby straszą, a towary i broń, jak słusznie zauważył pan starosta świdnicki, wciąż z Polski do Czech wędrują...

– Przyrzekłem – przerwał niecierpliwie Oleśnicki – że starań dołożę. I nie próżne to obiecanki. Znoszących się z czeskimi heretykami będzie się w Polsce karać, są królewskie edykty, *iura sunt clara*. Panu hetmanowi świdnickiemu i jego przewielebności biskupowi wrocławskiemu przypomnę jednak słowa Pisma: Czemu widzicie drzazgę w oku brata, a belki we własnym nie dostrzegacie? Pół Śląska z husytami handluje i nikt nic przeciw temu nie czyni!

– W błędzie jesteście, cny księże Zbigniewie – przechylił się przez stół biskup Konrad. – Bo się przeciw temu czyni. Upewniam was, że podjęto środki. Ostre środki. Bez edyktów, bez manifestów, bez pergaminów nijakich się obędzie, ale niektórzy *defensores haereticorum* na własnej skórze poczują, co to znaczy z kacerzami się kumać. A na innych, upewniam was, blady padnie strach. Świat pozna wonczas różnicę między działaniem prawdziwym a pozornym. Między prawdziwą walką o wiarę a oczu mydleniem.

Biskup mówił tak zjadliwie, w głosie jego było tyle zapiekłej nienawiści, że Reynevan poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Serce zaczęło mu bić tak mocno, że przestraszył się, że ci na dole mogą usłyszeć. Ci na dole mieli jednak co innego na głowie. Kaspar Schlick ponownie uspokoił nastroje i zażegnał spory, po czym wezwał do konkretnego a spokojnego omówienia sytuacji w Czechach. Kłótliwcy w osobach biskupa Konrada, Gotfryda Rodenberga, Ludwika Brzeskiego i Albrechta von Kolditz zamilkli więc, a głos zabrali milczący dotychczas Czesi i Morawianie. Ani Reynevan, ani Szarlej, ani Samson Miodek nie znali nikogo z nich, było jednak oczywiste – lub prawie oczywiste – że byli to panowie z kręgu landfrydu pilzneńskiego i wiernej Luksemburczykowi szlachty morawskiej, zgrupowanej wokół Jana z Kravarz, pana na Jiczynie. Rychło okazało się, że jeden z obecnych to ów słynny Jan z Kravarz we własnej osobie.

To właśnie Jan z Kravarz, postawny, czarnowłosy i czarnowąsy, z twarzą o karnacji dowodzącej, że więcej czasu spędza w siodle niż za

stołem, najwięcej miał do powiedzenia na temat aktualnej sytuacji w Czechach. Nikt mu nie przerywał, gdy mówił spokojnym, nawet nieco beznamiętnym głosem, wszyscy, pochyliwszy się, w milczeniu wpatrywali się w mapę Królestwa Czech, rozłożoną na stole, w miejscu, z którego służba zdjęła do czysta ogryziony szkielet wołu. Z góry szczegóły mapy były niewidoczne, toteż Reynevan zdać się musiał na wyobraźnię, gdy pan na Jiczynie prawił o atakach husytów na Karlsztajn i Żebrak, nieskutecznych zresztą, i na Szwihów, Oborzyszcze i Kwietnicę, całkiem udanych, niestety. O akcjach na zachodzie, przeciw wiernym królowi Zygmuntowi panom z Pilzna, Łokcia i Mostu. O atakach na południu, skutecznie na razie odpieranych przez jednotę katolicką pana Oldrzycha z Rożmberku. O zagrożeniu dla Igławy i Ołomuńca wytworzonemu przez sojusz Korybutowicza, Borzka z Miletinka i Rohacza z Dube. O niebezpiecznych dla północnych Moraw akcjach Dobka Puchały, polskiego rycerza herbu Wieniawa.

– Ależ mi się chce lać – wyszeptał Szarlej. – Nie zdzierżę...

– Może pozwoli ci wytrwać myśl – odszepnął Samson Miodek – że jak cię odkryją, to po raz wtóry poszczasz się na stryczku.

Na dole zaczęto mówić o księstwie opawskim. I zaraz doszło do sporu.

– Przemka Opawskiego – oświadczył biskup Konrad – za niepewnego mam sojusznika.

– W czym rzecz? – uniósł głowę Kaspar Schlick. – W jego małżeństwie? Że się niby właśnie ożenił z wdową po Janie, księciu Raciborza? Że owa jest Jagiellonką, córką Dymitra Korybuta, bratanicą króla polskiego, rodzoną siostrą sprawiającego nam tyle kłopotów Korybutowicza? Upewniam panów, że król Zygmunt nic sobie z tej koligacji nie robi. Jagiellonowie to rodzina wilcza, częściej się tam gryzą niż kooperują. Przemko Opawski nie sprzymierzy się z Korybutowiczem tylko dlatego, że to jego szurzy.

– Przemko już się sprzymierzył – zaprzeczył biskup. – W marcu, w Hłuboczkach. I w Ołomuńcu, na świętego Urbana. Zaiste, szybko się Opawa i morawscy panowie z kacerzami dogadują, szybko w układy wchodzą. Cóż na to powiecie, panie Janie z Kravarz?

– Nie wygadujcie ani na mego teścia, ani na morawską szlachtę – odburknął pan na Jiczynie. – I wiedzcie, że dzięki układom z Hłuboczek i Ołomuńca mamy ninie mir na Morawie.

– A husyci – uśmiechnął się wyniośle Kaspar Schlick – mają wolne drogi handlowe z Polski. Niewiele, oj, niewiele rozumiecie z polityki, panie Janie.

– Gdyby nas... – ogorzałe oblicze Jana z Kravarz poczerwieniało ze złości. – Gdyby nas naonczas... Gdy na nas szedł Puchała... Gdyby nas Luksemburczyk wsparł, to byśmy się układać nie musieli.

– Próżno gdybać – wzruszył ramionami Schlick. – Ważne, że przez wasze rokowania husyci teraz mają wolne drogi handlowe przez Opawę i Morawy. A wspomniany Dobko Puchała i Piotr Polak trzymają Szumperk, Uniczów, Odry i Dolany, praktycznie blokują Ołomuniec, rejzami łupią i terroryzują całą okolicę. To oni mają tam mir, nie wy. Kiepski zrobiliście interes, panie Janie.

– Rejzy – wtrącił ze złym uśmiechem biskup wrocławski – to nie wyłącznie husycka specjalność. Dałem ja heretykom bobu w roku dwudziestym pierwszym w Broumovie i pod Trutnovem. Kładło się tam czeskie trupy na chłopa wysoko, a od dymu ze stosów czarne było niebo. A kogośmy nie ubili i nie spalili, tośmy naznaczyli. Po naszemu, po śląsku. Zobaczysz teraz Czecha bez nosa, ręki albo nogi, pewnym bądź, że to po tamtej naszej wspaniałej rejzie. Co, panowie, nie powtórzyć nam imprezy? Rok 1425 jest rokiem świętym... Może uczcić to wygubieniem husytów? Ja nie lubię mówić po próżnicy, nie zwykłem się też z gadami układać ani mirów z nimi zawierać! Co pan na to, panie Albrechcie? Panie Puta? Dodajcie mi do moich jeszcze obaj ze dwieście kopii i piechotę z ognistą bronią, a nauczymy kacerzy moresu. Zapłonie łunami niebo od Trutnova po Hradec Kralove. Obiecuję...

– Nie obiecujcie – przerwał Kaspar Schlick. – A zapał zachowajcie na stosowną chwilę. Na krucjatę. Nie w rejzach bowiem rzecz. Nie w obcinaniu rąk i nóg, bo królowi Zygmuntowi nic po bezrękich i beznogich poddanych. A i Jego Świątobliwość nie masakrować Czechów pragnie, lecz na łono prawdziwego Kościoła ich powrócić. I nie w mordowaniu ludności cywilnej sprawa, lecz w rozbiciu wojsk taborsko-orebickich. Takim rozbiciu, by się rokować zgodzili. Dlatego przejdźmy do rzeczy. Jaką siłę wystawi Śląsk, gdy zostanie ogłoszona krucjata? Konkretnie, proszę.

– Konkretniście – uśmiechnął się krzywo biskup – bardziej od Żyda. Godzi się to tak z krewniakiem? Przecieżeście już praktycznie mój swak. No, ale jeśli takie jest wasze życzenie, to proszę: ja sam wystawię

siedemdziesiąt kopii plus stosowną piechotę i działostrzelectwo. Konrad Kantner, mój brat, wasz przyszły teść, da sześćdziesięciu konnych. Tyluż da, wiem to, obecny tu Ludwik Brzeski. Ruprecht z Lubina i jego brat Ludwik zbiorą czterdziestu. Bernard Niemodliński...

Reynevan nie wiedział nawet, kiedy zadrzemał. Zbudził go kuksaniec. Dookoła było ciemno.

– Uciekamy stąd – mruknął Samson Miodek.

– Pospaliśmy się?

– I to solidnie.

– Koniec zjazdu?

– Przynajmniej chwilowo. Mów szeptem, za stodołą jest posterunek.

– Gdzie Szarlej?

– Już przemknął się do koni. Teraz idę ja. A potem ty. Policz do stu i wychodź. Przez podwórzec. Weź snopek słomy, idź wolno, ze schyloną głową, niby pachołek do koni. A za węgłem skrajnej chaty w prawo i w las. Pojąłeś?

– No pewnie.

●

I wszystko poszłoby gładko, gdyby nie fakt, że mijając skrajną chatę, Reynevan usłyszał swoje nazwisko.

●

Po majdanie kręciło się trochę żołdactwa, paliły się ogniska i maźnice, ale mrok podsienia dawał ukrycie na tyle dobre, by Reynevan bez strachu wlazł na ławę, stanął na palcach i przez błony w oknie zajrzał do izby. Błony były mocno brudne, a wnętrze oświetlone skąpo. Dało się jednak rozpoznać, że rozmawiały trzy osoby. Jedną był Konrad, biskup Wrocławia. Każdą wątpliwość w tym względzie rozwiewał głos, młodzieńczo dźwięczny i wyraźny.

– Powtarzam, wielce jesteśmy wam, panie, wdzięczni za informacje. Nam samym niełatwo byłoby je zdobyć. Kupców gubi chciwość, a w handlu trudno o konspirację, tajemnicy nie utrzymasz, zbyt wiele ogniw i pośredników. Prędzej czy później przyjdzie doniesienie na takiego, co z husytami się kuma i handluje z nimi. Ale z panami szlachtą i z mieszczanami dużo trudniej, oni umieją trzymać język za zębami, muszą się wystrzegać Inkwizycji, wiedzą, co spotyka kacerzy i husyckich

popleczników. I prawda to, powtarzam raz jeszcze, że bez pomocy z Pragi nigdy byśmy nie wpadli na trop takiego Albrechta Barta czy Piotra de Bielau.

Siedzący plecami do okna mężczyzna przemówił z akcentem, którego Reynevan pomylić nie mógł. Był to Czech.

– Piotr z Bielawy – odpowiedział biskupowi – umiał strzec tajemnicy. Nawet u nas, w Pradze, mało kto o nim wiedział. Ale wiecie, jak to jest: wśród wrogów człek się strzeże, wśród przyjaciół rozwiązują się języki. Jeśli już przy tym jesteśmy, to tuszę, że tu, wśród przyjaciół, nie wypsnęło się wam, biskupie, jakie niebaczne słóweczko na temat mojej osoby?

– Obrażacie mnie takim przypuszczeniem – rzekł dumnie Konrad. – Nie jestem dzieckiem. Nadto, zjazd nie bez kozery odbywa się tutaj, w Dębowcu, w głuszy. To miejsce pewne i sekretne. A zjechali się ludzie pewni. Przyjaciele i sprzymierzeńcy. Zresztą żaden z nich, pozwolę sobie zauważyć, was nawet nie widział.

– I chwali się taka przezorność. Bo są, możecie mi wierzyć, husyckie uszy na świdnickim zamku, u pana von Kolditza, są i u pana Puty w Kłodzku. Względem zaś goszczących tu morawskich panów, to też radziłbym szczególną ostrożność. Nie obrażając, lubią oni zmieniać stronnictwa. Pan Jan z Kravarz wielu ma wśród husytów krewniaków i powinowatych...

Przemówił trzeci z rozmawiających. Siedział najbliżej kaganka, Reynevan widział długie czarne włosy i ptasią twarz budzącą skojarzenia z wielkim pomurnikiem.

– Jesteśmy ostrożni – powiedział Pomurnik. – I czujni. A zdradę zdołamy ukarać, możecie mi wierzyć.

– A wierzę, wierzę – parsknął Czech. – Jak nie wierzyć? Po tym, co spotkało Piotra z Bielawy, pana Barta? Kupców Pfefferkorna, Neumarkta i Throsta? Demon, anioł zemsty, sroży się po Śląsku, z jasnego nieba uderza. W samo południe. Iście, *daemonium meridianum*... Strach padł na ludzi...

– I bardzo dobrze – wtrącił spokojnie biskup – że padł. Miał paść.

– A efekty – pokiwał głową Czech – gołym okiem widać. Pusto się zrobiło na karkonoskich przełęczach, dziwnie mało kupców ku Czechom zmierza. Nasi szpiedzy nie idą już z misjami na Śląsk tak chętnie jak niegdyś, krzykliwi do niedawna emisariusze z Hradca i

Taboru też coś przycichli. Ludzie gadają, sprawa w plotkę obrasta, rośnie jak śniegowa kula. Piotra de Bielau okrutnie pono skłuto. Pfefferkorna nie ocaliło, mówią, święte miejsce, w kościele go śmierć dosięgła. Hanusz Throst nocą umykał, ale anioł pomsty, okazało się, nie tylko w południe, ale i w ciemnościach nocy widzi i zabija. A że to ja wam ich nazwiska podałem, księże biskupie, tedy cóż, wychodzi, mam ich na sumieniu.

– Chcecie, wyspowiadam was. Choćby zaraz. Bez opłaty.

– Pięknie dziękuję. – Czech nie mógł nie dosłyszeć drwiny, ale się nią nie przejął. – Pięknie dziękuję, ale jestem, jak wiecie, kalikstynem i utrakwistą, nie uznaję spowiedzi usznej.

– Wasza rzecz i wasza strata – skomentował chłodno i nieco lekceważąco biskup Konrad. – Oferowałem wam nie ceremoniał, lecz spokój duszy, a ten nie zależy wszak od doktryny. Ale wasza wola odmówić. Tyle że z sumieniem radźcie sobie wówczas sami. Ja wam zaś tylko rzeknę, że owi nieboszczycy, Bart, Throst, Pfefferkorn, Bielau... zawinili. Zgrzeszyli. A pisze Paweł do Rzymian: Zapłatą za grzech jest śmierć.

– Tamże – odezwał się Pomurnik – napisano o grzesznikach: Niech stół ich stanie się sidłem, pułapką, kamieniem potknięcia i odpłatą.

– Amen – dopowiedział Czech. – Ech, żal, żal prawdziwy, że ów anioł czy demon jeno nad Śląskiem czuwa. Nie brak grzeszników i u nas, w Czechach... Niektórzy z nas tam, w Złotej Pradze, rano i wieczór zanoszą błaganie, aby pewnych grzeszników szlag trafił, by piorun ich spalił... Czy jaki demon dopadł. Chcecie, a dam wam listę. Imienną.

– Jaką listę? – spytał spokojnie Pomurnik. – O co wam chodzi? Coś sugerujecie? Ludzie, o których mówimy, winni byli i zasłużyli na karę. Ale ukarał ich Bóg i ich własne grzeszne życie. Pfefferkorna zabił dzierżawca z zazdrości o żonę, po czym powiesił się, doznawszy skruchy. Piotra z Bielawy zabił w szale własny brat, będący niespełna rozumu czarownik i cudzołożnik. Albrechta Barta zabili Żydzi z zawiści, bo był od nich bogatszy, kilku pojmano, wyznają prawdę na torturach. Kupca Throsta zabili rozbójnicy, lubił włóczyć się po nocach i doczekał się. Kupiec Neumarkt...

– Dosyć, dosyć – machnął ręką biskup. – Wstrzymajcie się, nie zanudzajcie naszego gościa. Mamy ważniejszy temat i do niego wróćmy.

Znaczy, do tego, kto z praskich panów gotów jest współpracować i rokować.

– Wybaczcie szczerość – powiedział po chwili milczenia Czech – ale byłoby korzystniej, gdyby Śląsk reprezentował któryś z książąt. Wiem, ma się rozumieć, proporcją, ale mieliśmy w Pradze dość zgryzot i kłopotów przez radykałów i fanatyków, bardzo źle się u nas duchowni kojarzą...

– Nie znacie, mój panie, proporcji, plącząc katolickich duchownych z heretykami.

– Wielu mniema – ciągnął niewzruszenie Czech – że fanatyzm to fanatyzm, rzymski od taborskiego nie lepszy. Przeto...

– Jestem – uciął ostro biskup Konrad – na Śląsku namiestnikiem króla Zygmunta. Jestem Piastem królewskiej krwi. Wszyscy książęta śląscy, moi krewniacy, cała śląska szlachta, wszyscy uznali moje przewodnictwo, wybierając mnie landeshauptmanem. Dźwigam ten trudny obowiązek od dnia świętego Marka Anno Domini 1422. Dość długo, by o tym wiedziano. Nawet tam u was, w Czechach.

– Ależ wiemy, wiemy. Tym niemniej...

– Nie ma tym niemniej – uciął znowu biskup. – Na Śląsku rządzę ja. Chcecie rokować, to ze mną. Wóz albo przewóz.

Czech milczał długo.

– Lubicie, oj, lubicie wy to, wielebni – rzekł wreszcie. – Uwielbiacie rządzić, wtrącać się do polityki, wścibiać wszędy nosy i wtykać paluchy. Zaprawdę, będzie dla was straszliwym ciosem, gdy ktoś was wreszcie władzy pozbawi, odbierze wam ją, wydrze z zachłannych łap. Jak wy to przeżyjecie? Co? Wyobrażacie to sobie? Żadnej polityki! Dzionek cały, od jutrzni do komplety nic, tylko modlitwa, pokuta, nauczanie, miłosierna dobroczynność. Jak wam to pachnie? Księże biskupie?

– To wam coś takiego pachnie – oznajmił wyniośle Piast. – Tylko ręce macie za krótkie. Rzekł kiedyś jakiś mądry kardynał: ujadanie kundelków nie zatrzyma karawany. Tym światem włada i będzie władał Rzym. Powiedziałbym, że to Bóg tak chce, ale nie będę używał imienia nadaremno. Powiem więc, że to słuszne, by władza była przy głowach najwartościowszych. A kto jest, mój panie, wartościowszy niźli my? Co? Może wy, rycerze?

– Znajdzie się – nie rezygnował Czech – jaki mocny król lub cesarz. I wówczas skończy się...

– Skończy się Canossą – uciął po raz kolejny biskup. – Pod tymi samymi murami, pod którymi stał Henryk IV niemiecki. Ów mocny król, który domagał się, by duchowieństwo, papieża Grzegorza VII nie wyłączając, przestało wtrącać się do polityki i od jutrzni do komplety zajmowało wyłącznie modlitwą. I co? Muszę wam przypominać? Zadufek stał dwa dni boso w śniegu, a na zamku papa Grzegorz używał rozkoszy stołu i chwalonych wdzięków margrabiny Matyldy. I tym zakończmy tę czczą gadkę. Nauką, by na Kościół nie podnosić głosu. My zawsze będziemy rządzić, po kres świata.

– Nawet poza kres – wtrącił zjadliwie Pomurnik. – W Nowej Jerozolimie, złotym mieście za murami z jaspisu, też wszak przy kimś musi być władza.

– Otóż to – parsknął biskup. – A dla psów, co wyją i ujadają jak zwykle: Canossa! Pokuta, wstyd, śnieg i zmarznięte pięty. A dla nas ciepła komnata, grzane toskańskie wino i ochocza margrabina w puchowej pościeli.

– Tam u nas – głucho rzekł Czech – Sierotki i taboryci już ostrzą klingi, już opatrują cepy, już smarują osie wozów. Wnet tu przyjadą. I odbiorą wam wszystko. Stracicie pałace, wino, margrabiny, władzę, a na koniec i wasze wartościowe pono głowy. Tak się stanie. Powiedziałbym, że to snadź Bóg tak chce, ale nie będę używał imienia nadaremno. Powiem więc: zróbmy coś z tym. Przeciwdziałajmy.

– Zaręczam wam, Ojciec Święty Marcin...

– A dajcież mi – wybuchnął Czech – pokój z Ojcem Świętym, królem Zygmuntem i wszystkimi książętami Rzeszy, z całym tym rozwrzeszczanym europejskim jarmarkiem! Z kolejnymi legatami, kolejno defraudującymi kolejne zebrane na krucjatę pieniądze! Na mękę Pańską! Każecie nam czekać, aż tam dojdzie do jakiej zgody? A nam codziennie śmierć zagląda w oczy!

– Nam – odezwał się Pomurnik – bezczynności zarzucić nie możecie, panie. My, jak sami przyznaliście, działamy. Modlimy się żarliwie, modły nasze bywają wysłuchane, grzeszników spotyka kara. Ale grzeszników jest wielu, nowych wciąż przybywa. Prosimy was o dalszą pomoc.

– Znaczy, o dalsze nazwiska?

Ani biskup, ani Pomurnik nie odpowiedzieli. Czech w oczywisty sposób odpowiedzi nie oczekiwał.

– Zrobimy – rzekł – co w naszej mocy. Prześlemy spisy husyckich popleczników i handlujących z husytami kupców. Podamy nazwiska... byście mieli w czyjej intencji się modlić.

– A demon – i tym razem nikt Czechowi nie odpowiedział. – Demon, jak zwykle, uderzy celnie i niechybnie. Oj, przydałaby się, przydała jakaś taka akcja i u nas...

– Z tym – rzekł twardo Konrad – jest trudniej. Komu lepiej wiedzieć, jak wam, że u was sam diabeł nie rozezna się we wszystkich frakcjach? Że nie zgadniesz, kto z kim trzyma i przeciw komu i czy we wtorek trzyma z tymi samymi, co w poniedziałek? Papież Marcin i król Zygmunt chcą się dogadać z husytami. Z rozsądnymi. Z takimi jak wy, chociażby. Myślicie, że mało było ochotników do zamachu na Żiżkę? Nie daliśmy naszej zgody. Usunięcie pewnych jednostek groziło chaosem, kompletną anarchią. Ani król, ani papież nie życzą sobie tego w Czechach.

– Gadajcie tak – Czech parsknął lekceważąco – z tym legatem, z Orsinim, mnie te frazesy darujcie. I ruszcież trochę, biskupie, waszą jakoby wartościową mózgownicą. Pomyślcie o wspólnym interesie.

– Ktoś ma zginąć, wasz wróg, polityczny bądź osobisty. A co jest wspólne?

– Mówiłem wam – Czech i tym razem nie przejął się drwiną – że taboryci i Sierotki patrzą na Śląsk łakomym okiem. Jedni chcą was nawracać, inni zwyczajnie łupić i grabić. Ruszą lada dzień, wpadną tu z mieczem i ogniem. Pragnący chrześcijańskiego pojednania papież Marcin będzie się za was w dalekim Watykanie modlił, chcący ugody Luksemburczyk będzie się w dalekiej Budzie zżymał i pienił. Albrecht Rakuski i biskup Ołomuńca odetchną z ulgą, że nie na nich padło. A was tu będą tymczasem ścinać, palić w beczkach, na pale wbijać...

– Dobra, dobra – machnął ręką biskup. – Darujcie sobie, mam to we Wrocławiu na obrazach, w każdym kościele. Chcecie mnie, jeśli dobrze rozumiem, przekonać, że gwałtowny zgon kilku wybranych taborytów uchroni Śląsk od najazdu? Od apokalipsy?

– Może nie uchroni. Ale przynajmniej opóźni.

– Bez zobowiązań i przyrzeczeń: o kogo by szło? Kogóż trzeba by wykończyć? To jest, wybaczcie *lapsus linguae*: kogo uwzględnić w modlitwach?

– Bohusław ze Szwamberka. Jan Hviezda z Vicemilic, hetman hradecki. Stamtąd też Jan Czapek z San i Ambroż, były proboszcz od Świętego Ducha. Prokop zwany Gołym. Biedrzych ze Strażnicy...

– Wolniej – polecił karcąco Pomurnik. – Zapisuję. Zechciejcie jednak, panie, skoncentrować się na okolicach Hradca Kralove. Poprosimy o listę aktywnych i radykalnych husytów z rejonu Nachodu, Trutnova i Vizmburka.

– Ha! – wykrzyknął Czech. – Planujecie coś?

– Ciszej, panie.

– Chciałem zanieść do Pragi radosną nowinę...

– A ja mówię, byście ciszej byli.

Czech umilkł w momencie dla Reynevana zgubnym. Pragnąc za wszelką cenę zobaczyć jego twarz, Reynevan wspiął się na palce i zawiercił na ławie. Spróchniała noga złamała się z trzaskiem, Reynevan zwalił się na deski, dodatkowo obalając oparte o ścianę chaty kije, tyczki, widły i grabie. Z łoskotem, który słychać chyba było nawet we Wrocławiu.

Zerwał się natychmiast i rzucił do ucieczki. Słyszał okrzyki straży, niestety, nie tylko za sobą. Przed sobą również, właśnie z kierunku, w którym chciał uciekać. Skręcił pomiędzy budynki. Nie widział, jak z chaty wypadł Pomurnik.

– Szpieg! Szpieeeeg! Za nim! Żywcem brać! Żyyyywceeeem!

Drogę zastąpił mu pachołek, Reynevan obalił go, drugiego, który chwycił go za ramię, trzasnął pięścią prosto w nos. Ścigany klątwami i wrzaskiem przesadził płot, przedarł się przez słoneczniki, pokrzywy i łopiany, zbawczy las był tuż, tuż, niestety, pogoń miał na karku, również z boku, zza stogu, zachodzili gnający za nim knechci. Jeden już, już miał go ucapić, gdy jak spod ziemi wyrósł Szarlej i palnął go w bok głowy wielkim glinianym garnkiem. Na pozostałych zaszarżował Samson Miodek, uzbrojony w wyłamaną z płotu żerdź. Dzierżąc dwusążniowy drąg poziomo przed sobą, olbrzym zwalił z nóg trzech za jednym zamachem, dwóch następnych poczęstował tak, że runęli jak kłody, tonąc w łopianach jak w odmętach morza. Samson potrząsnął żerdzią i zaryczał jak lew w pozie, rzekłbyś, swego sławnego biblijnego imiennika grożącego Filistynom. Knechci zatrzymali się na moment, ale tylko na moment – od strony grangii biegły posiłki. Samson cisnął w żołdaków swym drągiem i zrejterował śladem Szarleja i Reynevana.

Wskoczyli na siodła, uderzeniami pięt i wrzaskiem podrywając konie do galopu. Pognali przez bukowinę w kurzawie liści, pogalopowali przez zagajnik, kryjąc twarze przed siekącymi gałęziami. Rozchlapali kałuże na dukcie, wpadli w wysoki las.

– Nie ustawać! – krzyknął, odwracając się, Szarlej. – Nie ustawać! Gonią nas!

Fakt, gonili. Las za nimi rozbrzmiał tętentem i wrzaskami. Reyenevan obejrzał się i zobaczył sylwetki jeźdźców. Przywarł do grzywy, by chlaszczące gałęzie nie zmiotły go z kulbaki. Szczęściem wypadli z gęstwiny w rzadszy las, puścili konie w cwał. Cisek Szarleja rwał jak huragan, zwiększał dystans. Reynevan zmusił wierzchowca do szybszego biegu. Bardzo ryzykownie, ale zostać w tyle, samemu, wcale mu się nie uśmiechało.

Obejrzał się znowu. Serce zamarło mu i zjechało w dół, do dna brzucha, gdy zobaczył ścigających – sylwetki konnych z rozwianymi u ramion, wyglądającymi jak skrzydła upiorów płaszczami. Usłyszał krzyk.

– *Adsumus! Adsumuuuus!*

Gnali ile sił w kopytach. Koń Henryka Hackeborna zachrapał nagle, serce Reynevana zjechało jeszcze niżej. Przytulił twarz do grzywy. Poczuł, jak koń skoczył, z własnej inicjatywy przesadzając wykrot lub rów.

– *Adsumuus!* – dolatywało z tyłu. – *Adsuuumuuuus!*

– W jar! – krzyknął od czoła Samson. – W jar, Szarleju!

Szarlej, choć w pełnym pędzie, dostrzegł wądroże – jar, holweg, dróżkę w kotlince. Momentalnie skierował tam konia, cisek zarżał, ślizgając się na pokrywającym zbocze dywanie liści. Samson i Reynevan pospieszyli za nim. Skryli się w wąwozie, ale nie zwolnili, nie wstrzymali koni. Pędzili na złamanie karku po tłumiącym łomot kopyt mchu. Koń Henryka Hackeborna zachrapał znowu, donośniej, kilka razy pod rząd. Koń Samsona chrapał również, pierś miał jak namydloną, płaty piany sypały się z niego. Cisek Szarleja nie zdradzał żadnych objawów zmęczenia.

Kręte wądroże wyprowadziło ich na polankę, za polanką była leszczyna, gęsta jak matecznik. Przedarli się, wyjechali znowu na wysoki bór, umożliwiający cwał. Cwałowali więc, a konie chrapały coraz silniej.

Po jakimś czasie Samson zwolnił i został w tyle. Reynevan zrozumiał, że musi uczynić to samo. Szarlej obejrzał się, wstrzymał ciska.

– Chybaśmy... – wydyszał, gdy zrównali się z nim. – Chybaśmy ich zgubili. W cóżeś ty nas, u licha, znowu wplątał, Reinmarze?

– Ja?

– Do diabła! Widziałem tych jeźdźców! Widziałem, jak kurczysz się ze strachu na ich widok! Co to za jedni? Dlaczego wrzeszczeli: „Jesteśmy”?

– Nie wiem, przysięgam...

– Nic mi po twoich przysięgach. Tfu, kimkolwiek byli, udało nam się...

– Jeszcze się nie udało – powiedział zmienionym głosem Samson Miodek. – Jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło. Uwaga. Uwaga!

– Co?

– Coś nadchodzi.

– Nic nie słyszę!

– A jednak. Coś złego. Coś bardzo złego.

Szarlej obrócił konia, stojąc w strzemionach rozglądał się i wytężał słuch. Reynevan, przeciwnie, skurczył się w siodle, zmiana w głosie Samsona zmroziła go zgrozą. Koń Henryka Hackeborna zachrapał, zatupał. Samson krzyknął. Reynevan wrzasnął.

I wtedy, nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć jak, z mrocznego nieba runęły na nich nietoperze.

Nie były to, ma się rozumieć, zwykłe nietoperze. Choć od zwykłych większe niewiele, góra dwa razy, miały nienaturalnie wielkie głowy, ogromne uszy, oczy jak żarzące się węgliki i pyszczki pełne białych kłów. I było ich mnóstwo, cała chmara, rój. Ich wąskie skrzydła świszczały i cięły jak jatagany.

Reynevan machał rękami jak oszalały, odbijając od siebie wściekle atakujące bestie, wrzeszcząc ze zgrozy i wstrętu zrywał z siebie te, które czepiały się karku i włosów. Niektóre strącał, zbijał jak piłki, inne chwytał i zgniatał, ale pozostałe drapały twarz, gryzły dłonie, boleśnie kąsały w uszy. Obok Szarlej na oślep rąbał wokół siebie szablą, gęsto pryskała czarna nietoperza posoka. Na głowie Szarleja siedziały ze cztery, Reynevan widział, jak po czole i policzkach demeryta pełzną wężyki krwi. Samson walczył w ciszy, miażdżył obłażące go stwory, chwytając je w garście po kilka naraz. Konie szalały, wierzgały, rżały dziko.

Szabla Szarleja świsnęła Reynevanowi tuż nad głową, klinga otarła się o włosy, zmiatając z nich gacka, wielką, spaśną i wyjątkowo nachalną bestię.

– W nogi! – ryknął demeryt. – Trzeba uciekać! Nie możemy tu zostać!

Reynevan poderwał konia, również nagle rozumiejąc. Nie były to zwyczajne nietoperze, były to potwory wywołane czarami, a to mogło oznaczać tylko jedno – że zostały wysłane przez pogoń i że ta pogoń niebawem się zjawi. Runęli w galop, nie musieli popędzać koni, spanikowane wierzchowce zapomniały o zmęczeniu i gnały jak ścigane przez wilki. Gacki nie dały się zgubić, atakowały, pikowały i spadały na nich bez przerwy, w pełnym pędzie trudno było się bronić. Udawało się to tylko Szarlejowi, który ciął swą szablą i kosił nietoperzyska w cwale z taką wprawą, jakby urodził się i całą młodość spędził w Tatarii.

A Reynevana, okazało się po raz kolejny, pech prześladował gorzej niż Jonasza. Nietoperze kąsały wszystkich trzech, ale to Reynevanowi jeden uczepił się włosów na czole tak, że zupełnie zasłonił oczy. Potworki atakowały wszystkie trzy konie, ale tylko Reynevanowemu jeden wlazł wprost do ucha. Koń cisnął się, rżąc dziko, trzęsąc opuszczonym łbem wierzgnął, rzucił w górę zadem z taką energią, że oślepiony Reynevan wyleciał z siodła jak pocisk z katapulty. Pozbawiony ciężaru koń poszedł w dziki cwał i byłby uciekł w las, szczęściem Samson zdążył chwycić za wodze i osadzić go w miejscu. Szarlej zaś zeskoczył z siodła i ze wzniesioną szablą wpadł pomiędzy jałowce, gdzie nad turlającym się w wysokiej trawie Reynevanem gacki kłębiły się niczym Saraceni nad zwalonym na ziem paladynem. Wykrzykując straszliwe klątwy i ohydne wyzwiska, demeryt chlastał szablą, aż bryzgała jucha. Obok Samson walczył w siodle, jedną ręką – drugą trzymał oba szarpiące się konie. Dokonać takiej sztuki mógł tylko ktoś tej mocy, co on.

Reynevan zaś był pierwszym, który zauważył, że do boju wkroczyły nowe siły. Może dlatego, że był na czworakach, usiłował wydostać się z zamętu z nosem niemal przy trawie. I spostrzegł, jak trawa nagle kładzie się po ziemi, płasko, jak gdyby uderzona wichrem. Uniósł głowę i o jakieś dwadzieścia kroków zobaczył mężczyznę, starca niemal, ale gigantycznej wprost statury, o płomiennych oczach i lwiej grzywie mlecznobiałych włosów. Starzec dzierżył kostur, dziwny, sękaty, koślawy, fantastycznie powyginany, istny wąż zastygły w paroksyzmach męki.

– Padnij! – krzyknął gromowym głosem starzec. – Nie podnosić się!

Reynevan rozpłaszczył się na ziemi. Czuł, jak dziwny wicher świszcze mu nad głową. Usłyszał zduszone przekleństwo Szarleja. I nagły, wielki,

przenikliwy pisk atakujących dotąd wśród zupełnej ciszy nietoperzy. Pisk ścichł równie nagle, jak rozbrzmiał. Reynevan usłyszał i poczuł, jak dokoła coś pada gradem, uderzając o grunt głucho jak dojrzałe jabłka. Czuł też na włosach i plecach deszcz drobniejszy, malutki, suchy. Rozejrzał się. Dokoła, gdzie nie spojrzał, leżały martwe nietoperze, a z góry, z gałęzi drzew, sypał się nieustanny, gęsty deszcz martwych owadów – chrząszczy, żuczków, pająków, liszek i ciem.

– Matavermis... – westchnął. – To było Matavermis...

– No, no – rzekł starzec. – Zna się! Młody, ale bywały. Wstawaj. Już można.

Starzec, teraz można to było stwierdzić, wcale nie był starcem. Młodzikiem nie był, rzecz jasna, także, ale biała szedź jego włosów, Reynevan dałby głowę, brała się mniej ze starczej siwizny, bardziej z częstego wśród magów albinotyzmu. Również gigantyczny wzrost okazał się wytworzonym przez magię pozorem – wsparty na kosturze białowłosy był wysoki, ale bynajmniej nie nadnaturalnie.

Zbliżył się Szarlej, bez zainteresowania kopiąc leżące w trawie martwe nietoperze. Podszedł Samson Miodek z końmi. Siwowłosy przyglądał im się chwilę – Samsonowi szczególnie uważnie.

– Trzech – powiedział. – Ciekawe. Bo dwóch szukaliśmy.

Skąd liczba mnoga, Reynevan dowiedział się, nim zdążył zapytać. Zadudniły kopyta, na polanie zaroiło się od chrapiących koni.

– Powitać – zawołał z wysokości siodła Notker von Weyrach. – Spotkaliśmy się jednak. A to dopiero traf.

– Traf – powtórzył z podobną drwiną w głosie Buko von Krossig, lekko napierając na demeryta koniem. – Tym iściej, że w miejscu całkiem innym, niż było umówione! Całkiem innym!

– Niesłownyś, panie Szarleju – dodał, unosząc hundsgugel, Tassilo de Tresckow. – Nie dotrzymujesz umów. A to rzecz karygodna.

– I nie minęła go, widzę, kara – parsknął Kuno Wittram. – Na lagę świętego Grzegorza Cudotwórcy! Patrzcie jeno, jak mu ktosik uszów ponadgryzał!

– Trzeba się stąd zabierać – siwowłosy przerwał rozgrywającą się na oczach zdumionego Reynevana scenę. – Pościg się zbliża. Konni idą tropem!

– A nie mówiłem? – parsknął Buko von Krossig. – Że ich ratujemy, wyciągamy dupska z pętli? Dobra, jedźmy. Panie Huonie? Ten pościg...

– Nie jest byle jaki – siwowłosy przyjrzał się podniesionemu za koniec skrzydła nietoperzowi, potem przeniósł wzrok na Szarleja i Samsona. – Tak, nie byle kto tu nadchodzi... Poznałem, poznałem po swędzeniu palców... No, no... Ciekawi z was ludzie, ciekawi... Można rzec: pokaż mi, kto cię ściga, a powiem ci, kim jesteś. Inaczej: mój pościg świadczy o mnie.

– O, wa, pościg – zawołał, obracając konia, Paszko Rymbaba. – Wielki mi szysz! Niech tylko nadjadą, zadamy im bobu!

– Nie sądzę – odrzekł siwowłosy – by to było takie proste.

– Ani ja – Buko też przyglądał się nietoperzom. – Panie Huonie? Można prosić?

Nazwany Huonem siwowłosy nie odpowiedział, miast tego skinął swym koślawym kosturem. Z traw i paproci momentalnie jęła podnosić się mgła, biała i gęsta jak dym. W niebywale krótkim czasie las zniknął w niej zupełnie.

– Stary czarownik – zamruczał Notker Weyrach. – Ciarki przechodzą...

– Ale! – parsknął wesoło Paszko. – Mnie tam nic nie przechodzi.

– Dla ludzi, którzy nas ścigają – odważył się odezwać Reynevan – mgła może nie być przeszkodą. Nawet magiczna.

Siwowłosy odwrócił się. Popatrzył mu w oczy.

– Wiem – powiedział. – Wiem, panie znawco. Dlatego to jest nie na ludzi, lecz na konie. Czym prędzej tedy zabierajcie się stąd z waszymi. Gdyby zwęszyły wapor, oszaleją.

– W drogę, *comitiva!*

Rozdział dwudziesty trzeci

w którym sprawy nabierają obrotu tak kryminalnego, że gdyby kanonik Otto Beess to przewidział, bez żadnych ceregieli ostrzygłby Reynevana w mnichy i zamknął w cysterskiej klauzurze. A Reynevan zaczyna zastanawiać się, czy alternatywa ta nie byłaby dla niego zdrowsza.

Węglarzy i smolarzy z pobliskiej wsi, zmierzających o świtaniu w stronę swego miejsca pracy, zaalarmowały i zaniepokoiły dochodzące stamtąd odgłosy. Co tchórzliwsi wzięli z miejsca nogi za pas. Za nimi pospieszyli ci rozsądniejsi, słusznie rozumiejący, że dziś nici z roboty, węgla się nie wypali, smoły i dziegciu nie wydestyluje, mało tego, jeszcze po karku dostać można. Jedynie nieliczni najśmielsi odważyli podkraść się pod smolarnię na tyle blisko, by wyjrzawszy ostrożnie zza pni, dostrzec na polanie jakieś piętnaście koni i tyluż zbrojnych, z czego część w pełnej płycie. Węglarze zobaczyli, że rycerze gestykulują żywo, usłyszeli podniesione głosy, krzyki, przekleństwa. To ostatecznie przekonało węglarzy, że nic tu po nich, że trzeba uciekać, póki jeszcze można. Rycerze toczyli spór, kłócili się, niektórzy byli wręcz wściekli, a od takich rycerzy biedny chłop mógł spodziewać się samych najgorszych rzeczy, na biednym chłopie rycerze zwykli byli wybijać złość i odreagowywać nerwy. Ba, mógł właźący rozeźlonemu szlachetnie urodzonemu pod rękę chłop wziąć nie tylko pięścią w pysk, butem w rzyć czy nahajką po plecach – bywało, sięgnął w złości pan rycerz po miecz, buzdygan lub topór.

Węglarze uciekli. I zaalarmowali wieś. Podpalać wsie rozzłoszczonym rycerzom zdarzało się również.

•

Na polanie węglarzy toczył się ostry spór, wrzała kłótnia. Buko von Krossig wrzeszczał, aż płoszyły się trzymane przez giermków konie. Paszko Rymbaba gestykulował, Woldan z Osin pomstował, Kuno Wittram przyzywał na świadków świętych i święte. Szarlej zachowywał względny spokój. Notker von Weyrach i Tassilo de Tresckow usiłowali godzić zwaśnionych.

Białowłosy mag siedział opodal na pieńku i demonstrował lekceważenie.

Reynevan wiedział, czego dotyczyła waśń. Dowiedział się w drodze, gdy nocą cwałowali lasami, kluczyli po dąbrowach i bukowinach, wciąż oglądając się, czy aby nie wyłoni się z mroku pościg, nie pojawią się jeźdźcy w rozwianych płaszczach. Pościgu jednak nie było i dało się porozmawiać. Reynevan dowiedział się wówczas wszystkiego od Samsona Miodka. Dowiedział się i osłupiał, dowiedziawszy.

– Nie pojmuję... – rzekł, gdy ochłonął. – Nie pojmuję, jak mogliście zdecydować się na coś podobnego!

– Chcesz powiedzieć – Samson odwrócił się ku niemu – że gdyby chodziło o któregoś z nas, ty nie podjąłbyś prób ratunku? Nawet desperackich? Chcesz mi coś podobnego powiedzieć?

– Nie, nie chcę. Ale nie rozumiem, jak...

– Właśnie – uciął dość ostro, jak na niego, wielkolud – próbuję ci wyjaśnić, jak. Ale wciąż przeszkadzasz mi wybuchami świętego oburzenia. Racz posłuchać. Dowiedzieliśmy się, że zawiozą cię na zamek Stolz, by tam niebawem zamordować. Czarny furgon poborcy podatków Szarlej wypatrzył już wcześniej. Gdy więc niespodzianie nawinął się Notker Weyrach ze swą *comitivą*, plan ułożył się sam.

– Pomoc w napadzie na kolektora. Współudział w grabieży w zamian za pomoc w uwolnieniu mnie?

– Jakbyś przy tym był. Taką właśnie zawarto umowę. A że o przedsięwzięciu zwiedział się, pewnie przez czyjąś gadatliwość, Buko Krossig, trzeba było włączyć i jego.

– No i teraz mamy.

– Mamy – zgodził się spokojnie Samson.

Mieli. Dyskusja na węglarskiej polanie robiła się coraz bardziej ostra, tak ostra, że niektórym dyskutantom słowa przestawały wystarczać. Dość widoczne było to zwłaszcza w przypadku Buka von Krossig. Raubritter podszedł do Szarleja i chwycił go oburącz za kubrak na piersi.

– Jeszcze raz... – wycharczał wściekle. – Jeszcze raz wymówisz słowo „nieaktualne”, a pożałujesz. Co ty mi tu opowiadasz, łazęgo? Myślisz może, hultaju, że nie mam lepszych zajęć, jak jeżdżenie po lasach? Straciłem czas w nadziei na łup. Nie mów mi, że nadaremno, bo mnie ręka świerzbi.

– Wolnego, Buko – odezwał się pojednawczo Notker von Weyrach. – Po co zaraz gwałty czynić. Dogadamy się może. A ty, panie Szarleju, niełądnie, pozwól sobie rzec, postąpiłeś. Była umowa, że będziecie podatkowego poborcę śledzili od Ziębic, że dacie nam znać, którędy ów pojedzie, gdzie się zatrzyma. Czekaliśmy na was. Była wspólna impreza. A wy co?

– W Ziębicach – Szarlej wygładził odzienie – gdy prosiłem pomocy panów, gdy za tę pomoc płaciłem intratną informacją i ofertą, co usłyszałem? Że może panowie pomogą, jeśli im się, cytuję, chciało będzie, w uwolnieniu obecnego tu Reinmara Hagenau. Ale z łupu z napadu na poborcę nie dostanie mi się nawet złamany szeląg. Tak ma wyglądać, według panów, wspólna impreza?

– Szło wam o druha. Miał być wolny...

– I jest wolny. Sam się uwolnił, własnym przemysłem. Chyba więc jasne, że pomoc panów nie jest mi już potrzebna.

Weyrach rozłożył ręce. Tassilo de Tresckow zaklął, Woldan z Osin, Kuno Wittram i Paszko Rymbaba zaczęli wrzeszczeć jeden przez drugiego. Buko von Krossig uciszył ich gwałtownym gestem.

– O niego szło, tak? – spytał z zaciśniętymi zębami, wskazując Reynevana. – Jego mieliśmy ze Stolza wyrwać? Jemu skórę ocalić? A ninie, gdy on wolny, tośmy ci, panie Szarlej, niepotrzebni, tak? Umowa rozwiązana, słowo z wiatrem uleciało? Nadto śmiało, panie Szarlej, nadto chybko! Bo jeśli tobie, panie Szarlej, skóra przyjaciela tak droga, jeśli tak o jej całość stoisz, to wiedz, że ja mogę zaraz tę całość naruszyć! Nie pyskuj mi więc, że umowa rozwiązana, bo twój kompan bezpieczny. Albowiem tu, na tej polanie, w zasięgu mojej ręki, obydwu wam cholernie do bezpieczności daleko!

– Spokojnie – uniósł dłoń Weyrach. – Hamuj się, Buko. Ale ty, panie Szarleju, spuść z tonu. Twój druh już fortunnie uwolniony? Dobra twoja. Myśmy tobie, mówisz, niepotrzebni? Ty nam, wiedz, jeszcze mniej. Ruszaj stąd, jeśli taka twoja wola. Wcześniej za ratunek podziękowawszy. Bo i dnia nie ma, jakeśmy was ratowali, jakeśmy wasze dupska, jak ktoś mądrze zauważył, wyciągnęli z pętli. Bo gdyby was tamten nocny pościg doszedł, to na uszach pokąsanych by się pewno nie skończyło. Zapomniałeś już o tym? Ha, prawda, ty szybko zapominasz. Cóż, rzeknij nam jeszcze tylko na odchodnym, którędy

poborca z wozem pojechał, którą drogą z rozdroża. I bywaj, czort z tobą.

– Za waszą nocną pomoc – Szarlej odchrząknął, skłonił się lekko, ale nie przed Bukiem i Weyrachem, lecz w kierunku siedzącego na pniu i przyglądającego się obojętnie siwowłosego maga. – Za waszą nocną pomoc dziękuję. Nie chcąc bynajmniej przypominać, że ledwo jakiś tydzień minął, jakeśmy to my pod Lutomią ratowali dupska panów Rymbaby i Wittrama. Tedy kwita jesteśmy. A którędy pojechał kolektor, nie wiem, niestety. Zgubiliśmy ślad orszaku przedwczoraj po południu. A że krótko przed zmierzchem spotkaliśmy Reinmara, to nas kolektor interesować przestał.

– Trzymajcie mnie! – wrzasnął Buko von Krossig. – Trzymajcie mnie, kurwa, bo go zabiję! Bo mnie szlag trafi! Słyszeliście? On zgubił ślad! Jego kolektor interesować przestał! Jego, kurwa, przestało interesować tysiąc grzywien! Nasze tysiąc grzywien!

– Jaki tam tysiąc – palnął bez zastanowienia Reynevan. – Tam nie było tysiąca. Tam było... tylko... pięćset...

Szybko, bardzo szybko pojął bezmiar głupstwa, jakie popełnił.

Buko von Krossig dobył miecza ruchem tak szybkim, że zgrzyt klingi w pochwie, zdało się, brzmiał jeszcze, jeszcze wisiał w powietrzu, gdy ostrze dotykało już Reynevanowego gardła. Szarlej zdołał zrobić tylko pół kroku, nim napotkał piersią równie szybko dobyte klingi Weyracha i de Tresckowa. Brzeszczoty pozostałych zaszachowały i zatrzymały Samsona. Znikły, jak zdmuchnięte wiatrem, wszelkie pozory rubasznej życzliwości. Złe, zmrużone, okrutne oczy raubritterów nie pozwalały wątpić, że z broni zrobią użytek. I że uczynią to bez najmniejszych skrupułów.

Siedzący na pniu siwowłosy mag westchnął i pokręcił głową. Minę miał jednak obojętną.

– Hubercik – rzekł powoli Buko von Krossig do jednego z giermków. – Weź rzemień, zrób stryk i zarzuć na tamten konar. Ani drgnij, Hagenau.

– Ani drgnij, Szarlej – powtórzył jak echo de Tresckow. Miecze pozostałych wparły się mocniej w pierś i szyję Samsona.

– A więc – Buko, nie odejmując sztychu od gardła Reynevana, przybliżył się, zajrzał mu w oczy. – A więc na wozie kolektora jest nie tysiąc, lecz pięćset grzywien. Ty to wiesz. A zatem wiesz i to, którędy wóz pojechał. Masz, chłopcze, wybór prosty: albo to wiesz, albo wisisz.

•

Raubritterzy spieszyli się, narzucali ostre tempo. Nie żałowali koni. Jeśli tylko teren pozwalał, podrywali je do galopu, gnali ile sił.

Weyrach i Rymbaba, pokazało się, znali okolicę, prowadzili na skróty.

Musieli zwolnić, gdy skrót wypadł poprzez silnie podmokły mszar w dolinie rzeczki Budzówki, lewego dopływu Nysy Kłodzkiej. Dopiero wtedy Szarlej, Samson i Reynevan znaleźli sposobność do krótkiej rozmowy.

– Nie róbcie żadnych głupstw – ostrzegł cicho Szarlej. – I nie próbujcie uciekać. Ci dwaj za nami mają kusze i nie spuszczają z nas oka. Lepiej posłusznie jechać z nimi...

– I wziąć – dokończył z przekąsem Reynevan – udział w bandyckim napadzie? Zaprawdę, Szarleju, daleko zawiodła mnie znajomość z tobą. Zostałem rozbójnikiem.

– Przypominam – wtrącił Samson – że zrobiliśmy to dla ciebie. By uratować ci życie.

– Kanonik Beess – dodał Szarlej – nakazał mi cię strzec i chronić...

– I uczynić wyjętym spod prawa?

– To dzięki tobie – odrzekł ostro demeryt – jedziemy na Ściborową Porębę, to ty wydałeś Krossigowi miejsce popasu poborcy. Szybko wydałeś, nawet nie musiał długo tobą potrząsać. Trzeba było twardziej się trzymać, mężnie milczeć. Byłbyś teraz uczciwym wisielcem o czystym sumieniu. Zda mi się, że lepiej byś się czuł w tej roli.

– Przestępstwo jest zawsze...

Szarlej żachnął się, machnął ręką, popędził konia.

Z mszaru unosiła się mgła. Bagno uginało się, mlaskało pod kopytami. Kumkały żaby, trąbiły bąki, pogęgiwały dzikie gęsi. Niespokojnie odzywały się i z chlupotem podrywały do lotu kaczki i kaczory. Coś wielkiego, zapewne łoś, łamało w ostępie.

– To, co Szarlej zrobił – rzekł Samson – zrobił dla ciebie. Krzywdzisz go swym zachowaniem.

– Przestępstwo... – odchrząknął Reynevan – jest zawsze przestępstwem. Nic go nie usprawiedliwia.

– Doprawdy?

– Nic. Nie można...

– Wiesz, co, Reynevan? – Samson Miodek po raz pierwszy objawił coś na kształt zniecierpliwienia. – Graj ty w szachy. Tam będziesz miał wszystko wedle gustu. Tu czarne, tam białe, a pola wszystkie kwadratowe.

●

– Skąd wieść, że na Stolzu miałem być zamordowany? Kto wam to wyjawił?

– Zdziwisz się. Młoda kobieta, zamaskowana, szczelnie owinięta w płaszcz. Przyszła do nas w nocy, do gospody. W eskorcie uzbrojonych pachołków. Zdziwiłeś się?

– Nie.

Samson nie wypytywał.

●

Na Ściborowej Porębie nie było nikogo, ni żywego ducha. Było to widoczne wyraźnie i z daleka. Raubritterzy od razu zrezygnowali więc z planowanego skrytego podejścia, wpadli na polanę z marszu, galopem, z łomotem, tupotem i wrzaskiem. Który spłoszył jedynie gawrony, ucztujące obok obłożonego kamieniami paleniska.

Oddział rozjechał się, myszkując wśród szałasów. Buko von Krossig obrócił się w siodle i wpił w Reynevana groźny wzrok.

– Ostaw – uprzedził Notker von Weyrach. – On nie kłamał. Widać, że ktoś tu popasał.

– Był tu wóz – podjechał Tassilo de Tresckow. – Ot, ślady kół.

– Murawa zryta podkowami – zameldował Paszko Rymbaba. – Siła koni była!

– Popiół w ognisku ciepły jeszcze – doniósł Hubercik, giermek Buka, na przekór zdrobnieniu chłop silnie już w leciech. – Wokół baranie kości i kęski rzepy.

– Spóźnilim się – podsumował ponuro Woldan z Osin. – Kolektor tu popasał. I pojechał. Przybylim za późno.

– Oczywista – warknął von Krossig – jeśli młodzik nas nie ołgał. Bo on mi się nie podoba, ten Hagenau. Hę? Kto was w nocy ścigał? Kto gacki na was poszczuł? Kto...

– Ostaw, Buko – przerwał znowu von Weyrach. – Tematu nie trzymasz się. Dalej, *comitiva*, objedźcie polanę, śladów szukajcie. Trza wiedzieć,

co dalej czynić.

Raubritterzy rozjechali się ponownie, część pozsiadała z koni i rozlazła po szałasach. Do poszukiwaczy, ku lekkiemu zdziwieniu Reynevana, dołączył Szarlej. Białowłosy mag natomiast, nie zwracając uwagi na rejwach, rozłożył kożuch, rozsiadł się na nim, dobył z juków chleb, wiór suszonego mięsa i bukłaczek.

– Pan, panie Huonie – zmarszczył się Buko – nie uzna za celowe pomóc w poszukiwaniach?

Mag łyknął z bukłaczka, ugryzł chleb.

– Nie uznam.

Weyrach parsknął. Buko zaklął pod nosem. Podjechał Woldan z Osin.

– Ciężko z tych śladów coś wymiarkować – uprzedził pytanie. – Wiadomo jeno, że koni siła była.

– To już słyszałem – Buko znowu zmierzył Reynevana złym spojrzeniem. – Ale detale poznać radbym. Wieluż to było z kolektorem ludzi? I kto to był? Do ciebie mówię, Hagenau!

– Sierżant i pięciu zbrojnych – bąknął Reynevan. – Oprócz nich...

– No? Słucham! I patrzcież mi w oczy, gdy pytam!

– Czterej Bracia Mniejsi... – Reynevan już wcześniej zadecydował zataić osobę Tybalda Raabego, po namyśle rozciągnął decyzję również na Hartwiga Stietencrona i jego córkę brzydulę. – I czterej pątnicy.

– Mendykanci i pielgrzymi – skurczona w grymasie warga Buka odsłoniła zęby. – Wierzchem na podkutych koniach? Hę? Co ty mi tu...

– Nie łże – Kuno Wittram podjechał kłusem, rzucił przed nich kawał zawęźlonego sznura.

– Biały – ogłosił. – Franciszkański!

– Zaraza – zmarszczył brwi Notker Weyrach. – Co tu zaszło?

– Zaszło, zaszło! – Buko trzepnął dłonią w rękojeść miecza. – Co mnie to obchodzi? Ja chcę wiedzieć, gdzie kolektor! Gdzie wóz, gdzie pieniądze! Czy ktoś może mi to powiedzieć? Panie Huonie von Sagar!

– Jem teraz.

Buko zaklął.

– Z poręby trzy drogi wiodą – powiedział Tassilo de Tresckow. – Na wszystkich są ślady. Ale ani dociec, które są które. Nie da się rzec, którędy kolektor pojechał.

– Jeśli w ogóle pojechał. – Z krzaków wyłonił się Szarlej. – Ja sądzę, że nie pojechał. Że nadal tu jest.

– Jak niby? Gdzie? Skąd to wiecie? Jakeście to stwierdzili?

– Używszy rozumu.

Buko von Krossig zaklął plugawie. Notker Weyrach pohamował go gestem. I popatrzył na demeryta wymownie.

– Mówcie, Szarleju. Coście wytropili? Co wiecie?

– Do udziału w łupie – hardo zadarł głowę demeryt – nie zechcieli nas panowie dopuścić. Więc i tropiciela sobie ze mnie nie róbcie. Co wiem, to wiem. Moja rzecz.

– Trzymajcie mnie... – zawarczał wściekle Buko, ale Weyrach powstrzymał go znowu.

– Jeszcze niedawno – powiedział – ni poborca was nie interesował, ni jego pieniądze. A ot, naraz udziału w łupach wam się zachciewa. Musi, coś się zmieniło. Ciekawość, co?

– Wiele. Teraz łup, jeśli się nam poszczęści go wziąć, nie będzie pochodził z napadu na poborcę. Teraz będzie to rekuperacja, grabienie grabieżcy. W czymś takim chętniej biorę udział, bo uważam za moralne obrabować rabusia ze zrabowanej zdobyczy.

– Mówcie jaśniej.

– Nie można jaśniej – rzekł Tassilo de Tresckow. – Wszystko jest jasne.

●

Ukryte w lesie, otoczone trzęsawiskiem jeziorko, choć malownicze, budziło niejasne uczucie niepokoju, ba, lęku nawet. Jego tafla była jak smoła – tak samo czarna i zastygła, tak samo nieruchoma, tak samo martwa, niezmącona żadnym życiem, żadnym poruszeniem. Choć czubki przeglądających się w wodzie świerków chwiały się lekko na wietrze, gładkości tafli nie zakłócała najmniejsza nawet falka. Gęstą od brunatnych glonów wodę poruszały jedynie banieczki gazu, podnoszące się z głębiny, rozchodzące wolno i pękające na oleistej, pokrytej rzęsą powierzchni, z której, niczym trupie ręce, sterczały uschłe rosochate drzewa.

Reynevan wzdrygnął się. Odgadł już, co wykrył demeryt. Leżą tam, pomyślał, w głębinie, w mule, na samym dnie tej czarnej otchłani. Kolektor. Tybald Raabe. Pryszczata Stietencronówna z wyskubanymi brwiami. I kto prócz nich?

– Spójrzcie – wskazał Szarlej. – Tutaj.

Trzęsawisko uginało się pod stopami, strzykało wodą wyciskaną z gąbczastego dywanu mchów.

– Ślady ktoś usiłował zatrzeć – pokazywał dalej demeryt – ale i tak wyraźnie widać, którędy wleczono zwłoki. Tu, na liściach, jest krew. I tu. I tu. Wszędzie krew.

– To znaczy... – potarł podbródek Weyrach. – Że ktoś...

– Że ktoś napadł na poborcę – dokończył spokojnie Szarlej. – Wykończył i jego, i jego eskortę. A trupy utopił tu, w stawie. Obciążywszy kamieniami wyciągniętymi z paleniska. Wystarczyło baczniej przyjrzeć się palenisku...

– Dobra, dobra – uciął Buko. – A pieniądze? Co z pieniędzmi? Czy to znaczy...

– To znaczy – Szarlej spojrzał na niego z lekkim pobłażaniem – dokładnie to, co myślicie. Zakładając, że myślicie.

– Że pieniądze zagrabiono?

– Brawo.

Buko milczał czas jakiś, cały ten czas coraz to bardziej czerwieniejąc.

– Kurwa! – wrzasnął wreszcie. – Boże! Widzisz i nie grzmisz? Do czego to doszło! Upadły, kurwa, obyczaje, zginęła cnota, umarła poczciwość! Wszystko, wszystko zagrabią, zrabują, ukradną! Złodziej na złodzieju i złodziejem pogania! Łobuzy! Szelmy! Łajdaki!

– Łotry, na kocioł świętej Cecylii, łotry! – zawtórował Kuno Wittram. – Chryste, że też nie spuścisz na nich plagi jakiej!

– Świętości, skurwysyny, ani uszanują! – ryknął Rymbaba. – Toć dudki, co je wiózł kolektor, na cel zbożny były!

– Prawda. Na wojnę z husytami biskup zbierał...

– Jeśli tak – wybąkał Woldan z Osin – to może diabelska to sprawka? Dyć diabeł z husytami trzyma... Mogli heretycy czarciej pomocy zawezwać... A mógł czart i sam ze siebie, biskupowi na złość... Jezu! Diabeł, mówię wam, tu hulał, piekielne moce tu działały. Szatan, nikt inny, kolektora ubił i wszystkich jego ludzi zgładził.

– A pięćset grzywien co? – zmarszczył się Buko. – Do piekła uniósł?

– Uniósł. Albo w gówno przemienił. Bywały takie przypadki.

– Może być – kiwnął głową Rymbaba – że w gówno. Gówna tam, za szałasami, duża różnorakość.

– Mógł też – dodał Wittram, wskazując – czart pieniądze w tym oczku zatopić. Jemu one na nic.

– Hmm... – mruknął Buko. – Mógł zatopić, mówisz? Może by tedy...

– W życiu! – Hubercik w lot odgadł, o czym i o kim Buko myśli. – Co to, to nie! Za nic tam, panie, nie wejdę!

– Nie dziwię się – rzekł Tassilo de Tresckow. – Mnie też nie podoba się to bajoro. Tfu! Nie wszedłbym do tej wody, choćby tam nie pięćset, a pięćset tysięcy grzywien leżało.

Coś, co żyło w jeziorze, musiało go usłyszeć, bo jakby na potwierdzenie smolista woda jeziorka wzburzyła się, zabulgotała, zawrzała tysiącem wielkich pęcherzy. Buchnął i rozszedł się ohydny, zgniły smród.

– Chodźmy stąd... – sapnął Weyrach. – Odejdźmy...

Odeszli. W dużym raczej pośpiechu. Bagienna woda strzykała spod stóp.

●

– Napad na poborcę – oświadczył Tassilo de Tresckow – o ile miał miejsce, a Szarlej się nie myli, zdarzył się, wnosząc ze śladów, wczoraj w nocy lub dziś o świtaniu. Jeśli więc wytężymy się nieco, możemy rabusiów doścignąć.

– A wiemy to – burknął Woldan z Osin – którędy pojechali? Z poręby trzy wiodą ścieżki. Jedna w kierunku bardzkiego gościńca. Druga na południe, ku Kamieńcowi. Trzecia na północ, na Frankenstein. Zanim ruszymy w pościg, warto by wiedzieć, w którym z tych trzech kierunków.

– Faktycznie – ocenił Notker von Weyrach, po czym chrząknął znacząco, spojrzał na Buka, wzrokiem wskazał białowłosego magika, siedzącego opodal i przypatrującego się Samsonowi Miodkowi. – Faktycznie, warto by to wiedzieć. Nie chcę być nachalny, ale może by tak, ot, dla przykładu, czarodziejstwa do tego celu użyć? Co, Buko?

Magik słowa słyszał niezawodnie, ale nawet nie odwrócił głowy. Buko von Krossig zmełł w zębach przekleństwo.

– Panie Huonie von Sagar!

– Czego?

– Tropu szukamy! Może by pan tak pomógł?

– Nie – odrzekł magik lekceważąco. – Nie chce mi się.

– Nie chce wam się? Nie chce się? To po coście, zaraza, z nami pojechali?

– Żeby powietrza świeżego zażyć. I *gaudium* sobie uczynić. Powietrza mam już dosyć, *gaudium*, okazuje się, żadne, tedy najchętniej wracałbym już do domu.

– Łup nam koło nos przeszedł!

– A to, pozwólcie sobie powiedzieć, *nihil ad me attinet*.

– Ja was z łupu utrzymuję i żywię!

– Wy? Doprawdy?

Buko poczerwieniał z wściekłości, ale nic nie powiedział. Tassilo de Tresckow chrząknął z cicha, pochylił się nieznacznie w stronę von Weyracha.

– Jak to z nim jest? – mruknął. – Z tym czarownikiem? On służy w końcu Krossigowi, czy nie?

– Służy – odmruknął Weyrach – ale starej Krossigowej. Ale o tym sza, nie gadaj nic. Temat delikatny...

– Czy to jest – półgłosem spytał Reynevan stojącego obok Rymbabę – ów słynny Huon von Sagar?

Paszko kiwnął głową i otworzył usta, niestety, Notker Weyrach usłyszał.

– Bardzo pan ciekawski, panie Hagenau – syknął, podchodząc. – A to nie przystoi. Nie przystoi to żadnemu z waszej cudacznej trójki. To przez was wszystkie te tarapaty. I pomocy z was tyle, co z kozła mleka.

– To – wyprostował się Reynevan – rychło może się zmienić.

– Hę?

– Chcecie wiedzieć, którą drogą pojechali ci, co obrabowali poborcę? Wskażę wam.

Jeśli zdziwienie raubritterów było wielkie, to na miny Szarleja i Samsona trudno było znaleźć adekwatne określenie, nawet słowo „osłupiały” wydawało się za słabe. Ba, błysk zainteresowania pojawił się nawet w oku Huona von Sagar. Albinos, który dotąd na wszystkich – oprócz Samsona – patrzył tak, jak gdyby byli przezroczyści, teraz zaczął uważniej sondować Reynevana wzrokiem.

– Drogę tutaj, na Porębę – wycedził Buko von Krossig – wskazałeś nam pod groźbą stryczka, Hagenau. A teraz pomożesz z ochoty? Skąd ta zmiana?

– Moja rzecz.

Tybald Raabe. Niełądna córka Stietencrona. Z poderżniętymi gardłami. Na dnie, w mule. Czarni od raków, które ich oblazły. Od

pijawek. Wijących się węgorzy. I Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze.

– Moja rzecz – powtórzył.

●

Nie musiał szukać długo. Sit, *juncus*, rósł na skraju wilgotnej łąki całymi kępami. Dołożył obwieszoną suchymi łuszczynami łodygę świrzepy. Trzykrotnie przewiązał ukłosionym źdźbłem turzycy.

Jedna, dwie, trzy
Segge, Binse, Hederich
Binde zu samene...

– Bardzo dobrze – odezwał się z uśmiechem siwowłosy mag. – Brawo, młodzieńcze. Ale czasu trochę żal, a ja chciałbym jak najszybciej wrócić do domu. Pozwolę sobie, bez urazy, ździebko pomóc. Ździebko. Za grosik. Tyle by, jak mówi poeta, moc móc wzmóc.

Skinął swym kosturem, zatoczył nim szybki krąg.

– *Yassar!* – przemówił gardłowo. – *Qadir al-rah!*

Od siły zaklęcia aż zadrżało powietrze, a jedna z wychodzących ze Ściborowej Poręby dróg zrobiła się jaśniejsza, sympatyczniejsza, zapraszająca. Stało się to dużo szybciej niż przy użyciu samego tylko nawęzu, natychmiast niemal, a emanująca z drogi poświata była znacznie silniejsza.

– Tędy – wskazał Reynevan przyglądającym się z otwartymi gębami raubritterom. – To ta droga.

– Szlak na Kamieniec – pierwszy ochłonął Notker Weyrach. – Dobra nasza. A i wasza też, panie von Sagar. Bo to ten sam kierunek, co dom, kędy wam tak pilno. W konie, *comitiva*!

●

– Są – zameldował wysłany na zwiad Hubercik, opanowując tańczącego konia. – Są, panie Buko. Jadą cugiem, wolno, gościńcem w kierunku Barda. Luda ze dwudziestu, wśród nich ciężkozbrojni.

– Dwudziestu – powtórzył w niejakim skupieniu Woldan z Osin. – Hmmm...

– A czegoś się spodziewał? – spojrzał na niego Weyrach. – Kto, myślałeś, wyrżnął i potopił poborcę z orszakiem, franciszkanów i pątników nie licząc? Hę? Tomcio Paluch?

– Pieniądze? – spytał rzeczowo Buko.

– Jest kolebka – Hubercik podrapał się w ucho. – Skarbniczek...

– Dobra nasza. Tam wiozą grosiwo. Dalej tedy na nich.

– A pewne aby – odezwał się Szarlej – że to ci właściwi?

– Pan, panie Szarlej – Buko zmierzył go wzrokiem – jak coś powie... Rzekłbyś mi pan lepiej, czy liczyć na cię możem. Na ciebie i twych kompanionów. Pomożecie?

– A mieć z tej rekuperacji – Szarlej spojrzał na szczyty sosen – co będziemy? Co powiecie na równy udział, panie von Krossig?

– Jeden na was trzech.

– Zgoda – demeryt się nie targował, ale pod spojrzeniami Reynevana i Samsona dorzucił szybko:

– Ale bezorężnie.

Buko machnął ręką, po czym odpiął od siodła topór, potężne, szerokie ostrze na lekko wygiętym stylisku. Reynevan zobaczył, jak Notker Weyrach sprawdza, czy łańcuchowy morgenstern dobrze obraca się na trzonku.

– Posłuchajcie, *comitiva* – rzekł Buko. – Choć to pewno większością chmyzy, jest ich dwudziestu. Trzeba więc z głową. Zrobimy tak: stajanie stąd, wiem to, droga przechodzi przez mostek na strudze...

●

Buko nie mylił się. Droga faktycznie wiodła przez mostek, pod którym, w wąskim, lecz głębokim jarze płynęła ukryta w gąszczu olszyn struga, głośno szumiąc na szypotach. Śpiewały wilgi, zajadle walił w pień dzięcioł.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Reynevan, skryty za jałowcami. – Nie mogę uwierzyć. Zostałem zbójcą. Czekam w zasadzce...

– Bądź cicho – mruknął Szarlej. – Jadą.

Buko von Krossig splunął w garść, ujął topór, zamknął zasłonę armetu.

– Czuj duch – zaburczał jak z głębi garnka. – Hubercik? Gotowyś?

– Gotowym, panie.

– Wszyscy wiedzą, co robić? Hagenau?

– Wiem, wiem.

Wśród prześwitującej zza jaworów jasnej brzeziny po przeciwnej stronie jaru zamigotały kolory, zalśniły zbroje. Doleciał śpiew. Śpiewają

Dum iuventus floruit, rozpoznał Reynevan. Pieśń do słów Piotra z Blois. Też to śpiewaliśmy w Pradze...

– Wesoło im, psubratom – mruknął Tassilo de Tresckow.

– Też się weselę, gdy kogoś złupię – odburknął Buko. – Hubercik! Czuj duch! Rychtuj kuszę!

Śpiew ucichł, urwał się nagle. Przy mostku pojawił się pachołek w kapturze, dzierżący sulicę w poprzek siodła. Za nim wyjechało trzech następnych, ci nosili kolczugi i żelazne opachy, na głowach mieli łebki, a na plecach kusze. Wszyscy wolno wjechali na mostek. Za nimi zjawili się dwaj rycerze opancerzeni *cap á pied*, nawet z kopiami osadzonymi w uchwytach u strzemion. Jeden miał na tarczy czerwony stopień w polu srebrnym.

– Kauffung – mruknął znowu Tassilo. – Ki diabeł?

O most załomotały podkute kopyta, wjechali nań następni trzej rycerze. Za nimi, zaprzężona w parę mierzynków, wjechała obita bordowym suknem pałubowata kolebka. Skarbniczek, eskortowany przez kolejnych kuszników w łebkach i kapalinach.

– Czekać – mruczał Buko. – Jeszcze... Niech kolebka ino zjedzie z mostu... Jeszcze... Teraz!

Szczęknęła cięciwa, zasyczał bełt. Koń pod jednym z kopijników stanął dęba, rżąc dziko, zwalił się, obalając zarazem jednego ze strzelców.

– Teraz! – ryknął Buko, podrywając konia. – Na nich! Bij!

Reynevan uderzył konia piętami, wydarł się z jałowców. Za nim skoczył Szarlej.

Przed mostem kotłowało się już, trwała walka – to na ariergardę orszaku uderzyli z prawa Rymbaba i Wittram, z lewa Weyrach i Woldan z Osin. Lasem niósł się wrzask, kwik koni, szczęk, brzęk, łomot żelaza o żelazo.

Buko von Krossig cięciem topora obalił wraz z koniem pachołka z sulicą, uderzeniem na odlew rozwalił głowę usiłującemu napiąć kuszę kusznikowi. Przelatującego obok Reynevana obryzgały krew i mózg. Buko wykręcił się w kulbace, stanął w strzemionach, ciął potężnie, topór roztrzaskał naramiennik i niemal odrąbał bark rycerza ze stopniem Kauffungów na tarczy. Obok przemknął w pełnym cwale Tassilo de Tresckow, szerokim ciosem miecza zwalając z konia giermka w brygantynie. Drogę zastawił mu pancerny w błękitno-białym lentnerze, ścięli się ze szczękiem stali.

Reynevan dopadł kolebki. Woźnica z niedowierzaniem patrzył na sterczący mu z pachwiny wbity aż po lotki bełt. Szarlej doskoczył z drugiej strony, mocnym pchnięciem strącił go z kozła.

– Wskakuj! – krzyknął. – I poganiaj konie!

– Uważaj!

Szarlej nurknął pod końską szyję, gdyby spóźnił się z tym o sekundę, byłby nadziany na kopię, z którą szarżował z mostu rycerz w pełnej zbroi, z czarno-złotą szachownicą na tarczy. Rycerz staranował konia Szarleja, rzucił kopię, chwycił zawieszony na temblaku buzdygan, ale kropnąć nim demeryta w ciemię już nie zdążył. Nadjeżdżający cwałem Notker Weyrach palnął go po saladzie morgensternem, aż się rozległo. Rycerz zachwiał się w siodle, Weyrach odwinął się i palnął go po raz drugi, w środek naplecznika, tak potężnie, że kolce żelaznej kuli wbiły się w blachę, uwięzły. Weyrach puścił trzonek, dobył miecza.

– Poganiaj! – ryknął do Reynevana, który tymczasem wlazł już na kozioł. – Jazda! Jazda!

Z mostu rozległ się dziki kwik, ogier w barwnym kropierzu strzaskał tam balustradę, razem z jeźdźcem runął do jaru. Reynevan krzyknął co mocy w płucach, chlasnął zaprzęg lejcami, mierzyny wyrwały do przodu, skarbniczek zakolebał się, podskoczył, z wewnątrz, spod szczelnej opony, dobiegł ku wielkiemu zdumieniu Reynevana przeraźliwy pisk. Nie było jednak czasu na dziwienie się. Konie szły galopem, musiał nieźle się starać, by nie spaść z podskakującej mu pod zadkiem deski. Wokół wciąż wrzał zacięty bój, rozlegał się wrzask i szczęk oręża.

Z prawej wyskoczył cwałem ciężkozbrojny bez hełmu, schylił się, usiłując chwycić za szory zaprzęgu. Tassilo de Tresckow zajechał go i ciął mieczem. Krew spryskała bok mierzynka.

– Pogaaaniaaaj!

Z lewej pojawił się Samson, zbrojny tylko w leszczynową witkę, oręż, jak się pokazało, całkiem adekwatny do sytuacji.

Zacięte po zadach mierzynki poszły w taki cwał, że Reynevana wręcz wcisnęło w oparcie kozła. Skarbniczek, z wnętrza którego wciąż coś piszczało, skakał i kołysał się jak korab na sztormowej fali. Reynevan, prawdę rzekłszy, nigdy w życiu nie był nad morzem, a korabie widywał wyłącznie na obrazkach, nie wątpił wszakoż, że tak właśnie, nie inaczej, muszą one się kołysać.

– Pogaaaniaaaaj!

Na drodze pojawił się Huon von Sagar na tańczącym karoszu, kosturem wskazał dukt, sam puścił się weń galopem. Samson pomknął za nim, ciągnąc za wodze konia Reynevana. Reynevan ściągnął lejce, krzyknął na zaprzęg.

Dukt był wyboisty. Skarbniczek podskakiwał, kolebał się i piszczał. Odgłosy walki cichły za plecami.

●

– Nawet nieźle poszło – ocenił Buko von Krossig. – Całkiem nieźle... Tylko dwóch giermków ubitych. Rzecz zwykła. Całkiem nieźle. Jak na razie.

Notker von Weyrach nie odpowiedział, dyszał tylko ciężko, obmacywał biodro. Spod taszki ciekła krew, cieniutką strużką pełzła w dół po nabiodrku. Obok dyszał Tassilo de Tresckow, oglądając lewe ramię. Awanbrasu brakowało, nałokcica wisiała na wpół oderwana, na jednym tylko skrzydle, ale ręka wyglądała na całą.

– A pan Hagenau – ciągnął Buko, na którym nie widać było żadnych poważniejszych uszkodzeń. – Pan Hagenau pięknie powoził. Walnie się spisał... O, Hubercik, cały jesteś? Ha, widzę, że żyjesz. Gdzie Woldan, Rymbaba i Wittram?

– Już nadjeżdżają.

Kuno Wittram ściągnął hełm i myckę, włosy pod nią miał skręcone i mokre. Blachę naramiennika cięcie postawiło skrajem na sztorc, tarczka była zupełnie zdeformowana.

– Pomóżcież – zawołał, jak ryba łapiąc powietrze. – Woldan ranion...

Zwlekli rannego z kulbaki, z trudem, wśród jęków i stęknięć, ściągnęli mu z głowy mocno wgięty, powykrzywiany i roznitowany hundsgugel.

– Chryste... – wystękał Woldan. – Alem dostał... Kuno, zobacz, mam jeszcze oko?

– Masz, masz – uspokoił go von Wittram. – Nie widzisz, bo ci juchą zalało...

Reynevan ukląkł, natychmiast zabrał się do opatrywania. Ktoś mu pomagał. Uniósł głowę, napotkał szare oczy Huona von Sagar.

Stojący obok Rymbaba skrzywił się z bólu, obmacując duże wgniecenie na boku napierśnika.

– Żebro jak nic poszło – stęknął. – Krwią, kurwa, plwam, patrzajcie.

– Kogo, kurwa, obchodzi, czym plwasz – Buko von Krossig ściągnął z głowy armet. – Gadaj lepiej: ścigają nas?

– Nie... Troszkęśmy ich poszczerbili...

– Będą ścigać – rzekł z przekonaniem Buko. – Dalej, wybebeszmy kolebkę. Bierzmy pieniądze i jazda stąd co rychlej.

Podszedł do wehikułu, szarpnął obite suknem wiklinowe drzwiczki. Drzwiczki ustąpiły, ale tylko na cal, potem zamknęły się znowu. Było oczywiste, że ktoś trzymał je od wewnątrz. Buko zaklął, szarpnął mocniej. Z wnętrza rozległ się pisk.

– Co to? – zdziwił się, krzywiąc, Rymbaba. – Piszczące pieniądze? A może kolektor podatek w myszach ściągał?

Buko gestem wezwał go na pomoc. We dwu targnęli drzwi z taką mocą, że urwały się całkiem, a wraz z nimi raubritterzy wywlekli ze środka osobę, która je trzymała.

Reynevan westchnął. I zamarł z otwartymi ustami.

Bo tym razem tożsamość wątpliwości budzić nie mogła najmniejszych.

Tymczasem Buko i Rymbaba rozpruli nożami oponę, wyciągnęli z wybitego futrami wnętrza skarbniczka drugą dziewczynę, podobnie jak pierwsza jasnowłosą, podobnie potarganą, odzianą w podobną zieloną *cotehardie* z białymi rękawkami, może tylko nieco młodszą, niższą i pulchniejszą. To właśnie ta druga, pulchniejsza, miała skłonności do pisków, teraz, pchnięta przez Buka na trawę, zaczęła dodatkowo łkać. Pierwsza siedziała w ciszy, nadal ściskając drzwiczki kolebki i zasłaniając się nimi niczym pawężą.

– Na kij świętego Dalmasta... – westchnął Kuno Wittram. – Co to ma być?

– Nie to, czegośmy chcieli – stwierdził rzeczowo Tassilo. – Rację miał pan Szarlej. Było najpierw się upewnić, potem napadać.

Buko von Krossig wylazł ze skarbniczka. Cisnął na ziemię jakieś wyniesione stamtąd ciuszki i łaszki. Jego mina nadto wyraźnie mówiła o wynikach przeszukania. Każdego zaś, kto nie był pewien, czy i co Buko znalazł, seria sprośnych przekleństw winna była upewnić. Spodziewanych pięciuset grzywien w skarbniczku nie było.

Dziewczyny zbliżyły się do siebie i przytuliły w strachu. Wyższa obciągnęła *cotehardie* aż po kostki, spostrzegłszy, że Notker Weyrach łakomie przygląda się jej zgrabnym łydkom. Niższa pochlipywała.

Buko zgrzytnął zębami, ściskał rękojeść noża tak, że aż mu zbielały knykcie. Minę miał wściekłą, niezawodnie bił się z myślami. Huon Sagar zauważył to natychmiast.

– Czas spojrzeć prawdzie w oczy – parsknął. – Pokpiłeś, Buko. Wszyscy pokpiliście. Najwyraźniej nie jest to wasz dzień. Radzę tedy udać się do domu. Prędko. Nim znowu nadarzy się wam okazja wygłupić.

Buko zaklął, tym razem zawtórował mu i Weyrach, i Rymbaba, i Wittram, i nawet Woldan z Osin spod opatrunku.

– Co z dziewuchami? – Buko jakby teraz dopiero je dostrzegł. – Zarżnąć?

– A może zerżnąć? – Weyrach uśmiechnął się obleśnie. – Pan Huon ma trochę racji, iście kiepski nam wypadł dzionek. Może więc choć zakończyć go jakimś lubym akcentem? Weźmy dziewki, znajdźmy jaki stóg, coby było miękcej, i tam je obie zdupczym pospołu. Co wy na to?

Rymbaba i Wittram zarechotali, ale raczej niepewnie. Woldan z Osin zajęczał spod zakrwawionego płótna. Huon von Sagar pokręcił głową.

Buko zrobił krok w stronę dziewcząt, te skuliły się i objęły ciasno. Młodsza załkała.

Reynevan chwycił za rękaw Samsona, który już sposobił się interweniować.

– Nie ważcie się – powiedział.

– Co?

– Nie ważcie się jej tknąć. Bo opłakane może mieć to dla was skutki. To szlachcianka, i z nie byle jakich. Katarzyna von Biberstein, córka Jana Bibersteina, pana na Stolzu.

– Jesteś pewien, Hagenau? – przerwał długą i ciężką ciszę Buko von Krossig. – Nie mylisz się?

– Nie myli się – Tassilo de Tresckow uniósł i pokazał wszystkim wydobytą ze skarbniczka sakwę z wyszytym herbem, czerwonym jelenim rogiem w polu złotym.

– Iście – przyznał Buko. – Bibersteinów znak. Która to?

– Ta wyższa, starsza.

– Ha! – raubritter wziął się pod bok. – Tedy i zakończymy dzień miłym akcentem. I powetujemy sobie stratę. Hubercik, zwiąż ją. I bierz na konia przed sobą.

– Wykrakałem – Huon von Sagar rozłożył ręce. – Jednak dał wam dzień nową okazję, by zrobić z siebie durniów. Nie po raz pierwszy, doprawdy, zastanawiam się, Buko, czy to u ciebie wrodzone, czy nabyte.

– Ty zaś – Buko, lekceważąc czarodzieja, stanął nad młodszą, która skurczyła się i zaczęła chlipać. – Ty, dziewko, wytrzyj nos i słuchaj uważnie. Siedź tu i czekaj na pościg, za tobą by może nie posłali, ale za Bibersteinówną przyjdzie niezawodnie. Panu na Stolzu przekażesz, że okup za jego córeczkę wynosił będzie... pięćset grzywien. Znaczy się, konkretnie pięćset kóp groszy praskich, dla Bibersteinów to drobnostka. Pan Jan będzie uwiadomiony o sposobie zapłaty. Pojęłaś? Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię! Pojęłaś?

Dziewczyna skurczyła się jeszcze bardziej, ale uniosła na Buka błękitne oczęta. I pokiwała głową.

– Czy ty – odezwał się poważnie Tassilo de Tresckow – naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

– Naprawdę. I dość mi o tym. Jedziem.

Obrócił się w stronę Szarleja, Reynevana i Samsona.

– Wy zaś...

– My – przerwał Reynevan – chcielibyśmy jechać z wami, panie Buko.

– Że jak?

– Chcielibyśmy wam towarzyszyć – Reynevan, zapatrzony na Nikolettę, nie zważał ani na syknięcia Szarleja, ani na miny Samsona. – Dla bezpieczeństwa. Jeśli nie macie nic przeciw...

– Kto powiedział – rzekł Buko – że nie mam?

– Nie miej – powiedział dość znacząco Notker Weyrach. – Dlaczego masz mieć? Nie lepiej, wśród danych cyrkumstancyj, by byli z nami? Miast za nami, za naszymi plecami? Chcieli, jak pamiętam, na Węgry, z nami im po drodze...

– Dobra – kiwnął głową Buko. – Jedziecie z nami. Na koń, *comitiva*. Hubercik, pilnuj dziewki... A pan, panie Huonie, czemu taką minę ma kwaśną?

– Pomyśl, Buko. Pomyśl.

Rozdział dwudziesty czwarty

w którym Reynevan, zamiast na Węgry, jedzie na zamek Bodak w Górach Złotostockich. Nie wie tego, ale wyjść stamtąd zdoła nie inaczej, jak *in omnem ventum*.

Jechali drogą na Bardo, początkowo szybko, co i rusz oglądając się wstecz, rychło jednak zwolnili. Konie były pomęczone, a i kondycja jeźdźców, jak się pokazało, daleka od dobrej. W siodle garbił się i pojękiwał nie tylko Woldan z Osin z twarzą silnie poranioną przez wgnieciony hełm. Obrażenia pozostałych, choć nie tak spektakularne, dawały się jednak wyraźnie we znaki. Stękał Notker Weyrach, przyciskał do brzucha łokieć i szukał wygodnej pozycji w kulbace Tassilo de Tresckow. Półgłosem wzywał świętych Kuno Wittram, skrzywiony jak po occie siedmiu złodziei. Paszko Rymbaba macał bok, klął, pluł na dłoń i oglądał plwocinę.

Z raubritterów jedynie po von Krossigu nie było nic widać, albo nie oberwał tak mocno jak inni, albo lepiej umiał znosić ból. Widząc wreszcie, że wciąż musi zatrzymywać się i czekać na zostających w tyle kamratów, Buko zdecydował porzucić drogę i jechać lasami. Ukryci mogli jechać wolno – a bez ryzyka, że dojdzie ich pościg.

Nikoletta – Katarzyna Biberstein – nie wydała podczas jazdy najmniejszego dźwięku. Choć związane ręce i pozycja na łęku Hubercika musiały dokuczać i ciążyć, dziewczyna nie jęknęła, nie uroniła słowa skargi. Patrzyła przed siebie apatycznie, widać było, że jest zupełnie zrezygnowana. Reynevan podjął kilka skrytych prób kontaktu, ale bez widocznego efektu – unikała jego wzroku, odwracała oczy, nie reagowała na gesty, nie zauważała ich – lub udawała, że nie zauważa. Tak było aż do przeprawy.

Przez Nysę przeprawili się na odwieczerz, w niezbyt rozsądnie wybranym miejscu, pozornie tylko płytkim, prąd za to był znacznie silniejszy od spodziewanego. Wśród zamętu, chlupotu, klątw i rżenia koni Nikoletta zsunęła się z łęku i byłaby skąpała, gdyby nie czujnie trzymający się w pobliżu Reynevan.

– Odwagi – szepnął jej do ucha, unosząc i tuląc do siebie. – Odwagi, Nikoletto. Wyciągnę cię z tego...

Odnalazł jej małą i wąską dłoń, ścisnął. Mocno odwzajemniła uścisk. Pachniała miętą i tatarakiem.

– Hej! – krzyknął Buko. – Ty! Hagenau! Zostaw ją! Hubercik!

Samson podjechał do Reynevana, wyjął mu Nikolettę z ramion, uniósł jak piórko i posadził przed sobą.

– Ustałem ją wieźć, panie! – uprzedził Buka Hubercik. – Niechaj waligóra mnie małość zmieni!

Buko zaklął, ale machnął ręką. Reynevan przyglądał mu się z rosnącą nienawiścią. Nie bardzo wierzył w ludożercze potwory wodne, bytujące ponoć w odmętach Nysy w okolicach Barda, ale teraz wiele by dał, by jeden z takich potworów wynurzył się ze zmąconej rzeki i zeżarł raubrittera razem z jego ryżogniadym ogierem.

– W jednym – rzekł półgłosem rozbryzgujący obok wodę Szarlej – muszę oddać ci honor. W twojej kompanii nie można się nudzić.

– Szarleju... Winien ci jestem...

– Winien mi jesteś wiele, nie przeczę – demeryt ściągnął wodze. – Ale jeśli miałeś na myśli wyjaśnienia, to te sobie daruj. Poznałem ją. Na turnieju w Ziębicach gapiłeś się na nią jak cielę, później to ona nas ostrzegła, że na Stolzu będą na ciebie dybać. Zakładam, że masz u niej więcej długów wdzięczności. Czy już ci ktoś prorokował, że zgubią cię kobiety? Czy też ja będę pierwszy?

– Szarleju...

– Nie trudź się – przerwał demeryt. – Rozumiem. Dług wdzięczności plus afekt wielki, *ergo* znowu przyjdzie nadstawić karku, a Węgry wciąż dalej i dalej. Trudna rada. Proszę cię tylko o jedno: pomyśl, zanim zaczniesz czynić. Możesz mi to obiecać?

– Szarleju... Ja...

– Wiedziałem. Uważaj, milcz. Patrzą na nas. I poganiaj konia, poganiaj! Bo cię nurt uniesie!

●

Pod wieczór dotarli do podnóża Reichensteinu, Gór Złotostockich, północno-zachodniego krańca granicznych pasm Rychlebów i Jesionika. W leżącej nad płynącą z gór rzeczką Bystrą osadzie zamierzali popasać i posilić się, jednak tamtejsi chłopi okazali się niegościnni – nie dali się ograbić. Zza broniącego wjazdu zasieku w stronę raubritterów sypnęły się strzały, a zacięte oblicza uzbrojonych w widły i oksze

kmieciów nie zachęcały do wymuszania gościnności. Kto wie, do czego doszłoby w zwykłej sytuacji, teraz jednak szwank i zmęczenie zrobiły swoje. Pierwszy obrócił konia Tassilo de Tresckow, za nim pospieszył zapalczywy zwykle Rymbaba, zawrócił, nawet nie rzuciwszy w stronę wsi słowem brzydkim, Notker von Weyrach.

– Chamy przeklęte – dogonił ich Buko Krossig. – Trzeba, jak czynił mój ociec, przynajmniej raz na pięć lat burzyć im te budy, palić im to wszystko do gołej ziemi. Inaczej bieszą się. Dostatek w głowach im przewraca. W pychę wbija.

Chmurzyło się. Od wsi niosło dymem. Szczekały psy.

●

– Przed nami Czarny Las – ostrzegł od czoła Buko. – Trzymać się w kupie! Z tyłu nie zostawać! Na konie baczyć!

Ostrzeżenie zostało potraktowane poważnie. Bo też i Czarny Las, gęsty, mokry i zamglony kompleks buków, cisów, olch i grabów, bardzo poważnie się prezentował. Tak poważnie, że aż ciarki chodziły po plecach. Czuło się od razu drzemiące gdzieś tam w gąszczu zło.

Konie chrapały, rzucały łbami.

I jakoś nie wzbudził sensacji zbielały szkielet leżący przy samym skraju drogi.

Samson Miodek mruczał cicho.

Nel mezzo del cammin di nostra vita
mi ritrovai per una selva oscura
ché la diritta via era smarrita...

– Chodzi za mną – wyjaśnił, widząc spojrzenie Reynevana – ten Dante.

– I wyjątkowo pasuje – wzdrygnął się Szarlej. – Milutki lasek, szkoda gadać... Samemu tędy jechać... Po ciemku...

– Odradzam – rzekł, podjeżdżając, Huon von Sagar. – Stanowczo odradzam.

●

Jechali w góry, pod coraz to większą stromiznę. Skończył się Czarny Las, skończyły bukowiny, pod kopytami zazgrzytał wapień i gnejs, zastukał bazalt. Na zboczach jarów wyrosły skałki o fantastycznych

kształtach. Zapadał zmierzch, ciemniało szybko, a to przez chmury, kolejną czarną falą nadciągające od północy.

Na wyraźny rozkaz Buka Hubercik przejął Nikolettę od Samsona. Nadto Buko, jadący dotychczas na czele, zdał prowadzenie na Weyracha i de Tresckowa, sam trzymał się w pobliżu giermka i branki.

– Psiakrew... – mruknął Reynevan do jadącego obok Szarleja. – Przecież ja muszę ją uwolnić... A ten wyraźnie powziął podejrzenia... Strzeże jej, a nas cały czas obserwuje... Dlaczego?

– Może – odrzekł cicho Szarlej, a Reynevan z przerażeniem zorientował się, że to wcale nie jest Szarlej. – Może przyjrzał się twojej twarzy? Będącej zwierciadłem tak uczuć, jak i zamiarów?

Reynevan zaklął pod nosem. Było już ciemnawo, ale nie tylko szarówkę winił za pomyłkę. Siwowłosy czarodziej ewidentnie użył magii.

– Wydasz mnie? – spytał wprost.

– Nie wydam – odrzekł po chwili magik. – Ale gdybyś chciał popełnić głupstwo, sam cię powstrzymam. Wiesz, że zdołam. Nie rób zatem głupstw. A na miejscu się zobaczy...

– Na jakim miejscu?

– Teraz moja kolej.

– Słucham?

– Kolej na moje pytanie. Cóż to, nie znasz reguł gry? Nie graliście w to w uczelni? W *quaestiones de quodlibet*? Zapytałeś pierwszy. Kolej na mnie. Kim jest ten olbrzym, którego nazywacie Samsonem?

– Jest moim kompanem i druhem. Zresztą, czemu sam go nie zapytasz? Utaiwszy się pod magicznym kamuflażem.

– Próbowałem – przyznał bez skrępowania czarodziej. – Ale to ćwik. Przejrzał kamuflaż z punktu. Skąd wyście go wytrzasnęli?

– Z klasztoru benedyktynów. Ale, jeśli to *quodlibet*, to teraz moja kolej. Co sławny Huon von Sagar robi w *comitivie* Buka von Krossig, śląskiego rycerza rabusia?

– Słyszałeś o mnie?

– Któż nie słyszał o Huonie von Sagar? I o Matavermis, potężnym zaklęciu, które latem roku tysiąc czterysta dwunastego ocaliło od szarańczy pola nad Wezerą.

– Nie było tej szarańczy aż tak znowu wiele – odrzekł skromnie Huon. – A co do twojego pytania... Cóż, zapewniam sobie wikt, opierunek i byt

na jakim takim poziomie. Kosztem, rzecz jasna, pewnych wyrzeczeń.

– Tyczących nieraz spraw sumienia?

– Reinmarze de Bielau – czarodziej zaskoczył Reynevana wiedzą. – Gra w pytania to nie dysputa o etyce. Ale odpowiem: nieraz tak, owszem. Sumienie jest jednak jak ciało: da się hartować. A każdy kij ma dwa końce. Zadowolonyś z odpowiedzi?

– Tak bardzo, że nie mam dalszych pytań.

– Tedy wygrana przy mnie – Huon von Sagar poderwał karosza. – A względem panny... Zachowaj zimną krew i nie rób głupstw. Powiadam, na miejscu się zobaczy. A już prawie jesteśmy na miejscu. Przed nami Czeluść. Bywaj więc, bo robota czeka.

●

Musieli się zatrzymać. Idąca kręto pod stromiznę droga częściowo ginęła w kamienistym piargu, powstałym na skutek osunięcia się zbocza, częściowo ucinała się i nikła w przepaści. Przepaść była wypełniona siwą mgłą, nie pozwalającą ocenić faktycznej głębokości. Po drugiej stronie migotały w szarówce światełka, majaczyły zarysy budowli.

– Z siodeł – skomenderował Buko. – Panie Huonie, prosimy.

– Trzymajcie konie – mag stanął na skraju urwiska, uniósł swój koślawy kij. – Trzymajcie je solidnie.

Machnął kosturem, krzyknął zaklęcie, ponownie, jak na Ściborowej Porębie, brzmiące z arabska, lecz znacznie dłuższe, zawiłe i skomplikowane – również w intonacji. Konie zachrapały, cofnęły się, tupiąc mocno.

Powiało zimnem, raptownie, znienacka spadł na nich lodowaty chłód. Mróz zakłuł w policzki, zatrzeszczał w nosach, załzawił oczy, sucho i boleśnie wdarł się z oddechem do krtani. Temperatura spadała gwałtownie, byli jakby wewnątrz sfery, która, zdawałoby się, zasysa całe zimno świata.

– Trzymajcie... konie... – Buko zasłonił twarz rękawem. Woldan z Osin zajęczał, trzymając się za obandażowaną głowę. Reynevan czuł, jak grabieją mu i tracą czucie palce zaciśnięte na rzemieniu wodzy.

Ściągane przez czarodzieja całe zimno świata, do tej pory tylko wyczuwalne, naraz zrobiło się widoczne, przybrało postać kłębiącej się nad przepaścią białej poświaty. Poświata najpierw zaskrzyła się

śnieżynkami, potem zbielała oślepiająco. Rozległ się przeciągły, narastający trzask, chrupiące *crescendo*, osiągające kulminację w szklanym i jękliwym jak dzwon akordzie.

– Ja cię... – zaczął Rymbaba. I nie dokończył.

Nad przepaścią legł most. Most z lodu, skrzącego się i połyskującego jak brylant.

– Dalej – Huon von Sagar mocno chwycił konia za wodze przy munsztuku. – Przechodzimy.

– A zdzierży toto? Nie pęknie?

– Z czasem pęknie – wzruszył ramionami mag. – To rzecz bardzo nietrwała. Każda chwila zwłoki zwiększa ryzyko.

Notker Weyrach nie zadawał dalszych pytań, spiesznie pociągnął konia za Huonem. Za nim wszedł na most Kuno Wittram, następny ruszył Rymbaba. Podkowy dzwoniły na lodzie, toczyło się szklane echo.

Widząc, że Hubercik nie może sobie poradzić z koniem i Katarzyną Biberstein, Reynevan pospieszył z pomocą, ale ubiegł go Samson, biorąc dziewczynę na ręce. Buko Krossig trzymał się blisko, wzrok miał baczny, a dłoń na rękojeści. Czuje pismo nosem, pomyślał Reynevan. Podejrzewa nas.

Emanujący zimnem most podzwaniał pod uderzeniami kopyt. Nikoletta spojrzała dół i jęknęła cicho. Reynevan też spojrzał i przełknął ślinę. Przez lodowy kryształ widać było zalegającą dno jaru mgłę i wystające z niej szczyty świerków.

– Szybciej! – ponaglił od czoła Huon von Sagar. Jakby wiedział.

Most zatrzeszczał, w oczach zaczął bieleć, tracić przejrzystość. W wielu miejscach pobiegły długie linie pęknięć.

– Żywiej, żywiej, zaraza – ponaglił Reynevana prowadzący Woldana Tassilo de Tresckow. Chrapały ciągnięte przez zamykającego pochód Szarleja konie. Zwierzęta robiły się coraz bardziej niespokojne, boczyły się, tupały. A z każdym tupnięciem na moście przybywało pęknięć i rys. Konstrukcja trzeszczała i jęczała. Poleciały w dół pierwsze odkruszone odłamki.

Reynevan odważył się wreszcie spojrzeć pod nogi, z nieopisaną ulgą zobaczył kamienie, skalne złomy, widoczne skroś lodowej bryły. Był po drugiej stronie. Wszyscy byli po drugiej stronie.

Most zachrupał, zatrzeszczał i pękł z hukiem i szklanym jękiem, rozsypał się w milion lśniących fragmentów, lecących w dół i bezgłośnie

zapadających się w mglistą otchłań. Reynevan westchnął głośno – w chórze innych westchnięć.

– On tak zawsze – powiedział półgłosem stojący obok Hubercik. – Pan Huon, znaczy. Ino tak gada. Strachu nie było żadnego, most zdzierży, runie zawżdy po tym, jak przejdzie ostatni. Ilu by nie przechodziło. Pan Huon ino szucić lubi.

Szarlej krótkim słowem podsumował i Huona, i jego poczucie humoru. Reynevan obejrzał się. Zobaczył zębaty, zwieńczony krenelażem mur. Bramę, nad nią czworokątną czatownię. I wznoszącą się nad tym wszystkim wieżę.

– Zamek Bodak – wyjaśnił Hubercik. – Doma my są.

– Trochę kłopotliwe macie dojście do domu – zauważył Szarlej. – Co robicie, gdy magia zawiedzie? Nocujecie na dworze?

– Gdzieżby tam. Jest wtóra droga, od Kłodzka, o, tamój biegnie. Ale tamtędy dalej, ho, ho, do północka by nam chyba jechać przyszło...

Gdy Szarlej zagadywał giermka, Reynevan wymienił spojrzenia z Nikolettą. Dziewczyna miała wzrok spłoszony, jak gdyby dopiero teraz, na widok zamku, zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Po raz pierwszy, jak się wydawało, przyniósł jej ulgę i pocieszenie wzrokowy sygnał Reynevana. Mówiący: Nie lękaj się. I trzymaj. Wydobędę cię stąd, przysięgam.

Zazgrzytała otwierana brama. Za nią był nieduży podwórzec. Kilku pachołków, których Buko von Krossig na dzień dobry sklął, że zwlekali, i pogonił do roboty, każąc zająć się końmi, zbrojami, łaźnią, jadłem i napitkiem. Wszystkim na raz i wszystkim natychmiast, żywo, na jednej nodze.

– Witam – powiedział raubritter – na moim *patrimonium*, panowie. Na zamku Bodak.

●

Formoza von Krossig musiała być niegdyś piękną kobietą. Jak większość bowiem urodziwych niewiast zmieniła się, gdy przeszły lata młode, w bardzo paskudnego babsztyla. Przyrównywana zapewne niegdyś do młodej brzozy sylwetka dziś kojarzyła się raczej ze starą miotłą. Cera, którą zapewne niegdyś komplementująco porównywano do brzoskwini, stała się sucha i plamista, opinała się na kości jak na szewskim kopycie, przez co okazały raczej nos, niegdyś zapewne

komplementowany jako seksowny, zrobił się okropnie wiedźmowaty – z powodu dużo krótszych i dużo mniej zakrzywionych nosów zwykło się było na Śląsku pławić baby w rzekach i stawach.

Jak większość niegdyś urodziwych niewiast, Formoza von Krossig z uporem nie zauważała owego *niegdyś*, nie przyjmowała do wiadomości faktu, że bezpowrotnie przeminęła wiosna wieku. I że zima nadciąga. Widać to było zwłaszcza po sposobie, w jaki Formoza się odziewała. Cały jej strój, od jadowicie różowych ciżemek po fikuśny toczek, delikatna biała podwiczka, muślinowy *couvrechef*, obcisła suknia w kolorze jasnego indyga, wysadzany perłami pasek, szkarłatny brokatowy *surcote* – wszystko to przystawało raczej dzierlatce.

Do tego, gdy przyszło jej spotykać się z mężczyznami, Formoza von Krossig instynktownie robiła się uwodzicielska. Efekt był przerażający.

– Gość w dom, Bóg w dom – Formoza von Krossig uśmiechnęła się do Szarleja i Notkera Weyracha, demonstrując mocno pożółkłe uzębienie. – Witam panów na moim zamku. Nareszcie jesteś, Huonie. Bardzo, bardzo za tobą tęskniłam.

Z kilku zasłyszanych podczas podróży słów i zdań Reynevan zdołał poskładać jaki taki obraz sytuacji. Rzecz jasna, niezbyt precyzyjny. I niezbyt szczegółowy. Nie mógł, przykładowo, wiedzieć, że zamek Bodak Formoza von Pannewitz wniosła w wianie, wychodząc z miłości za Ottona von Krossig, podupadłego, acz dumnego potomka frankońskich ministeriałów. I że Buko, syn jej i Ottona, zwąc zamek swym *patrimonium*, znacznie mijał się z prawdą. Nazwa *matrimonium* byłaby właściwsza, choć przedwczesna. Po śmierci męża Formoza nie straciła substancji i dachu dzięki rodzinie, możnym na Śląsku Pannewitzom. I popierana przez Pannewitzów była faktyczną i dożywotnią panią zamku.

O tym, co Formozę łączyło z Huonem von Sagar, Reynevan również zasłyszał podczas podróży to i owo – wystarczająco wiele, by orientować się w sytuacji. O wiele jednak, rzecz jasna, za mało, by wiedzieć, że ścigany i szczuty przez magdeburską arcybiskupią Inkwizycję czarodziej zbiegł na Śląsk, do krewnych – Sagarowie mieli pod Krosnem nadania jeszcze od Bolesława Rogatki. Potem jakoś tak wyszło, że Huon poznał Formozę, wdowę po Ottonie von Krossig, faktyczną i dożywotnią panią na zamku Bodak. Czarodziej wpadł Formozie w oko. I na zamku odtąd zamieszkiwał.

– Bardzo tęskniłam – powtórzyła Formoza, wstając na czubki różowych ciżemek i całując czarodzieja w policzek. – Przebierz się, mój drogi. A panów zapraszam, zapraszam...

Na zajmujący środek halli wielki dębowy stół spoglądał znad komina herbowy dzik Krossigów, sąsiadujący na okopconej i obrosłej pajęczyną heraldycznej tarczy z czymś, co trudno było zidentyfikować. Ściany obwieszone były skórami i bronią, nic z tego nie wyglądało na nadające się do użytku. Jedną ze ścian zajmował tkany w Arras flamandzki gobelin, przedstawiający Abrahama, Izaaka i uwikłanego w krzakach barana.

Comitiva w poznaczonych odciskami zbroi aketonach rozsiadła się za stołem. Nastrój, z początku raczej ponury, poprawił nieco wjeżdżający na stół antałek. A popsuła go znowu wracająca z kuchni Formoza.

– Czy ja dobrze słyszę? – spytała groźnie, wskazując Nikolettę. – Buko! Porwałeś córkę pana na Stolzu?

– Mówiłem skurwemu synowi – zaburczał Buko do Weyracha – coby nic nie gadał... Kuglarz pieprzony, gęby zamkniętej ni pół pacierza nie utrzyma... Khmmm... Właśnie chciałem wam, pani matko, rzec. I wyłożyć wszystko. Wyszło owóż tak...

– Jak wam wyszło, to ja wiem – przerwała Formoza, najwyraźniej dobrze poinformowana. – Ofermy wy! Tydzień zmarnowali, a łup im ktoś sprzed nosa... Młodziakom się nie dziwię, ale że pan, panie von Weyrach... Mąż dojrzały, stateczny...

Uśmiechnęła się do Notkera, ten spuścił oczy i zaklął bezgłośnie. Buko chciał zakląć głośno, ale Formoza pogroziła mu palcem.

– I porwie – kontynuowała – na koniec taki głupiec córkę Jana Bibersteina. Buko! Czyś ty ze szczętem rozumu zbył?

– Dalibyście, pani matko, wpierw jeść – rzekł gniewnie raubritter. – Siedzim tu za stołem jak na tryznie, głodni, spragnieni, aż wstyd przed gośćmi. Od kiedy to u Krossigów takie obyczaje? Jeść dajcie, a o interesach potem pogadamy.

– Jadło się szykuje, wnet podadzą. I napitek już niosą. Obyczajów mnie nie ucz. Wybaczcie, rycerze. A was, mości panie, nie znam... Ani ciebie, wdały młodzieńcze...

– Ów Szarlejem każe się zwać – przypomniał sobie o obowiązkach Buko. – A ten chłystek to Reinmar von Hagenau.

– Ach. Potomek jaki sławnego poety?

– Nie.

Wrócił Huon von Sagar, przeodziany w luźną *houppelande* z wielkim futrzanym kołnierzem. Z miejsca też okazało się, kto cieszy się największym faworem pani zamku. Huon natychmiast dostał pieczonego kurczaka, faskę pierogów i puchar wina, a usłużyła mu sama Formoza. Czarodziej bez skrępowania zaczął jeść, wyniośle lekceważąc wygłodniałe spojrzenia reszty kompanii. Na szczęście, reszta też nie czekała długo. Na stół, ku ogólnej radości, wjechała, poprzedzana falą rozkosznego aromatu, micha wieprzowiny duszonej z rodzynkami. Za nią wniesiono drugą, kopiastą od baraniny z szafranem, potem trzecią, pełną potrawki z różnej dziczyzny, za tym wszystkim podążyły garnki z kaszą. Nie mniejszą radością powitano też kilka wniesionych stągwi, zawierających – co natychmiast stwierdzono – miód dwójniak i wino węgierskie.

Kompania wzięła się za jedzenie w dostojnym milczeniu, przerywanym tylko chrzęstem zębów i wznoszonymi od czasu do czasu toastami. Reynevan jadł ostrożnie i z umiarem – przygody ostatniego miesiąca nauczyły go już, jak przykre skutki ma obżarstwo po długiej głodówce. Miał nadzieję, że na Bodaku nie zwykło się zapominać o sługach i Samson nie jest skazany na post.

Trwało to czas jakiś. Wreszcie Buko von Krossig popuścił pasa i beknął.

– Teraz – powiedziała Formoza, słusznie mniemając, że był to sygnał kończący pierwsze danie – może i czas, by o interesach pogawędzić. Choć zdaje mi się, że ni o czym tu gadać. Marny to bowiem interes, Bibersteinowa córa.

– Interesy, pani matko – rzekł Buko, któremu wypity węgrzyn zauważalnie dodał rezonu – to rzecz moja, z całym szacunkiem. To ja na przemysł chadzam, ja dobro do zamku znoszę. Mój trud tu wszystkich karmi, poi i odziewa. Ja życie w hazard stawię, przyjdzie na mnie kiedy z woli Bożej kryska, obaczycie, jak się wam chudo zrobi. Nie wydziwiajcie tedy!

– Patrzcie tylko – Formoza wzięła się pod boki, odwróciła do raubritterów. – Patrzcie tylko, jak się nadyma, ten mój najmłodszy. On mnie karmi i odziewa, dalibóg, ze śmiechu pęknę. Ładnie bym wyglądała, tylko na niego licząc. Szczęściem jest tu na Bodaku loszek głęboki, w nim kufry, w kufrach zaś to, co tam położył twój rodzic,

smyku, i twoi bracia, świeć Panie nad ich duszami. Oni umieli łup znosić w dom, oni kpów z siebie robić nie dali. Córek wielmożom nie porywali jak głupcy... Oni wiedzieli, co czynią...

– Ja też wiem, co robię! Pan na Stolzu okup zapłaci...

– Akurat! – ucięła Formoza. – Biberstein? Zapłaci? Głupiś! On na córeczce krzyżyk położy, a ciebie dopadnie, zemstę wywrze. Zdarzyło się już coś podobnego na Łużycach, wiedziałbyś o tym, gdybyś miał uszy do słuchania. Pamiętałbyś, co spotkało Wolfa Schlittera, gdy podobną sztuką zadarł z Frydrychem Bibersteinem, panem na Żarach. Jaką mu pan na Żarach monetą odpłacił.

– Słyszałem o tym – potwierdził obojętnie Huon von Sagar. – Bo też i sprawa znana była szeroko. Ludzie Bibersteina dopadli Wolfa, skłuli oszczepami jak zwierzę, wykastrowali, wypruli kiszki. Popularne było potem na Łużycach powiedzonko: nosił Wolf razy kilka, aż trafił na Róg Jeleni, poznał, jak ów bodzie...

– Pan, panie von Sagar – uciął niecierpliwie Buko – żadna to dla mnie nowina, o wszystkim słyszał, wszystko wie, wszystko umie. Może więc, miast snuć wspominki, pokaże nam swą medyczną sztukę? Pan Woldan z bólu jęczy, Paszko Rymbaba krwią odpluwa, wszystkich kości łamią, może więc, miast się mądrzyć, jakiej driakwi nam nagotowi? Od czego we wieży ma warsztat, hę? By jeno diabła wywoływać?

– Bacz, do kogo mówisz! – uniosła się Formoza, ale czarodziej uciszył ją gestem.

– Cierpiącym, w samej rzeczy, godzi się ulżyć – powiedział, wstając zza stołu. – Czy pan Reinmar Hagenau zechce mi pomóc?

– Oczywiście – Reynevan wstał również. – Oczywista rzecz, panie von Sagar.

Wyszli obaj.

– Oba czarowniki – zaburczał w ślad za nimi Buko. – Stary i młody. Czarcie nasienie...

●

Pracownia czarodzieja znajdowała się na najwyższej – i zdecydowanie najzimniejszej – kondygnacji wieży, z okien, gdyby nie to, że zapadł już zmrok, widać byłoby pewnie duży kawał Kotliny Kłodzkiej. Jak ocenił fachowym okiem Reynevan, pracownia była wyposażona nowocześnie. W przeciwieństwie do magów i alchemików starszej daty, z

upodobaniem zamieniających swe warsztaty w pełne wszelakiego śmiecia rupieciarnie, czarodzieje nowocześni przedkładali laboratoria urządzone i wyposażone spartańsko – tylko w to, co konieczne. Oprócz korzyści w postaci ładu i estetyki, taki wystrój miał i tę zaletę, że ułatwiał ucieczkę. Zagrożeni przez Inkwizycję nowocześni alchemicy pryskali według zasady *omnia mea mecum porto*, nie oglądając się na porzucane bez żalu ruchomości. Magowie szkoły tradycyjnej do ostatka bronili swych wypchanych krokodyli, zasuszonych ryb pił, homunkulusów, żmij w spirytusie, bezoarów i mandragor – i kończyli na stosie.

Huon von Sagar wyciągnął ze skrzyni opleciony słomą gąsiorek, napełnił dwa puchary rubinowym płynem. Zapachniało miodem i wiśniami, niezawodnie był to więc kirsztrank.

– Siadaj – wskazał krzesło – Reinmarze von Bielau. Napijemy się. Do roboty nie mamy nic. Gotowych kamforowych maści na stłuczenia mam duży zapas, są to, jak się domyślasz, leki bardzo na Bodaku chodliwe, lepiej idzie chyba tylko wywar leczący kaca. Zaprosiłem cię tu, bo chciałem pogadać.

Reynevan rozejrzał się. Podobało mu się alchemiczne instrumentarium Huona, cieszące oko czystością i porządkiem. Podobały mu się alembik i atanor, podobały równiutko ustawione i opatrzone porządnymi etykietami flakony filtrów i eliksirów. Ale najbardziej zachwycał go księgozbiór.

Na pulpicie, otwarty, widać czytany, spoczywał – Reynevan z miejsca poznał, miał w Oleśnicy taki sam egzemplarz – *Necronomicon* Abdula Alhazreda. Obok, na stole, piętrzyły się inne znane mu grymuary czarnoksięskie – *Grand Grimoire*, *Statuty papieża Honoriusza*, *Clavicula Salomonis*, *Liber Yog-Sothothis*, *Lemegeton*, a także *Picatrix*, znajomością którego chwalił się nie tak dawno Szarlej. Były i inne znane mu traktaty medyczne i filozoficzne: *Ars parva* Galena, *Canon medicinae* Avicenny, *Liber medicinalis ad Almansorum* Razesa, *Ekrabaddin* Sabura ben Sahla, *Anathomia* Mondina da Luzzi, *Zohar* kabalistów, *De principiis* Orygenesa, *Wyznania* świętego Augustyna, *Summa...* Tomasza z Akwinu.

Były tam, ma się rozumieć, i *opera magna* wiedzy alchemicznej: *Liber lucis Mercuriorum* Rajmunda Lulla, *The mirrour of alchimie* Rogera Bacona, *Heptameron* Piotra di Abano, *Le livre des figures hiéroglyphiques* Nicolasa Flamela, *Azoth* Basiliusa Valentinusa, *Liber de*

secretis naturae Arnolda de Villanovy. Były i prawdziwe białe kruki: *Grimorium verum*, *De vermis mysteriis*, *Theosophia pneumatica*, *Liber Lunae* – a nawet osławiony *Czerwony Smok*.

– Zaszczycony jestem – upił nieco kirsztranku – tym, że rozmowy ze mną zapragnął sławny Huon von Sagar. Którego wszędzie bym się spodziewał, ale nie...

– Ale nie na raubritterskim zamku – dokończył Huon. – Cóż, tak sprawiły fata. Na które zresztą wcale nie narzekam. Mam tu to, co lubię. Cisza tu, spokój, odludzie, Inkwizycja już pewnie o mnie zapomniała, zapomniał też pewnie wielebny Gunter von Schwarzburg, arcybiskup magdeburski, niegdyś strasznie na mnie zawzięty, twardo zdecydowany odwdzięczyć mi się stosem za ocalenie kraju od szarańczy. Mam tu, jak widzisz, pracownię, trochę eksperymentuję, trochę piszę... Czasem, dla świeżego powietrza i rekreacji, wyjadę z Bukiem na rozbójniczy przemysł. W sumie...

Czarodziej westchnął ciężko.

– W sumie żyć można. Tylko...

Reynevan grzecznie pohamował ciekawość, ale Huon von Sagar najwyraźniej był w nastroju do zwierzeń.

– Formoza – skrzywił usta – jaka jest, sam widziałeś: *exsiccatum est faenum, cecidit flos*. Roków pięćdziesiąt i pięć stuknęło babie, a ta, miast słabować, kwękać i na księżą oborę patrzeć, cięgiem woła, kobyła stara, by ją chędożyć, w kółko, rano, wieczór, we dnie, w nocy, na coraz to wymyślniejsze sposoby. Żołądek sobie, psia mać, i nerki niszczę afrodyzjakami. Ale mus mi starce wygadzać. Nie wykażę się w łożnicy, stracę łaski, a wówczas Buko mnie stąd wysiuda.

Reynevan nie skomentował i tym razem. Czarodziej przypatrywał mu się bystro.

– Buko Krossig – podjął – ma, póki co, przede mną mores, ale byłoby nierozsądnym nie doceniać go. To cap, owszem, ale w swych złych skłonnościach tak nieraz przedsiębiorczy i pomysłowy, że aż skóra cierpnie. Teraz, w aferze z Bibersteinówną, również czymś zabłyśnie, jestem o tym przekonany. Dlatego postanowiłem ci pomóc.

– Wy, mnie? Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego. Bo nie w smak mi, by Jan Biberstein rozpoczął tu oblężenie, a Inkwizycja odgrzebała moje nazwisko w archiwach. Bo o twoim bracie, Piotrze z Bielawy, słyszałem same dobre opinie. Bo nie

podobały mi się nietoperze, które ktoś poszczuł na ciebie i na twych kompanów w Cysterskim Borze. *Tandem* dlatego, że Toledo *alma mater nostra est*, nie chcę, byś źle skończył, konfratrze mój w arkanach. A źle skończyć możesz. Z Bibersteinówną coś cię łączy, nie ukryjesz tego, nie wiem, afekt dawny czy od pierwszego wejrzenia, ale wiem, że *amantes amentes*. W drodze o włos byłeś od tego, by ją porwać na siodło i pójść w galop, zginęlibyście wówczas obydwoje w Czarnym Lesie. Teraz też, gdy sprawy się skomplikują, gotowyś chwycić ją wpół i skoczyć z murów. Bardzo się pomyliłem?

– Nie bardzo.

– Mówiłem – czarodziej uśmiechnął się kącikiem ust. – *Amantes amentes*. Tak, tak, życie to prawdziwy Narrenturm. Czy wiesz, nawiasem, co dzisiaj za dzień? A raczej: co za noc?

– Nie bardzo. Troszkę pomieszały mi się daty...

– O daty mniejsza, kalendarze mylą. Ważniejsze, że dziś wypada równonoc jesienna. *Aequinoctium autumnalis*.

Wstał, wyciągnął spod stołu rzeźbioną dębową ławkę długości mniej więcej dwóch łokci, nieco ponad łokieć wysoką. Ustawił ją obok drzwi. Z komody wydobył gliniany, zawiązany cielęcą skórą, opatrzony etykietą garnek.

– W tym naczyniu – wskazał – przechowuję dość specjalną maść. Sporządzoną według klasycznych receptur miszkulancję. *Recipe*, jak widzisz, zapisałem na karteluszu. *Solanum dulcamara*, *solanum niger*, akonitum, pięciornik, liście topoli, krew nietoperza, cykuta, mak czerwony, portulaka, dziki seler... Jedyne, co zmieniłem, to tłuszcz. Zalecane przez *Grimorium Verum* sadło wytopione z nie ochrzczonego dziecięcia zastąpiłem olejem słonecznikowym. Tańszy i trwalszy.

– Czy to jest... – Reynevan przełknął ślinę. – Czy to jest to, co myślę?

– Drzwi pracowni – czarodziej jakby nie dosłyszał pytania – nie zamykam nigdy, w oknie, jak widzisz, nie ma krat. Maść stawiam tu, na stole. Jak się aplikuje, zapewne wiesz. Radzę aplikować oszczędnie, powoduje skutki uboczne.

– A czy to w ogóle jest... bezpieczne?

– Nic nie jest bezpieczne. – Huon von Sagar wzruszył ramionami. – Nic. Wszystko jest teorią. A jak mawia jeden z moich znajomych: *Grau, teurer Freund, ist alle Theorie.*

– Ale ja...

Reinmarze – przerwał zimno magik. – Miejże wzgląd. Powiedziałem i pokazałem ci dość, by być podejrzewanym o wspólnictwo. Nie żądaj więcej. No, czas na nas. Weźmiemy kamforowe *unguentum*, by wysmarować bolączki naszych poobijanych rozbójników. Weźmiemy też wyciąg z *papaver somniferum*... Ból uśmierza i usypia... Sen zaś leczy i koi, a nadto, jak mawiają: *qui dormit non peccat*, kto śpi, nie grzeszy. I nie przeszkadza... Pomóż mi, Reinmarze.

Reynevan wstał, nieostrożnie potrącił przy tym stosik ksiąg, chwycił je szybko, ocalając przed upadkiem. Poprawił księgę leżącą na wierzchu, którą przydługa tytułowa inskrypcja identyfikowała jako *Bernardi Silvestri libri duo; quibus tituli Megacosmos et Microcosmos...*, dalej czytać się Reynevanowi nie chciało, jego wzrok przykuł drugi inkunabuł, ten leżący pod spodem, wyrazy, z których składał się tytuł. Nagle zdał sobie sprawę, że już widział te wyrazy. A raczej ich fragmenty.

Dość gwałtownie odsunął na bok Bernarda Silvestra. I westchnął.

DOCTOR EVANGELICUS
SUPER OMNES EVANGELISTAS
JOANNES WICLEPH ANGLICUS
DE BLASPHEMIA DE APOSTASIA
DE SYMONIA
DE POTESTATE PAPAE
DE COMPOSITIONE HOMINIS

Anglicus, nie *basilicus*, pomyślał. *Symonia*, nie *sanctimonia*. *Papae*, nie *papillae*. Nadpalona karta z Powojowic. Rękopis, który Peterlin kazał spalić. To był Jan Wiklef.

– Wiklef – bezwiednie głośno powtórzył myśl. – Wiklef, który skłamie i prawdę powie. Spalony, z grobu wyrzucony...

– Słucham? – Huon von Sagar odwrócił się z dwoma słojami w rękach. – Kogóż to wyrzucili z grobu?

– Nie wyrzucili – Reynevan myślami wciąż był gdzie indziej. – Dopiero wyrzucą. Tak mówiła wieszczba. John Wycliffe, *doctor evangelicus*. Kłamca, bo kacerz, ale w goliardzkiej pieśni ten, który prawdę powie. Pochowany w Lutterworth, w Anglii. Jego resztki będą wykopane i spalone, popioły wrzucone do rzeki Avon popłyną do mórz. Stanie się to za trzy lata.

– Interesujące – rzekł poważnie Huon. – A inne proroctwa? Losy Europy? Świata? Chrześcijaństwa?

– Przykro mi. Tylko Wiklef.

– Kiepściuchno. Ale lepszy rydz niż nic. Wypieprzą, powiadasz, Wiklefa z mogiły? Za trzy lata? Zobaczymy, czy da się tę wiedzę jakoś wykorzystać... A ty, jeśli my już przy tym, czemu się tak Wiklefem... Ach... Przepraszam. Nie powinienem. W dzisiejszych czasach nie zadaje się takich pytań. Wiklef, Waldhausen, Hus, Hieronim, Joachim... Niebezpieczne to lektury, niebezpieczne poglądy, niejeden już przez to życie stracił...

Niejeden, pomyślał Reynevan. Faktycznie, niejeden. Ech, Peterlin, Peterlin.

– Weź naczynie. I chodźmy.

●

Towarzystwo za stołem podochociło sobie już tymczasem nieźle, na jedynych trzeźwych wyglądali Buko von Krossig i Szarlej. Kontynuowano obżarstwo, z kuchni przyniesiono bowiem danie drugie – kiełbasę z dzika w piwie, serwolatkę, kiszkę westfalską i dużo chleba.

Huon von Sagar namaścił siniaki i stłuczenia, Reynevan zmienił opatrunek Woldanowi z Osin. Odwinięta z bandaża spuchnięta gęba Woldana wzbudziła ogólną i hałaśliwą wesołość. Sam Woldan bardziej niż raną przejmował się hełmem z hundsguglem, którego zapomniano w lesie, a który kosztował jakoby całe cztery grzywny. Na uwagi, że hełm był zniszczony, replikował, że dałby się wyklepać.

Woldan był też jedynym, który wypił makowy eliksir. Buko, skosztowawszy, wylał dekokt na pokrytą słomą posadzkę i zbeształ Huona za „gorzkie gówno", reszta poszła za jego przykładem. Plan zmorzenia raubritterów snem spełzł tedy na niczym.

Węgrzyna i dwójniaka nie pożałowała sobie też Formoza von Krossig, znać to było tak z pokraśniałych policzków, jak i z nieskładnej już krzynę wymowy. Gdy Reynevan i Huon wrócili, Formoza przestała słać uwodzicielskie spojrzenia w stronę Weyracha i Szarleja, zajęła się natomiast Nikolettą, która, zjadłszy nieco, siedziała z opuszczoną głową.

– Całkiem coś ona – orzekła, taksując dziewczynę wzrokiem – nie jak Bibersteinówna. Niepodobna. Kibić cienka, zadek mały, a odkąd się Bibersteinowie z Pogorzelami skoligacili, córki u nich zwykle bardziej są

dupiaste. Po Pogorzelkach nosy też w spadku wzięły perkate, a ta tu ma nos prosty. Wysoka jest, prawda, jak bywają Sędkowicówny, a Sędkowice też z Bibersteinami spiknięci. Ale Sędkowicówny czarne oczy miewają, ona zaś ma bławe...

Nikoletta spuściła głowę, usta jej drżały. Reynevan zaciskał pięści i zęby.

– Do biesa – Buko rzucił na stół ogryzione żebro. – Co to, klacz, by ją tak oglądać?

– Cichaj! Oglądam, bo oglądam. A jeśli znajdę się czemu dziwić, to się dziwię. Choćby temu, że to nie młódeczka, latek ma już pod ośmnaście. Czemu tedy, ciekawość, jeszcze nie wydana? Felerna może?

– A mnie co do jej felerów? Żenić się z nią mam czy jak?

– Pomysł nie jest zły – Huon von Sagar podniósł wzrok znad kubka. – Ożeń się z nią, Buko. *Raptus puellae* to przestępstwo dużo drobniejsze niż porwanie dla okupu. Może ci pan na Stolzu wybaczy i daruje, gdy mu wraz z poślubioną do nóg padniecie. Będzie mu nijak zięcia kołem łamać.

– Synku? – Formoza uśmiechnęła się wiedźmio. – Co ty na to?

Buko spojrzał najpierw na nią, potem na czarodzieja, a oczy miał zimne i złe. Milczał długo, bawiąc się kielichem. Charakterystyczny kształt naczynia zdradzał pochodzenie, nie pozostawiały wątpliwości także wygrawerowane na obrzeżu sceny z życia świętego Wojciecha. Był to kielich mszalny, zrabowany zapewne podczas słynnej zielonoświątkowej napaści na kustosza kolegiaty głogowskiej.

– Ja na to – wycedził wreszcie raubritter – rzekłbych chętnie: nawzajem, panie von Sagar, sami się z nią żeńcie. Ale wy wszak nie możecie, boście ksiądz. Chyba, że zwolnił was z celibatu czart, któremu służycie.

– Ja się z nią mogę ożenić – oświadczył nagle zarumieniony od wina Paszko Rymbaba. – Udała mi się.

Tassilo i Wittram parsknęli, Woldan zarechotał. Notker Weyrach przyglądał się poważnie. Z pozoru.

– Pewnie – powiedział drwiąco. – Żeń się, Paszko. Dobra jest rzecz, z Bibersteinami parantela.

– O wa – beknął Paszko. – A ja to co, gorszy? Chudopachołek? Skartabel czy jak? Rymbaba *sum*! Pakosława syn, Pakosława wnuk. Gdy my we Wielkiej Polszcze i na Szląsku panami byli, Bibersteiny na

Łużycach jeszcze iście wśród bobrów w błocie siedzieli, korę z drzew obgryzali i po ludzku ni be, ni me nie mówili. Tfu, żenię się z nią i tyle, raz kozie śmierć. Trza tylko pchnąć kogo konno do rodzica mego. Nie lza bez oćcowego błogosławieństwa...

– Będzie – drwił dalej Weyrach – nawet komu was pożenić. Słyszym, pan von Sagar duchownym jest. Może ślub dać choć zaraz. Prawda?

Czarodziej nawet nie spojrzał na niego, zainteresowany z pozoru wyłącznie westfalską kiszką.

– Wypadałoby – powiedział wreszcie – zapytać wpierw główną zainteresowaną. *Matrimonium inter invitos non contrahitur*, małżeństwo wymaga zgody obojga nupturientów.

– Zainteresowana – parsknął Weyrach – milczy, a *qui tacet, consentit*, kto milczy, ten się zgadza. A innych głównych możem spytać, czemu nie. Hola, Tassilo? Nie masz chęci do żeniaczki? A może ty, Kuno? Woldan? A ty, mości Szarleju, cóżeś taki cichy? Jak wszyscy, to wszyscy! Kto jeszcze ma wolę zostać, przepraszam za wyrażenie, nupturientem?

– A może wy sami? – przechyliła głowę Formoza von Krossig. – Co? Panie Notkerze? Toż wam, jak miarkuję, najwyższa pora. Nie chcecie jej za żonę? Nie udała wam się?

– Udała, a jakże – uśmiechnął się obleśnie raubritter. – Ale małżeństwo to grób miłości. Dlatego optuję za tym, by ją zwyczajnie i gromadnie wyjebać.

– Czas, widzę – Formoza wstała – niewiastom od stołu odejść, by mężom w męskich żartach i krotofilach nie wadzić. Chodź, dziewko, nic tu i po tobie.

Nikoletta wstała posłusznie, poszła jak na ścięcie, garbiąc się, nisko pochyliwszy głowę, usta jej się trzęsły, oczy szkliły od łez.

To wszystko był pozór, pomyślał Reynevan, zaciskając pięści pod stołem. Cała jej śmiałość, cały wigor, cała rezolucja to był pozór jeno, udawanie. Jakżeż słaba, krucha i marna to jednak płeć, jakżeż zdana na nas, mężczyzn. Jakżeż od nas zależna.

Żeby nie powiedzieć – uzależniona.

– Huonie – rzuciła Formoza od drzwi. – Nie każ długo na siebie czekać.

– A ja i zaraz idę – czarodziej wstał. – Zmęczonym, zbyt wycieńczyła mnie idiotyczna gonitwa po lasach, bym mógł dłużej przysłuchiwać się idiotycznym rozmowom. Spokojnej nocy życzę towarzystwu.

Buko von Krossig splunął pod stół.

●

Odejście czarnoksiężnika i niewiast stało się sygnałem do jeszcze huczniejszej zabawy i ostrzejszej wypitki. *Comitiva* gromko zażądała więcej wina, dziewki, które trunki przyniosły, zebrały przepisową dolę klepnięć, macnięć, szczypnięć i kukśnięć, pobiegły do kuchni czerwone i pochlipujące.

– Po kiełbasie napijwa się!

– Oby nam się!

– Zdrowia!

– Niechaj służy!

Paszko Rymbaba i Kuno Wittram, objąwszy się wzajem za ramiona, zaczęli śpiew. Weyrach i Tassilo de Tresckow przyłączyli się do chóru.

Meum est propositum in taberna mori
ut sint vina proxima morientis ori;
Tunc cantabunt letius angelorum chori:
Sit Deus propitius huic potatori!

Buko von Krossig upijał się brzydko. Z każdym kielichem stawał się – paradoksalnie – coraz bardziej trzeźwy, z toastu na toast robił się coraz bardziej ponury, mroczny i – znowu paradoksalnie – bledszy. Siedział zasępiony, ściskając w dłoni swój mszalny kielich, nie spuszczając z Szarleja przymrużonych oczu.

Kuno Wittram walił o stół kubkiem, Notker Weyrach rękojeścią mizerykordii. Woldan z Osin kołysał zabandażowaną głową, bełkotał. Rymbaba i de Tresckow ryczeli.

Bibit hera, bibit herus,
bibit miles, bibit clerus,
bibit ille, bibit illa,
bibit servus cum ancilla,
bibit velox, bibit piger,
bibit albus, bibit niger...

– Hoc! Hoc!

– Buko, bracie! – Paszko zatoczył się, objął Buka za szyję, mocząc wąsami. – Przepijam do cię! Weselmy się! Toć to moje, kurde, z

Bibersteinówną zrękowiny. Udała mi się! To i niebawem, jak mi honor luby, zaproszę do siebie na wesele, a skoro i na chrzciny, dopieróż zahulamy!

Ej, wiwat, wiwat, ten miły kołek
Który się zmieścić zdoła w podołek...

– Bądź czujny – syknął do Reynevana Szarlej, bezbłędnie wykorzystując sposobność. – Zdaje się, że przyjdzie nam głowy unosić.

– Wiem – odszepnął Reynevan. – W razie czego bierz z Samsonem nogi za pas. Na mnie się nie oglądaj... Ja muszę po dziewczynę. Do wieży...

Buko odepchnął Rymbabę, ale Paszko nie rezygnował.

– Nie turbuj się, Buko! Cóż, prawa była pani Formoza, dałeś rzyci, Bibersteina córę porywając. Aliści jam cię z kłopotów wybawił. Ninie moja to narzeczona, wkrótce małżona, rzecz załatwiona! Ha, ha, alem zrymował, kurde, jak jaki poeta. Buko! Pijmy! Weselmy się, hoc, hoc! Ej wiwat, wiwat, ten miły kołek...

Buko odepchnął go.

– Znam cię – powiedział do Szarleja. – Już w Kromolinie tak myślałem, teraz już pewien jestem i miejsca, i czasu. Choć franciszkański wonczas habit na grzbiecie miałeś, poznaję twą gębę, wspomniałem, gdziem cię widział. Na wrocławskim rynku, w roku osiemnastym, w tamten pamiętny lipcowy poniedziałek.

Szarlej nie odpowiedział, śmiało patrząc wprost w zmrużone oczy raubrittera. Buko obrócił w dłoniach swój kielich mszalny.

– A ty – zwrócił złe oczy ku Reynevanowi – Hagenau, czy jak tam cię prawdziwie zwać, diabli wiedzą, ktoś jest, może też mnich i księży bękart, może cię pan Jan Biberstein również za bunty i sedycje do turmy na Stolzu wsadził. W drodze miałem cię w podejrzeniu. Baczyłem, jak na dziewkę spoglądasz, dumałem, okazji wypatrujesz, by się na Bibersteinie zemścić, jego córę pod żebro żgnąć. No, ale twoja zemsta, a moje pięćset grzywien, miałem cię na oku, nim byś, bratku, kozika dobył, głowy byś na karku nie znalazł.

– Teraz zaś – cedził słowa raubritter – patrzę na twą gębę i dumam, a może się myliłem? Może tyś wcale na nią nie dybał, może to afekt? Może ty ją ratować chcesz, spod ręki mi porwać? Tak sobie dumam i złość we

mnie roście, za jakiegoż ty durnia masz Buka von Krossig. I aż mnie trzęsie, by ci grdykę przerżnąć. Ale się hamuję. Chwilowo.

– Może by tak – w głosie Szarleja był absolutny spokój. – Może by tak skończyć na dziś? Dzień obfitował w męczące atrakcje, wszyscy to w kościach czują, ot, proszę spojrzeć, tam pan Woldan usnął już z licem w sosie. Proponuję dalsze dyskusje odłożyć *ad cras*.

– Niczego – warknął Buko – nie będzie się odkładać *ad cras*. Koniec uczty ja ogłoszę, gdy czas przyjdzie. Ninie pij, mniszy synu, bękarcie, kiedyć nalewają. I ty pij, Hagenau. Wiecie to, azali nie ostatnia to wasza wypitka? Na Węgry droga długa i hazardowna. Kto wie, czy dojedziecie? Wszak mówią: nie wiadomo człeku ranie, co mu się wieczorem stanie.

– Zwłaszcza – dodał zjadliwie Notker Weyrach – że pan Biberstein pewnie rozesłał konnych po drogach. O córkę porwaną strasznie musi być na porywaczy cięty.

– Nie uważaliście – beknął Paszko Rymbaba – com rzekł? Furda Biberstein. Przecie ja się z jego córką żenię. Przecie...

– Milcz – przerwał mu Weyrach. – Pijanyś. Znaleźliśmy z Bukiem lepsze kwestii rozwiązanie, lepszy i prostszy na Bibersteina sposób. Tedy się nam tu z twoim żenidłem nie pchaj. Niepotrzebne zgoła.

– Ale ona udała mi się... Zrękowiny... I pokładziny... Ej, wiwat, wiwat, ten miły...

– Zawrzyj gębę.

Szarlej oderwał wzrok od oczu Buka, spojrzał na de Tresckowa.

– Czy pan, panie Tassilo – spytał spokojnie – pochwala plan kompanów? Również ma go za przedni?

– Tak – odrzekł po chwili milczenia de Tresckow. – Jakkolwiek mi przykro, za taki go mam. Ale takie jest życie. Wasz pech, że tak udatnie pasujecie do łamigłówki.

– Udatnie, udatnie – wpadł w słowo Buko von Krossig. – Jeszcze jak udatnie. Z tych, co udział w napadzie wzięli, owych najsnadniej rozpoznają, co byli bez przyłbic. Pana Szarleja. Pana Hagenaua, co tak chwacko porwaną kolebką powoził. A wasz pachoł wyrwidąb też nie z tych, co to się zapomnieć dają. Rozpoznają tę gębę, ha, nawet u trupa. Wszystkich, nawiasem, będą rozpoznawać jako trupy. Wyda się, kto na orszak napadł. Kto Bibersteinównę uprowadził...

– I kto ją zamordował? – dokończył spokojnie Szarlej.

– I zgwałcił – uśmiechnął się obleśnie Weyrach. – Nie zapominajmy o zgwałceniu.

Reynevan zerwał się z ławy, ale natychmiast siadł, przyduszony ciężkim ramieniem de Tresckowa. W tym samym momencie Kuno Wittram schwycił Szarleja za barki, a Buko przyłożył demerytowi mizerykordię do gardła.

– Godzi się to tak? – bąknął Rymbaba. – Oni nam wonczas na ratunek...

– Tak trza – uciął Weyrach. – Weź miecz.

Po szyi demeryta pociekła spod ostrza sztyletu strużka krwi. Mimo tego głos Szarleja był spokojny.

– Nie powiedzie się wasz plan. Nikt wam nie uwierzy.

– Uwierzą, uwierzą – zapewnił Weyrach. – Zadziwiłbyś się, w co ludzie wierzą.

– Biberstein nie da się wyprowadzić w pole. Położycie głowy.

– A co ty mnie straszysz, mniszy synu? – Buko pochylił się nad Szarlejem. – Kiedy tobie samemu świtu nie dożyć? Biberstein, mówisz, nie uwierzy? Może. Położę głowę? Wola boska. Ale wam i tak gardła poderżnę. Choćby dla *gaudium*, jak mawia skurwysyn Sagar. Ciebie, Hagenau, właśnie już choćby po to zakatrupię, by Sagara pognębić, boś mu konfrater, też czarownik. A względem ciebie, Szarlej, niech się to zwie sprawiedliwością. Dziejową. Za Wrocław, za rok osiemnasty. Dali inni hersztowie buntu głowy katu na wrocławskim rynku, ty dasz głowę na Bodaku. Bękarcie.

– Drugi raz nazwałeś mnie bękartem, Buko.

– Nazwę i trzeci. Bękart! I co mi zrobisz?

Szarlej nie zdążył odpowiedzieć. Z hukiem otwarły się drzwi i wszedł Hubercik. Dokładniej, wszedł Samson Miodek. Otworzywszy sobie drzwi Hubercikiem.

Wśród zupełnej ciszy, w której słychać było pohukiwanie latającego wokół wieży puszczyka, Samson dźwignął wyżej niesionego za kołnierz i spodnie giermka. I rzucił go pod nogi Buka. Hubercik jęknął rozdzierająco w kontakcie z podłogą.

– Ten osobnik – przemówił wśród ciszy Samson – usiłował udusić mnie w stajni lejcami. Twierdzi, że na pański rozkaz, panie von Krossig. Czy zechce pan mi to wyjaśnić?

Buko nie zechciał.

– Zabić go! – wrzasnął. – Zabić skurwego syna! Bij!

Szarlej wężowym ruchem wyzwolił się z chwytu Wittrama, łokciem uderzył w gardło de Tresckowa. Tassilo zacharczał i puścił Reynevana, Reynevan zaś z lekarską precyzją grzmotnął Rymbabę pięścią w stłuczony bok, prosto w bolączkę. Paszko zawył i zgiął się wpół. Szarlej doskoczył do Buka, mocno kopnął go w goleń. Buko upadł na kolana. Dalszego ciągu Reynevan nie widział, albowiem Tassilo de Tresckow potężnie zdzielił go w kark, rzucił na stół. Domyślił się jednak, słysząc odgłos uderzenia, chrup łamanego nosa i wściekły ryk.

– Nigdy więcej – usłyszał wyraźny głos demeryta – nie nazywaj mnie bękartem, Krossig.

Tresckow zwarł się z Szarlejem, Reynevan chciał skoczyć mu w sukurs, ale nie zdołał – skrzywiony z bólu Rymbaba ułapił go od tyłu, przygiął. Weyrach i Kuno Wittram rzucili się na Samsona, olbrzym chwycił ławę, pchnął nią Weyracha w pierś, pchnął Kunona, obalił obu, przywalił ławą. Widząc, że Reynevan szarpie się i wierzga w niedźwiedzim uścisku Rymbaby, podskoczył, otwartą dłonią strzelił Rymbabę w ucho. Paszko przedreptał bokiem przez całą szerokość halli i wyrżnął czołem w komin. Reynevan porwał ze stołu cynową stągiew, walnął nią z brzękiem usiłującego wstać Notkera Weyracha.

– Dziewczyna, Reynevan! – krzyknął Szarlej. – Biegnij!

Buko von Krossig zerwał się z podłogi, rycząc i obficie brocząc krwią ze zgruchotanego nosa. Zdarł ze ściany rohatynę, zamachnął się i cisnął nią w Szarleja, demeryt uchylił się zwinnie, dzida otarła się o jego ramię. I ugodziła Woldana z Osin, który właśnie się zbudził i zupełnie zdezorientowany podniósł zza stołu. Woldan poleciał do tyłu, rąbnął plecami o flamandzki gobelin, osunął się po nim, siadł, głowa opadła mu na sterczące z piersi drzewce.

Buko zaryczał jeszcze głośniej i skoczył na Szarleja z gołymi rękami, rozczapierzony jak krogulec. Szarlej zatrzymał go wyprostowaną ręką, drugą walnął w złamany nos. Buko zawył i padł na kolana.

Na Szarleja skoczył de Tresckow, na Tresckowa Kuno Wittram, na Wittrama Samson, na nich Weyrach, na nich zalany krwią Buko, na nich Hubercik. Wszyscy zakotłowali się na podłodze, tworząc coś na kształt Laokoona z najbliższą rodziną. Reynevan już tego nie widział. Gnał ile sił po stromych schodach wieży.

●

Napotkał ją przed niskimi drzwiami, w miejscu oświetlonym zatkniętą w żelazną obejmę pochodnią. Wcale nie wyglądała na zaskoczoną. Było zupełnie tak, jak gdyby czekała na niego.

– Nikoletto...

– Alkasynie.

– Przybywam...

Nie zdążył opowiedzieć, z czym przybywa. Silny cios cisnął nim o ziemię. Wsparł się na łokciach. Dostał raz jeszcze, upadł.

– To ja do ciebie z sercem – wysapał, stając nad nim w rozkroku, Paszko Rymbaba. – Ja do ciebie z sercem, a ty mnie sóję w bok? W bolący bok? Gadzie jeden!

– Hej, ty! Duży!

Paszko obejrzał się. I uśmiechnął szeroko i radośnie, widząc Katarzynę Biberstein, pannę, która mu się udała, z którą, jak mniemał, był już po zrękowinach i z którą już widział się w marzeniach sparzonym w małżeńskiej łożnicy. Ale, jak się okazało, marzył nieco na wyrost.

Niedoszła narzeczona krótko strzeliła go nasadą pięści w oko. Paszko złapał się za twarz. Dziewczyna uniosła dla większej swobody *cotehardie* i potężnie kopnęła go w krocze. Niedoszły narzeczony skurczył się, ze świstem wciągnął powietrze, a potem zawył wilczo i padł na klęczki, oburącz ściskając swe męskie skarby. Nikoletta jeszcze wyżej podniosła suknię, demonstrując zgrabne uda, z podskoku kopnęła go w bok głowy, okręciła się, kopnęła w pierś. Paszko Pakosławic Rymbaba runął na kręte schody i stoczył się po nich, koziołkując.

Reynevan podniósł się na kolana. Stała nad nim, spokojna, nawet nie bardzo zdyszana, ledwo co falująca biustem, tylko oczy, płonące jak u pantery, zdradzały podniecenie. Udawała, pomyślał, tylko udawała lękliwą i zastraszoną. Omamiła wszystkich, mnie też.

– Co teraz, Alkasynie?

– Na górę. Prędko, Nikoletto.

Pobiegła, skacząc po stopniach jak kozica, ledwo mógł za nią nadążyć. Trzeba będzie, pomyślał, sapiąc, poglądy odnośnie słabości płci poddać gruntownej weryfikacji.

●

Paszko Rymbaba sturlał się aż na sam dół schodów, z impetem wykocił do halli, na środek, niemal pod stół. Leżał przez chwilę, łapiąc powietrze ustami jak karp wyciągnięty niewodem, potem stęknął, jęknął, zakołysał głową, trzymając się za genitalia. Potem usiadł.

W halli nie było nikogo, nie licząc trupa Woldana z wbitą w pierś rohatyną. I skrzywionego z bólu Hubercika, tulącego do brzucha rękę, ewidentnie złamaną. Giermek napotkał wzrok Rymbaby, wskazał głową drzwi wiodące ku wyjściu na podwórzec. Zbytecznie, Paszko już wcześniej usłyszał dobiegające stamtąd hałasy, krzyki, miarowe łomotanie.

Do halli zajrzeli przerażona dziewka i pachołek, iście, jak w przyśpiewce: *servus cum ancilla*. Uciekli, gdy tylko na nich spojrzał. Paszko wstał, zaklął obrzydliwie, zerwał ze ściany wielki berdysz z toporzyskiem poczerniałym i usianym dziurkami po kornikach. Przez chwilę bił się z myślami. Choć aż wrzał ze złej ochoty, by zemstę wywrzeć na wrednej Bibersteinównie, rozsądek podpowiadał, że należy pomóc *comitivie*.

Bibersteinówna, pomyślał, przed zemstą nie ucieknie, z wieży wyjścia nie ma. Na razie, pomyślał, czując, jak puchną mu jaja, ukarzę ją więc tylko wyniosłą wzgardą. Najpierw zapłacą mu tamci.

– Czekajcie, mać waszą! – wrzasnął, kusztykając w stronę wyjścia na podwórzec i odgłosów walki. – Już ja was!

●

Drzwi wieży dygotały od wstrząsających nimi uderzeń. Szarlej zaklął.

– Pospiesz się! – krzyknął. – Samsonie!

Samson Miodek wywlókł ze stajni dwa osiodłane wierzchowce. Na pachołka, który zeskoczył ze stropu, ryknął groźnie. Pachołek pierzchnął, migając piętami.

– Te drzwi długo nie wytrzymają – Szarlej zbiegł po kamiennych schodach, przejął od niego wodze. – Brama, prędko!

Samson też widział, jak w drzwiach, którymi udało im się odgrodzić od Buka i jego kamratów, pękła i najeżyła się drzazgami kolejna deska. Dźwięczało żelazo o mur i metal, było jasne, że rozwścieczeni raubritterzy usiłowali wyrąbać zawiasy. Faktycznie, nie było czasu do stracenia. Samson rozejrzał się. Bramę zamykała belka, zabezpieczona dodatkowo masywną kłódką. Olbrzym w trzech skokach znalazł się przy

stosie opału, wyrwał z pniaka wielki topór ciesielski, w następnych trzech susach był przy bramie. Stęknął, wzniósł siekierę i z potężną siłą spuścił obuch na kłódkę.

– Mocniej! – wrzasnął Szarlej, zerkając na rozlatujące się już drzwi. – Wal mocniej!

Samson walnął mocniej. Tak, że aż zadrżała cała brama i czatownia nad nią. Kłódka, produkt chyba norymberski, nie puściła, ale podtrzymujące belkę haki do połowy wylazły z muru.

– Jeszcze raz! Wal!

Pod następnym uderzeniem norymberska kłódka pękła, haki wysunęły się, belka spadła z łoskotem.

●

– Pod pachami – nabrawszy na palce maści z glinianego garnuszka, Reynevan ściągnął koszulę z ramion, zademonstrował, jak aplikować. – Nasmaruj się pod pachami. I na karku, o, tak. Więcej, więcej... Wetrzyj mocno... Prędko, Nikoletto. Nie mamy dużo czasu.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na niego, w jej wzroku niedowierzanie walczyło z podziwem. Nie rzekła jednak ani słowa, sięgnęła po maść. Reynevan wyciągnął na środek izby dębową ławkę. Na oścież otworzył okno, do czarnoksięskiej pracowni wdarł się zimny wiatr. Nikoletta wzdrygnęła się.

– Nie podchodź do okna – powstrzymał ją. – Lepiej... nie patrzeć w dół.

– Alkasynie – spojrzała na niego. – Rozumiem, że walczymy o życie. Ale czy ty na pewno wiesz, co robisz?

– Siadaj okrakiem na ławę, proszę. Czas naprawdę nagli. Usiądź za mną.

– Wolę przed tobą. Obejmij mnie w pasie, obejmij mocno. Mocniej...

Była gorąca. Pachniała tatarakiem i miętą, zapachu nie zabiła nawet specyficzna woń Huonowej miszkulancji.

– Gotowa?

– Gotowa. Nie puścisz mnie? Nie pozwolisz, bym spadła?

– Prędzej zginę.

– Nie giń – westchnęła, odwracając głowę, przez co ich usta musnęły się przelotnie. – Nie giń, proszę. Żyj. Mów zaklęcie.

Weh, weh, Windchen
Zum Fenster hinaus
In omnem ventum!
Fik z okna
Niczego się nie dotkna!

Ława podskoczyła i wspięła się pod nimi jak narowisty koń. Przy całej swej rezolucji Nikoletta nie zdołała powstrzymać okrzyku przestrachu, prawda, Reynevan nie zdołał również. Ława uniosła się na sążeń w górę, zawirowała jak wściekły bąk, pracownia Huona rozmazała im się w oczach. Nikoletta zacisnęła palce na oplatających ją rękach Reynevana, zapiszczała, ale przysiągłby, że bardziej z ochoty, niż strachu.

Ława zaś runęła wprost w okno, w zimną i ciemną noc. I natychmiast spikowała stromo w dół.

– Trzymaj się! – zawył Reynevan. Pęd powietrza wtłaczał mu słowa z powrotem do krtani. – Trzyyymaaaaaj!

– Ty się trzymaj! O Jeeeee-zuuuuuu!

– Aaaaaaa-aaaaaaaa!

●

Norymberska kłódka puściła, belka spadła z łoskotem. W tym samym momencie z trzaskiem wyleciały drzwi wiodące na wieżę, na kamienne schody wysypali się raubritterzy, wszyscy uzbrojeni i wszyscy rozjuszeni, tak zaślepieni żądzą krwi, że sadzący jako pierwszy Buko von Krossig potknął się na stromych stopniach i spadł prosto w kupę gnoju. Pozostali rzucili się na Samsona i Szarleja. Samson zaryczał jak bawół, odpędzając napastników dzikimi machnięciami siekiery, Szarlej, też rycząc, czynił wokół siebie rum znalezioną przy furcie halabardą. Ale przewaga – także wprawy bojowej – była przy raubritterach. Ustępując przed jadowitymi pchnięciami i zdradliwymi cięciami mieczy Samson i Szarlej cofali się.

Do chwili, gdy poczuli plecami twardy opór muru.

●

I wtedy nadleciał Reynevan.

●

Widząc rosnące w oczach płyty podwórca, Reynevan wrzasnął, wrzasnęła też Nikoletta. Wrzask, modulowany przez dławiący wicher w iście potępieńcze wycie, odniósł skutek dużo lepszy niż sama odsiecz. Oprócz Kunona Wittrama, który akuratnie spojrzał w górę, żaden z raubritterów w ogóle nie dostrzegł jeźdźców na latającej ławie. Ale wycie wywarło druzgocący wręcz skutek psychologiczny. Weyrach padł na czworaki, Rymbaba zaklął, wrzasnął i rozpłaszczył się, obok runął Tassilo de Tresckow, nieprzytomny, jedyna ofiara nalotu – pikująca na podwórzec ława zawadziła go, kropnęła w potylicę. Kuno Wittram przeżegnał się i wpełzł pod wózek z sianem. Buko von Krossig skurczył się, gdy rąbek *cotehardie* Nikoletty chlasnął go po uchu. Ława zaś wzbiła się ostro w górę, przy wtórze jeszcze głośniejszego wrzasku lotników. Notker Weyrach gapił się na odlatujących z otwartą gębą, miał szczęście, kątem oka dostrzegł Szarleja, w ostatniej chwili uniknął pchnięcia halabardy. Ucapił drzewce, zaczęli się szarpać.

Samson rzucił precz siekierę, złapał jednego z koni za wodze, chciał chwycić drugiego. Buko doskoczył i pchnął go tulichem. Samson uchylił się, ale nie dość szybko. Puginał rozpruł rękaw. I ramię. Buko nie zdołał pchnąć ponownie. Dostał w zęby i potoczył się pod bramę.

Samson Miodek pomacał ramię, przyjrzał się zakrwawionej dłoni.

– Teraz – powiedział wolno i głośno. – Teraz to się naprawdę wkurwiłem.

Podszedł do Szarleja i Weyracha wciąż wyszarpujących sobie drzewce halabardy. I walnął Weyracha pięścią z taką mocą, że stary raubritter wywinął imponującego kozła. Paszko Rymbaba wzniósł berdysz do cięcia, Samson odwrócił się, spojrzał na niego. Paszko szybko cofnął się o dwa kroki.

Szarlej łapał konie, Samson zaś ściągnął z przybramnego stojaka okrągły kuty puklerz.

– Na nich! – wrzasnął Buko, podnosząc upuszczony przez Wittrama miecz. – Weyrach! Kuno! Paszko! Na nich! O, Chryste...

Zobaczył, co robi Samson. Samson zaś ujął puklerz chwytem dyskobola i jak dyskobol obrócił się, zawirował. Puklerz wystrzelił z jego ręki jak z balisty, niewiele chybiając Weyracha ze świstem przeleciał przez całe podwórze, wyrżnął w kroksztyn muru, druzgocąc go w drzazgi. Weyrach przełknął ślinę. Samson zaś zdjął ze stojaka drugi puklerz.

– Chryste... – sapnął Buko, widząc, że olbrzym znowu zaczyna obracać się i wirować. – Kryj się!

– Na cycki świętej Agaty! – wrzasnął Kuno Wittram. – Ratuj się kto może!

Raubritterzy rzucili się do ucieczki, każdy w inną stronę, nie można było przewidzieć, w kogo Samson rzuci. Rymbaba zemknął do stajni, Weyrach zanurkował za sąg opału, Kuno Wittram wpełzł znowu pod wóz, odzyskujący właśnie przytomność Tassilo de Tresckow rozpłaszczył się znów na ziemi. Buko von Krossig w biegu zerwał z ćwiczebnego manekina podłużną staromodną tarczę, okrył nią plecy w ucieczce.

Samson zakończył wirowanie na jednej nodze, w klasycznej pozie, godnej dłuta Myrona lub Fidiasza. Miotnięty puklerz z gwizdem pomknął do celu, z donośnym hukiem walnął w tarczę na plecach Krossiga. Impet cisnął raubritterem na odległość co najmniej pięciu sążni, a byłoby dalej, gdyby nie mur. Przez chwilę zdawało się, że rozsmarowało Buka na ścianie, ale nie, po kilku sekundach osunął się po niej na ziemię.

Samson Miodek rozejrzał się. Nie było już w kogo rzucać.

– Do mnie! – krzyknął z bramy Szarlej, już w siodle. – Do mnie, Samsonie! Na koń!

Koń, choć rosły, przysiadł lekko pod ciężarem. Samson Miodek uspokoił go.

Poszli w cwał.

Rozdział dwudziesty piąty

w którym, jak u Béroula i Chrétiena de Troyes, jak u Wolframa von Eschenbach i Hartmanna von Aue, jak u Gotfryda ze Strasburga, Gwilelema de Cabestaing i Bertrana de Born – mowa jest o miłości i śmierci. Miłość jest piękna. Śmierć nie.

W istocie mogło być prawdą, czego jeden z praskich mentorów Reynevana usiłował dowodzić odnośnie lotów czarodziejskich, a to mianowicie, że są one poddane kontroli mentalnej wysmarowanej maścią lotną czarownicy lub czarownika. Przedmioty zaś, na których się leci, miotła, ożóg, łopata czy cokolwiek innego, to jedynie martwe przedmioty, nieożywiona materia poddana woli magika i całkowicie od tej woli zależna.

Coś w tym być faktycznie musiało, albowiem wioząca Reynevana i Nikolettę ławka, wzbiwszy się w nocne niebo na wysokość blanków wieży zamku Bodak, zataczała wokół kręgi dopóty, dopóki Reynevan nie zobaczył, jak zamek opuszcza dwóch jeźdźców, z czego jeden nieomylnie wielkiej postury. Ławka lekko poszybowała w ślad, jakby chcąc uspokoić go, że żaden z pędzących drogą na Kłodzko konnych nie jest poważnie ranny i że nie idzie za nimi pogoń. I jakby rzeczywiście wyczuwając jego ulgę, zatoczyła wokół Bodaku jeszcze jeden krąg, po czym wzleciała w górę, w przestworza, ponad zalane blaskiem księżycowym chmury.

Rację jednak, jak się okazało, miał też Huon von Sagar, gdy twierdził, że wszelka teoria jest szara, albowiem wywody praskiego doktora o kontroli mentalnej sprawdzały się w zakresie ograniczonym. I to mocno ograniczonym. Upewniwszy Reynevana, że Szarlej i Samson są bezpieczni, ławkolotnia zupełnie przestała być zależną od jego woli. W szczególności, absolutnie nie było wolą Reynevana fruwać tak wysoko, że księżyc zdawał się być na wyciągnięcie ręki, a zimno panowało takie, że zęby jego i Nikoletty jęły szczękać jak hiszpańskie kastaniety. Dalekie od woli Reynevana było też latanie po kręgu wzorem polującego myszołowa. Jego wolą było lecieć za Samsonem i Szarlejem – ale tę akurat wolę ławkolotnia ewidentnie miała gdzieś.

Wcale też nie miał Reynevan chęci na studiowanie geografii Śląska z lotu ptaka, nie wiadomo było tedy, jakim cudem i pod wpływem czyjej kontroli mentalnej mebel obniżył lot i poszybował w kierunku północno-wschodnim, nad stokiem Reichensteinu. Minąwszy po prawej masywy Jawornika i Borówkowej, ławka niebawem przefrunęła nad grodem otoczonym podwójnym i najeżonym basztami murem, grodem, którym mógł być wyłącznie Paczków. Potem poniosła ich nad doliną rzeki, którą mogła być wyłącznie Nysa. Wkrótce przesunęły się pod nimi dachy wież biskupiego Otmuchowa. Tu ławka zmieniła jednak kierunek, zatoczyła wielki łuk, wróciła nad Nysę i tym razem poleciała w górę rzeki, szlakiem wijącej się, srebrnej w księżycowym blasku wstęgi. Serce Reynevana przez moment biło rytmem przyspieszonym, wyglądało bowiem tak, jakby ławka chciała wracać na Bodak. Ale nie, zawróciła nagle i poleciała na północ, szybując nad niziną. Niebawem mignął pod nimi klasztorny kompleks Kamieńca, a Reynevan znów się zaniepokoił. W końcu Nikoletta też wysmarowała się lotną miszkulancją i też mogła wpływać na ławkolotnię siłą woli. Mogli – kierunek zdawał się na to wskazywać – lecieć wprost do Stolza, siedziby Bibersteinów. Reynevan wątpił, by dobrze go tam przyjęto.

Ławka jednak skierowała się nieco ku zachodowi, przeleciała nad jakimś miastem, Reynevan tracił jednak pomału orientację, przestawał rozpoznawać krajobraz przewijający się pod łzawiącymi od wiatru oczami.

Pułap, na którym lecieli, nie był już zbyt wysoki, toteż lotnicy nie trzęśli się już i nie szczękali zębami. Ławka leciała płynnie i stabilnie, bez powietrznych akrobacji, paznokcie Nikoletty przestały wbijać się w dłonie Reynevana, dziewczyna, poczuł to wyraźnie, odprężyła się nieco. On sam, co tu dużo gadać, też oddychał swobodniej, nie dusił już ani pęd powietrza, ani adrenalina.

Lecieli pod podświetlonymi księżycem obłokami. W dole przesuwała się szachownica lasów i pól.

– Alkasynie... – przemogła wiatr. – Czy wiesz... dokąd...

Przycisnął ją silniej do piersi, wiedząc, że tak trzeba, że tego oczekuje.

– Nie, Nikoletto. Nie wiem.

Nie wiedział. Ale podejrzewał. I dobrze podejrzewał. I nawet nie był specjalnie zaskoczony, gdy cichy krzyk dziewczyny uświadomił mu, że mają towarzystwo.

Wiedźma po lewej, kobieta w kwiecie wieku i czepku mężatki, leciała klasycznie, na miotle, pęd powietrza rozwiewał poły jej baraniego kożuszka. Podlatując nieco bliżej, pozdrowiła ich uniesieniem ręki. Po chwili wahania odwzajemnili pozdrowienie, a ona wyprzedziła ich.

Dwie lecące po prawej nie pozdrowiły ich i chyba nawet nie zauważyły, tak mocno były sobą zajęte. Obie bardzo młode, z rozpuszczonymi warkoczami, siedziały okrakiem, jedna za drugą, na płozie od sań. Całowały się namiętnie i zachłannie, przy czym pierwsza, wyglądało, kark sobie skręci, by dosięgnąć ustami ust tej drugiej, siedzącej z tyłu. Ta druga natomiast całkowicie pochłonięta była piersiami pierwszej, wyłuskanymi spod rozpiętej koszuli.

Nikoletta chrząknęła, kaszlnęła dziwnie, zawierciła się na ławce, jak gdyby chciała się odsunąć, oddalić. Wiedział, dlaczego to czyni, zdawał sobie sprawę ze swego podniecenia. Winien był nie tylko erotyczny widok, nie on jeden przynajmniej. Huon von Sagar ostrzegał przed ubocznymi skutkami specyfiku, Reynevan pamiętał, że w Pradze również o tym mówiono. Wszyscy specjaliści zgodni byli co do faktu, że wtarta w ciało maść lotna działa jak silny afrodyzjak.

Niebo nie wiedzieć kiedy zaroiło się od lecących wiedźm, lecieli już w długim sznurze czy kluczu raczej, czoło którego nikło gdzieś wśród luminescencji chmur. Czarownice, *bonae feminae* – a było w kluczu, i owszem, również kilku czarowników płci męskiej – leciały okrakiem na przeróżnych sprzętach, od klasycznych mioteł i ożogów poprzez ławki, łopaty, widły, motyki, dyszle, hołoble, żerdzie, kołki z płotów aż po zwykłe, nawet nie okorowane kije i drągi. Przed i za lotnikami pomykały nietoperze, lelki, sowy, puszczyki i wrony-ciotki.

– Hej! Konfrater! Powitać!

Obejrzał się. I, co było dziwne, nie zdziwił.

Ta, która go okrzyknęła, nosiła swój wiedźmi czarny kapelusz, spod którego powiewały płomiennorude włosy. Za nią, jak tren, frunął szal z brudnozielonej wełny. Obok leciała ta, która wówczas wieszczyła, młoda, o lisiej twarzy. Z tyłu kołysała się na ożogu ciemnolica Jagna, rzecz jasna, niezbyt trzeźwa.

Nikoletta chrząknęła głośno i obejrzała się. Wzruszył ramionami z niewinną miną. Rudowłosa zaśmiała się. Jagna beknęła.

Była noc jesiennego ekwinokcjum, u ludu noc Święta Wialni, magiczny początek sezonu wiatrów ułatwiających odplewianie ziarna. U

czarownic zaś i Starszych Plemion – Mabon, jeden z ośmiu sabatów roku.

– Hej! – krzyknęła nagle rudowłosa. – Siostry! Konfratrzy! Zabawimy się?

Reynevan nie był w nastroju do zabawy, tym bardziej że pojęcia nie miał, na czym owa ma polegać. Ale ławka była już najwyraźniej częścią stada i robiła to, co stado.

Dość liczną eskadrą spikowali w dół, w kierunku zauważonego blasku ognia. Zawadzając niemal o korony drzew, przemknęli, ujadając i hałłakując, nad polaną, nad ogniskiem, dookoła którego siedziało kilkunastu ludzi. Reynevan widział, że patrzą w górę, słyszał nieledwie ich podniecone krzyki. Paznokcie Nikoletty znów wpiły mu się w ciało.

Rudowłosa zademonstrowała największą zuchwałość – sfrunęła, wyjąc jak wilczyca, tak nisko, że miotłą wzbiła z ogniska kurzawę iskier. Po czym wszyscy wzlecieli stromo w górę, w niebo, ścigani wrzaskami obozujących. Gdyby oni mieli kusze, wzdrygnął się Reynevan, kto wie, jak by się ta zabawa skończyła.

Klucz zaczął obniżać lot. W kierunku góry wynurzającej się z lasu i porośniętej lasem. Zdecydowanie nie była to jednak Ślęża, wbrew przypuszczeniom Reynevana, który Ślęży właśnie spodziewał się jako celu lotu. Góra była za mała na Ślężę.

– Grochowa – zaskoczyła go Nikoletta. – To jest Grochowa Góra. Niedaleko Frankensteinu.

●

Na stokach góry płonęły ogniska, zza drzew bił w górę żółty żywiczny płomień, czerwony żar podświetlał snujący się kotlinami magiczny opar. Słychać było okrzyki, zaśpiewy, pisk fletni i fujarek, brzęki tamburynka.

Nikoletta drżała u jego boku, i to raczej nie tylko z zimna. Nie dziwił jej się specjalnie. Jemu też ciarki chodziły po plecach, a bijące mocno serce podeszło aż pod gardło, z ledwością łykał ślinę.

Obok nich wylądowała i schodziła z miotły ognistooka i rozczochrana istota o włosach koloru marchwi. Jej łapy, chude jak patyki, zbroiły zakrzywione pazury sześciocalowej długości. Opodal jazgotało i przekrzykiwało się czterech gnomów w czapkach kształtu żołędzi. Wszyscy czterej, jak wyglądało, przylecieli na wielkim wiośle. Z drugiej

strony człapał, ciągnąc za sobą piekarską łopatę, stwór w czymś, co przypominało kożuch włosem na wierzch, ale mogło być naturalnym futrem. Przechodząca wiedźma w śnieżnobiałej i nader wyzywająco rozpiętej koszuli obrzuciła ich niechętnym spojrzeniem.

Początkowo, jeszcze w czasie lotu, Reynevan planował natychmiastową ucieczkę, zaraz po wylądowaniu myślał jak najszybciej oddalić się, zejść z góry, zniknąć. Nie powiodło się. Wylądowali w grupie, w gromadzie, gromada poniosła ich jak nurt. Każdy ruch niezgodny, każdy krok w innym kierunku rzucałby się w oczy, musiałby zostać zauważony, wzbudziłby podejrzenia. Uznał, że lepiej będzie nie wzbudzać podejrzeń.

– Alkasynie – Nikoletta przytuliła się do niego, ewidentnie wyczuwając, o czym myśli. – Czy znasz takie powiedzenie: z deszczu pod rynnę?

– Nie lękaj się – przełamał opór krtani. – Nie lękaj się, Nikoletto. Nie pozwolę, by stało ci się coś złego. Wywiodę cię stąd. I na pewno nie opuszczę.

– Wiem – odrzekła od razu, a powiedziała to tak ufnie, tak ciepło, że natychmiast odzyskał odwagę i pewność siebie: walory, które, szczerze rzekłszy, w znacznej mierze dopiero com był utracił. Śmiało uniósł głowę, dwornie podał dziewczynie ramię. I rozejrzał się. Z dobrą miną. Ba, butnie nawet.

Wyprzedziła ich pachnąca mokrą korą hamadriada, minął, ukłoniwszy się, karzeł ze sterczącymi spod górnej wargi zębami, z wystającym spod przykrótkiej kamizeli gołym brzuchem błyszczącym jak harbuz. Podobnego Reynevan widział już kiedyś. Na wąwolnickim cmentarzu, w nocy po pogrzebie Peterlina.

Na łagodnym stoku pod urwiskiem lądowali następni, lotników i lotniczek wciąż przybywało, pomału robił się ścisk. Na szczęście organizatorzy zadbali o porządek, wyznaczeni dyżurni kierowali lądujących na polanę, gdzie w specjalnie urządzonej zagrodzie deponowano miotły i inny sprzęt latający. Trzeba było tam odstać kilka chwil w kolejce. Nikoletta mocniej ścisnęła mu ramię, gdy tuż za nimi ustawiła się w ogonku chuda istota owinięta w całun – i pachnąca też raczej trumiennie. Przed nimi zaś, niecierpliwie i nerwowo potupując nóżkami, zajęły miejsce dwie majki z włosami pełnymi suchych kłosów.

Po chwili gruby kobold odebrał od Reynevana ławkę i wręczył mu kwit – muszlę szczeżui z wymalowanym magicznym ideogramem i rzymską liczbą CLXXIII.

– Pilnować – warknął zwyczajowo. – Nie zgubić. Nie będę potem szukał po całym parkingu.

Nikoletta znowu przytuliła się mocniej, ścisnęła mu rękę. Tym razem z konkretniejszych i zauważalnych powodów. Reynevan również je zauważył.

Stali się nagle ośrodkiem zainteresowania i to bynajmniej nie życzliwego. Przyglądało im się złym wzrokiem kilka wiedźm. Przy każdej Formoza von Krossig mogła uchodzić za młódkę i cud piękności.

– Proszę, proszę – zaskrzeczała jedna, wyróżniająca się szpetotą nawet na tle tak okropnym. – Prawda musi być, co mówią! Że flugzalbę można teraz kupić w każdej świdnickiej aptece! Każdy tera lata, rak, ryba i płaz! Tylko patrzeć, jak nam tu zaczną zlatywać czernice, klaryski ze Strzelina! Mamyż to cierpieć, pytam się? Co to za jedni?

– Racja! – błysnęła jedynym zębem druga megiera. – Racja, moja pani Sprengerowa! Niech rzekną, kto są! I kto im o zlocie powiedział!

– Racja, racja, moja pani Kramerowa! – zachrypiała trzecia, zgięta we dwoje, nosząca na obliczu imponującą kolekcję włochatych brodawek. – Niech powiedzą! Boć to szpiegi mogą być!

– Zamknij jadaczkę, stara krowo – powiedziała, podchodząc, rudowłosa w czarnym kapeluszu. – Nie udawaj ważnej. A tych dwoje ja znam. Wystarczy?

Jejmoście Kramerowa i Sprengerowa chciały oponować i kłócić się, ale rudowłosa ucięła dyskusję groźną demonstracją zaciśniętego kułaka, a Jagna podsumowała lekceważącym beknięciem, donośnym i przeciągłym, wyrwanym, rzekłbyś, z samego dna trzewi. Potem oponentów rozdzielił sznur idących po stoku wiedźm.

Rudowłosej, oprócz Jagny, towarzyszyła dzierlatka o lisiej twarzyczce i niezdrowej cerze, ta, która wieszczyła na uroczysku.

Jak wówczas, nosiła na jasnych włosach wianek z werbeny i koniczyny. Jak wówczas, miała oczy błyszczące i mocno podkrążone. I bezustannie wpatrywała się nimi w Reynevana.

– Inni też się wam przyglądają – rzekła rudowłosa. – Żeby tedy zapobiec dalszym incydentom, musicie, jako nowi, stanąć przed

dominą. Wtedy nikt już nie ośmieli się wam naprzykrzać. Chodźcie za mną. Na szczyt.

– Czy mogę – odchrząknął Reynevan – liczyć, że nic nam tam nie grozi?

Rudowłosa odwróciła się, zatopiła w nim zielone spojrzenie.

– Trochę późno – wycedziła – na obawy. Ostrożność była na miejscu przy nacieraniu się maścią i wsiadaniu na ławeczkę. Nie chcę, miły konfratrze, być nadto dociekliwą, ale już przy pierwszym spotkaniu zrozumiałam, że jesteś z tych, co zawsze zbłądzą tam, gdzie nie trzeba, i wplączą w to, w co nie trzeba. Ale, jak się rzekło, nie moja to rzecz. A czy ze strony dominy grozi wam coś? To zależy. Od tego, co kryjecie w sercach. Jeśli jest to złość i zdrada...

– Nie – zaprzeczył natychmiast, gdy tylko zawiesiła głos. – Zapewniam.

– Tedy – uśmiechnęła się – nie masz się czego obawiać. Chodźmy.

Mijali ogniska, grupy stojących wokół czarownic i innych uczestników sabatu. Dyskutowano tam, witano się, weselono, kłócono. Krążyły kubki i czarki, napełniane z kotłów i kadzi, unosiła się, mieszając z dymem, miła woń cydru, gruszecznika i innych finalnych produktów fermentacji alkoholowej. Jagna zamierzała tam skręcić, ale rudowłosa powstrzymała ją ostrym słowem.

Na szczycie Góry Grochowej huczała i zamiatała płomieniami ogromna watra, miliardy iskier leciały w czarne niebo niby ogniste pszczoły. Pod szczytem była kotlinka, kończąca się tarasem. Tam, pod ustawionym na żelaznym trójnogu kotłem, paliło się mniejsze ognisko, wokół niego majaczyły migotliwe sylwetki. Na stoku pod tarasem oczekiwało – najwyraźniej na audiencję – kilka osób.

Podeszli bliżej, na tyle blisko, by za woalem bijącej z kotła pary niewyraźne sylwetki zamieniły się w postaci trzech kobiet, dzierżących udekorowane wstążkami miotły i złote sierpy. Przy kotle krzątał się mężczyzna, bardzo brodaty i bardzo wysoki, a wyższy jeszcze przez futrzaną czapę z umocowanym na niej rosochatym jelenim porożem. I była tam, za ogniem i oparem, jeszcze jedna, nieruchoma, ciemna postać.

– Domina – wyjaśniła rudowłosa, gdy zajęli miejsce w kolejce oczekujących – najprawdopodobniej nie zapyta was o nic, ciekawość nie leży u nas we zwyczaju. Gdyby jednak, to pamiętajcie – zwracać się

do niej należy *per* „domna”. Pamiętajcie też, że na sabacie nie ma imion, chyba że między przyjacioły. Dla wszystkich innych jesteście *joioza* i *bachelar*.

Poprzedzającą ich petentką była młoda dziewczyna z grubym, zwisającym poniżej pleców jasnym warkoczem. Choć bardzo ładna, była ułomna – kulała. Na tyle charakterystycznie, by Reynevan potrafił zdiagnozować wrodzone zwichnięcie biodra. Minęła ich, ocierając łzy.

– Gapienie się – skarciła Reynevana rudowłosa – jest niegrzeczne i niemile tu widziane. Dalej. Domina czeka.

Reynevan wiedział, że tytuł dominy – albo Staruchy – przynależał głównej czarownicy, przewodniczce lotu i kapłance sabatu. Choć więc w cichości ducha miał nadzieję zobaczyć niewiastę odrobinę mniej odrażającą od Sprengerowej, Kramerowej i towarzyszących im paskud, to nie spodziewał się raczej osoby w wieku innym niż, oględnie mówiąc, starszy. Mówiąc krótko, spodziewał się faktycznej staruchy. Tym, czego się nie spodziewał, była natomiast Medea. Kirke. Herodiada. Zabójczo atrakcyjna, ucieleśniona dojrzała kobiecość.

Była wysoka, postawna, budową ciała dawała sygnał autorytetu, przeczucie i przedsmak siły. Wysokie czoło nad regularnymi brwiami dekorował srebrzysty sierp, pałający blaskiem rogaty półksiężyc, z szyi zwisał złoty krzyż ankh, *crux ansata*. Linia ust mówiła o zdecydowaniu, prosty nos przywodził na myśl Herę albo Persefonę z greckich waz. Smoliście czarne włosy wężową kaskadą spadały jej w boskim nieładzie na kark, falą spływały z ramienia, jednocząc się czernią z okrywającym bark płaszczem. Widoczna spod płaszcza suknia zmieniała barwę w blasku ognia, mieniąc się wieloma odcieniami już to bieli, już to miedzi, już to purpury.

W oczach dominy była mądrość, noc i śmierć.

Poznała od razu.

– Toledo – przemówiła, a jej głos był jak wiatr od gór. – Toledo i jego szlachetna *joioza*. Pierwszy raz wśród nas? Witajcie.

– Bądź pozdrowioną – Reynevan skłonił się, Nikoletta dygnęła. – Bądź pozdrowioną, domna.

– Macie do mnie prośby? Prosicie instancji?

– Chcą – przemówiła stojąca za nimi rudowłosa – jedynie złożyć uszanowanie. Tobie, domna, i Wielkiej Potrójnej.

– Przyjmuję. Idźcie w pokoju. Świętujcie Mabon. Chwalcie imię Wszechmacierzy.

– *Magna Mater!* Chwała jej! – powtórzył stojący obok dominy brodacz z głową ustrojoną w jelenie poroże i opadającą na plecy skórę.

– Chwała! – powtórzyły trzy stojące za nim wiedźmy, wznosząc miotły i złote sierpy. – Eia!

Ogień strzelił w górę. Kocioł buchnął parą.

●

Tym razem, gdy schodzili zboczem w siodło między szczytami, Jagna nie dała się powstrzymać, natychmiast skierowała długie kroki tam, skąd dobiegał największy gwar i dochodził najsilniejszy zapach wydestylowanych trunków. Wkrótce, dopchnąwszy się do kadzi, trąbiła jabłecznik, aż jej grdyka grała. Rudowłosa nie mitygowała jej, sama ochotnie przyjęła stągiewkę, którą podał jej uszaty kosmacz, bliźniaczo wręcz podobny do Hansa Mein Igela, tego, który przed miesiącem odwiedził na biwaku Reynevana i Zawiszę Czarnego z Garbowa. Reynevan, przyjmując kubek, zamyślił się nad upływem czasu i nad tym, co czas ten zmienił w jego życiu. Cydr był mocny, że aż z nosa ciekło.

Rudowłosa miała wśród birbantów dużo znajomych, tak wśród ludzi, jak i wśród nieludzi. Wylewnie witały się z nią majki, driady, liski i wodniczki, wymieniały uściski i pocałunki tęgie, rumiane wieśniaczki. Wymieniały sztywne i dystyngowane ukłony kobiety w wyszywanych złotem sukniach i bogatych płaszczach, z twarzami częściowo zakrytymi przez maski z czarnego atłasu. Obficie lał się cydr, gruszecznik i śliwowica. Tłoczono się i przepychano, Reynevan objął więc Nikolettę. Powinna tu nosić maskę, pomyślał. Katarzyna, córka Jana Bibersteina, pana na Stolzu, powinna być zamaskowana. Jak inne szlachcianki.

Birbanci, wypiwszy co nieco, wzięli się, rzecz jasna, za plotki i obgadywanie.

– Widziałam ją na górze u dominy – rudowłosa wskazała oczami kusztykającą opodal kalekę z jasnym warkoczem, z twarzą opuchniętą od płaczu. – Co z nią?

– Zwykła rzecz, zwykła krzywda – wzruszyła pulchnymi ramionami tęga młynarka, wciąż jeszcze nosząca tu i ówdzie ślady mąki. – Darmo do dominy chodziła, darmo prosiła. Tego, czego chciała, domina odmawia. Każe zdawać się na czas i na los.

– Wiem. Sama kiedyś prosiłam.

– I co?

– Czas – rudowłosa złowrogo wyszczerzyła zęby – przyniósł, co należało. A losowi troszkę dopomogłam.

Wiedźmy wybuchnęły śmiechem, który zjeżył Reynevanowi włosy na karku. Świadom był, że *bonae feminae* obserwują go, złościło go, że stoi jak kołek, przed tyloma pięknymi oczami wypadając jak zalękniony prymityw. Łyknął dla kurażu.

– Niezwykle wielu... – zagadnął, odchrząknąwszy. – Niezwykle wielu jest tu obecnych przedstawicieli Starszych Plemion...

– Niezwykle?

Odwrócił się. Nie dziwota, że nie słyszał kroków, tym, kto stanął tuż za jego ramieniem, był alp, wysoki, ciemnoskóry, o włosach białych jak śnieg i szpiczastych uszach. Alpy poruszały się bez szelestu, nie można było ich usłyszeć.

– Niezwykle, mówisz? – powtórzył alp. – Ha, może jeszcze doczekasz się zwykłości, chłopcze. To, co nazywasz Starszym, może będzie Nowym. Lub Odnowionym. Nadchodzi czas zmian, wiele się zmieni. Zmieni się nawet to, co liczni, niektórzy nawet tu obecni, uważali za niezmienne.

– I nadal uważają – rzekł, do siebie widać biorąc uszczypliwe słowa alpa, osobnik, którego Reynevan najmniej spodziewałby się w tym towarzystwie, mianowicie ksiądz z tonsurą. – Nadal tak uważają, albowiem wiedzą, że pewne rzeczy nie wrócą już nigdy. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Mieliście swój czas, panie alpie, mieliście swoją epokę, erę, swój eon nawet. Ale cóż począć, *omnia tempus habent et suis spatiis transeunt universa sub caelo*, wszystko ma swój czas i swą godzinę. A co minęło, nie wróci. Mimo wszelkie przemiany, których to przemian, nawiasem, czeka wielu z nas.

– Odmieni się – powtórzył uparcie alp – całkowicie obraz i porządek świata. Wszystko się zreformuje. Radzę, obróćcie oczy na południe, na Czechy. Tam padła iskra, od niej rozgorzeje płomień, w ogniu oczyści się Natura. Znikną z niej rzeczy złe i chore. Z południa, z Czech, nadejdzie Odmiana, pewnym rzeczom i sprawom koniec będzie. W szczególności księga, którą tak chętnie cytujecie, spadnie rangą do zbioru przysłów i powiedzonek.

– Od czeskich husytów – pokręcił głową ksiądz – nie spodziewajcie się zbyt wiele, w pewnych sprawach świętsi oni są, że tak rzekę, od papieża. Nie pójdzie, widzi mi się, w dobrą dla nas stronę ta czeska reforma.

– Istotą reformy – powiedziała mocnym głosem jedna z zamaskowanych szlachcianek – faktycznie jest, że zmienia rzeczy pozornie niezmienne i niezmienialne. Że czyni wyłom w pozornie nienaruszalnej strukturze, nadkrusza pozornie zwarty i twardy monolit. A jeśli coś można zarysować, naruszyć, nadkruszyć... To można i rozwalić w pył. Husyci czescy będą garstką wody zamarzającą w skale. I rozsadzającą ją.

– To samo – krzyknął ktoś z tyłu – mówiono o katarach!

– To były kamienie na szaniec!

Zaczął się rozgardiasz. Reynevan skurczył się, lekko przestraszony zamieszaniem, jakie wywołał. Poczuł dłoń na ramieniu. Obejrzał się i drgnął, widząc wysoką istotę płci żeńskiej, dość atrakcyjną, ale o oczach świecących jak fosfor, a skórze zielonej i pachnącej pigwą.

– Nie lękaj się – przemówiła cicho istota. – Jestem tylko Starsze Plemię. Zwykła niezwykłość.

– Zmian – powiedziała głośniej – nie powstrzyma nic. Jutro inne będzie niż Dziś. Tak dalece, że ludzie przestaną wierzyć we Wczoraj. I rację ma pan alp, doradzając, byście częściej spoglądali na południe. Na Czechy. Bo stamtąd nadciągnie nowe. Stamtąd przyjdzie Przemiana.

– Pozwalam sobie wątpić nieco – stwierdził cierpko ksiądz. – Stamtąd przyjdą wojna i mord. I nastanie *tempus odii*, czas nienawiści.

– I czas zemsty – dorzuciła złym głosem kulawa z płowym warkoczem.

– Dobra nasza – zatarła dłonie jedna z wiedźm. – Przyda się trochę ruchu!

– Czas i los – powiedziała znacząco rudowłosa. – Zdajmy się na czas i na los.

– Losowi – dodała młynarka – jak się da, dopomagając.

– Tak czy inaczej – wyprostował chudą postać alp – twierdzę, że to początek końca. Obecny porządek runie. Runie ten wykluty w Rzymie, zachłanny, arogancko rozpanoszony, przeżarty nienawiścią kult. Aż zresztą dziw, że to się tak długo trzymało, będąc tak bezsensownym, a

na domiar zupełnie nieoryginalnym. Ojciec, Syn i Duch! Zwyczajna triada, jakich bezlik.

– Co do Ducha – rzekł ksiądz – to bliscy byli prawdy. Tylko płeć pomylili.

– Nie pomylili – zaprzeczyła zielonoskóra i pachnąca pigwą. – Lecz zakłamali! Cóż, może teraz, w czasie przemian, pojmą wreszcie, kogo przez tyle lat malowali na ikonach. Może wreszcie dotrze do nich, kogo naprawdę przedstawiają madonny z ich kościołów.

– Eia! *Magna Mater!* – krzyknęły chórem wiedźmy. Na ich krzyk nałożył się wybuch dzikiej muzyki, łomot bębenków, krzyk i zaśpiew także od okolicznych ognisk. Nikoletta–Katarzyna – przytuliła się do Reynevana.

– Na polanę! – krzyknęła rudowłosa. – Na Krąg!

– Eia! Na Krąg!

●

– Słuchajcie! – krzyknął, wznosząc ręce, guślarz z jelenimi rogami na głowie. – Słuchajcie!

Zgromadzony na polanie tłum zaszemrał w podnieceniu.

– Słuchajcie – zawołał guślarz – słów Bogini, której ramiona i uda oplatają Wszechświat! Która na Początku oddzieliła Wody od Niebios i tańczyła na nich! Z tańca której zrodził się wiatr, a z wiatru oddech życia!

– Eia!

Obok guślarza stanęła domina, dumnie prostując swą królewską postać.

– Powstańcie – krzyknęła, rozpościerając płaszcz. – Powstańcie i przyjdźcie ku mnie!

– Eia! *Magna Mater!*

– Jam jest – przemówiła domina, a jej głos był jak wiatr od gór – jam jest uroda zielonej ziemi, jam jest biały księżyc pośród tysiąca gwiazd, jam jest sekret wód. Przyjdźcie ku mnie, albowiem ja jestem duchem natury. Ze mnie wszystkie rzeczy wynikają i do mnie wszystkie muszą powrócić, przed moje oblicze, uwielbiane przez bogów i śmiertelników.

– Eiaaa!

– Jam jest Lilith, jam jest pierwsza z pierwszych, jam jest Asztarte, Kybele, Hekate, jam jest Rigatona, Epona, Rhiannon, Nocna Klacz,

kochanka wichru. Czarne są moje skrzydła, stopy moje ściglejsze są niż wiatr, dłonie moje słodsze niźli ranna rosa. Nie wie lew, kędy stąpam, nie pojmie mych dróg zwierz polny i leśny. Albowiem zaprawdę powiadam wam: jam jest Tajemnica, jam jest Rozumienie i Wiedza.

Ognie huczały i strzelały jęzorami płomienia. Tłum falował w podnieceniu.

– Czcijcie mnie w głębi serc waszych i w radości obrzędu, składajcie ofiarę z aktu miłości i rozkoszy, bo miła mi taka ofiara. Albowiem jam jest dziewica nietknięta i jam jest płonąca od żądzy miłośnica bogów i demonów. I zaprawdę powiadam wam: jak byłam z wami od początku, tak znajdziecie mnie u kresu.

– Słuchajcie – krzyknął na koniec guślarz – słów Bogini, tej, której ramiona i uda oplatają wszechświat! Która na Początku oddzieliła wody od niebios i tańczyła na nich! Tańczcie i wy!

– Eia! *Magna Mater!*

Domina gwałtownym ruchem zrzuciła płaszcz z obnażonych ramion. Wyszła na środek polany, mając u boków towarzyszki.

We trójkę stanęły, uchwyciwszy się za dłonie wyprężonych ku tyłowi rąk, twarzami na zewnątrz, plecami do wewnątrz, tak, jak w malarstwie przedstawia się niekiedy gracje.

– *Magna Mater!* Trzykroć po dziewięć! Eia!

Do trójki dołączyły trzy kolejne wiedźmy i trzech mężczyzn, wszyscy, łącząc dłonie, utworzyli koło. Na ich przeciągły krzyk, zachęcający zew, dołączyli następni. Stając w takich samych pozycjach, twarzami na zewnątrz, plecami do stanowiącej centrum dziewiątki, sformowali następny krąg. Momentalnie stworzono jeszcze jedno koło, potem następne, następne i następne, każde kolejne plecami do poprzedniego i, rzecz jasna, większe i liczniejsze. Jeżeli tworzony przez dominę i jej kompanię *nexus* otaczał krąg złożony z nie więcej niż trzydziestu osób, w kręgu ostatnim, zewnętrznym, było ich co najmniej trzysta. Reynevan i Nikoletta, poniesieni rozgorączkowaną ciżbą, znaleźli się w kręgu przedostatnim. Z Reynevanem sąsiadowała jedna z zamaskowanych szlachcianek. Rękę Nikoletty ściskał dziwny stwór w bieli.

– Eia!

– *Magna Mater!*

Kolejny przeciągły krzyk i rozbrzmiewająca nie wiedzieć skąd dzika muzyka dały hasło – tanecznicy ruszyli, kręgi zaczęły obracać się i

wirować. Wirowanie – coraz szybsze i szybsze – odbywało się naprzemiennie, każdy krąg wirował w kierunku przeciwnym, niż sąsiadujący. Sam widok powodował zawrót głowy, inercja ruchu, szalona muzyka i frenetyczne krzyki dopełniały dzieła. W oczach Reynevana sabat rozpłynął się w kalejdoskop plam, nogi, jak mu się zdawało, przestały dotykać ziemi. Tracił świadomość.

– Eiaaa! Eiaaa!

– Lilith, Asztarte, Kybele!

– Hekate!

– Eiaaaa!

Nie wiedział, jak długo to trwało. Ocknął się na ziemi, wśród innych leżących i pomału podnoszących się. Nikoletta była przy nim – nie puściła jego ręki.

Muzyka wciąż grała, ale melodia zmieniła się, dziki i wizgliwie monotonny akompaniament wirowego tańca zastąpiły zwyczajne miłe i skoczne nuty, w rytm których podnoszące się czarownice zaczęły podśpiewywać, podrygiwać i pląsać. Przynajmniej niektóre i niektórzy. Inni nie podnosili się z murawy, na którą upadli po tańcu. Nie wstając, połączyli się w pary – w większości przynajmniej, bo zdarzały się i trójki, i czwórki, i jeszcze obfitsze nawet konfiguracje. Reynevan nie mógł oderwać wzroku, gapił się, bezwiednie oblizując wargi. Nikoletta – widział, że i jej twarz płonie nie tylko od blasku ognisk – odciągnęła go bez słowa. A gdy odwracał głowę, ofuknęła.

– Wiem, że to ta maść... – przytuliła się do jego boku. – Lotna maść tak je rozpala. Ale nie patrz na nie. Obrażę się, jeśli będziesz patrzył.

– Nikoletto... – ścisnął jej dłoń. – Katarzyno...

– Wolę być Nikolettą – przerwała natychmiast. – Ale ciebie... Ciebie wolałabym jednak nazywać Reinmarem. Gdy cię poznałam, byłeś, nie przeczę, zakochanym Alkasynem. Ale wszak nie dla mnie nim byłeś. Nic nie mów, proszę. Słowa nie są potrzebne.

Płomień niedalekiego ogniska strzelił w górę, sypnęła się w niebo kurzawa iskier. Tańczący wokół zakrzyczeli radośnie.

– Rozhulali się – mruknął – tak, że nie zwrócą uwagi, gdy się wymkniemy. A chyba czas się wymknąć...

Odwróciła twarz, odblask ognia zatańczył na jej policzkach.

– Dokąd ci tak pilno?

Nim ochłonął ze zdumienia, usłyszał, że ktoś się zbliża.

– Siostro i konfratrze.

Stała przed nimi rudowłosa, trzymając za rękę młodą wieszczkę o lisiej twarzy.

– Mamy sprawę.

– Słucham?

– Eliszka, ta tutaj – zaśmiała się swobodnie ruda – wreszcie zdecydowała się zostać kobietą. Tłumaczę jej, że to wszystko jedno, z kim, chętnych tu wszak nie brakuje. Ale ona uparła się jak prawdziwa koza. Krótko: tylko on i on. Znaczy ty, Toledo.

Wieszczka spuściła podkrążone oczy. Reynevan przełknął ślinę.

– Ona – kontynuowała *bona femina* – wstydzi się i waguje spytać wprost. Trochę też lęka się ciebie, siostro, że jej oczy wydrapiesz. A że noc krótka i czasu żal na gonienie się wokół krzaków, spytam wprost: jak to z wami jest? Jesteś dla niego *joioza*? A on dla ciebie *bachelar*? Jest wolny czy też zgłaszasz do niego prawa?

– Mój ci jest – odrzekła Nikoletta krótko i bez wahania, wprawiając Reynevana w krańcowe osłupienie.

– Sprawa jasna – kiwnęła głową rudowłosa. – Cóż, Eliszka, gdy się nie ma, co się lubi... Chodź, znajdziemy ci kogoś innego. Bywajcie. Dobrej zabawy!

– To ta maść – Nikoletta ścisnęła mu ramię, a głos miała taki, że aż się wzdrygnął. – To ta maść sprawia. Wybaczysz mi?

– Bo może – nie dała mu ochłonąć – miałeś na nią ochotę? Ha, jakie może, z pewnością miałeś, ta maść działa na ciebie tak samo, jak... Wiem, jak działa. A ja przeszkodziłam, wlazłam w paradę. Nie chciałam, by cię miała. Ze zwyczajnej zawiści. Czegoś cię pozbawiłam, niczego nie przyrzekając w zamian. Zupełnie jak pies ogrodnika.

– Nikoletto...

– Usiądźmy tu – przerwała, wskazując małą grotę w zboczu góry. – Nie skarżyłam się dotąd, ale od tych wszystkich atrakcji ledwie trzymam się na nogach.

Usiedli.

– Boże – odezwała się – tyle wrażeń... Pomyśleć tylko, że wtedy, po tym pościgu nad Stobrawą, gdy opowiadałam, żadna mi nie uwierzyła, Elżbieta, Anka ani Kaśka, żadna nie chciała dać wiary. A teraz? Gdy opowiem o porwaniu, o podniebnym locie? O sabacie czarownic? Chyba...

Chrząknęła.

– Chyba w ogóle nic im nie powiem.

– Słusznie – kiwnął głową. – Pomijając już rzeczy niewiarygodne, moja osoba w twej opowieści nie wypadłaby najkorzystniej. Prawda? Od śmieszności do okropności. I kryminału. Z błazna zostałem rozbójnikiem...

– Przecież nie z własnej woli – przerwała mu natychmiast. – I nie skutkiem własnych uczynków. Kto ma o tym wiedzieć lepiej niż ja? To ja wyśledziłam w Ziębicach twoich druhów. I zdradziłam im, że będą cię wieźli na Stolz. Domyślam się, co było potem i wiem, że to wszystko przeze mnie.

– To nie takie proste.

Siedzieli przez jakiś czas w ciszy, patrząc na ognie i tańczące wokół nich sylwetki, zasłuchani w śpiew.

– Reinmarze?

– Słucham.

– Co to znaczy: Toledo? Dlaczego one tak cię nazywały?

– W Toledo, w Kastylii – wyjaśnił – jest słynna akademia magiczna. Utarło się, w niektórych kręgach przynajmniej, nazywać tak tych, którzy arkana czarnoksięskie studiowali w uczelniach, w odróżnieniu od takich, którzy moce magiczne mają wrodzone, a wiedzę przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

– A ty studiowałeś?

– W Pradze. Ale raczej krótko i pobieżnie.

– Wystarczyło. – Z lekkim ociąganiem dotknęła jego dłoni, potem ujęła ją śmielej. – Byłeś widać pilny w nauce. Nie zdążyłam ci podziękować. Odwagą, którą podziwiam, i zdolnościami wybawiłeś mnie, ocaliłeś... przed nieszczęściem. Przedtem tylko ci współczułam, byłam zafascynowana twoją historią, rodem wprost z kart Chrétiena de Troyes czy Hartmanna von Aue. Teraz cię podziwiam. Jesteś dzielny i mądry, mój Podniebny Rycerzu Latającej Dębowej Ławeczki. Chcę, byś był moim rycerzem, moim magicznym Toledo. Moim i tylko moim. Dlatego właśnie, z zachłannej i samolubnej zawiści, nie chciałam cię oddać tamtej dziewczynie. Nie chciałam cię jej odstąpić nawet na chwilę.

– Ty – bąknął, zakłopotany – więcej razy ratowałaś mnie. To ja jestem twoim dłużnikiem. I też ci nie dziękowałem. Przynajmniej nie tak, jak

należy. A przysięgałem sobie, że gdy cię spotkam, padnę ci do nóg...

– Podziękuj – przytuliła się do niego. – Tak, jak należy. I padnij mi do nóg. Śniłam o tym, że padasz mi do nóg.

– Nikoletto...

– Nie tak. Inaczej.

Wstała. Od ognisk doleciał śmiech i dziki śpiew.

Veni, veni, venias,
ne me mori, ne me mori facias!
Hyrca! Hyrca!
Nazaza!
Trillirivos! Trillirivos! Trillirivos!

Jęła rozbierać się, wolno, niespiesznie, nie spuszczając oczu, płonących w ciemności. Rozpięła nabijany srebrem pasek. Zdjęła rozciętą bokami *cotehardie*, zwlekła wełnianą ciasnoszkę, pod którą miała tylko cieniuteńką białą *chemise*. Przy *chemise* zawahała się lekko. Sygnał był czytelny. Zbliżył się powoli, dotknął jej delikatnie. Koszula, rozpoznał dotykiem, uszyta była z flandryjskiej tkaniny nazwanej od imienia wynalazcy, Baptysty z Cambrai. Wynalazek pana Baptysty miał duży wpływ na rozwój włókiennictwa. I seksu.

Pulchra tibi facies
Oculorum acies
Capiliorum series
O quam clara species!
Nazaza!

Ostrożnie dopomógł jej, jeszcze ostrożniej i jeszcze delikatniej pokonując instynktowny opór, cichy odruchowy lęk.

Gdy tylko wynalazek pana Baptysty znalazł się na ziemi, na innych ciuszkach, westchnął, ale Nikoletta nie pozwoliła mu długo napawać się widokiem. Mocno przywarła do niego, oplatając ramionami i szukając ustami jego ust. Posłuchał. A temu, czego poskąpiono jego oczom, kazał zachwycać się dotykiem. Składać hołd drżącymi palcami i dłońmi.

Uklęknął. Padł jej do nóg. Składał hołd. Jak Percival przed Graalem.

Rosa rubicundior,
Lilio candidior,

Omnibus formosior,
Semper, semper in te glorior!

Uklękła również, objęła go mocno.
– Wybacz – szepnęła – brak wprawy.

Nazaza! Nazaza! Nazaza!

Brak wprawy nie przeszkodził im. Wcale.

Głosy i śmiechy tańczących oddaliły się nieco, ścichły, a w nich cichła namiętność. Ramiona Nikoletty drżały lekko, czuł też dygotanie oplatających go ud. Widział, jak drżą jej zamknięte powieki i przygryziona dolna warga.

Gdy wreszcie pozwoliła mu na to, uniósł się. I podziwiał. Owal twarzy jak u Campina, szyję jak u Parlerowskich madonn. A poniżej – skromną, zawstydzoną *nuditas virtualis* – małe okrąglutkie piersi ze stwardniałymi od żądzy sutkami. Cienką talię, wąskie biodra. Płaski brzuch. Wstydliwie przykurczone uda, pełne, piękne, godne najwyszukańszych komplementów. Od komplementów zresztą i pięknosłowia odurzonemu Reynevanowi aż gotowało się w głowie. Był wszak erudytą, truwerem, kochankiem – we własnym pojęciu – na miarę Tristana, Lancelota, Paola da Rimini, Gwilelma de Cabestaing co najmniej. Mógł – i chciał – jej powiedzieć, że jest *lilio candidior*, bielsza niźli lilia, i *omnibus formosior*, piękniejsza od wszystkich. Mógł – i chciał – jej powiedzieć, że jest *pulchra inter mulieres*. Mógł – i chciał – jej powiedzieć, że jest *forma pulcherrima Dido, deas supereminet omnis, la regina savoroza, Izeult la blonda, Beatrice, Blanziflor, Helena, Venus generosa, herzeliebez vrowelîn, lieta come bella, la regina del cielo*. Wszystko to mógł – i chciał – jej powiedzieć. I nie był w stanie przecisnąć słowa przez ściśniętą krtań.

Zauważyła to. Wiedziała. Jak mogła nie zauważyć i nie wiedzieć? Przecież tylko w oczach oszołomionego szczęściem Reynevana była dzieweczką, panną, która drży, tuli się, zamyka oczy i przygryza dolną wargę w bolesnej ekstazie. Dla każdego mądrego mężczyzny – gdyby taki był w pobliżu – sprawa byłaby jasna: to nie nieśmiała i niewprawna młódka – to bogini, która z dumą przyjmuje należny jej hołd. A boginie wszystko wiedzą i wszystko zauważają.

I nie oczekują hołdów w postaci słów.

Pociągnęła go na siebie. Wracał rytuał. Odwieczny obrządek.

Nazaza! Nazaza! Nazaza!
Trillirivos!

Wówczas, na polanie, słowa dominy nie w pełni dotarły do niego, głos, który był jak wiatr od gór, gubił się jednak w poszumie ciżby, tonął w krzykach, śpiewach, muzyce, huku ognia. Teraz, w łagodnym szale spełnianej miłości, słowa wracały dźwięcznie, wyraźnie. Dobitnie. Słyszał je poprzez szum krwi w uszach. Ale czy do końca pojmował?

Jam jest uroda zielonej ziemi, jam jest Lilith, jam jest pierwsza z pierwszych, jam jest Asztarte, Kybele, Hekate, jam jest Rigatona, Epona, Rhiannon, Nocna Klacz, kochanka wichru.
Czcijcie mnie w głębi serc waszych, składajcie ofiarę z aktu miłości i rozkoszy, bo miła mi taka ofiara.
Albowiem jam jest dziewica nietknięta i jam jest płonąca od żądzy miłośnica bogów i demonów. I zaprawdę powiadam wam: jak byłam z wami od początku, tak znajdziecie mnie u kresu.

Znaleźli Ją u kresu. Oboje.
Ognie biły w niebo dzikimi eksplozjami iskier.

●

– Przepraszam cię – powiedział, patrząc na jej plecy. – Za to, co się stało. Nie powinienem... Wybacz mi.

– Słucham? – odwróciła twarz. – Co mam ci wybaczyć?

– To, co się stało. Byłem nierozsądny... Zapomniałem się. Zachowałem niewłaściwie...

– Czy mam rozumieć – przerwała – że żałujesz? Czy to chciałeś powiedzieć?

– Tak... Nie! Nie, nie to... Ale należało... Należało zapanować... Powinienem być rozsądniejszy...

– Więc jednak żałujesz – przerwała mu znowu. – Robisz sobie wyrzuty, masz poczucie winy. Mniemasz ze skruchą, że stała się szkoda. Krótko mówiąc: wiele byś dał, by to, co się stało, mogło się odstać. Bym ja mogła się odstać.

– Posłuchaj...

– A ja... – nie chciała słuchać. – Ja, pomyśleć tylko... Ja gotowa byłam iść za tobą. Zaraz, jak stoję. Tam, dokąd ty idziesz. Na koniec świata. Byle z tobą.

– Pan Biberstein... – wybąkał, spuszczając wzrok. – Twój ojciec...

– Jasne – przerwała i tym razem. – Mój ojciec. Wyśle pościg. A dwa pościgi to jednak dla ciebie za dużo.

– Nikoletto... Nie zrozumiałaś mnie.

– Mylisz się. Zrozumiałam.

– Nikoletto...

– Nic już nie mów. Zaśnij. Śpij.

Dotknęła dłonią jego warg, ruchem tak szybkim, że umykał wzrokowi. Wzdrygnął się. I nie wiedząc kiedy znalazł się po chłodnej stronie wzgórza.

Usnął, zdawało mu się, tylko na małą chwilkę. A jednak, gdy się obudził, nie było jej przy nim.

●

– Oczywiście – powiedział alp. – Oczywiście, że ją pamiętam. Ale przykro mi. Nie widziałem jej.

Towarzysząca mu hamadriada wspięła się na palce, coś szepnęła mu do ucha, po czym skryła się za jego plecy.

– Jest trochę nieśmiała – wyjaśnił, gładząc ją po sztywnych włosach. – Ale może pomóc. Pozwól z nami.

Poszli w dół po zboczu. Alp nucił pod nosem. Hamadriada pachniała żywicą i mokrą topolową korą. Noc Mabon miała się ku końcowi. Wstawał świt, ciężki i mętny od mgły.

W grupce dyskutujących nielicznych już pozostałych na Grochowej uczestników sabatu odnaleźli istotę płci żeńskiej, tę o oczach świecących jak fosfor, a skórze zielonej i pachnącej pigwą.

– Owszem – kiwnęła głową wypytana Pigwa. – Widziałam tę dziewczynę. W grupie kobiet schodziła w kierunku Frankensteinu. Jakiś czas temu.

– Zaczekaj – alp chwycił Reynevana za ramię. – Bez pośpiechu! I nie tędy. Z tej strony górę otacza Las Budzowski, zabłądzisz w nim jak dwa a dwa cztery. Poprowadzimy cię. Nam zresztą też trzeba w tamte strony. Mamy tam interes.

– Idę z wami – powiedziała Pigwa. – Pokażę, którędy dziewczyna poszła.

– Dziękuję – rzekł Reynevan. – Jestem wam bardzo wdzięczny. Nie znamy się przecież... A pomagacie mi...

– Zwykliśmy sobie pomagać. – Pigwa odwróciła się, przeszyła go fosforowym spojrzeniem. – Byliście ładną parą. A tak mało już nas zostało. Jeśli nie będziemy sobie wzajem pomagać, wyginiemy ze szczętem.

– Dziękuję.

– A ja – wycedziła Pigwa – wcale nie ciebie miałam na myśli.

Weszli w jar, koryto wyschniętego strumienia, obrośnięte wierzbami. Z mgły przed nimi rozległo się ciche przekleństwo. A za moment dostrzegli kobietę, siedzącą na omszałym głazie i wytrząsającą kamyki z ciżem. Reynevan poznał ją od razu. Była to pulchna i wciąż jeszcze nosząca ślady mąki młynarka, kolejna uczestniczka debaty przy beczułce jabłecznika.

– Dziewka? – spytana, zastanowiła się. – Ta jasnowłosa? Aaa, ta szlachcianka, co była z tobą, Toledo? Widziałam ją, a jakże. Tędy szła. Ku Frankensteinowi. W kupie, kilka ich było. Jakiś czas temu.

– Tędy szły?

– Tędy. Zaraz, zaraz, poczekajcie. Idę z wami.

– Bo masz tam interes?

– Nie. Bo tam mieszkam.

Młynarka nie była, delikatnie mówiąc, w najlepszej formie. Szła opieszale, czkając, mrucząc i powłócząc nogami. Denerwująco często przystawała, by poprawiać garderobę. Niewiadomym sposobem wciąż nabierała do ciżem żwiru, musiała siadać i wytrząsać go – a robiła to denerwująco wolno. Za trzecim razem Reynevan gotów już był wziąć babę na barana i nieść, byle tylko zwiększyć tempo.

– Może by tak szybciej, kumoszko? – spytał słodko alp.

– Sam jesteś kumoszka – odgryzła się młynarka. – Zaraz będę gotowa. Jeszcze ino... Momencik...

Zamarła z ciżmą w ręce. Uniosła głowę. Nadstawiła ucha.

– Co jest? – spytała Pigwa. – Co...

– Cicho – uniósł rękę alp. – Coś słyszę. Coś... Coś nadchodzi...

Ziemia zatrzęsła się nagle, zadudniła. Z mgły wypadły konie, cały tabun, nagle zaroiło się wokół nich od bijących i drących ziemię kopyt,

od rozwianych grzyw i ogonów, wyszczerzonych zębów w spienionych pyskach, od dzikich oczu. Ledwie zdołali uskoczyć za głazy. Konie przeleciały w szaleńczym galopie, znikły równie nagle, jak się pojawiły. Ziemia tylko dygotała wciąż od uderzeń kopyt.

Nim zdołali ochłonąć, z mgły wynurzył się następny koń. Ale w odróżnieniu od poprzednich ten niósł jeźdźca. Jeźdźca w saladzie, w pełnej płytowej zbroi, w czarnym płaszczu. Płaszcz, rozwiany w galopie u ramion, wyglądał jak skrzydła upiora.

– *Adsumus! Adsuuumuuuus!*

Rycerz ściągnął wodze, koń stanął dęba, zamłócił powietrze przednimi kopytami, zarżał. A rycerz dobył miecza i runął na nich.

Pigwa krzyknęła cienko, a nim krzyk przebrzmiał, rozpadła się – tak, to było właściwe słowo – rozpadła się na milion ciem, które chmarą rozleciały się w powietrzu, znikły. Hamadriada bezszelestnie wrosła w ziemię, w okamgnieniu wysmuklała, pokryła się korą i liśćmi. Młynarka i alp, równie sprytnych trików na podorędziu widać nie mający, zwyczajnie rzucili się do ucieczki. Reynevan, ma się rozumieć, też, za nimi. Tak szybko, że ich wyprzedził. Aż tu mnie znaleźli, myślał gorączkowo. Aż tu mnie znaleźli.

– *Adsumus!*

Czarny rycerz w przelocie chlasnął mieczem zamienioną w drzewko hamadriadę, drzewko wydało straszny krzyk, trysnęło sokiem. Młynarka obejrzała się, na własną zgubę. Rycerz obalił ją koniem, usiłującą wstać ciął, zwisając z kulbaki, ciął tak, że aż ostrze zachrupotało na kości czerepu. Czarownica upadła, skręcając się i wijąc wśród suchych traw.

Alp i Reynevan pędzili ile sił w nogach, ale z galopującym koniem nie mieli szans. Rycerz dogonił ich szybko. Rozdzielili się, alp pognał w prawo, Reynevan w lewo. Rycerz pogalopował za alpem. Po chwili z mgły dobiegł wrzask. Świadczący, że alpowi nie dane było doczekać przemian i czeskich husytów.

Reynevan biegł na złamanie karku, dysząc i nie oglądając się. Mgła tłumiła dźwięki, ale łomot kopyt i rżenie wciąż za sobą słyszał – lub wydawało mu się, że słyszy.

Tupot kopyt i chrap konia usłyszał nagle tuż przed sobą. Stanął, martwiejąc ze zgrozy, ale nim zdołał cokolwiek przedsięwziąć, z mgły wynurzyła się spieniona jabłkowita klacz, niosąca w siodle niewysoką i

tęgą kobietę w męskim wamsie. Kobieta na jego widok wryła klacz, odrzucając z czoła nieporządnie rozwianą grzywę płowych włosów.

– Pani Dzierżka... – wystękał, zdumiony. – Dzierżka de Wirsing...

– Krewniak? – handlarka koni wyglądała na nie mniej zdumioną. – Ty? Tutaj? Zaraza, nie stój! Dawaj rękę, skacz za mnie!

Chwycił wyciągniętą dłoń. Ale było za późno.

– *Adsuuumuuus!*

Dzierżka zeskoczyła z kulbaki z zaskakującą przy jej kompleksji gracją i zwinnością. Równie zwinnie zdarła z pleców kuszę i rzuciła ją Reynevanowi. Sama chwytając drugą, przypiętą do siodła.

– W konia! – wrzasnęła, rzucając mu bełty i instrument do napinania, zwany „kozią nóżką". – Mierz w konia!

Czarny rycerz pędził na nich ze wzniesionym mieczem i rozwianym płaszczem, takim galopem, że płatami leciała w górę rwana darń. Ręce Reynevana dygotały, haki „koziej nóżki" za nic nie chciały zaskoczyć za cięciwę i czopy na łożu kuszy. Zaklął rozpaczliwie, pomogło, haki chwyciły, cięciwa złapała orzech. Drżącą dłonią nałożył bełt.

– Strzelaj!

Strzelił. I chybił. Bo wbrew rozkazowi nie mierzył w konia, lecz w jeźdźca. Widział, jak grot bełtu skrzesał iskry, ocierając się o stalowy naramiennik. Dzierżka zaklęła gromko i plugawie, zdmuchnęła włosy z oczu, wycelowała, nacisnęła spust. Bełt trafił konia w pierś i cały się schował. Koń zakwiczał, zachrapał rzężąco, runął na kolana i na łeb. Czarny rycerz zwalił się z siodła, poturlał, gubiąc hełm i miecz. I zaczął wstawać.

Dzierżka zaklęła znowu, teraz obojgu trzęsły się ręce, obojgu kozie nóżki raz po raz ześlizgiwały się z czopów, bełty wypadały z rowków. A czarny rycerz wstał, odpiął od siodła wielki morgenstern, ruszył ku nim chwiejnym krokiem. Na widok jego twarzy Reynevan stłumił krzyk, przyciskając usta do łoża kuszy. Twarz rycerza była biała, srebrzysta wręcz, jak u trędowatego. Okolone sinoczerwonym cieniem oczy były dzikie i nieprzytomne, w zaślinionych i pokrytych pianą ustach błyskały zęby.

– *Adsuumuuuus!*

Szczęknęły cięciwy, syknęły bełty. Oba trafiły, przebijając zbroję z głośnym trzaskiem, oba weszły aż po lotki – jeden przez obojczyk, drugi przez napierśnik. Rycerz zachwiał się, zatoczył mocno, ale utrzymał na

nogach, ku przerażeniu Reynevana ruszył na nich znowu, wrzeszcząc niezrozumiale, plując płynącą mu z ust krwią i wymachując morgensternem. Dzierżka zaklęła, odskoczyła, nadaremnie usiłując zarepetować kuszę, widząc, że nie zdąży, odskoczyła przed ciosem, potknęła się, upadła, na widok lecącej ku niej kolczastej kuli zakryła głowę i twarz ramionami.

Reynevan krzyknął, krzykiem ratując jej życie. Rycerz zwrócił się ku niemu, a Reynevan strzelił z bliska, mierząc w brzuch. Bełt i tym razem wszedł aż po lotki, z suchym trzaskiem dziurawiąc folgową szorcę. Siła uderzenia była znaczna, grot musiał utkwić głęboko w trzewiach, mimo tego rycerz nie upadł i tym razem, zachwiał się, ale odzyskał równowagę, ruszył szybko na Reynevana, rycząc i wznosząc morgenstern do ciosu. Reynevan cofał się, usiłując zaczepić kozią nóżkę za cięciwę. Zaczepił, napiął kuszę. I dopiero wtedy połapał się, że nie ma bełtu. Zawadził obcasem o grudę, siadł na ziemi, ze zgrozą patrząc na zbliżającą się śmierć – bladą jak lepur, dzikooką, toczącą z ust pianę i krew. Zasłonił się trzymaną oburącz kuszą.

– *Adsumus! Adsum...*

Wciąż półleżąc, półsiedząc, Dzierżka de Wirsing nacisnęła spust kuszy i wpakowała mu bełt prosto w potylicę. Rycerz upuścił morgenstern, bezładnie zamachał rękami i runął jak kłoda, aż wyczuwalnie zatrząsł się grunt. Padł o pół kroku od Reynevana. Mając w mózgu żelazny grot i kilka cali jesionowego drewna, nie był, o dziwo, całkiem martwy. Jeszcze parę długich chwil charczał, dygotał i drapał darń. Wreszcie znieruchomiał.

Dzierżka czas jakiś klęczała, wsparta na wyprostowanych ramionach. Potem zwymiotowała gwałtownie. Potem wstała. Zarepetowała kuszę, nałożyła bełt. Podeszła do chrapiącego konia rycerza, wycelowała z bliska. Szczęknęła cięciwa, łeb zwierzęcia bezwładnie łomotnął o ziemię, tylne nogi wierzgnęły spazmatycznie.

– Kocham konie – powiedziała, patrząc Reynevanowi w oczy. – Ale na tym świecie, by przeżyć, trzeba czasem poświęcić to, co się kocha. Zapamiętaj to, krewniaku. I na drugi raz celuj w to, w co każę.

Kiwnął głową, wstał.

– Uratowałeś mi życie. I pomściłeś brata. W jakiejś tam części.

– To oni... Ci jeźdźcy... zabili Peterlina?

– Oni. Nie wiedziałeś? Ale nie czas na pogaduszki, krewniaku. Trzeba uciekać, nim zaskoczą nas tu jego kamraci.

– Ścigali mnie aż tutaj...

– Nie ciebie – zaprzeczyła beznamiętnie Dzierżka. – Mnie. Czekali na mnie w zasadzce zaraz za Bardem, koło Potworowa. Rozgonili tabun, roznieśli eskortę, czternaście trupów leży tam na gościńcu. Byłabym między nimi, gdyby nie... Za dużo gadamy!

Włożyła palce do ust, gwizdnęła. Po chwili o grunt zadudniły kopyta, z mgły wyłoniła się biegnąca kłusem jabłkowita klacz. Dzierżka wskoczyła na siodło, po raz kolejny zadziwiając Reynevana zwinnością i kocią iście gracją ruchów.

– Czego stoisz?

Chwycił jej dłoń, wskoczył za nią na zad klaczy. Klacz zachrapała i zadrobiła kopytami, wykręcając łeb cofnęła się od trupa.

– Kto to był?

– Demon – odpowiedziała, odgarniając z czoła nieposłuszne włosy. – Jeden z tych, co kroczą w ciemności. Ciekawe tylko, kurwa, kto na mnie doniósł...

– Haszsz'aszin.

– Co?

– Haszsz'aszin – powtórzył. – Ten tutaj był pod wpływem odurzającej arabskiej substancji ziołowej, zwanej *haszsz'isz*. Nie słyszałaś o Starcu z Gór? O asasynach z cytadeli Alamut? W Chorasanie, w Persji?

– Do diabła z twoim Chorasanem – obróciła się w siodle. – I z twoją Persją. Jesteśmy, jeśli do cię jeszcze nie dotarło, na Śląsku, u podnóża Góry Grochowej, milę od Frankensteinu. Ale do ciebie, widzi mi się, dużo może nie docierać. Schodzisz ze stoków Grochowej o świcie po jesiennej równonocy. I diabli wiedzą pod wpływem jakiej jesteś arabskiej substancji. Ale to, że grozi nam śmierć, powinieneś pojmować. Zamknij się więc i trzymaj, bo będę jechać ostro!

●

Dzierżka de Wirsing przesadzała – strach, jak zwykle, miał wielkie oczy. Na drodze i na zarośniętym chwastami poboczu leżało tylko osiem trupów, z czego pięciu zabitych należało do zbrojnej eskorty, broniącej się do ostatka. Blisko połowa z czternastoosobowej ekipy ocalała, ratując się ucieczką w pobliskie lasy. Z tych wrócił tylko jeden –

stajenny, który, będąc w leciech, daleko nie odbieżał. I którego teraz, gdy się już wyżej podniosło słońce, odkryli w zaroślach rycerze, nadjeżdżający gościńcem od Frankensteinu.

Rycerze – ich orszak wraz z giermkami i pachołkami liczył dwadzieścia jeden głów – jechali wojennie, w pełnej białej płycie, z rozwiniętymi proporcami. Większość z nich bywała w boju, większość widziała w życiu niejedno. Mimo tego większość ta przełykała teraz ślinę na widok okrutnie posiekanych ciał, poskręcanych na piasku czarnym od wsiąkłej krwi. I nikt nie drwił z chorobliwej bladości, która na ten widok wypełzła na lica młodszych i mniej bywałych.

Słońce uniosło się wyżej, rozproszyło mgłę, w jego blasku zalśniły rubinowo skrzepłe krople, wiszące, niczym jagody, na porastających pobocze ostach i bylicach. W żadnym z rycerzy widok nie wzbudził ani estetycznych, ani poetycznych skojarzeń.

– Ale ich, kurna mać, porąbali – powiedział, splunąwszy, Kunad von Neudeck. – Ależ tu sieczka była, hej.

– Katowskie cięcia – zgodził się Wilhelm von Kauffung. – Rzeźnia.

Z lasu wyłonili się następni ocaleli, pachołcy i koniuchy. Choć bladzi i półprzytomni ze strachu, nie zapomnieli o obowiązkach. Każdy wiódł kilka koni z tych, które rozpierzchły się podczas napadu.

Ramfold von Oppeln, najstarszy z rycerzy, spojrzał z wysokości siodła na stajennego, dygocącego ze strachu wśród otaczających go jeźdźców.

– Kto was napadł? Mówże, chłopie! Uspokój się. Przeżyłeś. Nic ci już nie grozi.

– Bóg ustrzegł... – w oczach stajennego wciąż wirowała panika. – I Matka Boska Bardzka...

– Przy okazji daj na mszę. A teraz gadaj. Kto was pobił?

– A mnie ta skąd wiedzieć? Napadli... W zbroi byli... W żelazie... Jako i wy...

– Rycerze! – żachnął się dryblas z twarzą mnicha, noszący na czerwonej tarczy dwie srebrne skrzyżowane kłonice. – Rycerze napadają kupców na gościńcach! Na mękę Pańską, najwyższa pora temu raubritterstwu kres położyć. Najwyższa pora przedsięwziąć ostre jakie środki! Może, gdy kilka łbów na szafotach zleci, opamiętają się wreszcie pankowie z zameczków!

– Święta racja – przytaknął z kamienną twarzą Wencel de Hartha. – Święta racja, panie von Runge.

– A dlaczego – wznowił śledztwo von Oppeln – was napadnięto? Wieźliście co drogocennego?

– Gdzie tam... No, chyba, że konie...

– Konie – powtórzył w zamyśleniu de Hartha. – Łasa rzecz, konie ze Skałki. Ze stadniny pani Dzierżki de Wirsing... Świeć, Panie, nad jej...

Urwał, przełknął ślinę, nie mogąc oderwać oczu od zmasakrowanej twarzy kobiety, leżącej na piasku w makabrycznie nienaturalnej pozie.

– To nie ona – stajenny zamrugał nieprzytomnymi oczyma. – To nie pani Dzierżka. To niewiasta masztalerza... O, tego, co tam leży... Jechała z nami od Kłodzka...

– Pomylili się – chłodno stwierdził fakt Kauffung. – Wzięli tę masztalerzową za Dzierżkę.

– Musi wzięli – potwierdził beznamiętnie stajenny. – Bo...

– Bo co?

– Wyglądała dostojniej.

– Czyżbyście – von Oppeln wyprostował się w siodle. – Czyżbyście, panie Wilhelmie, sugerowali, że to nie był napad rabunkowy? Że to pani de Wirsing...

– Była celem? Tak. Jestem tego pewien.

– Była celem – dodał, widząc pytające spojrzenia pozostałych rycerzy. – Była celem jak Mikołaj Neumarkt. Jak Fabian Pfefferkorn... Jak inni, wbrew zakazom handlujący z... Z zagranicą.

– Winnymi są rycerze rabusie – rzekł twardo von Runge. – Nie lza dawać wiary głupim bajaniom, plotkom o spiskach i nocnych demonach. To wszystko są i były zwyczajne napady rozbójnicze.

– Mogli też – rzekł cienkim głosem młodziutki Henryk Baruth, dla odróżnienia od wszystkich innych Henryków w rodzinie zwany Szpaczkiem. – Mogli też tę zbrodnię popełnić Żydzi. Dla zdobycia chrześcijańskiej krwi, wiecie, na macę. O, pojrzyjcie na tego tu, nieszczęśnika. W tym kropli krwi chyba nie ostało...

– Jak miało ostać – Wencel de Hartha spojrzał na młodzika z politowaniem – kiedy głowy u niego nie ostało...

– Mogły tego – wtrącił ponuro Gunter von Bischofsheim – dokonać one wiedźmy na miotłach, co na nas wczoraj nocą przy ognisku spadły! Na myckę świętego Antoniego! Toż to się zaczyna pomału rozwiązywać zagadka! Przeca wam mówiłem, że był między diablicami Reinmar de Bielau, żem go rozpoznał! A rzecz pewna, że de Bielau to czarownik, że

w Oleśnicy czarną magią się parał, że uroki rzucał na niewiasty. Tamtejsi panowie mogą potwierdzić!

– Ja tam nic nie wiem – zamamrotał, patrząc na Benno Ebersbacha, Ciołek Krompusz. Obaj wczorajszej nocy rozpoznali Reynevana wśród lecących niebem wiedźm, ale woleli się z tym nie zdradzać.

– Ano, tak jest – odchrząknął Ebersbach. – My w Oleśnicy rzadko bywamy. Plotków nie słuchamy...

– Nie plotki to – spojrzał na niego Runge – lecz fakty. Bielawa czary uprawiał. Przeklętnik pono brata własnego zabił, jak Kain, gdy ten czarcie jego praktyki odkrył.

– Rzecz to pewna – przytaknął Eustachy von Rochow. – Mówił o tym pan von Reideburg, strzeliński starosta. Do niego zaś takie wieści z Wrocławia doszły. Od biskupa. Młody Reinmar de Bielau oszalał od uprawianych czarów, diabeł rozum mu pomieszał. Diabeł ręką jego kieruje, do zbrodni pcha. Zabił własnego brata, zabił pana Albrechta Barta z Karczyna, zamordował kupca Neumarkta, zamordował kupca Hanusza Throsta, ba, na księcia ziębickiego się pono zamachnął...

– Jużci zamachnął – potwierdził Szpaczek. – Do wieży za to poszedł. Ale zbiegł. Z diabelską pomocą niezawodnie.

– Jeśli to czartowska sprawa – rozejrzał się z niepokojem Kunad von Neudeck – to jedźmy stąd co żywo... Bo jeszcze się do nas co złego przyczepi...

– Do nas? – Ramfold von Oppeln pacnął dłonią w zawieszoną u siodła tarczę, powyżej herbowego srebrnego osęka przepasaną wstęgą z czerwonym krzyżem. – Do nas? Do tego znaku? Dyć żeśmy krzyż wzięli, dyć my krzyżowcy, z biskupem Konradem krzyżową wyprawą na Czechy idziem, bić heretyków, Boga bronić i religii! Nie ma do nas czart przystępu. Bośmy *milites Dei*, anielska milicja!

– Jako anielska milicja – zauważył von Rochow – mamy i nie tylko przywileje, ale i obowiązki.

– Co chcecie przez to rzec?

– Pan von Bischofsheim rozpoznał Reinmara z Bielawy wśród czarownic lecących na sabat. O tym, jak tylko zajedziemy do Kłodzka, na punkt zborny krucjaty, trzeba nam donieść Świętemu Oficjum.

– Donosić? Panie Eustachy! Wżdyśmy pasowani!

– Względem czarów i herezji donos rycerskiej czci nie plami.

– Zawsze plami!

– Nie plami!

– Plami – orzekł Ramfold von Oppeln. – Ale donieść trzeba. I się doniesie. A ninie dalej, panowie, w drogę, do Kłodzka, nie lza się nam, anielskiej milicji, na punkt zborny spóźnić.

– Byłby wstyd – potwierdził cienko Szpaczek – gdyby biskupia krucjata bez nas na Czechy ruszyła.

– Tedy jazda, w drogę – Kauffung obrócił konia. – Tym bardziej, że nic tu już po nas. Kto inszy, widzę, aferą się zajmie.

W samej rzeczy, gościńcem nadjeżdżali zbrojni burgrabiego z Frankensteinu.

●

– Oto – Dzierżka de Wirsing wstrzymała konia, westchnęła mocno, przytulony do jej pleców Reynevan poczuł to westchnienie. – Oto i Frankenstein. Most na rzece Budzówce. Na lewo od drogi hospicjum bożogrobców, kościół świętego Jerzego i Narrenturm. Na prawo młyny i budy farbiarzy. Dalej, za mostem, brama miejska, zwana Kłodzką. Tam zamek książęcy, tam wieża ratusza, tam fara świętej Anny. Zsiadaj.

– Tu?

– Tu. Ani myślę pokazywać się w pobliżu miasta. A i tobie by się zastanowić, krewniaku.

– Ja muszę.

– Tak myślałam. Zsiadaj.

– A ty?

– Ja nie muszę.

– Pytałem, dokąd pojedziesz.

Dmuchnięciem odrzuciła włosy. Spojrzała na niego. Zrozumiał spojrzenie i więcej pytań nie zadawał.

– Bywaj, krewniaku. Do widziska.

– Oby w lepszych czasach.

Rozdział dwudziesty szósty

w którym w mieście Frankenstein spotyka się wielu starych – choć niekoniecznie dobrych – znajomych.

Pośrodku niemal rynku, między pręgierzem a studnią rozciągała się spora kałuża, śmierdząca gnojem i spieniona od końskiego moczu. Pluskało się w niej sporo wróbli, dokoła zaś siedziała gromada obdartych, rozczochranych i brudnych dzieci, zajętych babraniem się w brudzie, wzajemnym ochlapywaniem, czynieniem hałasu i puszczaniem łódeczek z kory.

– Tak, Reinmarze – Szarlej dokończył polewki, drapiąc łyżką dno miski. – Trzeba przyznać, że twój nocny lot mi zaimponował. Nieźleś leciał, w samej rzeczy, ktoś mógłby rzec: orzeł. Król lataczy. Pamiętasz, prorokowałem ci to, wtedy, po lewitacji u leśnych wiedźm. Że zostaniesz orłem. I zostałeś. Choć nie myślę, żeby bez asysty Huona von Sagar, ale zawsze. Klnę się na mą kuśkę, chłopcze, robisz przy mnie ogromne postępy. Jeszcze trochę się przyłożysz, a będzie z ciebie Merlin. I zbudujesz nam tu na Śląsku Stonehenge. Takie, że to angielskie się schowa.

Samson parsknął.

– A co – podjął po chwili demeryt – z Bibersteinówną? Odstawiłeś bezpiecznie pod bramę ojcowego zamczyska?

– Niemal – Reynevan zacisnął szczęki. Poszukiwał Nikoletty – bezskutecznie – przez cały ranek, w całym Frankensteinie, zaglądał do gospód, wypatrywał po mszy pod kościołem Świętej Anny, zabrnął do Furty Ziębickiej i drogi wiodącej ku Stolzowi, wypytywał, błądził po Sukiennicach w rynku. I tam właśnie, w smatruzie, napotkał był – ku swej ogromnej radości i uldze – Szarleja i Samsona.

– Zapewne – dodał – dziewczyna jest już w domu.

Taką miał nadzieję, na to liczył. Zamek Stolz dzieliła od Frankensteinu niecała mila, wiodący do Ziębic i Opola szlak był uczęszczany, Katarzynie Biberstein wystarczyło rzec, kim jest, a podwodę i asystę dałby jej każdy kupiec, każdy rycerz czy mnich. Reynevan był więc niemal pewny, że dziewczyna już bezpiecznie dotarła na miejsce. Gryzł się jednak tym, że to nie on jej to zapewnił. Nie tylko tym się gryzł.

– Gdyby nie ty – Samson Miodek jakby czytał jego myśli – panna nie wyszłaby żywa z zamku Bodak. Ocaliłeś ją.

– A może i nas też – Szarlej oblizał łyżkę. – Stary Biberstein jak nic rozesłał pogonie, a jesteśmy, jeśli któryś z was nie zauważył, całkiem blisko miejsca napadu, znacznie bliżej niźli wczoraj wieczorem. Gdyby nas złapano... Hmm... Może panna, pomna na ratunek, przyjdzie w sukurs z instancją, wybłaga u ojczulka całość naszych członków?

– Jeśli zechce – zauważył trzeźwo Samson. – I zdąży.

Reynevan nie skomentował. Dokończył zupy.

– Wy – rzekł – też mi zaimponowaliście. Na Bodaku było pięciu uzbrojonych raubritterów rębajłów. A poradziliście sobie z nimi...

– Byli pijani – skrzywił się Szarlej. – Gdyby nie to... Ale fakt jest faktem, z niekłamanym podziwem patrzyłem na bojowe przewagi tu obecnego Samsona Miodka. A żebyś ty widział, Reinmarze, jak on wywalał bramę! Ha, zaprawdę, gdyby królowa Jadwiga miała kogoś takiego do pomocy przy furcie Wawelu, mielibyśmy teraz Habsburgów na polskim tronie... A potem nasz Samson pogromił łotrowskich Filistynów. Krótko mówiąc: to dzięki niemu obaj żyjemy.

– Ależ, Szarleju...

– Dzięki tobie żyjemy, skromny człecze. Kropka. Dzięki niemu też, wiedz to, Reinmarze, odnaleźliśmy się. Na rozstaju, gdy przyszło wybierać, ja optowałem raczej za Bardem, ale Samson uparł się na Frankenstein. Twierdził, że ma przeczucie. Zwykle wyśmiewam takie przeczucia, ale w tym wypadku, mając do czynienia z istotą nadprzyrodzoną, przybyszem z zaświatów...

– Posłuchałeś – uciął Samson, szyderstwami, standardowo już, nie przejmując się wcale. – Jak się okazuje, była to mądra decyzja.

– Nie da się ukryć. Ech, Reinmarze, jakżeż ucieszył mnie twój widok na rynku miasta Frankenstein, na tle straganu z kapciami, w cieniu wieży ratuszowej. Czy ci już mówiłem, jak bardzo...

– Mówiłeś.

– Radość z twego widoku – nie dał sobie przerwać demeryt – wpłynęła też, o czym chciałbym cię uwiadomić, na drobne korekty w moich planach. Po twoich ostatnich wyczynach, w tym zwłaszcza po hecy z Haynem von Czirne, popisie na ziębickim turnieju i wygadaniu się przed Bukiem względem kolektora, obiecałem sobie, że gdy już dotrzemy na Węgry, gdy będziesz bezpieczny, natychmiast po przybyciu

do Budy zaprowadzę cię na most na Dunaju i tak kopnę w dupę, że zlecisz do rzeki. Uradowany i wzruszony, dziś odmieniam zamiary. Chwilowo przynajmniej. Hola, gospodarzu! Piwa! Żywo!

Przyszło poczekać, karczmarz niezbyt się spieszył. Z początku zmyliły go mina i dumny głos Szarleja, nie mógł jednak nie zauważyć, że już wcześniej, gdy zamawiali zupę, goście dokonali gorączkowego nieco bilansu, wysupłując skojce i halerze z den sakiewek i zakamarków kieszeni. W gospodzie w podcieniach naprzeciw ratusza od klientów nie roiło się bynajmniej, ale karczmarz zbyt się cenił, by przesadną usłużnością reagować na okrzyki byle łapserdaków.

Reynevan łyknął piwa, zapatrzony na obdarte dzieci, babrzące się w żółtej kałuży między pręgierzem a studnią.

– Dzieci to przyszłość narodu – Szarlej złowił jego spojrzenie. – Nasza przyszłość. Cóż, jako taka zapowiada się nieciekawie. Po pierwsze, chudo. Po drugie – smrodliwie, niechlujnie i nieapetycznie do obrzydliwości.

– W istocie – przyznał Samson. – Ale można wszak zaradzić. Miast malkontencić, trzeba zadbać. Umyć. Nakarmić. Wyedukować. I już przyszłość zapewniona.

– A któż to ma się, według ciebie, tym zająć?

– Nie ja – wzruszył ramionami olbrzym. – Mnie nic do tego. Ja w tym świecie i tak nie mam przyszłości.

– Prawda. Zapomniałem – Szarlej rzucił kawałek umaczanego w resztce polewki chleba kręcącemu się w pobliżu psu. Pies był wychudzony tak, że aż zgięty w pałąk. A chleb nie pożarł, lecz pochłonął jak wieloryb Jonasza.

– Ciekawe – zastanowił się Reynevan – czy ta psina widziała kiedyś kość?

– Pewnie wtedy – wzruszył ramionami demeryt – gdy miała łapę złamaną. Ale, jak słusznie prawi Samson, mnie nic do tego. Ja też nie mam tu przyszłości, a jeśli nawet, to jawi mi się ona bardziej zasraną od tych tam pacholąt i żałośniejszą od tej tu sobaki. Kraina Madziarów widzi mi się w tej chwili odleglejszą niźli Ultima Thule. Nie zwiedzie mnie chwilowa sielanka w postaci cichego miasteczka Frankenstein, piwa, fasolowej polewki i chleba z solą. Za moment Reynevan spotka jakąś pannę i będzie to, co zwykle. Znowu przyjdzie głowę unosić,

uciekać, by na koniec ostać się gdzieś w głuszy. Albo w paskudnej kompanii.

– Ależ, Szarleju – Samson też rzucił psu chleb. – Od Opawy dzieli nas mało co więcej niż dwadzieścia mil. A z Opawy na Węgry wszystkiego jakieś osiemdziesiąt. To nie tak znowu wiele.

– Studiowałeś, widzę, w zaświatach geografię wschodnich kresów Europy?

– Studiowałem różności, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, by myśleć pozytywnie.

– Ja zawsze myślę pozytywnie – Szarlej łyknął piwa. – Z rzadka jeno wstrząsa coś moim optymizmem. I musi być to coś poważnego. Coś jak, dajmy na to, perspektywa dalekiej podróży przy kompletnym braku gotówki. Posiadanie na trzech dwóch koni, w tym jednego ochwaconego. I fakt, że jeden z nas jest ranny. Jak tam twoje ramię, Samsonie?

Olbrzym nie odpowiedział, zajęty piwem, poruszył tylko opatrzoną ręką, demonstrując, że wszystko z nią w porządku.

– Cieszę się – Szarlej spojrzał w niebo. – Jeden problem mniej. Ale inne nie znikną.

– Znikną. Częściowo przynajmniej.

– Co chcesz przez to powiedzieć, drogi nasz Reinmarze?

– Tym razem – Reynevan dumnie uniósł głowę – dopomogą nam nie twoje, lecz moje koneksje. Mam we Frankensteinie znajomości.

– Nie chodzi, pozwolę sobie spytać – zainteresował się z kamienną twarzą Szarlej – trafunkiem o jakąś mężatkę? Wdowę? Podwikę na wydaniu? Mniszkę? Inną córę Ewy, przedstawicielkę płci nadobnej?

– Kiepskie żarty. I próżne obawy. Moim tutejszym znajomkiem jest diakon od Podwyższenia Świętego Krzyża. Dominikanin.

– Ha! – Szarlej energicznie postawił kufel na ławie. – Jeżeli tak, to chyba jednak wolałbym kolejną mężatkę. Reinmarze drogi, czy ty nie odczuwasz przypadkiem uporczywych bólów głowy? Nie masz mdłości i zawrotów? Nie widzisz podwójnie?

– Wiem, wiem – machnął ręką Reynevan – co chcesz powiedzieć. *Domini canes*, psy, szkoda tylko, że wściekłe. Zawsze na usługach Inkwizycji. Banał, mój panie, banał. Nadto, trzeba ci wiedzieć, diakon, o którym mowa, ma dług wdzięczności, poważny dług wdzięczności.

Peterlin, mój brat, pomógł mu kiedyś, wyciągnął z ciężkich tarapatów finansowych.

– Ty zaś mniemasz, że to cokolwiek znaczy. Jak zwie się ów diakon?

– A co, znasz wszystkich?

– Znam wielu. Jakie nosi miano?

– Andrzej Kantor.

– Kłopoty finansowe – powiedział po chwili zadumy demeryt – zdają się być w tej rodzinie dziedziczne. Słyszałem o Pawle Kantorze, którego połowa Śląska ścigała za długi i przekręty. A w karmelu siedział ze mną Mateusz Kantor, wikary z Długołęki. Przegrał w kości cyborium i kadzielnicę. Boję się myśleć, co przegrał twój diakon.

– To dawna sprawa.

– Nie zrozumiałeś mnie. Boję się myśleć, co przegrał ostatnio.

– Nie rozumiem.

– Oj, Reinmarze, Reinmarze. Widziałeś się już z owym Kantorem, jak mniemam?

– Widziałem, i owszem. Ale nadal nie...

– Ile on wie? Co mu powiedziałeś?

– Praktycznie nic.

– Pierwsza dobra wiadomość. Darujemy sobie zatem zarówno tę znajomość, jak i dominikańską pomoc. Potrzebne nam środki zgromadzimy innym sposobem.

– Jakim, ciekawe.

– A choćby i sprzedając ten oto misternej roboty dzbanuszek.

– Srebrny. Skąd go masz?

– Chodziłem po smatruzie, oglądałem kramy, a dzbanuszek nagle znalazł się w mojej kieszeni. Ot, zagadka.

Reynevan westchnął. Samson zajrzał do kufla, tęsknie patrząc na resztki piany. Szarlej natomiast zajął się obserwacją rycerza, który w niedalekim podcieniu rugał właśnie na czym świat stoi zgiętego w ukłonie Żyda. Rycerz nosił karminowy szaperon i bogaty lentner, ozdobiony z przodu herbem przedstawiającym paprzycę, czyli kamień młyński.

– Śląsk jako taki – rzekł demeryt – pozostawiam za sobą w zasadzie bez żalu. Mówię „w zasadzie", albowiem jednego mi szkoda. Owych pięciuset grzywien, które wiózł poborca podatków. Gdyby nie okoliczności, pieniądze mogłyby być nasze. Złości mnie, wyznam, myśl,

że utuczył się nimi, przypadkiem i niezasłużenie, jakiś bałwan w typie Buka von Krossiga. Kto wie, może ów Reichenbach, który tam oto właśnie wyzywa Izraelitę od parchów i wieprzy? A może któryś z tamtych obok budy rymarza?

– Wyjątkowo dużo coś tu dziś zbrojnych i rycerstwa.

– Sporo. A popatrzcie, nowi nadjeżdżają...

Demeryt urwał raptownie i głośno wciągnął powietrze. Z wiodącej od Bramy Lochowej uliczki Srebrnogórskiej wjeżdżał bowiem właśnie na rynek raubritter Hayn von Czirne.

Szarlej, Samson i Reynevan nie czekali. Zerwali się z ławy, chcąc zemknąć chyłkiem, nim zostaną zauważeni. Za późno. Dostrzegł ich sam Hayn, dostrzegł ich jadący obok Hayna Fryczko Nostitz, dostrzegł ich Italczyk Vitelozzo Gaetani. Temu ostatniemu na widok Szarleja pobladła z wściekłości wciąż opuchnięta i oszpecona świeżą blizną gęba. W następnej sekundzie rynek miasta Frankenstein rozbrzmiał wrzaskiem i łomotem kopyt. Po chwili zaś Hayn wyładowywał złość na karczmarskiej ławie, w drzazgi rąbiąc ją toporem.

– Gonić! – ryczał do swych zbrojnych. – Za nimi!

– Tam! – wrzeszczał Gaetani. – Tam uciekli!

Reynevan pędził ile sił, ledwo mogąc nadążyć za Samsonem. Szarlej biegł przodem, wybierał drogę, sprytnie skręcając w co ciaśniejsze zaułki, a potem przedzierając się przez ogrody. Taktyka zdawała się sprawdzać – nagle ścichł za nimi stukot kopyt i wrzaski pościgu. Wypadli na spienioną w rynsztokach mydlinami uliczkę Dolnołazienną, skręcili ku Bramie Ziębickiej.

Od Bramy Ziębickiej, gadając i leniwie kiwając się w siodłach, nadjeżdżali Sterczowie, a z nimi Knobelsdorf, Haxt i Rotkirch.

Reynevan stanął jak wryty.

– Bielau! – zaryczał Wolfher Stercza. – Mamy cię, psi synu!

Nim ryk przebrzmiał, Reynevan, Szarlej i Samson już sadzili, dysząc ciężko, przez zaułki, skakali przez płoty, darli się przez gęstwę ogrodów, plątali w suszących się na sznurach prześcieradłach. Słysząc z lewa okrzyki ludzi Hayna, a za sobą ryki Sterczów, biegli na północ, w kierunku, skąd zaczął właśnie dobiegać dzwon z dominikańskiego kościoła Podwyższenia Świętego Krzyża.

– Paniczu Reinmarze! Tutaj! Tędy!

W murze otwarły się maleńkie drzwiczki, stanął w nich Andrzej Kantor, diakon od dominikanów. Mający wobec Bielawów długi wdzięczności.

– Tędy, tędy! Prędko! Nie ma czasu!

Fakt, nie było. Wbiegli do ciasnej sieni, która, gdy Kantor zamknął drzwiczki, utonęła w mroku i zapachu butwiejących szmat. Reynevan z nieopisanym hukiem wywalił jakieś blaszane naczynia, Samson potknął się i wywrócił z łomotem. Szarlej też na coś wpadł, bo zaklął sprośnie.

– Tędy! – wołał Andrzej Kantor, skądś z przodu, skąd sączyło się niewyraźne światło. – Tędy! Tutaj! Tutaj!

Po wąskich schodkach Reynevan bardziej sturlał się, niż zszedł. Wypadł wreszcie na światło dzienne, na malutkie podwóreczko wśród murów obrośniętych dzikim winem. Wybiegający za nim Szarlej nadepnął na kota, kot dziko zamiauczał. Nim miauczenie przebrzmiało, z obu podsieni wypadło i rzuciło się na nich kilkunastu ludzi w czarnych kabatach i okrągłych pilśniowych czapkach.

Ktoś narzucił Reynevanowi worek na głowę, ktoś kopniakiem podciął mu nogi. Runął na ziemię. Przygnieciono go, wykręcono ręce. Obok czuł i słyszał kotłowaninę, słyszał wściekłe sapnięcia, odgłosy razów i krzyki bólu, świadczące o tym, że Szarlej i Samson nie dają się wziąć bez walki.

– Czy Święte Oficjum... – dobiegł go roztrzęsiony głos Andrzeja Kantora. – Czy Święte Oficjum przewidziało... Za ujęcie tego heretyka... Jakąś nagrodę? Choćby niewielczutką? Biskupi *significavit* nie wspomina, ale ja... Ja mam kłopoty... Jestem w wielkiej finansowej potrzebie... Dlatego właśnie...

– *Significavit* to rozkaz, nie handlowy kontrakt – pouczył diakona zły i chrapliwy głos. – A możliwość okazania pomocy Świętej Inkwizycji jest dostateczną nagrodą dla każdego dobrego katolika. Czyżbyś nie był dobrym katolikiem, fratrze?

– Kantor... – wycharczał Reynevan z ustami pełnymi kurzu i kłaków z worka. – Kantooor! Ty skurwysynu! Ty kościelny kundlu! Ty w rzyć chędo...

Nie dano mu dokończyć. Dostał w głowę czymś twardym, w oczach mu rozbłysło. Dostał jeszcze raz, ból zapromieniował paraliżująco, palce rąk zmartwiały nagle. Ten, kto go bił, uderzył ponownie. I ponownie. I ponownie. Ból zmusił Reynevana do krzyku, krew zatętniła mu w uszach, pozbawiając przytomności.

•

Ocknął się w zupełnych niemal ciemnościach, z gardłem suchym jak wiór i językiem jak kołek. Głowa tętniła bólem, obejmującym skronie, oczy, zęby nawet. Wziął głęboki wdech i aż się zakrztusił, tak wokół śmierdziało. Poruszył się, zaszeleściła ubita słoma, na której leżał.

Nieopodal ktoś okropnie bełkotał, ktoś inny kaszlał i stękał. Tuż obok coś ciurkało, lała się woda. Reynevan oblizał pokryte lepkim nalotem wargi. Uniósł głowę i aż jęknął, tak załomotał w niej ból. Podniósł się ostrożniej, powoli. Jednego rzutu oka wystarczyło, by się zorientować, że jest w wielkiej piwnicy. W lochu. Na dnie głębokiej kamiennej studni. I że nie jest sam.

– Ocknąłeś się – stwierdził fakt Szarlej. Stał oddalony o kilka kroków i z głośnym pluskiem sikał do kubła.

Reynevan otworzył usta, ale nie zdołał wydobyć z nich dźwięku.

– To dobrze, że się ocknąłeś. – Szarlej zapiął spodnie. – Bo właśnie muszę ci oznajmić, że względem mostu na Dunaju wracamy do pierwotnej koncepcji.

– Gdzie... – wyskrzeczał wreszcie Reynevan, z trudem łykając ślinę. – Szarleju... Gdzie... jesteśmy?

– W przybytku świętej Dympny.

– Gdzie?

– W szpitalu dla obłąkanych.

– Gdzie?!

– Przecież mówię. W domu wariatów. W Narrenturmie.

Rozdział dwudziesty siódmy

w którym Reynevan i Szarlej przez czas dość długi mają spokój, opiekę lekarską, pociechę duchową, regularne odżywianie i towarzystwo nietuzinkowych ludzi, z którymi mogą do woli konwersować na ciekawe tematy. Słowem, mają to, co zwykle ma się w domu wariatów.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Błogosławione imię świętej Dympny.

Pensjonariusze Wieży Błaznów zareagowali szelestem słomy i nieskładnym, mało wyraźnym pomrukiem. Bożogrobiec bawił się pałką, postukiwał nią w otwartą lewą dłoń.

– Wy dwaj – powiedział do Reynevana i Szarleja – jesteście nowi w naszym bożym stadku. A my tu nowym nowe nadajem imiona. A że dziś czcimy świętych męczenników Korneliusza i Cypriana, tedy jeden będzie Korneliusz, a drugi Cyprian.

Ani Korneliusz, ani Cyprian nie odpowiedzieli.

– Jam jest – kontynuował beznamiętnie mnich – mistrzem szpitalnym i opiekunem Wieży. Imię moje brat Trankwilus. *Nomen omen*. Przynajmniej dopóty, dopóki mnie ktoś nie zdrzaźni.

– Drzaźni mnie zaś, trzeba wam wiedzieć, gdy kto hałasuje, ciska się, wyczynia tumulty i brewerie, zanieczyszcza siebie i okolicę, używa słów niełądnych, bluźni Bogu i świętym, nie modli się i przeszkadza modlić innym. I w ogóle grzeszy. A na grzeszników mamy tu u nas różne sposoby. Kijaszek dębowy. Ceberek z wodą zimną. Klatkę żelazną. I łańcuszek u ściany. Jasne?

– Jasne – odpowiedzieli unisono Korneliusz i Cyprian.

– Tedy – brat Trankwilus ziewnął, przyjrzał się swej pałce, dobrze wysłużonemu i wyślizganemu dębowemu drewnu – zaczynacie kurację. A wymodlicie przychylność i instancję świętej Dympny, opuści was, daj to Bóg, wariacja i obłęd, wrócicie, wyleczeni, na zdrowe łono społeczeństwa. Dympna z łaskawości słynie w świętych gromadce, szanse więc macie duże. Ale nie ustawajcie w modlitwie. Jasne?

– Jasne.

– No to z Panem Bogiem.

Bożogrobiec wyszedł po trzeszczących schodach, wijących się wokół muru i kończących gdzieś wysoko drzwiami, masywnymi, sądząc po odgłosach otwierania i zamykania. Ledwo dudniące w kamiennej studni echo przebrzmiało, Szarlej wstał.

– No, bracia w udręce – rzekł wesoło – witajcie, kimkolwiek jesteście. Wychodzi, że trochę czasu przyjdzie nam spędzić razem. Choć po niewoli, ale zawsze. Może by tak więc jednak poznać się nawzajem?

Podobnie jak przed godziną, odpowiedział mu chrobot i szelest słomy, parsknięcie, cicha klątwa i kilka innych słów i odgłosów, w większości nieprzystojnych. Tym aliści razem Szarlej nie dał się zniechęcić. Zdecydowanie podszedł do jednego ze słomianych barłogów, jakich kilkanaście uformowanych było pod ścianami wieży i wokół dzielących dno zrujnowanych filarów i arkad. Ciemność w niewielkim tylko stopniu rozjaśniało światło sączące się z góry, z maleńkich okienek u szczytu. Ale wzrok przyzwyczaił się już i co nieco widzieć się dało.

– Dobry dzień! Jestem Szarlej!

– A idźże precz – odburknął człek z barłogu. – Czepiaj się, pomyleńcze, sobie podobnych. Ja jestem zdrów na umyśle! Normalny!

Reynevan otworzył usta, zamknął je prędko i otworzył znowu. Widział bowiem, czym chcący uchodzić za normalnego się zajmuje, a zajmował się energicznym manipulowaniem przy własnych genitaliach. Szarlej chrząknął, wzruszył ramionami, poszedł dalej, ku następnemu barłogowi. Człowiek, który na nim leżał, nie poruszał się, jeśli nie liczyć lekkich drgawek i dziwnych skurczów twarzy.

– Dobry dzień! Jestem Szarlej...

– Bbb... bbuub... błe-błeee... Błeee...

– Tak myślałem. Idziemy dalej, Reinmarze. Dobry dzień! Jestem...

– Stój! Gdzie leziesz, szaleńcze? Na rysunki? Oczu nie masz?

Na twardym jak kamień klepisku, wśród odgarniętej słomy, widniały nabazgrane kredą figury geometryczne, wykresy i kolumny cyfr, nad którymi ślęczał siwy starzec z czubkiem głowy łysym jak jajo. Wykresy, figury i cyfry pokrywały też całkowicie ścianę nad jego barłogiem.

– Ach – cofnął się Szarlej. – Przepraszam. Rozumiem. Jakże mogłem zapomnieć: *noli turbare circulos meos*.

Starzec uniósł głowę, wyszczerzył poczerniałe zęby.

– Uczeni?

– Poniekąd.

– Tedy zajmijcie sobie miejsca u filara. U tego oznaczonego omegą.

●

Zajęli i wymościli sobie, nagarnąwszy słomy, barłogi pod wskazanym filarem, oznaczonym wydrapaną grecką literą. Ledwie zdążyli uporać się z zadaniem, gdy objawił się brat Trankwilus, tym razem w kompanii kilku innych zakonników w habitach z podwójnym krzyżem. Stróże grobu jerozolimskiego przynieśli parujący kocioł, ale pacjentom wieży pozwolono zbliżyć się z miskami dopiero po chóralnym odmówieniu *Pater noster*, *Ave*, *Credo*, *Confiteor* i *Miserere*. Reynevan jeszcze nie podejrzewał, że był to początek rytuału, któremu przyjdzie mu się poddawać długo. Bardzo długo.

– Narrenturm – odezwał się, tępo patrząc w dno miski, w przylepione resztki kaszy jaglanej. – We Frankensteinie?

– We Frankensteinie – potwierdził Szarlej, dłubiąc w zębach źdźbłem słomy. – Wieża jest przy hospicjum świętego Jerzego, prowadzonego przez bożogrobców z Nysy. Na zewnątrz murów miejskich, przy Bramie Kłodzkiej.

– Wiem. Przechodziłem obok. Wczoraj. Chyba wczoraj... Jakim sposobem tu trafiliśmy? Dlaczego uznano nas za umysłowo chorych?

– Najwidoczniej – demeryt parsknął śmiechem – ktoś poddał analizie nasze ostatnie postępki. Nie, drogi Cyprianie, żartowałem, aż tyle szczęścia nie mamy. To jest nie tylko Wieża Błaznów, to również... przejściowo... więzienie Inkwizycji. Karcer miejscowych dominikanów jest bowiem w remoncie. Frankenstein ma dwa miejskie więzienia, w ratuszu i pod Krzywą Wieżą, ale oba zawsze przepełnione. Dlatego tu, do Narrenturmu, wsadza się aresztowanych z nakazu Świętego Oficjum.

– Ten Trankwilus – nie rezygnował Reynevan – traktuje nas jednak jak będących niespełna rozumu.

– Skrzywienie zawodowe.

– Co z Samsonem?

– Co, co – żachnął się Szarlej. – Spojrzeli na jego gębę i puścili. Ironia, hę? Puścili, mając za idiotę. A nas zapudłowali u czubków. Szczerze powiedziawszy, pretensji nie mam, winię tylko siebie. Im o ciebie szło, Cyprianie, o nikogo więcej, tylko o tobie wspominał *significavit*. Mnie wsadzili, bo stawiałem opór, rozkwasiłem parę nosów, ha, parę kopów,

nie chwaląc się, też trafiło w to, w co trafić miało... Gdybym zachował się spokojnie, jak Samson...

– Między nami mówiąc – dokończył po chwili ciężkiego milczenia – cała moja w nim, w Samsonie, nadzieja. Że coś wymyśli i zorganizuje. I to szybko. Inaczej... Inaczej możemy mieć kłopoty.

– Z Inkwizycją? A o co nas oskarżą?

– Problem – głos Szarleja był nader ponury – nie w tym, o co nas oskarżą. Problem w tym, do czego się przyznamy.

●

Reynevan nie potrzebował wyjaśnień, wiedział, w czym rzecz. Rzeczy podsłuchane w cysterskiej grangii oznaczały wyrok śmierci, śmierci poprzedzonej torturami. O tym, że podsłuchali, nikt nie mógł się dowiedzieć. Nie wymagało wyjaśnień znaczące spojrzenie, którym demeryt wskazał innych pensjonariuszy Wieży. Reynevan też wiedział, że Inkwizycja miała w zwyczaju umieszczać wśród uwięzionych szpicli i prowokatorów. Szarlej, co prawda, obiecał, że takowych zdemaskuje szybko, ale zalecił ostrożność i konspirację również wobec innych, choćby i z pozoru uczciwych. Nawet tych, zaznaczył, nie należy dopuszczać do konfidencji. Nie warto, zawyrokował, by cokolwiek wiedzieli i mieli o czym mówić.

– Albowiem – dodał – człowiek rozciągnięty na skrzypcu mówi. Mówi dużo, mówi wszystko, co wie, mówi o czym tylko się da. Bo dopóki mówi, nie przypiekają.

Reynevan pomarkotniał. Tak widocznie, że aż Szarlej uznał za celowe dodać mu otuchy przyjaznym walnięciem w plecy.

– Głowa do góry, Cyprianie – pocieszył. – Jeszcze się za nas nie wzięli.

Reynevan pomarkotniał jeszcze bardziej i Szarlej dał za wygraną. Nie wiedział, że Reynevan wcale nie martwi się, że na mękach powie o podsłuchanych w grangii konszachtach. Że stokroć bardziej przeraża go myśl o tym, że zdradzi Katarzynę Biberstein.

●

Odpocząwszy nieco, obaj lokatorzy kwatery „Pod Omegą” porobili dalsze znajomości. Szło im rozmaicie. Jedni z pensjonariuszy Narrenturmu rozmawiać nie chcieli, jeszcze inni nie mogli, będąc w stanie, który doktorowie z praskiego uniwersytetu określali – za szkołą

Salerno – jako *dementia* bądź *debilitas*. Inni byli rozmowniejsi. Nawet ci nie bardzo jednak kwapili się z ujawnianiem personaliów, toteż Reynevan w myśli ponadawał im stosowne przydomki.

Ich najbliższym sąsiadem był Tomasz Alfa – bytował bowiem pod filarem oznaczonym taką właśnie grecką literą, a do Wieży Błaznów trafił w dniu świętego Tomasza z Akwinu, siódmego marca. Za co trafił i dlaczego tak długo siedzi, nie wyjawił, ale na Reynevanie bynajmniej nie zrobił wrażenia obłąkanego. Powiadał się wynalazcą, Szarlej jednak na podstawie manieryzmów mowy uznał go za zbiegłego mnicha. Wynajdywanie dziury w klasztornym murze, orzekł, nie może pretendować do miana prawdziwej wynalazczości.

Niedaleko od Tomasza Alfy, pod literą tau i wydrapanym na ścianie napisem: POENITEMINI mieszkał Kameduła. Ten stanu duchownego ukryć nie mógł, tonsura jeszcze nie porosła mu włosem. Więcej o nim wiadomo nie było, albowiem milczał jak prawdziwy brat z Camaldoli. I jak prawdziwy kameduła bez szemrania i słowa skargi znosił nader częste w Narrenturmie posty.

Po przeciwnej stronie, pod napisem: LIBERA NOS DEUS NOSTER sąsiadowali ze sobą dwaj osobnicy, będący, jak na ironię, sąsiadami również na wolności. Obaj zaprzeczali byciu wariatami, obaj uważali się za ofiary perfidnie uknutych intryg. Jeden, pisarz grodzki, przez bożogrobców na dzień swego przybycia ochrzczony Bonawenturą, winą za uwięzienie obarczał żonę, radą tymczasem nieskrępowanie używać sobie z gachem. Bonawentura zaraz na wstępie uraczył Reynevana i Szarleja długim wywodem o kobietach, z samego przyrodzenia swego i natury swojej podłych, przewrotnych, lubieżnych, nierządnych, niegodziwych i zdradliwych. Wywód na czas dłuższy pogrążył Reynevana w czarnych wspomnieniach i jeszcze czarniejszej melancholii.

Drugi z sąsiadów został przez Reynevana w myśli przezwany Institorem, ciągle i głośno martwił się bowiem o swoje *institorium*, czyli bogaty i profitowny kram w rynku. Wolności, twierdził, pozbawiły go, denuncjując, własne dzieci, a to w celu zawładnięcia kramem i profitami z niego. Podobnie jak Bonawentura, Institor przyznawał się do naukowych zainteresowań – obaj amatorsko parali się astrologią i alchemią. Obaj dziwnie cichli na dźwięk słowa „Inkwizycja”.

Niedaleko sąsiadów, pod napisem DUPA, miał swój barłóg jeszcze jeden obywatel Frankensteinu, nie kryjący tożsamości Mikołaj Koppirnig, wolny mularz z lokalnej strzechy i astronom amator, do tego – niestety – typ małomówny, mrukliwy i nietowarzyski.

Opodal, pod ścianą, z dala nieco od enklawy naukowców, siedział poznany już wcześniej Circulos Meos, dla skrótu Circulos. Siedział, nagarnąwszy słomy jak pelikan w gnieździe, wrażenie potęgował łysy czerep i spore wole u szyi. Tego, że nie umarł, dowodził żywym smrodem, błyskaniem łysiny i nieustannym, denerwującym skrobaniem kredy o mur lub klepisko. Wyjaśniło się, że nie był on, jak Archimedes, mechanikiem, wykresy i figury służyły innym celom. Za ich właśnie sprawą Circulos wsadzony został do wariatkowa.

Obok barłogu Izajasza, człeka młodego i apatycznego, przezwanego tak dla cytowanej co i rusz księgi prorockiej, stała budząca grozę żelazna klatka, służąca jako karcer. Klatka była pusta, a kiblujący najdłużej Tomasz Alfa nie widział, by kogokolwiek kiedykolwiek do niej wsadzono. Nadzorujący Narrenturm brat Trankwilus, oświadczył Alfa, to mnich faktycznie spokojny i bardzo wyrozumiały. Oczywiście dopóty, dopóki go ktoś nie zdrzaźni.

Normalny, który nadal wszystkich ignorował, był tym, kto niebawem „zdrzaźnił" brata Trankwilusa. Podczas porannej modlitwy Normalny oddał się bowiem swemu ulubionemu zajęciu – igraszkom z własnym przyrodzeniem. Rzecz nie uszła sokolim oczom bożogrobca i Normalny dostał tęgi wycisk dębowym kijem, którego, jak się pokazało, Trankwilus nie naszał od parady.

Mijały dni, wyznaczone nudnym rytmem posiłków i modłów. Mijały noce. Te ostatnie były udręką, tak za przyczyną dokuczliwego zimna, jak i chóralnego, koszmarnego wręcz chrapania pensjonariuszy. Dni łatwiej było znieść. Można było chociaż pogadać.

●

– Przez złość i zawiść – Circulos poruszył wolem i zamrugał zaropiałymi oczyma. – Siedzę tu przez złość ludzką i zawiść kolegów nieudaczników. Znienawidzili mnie, albowiem osiągnąłem, czego im osiągnąć się nie udało.

– Mianowicie? – zainteresował się Szarlej.

– A co ja będę – Circulos wytarł o chałat ubrudzone kredą palce. – Co ja będę wam tłomaczył, profanom, i tak nie pojmiecie.

– Wypróbujcie nas.

– No, jeśli wola... – Circulos odchrząknął, podłubał w nosie, potarł piętą o piętę. – Udała mi się rzecz niemała. Określiłem precyzyjnie datę końca świata.

– Czyżby na rok tysiąc czterysta dwudziesty? – spytał po chwili grzecznego milczenia Szarlej. – Miesiąc luty, poniedziałek po świętej Scholastyce? Niespecjalnie oryginalnie, zauważę.

– Obrażacie mnie – wypiął resztki brzucha Circulos. – Nie jestem jakimś tam nawiedzonym millenarystą, jakimś niedouczonym mistykiem, nie powtarzam za fanatykami chiliastycznych bredni. Ja zbadałem rzecz *sine ira et studio*, na podstawie źródeł naukowych i matematycznych komputacyj. Znacie Objawienie świętego Jana?

– Pobieżnie, ale owszem.

– Baranek otworzył siedem pieczęci, tak? I ujrzał Jan siedmiu aniołów, tak?

– Bezwzględnie.

– A wybranych i opieczętowanych było sto czterdzieści cztery tysiące, tak? A starszych dwudziestu czterech, tak? A dwom świadkom dano moc prorokowania przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni, tak? Gdy się więc to wszystko doda, a sumę pomnoży przez osiem, liczbę liter w słowie „Apollyon", skalkuluje się... Ach, co wam będę tłomaczył, i tak nie pojmiecie. Koniec świata nastąpi w lipcu. Dokładniej, szóstego lipca, *in octava Apostolorum Petri et Pauli*. W piątek. W południe.

– Roku?

– Obecnego, świętego. Tysiąc czterysta dwudziestego piątego.

– Taak – potarł brodę Szarlej. – Jest, widzicie, jednakowoż pewien szkopuł...

– Jaki niby?

– Mamy wrzesień.

– To żaden dowód.

– I jest po południu.

Circulos wzruszył ramionami, po czym odwrócił głowę i demonstracyjnie zagrzebał się w słomę.

– Wiedziałem – prychnął – że nie ma co gadać z nieukami. Żegnam.

•

Mikołaj Koppirnig, wolny mularz z Frankensteinu, gadatliwy nie był, jego oschłość i opryskliwość nie zraziły jednak stęsknionego za konwersacją Szarleja.

– Tak tedy – nie rezygnował demeryt – jesteście astronomem. I wsadzono was do pudła. Cóż, potwierdza się, że zbyt wnikliwe przyglądanie się niebu nie popłaca i nie przystoi dobremu katolikowi. Ale ja, mości panie, inaczej jeszcze zsumuję dwa i dwa. Koniunkcja astronomii i więzienia może oznaczać tylko jedno: podważanie teorii ptolomejskiej. Mam rację?

– Rację w czym? – odburknął Koppirnig. – W koniunkcjach? Macie, a jakże. W reszcie takoż. Toć miarkuję, żeście z tych, co zawżdy mają rację. Widywałem już takich.

– Takich na pewno nie – uśmiechnął się demeryt. – Ale o to mniejsza. Ważniejsze, jakże to jest, wedle was, z tym Ptolomeuszem? Co jest w środku wszechświata? Ziemia? Czy Słońce?

Koppirnig milczał długo.

– A niech tam sobie będzie, co chce – powiedział wreszcie gorzko. – Skąd mnie wiedzieć? Jaki tam ze mnie astronom, co ja się znam? Wszystko odwołam, do wszystkiego się przyznam. Powiem, co każą.

– Aha – rozpromienił się Szarlej. – Trafiłem więc! Zderzyła się astronomia z teologią? I postraszyli?

– Jak to? – zdziwił się Reynevan. – Astronomia jest nauką ścisłą. Co więc ma do niej teologia? Dwa a dwa jest zawsze cztery...

– I mnie się tak zdawało – przerwał ponuro Koppirnig. – Ale rzeczywistość jest inna.

– Nie rozumiem.

– Reinmarze, Reinmarze – uśmiechnął się z politowaniem Szarlej. – Naiwnyś jak dziecię. Sumowanie dwóch i dwóch nie przeczy Pismu, czego nie da się powiedzieć o obrotach ciał niebieskich. Nie można dowodzić, że Ziemia kręci się wokół nieruchomego Słońca, gdy w Piśmie napisane jest, że Jozue kazał Słońcu stanąć w miejscu. Słońcu. Nie Ziemi. Dlatego...

– Dlatego – przerwał jeszcze bardziej ponuro wolny mularz – trza się rychtować instynktem samozachowawczym. Względem niebios astrolabium i luneta mogą się mylić, Biblia jest nieomylna. Niebiosa...

– Ten, co mieszka nad kręgiem ziemi – wpadł w słowo Izajasz, wyrwany z apatii dźwiękiem słowa „Biblia” – on rozciągnął niebiosa jak tkaninę i rozpiął je jak namiot mieszkalny.

– No proszę – pokiwał głową Koppirnig. – Czubek, a wie.

– Właśnie.

– Co właśnie? – uniósł się Koppirnig. – Co właśnie? Tacyście mądrzy? Ja tam wszystko odwołam. Byle mnie ino wypuścili, wszystko potwierdzę, co zechcą. Że Ziemia jest płaska, a jej geometrycznym środkiem jest Jerozolima. Że Słońce zatacza kręgi wokół papieża, będącego środkiem wszechświata. Wszystko przyznam. Zresztą może oni mają rację? Psiakrew, ich instytucja istnieje bez mała półtora tysiąca lat. Już choćby z tego powodu nie mogą się mylić.

– A od kiedy to – zmrużył oczy Szarlej – daty leczą głupotę?

– A do diabła z wami! – zdenerwował się wolny mularz. – Sami se idźcie na męki i stos! Ja wszystko odwołuję! Ja mówię: a jednak się NIE porusza, *eppur NON si muove!*

– Cóż ja zresztą mogę wiedzieć – rzekł gorzko po chwili milczenia. – Cóż ze mnie za astronom? Jestem człek prosty.

– Nie wierzcie mu, panie Szarleju – odezwał się Bonawentura, który właśnie zbudził się z drzemki. – Teraz tak mówi, bo się stosu zląkł. A jaki to z niego astronom, we Frankensteinie wszyscy wiedzą, bo co noc na dachu z astrolabią siedzi i gwiazdy liczy. I nie on jeden w rodzinie, wszyscy u nich takie gwiazdowiedy, u Koppirnigów. Nawet ten najmłodszy, maluśki Mikołajek, co to się ludziska śmieją, że pierwsze jego słowo było „mama”, drugie „papu”, a trzecie „heliocyntryzm”.

●

Im wcześniej zapadał zmrok, im robiło się zimniej, tym większą liczbę pensjonariuszy gromadziły konwersacje i dysputy. Gadano, gadano, gadano. Najpierw razem, potem już każdy sobie.

– Zmarnują mi *institorium*. Wszystko roztrwonią, w diabły przepuszczą, na nic obrócą. Zrujnują dorobek. Dzisiejsza młodzież!

– A wszystkie białogłowy, co do jednej, kurwy. Z uczynku lub z wolej.

– Nastanie apokalipsa, nie zostanie nic. Nic zgoła. Ale co ja będę wam tłomaczył, profanom.

– A ja wam mówię, że będzie po nas wcześniej. Przyjedzie inkwizytor. Umęczą, a potem spalą. I dobrze nam tak, grzesznikom, bośmy Boga

obrazili.

– Przeto jak słomę pożera język ognisty, a siano znika w płomieniu, tak korzeń ich będzie zgnilizną, a kiełek ich jak pył porwany się wzniesie, bo odrzucili Prawo Pana Zastępów...

– Słyszycie? Czubek, a wie.

– Właśnie.

– Problem w tym – rzekł zamyślony Koppirnig – żeśmy za dużo myśleli.

– O, to, to – potwierdził Tomasz Alfa. – Przeto nie uniknąć nam kary.

– ...zostaną zgromadzeni, uwięzieni w lochu; będą zamknięci w więzieniu, a po wielu latach będą ukarani.

– Słyszycie? Czubek, a wie.

Pod ścianą, w oddaleniu, cierpiący na *dementia* i *debilitas* bełkotali i bredzili. Obok, na swym barłogu, Normalny walił konia, postękując i jęcząc.

●

W październiku nastały jeszcze większe chłody. Wówczas, szesnastego – w datach pozwalał orientować się kalendarz, jaki Szarlej wyrysował na murze kredą ukradzioną Circulosowi – do Narrenturmu trafił znajomy.

●

Znajomego wciągnęli do Wieży nie bożogrobcy, ale zbrojni w kolczugach i przeszywanych kaftanach. Stawiał opór, dostał więc kilka razy w kark, a ze schodów zrzucono go. Stoczył się i rozpłaszczył na polepie. Pensjonariusze, wśród nich Reynevan i Szarlej, przyglądali się, jak leży. Jak podchodzi do niego frater Trankwilus ze swą pałką.

– Dziś wypada – powiedział, zwyczajowo pozdrowiwszy wpierw imieniem świętej Dympny, patronki i orędowniczki chorych na umyśle – dziś wypada świętego Gawła. Aliści było tu Gawłów a Gawłów, coby się tedy nie powtarzać... Mamy dziś również pamiątkę świętego Mummolina. Tedy będziesz się, bracie, zwać Mummolinem. Jasne?

Leżący na polepie uniósł się na łokciach, spojrzał na bożogrobca. Przez chwilę wydawało się, że w krótkich a dobranych słowach skomentuje. Trankwilus też chyba tego oczekiwał, bo uniósł pałkę i

cofnął się o krok dla lepszego rozmachu. Ale leżący zgrzytnął tylko zębami i zmełł w nich wszystkie rzeczy niewypowiedziane.

– No – kiwnął głową bożogrobiec. – To rozumiem. Z Bogiem, bracie.

Leżący usiadł. Reynevan ledwie go poznał. Nie było szarego płaszcza, przepadła srebrna klamra, przepadł szaperon, przepadła *liripipe*. Obcisły wams był wytytłany w kurzu i tynku, popruty na obu watowanych barkach.

– Witaj.

Urban Horn uniósł głowę. Włosy miał zmierzwione, oko podbite, wargę rozciętą i opuchniętą.

– Witaj, Reinmarze – odrzekł. – Wiesz, wcale się nie dziwię, widząc cię w Narrenturmie.

– Jesteś cały? Jak się czujesz?

– Świetnie. Wręcz promiennie. Pewnie blask słoneczny bije mi z dupy. Zajrzyj i sprawdź. Bo mnie trudno.

Wstał, obmacał boki. Pomasował krzyże.

– Zabili mi psa – powiedział zimno. – Zatłukli. Mojego Belzebuba. Pamiętasz Belzebuba?

– Przykro mi – Reynevan dobrze pamiętał zęby brytana o cal od twarzy. Ale naprawdę było mu przykro.

– Tego im nie daruję – zgrzytnął zębami Horn. – Policzę się z nimi. Gdy się stąd wyrwę.

– Z tym może być problem.

– Wiem.

●

Podczas prezentacji Horn i Szarlej długo sobie wzajem się przypatrywali, mrużąc powieki i przygryzając wargi. Widać było, że trafił cwaniak na cwaniaka i frant na franta. Widać to było tak wyraźnie, że żaden z frantów o nic drugiego nie zapytał.

– Tak tedy – rozejrzał się Horn – siedzimy, gdzie siedzimy. Frankenstein, szpital kanoników regularnych, stróżów grobu jerozolimskiego. Narrenturm. Wieża Błaznów.

– Nie tylko – zmrużył powieki Szarlej. – O czym szanowny pan niewątpliwie wie.

– Szanowny pan niewątpliwie wie – przyznał Horn. – Wsadziła go tu bowiem Inkwizycja i biskupi *significavit*. Cóż, co by o Świętym Oficjum

nie myśleć, ich więzienia są zwykle porządne, przestronne i schludne. Tutaj też, jak węchem czuję, kible zwykło się co jakiś czas opróżniać, a pensjonariusze nieźle się prezentują... Widać, bożogrobcy dbają. A jak karmią?

– Podle. Ale regularnie.

– To nieźle. Ostatnim głupiejowem, jakie oglądałem, była florencka Pazzeria przy Santa Maria Nuova. Trzeba było zobaczyć tamtejszych pacjentów! Wygłodzeni, zawszeni, zarośnięci, brudni... A tu? Was, jak widzę, choćby od razu na dwór... No, może nie na cesarski, może nie na Wawel... Ale już w takim Wilnie, gwarantuję, moglibyście wystąpić tak, jak stoicie, nie wyróżnilibyście się zbytnio. Taaak... Mogłem, mogłem trafić gorzej... Gdybyż jeszcze nie było tu tych nienormalnych... Furiatów, mam nadzieję, wśród nich nie ma? Ani, strzeż Boże, sodomitów?

– Nie ma – uspokoił Szarlej. – Ustrzegła nas święta Dympna. Tylko ci, o. Leżą, bełkocą, bawią się ptaszkami. Nic szczególnego.

– To świetnie. Cóż, pobędziemy trochę razem. Może i czas dłuższy.

– Może i krótszy, niż sądzicie – uśmiechnął się krzywawo demeryt. – My siedzimy tu już od świętego Korneliusza. I spodziewamy się inkwizytora co dnia. Kto wie, może to już dziś?

– Dziś nie – zapewnił spokojnie Urban Horn. – Jutro też nie. Inkwizycja ma w tej chwili inne zajęcia.

●

Choć naciskany, do wyjaśnień przystąpił Horn dopiero po obiedzie. Który, nawiasem mówiąc, zjadł ze smakiem. I nie pogardził resztką, której nie dojadł Reynevan, czujący się ostatnio marnie i tracący apetyt.

– Jego prześwietność biskup wrocławski Konrad – wyjaśnił Horn, palcem wybierając z dna miski ostatnie krupki – uderzył na husyckie Czechy. Wespół z panem Putą z Czastolovic zbrojnie najechał Nachodsko i Trutnovsko.

– Krucjata?

– Nie. Łupieska rejza.

– To przecież – uśmiechnął się Szarlej – dokładnie to samo.

– Oho – parsknął Horn. – Miałem pytać, za co szanowny pan siedzi, ale już nie zapytam.

– I dobrze. Co tedy z tą rejzą?

– Pretekstem, o ile w ogóle potrzebny był pretekst, było rzekome obrabowanie przez husytów poborcy podatkowego, dokonane podobno trzynastego września. Zagrabiono wówczas ponoć półtora tysiąca z górą grzywien...

– Ile?

– Powiedziałem: rzekomo, podobno, ponoć. Nikt w to nie wierzy. Ale jako pretekst biskupowi pasowało. Czas zaś wybrał akuratnie. Uderzył pod nieobecność husyckich wojsk polnych z Hradca Kralove. Tamtejszy hetman, Jan Czapek z San, pociągnął był bowiem na Podjesztedzie, aż pod łużycką granicę. Biskup, wynika z tego, niezłych ma szpiegów.

– Ano, pewnie ma – Szarlej nawet nie mrugnął. – Mówcie dalej. Panie Horn? Mówcież, niechajcie wariatów. Zdążycie się jeszcze napatrzeć.

Urban Horn oderwał wzrok od Normalnego, z entuzjazmem oddającego się samogwałtowi. I od jednego z debili, w skupieniu lepiącego z własnych odchodów malutki ziggurat.

– Taak... Na czym to ja... Aha. Biskup Konrad i pan Puta weszli do Czech szlakiem przez Lewin i Homole. Spustoszyli i złupili okolice Nachodu, Trutnova i Vizmburka, popalili wsie. Grabili, mordowali, kto wpadł im w ręce, chłopów, baby, bez różnicy. Oszczędzano dzieci mieszczące się pod brzuch konia. Niektóre.

– A potem?

– Potem...

●

Stos dogasał, płomień nie szalał już i nie trzeszczał, pełgał jeszcze tylko po kupie drewna. Drewno nie spaliło się w całości, raz, że dzień był słotny, dwa, wzięto wilgotne, by heretyk nie zgorzał zbyt szybko, by poskwierczał i należycie poznał przedsmak kary, która czeka go w piekle. Przesadzono jednak, nie zadbano o zachowanie złotego środka, umiaru i kompromisu – nadmiar mokrego opału sprawił, że delikwent nie spłonął, ale za to bardzo prędko udusił się dymem. Nawet nie zdążył specjalnie pokrzyczeć. Nie spalił się też doszczętnie – przykrępowany łańcuchem do pala trup zachował człekokształtną z grubsza postać. Krwiste, niedosmażone mięso w wielu miejscach trzymało się jeszcze szkieletu, skóra zwisała poskręcanymi warkoczami, a obnażona tu i ówdzie kość była bardziej czerwona niż czarna. Głowa upiekła się raczej równo, zwęglona skóra odpadła od czerepu. Bielejące zaś w

rozdziawionych w przedśmiertnym wrzasku ustach zęby nadawały całości makabrycznego dość wyglądu.

Wygląd ten, paradoksalnie, rekompensował rozczarowanie z tytułu zbyt krótkotrwałej i mało męczeńskiej kaźni. Wywierał, co tu dużo gadać, lepszy skutek psychologiczny. Na miejsce *auto-da-fé* spędzono tłum schwytanych w pobliskiej wsi Czechów, tymi widok jakiegoś bezkształtnego skwarka na palenisku pewnie by nie wstrząsnął. Domyślając się jednak w niedopieczonym i wyszczerzonym trupie swego niedawnego kaznodziei, Czesi załamywali się zupełnie. Mężczyźni dygotali, zakrywszy oczy, kobiety wyły i zawodziły, dziko darły się dzieci.

Konrad z Oleśnicy, biskup Wrocławia, wyprostował się w siodle, dumnie i energicznie, aż zgrzytnęła zbroja. Początkowo miał zamiar wygłosić przed jeńcami mowę, kazanie, mające uświadomić motłochowi całe zło herezji i ostrzec przed srogą karą, jaka spotka odstępców od wiary. Zrezygnował jednak, patrzył tylko, wydymając wargi. Po co było język sobie strzępić? Słowiańska hołota i tak słabo rozumiała po niemiecku. A o karze za kacerstwo lepiej i dobitniej od słów mówił spalony zewłok przy palu. Posieczone, pokaleczone nie do rozpoznania trupy, zwalone na stos pośrodku rżyska. Ogień, szalejący po strzechach osady. Słupy dymu, bijące w niebo z innych podpalonych wsi nad Metują. Dobiegające ze stodoły przeraźliwe krzyki młódek, zawleczonych tam na uciechę przez kłodzkich knechtów pana Puty z Czastolovic.

W tłumie Czechów szalał i srożył się ojciec Miegerlin. W asyście zbrojnych, w towarzystwie kilku dominikanów ksiądz polował na husytów i ich sympatyków. W polowaniu pomagał spis nazwisk, który Miegerlin dostał od Birkarta Grellenorta. Ksiądz nie miał jednak Grellenorta za wyrocznię, a jego spisu za świętość. Twierdząc, że heretyka pozna po oczach, uszach i ogólnym wyrazie twarzy, księżulo w czasie całej wyprawy nałapał już z pięć razy więcej ludzi, niż było na liście. Część mordowano na miejscu. Część szła w pęta.

– Co z tymi? – spytał, podjeżdżając, marszałek biskupi, Wawrzyniec von Rohrau. – Wasza dostojność? Co przykażecie z nimi zrobić?

– To samo – Konrad z Oleśnicy spojrzał na niego surowo – co i z poprzednimi.

Widząc ustawiających się kuszników i knechtów z piszczałami, tłum Czechów podniósł okropny wrzask. Kilkunastu mężczyzn wyrwało się z ciżby i runęło do ucieczki, puścili się za nimi konni, doganiali, rąbali i dźgali mieczami. Inni zbili się ciasno, klękali, padali na ziemię. Mężczyźni ciałami zasłaniali kobiety. Matki – dzieci.

Kusznicy kręcili korbami.

Cóż, pomyślał Konrad, w tym tłumie są pewnie jacyś niewinni, może i dobrzy katolicy. Ale Bóg rozpozna swoje owieczki.

Jak rozpoznawał w Langwedocji. W Béziers, w Carcassonne, w Tuluzie. W Montségur.

Przejdę do historii, pomyślał, jako obrońca prawdziwej wiary, pogromca herezji, śląski Szymon de Montfort. Potomność będzie wspominać moje imię z czcią. Jak Szymona właśnie, jak Schwenckefelda, jak Bernarda Gui. To potomność. Względem zaś dnia dzisiejszego, to może wreszcie docenią mnie w Rzymie? Może wreszcie podniesion będzie Wrocław do rangi archidiecezji, a ja zostanę arcybiskupem Śląska i elektorem Rzeszy? Może skończy się ta farsa, że formalnie diecezja jest częścią polskiej prowincji kościelnej i formalnie podlega – na pośmiewisko chyba – polskiemu metropolicie, arcybiskupowi Gniezna? Jasne, że prędzej diabli mnie porwą, niżbym miał uznać Polaczka za zwierzchnika, ale jakież to upokorzenie, podlegać takiemu Jastrzębcowi. Który – Boże, patrzysz na to! – bezczelnie domaga się przyjęcia jego duszpasterskiej wizytacji! We Wrocławiu! Polak we Wrocławiu! Nigdy! *Nimmermehr!*

Huknęły pierwsze strzały, szczęknęły cięciwy kusz, kolejni próbujący wymknąć się z kotła zginęli od mieczy. Wrzask mordowanych wzbił się w niebo. Tego, myślał biskup Konrad, opanowując spłoszonego rumaka, tego nie mogą w Rzymie nie dostrzec, tego nie mogą nie docenić. Że tu, na Śląsku, na pograniczu Europy i chrześcijańskiej cywilizacji, to ja, Konrad Piast z Oleśnicy, dzierżę wysoko krzyż. Że jam jest prawdziwy *bellator Christi*, *defensor* i orędownik katolicyzmu. A na heretyków i apostatów – kara i bicz Boży, *flagellum Dei*.

Na wrzaski mordowanych nałożyły się nagle krzyki od strony ukrytego za wzgórzem gościńca, po chwili z łomotem kopyt wypadł stamtąd poczet jeźdźców, galopem pędzących na wschód, ku Lewinowi. Za konnymi z turkotem toczyły się wozy, woźnice wrzeszczeli, wstając na kozłach, bez litości smagali konie, usiłując zmusić je do szybszego

biegu. Za wozami gnano ryczące krowy, za krowami biegli piesi, wrzeszcząc głośno. Biskup wśród rozgardiaszu nie zrozumiał, co krzyczą. Ale inni zrozumieli. Rozstrzeliwujący Czechów knechci odwrócili się i jak jeden mąż rzucili do ucieczki, za konnymi, za wozami, za piechotą, wypełniającą już cały gościniec.

– Dokąd! – zaryczał biskup. – Stać! Co z wami? Co się dzieje!

– Husyci! – wrzasnął, wrywając przy nich konia, Otto von Borschnitz. – Husyci, księże! Idą na nas husyci! Husyckie wozy!

– Bzdura! Nie ma polnych wojsk w Hradcu! Husyci pociągnęli na Podjesztedzie!

– Nie wszycy! Nie wszyscy! Idą! Idą na nas! Uciekaaaać! Ratujcie życie!

– Stać! – ryknął, czerwieniejąc, Konrad. – Stójcie, tchórze! Stawać do walki! Do walki, psie syny!

– Ratuj się! – zawył, galopując obok, Mikołaj Zedlitz, starosta otmuchowski. – Husyyyci! Idą na nas! Husyyyyci!

– Pan Puta i pan Kolditz już uszli! Ratuj się, kto może!

– Stójcie... – biskup na próżno usiłował przekrzyczeć pandemonium. – Panowie rycerze! Jakże tak...

Koń zaszalał pod nim, stanął dęba, Wawrzyniec von Rohrau chwycił go za wodze i opanował.

– Uciekajmy! – krzyknął. – Wasza przewielebność! Ratujmy życie!

Gościńcem cwałowali dalsi konni, strzelcy i pancerni, wśród tych ostatnich biskup poznał Sandera Bolza, Hermana Eichelborna w płaszczu joannity, Hanusza Czenebisa, Jana Haugwitza, któregoś z Schaffów, łatwych do zidentyfikowania po widocznych z daleka tarczach *palé d'argent et de gueules*. Za nimi, z wykrzywionymi z przerażenia twarzami, gnali na łeb na szyję Markwart von Stolberg, Gunter Bischofsheim, Ramfold Oppeln, Niczko von Runge. Rycerze, którzy jeszcze wczoraj prześcigali się w przechwałkach, gotowi atakować nie tylko Hradec Kralove, ale i samo Hradiszcze Góry Tabor. A teraz pierzchali w popłochu.

– Ratuj się, kto żywy! – wrzasnął, pędząc obok, Tristram Rachenau. – Idzie Ambroż! Ambrooooż!

– Chryste, zmiłuj się! – bełkotał, biegnąc obok biskupiego konia, ksiądz Miegerlin. – Chryste, ocal!

Naładowany zdobyczą wóz ze złamanym kołem zatarasował gościniec. Zepchnięto go i obalono, w błoto posypały się kuferki,

skrzynki, beczułki, pierzyny, kilimy, kożuchy, buty, połcie słoniny, inny dobytek, zagrabiony w palonych wsiach. Utknął kolejny wóz, za nim jeszcze jeden, woźnice zeskakiwali i uciekali pieszo. Droga usłana już była łupem ciśniętym przez knechtów. Po chwili pośród węzełków i tobołków ze zdobyczą biskup zobaczył porzucone pawęże, halabardy, berdysze, kusze, nawet broń palną. Odciążeni knechci uciekali tak chyżo, że doganiali konnych i pancernych. Nie mogący nadążyć wyli i wrzeszczeli w panice. Ryczały krowy, beczały owce.

– Prędzej, prędzej, wasza przewielebność... – ponaglał trzęsącym się głosem Wawrzyniec von Rohrau. – Ratujmy się... Ratujmy... Byle do Homola... Do granicy...

Na środku gościńca, częściowo wdeptana w ziemię, obfajdana przez bydło, obsypana obwarzankami i skorupami potłuczonych garnków, leżała chorągiew z wielkim czerwonym krzyżem. Znak krucjaty.

Konrad, biskup Wrocławia, zagryzł wargi. I dał koniowi ostrogę. Na wschód. Ku Homolu i Lewińskiej Przełęczy. Ratuj się, kto żywy. Byle prędzej. Prędzej. Bo idzie...

– Ambroż! Idzie Ambrooooż!

●

– Ambroż – kiwnął głową Szarlej. – Były hradecki proboszcz od Świętego Ducha. Słyszałem o nim. Był u boku Żiżki aż do jego zgonu. To niebezpieczny radykał, charyzmatyczny trybun ludowy, prawdziwy przywódca tłumów. Umiarkowani kalikstyni boją się go jak ognia, bo Ambroż umiarkowanie uważa za zdradę ideałów Husa i Kielicha. A na jedno jego skinienie podnosi się tysiąc taboryckich cepów.

– Fakt – potwierdził Horn. – Ambroż szalał już podczas poprzedniej biskupiej rejzy, w roku dwudziestym pierwszym. Wtedy, jak pamiętacie, skończyło się zawieszeniem broni, jakie z biskupem Konradem zawarli Hynek Kruszyna i Czeniek z Vartenberka. Żądny krwi kapłan wskazał obu jako zdrajców i kunktatorów, a motłoch rzucił się na nich z cepami, ledwo zdołali uciec. Ambroż od tamtego czasu wciąż mówi o odwecie... Reinmarze? Co ci jest?

– Nic.

– Wyglądasz – ocenił Szarlej – na nieobecnego duchem. Nie jesteś ty aby chory? Mniejsza z tym. Wróćmy do biskupiej rejzy, drogi panie Mummolinie. Co ona ma wspólnego z nami?

– Biskup nałapał husytów – wyjaśnił Horn. – Podobno. To znaczy: podobno husytów, bo nałapał na pewno. Jakoby miał listę, według której łapał. Mówiłem, że dobrych ma szpiegów?

– Mówiliście – kiwnął głową Szarlej. – Inkwizycja zatem jest zajęta wyciąganiem z owych jeńców zeznań. Chwilowo więc, sądzicie, nie będzie miała na nas czasu?

– Nie sądzę. Wiem.

●

Do rozmowy, do której musiało dojść, doszło wieczorem.

– Horn.

– Słucham cię, chłopcze, w najwyższym skupieniu.

– Psa, jakkolwiek szkoda zwierzęcia, nie posiadasz już.

– Trudno – oczy Urbana Horna zwęziły się – tego nie dostrzec.

Reynevan zachrząkał głośno, by zwrócić uwagę Szarleja, który opodal grał z Tomaszem Alfą w szachy ulepione z gliny i chleba.

– Nie uświadczysz też tutaj – kontynuował – ni żadnego wykrotu, ni humorów, ni fluidów. Słowem, niczego, co mogłoby cię uchronić przed koniecznością udzielenia mi odpowiedzi na pytania. Te same, które postawiłem ci w Balbinowie, w stajni mego zamordowanego brata. Pamiętasz, o co wtedy pytałem?

– Nie miewam kłopotów z pamięcią.

– Wspaniale. Odpowiedzi na pytania, które jesteś mi dłużny, nie sprawią ci zatem kłopotów również. Słucham zatem. Gadaj, ale już.

Urban Horn podłożył ręce pod kark, przeciągnął się. Potem spojrzał Reynevanowi w oczy.

– Proszę, proszę – powiedział. – Jak ostro. Ale już. A jak nie już, to co? Co mnie spotka, jeśli na żadne pytania nie odpowiem? Wychodząc ze słusznego poniekąd założenia, że nic nie jestem ci dłużny? Co wtedy? Jeśli wolno spytać?

– Wtedy – Reynevan spojrzeniem upewnił się, czy Szarlej słucha – możesz zostać obity. I to zanim zdążysz wymówić *credo in Deum patrem omnipotentem*.

Horn milczał czas jakiś, nie zmieniając pozycji ani nie wyjmując splecionych dłoni spod karku.

– Wspomniałem już – odezwał się wreszcie – że nie byłem zaskoczony, widząc cię tutaj. W sposób oczywisty zlekceważyłeś

przestrogi i rady kanonika Beessa, nie usłuchałeś też moich, a coś takiego musiało się źle dla ciebie skończyć, cud, że jeszcze żyjesz. Ale siedzisz, chłopcze. Jeśliś dotąd nie zmiarkował, to zmiarkuj: siedzisz w Wieży Błaznów. I żądasz ode mnie odpowiedzi na pytania, domagasz się wyjaśnień. Pragniesz wiedzy. A co, jeśli wiedzieć można, zamierzasz z ową począć? Na co ty liczysz? Że wypuszczą cię stąd dla uczczenia rocznicy odnalezienia relikwij świętego Smaragdusa? Że oswobodzi cię czyjaś wymuszona pokutą dobroczynność? Otóż nie, Reinmarze z Bielawy. Czeka cię inkwizytor i śledztwo. A wiesz ty, co to jest *strappado*? Jak myślisz, jak długo wytrzymasz, gdy podciągną cię za wykręcone do tyłu ręce? Obciążywszy wpierw u kostek czterdziestofuntowym ciężarem? A pod pachy podstawią pochodnie? Co? Jak długo, twoim zdaniem, potrwa, nim zaczniesz śpiewać? Powiem ci: nim zdążysz wymówić *Veni Sancte Spiritus*.

– Dlaczego zabito Peterlina? Kto go zabił?

– Upartyś, chłopcze, niby baran. Nie pojąłeś, co mówiłem? Nic ci nie powiem, niczego, co mógłbyś wypaplać na mękach. Gra jest zbyt ważna, a stawka za wysoka.

– Jaka gra? – rozdarł się Reynevan. – Jaka stawka? Gdzieś mam wasze gry! Twoje tajemnice dawno już przestały nimi być, sprawa, której służysz, też już nie jest sekretem. Myślisz, że co, że nie umiem zsumować dwóch i dwóch? Wiedz zresztą, że gwiżdżę na to. W zadku mam spiski i spory religijne. Słyszysz, Horn? Nie domagam się, byś wydawał wspólników, zdradzał dalsze skrytki, w których przechowywany jest Joannes Wicleph Anglicus, *doctor evangelicus super omnes evangelistas*. Ale muszę, do diabła, wiedzieć, dlaczego, jak i z czyjej ręki zginął mój brat. I ty mi to powiesz. Choćbym miał to z ciebie wytłuc!

– Oho! Patrzcie kogucika!

– Wstawaj. Zaraz dostaniesz po mordzie.

Horn wstał. Szybkim, zwinnym ruchem, przywodzącym na myśl rysia.

– Spokojnie – syknął. – Spokojnie, młodszy panie von Bielau. Bez nerwów. Cholera piękności szkodzi. Gotoweś zbrzydnąć. I stracić swoje słynne już na cały Śląsk powodzenie u mężatek.

Wychyliwszy korpus w tył, Reynevan mocno kopnął go pod kolano kopniakiem podpatrzonym u Szarleja. Zaskoczony Horn padł na klęczki. Ale od tego miejsca Szarlejowa taktyka zaczęła zawodzić. Mającego

złamać mu nos ciosu Horn uniknął ruchem nieznacznym, acz szybkim, pięść Reynevana zawadziła tylko o ucho. Horn przedramieniem odbił szeroki i dość chaotyczny lewy sierpowy, rysio zwinnie zerwał się z klęczek, odskoczył.

– No, no – błysnął zębami. – Kto by się spodziewał? Ale skoro tak bardzo tego pragniesz, chłopcze... Jestem do usług.

– Horn – Szarlej, nie odwracając się, chlebową królową zabił chlebowego konia Tomasza Alfy. – Jesteśmy w więzieniu, znam zwyczaj, nie wtrącę się. Ale przysięgam, wszystko, co mu zrobisz, ja tobie zrobię w dwójnasób. Wliczając zwłaszcza zwichnięcia i fraktury.

Poszło szybko. Horn doskoczył jak prawdziwy ryś, płynnie i zwinnie, tanecznie. Reynevan uchylił się przed pierwszym uderzeniem, oddał, trafiając nawet, ale tylko raz, reszta ciosów bezskutecznie i bezsilnie spłynęła po gardach. Horn uderzył tylko dwa razy, bardzo szybko. Oba razy celnie. Reynevan z impetem uderzył tyłkiem o klepisko.

– Jak dzieci – powiedział, przesuwając króla, Tomasz Alfa. – Zupełnie jak dzieci.

– Wieża bije pionka – powiedział Szarlej. – Szach i mat.

Urban Horn stanął nad Reynevanem, trąc policzek i ucho.

– Nie chcę już nigdy wracać do tej sprawy – powiedział chłodno. – Nigdy. Ale żeby nie wyszło, żeśmy na próżno dali sobie po facjatach, zaspokoję twą ciekawość choć trochę i zdradzę coś niecoś. Coś, co tyczy się twego brata Piotra. Chciałeś wiedzieć, kto go zabił. Nie wiem otóż kto, ale wiem co. Jest więcej niż pewne, że Piotra zabił twój romans z Adelą Sterczową. Będący pretekstem, pretekstem znakomitym, niemal doskonale maskującym prawdziwe powody. Nie powiesz mi, że już sam na to nie wpadłeś. Jakoby umiesz sumować dwa i dwa.

Reynevan starł krew spod nosa. Nie odpowiedział. Oblizał puchnącą wargę.

– Reinmarze – dodał Horn. – Ty źle wyglądasz. Nie masz ty aby gorączki?

●

Przez czas jakiś Reynevan się dąsał. Na Horna – z wiadomych przyczyn, na Szarleja – bo nie interweniował i nie pobił Horna. Na Koppirniga, że chrapał, na Bonawenturę, że śmierdział, na Circulosa, na

brata Trankwilusa, na Narrenturm i na świat cały. Na Adelę de Stercza, bo paskudnie się wobec niego zachowała. Na Katarzynę Biberstein – bo on paskudnie się wobec niej zachował.

Na domiar złego czuł się źle. Miał katar, trzęsły nim dreszcze, źle spał, a budził się mokry od potu i zmarznięty.

Dręczyły go sny, w których wciąż i nieustannie czuł zapach Adeli, jej pudru, jej różu, jej pomadki, jej henny – na zmianę z zapachem Katarzyny, jej kobiecości, dziewczęcego potu, mięty i tataraku we włosach. Palce i dłonie pamiętały wracający w snach dotyk – i też porównywały. Nieustannie porównywały.

Budził się zlany potem. A na jawie przypominał sobie i nie przestawał porównywać.

Zły nastrój potęgowali Szarlej i Horn, którzy od incydentu zaprzyjaźnili się i pokumali, weszli w komitywę, przypadł, widać było, frant frantowi do gustu i poznał się ćwik na ćwiku. Siadując „Pod Omegą", frantowie wiedli długie rozmowy. A na pewien temat jakby się uwzięli, w kółko do niego wracali. Nawet jeśli zaczynali od czegoś zupełnie innego – jak chociażby od widoków na wydostanie się z ciupy.

– Kto wie – mówił cicho Szarlej, w zamyśleniu obgryzając nadłamany paznokieć kciuka. – Kto wie, Horn. Może będziemy mieli szczęście... Mamy, widzisz, pewne nadzieje... Kogoś za murami...

– Kogóż to? – Horn spojrzał na niego bystro. – Jeśli można wiedzieć?

– Wiedzieć? A po cóż? Wiesz, co to jest *strappado*? Jak myślisz, jak długo wytrzymasz, gdy podciągną cię za...

– Dobra, dobra, daruj sobie. Ot, ciekawiło mnie, czy wasza nadzieja wypadkiem nie w ukochanej Reinmara, Adeli de Stercza. Mającej obecnie, jak wieść niesie, duże wzięcie i wpływy wśród Piastów śląskich.

– Nie – zaprzeczył Szarlej, zauważalnie ubawiony wściekłą miną Reynevana. – W niej akurat nadziei nie pokładamy. Nasz drogi Reinmar ma, i owszem, powodzenie u płci nadobnej, ale nie wiążą się z tym żadne korzyści, poza, oczywiście, nader krótkotrwałą przyjemnością z pochędóżki.

– Tak, tak – zadumał się pozornie Horn – samo powodzenie u kobiet nie wystarczy, trzeba mieć jeszcze do nich szczęście. Dobrą, że użyję eufemizmu, rękę. Wtedy ma się szanse mieć nie tylko zgryzoty i stracone zachody miłości, ale i jakieś profity. Choćby w takiej sytuacji

jak nasza. Wszak nie kto inny, a miłująca dzieweczka uwolniła z okowów Walgierza Wdałego. Zakochana Saracenka wybawiła z niewoli Huona z Bordeaux. Litewski kniaź Witold uciekł z więzienia na zamku w Trokach z pomocą kochającej żony, księżnej Anny... Zaraza, Reinmarze, ty naprawdę źle wyglądasz.

●

– *...Ecce enim veritatem dilexisti incerta et occulta sapientiae tuae manifestasti mihi. Asperges me hyssopo, et mundabor...* Hej! Żebym ja tam zaraz którego nie musiał pokropić! *Lavabis me...* Hola! Nie ziewać tam! Tak, tak, Koppirnig, to do ciebie było! A ty, Bonawentura, czego czochrasz się o mur jak świnia? Przy modlitwie? Godności, godności więcej! I któremu to, chciałbym wiedzieć, tak nogi śmierdzą? *Lavabis me et super nivem dealbabor. Auditui meo dabis gaudium...* Święta Dympno... A temu co znowu?

– Jest chory.

Reynevana bolały plecy, na których leżał. Zdziwił się, że leży, albowiem dopiero co klęczał przy modlitwie. Posadzka ziębiła, zimno promieniowało przez słomę, miał wrażenie, że leży na lodzie. Dygotał z zimna, trząsł się cały, szczękał zębami tak, że od skurczów bolały mięśnie żuchw.

– Ludzie! Toż on rozpalony jak piec Molocha!

Chciał zaprotestować, czyż nie widzą, że ziębnie, że trzęsie się od chłodu? Chciał prosić, by go czymś okryli, ale nie zdołał przecisnąć przez dzwoniące zęby nawet jednego artykułowanego słowa.

– Leż. Nie ruszaj się.

Obok ktoś rzęził, zanosił się kaszlem. Circulos, to chyba Circulos tak kaszle, pomyślał, z nagłym przerażeniem zdając sobie sprawę z faktu, że kaszlącego, choć oddalonego o dwa kroki, widzi jako bezkształtną, rozmywającą się plamę. Zamrugał. Nie pomogło. Poczuł, jak ktoś ociera mu czoło i twarz.

– Leż spokojnie – powiedziała pleśń na murze głosem Szarleja. – Leż.

Był okryty, ale tego, by go okrywano, nie pamiętał. Już go tak nie trzęsło, zęby nie szczękały.

– Jesteś chory.

Chciał powiedzieć, że on wie lepiej, w końcu jest lekarzem, studiował medycynę w Pradze i potrafi odróżnić chorobę od chwilowego

przemarznięcia i osłabienia. Ku swemu zdziwieniu z jego otwartych ust, miast mądrej przemowy, wyrwał się tylko jakiś okropny skrzek. Kaszlnął silnie, gardło zabolało i zapiekło. Wysilił się i kaszlnął raz jeszcze. I stracił przytomność z tego wysiłku.

●

Majaczył. Marzył. O Adeli i o Katarzynie. W nozdrzach miał zapach pudru, różu, mięty, henny, tataraku. Palce i dłonie pamiętały dotyk, miękkość, twardość, gładkość. Gdy zamykał oczy, widział skromną, zawstydzoną *nuditas virtualis* – małe okrąglutkie piersi ze stwardniałymi od żądzy sutkami. Cienką talię, wąskie biodra. Płaski brzuch. Wstydliwie przykurczone uda...

Nie wiedział już, która z nich jest która.

●

Zmagał się z chorobą przez dwa tygodnie, do Wszystkich Świętych. Potem, gdy już wyzdrowiał, dowiedział się, że kryzys i przesilenie miały miejsce około Szymona i Judy, standardowo, siódmego dnia. Dowiedział się też, że ziołowe driakwie i napary, które go uratowały, dostarczył brat Trankwilus. A podawali mu je Szarlej i Horn. Czuwając przy nim na zmianę.

Rozdział dwudziesty ósmy

w którym nasi bohaterowie nadal są, by użyć słów proroka Izajasza, *sedentes in tenebris* – po ludzku zaś mówiąc, odsiadka w Narrenturmie trwa. Później zaś na Reynevana wywierane są naciski. Już to za pomocą argumentów, już to – instrumentów. I diabli wiedzą, czym by się to skończyło, gdyby nie te porobione na studiach znajomości.

Dwa tygodnie, które choroba wymazała Reynevanowi z życiorysu, wiele w wieży nie zmieniły. Ot, zrobiło się jeszcze zimniej, co jednak po Zaduszkach na miano fenomenu nie zasługiwało bynajmniej. W jadłospisie jął przeważać śledź, przypominając o zbliżającym się adwencie. W zasadzie prawo kanoniczne nakazywało w adwencie pościć dopiero cztery niedziele przed Bożym Narodzeniem, ale bardzo pobożni – a bożogrobcy do nich należeli – zaczynali post wcześniej.

Z innych ewenementów, niedługo po świętej Urszuli Mikołaj Koppirnig dostał czyraków tak strasznych i uporczywych, że musiano je ciąć w szpitalnym *medicinarium*. Astronom po operacji spędził dni kilka w hospicjum. O tamtejszych wygodach i wikcie opowiadał tak obrazowo, że pozostali pensjonariusze wieży postanowili też się załapać. Łachmany i słomę z barłogu Koppirniga rozdrapano i rozdzielono, by się zakazić. Faktycznie, niebawem Institora i Bonawenturę obsypały wrzody i wypryski. Do czyraków Koppirniga nie umywały się jednak i bożogrobcy nie uznali ich za godne operowania i hospitalizacji.

Szarlejowi udało się zaś przywabić resztkami jedzenia i oswoić wielkiego szczura, którego nazwał Marcinem, na cześć, jak się wyraził, obecnie urzędującego papieża. Niektórych pensjonariuszy Narrenturmu żart ten rozbawił, inni byli oburzeni. W równej mierze na Szarleja, co na Horna, który ochrzczenie szczura skomentował odzywką: *Habemus papam*. Wydarzenie dało jednak asumpt do nowego tematu wieczornych rozmów – pod tym względem również bowiem niewiele się w wieży zmieniło. Co wieczór siadano i dyskutowano. Najczęściej w okolicy barłogu Reynevana, wciąż zbyt słabego, by wstawać i karmionego specjalnie dostarczanym przez bożogrobców rosołem z

kury. Urban Horn karmił więc Reynevana, Szarlej karmił szczura Marcina. Bonawentura drapał się we wrzody, Koppirnig, Institor, Kameduła i Izajasz przysłuchiwali się. Tomasz Alfa perorował. A zainspirowanym przez szczura przedmiotem byli papieże, papiestwo i słynne proroctwo świętego Malachiasza, arcybiskupa ardynaceńskiego.

– Przyznacie – mówił Tomasz Alfa – że wielce trafna jest to przepowiednia, tak trafna, że o żadnym przypadku i mowy być nie może. Malachiasz musiał mieć objawienie, sam Bóg musiał do niego przemówić, zdradzając mu losy chrześcijaństwa, w tym imiona papieży, od współczesnego mu Celestyna II do owego Piotra Rzymianina, tego, którego pontyfikat skończy się pono zagładą i Rzymu, i papiestwa, i całej chrześcijańskiej wiary. I jak do tej pory przepowiednia Malachiaszowa spełnia się co do joty.

– Tylko wtedy, jeśli się ją naciągnie – skomentował zimno Szarlej, podsuwając Marcinowi okruchy chleba pod wąsaty pyszczek. – Na tej samej zasadzie można wzuć ciasne buty. Tylko chodzić się w nich nie da.

– Nieprawdę powiadacie, widomie z niewiedzy. Proroctwo Malachiaszowe bezbłędnie wszystkich papieżów jak żywych pokazuje. Weźcie jeno nieodległe czasy schizmy – ten, kogo przepowiednia nazywa „Księżycem kosmedyńskim", toż to zwący się Benedyktem XIII zmarły niedawno wyklęty papież awinioński Pedro de, *nomen omen*, Luna, niegdyś kardynał u Marii w Kosmedynie. Po nim idzie u Malachiasza *cubus de mixtione*, „Sześcian z zespolenia" – a któż to, jeśli nie rzymski Bonifacy IX, Piotr Tomacelli, w herbie mający szachownicę?

– A nazwany „Z lepszej gwiazdy" – wtrącił, rozdrapując wrzód na łydce, Bonawentura – to wszak Innocenty VII, Cosimo de Migliorati, z kometą w tarczy herbowej. Prawda?

– Jużci, prawda! A następny papież, u Malachiasza „Sternik z czarnego mostu", przecie to Grzegorz XII, Angelo Corraro, Wenecjanin. A „Bicz słoneczny"? Toż to nikt inny jak Kreteńczyk Piotr Philargi, Aleksander V, papież obediencji pizańskiej, w herbie słońce noszący. A nazwany w proroctwie Malachiaszowy „Jeleń syreni"...

– Wtedy chromy wyskoczy jak jeleń i język niemych wesoło krzyknie. Bo trysną zdroje wód...

– Cichajże, Izajaszu! Ów jeleń to wszakże...

– Wszakże kto? – prychnął Szarlej. – Wiem, wiem, że wepchniecie tu, jak nogę w ciasną ciżmę, Baltazara de Cossa, Jana XXIII. Ale to nie papież, lecz antypapież, całkiem nie pasujący do listy, nadto ani z jeleniem, ani z syreną nic wspólnego raczej nie mający. Innymi słowy, Malachiasz w tym miejscu naplótł. Jak i w wielu innych miejscach tej słynnej przepowiedni.

– Złą, złą wolę pokazujecie, panie Szarleju! – zaperzył się Tomasz Alfa. – Dziury w całym szukacie! Nie tak do proroctwa podchodzić trzeba! Trzeba w nim to widzieć, co bezwzględnie prawdziwe, i to mieć za dowód prawdy całości! To zaś, co się wam w waszym mniemaniu nie zgadza, nie lza fałszem okrzykiwać, jeno uznać z pokorą, że się, śmiertelnikiem maluczkim będąc, słowa Bożego nie pojęło, bo nie było ono do pojęcia. Ale czas prawdy dowiedzie!

– Choćby nie wiem ile czasu upłynęło, nic bzdury w prawdę nie obróci.

– Tu – wtrącił się z uśmiechem Urban Horn – nie masz racji, Szarleju. Nie doceniasz, oj, nie doceniasz czasu.

– Jesteście profani – ogłosił ze swego barłogu przysłuchujący się Circulos. – Jesteście nieuki. Wszyscy. Zaiste, słucham i słyszę: *stultus stulta loquitur*.

Tomasz Alfa wskazał go głową i znacząco popukał się w czoło. Horn parsknął, Szarlej machnął ręką.

Szczur przyglądał się zajściu mądrymi czarnymi ślepkami. Reynevan przyglądał się szczurowi. Koppirnig przyglądał się Reynevanowi.

– A co – spytał nagle Koppirnig właśnie – powiecie o przyszłości papiestwa, panie Tomaszu? Co o tym mówi Malachiasz? Kto będzie następnym papieżem, po Ojcu Świętym Marcinie?

– Pewnie Jeleń Syreni – zadrwił Szarlej.

– Wtedy chromy wyskoczy jak jeleń...

– Cichajże, mówiłem, czubku jeden! A wam, panie Mikołaju, tak odrzeknę: będzie to Katalończyk. Po obecnym Ojcu Świętym Marcinie, nazwanym „Kolumną złotej zasłony", Malachiasz wspomina o Barcelonie.

– O „schizmie barcelońskiej" – skorygował Bonawentura, uspokajając płaczącego Izajasza. – A z tego wynikałoby, że chodzi o Idziego Munoza, następnego po de Lunie schizmatyka, zwącego się Klemensem VIII.

Bynajmniej nie chodzi w tym miejscu przepowiedni o następcę Marcina V.

– Ach, rzeczywiście? – zdziwił się przesadnie Szarlej. – Bynajmniej? Cóż za ulga.

– Jeśli tylko rzymskich papieży brać pod uwagę – skonkludował Tomasz Alfa – to następnym jest u Malachiasza „Wilczyca niebiańska".

– Wiedziałem – parsknął Horn – że w końcu do tego dojdzie. Zawsze *Curia Romana* wilczymi słynęła prawami i obyczajami, ale żeby, bądź nam Panie miłościw, aż wilczyca na stolcu Piotrowym?

– I do tego samka – zadrwił Szarlej. – Znowu? Mało było jednej Joanny? A mówiło się, że będą tam pilniej sprawdzać, czy aby wszyscy kandydaci noszą jajca.

– Zaniechali sprawdzania – mrugnął do niego Horn. – Bo zbyt wielu odpadało.

– Niewczesne to żarty – zmarszczył brwi Tomasz Alfa – a do tego kacerstwem zalatujące.

– Jako żywo – dodał ponuro Institor. – Bluźnicie. Jak z tym waszym szczurem...

– Dosyć, dosyć – uciszył go gestem Koppirnig. – Wróćmyż do Malachiasza. Któż więc będzie następnym papieżem?

– Sprawdziłem i wiem – Tomasz Alfa rozejrzał się dumnie – iż jeden jeno z kardynałów wchodzi w rachubę. Gabriel Condulmer. Niegdysiejszy biskup sieneński. A Siena, uważacie, ma w herbie wilczycę. Owego Condulmera, wspomnicie słowa moje i Malachiasza, wybierze konklawe po papie Marcinie, daj mu Boże jak najdłuższy pontyfikat.

– Nie widzi mi się to prawdopodobnym – pokręcił głową Horn. – Są pewniejsi kandydaci, tacy, o których głośniej, którzy błyskotliwsze robią kariery. Albert Branda Castiglione i Giordano Orsini, obaj członkowie Kolegium. Albo Jan Cervantes, kardynał u Świętego Piotra w Okowach. Albo choćby taki Bartolomeo Capra, arcybiskup Mediolanu...

– Kamerling papieski Jan Palomar – dorzucił Szarlej. – Idzi Charlier, dziekan z Cambrai. Kardynał Juan de Torquemada. Jan Stojković z Raguzy, wreszcie. Po mojemu, marne szanse ma ów Condulmer, o którym, jeśli szczery mam być, w ogóle nie słyszałem.

– Proroctwo Malachiaszowe – uciął dyskusję Tomasz Alfa – jest nieomylne.

– Czego – odparł Szarlej – nie da się powiedzieć o jego interpretatorach.

Szczur obwąchiwał miskę Szarleja. Reynevan uniósł się z trudem, oparł plecami o mur.

– Oj, panowie, panowie – rzekł z wysiłkiem, ocierając pot z czoła i powstrzymując kaszel. – Siedzicie w wieży, w ciemnym więzieniu. Nie wiada, co będzie jutro. Może powloką nas na męki i śmierć? A wy się spieracie o papieża, który nastanie za lat sześć dopiero...

– Skąd wiecie – zachłysnął się Tomasz Alfa – że za sześć?

– Nie wiem. Tak mi się jakoś rzekło.

●

W wigilię świętego Marcina, dziesiątego listopada, gdy Reynevan wydobrzał zupełnie, uznani za wyleczonych i zwolnieni zostali Izajasz i Normalny. Byli wcześniej kilkakrotnie wyprowadzani na badania. Nie wiadomo było, kto je przeprowadzał, ktokolwiek to był, musiał uważać, że nieustanna masturbacja i porozumiewanie się wyłącznie za pomocą cytatów z księgi prorockiej niczego nie dowodzą i niczego ujemnego o zdrowiu psychicznym nie mówią, w końcu zacytować Księgę Izajasza zdarza się i papieżowi, a masturbacja też rzecz ludzka. Mikołaj Koppirnig miał w tej kwestii odmienne zdanie.

– Przygotowują teren – oświadczył ponuro – dla inkwizytora. Usuwają stąd świrów i pomylonych, by inkwizytor nie musiał tracić na nich czasu. Zostawiają samo gęste. Znaczy, nas.

– Też – przytaknął Urban Horn – tak mi się widzi.

Rozmowie przysłuchiwał się Circulos. Wkrótce zaś przeprowadził się. Zebrał słomę i przeczłapał, istny stary łysy pelikan, pod przeciwległą ścianę, gdzie w oddaleniu uwił sobie nowy barłóg. Ściana zaś i podłoga w tempie błyskawicznym pokryła się hieroglifami i ideogramami. Przeważały znaki zodiakalne, pentagramy i heksagramy, nie brakowało spiral i tetraktysów, powtarzały się litery-matki: Alef, Mem i Szin. Było, a jakże, coś na kształt Drzewa Sefirotów. I inne, najrozmaitsze symbole i znaki.

– I co wy, panowie – wskazał ruchem głowy Tomasz Alfa – na te diabelstwa?

– Inkwizytor – zawyrokował Bonawentura – weźmie go jako pierwszego. Wspomnicie me słowa.

– Wątpię – rzekł Szarlej. – Myślę, że przeciwnie, że wnet go wypuszczą. Jeśli faktycznie zwalniają półgłówków, to on spełnia warunki wręcz wzorcowo.

– Mniemam – zaprzeczył Koppirnig – że mylicie się co do niego.

Reynevan też tak mniemał.

●

W jadłospisie postny śledź dominował absolutnie, wkrótce nawet szczur Marcin jadł go z zauważalną niechęcią. A Reynevan zdecydował się.

Circulos nie zwrócił na niego uwagi, nawet nie zauważył go, gdy podchodził, zajęty malowaniem na ścianie Pieczęci Salomona. Reynevan zachrząkał. Raz, potem drugi raz, głośniej. Circulos nie odwrócił głowy.

– Nie zasłaniaj mi światła!

Reynevan ukucnął. Circulos nabazgrał na otaczającym pieczęć okręgu symetryczne napisy: AMASARAC, ASARADEL, AGLON, VACHEON i STIMULAMATON.

– Czego tu chcesz?

– Ja znam te sigle i zaklęcia. Słyszałem o nich.

– Taaak? – Circulos dopiero teraz spojrzał na niego, milczał czas jakiś. – A ja słyszałem o prowokatorach. Odejdź, wężu.

Odwrócił się plecami i wznowił bazgranie. Reynevan odkaszlnął, nabrał tchu.

– *Clavis Salomonis...*

Circulos zamarł. Chwilę trwał w bezruchu. Potem wolno zwrócił głowę. I poruszył wolem.

– *Speculum salvationis* – odrzekł głosem, w którym wciąż jednak pobrzmiewały podejrzliwość i niepewność. – Toledo?

– *Alma mater nostra.*

– *Veritas Domini?*

– *Manet in saeculum.*

– Amen – Circulos dopiero teraz pokazał w uśmiechu poczerniałe resztki zębów, rozejrzał się, czy nikt nie słucha. – Amen, młody konfratrze. Która akademia? Kraków?

– Praga.

– A ja – Circulos uśmiechnął się jeszcze szerzej – Bolonia. Potem Padwa. I Montpellier. W Pradze też bywałem... Znałem doktorów,

mistrzów, bakałarzów... Nie omieszkano mi tego przypomnieć. Przy aresztowaniu. A inkwizytor będzie chciał znać szczegóły... A ty, młody konfratrze? O co ciebie będzie pytać spieszący tu do nas obrońca katolickiej wiary? Kogo znałeś w Pradze? Niech zgadnę: Jana Przybrama? Jana Kardynała? Piotra Payne'a? Jakubka ze Strzybra?

– Ja – Reynevan pamiętał przestrogi Szarleja – nikogo nie znałem. Jestem niewinny. Trafiłem tu przypadkiem. Skutkiem nieporozumienia...

– *Certes, certes* – machnął ręką Circulos. – Jakżeby inaczej. Bądź aby w swej świętej niewinności przekonywający, da Bóg, wyjdziesz cało. Szanse masz. W przeciwieństwie do mnie.

– Co też wy...

– Wiem, co mówię – uciął. – Jestem recydywa. *Haereticus relapsus*, rozumiesz? Tortur nie wytrzymam, sam się pogrążę... Stos gwarantowany. Dlatego...

Machnął ręką w stronę nakreślonych na ścianie symboli.

– Dlatego – powtórzył – kombinuję, jak widzisz.

●

Minęła doba, nim Circulos zdradził, co kombinuje. Doba, podczas której Szarlej dobitnie dał wyraz dezaprobacie dla nowej Reynevanowej komitywy.

– Całkiem nie rozumiem – podsumował, zmarszczony – dlaczego tracisz czas na gadanie z tym pomyleńcem.

– A dajże mu pokój – nieoczekiwanie wziął stronę Reynevana Horn. – Niech gada, z kim chce. Może potrzebna mu odmiana?

Szarlej machnął ręką.

– Hej! – krzyknął za odchodzącym Reynevanem. – Nie zapomnij! Czterdzieści i osiem!

– Co?

– Suma liter w słowie „Apollyon”! Pomnożona przez sumę liter w słowie „kretyn”!

●

– Kombinuję – Circulos zniżył głos, rozejrzał się czujnie. – Kombinuję, jak stąd nawiać.

– Za pomocą – Reynevan rozejrzał się również – magii, nieprawdaż?

– Inaczej się nie da – beznamiętnie stwierdził fakt starzec. – Próbowałem już, na samym początku, przekupstwa. Dostałem kijem. Próbowałem straszyć. Dostałem znowu. Próbowałem udawać kompletnego przygłupa, ale nie dali się nabrać. Symulowałbym opętanego przez diabła, gdyby inkwizytorem nadal był stary Dobeneck, wrocławski przeor od Świętego Wojciecha, może by mi się udało. Ale ten nowy, młody, o, ten nie da się wykiwać. To co mi zostaje?

– Właśnie. Co?

– Teleportacja. Przeniesienie w przestrzeni.

●

Nazajutrz Circulos, czujnie rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje, przybliżył Reynevanowi swój plan, poparłszy go, a jakże, długim wykładem z teorii czarnoksięstwa i goecji. Teleportacja, dowiedział się Reynevan, jest całkiem możliwa, ba, łatwa nawet, pod warunkiem, a jakże, asystencji odpowiedniego demona. Jest, dowiedział się Reynevan, takich demonów kilka, każda porządna księga zaklęć podaje tu swoje typy. I tak, podług *Grymuaru papieża Honoriusza* demonem teleportującym jest Sargatanas, któremu podlegają pośledniejsze demony pomocnicze: Zoray, Valefar i Farai. Wywoływanie wymienionych jest jednakowoż niezwykle trudne i bardzo niebezpieczne. Dlatego *Mniejszy Klucz Salomona* zaleca ewokować do innych demonów, znanych pod imionami Bathin i Seere. Wieloletnie studia Circulosa, dowiedział się na koniec Reynevan, skłaniają go jednak do pokierowania się wskazówkami jeszcze innej magicznej księgi, *Grimorium Verum* mianowicie. A *Grimorium Verum* w sprawie teleportacji doradza zawezwać demona Mersilde.

– A jakże go zawezwać? – odważył się Reynevan. – Bez instrumentarium, bez *occultum*? *Occultum* winno spełniać szereg warunków, których tu, w tym brudnym lochu, stworzyć...

– Ortodoksja! – przerwał gniewnie Circulos. – Doktrynerstwo! Jakże szkodliwe w empirii, jakże zawężające horyzonty! Furda *occultum*, gdy się ma amulet. Prawda, panie formalisto? Oczywista prawda. *Ergo*, oto i amulet. *Quod erat demonstrandum*. Popatrz no.

Amulet okazał się owalną płytką z malachitu, wielkości mniej więcej grosza, z wyrytymi i napuszczonymi złotem glifami i symbolami, z

których najbardziej rzucającymi się w oczy były wąż, ryba i wpisane w trójkąt słońce.

– To talizman Mersilde – rzekł z dumą Circulos. – Przemyciłem go tu, ukrywszy. Obejrzyj. Śmiało.

Reynevan wyciągnął rękę, ale cofnął ją szybko. Zaschnięte, ale wciąż wyraźne ślady na talizmanie zdradzały miejsce, w jakim był ukrywany.

– Będę próbował dziś w nocy – starzec nie przejął się reakcją. – Życz mi fortuny, młody adepcie. Kto wie, może się jeszcze kiedyś...

– Miałbym – odchrząknął Reynevan – jeszcze jedną... Ostatnią... sprawę... Prośbę raczej. Chodzi mi o wyjaśnienie... Hmm... Pewnej przygody... Zdarzenia...

– Mów.

Wyłożył rzecz szybko, ale dokładnie. Circulos nie przerywał. Wysłuchał w spokoju i skupieniu. Potem przeszedł do pytań.

– Jaki to był dzień? Dokładna data?

– Ostatni dzień sierpnia. Piątek. Godzinę przed nieszporami.

– Hmmm... Słońce w znaku Panny, czyli Wenus... Rządzący geniusz dwojaki, chaldejski Samas, hebrajski Hamaliel. Księżyc, jak mi wychodzi z rachunku, w pełni... Niedobrze... Godzina Słońca... Hmm... Nie najlepiej, ale i nie najgorzej... Momencik.

Odgarnął słomę, przetarł dłonią klepisko, nabazgrał na nim jakieś wykresy i cyfry, dodawał, mnożył, dzielił, mamrocząc coś o ascendentach, descendentach, kątach, epicyklach, deferentach i kwinkunksach. Wreszcie podniósł głowę i zabawnie poruszył wolem.

– Wspomniałeś, że użyto zaklęć. Jakich?

Reynevan jął przytaczać, przypominając sobie z trudem. Długo to nie potrwało.

– Wiem – przerwał, niedbale machnąwszy ręką, Circulos. – *Arbatel*, choć poplątany po prostacku. Dziw, że to w ogóle podziałało... I że nikt nie zginął tragiczną śmiercią... Nieważne. Wizje były? Wielogłowy lew? Jeździec na koniu bladym? Kruk? Wąż ognisty? Nie? Ciekawe. I powiadasz, że ów Samson, gdy się zbudził... Nie był sobą, tak?

– Tak twierdził. I były pewne... podstawy. Właśnie o to mi idzie, tego chciałbym się dowiedzieć. Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

Circulos milczał czas jakiś, trąc piętą o piętę. Potem wysmarkał się.

– Kosmos – rzekł wreszcie, w zamyśleniu wycierając palce w podołek – to doskonale uporządkowana całość i doskonały hierarchiczny

porządek. To równowaga pomiędzy *generatio* a *corruptio*, rodzeniem się a zamieraniem, tworzeniem a destrukcją. Kosmos jest, jak uczy Augustyn, *gradatio entium*, drabiną bytów, tych widzialnych i tych niewidzialnych, tych materialnych i tych niematerialnych. Kosmos jest zarazem jak księga. A jak uczy Hugon od Świętego Wiktora – aby zrozumieć księgę, nie wystarczy oglądać piękne formy liter. Tym bardziej, że nasze oczy często są ślepe...

– Pytałem, czy to możliwe.

– Byt to nie tylko *substantia*, byt to zarazem *accidens*, coś, co zdarza się niezamierzenie... Czasem magicznie... Magiczne zaś w człowieku dąży do zespolenia z magicznym we wszechświecie... Są ciała i światy astralne... Niewidzialne dla nas. Pisze o tym święty Ambroży w swym *Hexaemeronie*, Solinus w *Liber Memorabilium*, Raban Maur w *De universo*... A Mistrz Eckhart...

– Możliwe – przerwał obcesowo Reynevan – czy nie?

– Możliwe, a jakże – pokiwał głową staruszek. – Trzeba ci wiedzieć, że w tej materii mam się za specjalistę. Praktycznie egzorcyzmami się nie zajmowałem, zgłębiałem zagadnienie z innych powodów. Już dwa razy, mój chłopcze, wykiwałem Inkwizycję, udając opętanego. A żeby dobrze udawać, trzeba się znać. Studiowałem zatem *Dialogus de energia et operatione daemonum* Michała Psellosa, *Exorcisandis obsessis a daemonio* papieża Leona III, *Picatrix*, przetłumaczony z arabskiego...

– ...przez Alfonsa Mądrego, króla Leonu i Kastylii. Wiem. A konkretniej, o danym przypadku, można?

– Można – wydął sine wargi Circulos. – Pewnie, że można. W danym przypadku trzeba było pamiętać, że każde, nawet najmniej z pozoru ważne zaklęcie oznacza pakt z demonem.

– A więc demon?

– Lub *cacodaemon* – wzruszył chudymi ramionami Circulos. – Lub coś, co umownie tą nazwą określamy. Co dokładnie? Powiedzieć nie mogę. Mnogie inywidua kroczą w ciemności, niezliczone są *negotia perambulantia in tenebris*...

– Klasztorny matoł powędrował tedy w ciemność – upewnił się Reynevan. – A w jego doczesną powłokę wcieliło się *negotium perambulans*. Wymienili się. Tak?

– Równowaga – potwierdził kiwnięciem głowy Circulos. – Jin i jang. Albo... jeśli bliższa ci Kabała, Keter i Malkut. Jeśli istnieje szczyt,

wysokość, to musi istnieć i otchłań.

– A da się to cofnąć? Odwrócić? Sprawić, by doszło do powtórnej wymiany? Żeby on powrócił... Wiecie...

– Wiem. To znaczy: nie wiem.

Siedzieli chwilę w milczeniu i ciszy, zakłócanej tylko przez chrapanie Koppirniga, czkawkę Bonawentury, bełkot debili, szmer głosów dyskutujących „Pod Omegą" i *Benedictus Dominus*, cicho klepane przez Kamedułę.

– On – rzekł wreszcie Reyenevan. – Samson, znaczy... Nazywa siebie Wędrowcem.

– Trafnie.

Milczeli czas jakiś.

– Taki *cacodaemon* – odezwał się wreszcie Reynevan – niezawodnie dysponuje jakimiś mocami... nadludzkimi. Ma jakieś... zdolności...

– Głowisz się – odgadł Circulos, dając dowód przenikliwości – czy możesz spodziewać się od niego wybawienia? Czy, sam będąc wolnym, nie zapomniał o uwięzionych towarzyszach? Chcesz wiedzieć, czy możesz liczyć na jego pomoc. Prawda?

– Prawda.

Circulos milczał chwilę.

– Ja bym nie liczył – oświadczył wreszcie z okrutną szczerością. – Dlaczego miałyby demony w tym względzie różnić się od ludzi?

●

Była to ich ostatnia rozmowa. Czy udało się Circulosowi uaktywnić przemycony w dupie amulet i zawezwać demona Mersilde, pozostawało i na wieki miało pozostać zagadką. Z teleportacji nic jednak nie wyszło ponad wszelką wątpliwość. Circulos nie przeniósł się w przestrzeni. Nadal był w wieży. Leżał na barłogu na wznak, wyprężony, z obiema rękami przyciśniętymi do piersi, z palcami kurczowo wczepionymi w odzież.

– Najświętsza Panienko... – stęknął Institor. – Zakryjcie mu twarz...

Szarlej strzępem szmaty zasłonił upiorną maskę, zdeformowaną w paroksyźmie zgrozy i bólu. Wykrzywione, pokryte zeschłą pianą usta. Wyszczerzone zęby i mętne, szklisto wybałuszone oczy.

– Zawołajcie brata Trankwilusa.

– Chryste... – jęknął Koppirnig. – Patrzcie...

Opodal barłogu nieboszczyka leżał do góry brzuchem szczur Marcin. Skręcony w męce, z żółtymi zębami na wierzchu.

●

– Diabeł – zawyrokował z miną znawcy Bonawentura – kark mu skręcił. I porwał duszę do piekła.

– Ano, niezawodnie – przytaknął Institor. – Malował na ścianach diabelstwa i doigrał się. Przecie każdy głupi widzi: heksagramy, pentagramy, zodiaki, kabały, sefiry, inne czarcie i żydowskie symbole. Wywołał diabła stary guślarz. Na własną zgubę.

– Tfu, tfu, siła nieczysta... Trza by te wszystkie malunki zmazać. Wodą święconą polać. Nabożeństwo odprawić, zanim i do nas się Zły przyczepi. Wołajcie mnichów... Z czego się śmiejecie, Szarleju, można wiedzieć?

– Zgadnijcie.

– I w samej rzeczy – ziewnął Urban Horn. – Śmiechu warte jest to, co wygadujecie. I wasze poruszenie. Czym tu się ekscytować? Stary Circulos umarł, odwalił kitę, strzelił kopytami, rozstał się z tym światem, powędrował na asfodelowe łąki. Niech mu tedy ziemia lekką będzie i *lux perpetua* niech mu świeci. I *finis* na tym, obwieszczam koniec żałoby. A diabeł? Do diabła z diabłem.

– Oj, panie Mummolinie – pokręcił głową Tomasz Alfa. – Nie żartujcie z diabła. Bo widome są tu jego sprawki. Kto wie, może krąży on tu wciąż, skryty w mroku. Nad tym miejscem śmierci unoszą się piekielne wyziewy. Nie czujecie? Cóż to jest, po waszemu, jeśli nie siarka? Hę? Cóż tak wonieje?

– Wasze gacie.

– Jeśli nie diabeł – zaperzył się Bonawentura – to co go, po waszemu, zabiło?

– Serce – odezwał się Reynevan, prawda, że niezbyt pewnie. – Uczyłem się o takich przypadkach. Serce mu pękło. Nastąpiła *plethora*. Niesiony pneumą nadmiar żółci wywołał tumor, wystąpiło zatkanie, czyli infarkt. Nastąpił *spasmus* i rozerwała się *arteria pulmonalis*.

– Słyszycie – rzekł Szarlej. – Oto wypowiedziała się nauka. *Sine ira et studio*. *Causa finita*, wszystko jasne.

– Czyżby? – odezwał się nagle Koppirnig. – A szczur? Co zabiło szczura?

– Zeżarty śledź.

Na górze trzasnęły drzwi, zaskrzypiały schody, zadudniła na stopniach toczona beczułka.

– Pochwalony! Posiłek, bracia! Nuże, do modlitwy! A potem z miseczkami po rybkę!

●

Prośbę o wodę święconą, nabożeństwo i egzorcyzmy nad barłogiem nieboszczyka brat Trankwilus skwitował wielce wieloznacznym wzruszeniem ramion i wielce jednoznacznym puknięciem się w czoło. Fakt ten niezwykle ożywił poobiednie pogwarki. Wysunięte i wysnute zostały śmiałe tezy i przypuszczenia. Według tych najśmielszych brat Trankwilus sam był heretykiem i czcicielem diabła, tylko taki bowiem odmawia wiernym święconej wody i duchownej posługi. Nie bacząc, że Szarlej i Horn zaśmiewają się do łez, Tomasz Alfa, Bonawentura i Institor jęli drążyć temat głębiej. Do momentu, gdy – ku ogólnemu osłupieniu – do dyskusji włączyła się osoba najmniej spodziewana. Kameduła, mianowicie.

– Woda święcona – młody duchowny po raz pierwszy dał współwięźniom usłyszeć swój głos. – Woda święcona na nic by się wam zdała. Jeśli prawdziwie zawitał tu diabeł. Nie skutkuje przeciw diabłu woda święcona. Dobrze to wiem. Bom widział. Za to właśnie tu siedzę.

Gdy ucichł podniecony gwar i zapadło ciężkie milczenie, Kameduła rzecz wyjaśnił.

– Jestem, trzeba wam wiedzieć, diakonem u Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Niemodlinie, sekretarzem wielebnego Piotra Nikischa, dziekana kolegiaty. Rzecz, o której opowiem, zdarzyła się tego roku, w miesiącu sierpniu, *feria secunda post festum Laurentii martyris*. Kołem południa wpadł był do kościoła wielmożny pan Fabian Pfefferkorn, *mercator*, daleki dziekana krewny. Wzburzony wielce, zażądał, by wielebny Nikisch wyspowiadał go co rychlej. Jak tam było, gadać mi nijak, bo to o spowiedź idzie, a i o umarłym, jakby nie było, mówimy, a *de mortuis aut bene aut nihil*. Zdradzę więc jeno, że naraz krzyczeć na się wzajem jęli u konfesjonału. Ba, do użycia wyrazów przyszło, mniejsza z tym, jakich. Rezultatem wielebny rozgrzeszenia panu Pfefferkornowi nie dał, a pan Pfefferkorn odszedł, wielebnego bardzo brzydkimi nazywając słowy, a i przeciw wierze, i Kościołowi

rzymskiemu bluźniąc. Gdy mnie w kruchcie mijał, krzyknął: „Niech was, klechy, diabli porwą!" Takem sobie wtedy i pomyślał, oj, panie Pfefferkorn, obyś w złą godzinę nie wymówił. I wtenczas się diabeł pokazał.

– W kościele?

– W kruchcie, w wejściu samym. Skądsiś z góry spłynął. Sfrunął raczej, bo pod postacią ptaka. Prawdę mówię! Ale wnet się przeobraził w człowieczą postać. Dzierżył miecz lśniący, rychtyk jak na obrazie. I tym mieczem pana Pfefferkorna prosto w twarz ugodził. Prosto w twarz. Zbryzgała krew posadzkę...

– Pan Pfefferkorn – diakon głośno przełknął ślinę – rękami trzepotał, rzekłbyś, kukiełka. A mnie, widać, wonczas święty Michał, patron mój, dał *auxilium* i odwagę, bom do kropielnicy dopadłszy wody święconej w dłonie obie nabrał i na czarta chlusnął. I jak myślicie, co? Nic! Spłynęło jak po gęsi. Piekielnik oczami pomrugał, wypluł, co mu do gęby wpadło. I spojrzał na mnie. A jam... Jam, wstyd przyznać, ze strachu wówczas omdlał. Jak mnie bracia docucili, było po wszystkim. Diabeł zginął-przepadł, pan Pfefferkorn leżał martw. Bez duszy, którą Zły niechybnie do piekła uniósł.

– A i o mnie nie zapomniał czart, pomstę wywarł. W to, com widział, wierzyć nikt nie chciał. Orzekli, żem szalony, że mi się rozum pomieszał. A gdy o tej wodzie święconej opowiadałem, milczeć mi nakazali, karą postraszyli, jaka czeka za kacerstwo i bluźnierstwo. Tymczasem się rzecz głośna uczyniła, w samym Wrocławiu się nią zajmowano, na biskupim dworcu. I to z Wrocławia właśnie nakaz przyszedł, by mnie uciszyć, jako wariata pod klucz wziąć. A ja wiedziałem, jak dominikańskie *in pace* wygląda. Miałem się dać żywcem pogrzebać? Uciekłem z Niemodlina, jak stałem. Ale schwytali mnie podle Henrykowa. I tu wsadzili.

– Temu diabłu – odezwał się w zupełnej ciszy Urban Horn – dobrze zdołałeś się przyjrzeć? Możesz opisać, jak wyglądał?

– Wysoki był – Kameduła ponownie przełknął ślinę. – Szczupły... Włosy czarne, długie, ramion sięgające. Nos jak dziób ptasi i oczy jak u ptaka... Przenikliwe bardzo. Uśmiech zły. Diabelski.

– Ni rogów? – zawołał Bonawentura, wyraźnie rozczarowany. – Ni kopyt? Ni ogona nie miał?

– Nie miał.

– Łeee-eeee! Co nam tu powiadacie!

●

Dyskusje o diabłach, diabelstwach i diabelskich sprawkach ciągnęły się z różną intensywnością aż do dwudziestego czwartego listopada. Dokładniej, aż do pory posiłku. Do wieści, jaką po modlitwie ogłosił pensjonariuszom Narrenturmu brat Trankwilus, mistrz i nadzorca wieży.

– Szczęśliwy nam dziś dzień nastał, moiściewy! Zaszczycił nas oto długo oczekiwaną wizytą przeor wrocławskich Braci Kaznodziejów, wizytator Świętego Oficjum, *defensor et candor fidei catholicae*, jego przewielebność *inquisitor a Sede Apostolica* na diecezję naszą. Niektórzy z tu obecnych, nie sądźcie, że nie wiem, krzynkę symulują, chorzy są na niemoc inną od tej, którą w naszej wieży leczyć przywykliśmy. Tych zdrowiem i kondycją zajmie się teraz jego wielebność inkwizytor. I uleczy ich niezawodnie! Albowiem zaordynował jego wielebność inkwizytor z ratusza kilku krzepkich medyków i sporo różnych narzędzi medycznych. Przygotujcie się tedy duchowo, braciszkowie, bo lada chwila zaczną się kuracje.

Śledź tego dnia smakował jeszcze gorzej niż zwykle. Nadto tego wieczora w Narrenturmie nie rozmawiano. Panowała cisza.

●

Przez cały następny dzień – a wypadła akurat niedziela, ostatnia niedziela przed adwentem – atmosfera w Wieży Błaznów była bardzo napięta. Wśród denerwującej i przygnębiającej zarazem ciszy pensjonariusze łowili uszami każdy dobiegający z góry, od strony drzwi, stuk czy zgrzyt, na każdy zaczęli wreszcie reagować objawami paniki i nerwowego załamania. Mikołaj Koppirnig zaszył się w kąt. Institor zaczął płakać, skulony na barłogu w pozycji płodu. Bonawentura siedział nieruchomo, tępo przed się zapatrzony. Tomasz Alfa dygotał, zagrzebany w słomę. Kameduła modlił się cicho z twarzą zwróconą do muru.

– Widzicie? – wybuchnął wreszcie Urban Horn. – Widzicie, jak to działa? Co oni z nami robią? Spójrzcie tylko na nich!

– Dziwisz się? – zmrużył oczy Szarlej. – Połóż rękę na sercu, Horn, i powiedz, że się im dziwisz.

– Dostrzegam bezsens. To, co tu się dzieje, to wynik zaplanowanej, precyzyjnie przygotowanej akcji. Śledztw jeszcze nie wszczęto, nic się jeszcze nie dzieje, a Inkwizycja już złamała morale tych ludzi, doprowadziła ich na skraj psychicznej degrengolady, zamieniła w zwierzęta, kulące się na trzask bata.

– Powtarzam: dziwisz się?

– Dziwię. Bo trzeba walczyć. Nie poddawać się. I nie załamywać.

Szarlej wilczo wyszczerzył zęby.

– Pokażesz nam, mam nadzieję, jak się to robi. Gdy czas przyjdzie. Dasz przykład.

Urban Horn milczał długo.

– Nie jestem bohaterem – oświadczył wreszcie. – Nie wiem, co będzie, gdy mnie podciągną, gdy zaczną dokręcać śruby i wbijać kliny. Gdy wyjmą z ognia żelaza. Tego nie wiem i nie mogę przewidzieć. Ale jedno wiem: nie pomoże mi zrobienie z siebie szmaty, płacze, spazmy ani błagania o litość. Z braćmi inkwizytorami trzeba ostro.

– Oho!

– Tak właśnie. Zbyt przywykli do tego, że ludzie dygoczą przed nimi ze strachu i srają po nogach na sam ich widok. Wszechmocni panowie życia i śmierci, podoba im się władza, upaja terror i siany postrach. A kim naprawdę są? Zera, kundle z dominikańskiej psiarni, półanalfabeci, zabobonne nieuki, zboczeńcy i tchórze. Tak, tak, nie kręć głową, Szarleju, to normalna rzecz u satrapów, tyranów i katów, są to tchórze, to ich tchórzostwo, połączone z wszechwładzą, wyzwala w nich bestialstwo, a uległość i bezbronność ofiar jeszcze to potęguje. I tak jest w przypadku inkwizytorów. Pod ich budzącymi przerażenie kapturami kryją się zwykli tchórze. I nie wolno płaszczyć się przed nimi i wyć o litość, bo owocuje to z ich strony jeszcze większym bestialstwem i okrucieństwem. Im trzeba hardo do oczu! Chociaż, powiadam, ratunku to nie przyniesie, ale można przynajmniej ich postraszyć, zachwiać ich pozorowaną pewnością siebie. Można im przypomnieć Konrada z Marburga!

– Kogo?

– Konrad z Marburga – wyjaśnił Szarlej. – Inkwizytor Nadrenii, Turyngii i Hesji. Gdy swą obłudą, prowokacjami i okrucieństwami dokuczył heskiej szlachcie, zasadzili się na niego i zarąbali. Z całym orszakiem. Żywa noga nie ocalała.

– I ręczę wam – dodał Horn, wstając i odchodząc w stronę kibla – że każdy inkwizytor na stałe ma w pamięci to imię i zdarzenie. Zapamiętajcie więc moją radę!

– Co sądzisz – mruknął Reynevan – o jego radzie?

– Mam inną – odmruknął Szarlej. – Gdy się za ciebie ostro wezmą, mów. Zeznawaj. Syp. Wydawaj. Kolaboruj. A bohatera zrobisz z siebie później. Spisując wspomnienia.

●

Jako pierwszego wzięto na śledztwo Mikołaja Koppirniga. Astronom, który do tej pory starał się nadrabiać miną, na widok zmierzających ku niemu rosłych inkwizytorskich pachołków zupełnie stracił głowę. Najpierw rzucił się do bezsensownej ucieczki – bo przecież nie było dokąd uciekać. Złapany, biedak wrzeszczał, płakał, wierzgał i szamotał się, wił w łapach drabów jak węgorz. Oczywiście bezskutecznie, jedyne, co oporem zyskał, to cięgi, jakie zebrał. Rozkwaszono mu między innymi nos, przez który, gdy go wynoszono, buczał bardzo śmiesznie.

Ale nikt się nie śmiał.

Koppirnig już nie wrócił. Gdy nazajutrz drabi przyszli po Institora, ten gwałtownych scen nie robił, był spokojny. Płakał tylko i chlipał, zupełnie zrezygnowany. Gdy jednak chcieli go podnieść, zerżnął się w portki. Uznawszy to za formę oporu, drabi przed wywleczeniem skopali go mocno.

Institor nie wrócił również.

Następny – tego samego dnia – był Bonawentura. Ze strachu zgłupiawszy zupełnie, pisarz grodzki jął rugać drabów, wykrzykiwać i straszyć ich swymi koneksjami. Drabi, jasna rzecz, nie zlękli się znajomości, mieli gdzieś, że pisarz grywał w pikietę z burmistrzem, proboszczem, mistrzem mennicy i starszym cechu piwowarów. Bonawenturę wywleczono, spuściwszy mu pierwej solidne lanie.

Nie wrócił.

Czwartym na inkwizytorskiej liście nie był, wbrew własnym czarnym wróżbom, Tomasz Alfa, który na tę intencję całą noc płakał i modlił się na przemian, lecz Kameduła. Kameduła oporu nie stawiał żadnego, drabi nie musieli go nawet dotykać. Wymruczawszy w stronę współwięźniów ciche pożegnanie, niemodliński diakon przeżegnał się i poszedł na schody z głową pokornie opuszczoną, ale krokiem

spokojnym i pewnym, jakiego nie powstydziliby się pierwsi męczennicy, idący na areny Nerona czy Dioklecjana.

Kameduła nie wrócił.

– Następny – rzekł z ponurym przekonaniem Urban Horn – będę ja.

Mylił się.

●

Pewność co do swego losu miał Reynevan już w chwili, gdy na górze huknęły drzwi, a zalane skośnym promieniem światła schody zadudniły i zaskrzypiały pod stopami pachołków. Którym tym razem towarzyszył brat Trankwilus.

Wstał, uścisnął dłoń Szarleja. Demeryt odwzajemnił uścisk, bardzo mocno, w jego twarzy Reynevan po raz pierwszy dostrzegł coś na kształt bardzo, ale to bardzo poważnej troski. Mina Urbana Horna mówiła sama za siebie i to niemało.

– Trzymaj się, bracie – mruknął, do bólu ściskając mu rękę. – Pamiętaj o Konradzie z Marburga.

– Pamiętaj też – dodał Szarlej – o mojej radzie.

Reynevan pamiętał o obu, ale wcale nie było mu przez to lżej.

Być może jego mina, a być może jakiś niebaczny ruch sprawił, że drabi nagle doskoczyli do niego. Jeden chwycił go za kołnierz. I bardzo szybko puścił, garbiąc się, klnąc i ściskając łokieć.

– Bez gwałtów – upomniał z naciskiem brat Trankwilus, opuszczając pałkę. – Bez przemocy. To jest, było nie było i wbrew pozorom, szpital. Zrozumiano?

Pachołkowie zaburczeli, kiwając głowami. Bożogrobiec pałką wskazał Reynevanowi drogę na schody.

●

Rześkie i zimne powietrze omal nie zwaliło go z nóg, gdy wciągnął je do płuc, zachwiał się, zatoczył, oszołomiony, jakby haustem okowity na pusty żołądek. Byłby pewnie upadł, ale mający praktykę drabi ucapili go pod ramiona. Tym sposobem w łeb wziął jego desperacki plan ucieczki. Lub śmierci w walce. Wleczony, mógł teraz tylko przestawiać nogi.

Widział hospicjum po raz pierwszy. Wieża, z której go wyprowadzono, zamykała *cul-de-sac* schodzących się murów. Po przeciwnej stronie, przy bramie, tuliły się do muru budynki, prawdopodobnie był tam

szpital i *medicinarium*. A także, wnosząc z zapachu, kuchnia. Zadaszenie pod murem pełne było koni, przytupujących wśród kałuż moczu. Wszędzie kręcili się zbrojni. Inkwizytor, domyślił się Reynevan, przybył w licznej eskorcie.

Z *medicinarium*, ku któremu zmierzali, dobiegały wysokie rozpaczliwe krzyki. Reynevanowi zdało się, że rozpoznaje głos Bonawentury. Trankwilus złowił jego wzrok, palcem przyłożonym do ust nakazał milczenie.

Wewnątrz budynku, w jasnej izbie, znalazł się jak we śnie. Sen przerwało uderzenie, ból w kolanach. Rzucono go na klęczki przed stołem, za którym zasiadało trzech zakonników w habitach, bożogrobiec i dwóch dominikanów. Zamrugał oczami, potrząsnął głową. Siedzący w środku dominikanin, chudzielec z upstrzoną brunatnymi plamami łysiną nad wąskim wianuszkiem tonsury, przemówił. Głos miał nieprzyjemny. Śliski.

– Reinmarze z Bielawy. Odmów „Ojcze nasz" i *Ave*.

Odmówił. Głosem cichym i trzęsącym się nieco. Dominikanin w tym czasie dłubał w nosie, a skupiał się pozornie wyłącznie na tym, co wydłubał.

– Reinmarze z Bielawy. Ramię świeckie ma przeciw tobie poważne delacje i oskarżenia, będziesz władzom świeckim wydany na śledztwo i sąd. Ale wpierw do rozstrzygnięcia i osądzenia jest *causa fidei*. Jesteś oskarżony o uprawianie czarów i o herezję. O to, że wyznajesz i głosisz rzeczy przeciwne tym, które wyznaje i których naucza Kościół Święty. Czy przyznajesz się do winy?

– Nie przyzna... – Reynevan przełknął ślinę. – Nie przyznaję. Jestem niewinny. I jestem dobrym chrześcijaninem.

– Oczywiście – dominikanin lekceważąco skrzywił wargi. – Za takiego się masz, skoro nas uważasz za złych i fałszywych. Pytam cię: czy uznajesz lub kiedykolwiek uznawałeś za prawdziwą wiarę inną od tej, w którą wierzyć każe i której naucza Kościół Rzymski? Wyznaj prawdę!

– Mówię prawdę. Wierzę w to, czego uczy Rzym.

– Bo pewnie twoja kacerska sekta ma w Rzymie swą delegaturę.

– Nie jestem kacerzem. Mogę przysiąc!

– Na co? Na mój krzyż i wiarę, z których drwisz? Znam ja wasze heretyckie sztuczki! Wyznaj: Kiedy przystałeś do husytów? Kto cię

wciągnął do sekty? Kto zapoznał z pismami Husa i Wiklefa? Kiedy i gdzie przyjmowałeś komunię *sub utraque*?

– Nigdy nie...

– Milcz! Boga obrażają twoje łgarstwa! Studiowałeś w Pradze? Masz znajomych wśród Czechów?

– Tak, ale...

– A więc przyznajesz się?

– Tak, ale nie do...

– Milcz! Zapiszcie: wyznał, że przyznaje się.

– Nie przyznaję się!

– Cofa zeznania – usta dominikanina skrzywił grymas okrutny i radosny zarazem. – Gubi się w kłamstwach i matactwach! Więcej mi nie trzeba. Stawiam wniosek o zastosowanie tortury, inaczej nie dojdziemy prawdy.

– Ojciec Grzegorz – odchrząknął niepewnie bożogrobiec – zalecił, by się wstrzymać... Sam go chce przepytać...

– Strata czasu! – parsknął chudzielec. – Zresztą, zmiękczony będzie rozmowniejszy.

– Nie ma – bąknął drugi dominikanin – w tej chwili chyba żadnego wolnego stanowiska... I obaj mistrzowie zajęci...

– Jest tu obok but, a kręcić śruby to żadna filozofia, podoła i pomocnik. A będzie trzeba, sam podołam. Hola, dalejże! Sami tu! Brać go!

Martwy niemal ze strachu Reynevan znalazł się w twardych jak lity brąz łapach pachołków. Wywleczono go, wepchnięto do izdebki obok. Nim połapał się w powadze i grozie sytuacji, siedział już na dębowym krześle, z szyją i rękami w żelaznych obejmach, a ogolony na łyso oprawca w skórzanym fartuchu montował mu na lewej nodze jakieś przerażające ustrojstwo. Ustrojstwo przypominało okutą skrzynkę, było wielkie, ciężkie, śmierdziało żelazem i rdzą. A także starą krwią i mięsną zgnilizną. Smrodem, jaki wydzielają wysłużone rzeźnickie pieńki.

– Jestem niewiinnyyy! – zawył. – Niewiiiiinnyyyyyyy!

– Dalejże – skinął na oprawcę chudy dominikanin. – Czyńcie, co należy.

Oprawca schylił się, coś metalicznie szczęknęło, coś zazgrzytało. Reynevan zaryczał z bólu, czując, jak okute metalem deski ściskają i

zgniatają mu stopę. Przypomniał sobie nagle Institora i przestał mu się dziwić. Sam był o włos od zrobienia w spodnie.

– Kiedy przystałeś do husytów? Kto ci dał pisma Wiklefa? Gdzie i od kogo przyjmowałeś heretycką komunię?

Śruby zgrzytały, oprawca stękał. Reynevan ryczał.

– Kto jest twoim wspólnikiem? Z kim z Czech się kontaktujesz? Gdzie się spotykacie? Gdzie ukrywacie kacerskie księgi, pisma i postylle? Gdzie skrywacie broń?

– Jestem niewiiinnnyyyyyy!!!

– Dokręcać.

– Bracie – odezwał się bożogrobiec. – Miej wzgląd. Toż to szlachcic...

– Nazbyt coś – chudy dominikanin zmierzył go złym wzrokiem – przejmujecie się rolą adwokata. Mieliście, przypominam, cicho być i nie mieszać się. Dokręcać!

Reynevan omal nie udławił się wrzaskiem.

I zupełnie jak w bajce, ktoś wrzask usłyszał i zareagował.

– Przecież prosiłem – powiedział ów ktoś, stając w drzwiach, okazując się postawnym dominikaninem lat około trzydziestu. – Przecież prosiłem, by tego nie robić. Grzeszysz nadgorliwością, bracie Arnulfie. I, co gorsze, brakiem posłuszeństwa.

– Ja... Wielebny... Wybaczcie...

– Odejdźcie. Do kaplicy. Pomodlić się, poczekać w pokorze, a nuż spłynie łaska objawienia. Wy tam, uwolnić więźnia, żywo. I dalej, dalej, wychodzić. Wszyscy!

– Wielebny ojcze...

– Powiedziałem: wszyscy!

Inkwizytor usiadł za stołem, na miejscu zwolnionym przez brata Arnulfa, usunął nieco na bok przeszkadzający mu krucyfiks.

Bez słowa wskazał ławę. Reynevan wstał, stęknął, jęknął, dokusztykał, usiadł. Dominikanin wsunął dłonie w rękawy białego habitu, długo mu się przyglądał spod krzaczastych, groźnie zrośniętych brwi.

– W czepku się rodziłeś – powiedział wreszcie – Reinmarze z Bielawy.

Reynevan kiwnięciem głowy potwierdził, że wie. Nie można było bowiem polemizować.

– Miałeś szczęście – powtórzył inkwizytor – że akurat przechodziłem. Jeszcze ze dwa, trzy obroty tej śruby... Wiesz, co by było?

– Mogę sobie przedstawić...

– Nie. Nie możesz, zapewniam. Ech, Reynevan, Reynevan, gdzież to przyszło nam się spotkać... W izbie tortur! Choć Bogiem a prawdą można było to przewidzieć już wtedy, na studiach. Libertyńskie poglądy, zamiłowanie do hulanek i trunków, że o łatwych niewiastach nie wspomnę... Do licha, już tam, w Pradze, gdym cię widywał „Pod Smokiem" na Celetnej, prorokowałem, że ci kat zaświeci. Że zgubi cię to kurewnictwo.

Reynevan zmilczał, choć sam, Bogiem a prawdą, myślał i prorokował identycznie, wtedy, tam, w Pradze, na Starym Mieście, „Pod Smokiem" na Celetnej, „U Barbory" na Płatnerskiej, w ulubionych przez akademików zamtuzach w zaułkach za kościołami świętych Mikołaja i Walentego, gdzie Grzegorz Hejncze, student, a krótko potem magister na wydziale teologicznym Uniwersytetu Karola, bywał nader częstym i nader wesołym gościem. Reynevan nigdy w życiu by nie przypuścił, że skory do uciech Grześ Hejncze wytrwa w duchownej sukience. Ale snadź wytrwał. Faktycznie na moje szczęście, myślał, masując stopę i łydkę. Które, gdyby nie interwencja, skręcany śrubami but zdążyłby już pewnie rozgnieść na krwawą miazgę.

Mimo przyniesionej cudownym ratunkiem odprężającej ulgi dziki strach nadal jeżył mu włos i garbił plecy. Świadom był, że to jeszcze nie koniec. Postawny, bystrooki dominikanin z gęstymi brwiami i mocno zarysowaną szczęką nie był, wbrew pozorom, bynajmniej Grzesiem Hejncze, figlarnym kompanem z praskich szynków i bordeli. Był to – miny i ukłony wychodzących z izby mnichów i oprawców nie pozostawiały żadnych wątpliwości – przełożony, przeor. Szerzący postrach wizytator Świętego Oficjum, *defensor et candor fidei catholicae*, jego przewielebność *inquisitor a Sede Apostolica* na całą diecezję wrocławską. Nie należało o tym zapominać. Straszliwy, cuchnący rdzą i krwią but leżał o dwa kroki, tam, gdzie rzucił go oprawca. Oprawca mógł być w każdej chwili wezwany, a but założony. Reynevan nie miał w tym względzie żadnych złudzeń.

– Nie ma jednak tego złego – przerwał krótkie milczenie Grzegorz Hejncze – co by na dobre nie wyszło. Nie planowałem stosowania wobec ciebie tortur, kamracie. Nie nosiłbyś więc po powrocie do wieży śladów ni znaków. A tak, wrócisz utykający, boleśnie skrzywdzony przez straszną Inkwizycję. Nie budząc podejrzeń. A podejrzeń, mój drogi, budzić nie powinieneś.

Reynevan milczał. Z całej przemowy zrozumiał na dobrą sprawę tylko to, że wróci. Pozostałe słowa docierały do niego z opóźnieniem. I budziły uśpioną na moment zgrozę.

– Będę się posilał. A tyś głodny może? Zjesz śledzia?

– Nie... Za śledzia... dziękuję...

– Niczego innego nie proponuję. Mamy post, a na moim stanowisku muszę świecić przykładem.

Grzegorz Hejncze klasnął w dłonie, wydał polecenia. Post postem, przykład przykładem, ale ryby, które mu przyniesiono, były dużo tłustsze i ze dwa razy większe od tych, które wydawano pensjonariuszom Narrenturmu. Inkwizytor wymruczał krótkie *Benedic Domine* i bez dalszej zwłoki jął ogryzać śledzia, zakąszając słoność grubo krajanym razowym chlebem.

– Przejdźmy więc do rzeczy – zaczął, nie przerywając jedzenia. – Jesteś w opałach, kamracie. Poważnych opałach. Śledztwo w sprawie twej czarnoksięskiej jakoby oleśnickiej pracowni umorzyłem wprawdzie, w końcu ciebie znam, rozwój medycyny popieram, a duch Boży tchnie, kędy chce, nic, w tym i rozwój medycyny, nie dokonuje się bez Jego woli. Występek *adulterium* mierzi mnie wprawdzie, ale nie zajmuję się ściganiem. Co do innych twych rzekomych świeckich zbrodni, to pozwalam sobie w nie nie wierzyć. Znam cię wszak.

Reynevan odetchnął głęboko. Za wcześnie.

– Pozostaje jednak, Reinmarze, *causa fidei*. Sprawa religii i wiary katolickiej. Nie mam otóż pewności, czy nie podzielasz aby poglądów swego nieboszczyka brata. Względem, wyjaśnię, kwestii *Unam Sanctam*, zwierzchności i nieomylności papieża, sakramentów i transsubstancjacji. Komunii *sub utraque specie*. Tudzież względem Biblii dla pospólstwa, spowiedzi usznej, istnienia czyśćca. I tak dalej.

Reynevan otworzył usta, ale inkwizytor uciszył go gestem.

– Nie wiem – podjął, wypluwszy ość – czy podobnie jak brat czytujesz Ockhama, Waldhausena, Wiklefa, Husa i Hieronima, czy podobnie jak brat rozprowadzasz pisma wymienionych po Śląsku, Marchii i Wielkopolsce. Nie wiem, czy wzorem brata dajesz schronienie husyckim emisariuszom i szpiegom. Krótko: czy jesteś heretykiem. Zakładam, a sprawę trochę zbadałem, że nie. Że jesteś bez winy. Sądzę, że w całą aferę zwyczajnie zaplątał cię przypadek, o ile naturalnie jest to właściwe

określenie dla dużych niebieskich oczu Adeli de Stercza. I twojej znanej mi słabości do takich dużych oczu.

– Grzegorzu... – Reynevan z trudem przepchnął słowa przez ściśniętą krtań. – To jest, wybaczcie... Ojcze wielebny... Zapewniam, że nie mam nic wspólnego z herezją. Także mój brat, ręczę, ofiara zbrodni...

– Z poręką za brata ostrożniej – przerwał Grzegorz Hejncze. – Zdziwiłbyś się, ile było na niego delacyj, i nie bezpodstawnych. Byłby stanął przed trybunałem. I byłby wydał wspólników. Wierzę, że ciebie nie byłoby między nimi.

Odrzucił kręgosłup śledzia, oblizał palce.

– Kres nierozumnej działalności Piotra de Bielau – podjął, biorąc się za drugą rybę – położyła jednak nie sprawiedliwość, nie postępowanie karne, nie *poenitentia*, ale zbrodnia. Zbrodnia, winnych której radbym widzieć ukaranymi. Ty również, prawda? Widzę, że również. Wiedz tedy, że będą ukarani, i to niebawem. Wiedza ta powinna pomóc ci w podjęciu decyzji.

– Jakiej... – Reynevan przełknął ślinę. – Jakiej decyzji?

Hejncze milczał chwilę, krusząc kromkę chleba. Z zamyślenia wyrwał go krzyk, dobiegający gdzieś z głębi budynku, dziki, okropny wrzask człowieka, któremu zadają ból. Bardzo dotkliwy ból.

– Brat Arnulf – wskazał ruchem głowy inkwizytor – jak słyszę, krótko się modlił, szybko skończył i wrócił do zajęć. Gorliwy to człek, gorliwy. Do przesady. Ale przypomina, że i ja mam obowiązki. Zmierzajmy przeto do konkluzji.

Reynevan skurczył się. I słusznie.

– Zostałeś, drogi Reynevanie, wplątany w niezłą aferę. Zrobiono z ciebie narzędzie. Współczuję. Ale skoro już jesteś narzędziem, byłoby grzechem z ciebie nie skorzystać, zwłaszcza w dobrej sprawie i ku Bożej chwale, *ad maiorem Dei gloriam*. Wyjdziesz zatem na wolność. Wyciągnę cię z wieży, uchronię i obronię przed tymi, którzy na ciebie dybią, a namnożyło się, namnożyło takowych. Śmierci twojej pragną, z tego, co wiem, Sterczowie, książę Jan Ziębicki, miłośnica Jana Adela Sterczowa, raubritter Buko von Krossig, a także – z przyczyn, które muszę dopiero wyjaśnić – szlachetny Jan von Biberstein... Ha, zaiste, są powody, by lękać się o życie. Ale, jak się rzekło, wezmę cię pod ochronę. Nie za darmo, oczywista. Coś za coś. *Do ut des*. A raczej: *ut facias*.

– Zaaranżuję – inkwizytor zaczął mówić szybciej, jak gdyby recytował wyuczony tekst. – Zaaranżuję wszystko tak, by w Czechach, dokąd się udasz, nie wzbudziło to niczyich podejrzeń. W Czechach nawiążesz kontakty z husytami, z ludźmi, których ci wskażę. Nie powinieneś mieć trudności z nawiązaniem kontaktów. Jesteś wszak bratem zasłużonego dla husytyzmu Piotra z Bielawy, prawego chrześcijanina, męczennika za sprawę, zamordowanego przez przeklętych papistów.

– Mam być... – wykrztusił Reynevan. – Mam być szpiegiem?

– *Ad maiorem* – wzruszył ramionami Hejncze – *Dei gloriam*. Każdy winien służyć, jak może.

– Ja się nie nadaję... Nie, nie. Grzegorzu, tylko nie to. Nie zgadzam się. Nie.

– Wiesz – inkwizytor spojrzał mu w oczy – jaka jest alternatywa.

Torturowany z głębi budynku zawył, a zaraz potem zaryczał, zachłysnął się rykiem. Reynevan i bez tego domyślał się, jaka jest alternatywa.

– Nie uwierzysz – potwierdził domysł Hejncze – jakie rzeczy wychodzą na jaw na bolesnych konfesatach. Jakie tajemnice zostają zdradzone. Nawet tajemnice alkowy. Na śledztwie prowadzonym przez kogoś tak gorliwego jak brat Arnulf, dla przykładu, delikwent, gdy już wyzna i opowie wszystko o sobie, zaczyna wyznawać o innych... Czasami aż krępujące bywa przysłuchiwanie się takim zeznaniom... Dowiadywanie się kto, z kim, kiedy, jak... A nieraz idzie o duchownych. O zakonnice. O żony, uchodzące za wierne. O panny na wydaniu, uchodzące za cnotliwe. Na Boga, każdy, myślę, ma takie sekrety. Musi być strasznie upokarzające, gdy ból zmusi do wyznawania ich. Takiemu bratu Arnulfowi. W obecności oprawców. Co, Reinmarze? Nie masz ty takich sekretów?

– Nie traktuj mnie w taki sposób, Grzegorzu – Reynevan zaciął zęby. – Wszystko zrozumiałem.

– Bardzom rad. Naprawdę.

Torturowany zaryczał.

– Kogóż-to – złość pomogła Reynevanowi przełamać lęk – tam katują? Z twojego rozkazu? Kogo z tych, z którymi siedziałem w wieży?

– To ciekawe, że o to pytasz – uniósł oczy inkwizytor. – Bo wzorcowa to zaiste ilustracja moich wywodów. Był wśród więźniów pisarz grodzki z Frankensteinu. Wiesz, o kogo chodzi? Widzę, że wiesz. Oskarżony o

herezję. Śledztwo rychło pokazało, że oskarżenie było fałszywe, z pobudek osobistych, delatorem był miłośnik jego żony. Kazałem pisarza zwolnić, a gaszka przyaresztować, ot tak, dla sprawdzenia, czy to aby wyłącznie o białogłowskie wdzięki idzie. Gaszek, wystaw sobie, na sam widok narzędzi wyznał, że to nie pierwsza mieszczka, którą pod pozorem miłosnych zachodów okrada. W zeznaniach trochę się plątał, więc niektóre z narzędzi zastosowano. Ech, nasłuchałem się wówczas o innych mężatkach, ze Świdnicy, z Wrocławia, z Wałbrzycha, o ich występnych chuciach i ciekawych sposobach ich zaspokajania. A podczas rewizji znaleziono u niego paszkwil, szkalujący Ojca Świętego, taki obrazek, na którym papieżowi wystają spod szat pontyfikalnych diabelskie pazury, widziałeś pewnie coś takiego.

– Widziałem.

– Gdzie?

– Nie pamię...

Reynevan zachłysnął się, zbladł. Hejncze parsknął.

– Widzisz, jak to łatwo? Już by ci, gwarantuję, *strappado* odświeżyło pamięć. Fornikator też nie pamiętał, od kogo dostał ów paszkwil i obrazek z papieżem, ale przypomniał sobie szybko. A brat Arnulf, jak słyszysz, właśnie sprawdza, czy jego pamięć nie tai czasem jakichś jeszcze innych ciekawych rzeczy.

– A ciebie... – strach, paradoksalnie, dodał Reynevanowi desperackiej brawury. – Ciebie to bawi. Nie takim cię znałem, inkwizytorze. W Pradze sam naśmiewałeś się z fanatyków! A dziś? Czym jest dla ciebie to stanowisko? Jeszcze profesją czy już pasją?

Grzegorz Hejncze zmarszczył krzaczaste brwi.

– Na moim stanowisku – powiedział zimno – nie powinno być różnicy. I nie ma.

– Akurat – Reynevan, choć dygotał i szczękał zębami, brnął dalej. – Powiedz mi jeszcze coś o chwale boskiej, o szczytnym celu i świętym zapale. Wasz święty zapał, a to dobre! Tortury za lada podejrzenie, za byle donos, za byle podsłuchane czy wydobyte prowokacją słowo. Stos za wymuszone torturą przyznanie się do winy. Husyta, czający się za każdym węgłem! A ja całkiem niedawno słyszałem ważnego duchownego, bez ogródek oznajmiającego, że idzie mu tylko o bogactwo i władzę, gdyby nie to, husyci mogliby przyjmować komunię za pomocą klistiery, nic by go to nie wzruszyło. A ty, gdyby go nie

zabito, zawlókłbyś do lochu Peterlina, skatował, zmusił do zeznań i pewnie spalił. I za co? Za to, że księgi czytał?

– Dosyć, Reinmarze, dosyć – skrzywił się inkwizytor. – Powściągnij uniesienie i nie bądź trywialny. Za chwilę gotowyś zacząć straszyć mnie losem Konrada z Marburga.

– Pojedziesz do Czech – rzekł po chwili twardo. – Zrobisz to, co rozkażę. Będziesz służył. Ocalisz tym sposobem skórę. I częściowo chociaż odkupisz winy brata. Bo twój brat był winien. I bynajmniej nie czytania ksiąg.

– A fanatyzmu mi nie zarzucaj – ciągnął. – Mnie, wystaw sobie, nie przeszkadzają księgi, nawet fałszywe i heretyckie. Uważam, wystaw sobie, że żadnych nie powinno się palić, że *libri sunt legendi, non comburendi*. Że nawet błędne i bałamutne poglądy można szanować, można też, przy odrobinie filozoficznego nastawienia, zauważyć, że na prawdę nikt monopolu nie ma, wiele tez niegdyś okrzykniętych fałszywymi dziś robi za prawdy i odwrotnie. Ale wiara i religia, której bronię, to nie tylko tezy i dogmaty. Wiara i religia, której bronię, to ład społeczny. Zabraknie ładu, nastanie chaos i anarchia. Chaosu i anarchii pragną tylko złoczyńcy. Złoczyńców zaś należy karać.

– Konkluzja: a niechby sobie Piotr de Bielau i jego komilitoni dysydenci czytywali na zdrowie Wiklefa, Husa, Arnolda z Brescii i Joachima z Fiore. Bo Joachim z Fiore tak, ale nie Fra Dolcino, nie ciompi, nie żakieria. Wiklef tak, ale nie Wat Tyler. Tu kończy się moja tolerancja, Reinmarze. Nie dopuszczę, by rozplenili się tu *fratricelli* i pikarci. Zdławię w zarodku Tylerów i Johnów Ballów, zmiażdżę wykluwających się Dolcinów, Colów di Rienzich, Piotrów z Bruys, Korandów, Żeliwskich, Loquisów i Żiżków.

– A cel – dorzucił po chwili milczenia. – Cel uświęci środki. A kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie, *qui non est mecum, contra me est*. I jeszcze Jan, piętnaście, sześć: ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie. Płonie! Zrozumiałeś? Widzę, że zrozumiałeś.

Torturowany od dłuższego czasu nie krzyczał. Zapewne zeznawał. Mówił. Dygocącym głosem przyznawał się do wszystkiego, czego tylko żądał brat Arnulf.

Hejncze wstał.

– Będziesz miał trochę czasu na przemyślenie sprawy. Muszę pilnie wracać do Wrocławia. Zdradzę ci pewną rzecz: mniemałem, iż będę przesłuchiwał tu głównie waryjatów, a tu proszę, skarb się trafił. Jeden z twych współwięźniów, księżulo z niemodlińskiej kolegiaty, na własne oczy widział, potrafił opisać i zdoła rozpoznać demona. Tego, co niszczy w południe, jeśli przypominasz sobie stosowny psalm. Bardzo mi więc pilno do pewnej małej konfrontacyjki. Gdy zaś wrócę, a wrócę niebawem, najdalej na świętą Łucję, przywiozę do Narrenturmu nowego lokatora. Obiecałem mu to kiedyś, a ja słowa dotrzymuję zawsze. Ty zaś, Reinmarze, myśl intensywnie. Rozważ za i przeciw. Chciałbym, gdy wrócę, poznać twoją decyzję i usłyszeć deklarację. Chciałbym, żeby była właściwa. By była to deklaracja lojalnej współpracy i służby. Bo jeśli nie, to na Boga, chociażeś kamrat z uniwerku, będziesz dla mnie jak uschnięta winna latorośl. Zostawię cię do dyspozycji brata Arnulfa, sam zajmować się już tobą nie będę. Zostawię cię z nim sam na sam.

– Oczywiście – dodał po chwili – po tym, gdy mnie osobiście wyznasz, co robiłeś na Górze Grochowej w noc zrównania jesiennego. I kim była kobieta, z którą cię tam widziano. Wyznasz mi też, ma się rozumieć, który to duchowny dowcipkował o klistierze. Bywaj, Reynevan.

– Aha – odwrócił się w progu. – Jeszcze jedno. Bernhard Roth vel Urban Horn. Ukłoń mu się ode mnie. I powtórz, że teraz...

●

– ...że teraz – powtórzył dosłownie Reynevan – nie ma czasu, by zająć się tobą jak należy. Nie chciałby byle jak, chybcikiem i na łapu-capu. Chciałby wespół z bratem Arnulfem poświęcić ci tyle czasu i wysiłku, na ile faktycznie zasługujesz. I przystąpi do tego zaraz po powrocie, najdalej na świętą Łucję. Radzi ci, byś dobrze uporządkował posiadaną wiedzę, albowiem będziesz musiał się tą wiedzą podzielić ze Świętym Oficjum.

– Skurwysyn – Urban Horn splunął na słomę. – Zmiękcza mnie. Pozwala mi dojrzeć. Wie, co robi. Mówiłeś mu o Konradzie z Marburga?

– Sam mu to powiesz.

Niedobitki mieszkańców wieży siedziały w ciszy, zaszyte w barłogi. Niektórzy chrapali, niektórzy popłakiwali, niektórzy modlili się cicho.

– Co – przerwał milczenie Reynevan – ze mną? Co ja mam robić?

– Akurat ty masz zmartwienie – przeciągnął się Szarlej. – Akurat ty. Horn ma w perspektywie bolesne śledztwo. Ja, kto wie, co gorsze, może będę tu gnił po wieki wieków. A ty masz problem, ha, boki zrywać. Inkwizytor, twój kumpel ze studiów, daje ci wolność na talerzu, w prezencie...

– W prezencie?

– A jakże. Podpiszesz lojalkę i wyjdziesz.

– Jako szpieg?

– Nie ma róży bez kolców.

– A ja nie chcę. Brzydzę się takim procederem. Sumienie mi nie pozwoli. Nie chcę...

– Zaciśnij zęby – wzruszył ramionami Szarlej – i zmuś się.

– Horn?

– Co Horn? – inkryminowany odwrócił się gwałtownie. – Chcesz porady? Chcesz usłyszeć słowa moralnego wsparcia? Słuchaj więc. Przyrodzoną cechą natury ludzkiej jest opór. Odpór niegodziwości. Brak zgody na łotrostwo. Odmowa konsensusu na zło. Są to przyrodzone, immanentne cechy człowieka. *Ergo*, oporu nie stawiają tylko osobnicy totalnie z człowieczeństwa wyprani. Sprzedawczykami ze strachu przed torturami zostają tylko szubrawe kreatury.

– A zatem?

– A zatem – Horn, okiem nawet nie mrugnąwszy, splótł ręce na piersi. – A zatem podpisz lojalkę, zgódź się na współpracę. Jedź do Czech, jak ci każą. A tam... Tam stawisz opór.

– Nie rozumiem...

– Nie? – parsknął Szarlej. – Doprawdy? Nasz przyjaciel, Reinmarze, wykładem o moralnej i czystej naturze ludzkiej poprzedza bardzo niemoralną ofertę. Proponuje ci zostanie tak zwanym agentem podwójnym, pracującym na dwie strony, dla Inkwizycji i dla husytów. To wszak, że sam jest husyckim emisariuszem i szpiegiem, wie już każdy, wyjąwszy co najwyżej tych stękających tam w słomie debili. Prawda, Urbanie Horn? Twoja rada dla naszego Reynevana wydaje się niegłupia, jest w niej jednak zagwozdka. Husyci mianowicie, jak wszyscy, którym przyszło mieć do czynienia ze szpiegostwem, widzieli już agentów podwójnych. Wypraktykowali, że często są to agenci potrójni. Dlatego zjawiających się bynajmniej nie należy dopuszczać do konfidencji, ale wprost przeciwnie, wieszać, zmusiwszy wpierw, a jakże,

torturami do zeznań. Swą radą smutny tedy gotujesz Reynevanowi los, Urbanie Horn. No, chyba, że... Chyba że dasz mu w Czechach dobry, zaufany kontakt. Jakieś tajne hasło... Coś, w co husyci uwierzą. Ale...

– Dokończ.

– Ty mu czegoś podobnego nie dasz. Bo nie wiesz wszak, czy on już nie podpisał lojalki. I czy szpiegowania na dwie strony nie zdążył go już nauczyć jego uniwersytecki kamrat inkwizytor.

Horn nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko. Paskudnie, samymi kącikami ust, bez zmrużenia swych lodowo zimnych oczu.

●

– Ja muszę się stąd wydostać – przemówił cicho Reynevan, stojąc sam pośrodku więzienia. – Muszę stąd wyjść. Inaczej zgubię Nikolettę Jasnowłosą, Katarzynę Biberstein. Muszę stąd uciec. Mam na to sposób.

●

Szarlej i Horn wysłuchali planu nawet spokojnie, odczekali, nie przerywając, aż Reynevan skończy. Dopiero wówczas Horn parsknął śmiechem, pokręcił głową i odszedł. Szarlej był poważny. Śmiertelnie, rzec by można.

– Temu – rzekł śmiertelnie poważnie – że ci się ze strachu rozum pomieszał, mogę okazać zrozumienie. I mogę współczuć. Ale nie obrażaj, chłopcze, mojej inteligencji.

– Zostało – powtórzył cierpliwie Reynevan – na ścianie *occultum*, zostały glify i sigle Circulosa. Do tego, o, proszę, mam jego amulet, zdołałem zabrać niepostrzeżenie. Circulos zdradził mi zaklęcie aktywujące, podał tryb konjuracji, co nieco na ewokacjach znam się sam, uczyłem się tego... Szansa jest, przyznaję, znikoma, ale jest. Jest! Nie rozumiem twojej rezerwy, Szarleju. Wątpisz w magię? A Huon von Sagar? A Samson? Przecież Samson...

– Samson jest oszustem – uciął demeryt. – Sympatycznym, niegłupim, miłym towarzyszem. Ale oszustem i szarlatanem. Jak większość tych, którzy powołują się na czary i czarodziejstwo. To zresztą nie ma znaczenia. Reinmarze, ja nie wątpię w magię. Widziałem dość, by nie wątpić. Toteż nie w magię wątpię, ale w ciebie. Widziałem, jak lewitujesz i znajdujesz drogi, bo jeśli o latającą ławkę idzie, to na nią wsadził cię niezawodnie von Sagar, sam byś nie polatał. Ale do

prawdziwego zaklinacza demonów, chłopczyno, to tobie daleko. Przecież sam musisz to wiedzieć. Sam musisz rozumieć, że na nic tu nabazgrane przez kretyna hieroglify, pentagramy i hokusy-pokusy. I ów pożal się Boże amulet, obesrany jarmarczny rupieć. Sam musisz być tego wszystkiego świadom. Dlatego nie obrażaj, powtarzam, ani mojej, ani własnej inteligencji.

– Ja nie mam wyjścia – zacisnął zęby Reynevan. – Muszę spróbować. To dla mnie jedyna szansa.

Szarlej wzruszył ramionami i uniósł oczy.

●

Occultum Circulosa przedstawiało się, Reynevan musiał to przyznać, gorzej niż żałośnie. Było brudne, a wszystkie magiczne księgi żądały sanktuariów idealnie, sterylnie wręcz czystych. Krąg Goetyjski na ścianie wykreślony był niezbyt równo, a reguły *Sacra Goetia* podkreślały wagę precyzji rysunku. Prawidłowości wpisanych w Krąg zaklęć Reynevan również nie do końca był pewien.

Sam ceremoniał ewokacji musiał odbyć się nie o północy, jak kazały grymuary, ale o świcie, o północy ciemność uniemożliwiała w wieży jakiekolwiek akcje. Nie mogło też być mowy o wymaganych rytuałem czarnych świecach – jak i o świecach w jakimkolwiek innym kolorze. Ze zrozumiałych powodów wariatom w Narrenturmie nie dawano świec, kaganków, lamp ani żadnych innych sposobności do wzniecenia pożaru.

W zasadzie, pomyślał gorzko, zabierając się do dzieła, w zgodzie z literą grymuarów jestem tylko w jednym względzie: chcący ewokować lub inwokować mag musi spełnić warunek odpowiednio długotrwałej wstrzemięźliwości od stosunków płciowych. Ja zaś już półtora miesiąca jestem w tym względzie absolutnym, choć i nie dobrowolnym abstynentem.

Szarlej i Horn przyglądali mu się z oddalenia, zachowując milczenie. Cicho był też Tomasz Alfa, głównie dlatego, że zagrożono mu mordobiciem, gdyby w jaki bądź sposób ciszę ośmielił się zakłócić.

Reynevan zakończył porządkowanie *occultum*, zakreślił wokół siebie magiczne koło. Odchrząknął, rozpostarł ręce.

– Ermites! – zaczął śpiewnie, wpatrzony w glify Kręgu Goetyjskiego. – Poncor! Pagor! Anitor!

Horn parsknął z cicha. Szarlej westchnął tylko.

– Aglon, Vaycheon, Stimulamaton! Ezphares, Olyaram, Irion!

– Mersilde! Ty, którego wzrok przenika otchłanie! *Te adoro, et te invoco!*

Nic się nie działo.

– Esytion, Eryon, Onera! Mozm, Soter, Helomi!

Reynevan oblizał spierzchnięte wargi. W miejscu, w którym jeszcze nieboszczyk Circulos trzykrotnie powtórzył napis: VENI MERSILDE, położył amulet z wężem, rybą i wpisanym w trójkąt słońcem.

– Ostrata! – rozpoczął zaklęcie aktywujące. – Terpandu!

– Ermas! – powtarzał, kłaniając się i modulując głos stosownie do wskazań *Lemegetonu*, *Mniejszego Klucza Salomona*. – Pericatur! Beleuros!

Szarlej zaklął, zwracając tym jego uwagę. Sam ledwie wierząc własnym oczom Reynevan zobaczył, jak naskrobane cegłą napisy w kręgu zaczynają gorzeć fosforyzującym światłem.

– Na pieczęć Basdathei! Mersilde! Ty, którego wzrok przenika otchłanie! Przybądź! Zabaoth! Escwerchie! Astrachios, Asach, Asarca!

Napisy kręgu paliły się coraz jaśniej, upiornym blaskiem oświetliły ścianę. Mury wieży zaczęły wyczuwalnie wibrować. Horn zaklął. Tomasz Alfa zaskowyczał. Jeden z debili zapłakał głośno, zaczął krzyczeć. Szarlej zerwał się jak sprężyna, doskoczył, krótkim ciosem pięści w skroń zwalił go na barłóg, uciszył.

– Bosmoletic, Jeysmy, Eth. – Reynevan pochylił się, dotknął czołem środka pentagramu. Potem, wyprostowany, sięgnął po wyszlifowaną, wyostrzoną na kamieniu złamaną główkę hufnala. Mocnym pociągnięciem przeciął skórę na opuszku kciuka, dotknął krwawiącym palcem czoła. Nabrał powietrza, świadom, że dochodzi do momentu największego ryzyka i niebezpieczeństwa. Gdy krew popłynęła dostatecznie obficie, namalował nią w środku kręgu znak.

Tajemny, budzący grozę, zakazany znak Scirlin.

– *Veni* Mersilde! – krzyknął, czując, jak fundament Narrenturmu zaczyna trząść się i dygotać.

Tomasz Alfa zaskowyczał znowu, ścichł natychmiast, gdy Szarlej pokazał mu pięść. Wieża dygotała coraz wyraźniej.

– Taul! – ewokował Reynevan, gardłowo i chrapliwie, jak kazały grymuary. – Varf! Pan!

Krąg Goetyjski buchnął silniejszą jasnością, oświetlone przezeń miejsce na ścianie pomału przestawało być tylko plamą światła, zaczynało nabierać kształtów i konturów. Konturów człowieka. Nie do końca człowieka. Ludzie nie miewali ani takich wielkich głów, ani takich długich rąk. Ani wielkich rogów, wyrastających z czoła sklepionego jak u wołu.

Wieża dygotała, debile wyli na różne głosy, wtórował im głośno Tomasz Alfa. Horn zerwał się.

– Dość tego! – wrzasnął, przekrzykując hałas. – Reynevan! Zatrzymaj to! Zatrzymaj, psiakrew, to diabelstwo! Zginiemy przez ciebie!

– Varf! Clemialh!

Dalsze słowa ewokacji uwięzły mu w gardle. Świetlista postać na ścianie była już na tyle wyraźna, by móc spojrzeć na niego dwojgiem wielkich wężowych oczu. Widząc, że postać nie ogranicza się do patrzenia, lecz i wyciąga ręce, Reynevan wrzasnął ze strachu. Zgroza sparaliżowała go.

– Seru... geath! – wybełkotał, świadom, że plącze. – Ariwh...

Szarlej doskoczył, chwycił go od tyłu za gardło, drugą dłonią zakneblował usta, odciągnął, bezwładnego ze strachu powlókł po słomie w najdalszy kąt, między debili. Tomasz Alfa uciekł na schody, przeraźliwym wrzaskiem wzywając pomocy. Horn zaś – widać było, że w zupełnej desperacji – porwał z podłogi kibel i chlusnął jego zawartością na wszystko: na *occultum*, na krąg, na pentagram i na wyłaniającą się ze ściany aparycję.

Ryk, który się rozległ, sprawił, że wszyscy zakryli uszy dłońmi i skurczyli się na klepisku. Nagle powiało okropnym wichrem, zaszalała kurzawa poderwanej słomy i kurzu, pył wdarł się do oczu, oślepił. Ogień na ścianie przygasł, stłumiony kłębami śmierdzącej pary, syczał, wreszcie zgasł zupełnie.

Nie był to jednak koniec. Bo nagle huknęło, huknęło straszliwie, ale nie od strony zasnutego cuchnącym dymem occultum, lecz z góry, ze szczytu schodów, od drzwi. Sypnął się gruz, istny grad ociosanych kamieni w białej chmurze tynku i zaprawy. Szarlej chwycił Reynevana i skoczył wraz z nim pod arkadę schodów. W samą porę. Na ich oczach spadająca z góry, obciążona zawiasem gruba decha z drzwi ugodziła jednego ze spanikowanych debili prosto w czaszkę, rozłupując ją jak jabłko.

W lawinie gruzu spadł z góry człowiek, z rękoma i nogami rozpostartymi w kształt krzyża.

Narrenturm wali się, przemknęło przez głowę Reynevana. Rozpada się w gruzy *turris fulgurata*, wieża trafiona piorunem. Biedny śmieszny błazen spada z rozlatującej się w złomy Wieży Błaznów, leci w dół, ku zagładzie. Ja jestem tym błaznem, spadam, lecę w otchłań, na dno. Zagłada, chaos i destrukcja, winnym których jestem ja sam. Błazen i szaleniec, wywołałem demona, otwarłem wrota piekieł. Czuję smród piekielnej siarki...

– To proch... – odgadł jego myśl skurczony obok Szarlej. – Ktoś prochem wysadził drzwi... Reinmarze... Ktoś...

– Ktoś nas uwalnia! – krzyknął, gramoląc się z gruzowiska, Horn. – To ratunek! To nasi! Hosanna!

– Hej, chlapy! – krzyknął ktoś z góry, od strony wysadzonych drzwi, skąd biła już jasność dnia i mroźne, świeże powietrze. – Wychodzić! Jesteście wolni!

– Hosanna! – powtórzył Horn. – Szarleju, Reinmarze! Wychodzimy, żywo! To nasi! Czesi! Jesteśmy wolni! Dalej, żywo, na schody!

Sam pobiegł pierwszy, nie czekając. Szarlej pobiegł za nim. Reynevan rzucił okiem na wygasłe, wciąż jeszcze parujące *occultum*, na skulonych w słomie debili. Pospieszył na schody, po drodze przestępując nad zwłokami Tomasza Alfy, któremu rozbijająca drzwi eksplozja przyniosła nie wolność, lecz śmierć.

– Hosanna! – na górze Urban Horn witał już oswobodzicieli. – Hosanna, bratrzy! Witaj, Halada! Na Boga, Raabe! Tybald Raabe! To ty?

– Horn? – zdziwił się Tybald Raabe. – Ty tutaj? Ty żyjesz?

– Chryste, pewnie! Jak to więc? Więc to nie z mojego powodu...

– Nie z twojego – wtrącił nazwany Haladą Czech z wielkim czerwonym kielichem na piersi. – Radem, Horn, cię widzieć całym, ano. A i kneź Ambroż się uraduje... Ale napadliśmy na Frankenstein z drugiego powodu. Dla nich.

– Dla nich?

– Dla nich – potwierdził, przepychając się przez zbrojnych Czechów, olbrzym w pikowanej przeszywanicy, czyniącej go jeszcze większym. – Szarleju. Reinmarze. Witajcie.

– Samsonie... – Reynevan poczuł, jak wzruszenie ściska mu gardło. – Samsonie... Przyjacielu! Nie zapomniałeś o nas...

– A bo to – uśmiechnął się szeroko Samson Miodek – da się zapomnieć? O takich dwóch jak wy dwaj?

Rozdział dwudziesty dziewiąty

w którym bohaterowie wyswobodzeni z Narrenturmu są wolni – ale, jak się okazuje, nie całkiem. Biorą udział w wydarzeniach historycznych, dokładniej: w puszczaniu z dymem kilku wsi i miasteczek. Potem Samson ratuje to, co można, potem dzieją się różne rzeczy, aż wreszcie na koniec bohaterowie odchodzą. Droga ich, by użyć metafory poety, wiedzie *in parte ove non é che luca*.

Leżący na dachach śnieg zakłuł w oczy oślepiającą bielą. Reynevan zachwiał się, gdyby nie ramię Samsona, byłby jak nic spadł ze schodów. Od strony hospicjum dobiegał wrzask i huk wystrzałów. Jęczał boleśnie dzwon kościoła szpitalnego, biły też na alarm dzwony wszystkich świątyń Frankensteinu.

– Prędzej! – krzyknął Halada. – Ku bramie! I kryj się! Strzelają!

Strzelali. Bełt z kuszy świsnął im nad głowami, rozłupał deskę. Kuląc się, zbiegli na podwórze. Reynevan potknął się, upadł na kolano w błoto zmieszane z krwią. W okolicach bramy i przy szpitalu leżeli zabici – kilku bożogrobców w habitach, kilku pachołków, kilku żołnierzy Inkwizycji, pozostawionych widać przez Grzegorza Hejncze.

– Prędzej! – ponaglił Tybald Raabe. – Do koni!

– Tutaj! – wrył przy nich wierzchowca Czech w zbroi, z pochodnią w ręce, osmolony i okopcony jak diabeł. – Żywo, żywo!

Zamachnął się, cisnął pochodnię na strzechę szopy. Pochodnia stoczyła się po mokrej słomie, zasyczała w błocie. Czech zaklął.

Zaleciało dymem i pożarem, ponad dachy stajni wystrzelił płomień, kilku Czechów wywodziło stamtąd tupiące konie. Znowu huknęły strzały, rozbrzmiał wrzask, łomot, walczono, jak można się było domyślić, przy szpitalnym kościele, z kościoła właśnie, z okienek wieży i z okien chóru strzelano z kusz i hakownic, biorąc na cel wszystko, co się ruszało.

U wejścia do płonącego budynku medicinarium leżał oparty o mur bożogrobiec. Był to brat Trankwilus. Mokry habit tlił się na nim i parował. Mnich oburącz trzymał się za brzuch, spomiędzy palców obficie lała się krew. Oczy miał otwarte, patrzył wprost przed siebie, ale widzieć nie widział już chyba niczego.

– Dobić – wskazał na niego Halada.

– Nie! – cienki krzyk Reynevana powstrzymał husytów. – Nie! Zostawcie go!

– On kona... – dodał ciszej, widząc groźne i wściekłe spojrzenia. – Pozwólcie mu umrzeć w pokoju.

– Tym bardziej – zawołał osmolony jeździec – że czas nagli, nie ma co trwonić go na półtrupa! Dalej, dalej, na koń!

Reynevan, wciąż jak w półśnie czy w transie, wskoczył na siodło podanego mu konia. Jadący obok Szarlej trącił go kolanem.

Przed sobą miał szerokie bary Samsona, z drugiego boku Urbana Horna.

– Uważaj – syknął do niego Horn właśnie – za kim się ujmujesz. To są Sierotki z Hradca Kralove. Z nimi nie ma żartów...

– To był brat Trankwilus...

– Wiem, kto to był.

Wypadli za bramę, prosto w dym. Płonął i buchał płomieniami szpitalny młyn i szopy wokół niego. W mieście nadal biły dzwony, na murach roiło się od ludzi.

Dołączyli do nich następni konni, prowadzeni przez wąsacza w *cuir-boulli* i kolczym kapturze.

– Tam – wąsacz wskazał na kościół – już drzwi do kruchty niemal wyrąbane! A byłoby co złupić! Bracie Brazda! Jeszcze trzy pacierze i byłoby po wszystkim!

– Jeszcze dwa pacierze – nazwany Brazdą osmolony wskazał na mury miejskie – a tamci doliczą się wreszcie, ilu nas naprawdę jest. Wtedy wyjdą i w równie krótkim czasie zrobią z nami koniec. W konie, bracie Velku!

Runęli w galop, rozbryzgując błoto i topniejący śnieg. Reynevan oprzytomniał już na tyle, by móc policzyć Czechów – i wyszło mu, że zaatakowali Frankenstein we dwudziestu. Nie wiedział, czy bardziej podziwiać brawurę i efronterię, czy dziwić się rozmiarom poczynionych przez taką garstkę zniszczeń – oprócz zabudowań hospicjum i szpitalnego młyna ogień trawił budy farbiarzy na brzegach Budzówki, płonęły też szopy przy moście i stodoły na przedbramiu, u samej niemal Bramy Kłodzkiej.

– Do zobaczenia! – nazwany Velkiem wąsacz w *cuir-boulli* odwrócił się, pogroził pięścią zebranym na murach mieszczanom. – Do

zobaczenia, papieżnicy! Jeszcze tu wrócimy!

Z murów odpowiedziała palba i wrzask. Wrzask bardzo bojowy i odważny – obywatele grodu też zdążyli już policzyć husytów.

●

Gnali na złamanie karku, zupełnie nie szczędząc wierzchowców. Choć wyglądało to na zupełną głupotę, było, jak się okazało, częścią planu. Pokonawszy w imponującym tempie dystans blisko półtorej mili, dojechali w pokryte śniegiem Góry Sowie, za Srebrną Górę, gdzie w leśnym jarze czekało na nich pięciu młodych husytów i zmiana koni. Dla byłych więźniów Narrenturmu znalazł się przyodziewek i ekwipunek. Znalazło się też trochę czasu – między innymi na rozmowę.

– Samsonie? Jak nas odnalazłeś?

– Nie było to proste – olbrzym dociągnął popręg. – Po aresztowaniu zniknęliście jak sen. Próbowałem się dowiadywać, ale nadaremno, nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Nie wiedzieć czemu. Szczęściem, jeśli ze mną gadać nie chcieli, robili to przy mnie, moją obecnością mało się krępując. Z jednych plotek wynikało, że zabrano was do Świdnicy, z innych, że do Wrocławia. Wówczas napatoczył się pan Tybald Raabe, znajomy z Kromolina. Trochę potrwało, nim zdołaliśmy się dogadać, z początku brał mnie, ha, za upośledzonego umysłowo. Półgłówka, znaczy.

– Dalibyście pokój, panie Samsonie – rzekł z lekkim wyrzutem goliard. – Już tę kwestię dyskutowaliśmy, po co wracać. A że wyglądacie, z przeproszeniem, jak...

– Wszyscy wiemy – przerwał zimno skracający obok puśliska Szarlej – jak Samson wygląda. Słuchamy, co było dalej.

– Pan Tybald Raabe – głupkowate usta Samsona skrzywił uśmiech – nie wyszedł poza stereotyp. Z jednej strony lekceważąco odmawiał rozmowy, z drugiej lekceważył moją przytomność tak dalece, że rozmawiał przy mnie. Z różnymi ludźmi i o różnych sprawach. Szybko zorientowałem się, kim jest pan Tybald Raabe. I dałem mu do zrozumienia, że wiem. I ile wiem.

– Tak było, paniczu – goliard pokraśniał, zakłopotany. – Oj, obleciał mnie wtedy strach... Ale rzecz się prędko... wyjaśniła...

– Wyjaśniło się – przerwał spokojnie Samson – że pan Tybald ma znajomości. Wśród husytów z Hradca Kralove. Dla nich bowiem, jak się

zapewne już domyślacie, pracuje jako wywiadowca i emisariusz.

– Cóż za zbieg okoliczności – Szarlej wyszczerzył zęby. – I jakiż urodzaj na...

– Szarleju – uciął zza swego konia Urban Horn. – Nie drąż tematu. Dobrze?

– Ależ dobrze, dobrze. Mów dalej, Samsonie. Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

– A to rzecz ciekawa. Kilka dni temu, w oberży pod Broumovem, podszedł do mnie młodzieniec. Dziwny nieco. W sposób oczywisty wiedział, kim jestem. Niestety, z początku nie potrafił wydukać nic poza zdaniem, cytuję, „ażebyś z zamknięcia wypuścił jeńców, z więzienia tych, co mieszkają w ciemności".

– Izajasz! – zdumiał się Reynevan.

– Owszem. Ustęp czterdziesty drugi, wers siódmy.

– Nie w tym rzecz. On się tak nazywał... Tak go nazywaliśmy... I on wskazał wam... Wieżę Błaznów?

– Nie powiem, by mnie to bardzo zdziwiło.

– I wówczas – rzekł po chwili Szarlej, z naciskiem i znacząco – husyci z Hradca śmiałym zagonem wdarli się w ziemię kłodzką, aż pod odległy o sześć mil od granicy Frankenstein, podpalili pół podgrodzia, zdobyli hospicjum bożogrobców i Narrenturm. A wszystko to, jeśli dobrze zrozumiałem, tylko dla nas dwu. Dla mnie i dla Reynevana. Naprawdę, panie Tybaldzie Raabe, nie wiem, jak dziękować.

– Powody – chrząknął goliard – wnet się wyjaśnią. Cierpliwości, panie.

– Cierpliwość nie należy do mych największych cnót.

– Przyjdzie wam więc nad ową cnotą nieco popracować – powiedział zimno Czech zwany Brazdą, dowódca oddziału, który podjechał i wstrzymał konia obok nich. – Powody, dla których wyciągnęliśmy was z jamy, wyjaśnią się, gdy czas przyjdzie. Nie wcześniej.

Brazda, jak większość Czechów w oddziale, nosił na piersi wycięty z czerwonego sukna kielich. Ale jako jedyny przypiął husyckie godło wprost na widoczny na wapenroku herb – czarne skrzyżowane ostrzewie w polu złotym.

– Jestem Brazda z Klinsztejna, z rodu Ronoviców – potwierdził domysły. – A teraz koniec rozhoworów, dalej w drogę. Czas nagli. A to wraże terytorium!

– Niebezpiecznie tu, fakt – zgodził się kpiąco Szarlej – nosić kielich na piersi.

– Przeciwnie – odparł Brazda z Klinsztejna. – Taki znak chroni i broni.

– Doprawdy?

– Będzie okazja, sami zobaczycie.

Okazja zdarzyła się nawet szybko.

Na świeżych rumakach oddział rychło pokonał Przełęcz Srebrną, za nią, w okolicach wsi Ebersdorf, wpakowali się wprost na zbrojny poczet, złożony z ciężkozbrojnych i strzelczych. Poczet liczył co najmniej trzydziestu ludzi, a jechał pod czerwoną chorągwią ozdobioną baranią głową, herbem Haugwitzów.

I faktycznie, Brazda z Klinsztejna miał absolutną rację. Haugwitz i jego ludzie wytrwali w miejscu tylko do momentu, gdy rozpoznali, z kim mają sprawę. Potem rycerze i kusznicy zawrócili konie i uciekli cwałem, takim, że błoto gęsto pryskało spod kopyt.

– I co powiecie – Brazda odwrócił się do Szarleja – na znak Kielicha? Nieźle działa, nieprawdaż?

Nie można było polemizować.

Cwałowali, wciąż zmuszając konie do wielkiego wysiłku. Łykali w pędzie płatki śniegu, który zaczął padać.

Reynevan pewien był, że jadą do Czech, że zaraz po zjeździe w dolinę Ścinawki skręcą i pojadą w górę rzeki, ku granicy, drogą wiodącą wprost do Broumova. Zdziwił się, gdy oddział galopem pomknął przez obniżenie w kierunku siniejących na południowym zachodzie Gór Stołowych. Nie on jeden się zdziwił.

– Dokąd jedziemy? – przekrzyczał pęd i śnieg Urban Horn. – Hej! Halada! Panie Brazda!

– Radków! – odkrzyknął krótko Halada.

– Po co?

– Ambroż!

●

Radków, którego Reynevan nie znał, bo tu nie bywał, okazał się całkiem sympatycznym miasteczkiem, malowniczo rozpostartym u podnóża zjeżonych lasami gór. Nad pierścieniem muru wznosiły się czerwone dachy, ponad nie strzelała w niebo smukła wieża kościoła.

Widok byłby nastrajał, gdyby nie fakt, że nad miasteczkiem wznosiła się potężna chmura dymu.

Radków był obiektem najazdu.

●

Zgromadzona pod Radkowem armia liczyła dobry tysiąc wojowników, przede wszystkim piechoty, głównie, jak dało się widzieć, uzbrojonej we wszelkiego typu broń drzewcową – od prostych dzid po skomplikowanego systemu gizarmy.

Co najmniej połowa wojska wyposażona była w kusze i broń palną. Była i artyleria – na wprost miejskiej bramy ustawiono średnich rozmiarów bombardę, skrytą za podnoszonym zatarasem, a w lukach pomiędzy pawężami stały taraśnice i hufnice.

Armia, choć wyglądała groźnie, stała jak zastygła, jak zaklęta, w ciszy i bezruchu. Całość nieodparcie nasuwała skojarzenia z malowidłem, z *tableau* – jedynym ruchomym akcentem były bowiem krążące po szarym niebie czarne punkty wron. I kłębiąca się nad miastem chmura dymu, tu i ówdzie przetykana już czerwonymi jęzorami płomieni.

Wjechali kłusem pomiędzy wozy. Reynevan po raz pierwszy widział z bliska słynne bojowe wozy husyckie, przyglądał się im z zainteresowaniem, podziwiając sprytną konstrukcję zbitych z grubych desek opuszczanych nadburć, które, w razie potrzeby podniesione, zamieniały wehikuł w prawdziwy bastion.

Rozpoznano ich.

– Pan Brazda – powitał cierpko Czech w półpancerzu i futrzanej czapie, z obowiązkowym wśród wyższych szarż czerwonym kielichem na piersi. – Urodzony pan rycerz Brazda raczył wreszcie przybyć wraz z elitą swej szlachetnej konnicy. Cóż, lepiej późno niż wcale.

– Nie sądziłem – wzruszył ramionami Brazda z Klinsztejna – że tak gracko wam tu pójdzie. Już po wszystkim? Poddali się?

– A jak myślisz? Pewnie, że się poddali, kto i czym miał się tu bronić? Wystarczyło zapalić parę strzech, a z miejsca zaczęli paktować. Teraz gaszą pożary, a wielebny Ambroż właśnie przyjmuje ich poselstwo. Dlatego musicie zaczekać.

– Mus to mus. Zsiadać, chłopy.

W pobliże sztabu husyckiej armii udali się już pieszo, niewielką grupą, z Czechów byli w niej tylko Brazda, Halada i wąsacz, Velek Chrasticky.

Towarzyszyli także, rzecz jasna, Urban Horn i Tybald Raabe.

Przybyli na sam koniec rokowań. Radkowskie poselstwo właśnie odchodziło, bladzi i bardzo wystraszeni mieszczanie wycofywali się, oglądając z lękiem i mnąc w dłoniach czapki. Z ich min należało wnioskować, że wiele nie utargowali.

– Będzie zwykłość – ocenił z cicha Czech w futrzanej czapie. – Baby i dzieci wychodzą wolno choćby zaraz. Chłopy, by wyjść, muszą się okupić. I zapłacić okup za miasto, które inaczej idzie z dymem. Nadto...

– Muszą być wydani wszyscy papistowscy księża – dokończył Brazda, też mający widać praktykę. – I wszyscy zbiegowie z Czech. Ha, wychodzi na to, że wcale nie musiałem się spieszyć. Wyjście bab i zbieranie okupu zajmie czas jakiś. Nie wyruszymy stąd tak szybko.

– Chodźcie przed Ambroża.

Reynevan pamiętał rozmowy, jakie o byłym proboszczu z Hradca Kralove wiedli Szarlej i Horn. Pamiętał, że określali go mianem fanatyka, ekstremisty i radykała, wyróżniającego się fanatyzmem i bezwzględnością nawet wśród najbardziej radykalnych i najbardziej sfanatyzowanych taborytów. Spodziewał się więc ujrzeć małego, chudego jak kij i ognistookiego trybuna, machającego rękami i wykrzykującego ociekające śliną i demagogią manifesty. Ujrzał natomiast postawnego i oszczędnego w ruchach mężczyznę w czarnym stroju przypominającym habit, ale krótszym, odsłaniającym wysokie buty. Mężczyzna nosił brodę szeroką jak łopata, sięgającą niemal pasa, u którego zwisał miecz. Mimo tego miecza husycki kapłan prezentował się raczej dobrodusznie. I jowialnie. Może sprawiały to wysokie wypukłe czoło, krzaczaste brwi i owa broda właśnie, dzięki którym Ambroż wyglądał trochę jak Bóg Ojciec na bizantyńskiej ikonie.

– Pan Brazda – powitał ich dość serdecznie. – Cóż, lepiej późno niż wcale. Ekspedycja, widzę, zakończona powodzeniem? Bez strat? Chwali się, chwali. A brat Urban Horn? Z jakiej chmury nam tu spadł?

– Z czarnej – odrzekł kwaśno Horn. – Dzięki za ratunek, bracie Ambrożu. Nie przyszedł ani o chwilkę za wcześnie.

– Radem, radem – kiwnął brodą Ambroż. – I inni radzi będą. Bośmy cię już opłakali, gdy się wieść rozniosła. Z biskupich pazurów wyrwać się trudno. Iście, snadniej myszy z kocich. Słowem, dobrze się stało... Chociaż i prawda to, żem nie po ciebie słał podjazd do Frankensteinu.

Skierował oczy na Reynevana, a Reynevan poczuł zimno między łopatkami. Kapłan milczał długo.

– Młody pan Reinmar z Bielawy – stwierdził wreszcie. – Rodzony brat Piotra z Bielawy, prawego chrześcijanina, który tyle dobrego uczynił dla sprawy Kielicha. I który za sprawę dał życie.

Reynevan skłonił się bez słowa. Ambroż odwrócił głowę, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Szarleja. Potrwało nieco, nim Szarlej pokornie spuścił oczy, a i tak dało się miarkować, że spuścił tylko przez dyplomację.

– Pan Szarlej – rzekł wreszcie hradecki proboszcz. – Który nie porzuca w potrzebie. Gdy Piotr z Bielawy zginął z ręki mściwych papieżników, pan Szarlej ratował jego brata, nie bacząc na niebezpieczeństwo, na jakie sam się wystawia. Zaiste, rzadki w dzisiejszych czasach przykład honoru. I przyjaźni. Bo wszak dobrze mówi stare czeskie przysłowie: *v nouzi poznaš přítele*.

– Zaś młody pan Reinmar – kontynuował Ambroż – jak słyszymy, dowód isty daje miłości braterskiej, w ślady brata idąc, jak on prawdziwą wyznając wiarę, dzielnie przeciwstawiając się rzymskim błędom i nieprawościom. Jak każdy wierzący i prawy człek, po stronie Kielicha się opowiada, a przekupny Rzym jak diabła odtrąca. Będzie wam to policzone. Już to wam jest zresztą policzone, Reinmarze i panie Szarleju. Gdy mi brat Tybald doniósł, że was piekielnicy w lochu pogrzebali, ni chwili się nie wahałem.

– Dzięki wielkie...

– To wam się należą dzięki. Bo za waszą to wszak sprawą pieniądze, za które biskup wrocławski, łotr i heretyk, chciał śmierć naszą kupić, naszej, dobrej posłużą sprawie. Wszak wydobędziecie je z ukrycia i oddacie nam, prawym chrześcijanom? Hę? Czyż nie tak?

– Pie... Pieniądze? Jakie pieniądze?

Szarlej westchnął cicho. Urban Horn zakaszlał. Tybald Raabe zachrząkał. Twarz Ambroża stężała.

– Kpa ze mnie robicie?

Reynevan i Szarlej przecząco pokręcili głowami, a z ich oczu wyzierała taka święta niewinność, że kapłan zmitygował się. Ale tylko trochę.

– Mam tedy rozumieć – wycedził – że to nie wy? Nie wy ograbi... Nie wy przeprowadziliście bojową akcję na poborcę podatków? Dla naszej

sprawy? Ha. Znaczy, nie wy. Tedy ktoś będzie musiał się tu wytłumaczyć. Usprawiedliwić! Panie Raabe!

– Toć nie mówiłem... – bąknął goliard – że to właśnie oni i na pewno oni obrobili kolektora. Mówiłem, że to możliwe... Do prawdy podobne...

Ambroż wyprostował się. Oczy zapłonęły mu dziko, twarz w miejscach niezasłoniętych brodą nabiegła krwią niczym indycze podgardle. Przez moment hradecki proboszcz wyglądał nie jak Bóg Ojciec, lecz jak Zeus Gromowładny. Wszyscy skurczyli się w oczekiwaniu na piorun. Ale kapłan uspokoił się szybko.

– Mówiłeś – wycedził wreszcie – całkiem co inszego. Oj, omamiłeś mnie, bracie Tybaldzie, wprowadziłeś w błąd. Po to, bym posłał konnych na Frankenstein. Boś wiedział, że inaczej bym nie posłał!

– *V nouzi* – wtrącił z cicha Szarlej – *poznaš přítele*.

Ambroż zmierzył go wzrokiem, nic nie powiedział. Potem odwrócił się do Reynevana i goliarda.

– Wszystkich was, przyjaciele – warknął – powinienem kazać za koleją położyć na męki, jako że w całej tej aferze z kolektorem i jego pieniędzmi okrutnie mi cosik śmierdzi. A wy mi wszyscy na krętaczy, z przeproszeniem, patrzycie. Zaiste, powinienem dać was katu, wszystkich, jak tu stoicie.

– Ale – kapłan wpił oczy w Reynevana – przez pamięć Piotra z Bielawy nie uczynię tego. Trudno, odżałuję biskupie pieniądze, nie były mi widać przeznaczone. Ale z wami jestem kwita. Precz mi z oczu. Zabierajcie się stąd do wszystkich diabłów.

– Czcigodny bracie – Szarlej odchrząknął. – Pomijając nieporozumienia... Liczyliśmy...

– Na co? – parsknął w brodę Ambroż. – Że pozwolę wam przyłączyć się do nas? Że wezmę pod skrzydła? Że zabiorę bezpiecznie na czeską stronę, do Hradca? Nie, panie Szarleju. Więziła was Inkwizycja. Kto siedział, mógł zostać przekabacony. Krótko mówiąc, możecie być szpiclami.

– Obrażacie nas.

– Wolę was niż mój rozsądek.

– Bracie – napięcie rozładował, podchodząc, któryś z husyckich dowódców, sympatyczny grubasek o wyglądzie kwestarza lub wytwórcy wędlin. – Bracie Ambrożu...

– Co jest, bracie Hlusziczka?

– Mieszczanie złożyli okup. Wychodzą, jak było umówione. Wpierw baby z dziećmi.

– Brat Velek Chrasticky – skinął ręką Ambroż – bierze konnych i patroluje okolice miasta, by nikt się nie wymknął. Reszta za mną, wszyscy. Wszyscy, powiedziałem. Panu z Klinsztejna poruczam chwilowy dozór nad naszymi... gośćmi. Dalej, chodźmy!

Z bramy Radkowa, w samej rzeczy, wychodziła kolumna ludzi, z lękiem i ociąganiem wkraczając w najeżony ostrzami szpaler husytów. Ambroż i jego sztab zatrzymali się opodal, lustrowali wychodzących. Bardzo uważnie. Reynevan poczuł, jak podnoszą mu się włosy na karku. W przeczuciu czegoś strasznego.

– Bracie Ambrożu – spytał Hlusziczka. – Czy wygłosicie do nich kazanie?

– Do kogo? – kapłan wzruszył ramionami. – Do tej niemieckiej hołoty? Oni po naszemu nie rozumieją, a mnie się po ichniemu gadać nie chce, bo... Hola! Tam! Tam!

Jego oczy rozbłysły orlo i drapieżnie, twarz zastygła nagle.

– Tam! – ryknął, wskazując. – Tam! Łapaj!

Wskazywał okutaną opończą kobietę, niosącą dziecko. Dziecko wyrywało się i darło spazmatycznie. Zbrojni dopadli, roztrącili tłum drzewcami gizarm, wyciągnęli kobietę, zdarli opończę.

– To nie baba! To chłop w kieckę przebrany! Ksiądz! Papieżnik! Papieżnik!

– Dawać go tu!

Przywleczony i rzucony na kolana ksiądz dygotał ze strachu i z uporem spuszczał głowę. Do spojrzenia w twarz Ambrożowi zmuszono go więc siłą. Ale i wtedy zacisnął powieki, a usta poruszały mu się w cichej modlitwie.

– Proszę, proszę – Ambroż wziął się pod boki. – Jakie kochające parafianki. By ocalić swego księżulka, dały mu nie tylko babskie giezła, ale i niemowlaka. Cóż za poświęcenie. Ktoś ty taki, klecho?

Ksiądz jeszcze mocniej zacisnął powieki.

– To Mikołaj Megerlein – odezwał się jeden z towarzyszących husyckiemu sztabowi wieśniaków. – Proboszcz tutejszej fary.

Husyci zaszemrali. Ambroż pokraśniał, głośno wciągnął powietrze.

– Ojciec Megerlein – przemówił przeciągle. – A to dopiero. Cóż za szczęśliwy traf. Marzyliśmy o takim spotkaniu. Od czasu ostatniej

biskupiej rejzy na Trutnovsko. Wiele sobie po takim spotkaniu obiecywaliśmy.

– Bracia! – Wyprostował się. – Spójrzcie! Oto pies łańcuchowy kurwy babilońskiej! Zbrodnicze narzędzie w rękach wrocławskiego biskupa! Ten, który prześladował prawdziwą wiarę, wydawał dobrych chrześcijan na męki i kaźń! A pod Vizmburkiem własnymi rękami przelewał krew niewinną! Bóg oddał go w nasze ręce! Na nas zdał pokaranie zła i nieprawości!

– Słyszysz, przeklęty klecho? Morderco? Co to, zamykasz oczy na prawdę? Zamykasz uszy, jak wąż aspis z Biblii? Ha, wieprzu heretycki, ty pewnikiem nie znasz Pisma, nie czytałeś, ty masz za jedyną wyrocznię twego biskupa wszetecznika, twój sprzedajny Rzym i twego papieża antychrysta! I twoje bluźniercze pozłacane obrazy! To ja cię, świnio, zaraz nauczę słowa Bożego! Apokalipsa Janowa, czternaście, dziewięć: jeśli kto wielbi Bestię, i obraz jej, i bierze sobie jej znamię na czoło lub rękę, ten będzie pić wino zapalczywości Boga! I będzie katowany ogniem i siarką! Ogniem i siarką, papieżniku! Hej, sami tu! Brać go! I ogacić! Tak, jak czyniliśmy z mnichami w Beruniu i Prachaticach!

Proboszcza schwyciło kilku husytów. Zobaczył, co niosą inni i zaczął wrzeszczeć. Dostał trzonkiem siekiery w twarz, ucichł, zawisł w trzymających go rękach.

Samson szarpnął się, ale Szarlej i Horn chwycili go natychmiast. Widząc, że dwóch może być mało, Halada pospieszył im z pomocą.

– Milcz – syczał Szarlej. – Na Boga, milcz, Samsonie...

Samson odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy.

Proboszcza Megerleina obłożono czterema snopkami słomy. Po namyśle dołożono jeszcze dwa, tak że głowa duchownego całkiem skryła się w kłosach. Całość dokładnie i mocno obwiązano łańcuchem. I z kilku stron podpalono. Reynevan poczuł, że robi mu się niedobrze. Odwrócił się.

Słyszał dziki, nieludzki ryk, ale nie widział, jak ognista kukła biegnie, zataczając się, po płytkim śniegu przez szpaler husytów, odpychających ją oszczepami i halabardami. Jak pada wreszcie, tarzając się i rzucając wśród dymu i iskier.

Paląca się słoma nie wytwarza dostatecznej temperatury, by zabić człowieka. Ale wytwarza dostateczną, by człowieka zamienić w coś mało do człowieka podobnego. W coś, co ciska się w konwulsjach i

nieludzko wyje, choć nie ma ust. Co trzeba wreszcie uciszyć litościwymi ciosami maczug i toporów.

Z tłumu radkowian zawodziły kobiety, płakały dzieci. Znowu powstał tam rozgardiasz, a po chwili przed oblicze Ambroża przywleczono i rzucono na kolana następnego księdza, chudziutkiego staruszka. Ten nie był przebrany. A dygotał jak liść. Ambroż schylił się nad nim.

– Jeszcze jeden? Kto zacz?

– Ojciec Straube – pospieszył z usłużnym wyjaśnieniem wieśniak donosiciel. – Proboszczował tu wcześniej. Przed Megerleinem...

– Aha. Znaczy, klechus *emeritus*. No, dziadu? Żywota doczesnego, jak widzę, dobiegasz. Nie czas pomyśleć o wiecznym? O odrzuceniu i wyparciu się papistowskich błędów i grzechów? Nie będziesz wszak zbawiony, gdy będziesz w nich trwał. Widziałeś, co zrobiono z twym konfratrem. Przyjmij Kielich, zaprzysiąż cztery artykuły. A będziesz wolny. Dzisiaj i na wieki.

– Panie! – wybełkotał staruszek, padając na kolana i składając ręce. – Panie dobry! Litości! Jakże tak? Zaprzeć się? Toż to moja wiara... Wszak... Piotr... Nim kur zapiał... Ja tak nie mogę... Boże, zmiłuj się... Nijak nie mogę!

– Rozumiem – kiwnął głową Ambroż. – Nie pochwalam, ale rozumiem. Cóż, Bóg patrzy na nas wszystkich. Bądźmy miłosierni. Bracie Hlusziczka!

– Tak jest!

– Bądźmy miłosierni. Bez cierpień.

– Rozkaz!

Hlusziczka podszedł do jednego z husytów, wziął od niego cep. A Reynevan po raz pierwszy w życiu zobaczył w akcji ten powszechnie już kojarzony z husytami instrument. Hlusziczka zawinął cepem, zakręcił nim i z całej siły palnął ojca Straubego w głowę. Pod uderzeniem żelaznego bijaka czaszka pękła jak garnek, bryznęły krew i mózg.

Reynevan poczuł, jak miękną mu kolana. Widział pobladłą twarz Samsona Miodka, widział, jak ręce Szarleja i Urbana Horna znowu zaciskają się na barkach olbrzyma.

Brazda z Klinsztejna nie odrywał oczu od tlących się i dymiących zwłok proboszcza Megerleina.

– Miegerlin – powiedział nagle, trąc podbródek. – Miegerlin. Nie Megerlein.

– Co?

– Klecha, który był z biskupem Konradem w rejzie na Trutnovsko, nazywał się Miegerlin. A ten tu był Megerlein.

– Znaczy?

– Znaczy, ten księżulo był niewinny.

– To nic – odezwał się nagle głucho Samson Miodek. – To nic takiego. Bóg niezawodnie to rozpozna. Jemu to zostawmy.

Ambroż odwrócił się gwałtownie, wpił w niego oczy, patrzył długo. Potem spojrzał na Reynevana i Szarleja.

– Błogosławieni ubodzy duchem – powiedział. – Anioł niekiedy mówi przez usta matołków. Ale miejcież na niego baczenie. Ktoś w końcu pomyśli, że głupol rozumie, co mówi. A będzie ten ktoś mniej ode mnie wyrozumiały, to źle się to skończy. Tak dla niego, jak i dla jego chlebodawców.

– A w ogóle – dodał – to przygłup ma rację. Bóg osądzi, oddzieli plewy od ziarna, a winnych od niewinnych. Zresztą żaden papistowski ksiądz niewinny nie jest. Każdy służalec Babilonu godzien jest kary. A ręka wiernego chrześcijanina...

Jego głos rósł, grzmiał coraz potężniej, wzbijał się nad głowy zbrojnych, wzlatywał, zdałoby się, nad dym, wciąż, mimo ugaszonych pożarów, kłębiący się nad miasteczkiem. Z którego, uiściwszy okup, wychodził już długi sznur uciekinierów.

– Ręka wiernego chrześcijanina nie może zadrżeć, gdy karze grzesznika! Albowiem rolą jest świat, dobrym nasieniem są synowie królestwa, chwastem zaś synowie Złego. Jak więc zbiera się chwast i spala ogniem, tak będzie przy końcu świata. Syn Człowieczy pośle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Tłum husytów zaryczał i zawył, zalśniły wzniesione halabardy, zafalowały sudlice, widły i cepy.

– A dym ich katuszy – grzmiał Ambroż, wskazując na Radków. – Dym ich katuszy wieki wieków się wznosi i nie mają spoczynku we dnie i w nocy czciciele Bestii i jej obrazu!

Odwrócił się. Już spokojniejszy.

– A wy – rzekł do Reynevana i Szarleja – teraz macie okazję przekonać mnie co do waszych prawdziwych intencji. Widzieliście, co robimy z

papieżnickim klechami. Zaręczam wam, że to fraszka w porównaniu z tym, co spotyka biskupich szpiegów. Dla takich nie mamy zmiłowania, nawet jeśli są rodzonymi braćmi Piotra z Bielawy. Jakżeż więc? Nadal błagacie o pomoc, pragniecie do mnie dołączyć?

– Nie jesteśmy szpiegami – wybuchnął Reynevan. – Obelżywe są dla nas wasze podejrzenia! I wcale nie błagamy o waszą pomoc! Przeciwnie, to my możemy pomóc wam! Choćby przez pamięć mego brata, o którym dużo się tu mówi, ale pustymi zaiste słowy! Chcecie, proszę, udowodnię wam, że bliżej mi do was niż do biskupa wrocławskiego. Co powiecie na informację, że szykuje się zdrada?! Spisek?! Zamachy na życie?! Wasze, między innymi...

Oczy Ambroża zwęziły się.

– Na moje? Między innymi? A między jakimi, jeśli wolno spytać?

– Wiem – Reynevan udawał, że nie widzi rozpaczliwych znaków i min Szarleja. – Wiem o spisku, mającym na celu zgładzenie przywódców Taboru. Śmierć ponieść mają: Bohusław ze Szwamberka, Jan Hviezda z Vicemilic...

Sztab Ambroża zaszumiał nagle. Kapłan nie spuszczał z Reynevana wzroku.

– Zaiste – rzekł wreszcie. – Ciekawa informacja. Iście, młody panie z Bielawy, wartyś, by zabrać cię do Hradca.

●

Podczas gdy armia husycka zajmowała się szybką, aktywną i intensywną grabieżą miasta Radków, Brazda z Klinsztejna, Velek Chrasticky i Oldrzych Halada wyjaśnili Reynevanowi i Szarlejowi, w czym rzecz.

– Jan Hviezda z Vicemilic, hetman Taboru – opowiedział Brazda – rozstał się z tym światem ostatniego dnia października – wyjaśnił. – A jego następca, urodzony pan Bohusław ze Szwamberka, oddał ducha Panu niecały tydzień temu.

– Nie mówcie tylko – zmarszczył brwi Szarlej – że obaj padli ofiarą skrytobójców.

– Obaj umarli z ran odniesionych w boju. Hviezdę raniono szypem w twarz pod Mladą Vožicą, w wigilię Łukasza, zmarł krótko później. Pan Bohusław został raniony podczas walki o rakuski gród Retz.

– A więc to nie zamachy – zrobił drwiącą minę Szarlej – lecz śmierć dla husytów nieledwie naturalna!

– Nie całkiem. Toż mówię, że i jeden i drugi zmarli jakiś czas po zranieniu. Może by się wylizali? Gdyby im kto, powiedzmy, trutki nie podał? Dziwny to, przyznacie, zbieg okoliczności: dwaj wielcy taborscy wodzowie, obaj spadkobiercy Żiżki, umierają jeden po drugim, w odstępie ledwo miesiąca...

– Dla Taboru sroga szkoda – wtrącił Velek Chrasticky. – A dla wrogów naszych korzyść wielka, tak wielka, że już wcześniej były podejrzenia... A teraz, po rewelacjach młodego pana Bielawy, rzecz mus do końca wyjaśnić. Dokładnie wyświetlić.

– Jasne – kiwnął głową Szarlej, pozornie poważny. – Taki mus, że, jeśli zajdzie konieczność, weźmie się młodego pana Bielawę na tortury. Nic bowiem, jak wiadomo, nie wyświetla podejrzanych spraw lepiej niż czerwone żelazo.

– A co też wy – uśmiechnął się Brazda, ale jakoś tak mało przekonywująco. – Nikt o czymś takim nawet nie myśli!

– Toć pan Reinmar – dodał równie mało przekonująco Oldrzych Halada – jest bratem pana Piotra! A pan Piotr z Bielawy był nasz. I wy przecie też nasi...

– Jako tacy – wtrącił drwiąco Urban Horn – są wolni, prawda? Mogą, jeśli zapragną, pójść sobie dokąd zechcą? Choćby zaraz? Co? Panie Brazda?

– No... – zająknął się hetman hradeckiej konnicy. – Tego... Nie. Nie mogą. Mam inne rozkazy. Bo to, widzicie...

– Niebezpiecznie tu dokoła – odchrząknął Halada. – Musimy was... Hmm... Pilnie strzec.

– Jasne. Musicie.

●

Sprawa była klarowna. Ambroż nie interesował się już nimi i nie zwracał uwagi, ale byli pod stałą obserwacją i kontrolą husyckich wojaków. Mieli pozorną swobodę, nikt im się nie narzucał, wręcz przeciwnie, traktowano ich jak kamratów – ba, nawet uzbrojono i niemal wcielono w skład lekkiej Brazdowej konnicy, liczącej teraz, po połączeniu z siłami głównymi, z górą setkę jeźdźców. Ale byli pod strażą

i negować tego faktu nie było można. Szarlej początkowo zgrzytał zębami i klął z cicha, wreszcie machnął ręką.

Pozostawała sprawa napadu na kolektora i o tej ani Szarlej, ani Reynevan nie zamierzali zapominać. Ani jej umarzać.

Choć Tybald Raabe skrzętnie unikał rozmowy, został wreszcie przyparty do muru. Dokładniej, do wozu.

– A co miałem robić? – uniósł się, gdy wreszcie dali mu dojść do głosu. – Pan Samson naciskał! Mus było coś wykombinować! Myślicie, że gdyby nie plotka o pieniądzach, Ambroż dałby nam konnych? Akurat, ucho od śledzia! Wypadałoby więc podziękować, miast wrzeszczeć na mnie! Gdyby nie mój pomysł, siedzielibyście teraz w Narrenturmie i czekali na inkwizytora!

– Twoja plotka mogła kosztować nas życie. Gdyby Ambroż był bardziej chciwy.

– Gdyby, gdyby! O, wa! – goliard poprawił potargany przez Szarleja kaptur. – Co to ja, nie wiedziałem, w jakiej estymie miał on pana Piotra? Pewne było, że panicza Reinmara nie ruszy. To raz. A dwa...

– Co, dwa?

– Naprawdę myślałem... – Tybald Raabe odchrząknął kilka razy. – Co tu gadać... Pewien niemalżem był, że to właśnie wy obrobiliście kolektora na Ściborowej Porębie.

– A kto go obrobił?

– A to nie wy?

– Ty prosisz się, bratku, o kopa w zad. Dobra, powiedz, jak tobie się udało ujść z napadu?

– Jak? – pomroczniał goliard. – A biegiem! Nogami ostro przebierałem. I nie oglądałem się, choć z tyłu wołali: „Ratunku!”.

– Ucz się, Reinmarze.

– Uczę się co dnia – uciął Reynevan. – A inni, Tybaldzie? Co stało się tam z innymi? Z kolektorem? Z franciszkanami? Z rycerzem von Stietencron? Z jego... Z jego córką?

– Już wam mówiłem, paniczu. Nie oglądałem się. Nie pytajcie o więcej.

Reynevan nie pytał.

●

Zapadł zmrok, ale ku wielkiemu zdumieniu Reynevana armia nie rozbiła obozu. Nocnym marszem husyci dotarli do wsi Ratno, czerń nocy rozświetliły pożary. Załoga ratnowskiego zamku zlekceważyła ultimatum Ambroża, parlamentariuszy ostrzelała z kusz, w świetle płonących chałup podjęto więc szturm. Warownia broniła się twardo, ale padła jeszcze przed świtem. Obrońcy zapłacili za upór – wybito ich do nogi.

Dalszy marsz podjęto o świcie, a Reynevan zorientował się już, że rajd Ambroża na ziemię kłodzką ma charakter wyprawy odwetowej, jest zemstą za jesienną rejzę na Nachod i Trutnov, za rzezie, jakich wojska wrocławskiego biskupa Konrada i Puty z Czastolovic dopuściły się pod Vizmburkiem i we wsiach nad rzeką Metują. Po Radkowie i Ratnie za Vizmburk i Metuję zapłaciła Ścinawka. Ścinawka należała do Jana Haugwitza, Jan Haugwitz brał udział w biskupiej „krucjacie". Ścinawka poniosła za to karę – spalono ją do gruntu. Poszedł – na dwa dni przed świętem swej patronki – z dymem kościółek świętej Barbary. Proboszcz zdążył uciec, ocalając tym samym głowę przed cepem.

Mając za plecami płonący kościół, Ambroż odprawił mszę świętą – była bowiem, jak się okazało, niedziela. Msza była typowo husycka – pod gołym niebem, na zwyczajnym stole. Celebrujący Ambroż nie odpasał miecza.

Czesi modlili się głośno. Samson Miodek, nieruchomy jak antyczna statua, stał i patrzył na płonącą pasiekę, na zajmujące się ogniem słomiane czapeczki uli.

Po mszy, mając za plecami dymiące zgliszcza, husyci ruszyli na wschód, przeszli obniżeniem między ośnieżonymi garbami Golińca i Kopca, pod wieczór docierając pod Wojbórz. Były to dobra rodu von Zeschau. Zajadłość, z jaką husyci rzucili się na wieś, świadczyła, że ktoś z tego rodu też musiał być z biskupem pod Vizmburkiem. Nie ocalała nawet jedna chałupa, jedna stodoła, nawet jeden szałas i jedna kleć.

– Jesteśmy aż cztery mile od granicy – zawyrokował przesadnie głośno i demonstracyjnie Urban Horn. – I tylko milę od Kłodzka. Te dymy widać z daleka, a wieści rozchodzą się szybko. Leziemy lwu w paszczę.

Leźli. Gdy po skończonej grabieży husycka armia wymaszerowała z Wojborza, od wschodu pojawił się poczet rycerski w sile jakichś stu koni. Było w poczcie sporo joannitów, herby na chorągwiach

wskazywały na obecność Haugwitzów, Muschenów i Zeschauów. Na sam widok husytów poczet uciekł w popłochu.

– Gdzie ten lew? – zadrwił Ambroż. – Bracie Horn? Gdzie ta paszcza? Naprzód, chrześcijanie! Naprzód, boży bojownicy! Naprzód, maaaarsz!

●

Nie ulegało kwestii, że celem husytów było Bardo. Jeśli nawet przez jakiś czas Reynevan żywił wątpliwości – w końcu Bardo było sporym grodem i kąskiem nieco zbyt wielkim nawet dla takiego Ambroża – to szybko się one rozwiały. Armia zatrzymała się na noc w lesie blisko Nysy. I do północka stukały siekiery. Produkowano ostrzewie – przypominające herb Ronoviców drągi z odstającymi odrąbkami gałęzi, proste, poręczne, tanie i bardzo skuteczne urządzenie do forsowania murów obronnych.

– Będziecie szturmować? – spytał bez ogródek Szarlej.

Wraz z hetmanami Ambrożowej konnicy obsiedli parujący kocioł grochówki i pochłaniali zawartość, dmuchając na łyżki. Towarzyszył im Samson Miodek, bardzo ostatnio – od czasu Radkowa – milczący. Olbrzym nie interesował Ambroża i cieszył się pełną swobodą, tę wykorzystał jednak, o dziwo, do tego, by ochotniczo pomagać w kuchni polowej, obsługiwanej przez kobiety i dziewczęta z Hradca Kralove, posępne, małomówne, nieprzystępne i bezpłciowe.

– Będziecie szturmować Bardo – sam siebie upewnił Szarlej, gdy jego pytanie skwitowało mlaskanie i dmuchanie w łyżki. – Czyżbyście i tam mieli jakieś osobiste porachunki?

– Zgadłeś, bracie – otarł wąsy Velek Chrasticky. – Cystersi z Barda bili w dzwony i odprawiali msze dla zbirów biskupa Konrada, idących we wrześniu na Nachodsko, by łupić, palić, mordować kobiety i dzieci. Musimy pokazać, że coś takiego nie uchodzi na sucho. Musimy dać przykład grozy.

– Nadto – oblizał łyżkę Oldrzych Halada – Śląsk stosuje wobec nas blokadę handlową. Musimy pokazać, że embarga potrafimy łamać, że to się nie opłaca. Musimy też wlać nieco otuchy w serca handlujących z nami kupców, zastraszonych aktami terroru. Musimy dodać otuchy krewnym zamordowanych, pokazując, że na terror odpowiemy terrorem, a skrytobójcy nie będą bezkarni. Prawda, młodszy panie z Bielawy?

– Skrytobójcy – powtórzył głucho Reynevan – nie mogą pozostać bezkarni. W tym względzie trzymam z wami, panie Oldrzychu.

– Chcąc trzymać z nami – poprawił bez nacisku Halada – winniście mówić „bracie", nie „panie". A pokazać, z kim trzymacie, możecie jutro. Każdy miecz się przyda. Zacięty zapowiada się bój.

– I owszem – milczący dotąd Brazda z Klinsztejna wskazał głową w stronę miasta. – Oni wiedzą, po co myśmy tu naprawdę przyszli. I będą tego bronić.

– W Bardzie – odezwał się z drwiną w głosie Urban Horn – są dwa cysterskie kościoły, oba bardzo bogate. Wzbogacone na pielgrzymach.

– Wszystko – prychnął Velek Chrasticky – sprowadzasz do przyziemności, Horn.

– Taki już jestem.

●

Od strony obozu przestały postukiwać siekiery. Rozbrzmiał natomiast i wzniósł się ostry, wywołujący ciarki, miarowy zgrzyt osełek i brusków. Wojsko Ambroża ostrzyło brzeszczoty.

●

– Stań no do mnie frontem – rozkazał Szarlej, gdy zostali sami. – Pokaż no się. Ha. Jeszcze nie naszyłeś sobie kielicha na pierś? Trzymam z wami, jestem z wami? Co to za gadki, Reinmarze? Czy ty się aby nie zacząłeś rolą przejmować?

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz, o co. O wygadanie się przed Ambrożem względem grangii w Dębowcu scysji nie wszczynam i wyrzutów ci nie robię, kto wie, może i na zdrowie nam wyjdzie, jeśli na trochę schronimy się pod husycką protekcję. Ale racz pamiętać, u diaska, że Hradec Kralove to bynajmniej nie nasz cel, a jedynie przystanek w drodze na Węgry. A ich husycka sprawa to dla nas furda i funt kłaków.

– Ich sprawa nie jest dla mnie funtem kłaków – zaprotestował zimno Reynevan. – Peterlin wierzył w to, w co oni wierzą. Samo to mi wystarcza, bo znałem mojego brata, wiem, jakim był człowiekiem. Jeśli Peterlin poświęcił się ich sprawie, jeśli się jej oddał, to znaczy, że nie może być to sprawa zła. Milcz, milcz, wiem, co chcesz powiedzieć. Też widziałem, co zrobiono z radkowskimi księżmi. Ale to niczego nie

zmienia. Peterlin, powtarzam, nie poparłby złej sprawy. Peterlin wiedział to, co ja wiem dziś: w każdej religii, wśród ludzi ją wyznających i o nią walczących na jednego Franciszka z Asyżu przypada legion braci Arnulfów.

– Kto zacz brat Arnulf, domyślam się tylko – wzruszył ramionami demeryt. – Ale metaforę rozumiem, tym bardziej, że mało odkrywcza. Jeśli czegoś nie rozumiem... Czyś ty, chłopcze, już przeszedł na husycką wiarę? I czy już, jak każdy neofita, bierzesz się za nawracanie? Jeśli tak, to powściągnij, proszę, ewangelizacyjny zapał. Bo kierujesz go pod absolutnie złym adresem.

– Niewątpliwie – wykrzywił się Reynevan. – Ciebie nie potrzeba już nawracać. Już jest wszak po fakcie.

Oczy Szarleja zwęziły się lekko.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Osiemnasty lipca, rok osiemnasty – rzekł Reynevan po chwili milczenia. – Wrocław, Nowe Miasto. Krwawy poniedziałek. Kanonik Beess zdradził cię hasłem, które podałem ci wtedy u karmelitów. A Buko Krossig rozpoznał cię i zdemaskował, wtedy, w nocy na Bodaku. Brałeś udział, i to czynnie, w buncie wrocławskim w lipcu Anno Domini 1418. A co was wówczas poruszyło i wzburzyło, jeśli nie śmierć Husa i Hieronima? Za kim się ujęliście, jeśli nie za prześladowanymi begardami i wiklefistami? Czego broniliście, jeśli nie swobodnego prawa do komunii pod obojgą postacią? Deklarując się jako *iustitia popularis*, przeciw czemu wystąpiliście, jeśli nie przeciw bogactwu i rozpasaniu kleru? Do czego nawoływaliście na ulicach, jeśli nie do reformy *in capite et in membris*? Szarleju? Jak to było?

– Jak było, tak było – odrzekł po chwili milczenia demeryt. – Było zaś lat temu siedem. Pewnie cię to zdziwi, ale niektórzy ludzie potrafią uczyć się na błędach i wyciągać wnioski.

– Na początku naszej znajomości – powiedział Reynevan – tak dawno, że zda się, jakby wieki upłynęły, uraczyłeś mnie, pamiętam, sentencją następującą: Stwórca stworzył nas na obraz i podobieństwo, ale zadbał o cechy indywidualne. Ja, Szarleju, nie przekreślam przeszłości i nie zapominam o niej. Ja wrócę na Śląsk i wyrównam rachunki. Wyrównam wszystkie rachunki i spłacę wszystkie długi, z odpowiednim procentem. Z Hradca Kralove zaś na Śląsk bliżej niż z Budy...

– I spodobał ci się sposób – uciął Szarlej – w jaki swoje rachunki wyrównuje hradecki proboszcz Ambroż. Nie miałem racji, Samsonie, że to neofita?

– Nie do końca – Samson zbliżył się tak, że Reynevan go nie zauważył ani nie usłyszał. – Nie do końca, Szarleju. Tu o co innego chodzi. O pannę Katarzynę Biberstein mianowicie. Nasz Reinmar chyba znowu się zakochał.

●

Nim zaszarzał mroźny świt, doszło do pożegnań.

– Bywaj, Reinmarze – uścisnął dłoń Reynevana Urban Horn. – Znikam. I tak zbyt wielu tu widziało moją twarz, w moim fachu to rzecz niebezpieczna. A mam zamiar dalej uprawiać mój fach.

– Biskup wrocławski już wie o tobie – ostrzegł Reynevan. – Wiedzą też zapewne czarni jeźdźcy krzyczący: „*Adsumus*".

– Przyjdzie utaić się i przeczekać. Wśród ludzi życzliwych. Jadę więc najpierw do Głogówka. A potem do Polski.

– W Polsce nie jest bezpiecznie. Opowiedziałem ci, co podsłuchaliśmy w Dębowcu. Biskup Zbigniew Oleśnicki...

– Polska – przerwał Horn – to nie tylko Oleśnicki. Przeciwnie, Polska to w bardzo małej części Oleśnicki, Łaskarz czy Elgot. Polska, mój chłopcze, to... To inni. Europa, chłopcze, zmieni się wkrótce. I to za sprawą Polski właśnie. Bywaj, chłopcze.

– Pewnie się jeszcze spotkamy. Ty, jak cię znam, wrócisz na Śląsk. I ja tam wrócę. Mam tam jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Kto wie, może załatwimy je razem. Przy jednej sposobności. Ale by tak się stać mogło, przyjmij, proszę, życzliwą radę, Reinmarze z Bielawy: nie wywołuj już demonów. Nie imaj się tego więcej.

– Nie będę.

– Rada druga: jeśli poważnie myślisz o przyszłej współpracy przy załatwianiu naszych spraw, poćwicz miecz. Sztylet. Kuszę.

– Poćwiczę. Bywaj, Horn.

– Bywajcie, paniczu – zbliżył się Tybald Raabe. – I na mnie czas. Trza pracować dla sprawy.

– Uważaj na siebie.

– Ja myślę.

•

Choć Reynevan w istocie gotów był stanąć u boku husytów z bronią w ręku, nie dane mu było. Ambroż kategorycznie zażądał, by wraz z Szarlejem byli podczas szturmu na Bardo przy nim, przy jego sztabie. Reynevan i Szarlej – pilnie obserwowani przez eskortę – byli tedy przy sztabie, gdy husycka armia wśród padającego śniegu przeprawiła się przez Nysę i we wzorowym ordynku stanęła pod miastem. Od strony północnej biły już w niebo dymy – w ramach akcji dywersyjnej konni Brazdy i Chrastickiego zdążyli już podpalić młyn i chałupy podgrodzia.

Bardo było gotowe do obrony, na murach roiło się od zbrojnych, powiewano sztandarami, krzyczano. Donośnie biły dzwony obu kościołów, czeskiego i niemieckiego.

Przed murami zaś stało w czarnych kręgach zgliszcz i kupach popiołów dziewięć osmalonych pali. Wiatr donosił kwaśny smród spalenizny.

– Husyty – wyjaśnił jeden z wieśniaków donosicieli, jakich już kilkunastu usłużnie towarzyszyło armii Ambroża. – Husyty, połapane Czechy, begardy i jeden Żyd. To na postrach. Jak się oni, panie wielmożny, wywiedzieli, że idziecie, to wszystkich wyciągli z lochu i upalili. Heretykom... Znaczy, wybaczcie... Wam... Na postrach i wzgardę.

Ambroż kiwnął głową. Nie powiedział słowa. Twarz miał kamienną.

Husyci szybko i sprawnie zajęli pozycje. Piechota ustawiła i podparła pawęże i tarasy. Przygotowała się też artyleria. Z murów wrzeszczano i rzucano obelgi, czasem huknął strzał, czasem sypnęły się bełty.

Krakały i tłukły się po niebie wystraszone wrony, śmigały zdezorientowane kawki.

Ambroż wszedł na wóz.

– Prawi chrześcijanie! – zakrzyczał. – Wierni Czesi!

Armia uciszyła się. Ambroż odczekał na zupełną ciszę.

– Ujrzałem – ryknął, wskazując na osmolone pale i zgliszcza stosów – pod ołtarzem dusze zabitych dla Słowa Bożego i dla świadectwa, jakie mieli. I głosem donośnym tak zawołały: Dokądże, władco święty i prawdziwy, nie będziesz sądził i wymierzał za krew naszą kary tym, co mieszkają na ziemi?

– Ujrzałem anioła stojącego w słońcu! I zawołał on głosem donośnym do wszystkich ptaków lecących środkiem nieba: Pójdźcie, zgromadźcie

się na wielką ucztę Boga, aby zjeść trupy królów, trupy wodzów i trupy mocarzy, trupy koni i tych, co ich dosiadają! I ujrzałem Bestię!

Z murów rozległa się wrzawa, poleciały klątwy i wyzwiska. Ambroż uniósł rękę.

– Oto – krzyknął – ptaki boże nad nami wskazujące drogę! A oto, tam, przed wami: Bestia! Oto Babilon opity krwią męczenników! Oto osławione zabobonem gniazdo grzechu i zła, kryjówka sług antychrysta!

– Na nich! – zawył ktoś z tłumu wojaków. – Śmieeeerć!

– Bo oto nadchodzi – ryczał Ambroż – dzień palący jak piec, a wszyscy pyszni i wszyscy wyrządzający krzywdę będą słomą, więc spali ich ten nadchodzący dzień tak, że nie pozostawi po nich ani korzenia, ani gałązki!

– Paaaaliiić ich! Śmieeerć! Bij! Morduj! Hyr na nich!

Ambroż uniósł obie ręce, tłum natychmiast ścichł.

– Czeka nas dzieło Boże – zawołał. – Dzieło, do którego przystąpić trza z czystem sercem, po modlitwie! Na kolana, wierni chrześcijanie! Pomódlmy się!

Armia ze szczękiem i chrzęstem uklękła za ścianą z pawęży i tarasów.

– *Otče náš* – zaczął gromko Ambroż – *jenž jsi na nebesích, buď posvěceno tvé jméno...*

– *Přijď tvé království!* – huknęło jednym wielkim głosem klęczące wojsko. – *Staň se tvá vůle! Jako v nebi, tak i na zemi!*

Ambroż rąk nie składał ani głowy nie spuszczał. Patrzył na mury Barda, a w jego wzroku paliła się nienawiść. Zęby miał wilczo wyszczerzone, a na wargach pianę.

– I odpuść nam – krzyczał – nasze winy! Jako my odpuszczamy...

Ktoś z klęczących w pierwszym rzędzie, miast odpuszczać, wypalił w stronę murów z piszczały. Z murów odpowiedziano, krenelaże zasnuł dym, kule i bełty zaświszczały, gradem załomotały o pawęże.

– I nie wódź – ryk husytów wzbijał się nad huk wystrzałów – nas na pokuszenie!

– *Ale vysvoboď nás od zlého!*

– Amen! – zawył Ambroż. – Amen! A ninie naprzód, wierni Czechowie! *Vpřed, boží bojovnicí!* Śmierć pachołkom antychrysta! Morduj papieżników!

– Hyr na nich!

Plunęły ogniem i ołowiem hufnice i taraśnice, huknęły hakownice i handkanony, zasyczały bełty, mordercza ulewa pocisków wręcz zmiotła obrońców z muru. Druga salwa, tym razem pocisków zapalających, zwaliła się na dachy domostw niczym ogniste ptactwo. Zza podniesionego zatarasu gruchnęła puszka, zasnuwając całe przedbramie gęstym śmierdzącym dymem. Brama nie osiedziała się przed pięćdziesięciofuntową kamienną kulą, rozleciała się w drzazgi. W wyłom runęli atakujący. Inni, niczym mrówki, leźli na mury po ostrzewiach. Wyrok śmierci na miasto Bardo zapadł w ciągu kilku minut. Tylko wykonanie odwlekło się nieco. Ale nie na długo.

– Hyr na nich! Mooorduuuj!

Dziki krzyk, wycie, wrzask, podnoszący włosy.

Bardo umierało. Umierało w biciu swych dzwonów. Dzwony Barda, jeszcze przed kilkoma chwilami donośne jak alarm, jeszcze przed chwilą butne jak wezwanie do broni, stały się rozpaczliwe, jak krzyk o pomoc. Aż wreszcie zmieniły się w spazmatyczne, chaotyczne, rozedrgane jęki konającego. I jak konający cichły, krztusiły się konaniem, dogorywały. Wreszcie umilkły, zgłuchły zupełnie. I w tym samym niemal momencie obie dzwonnice zasnuły się dymem, sczerniały na tle płomieni. Płomieni, rwących się ku niebu – rzekłbyś – ulatująca dusza miasta, które umarło.

Bo miasto Bardo umarło. Szalejąca pożoga była już tylko stosem funeralnym. A wrzask mordowanych – epitafium.

●

Po krótkim czasie wyszedł z miasta sznur uciekinierów – niewiast, dzieci i tych, którym husyci pozwolili wyjść. Uciekinierów pilnie lustrowali wieśniacy donosiciele. Co jakiś czas kogoś rozpoznawano. Wyciągano. I masakrowano.

Na oczach Reynevana wieśniaczka w opończy wskazała husytom młodego mężczyznę. Wywleczono go, a gdy zdarto kapucę, modnie podstrzyżona czupryna zdradziła rycerza. Wieśniaczka powiedziała coś do Ambroża i Hlusziczki. Hlusziczka wydał krótki rozkaz. Cepy wzniosły się i spadły. Rycerz runął na ziemię, leżącego zadźgano widłami i sudlicami.

Wieśniaczka zdjęła kaptur, odsłaniając gruby jasny warkocz. I odeszła. Kulejąc. W sposób na tyle charakterystyczny, by Reynevan umiał

zdiagnozować wrodzone zwichnięcie biodra. Na odchodnym przesłała mu znaczące spojrzenie. Poznała go.

●

Z Barda wynoszono łupy, z piekła pożaru i kłębów dymu wychodził pochód objuczonych rozmaitym dobytkiem Czechów. Zdobycz ładowano na wozy. Spędzano krowy i konie.

Na samym końcu pochodu wyszedł z gorejącego miasta Samson Miodek. Był czarny od sadzy, tu i ówdzie nadpalony, nie miał też brwi ani rzęs. Niósł na ręku młodego kotka, zjeżone czarno-białe stworzonko o wielkich, dzikich i przerażonych oczach. Kotek kurczowo czepiał się pazurkami rękawa Samsona i co jakiś czas bezgłośnie otwierał pyszczek.

Twarz Ambroża była jak z kamienia. Reynevan i Szarlej milczeli. Samson zbliżył się, zatrzymał.

– Wczoraj wieczór myślałem o ratowaniu świata – powiedział bardzo miękko i ciepło. – Dziś rano o ratowaniu ludzkości. Ale cóż, trzeba mierzyć siły na zamiary. I ratować to, co można.

●

Złupiwszy Bardo, armia Ambroża zawróciła na zachód, ku Broumovu, zostawiając w świeżym i bielutkim śniegu szeroki czarny ślad.

Konnicę podzielono. Część pod Brazdą z Klinsztejna pojechała przodem jako tak zwany *předvoj*, czyli szpica. Reszta, w sile trzydziestu koni, oddana pod komendę Oldrzycha Halady, stanowiła ariergardę. W tej znaleźli się Reynevan, Szarlej i Samson.

Szarlej pogwizdywał, Samson milczał. Jadący bok w bok z Haladą Reynevan wysłuchiwał nauk, nabywał dobrych obyczajów, a wyzbywał złych. Do tych ostatnich, pouczył dość surowo Halada, należy używanie nazwy „husyci”, tak bowiem mówią tylko wrogowie, papiści i w ogóle ludzie nieżyczliwi. Należy mówić: „prawowierni”, „dobrzy Czesi” lub „boży bojownicy”. Armia polna z Hradca Kralove, uczył dalej hetman bożych bojowników, jest zbrojnym ramieniem Sierotek, czyli prawowiernych osieroconych przez wielkiego i nieodżałowanego Jana Żiżkę. Póki Żiżka żył, Sierotki, rzecz jasna, nie były jeszcze Sierotkami, zwały się Nowym albo Mniejszym Taborem, a to mianowicie dla odróżnienia od Starego Taboru, czyli od taborytów. Nowy albo Mniejszy Tabor założył Żiżka w oparciu o orebitów, czyli tych prawowiernych,

którzy gromadzili się na górze Oreb nieopodal Trzebiechowic, w odróżnieniu od taborytów, którzy zbierali się na górze Tabor nad rzeką Łużnicą i tam zbudowali swoje Hradziszcze. Nie powinno się, tłumaczył surowo prawowierny hetman Sierotek z Nowego Taboru, plątać orebitów z taborytami, a już naprawdę karygodnym wykroczeniem jest łączenie którejkolwiek z tych grup z kalikstynami z Pragi. Jeżeli jeszcze na Nowym Mieście Praskim spotkać można prawdziwie prawowiernych, uczył orebita z góry nieopodal Trzebiechowic, to Stare Miasto jest gniazdem umiarkowanych ugodowców, zwących się kalikstynami lub utrakwistami, a z tymi dobrzy Czesi kojarzeni być nie chcą i nie powinni. Ale i na prażan nie powinno się mówić „husyci", tak mówią tylko wrogowie.

Reynevan sennie nieco kiwał się w siodle i co jakiś czas mówił, że rozumie, co było nieprawdą. Śnieg znowu zaczął padać, szybko zamieniając się w zamieć.

●

Za lasem, na rozdrożu, w bliskości spalonego Wojborza, stał kamienny krzyż pokutny, jedna z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i skruchy. Wczoraj, gdy palono Wojbórz, Reynevan nie zauważył krzyża. Był wieczór, zmrok, padał śnieg. Wielu rzeczy można było nie zauważyć.

Krzyż miał ramiona zakończone w kształt koniczynek. Obok niego stały dwa wozy, nie bojowe, lecz zwykłe, służące do transportu ładunków. Jeden mocno pochylony na bok, wsparty na piaście koła o zupełnie skruszonej obręczy. Czterech ludzi na próżno starało się unieść wóz, by dwóch innych mogło zdjąć połamane koło i założyć zapasowe.

– Pomóżcież! – zawołał jeden. – Bratrzy!

– Rozgrużcie wóz! – wrzasnął Halada. – Lekcej będzie!

– To nie ino koło – odkrzyknął woźnica. – Orczycę wyłamalim, zaprząc nie ma jak! Niech ta który skoczy w przód, zawróci jaki zaprzęg! Przeładujem dobro...

– Pal diabli dobro. Nie widzicie, jak śniegiem zamiata? Chcecie ostać?

– Żal dobytku!

– A dupy ci nie żal? Pościg może za nami...

Głos zamarł Haladzie w gardle. Bo w złą, bardzo złą godzinę wymówił te słowa.

Zachrapały konie, z lasu wyłonił się szereg rycerzy w pełnych zbrojach. Było ich około trzydziestu, w większości joannitów.

Jechali stępa, równo, karnie, żaden z koni nie wysuwał nosa z szyku.

Z drugiej strony gościńca wyjechał spomiędzy drzew drugi oddział, równie silny. Pod chorągwią z baranią głową Haugwitzów. Zachodząc ławą, rycerze sprawnie odcięli Sierotkom drogę ucieczki.

– Przebijmy się! – wrzasnął jeden z młodszych jeźdźców. – Bracie Oldrzychu! Przebijmy się!

– Jak? – charknął Halada. – Przez kopie? Ponadziewają nas jak kurczaki. Z koni! I między wozy! Tanio skóry nie sprzedamy!

Nie było czasu do stracenia, osaczające ich rycerstwo ponaglało już konie do kłusa, joannici zatrzaskiwali już zasłony armetów, pochylali kopie. Husyci pozeskakiwali z koni, skryli się za wozami, poniektórzy nawet powłazili pod nie. Ci, dla których ukrycia nie starczyło, uklękli z napiętymi kuszami. Na wozach, jak się okazało, oprócz zrabowanych naczyń liturgicznych trafem iście szczęśliwym wieziono broń, w większości drzewcową. Czesi migiem rozdzielili między siebie halabardy, partyzany i gizarmy. Reynevanowi ktoś wetknął do ręki spisę z długim i cienkim jak szydło grotem.

– Gotuj się! – ryknął Halada. – Idą!

– Wpadliśmy w bezdenne gówno. – Szarlej napiął i uzbroił kuszę. – A tyle sobie obiecywałem po Węgrzech. Taki miałem, kurwa, apetyt na prawdziwy *bográcsgulyás*.

– Bóg i Święty Jerzy!

Joannici i Haugwitzowi poderwali konie do szarży. I z wrzaskiem runęli na wozy.

– Teraz! – wrzasnął Halada. – Teraz! Pal! W nich!

Szczęknęły cięciwy, grad bełtów załomotał o tarcze i zbroje. Runęło kilka koni, spadło kilku jeźdźców. Reszta zwaliła się na obrońców. Długie kopie dosięgły celów. Trzask łamanych drzewc i wrzask ugodzonych wzbiły się pod niebiosy. Reynevana obryzgała krew, widział, jak tuż obok niego jeden z woźniców podryguje konwulsyjnie, przebity na wylot, jak z drugiej strony jeden ze spieszonych konnych Halady mocuje się z wbitym w pierś grotem, dostrzegł, jak innego wielki rycerz z osękiem Oppelnów na tarczy podnosi na kopii w górę i krwawiącego rzuca na śnieg. Zobaczył, jak Szarlej strzela z kuszy, z bliska pakując bełt w gardło jednego kopijnika, jak drugiemu Halada

rozwala hełm i głowę berdyszem, jak trzeci, zahaczony dwiema gizarmami, wpada między wozy i ginie, zarąbany i zakłuty. Spieniony i wyszczerzony pysk konia zawisł mu tuż nad głową, zobaczył błysk miecza, nie myśląc pchnął spisą, trójgranny grot coś przebił i w coś się wbił, Reynevan omal nie upadł pod naporem, zobaczył, jak joannita, którego ugodził, kołysze się w siodle. Naparł na drzewce, joannita wygiął się w tył, cienkim głosem wzywając świętych. Ale nie spadł, wsparty wysokim tylnym łękiem. Pomógł któryś z Sierotek, waląc joannitę halabardą, na to wsparcie łęku nie wystarczyło, rycerza z siodła wręcz zmiotło. W tej samej niemal chwili Czech dostał buławą w głowę, cios wbił mu kapalin aż po brodę, spod kapalinu buchnęła krew. Reynevan dziabnął tego, który uderzył, i rycząc przekleństwa, zepchnął go z kulbaki. Obok spadł z konia drugi, zastrzelony przez Szarleja. Trzeci, cięty dwuręcznym mieczem, uderzył czołem o grzywę i obryzgał ją posoką. Wokół wozów zrobiło się luźniej. Pancerni wycofali się, z trudem opanowując oszalałe konie.

– Sprawnie! – ryczał Oldrzych Halada. – Sprawnie, bratrzy! Daliśmy im! Tak trzymać!

Stali wśród krwi i trupów. Reynevan z przerażeniem skonstatował, że przy życiu zostało ich góra piętnastu, z czego na nogach mogło się utrzymać jakichś dziesięciu. Większość mogących stać też broczyła z ran. Pojął, że żyli tylko dlatego, że kopijnicy w szarży przeszkadzali sobie wzajem, walczyć przy wozach mogła tylko część. Ta część zapłaciła zresztą za przywilej i to zapłaciła strasznie. Wozy otaczał pierścień zabitych ludzi i wizżących, pokaleczonych koni.

– Gotuj się – charknął Halada. – Wraz znów uderzą...

– Szarleju?

– Żyję.

– Samsonie?

Olbrzym odchrząknął, starł z brwi krew, sączącą się z rany na czole. Uzbrojony był w najeżoną kolcami buławę i pawęż, przez jakiegoś domorosłego artystę ozdobioną barankiem, promienną hostią i inskrypcją: BŮH PÁN NÁŠ.

– Gotuj się! Idą!

– Tego – skonstatował przez zęby Szarlej – nie mamy już szans przeżyć.

– *Lasciate ogni speranza* – zgodził się spokojnie Samson. – Szczęście, zaiste, że nie brałem z sobą tego kota.

Ktoś podał Reynevanowi hakownicę – chwila wytchnienia pozwoliła Sierotkom na nabicie kilku. Oparł rurę o wóz, zaczepiając hak o burtę, przymierzył lont do zapału.

– Święty Jeeeerzy!

– *Gott mit uns!*

Szła z łomotem kopyt następna szarża, ze wszystkich stron. Zagrzmiały piszczały i hakownice, poszła w dym salwa z kusz. A za chwilę były długie kopie, bryzgi krwi i opętańczy wrzask przebijanych. Reynevana ocalił Samson, zasłaniając go pawężą z hostią i barankiem. Za moment pawęż uchroniła od śmierci Szarleja – olbrzym władał ogromnym tarczyskiem jedną ręką, jak puklerzykiem, a druzgocące uderzenia kopii odbijał, jakby to były dmuchawce.

Joannici i pancerni Haugwitza wdarli się między wozy, rąbali, stając w strzemionach, mieczami i toporami, prali buzdyganami wśród wrzasku i szczęku. Husyci ginęli. Umierali jeden po drugim, odgryzając się jak psy, paląc kopijnikom prosto w twarze z kusz i rucznic, dźgając i tnąc gizarmami i halabardami, tłukąc buławami, koląc spisami. Ranni wpełźli pod wozy i rżnęli koniom pęciny, potęgując zamęt, chaos i kotłowaninę.

Halada wskoczył na wóz, ciosem berdysza zmiótł z kulbaki joannitę, sam zgiął się, pchnięty sztychem. Reynevan chwycił go, ściągnął. Dwaj ciężkozbrojni zawiśli nad nimi, wnosząc miecze. Życie ocalili im znowu Samson i BŮH PÁN NÁŠ na pawęży. Jeden z rycerzy, wnosząc z klamry na tarczy Zedlitz, runął wraz z koniem, któremu przerżnięto pęciny. Drugiego, siedzącego na oladrowanym siwku, Szarlej rąbnął w głowę upuszczonym przez Haladę berdyszem. Hełm pękł, pancerny zgiął się, zachlapując krwią folgowy *crinet*. W tej samej chwili Szarleja najechano i obalono koniem. Reynevan z rozmachem dźgnął jeźdźca spisą, wbity grot uwiązł w blasze. Reynevan puścił drzewce, okręcił się, skulił, pancerni byli wszędzie, wszędzie dokoła był chaos potwornych szpiczastych hundsgugli, migotanina krzyży i herbów na tarczach, huragan migających mieczy, Maelstrom końskich zębów, piersi i kopyt. Narrenturm, myślał gorączkowo, to nadal jest Narrenturm, obłęd, szaleństwo i wariactwo.

Pośliznął się we krwi, upadł. Na Szarleja. Szarlej miał w ręku kuszę. Spojrzał na Reynevana, mrugnął. I wystrzelił. Pionowo w górę. Prosto w brzuch górującego nad nimi konia. Koń zakwiczał. A Reynevan dostał kopytem w bok głowy. To koniec, pomyślał.

– Boże dopomaaagaaaaj! – usłyszał jak przez watę, sparaliżowany przez ból i słabość. – Odsieeecz! Odsieeecz!

– Odsiecz, Reinmarze! – krzyczał, szarpiąc go, Szarlej. – Odsiecz! Żyjemy!

Podniósł się na czworaki. Świat wciąż tańczył i pływał mu w oczach. Ale fakt, że żyli, był nie do przeoczenia. Zamrugał.

Z pola dobiegał wrzask i szczęk, joannici i pancerni Haugwitza ścinali się z przybyłą odsieczą, zbrojnymi w pełnych zbrojach płytowych. Walka nie trwała długo – gościńcem od zachodu waliła już cwałem, wrzeszcząc co sił w płucach, konnica Brazdy, za nią, wrzeszcząc jeszcze głośniej, pędziła husycka piechota ze wzniesionymi cepami. Na ten widok joannici i ludzie Haugwitza podali tył, pojedynczo i w grupkach pierzchali ku lasowi. Odsiecz siedziała im na karkach, tnąc i rąbiąc bez litości, aż echo szło po wzgórzach.

Reynevan usiadł. Obmacał głowę i boki. Był cały we krwi, ale, jak wyglądało, cudzej. Opodal, wciąż ze swą pawężą, siedział oparty o wóz Samson Miodek z zakrwawioną głową, gęste krople kapały mu z ucha na ramię. Kilku husytów gramoliło się z ziemi. Jeden płakał. Jeden wymiotował. Jeden ściąganym zębami rzemieniem usiłował tamować krew, sikającą z kikuta odrąbanej ręki.

– Żyjemy – powtórzył Szarlej. – Żyjemy! Hej, Halada, sły...

Urwał. Halada nie słyszał. Już nie mógł słyszeć.

Do wozów podjechał Brazda z Klinsztejna, podjechali pancerni z odsieczy. Choć rozkrzyczani i rozpaleni bitką, milkli i cichli, gdy pod kopytami koni zaczynało mlaskać krwawe błoto. Brazda ocenił wzrokiem masakrę, spojrzał w zeszklone oczy Halady, nic nie powiedział.

Dowódca pancernych z odsieczy przyglądał się Reynevanowi, mrużąc oczy. Widać było, że stara się sobie przypomnieć. Reynevan poznał go od razu i nie tylko po róży w herbie – był to raubritter z Kromolina, protektor Tybalda Raabego, Polak, Błażej Poraj Jakubowski.

Czech, który płakał, opuścił głowę na pierś i umarł. W ciszy.

– Dziw – rzekł wreszcie Jakubowski. – Patrzcie na tych trzech. Nawet nie bardzo poharatani. Cholerni z was szczęściarze! Albo jakiś demon czuwa nad wami.

Nie poznał ich. Nie było w tym zresztą nic dziwnego.

●

Choć ledwie trzymał się na nogach, Reynevan natychmiast zabrał się za opatrywanie rannych. W tym czasie husycka piechota dorzynała i obdzierała ze zbroi joannitów i kopijników Haugwitza. Zabitych wyłuskiwano z blach, zaczęły się już kłótnie, co lepszą broń i co kosztowniejsze pancerze wyszarpywano sobie, brano się do kułaków.

Jeden z leżących pod wozem rycerzy, z pozoru martwy jak inni, poruszył się nagle, zazgrzytał zbroją, zajęczał z głębi hełmu. Reynevan podszedł, ukląkł, podniósł hundsgugel. Długo patrzyli sobie w oczy.

– Dalej... – charknął rycerz. – Dobij mnie, heretyku. Zabiłeś mi brata, zabij i mnie. I niech cię piekło pochłonie...

– Wolfher Stercza.

– Obyś zdechł, Reynevanie Bielau.

Zbliżyło się dwóch husytów z zakrwawionymi nożami. Samson wstał i zagrodził im drogę, a w jego oczach było coś takiego, że husyci wycofali się prędko.

– Dobij mnie – powtórzył Wolfher Stercza. – Czarci pomiocie! Na co czekasz?

– Nie zabiłem Niklasa – rzekł Reynevan. – Dobrze o tym wiesz. Wciąż nie jestem pewien, jaką rolę wy odegraliście w zamordowaniu Peterlina. Ale wiedz, Stercza, że ja tu wrócę. I policzę się z winnymi. Sam to wiedz i powtórz innym. Reinmar z Bielawy wróci na Śląsk. I zażąda zdania rachunku. Za wszystko.

Zacięta twarz Wolfhera zmiękła, zelżała, Stercza grał zucha, ale dopiero teraz pojął, że ma szanse przeżyć. Mimo tego nie powiedział słowa, odwrócił głowę.

Wracała z pościgu i rekonesansu konnica Brazdy. Popędzona przez dowódców piechota porzuciła obdzieranie poległych, formowała szyk marszowy. Zbliżył się Szarlej z trzema końmi.

– Wyruszamy – rzekł krótko. – Samsonie, dasz radę jechać?

– Dam.

●

Wyruszyli dopiero po godzinie. Zostawiając za plecami kamienny krzyż pokutny, jedną z licznych na Śląsku pamiątek zbrodni i spóźnionej skruchy. Teraz, oprócz krzyża, rozstaje znaczył również kurhan, pod którym pochowano Oldrzycha Haladę i dwudziestu czterech husytów, Sierotek z Hradca Kralove. Na kurhanie Samson zatknął pawęż. Z promienną hostią i kielichem.

I napisem: BŮH PÁN NÁŠ.

●

Armia Ambroża maszerowała na zachód, ku Broumovu, zostawiając za sobą szeroki czarny pas zrytego kołami i miesionego butami błota. Reynevan odwrócił się w siodle, obejrzał.

– Ja tu wrócę – powiedział.

– Tego się obawiałem – westchnął Szarlej. – Tego się obawiałem, Reinmarze. Że to właśnie powiesz. Samsonie?

– Słucham?

– Mamroczesz pod nosem, w dodatku po włosku, więc, jak wnoszę, to znowu Dante Alighieri.

– Dobrze wnosisz.

– I pewnie fragment pasujący do naszej sytuacji? Do tego, dokąd zmierzamy?

– W samej rzeczy.

– Hmm... *Fuor de la queta...* Idziemy więc, według ciebie... Nie będę natrętny, jeśli poproszę o przekład?

– Nie będziesz.

Z cichego świata w światy wiecznie drżące
W nową dziedzinę, nieśmiertelnie ciemną.

●

Na zachodnim zboczu Golińca, w miejscu, skąd jak na dłoni widać było dolinę i maszerującą armię, usiadł na gałęzi świerka wielki pomurnik, otrząsając igliwie ze śniegu. Pomurnik obrócił głowę, jego nieruchome oko zdawało się wypatrywać kogoś wśród idących.

Pomurnik chyba wreszcie zobaczył, co chciał zobaczyć, bo rozwarł dziób i zaskrzeczał, a w skrzeku tym było wyzwanie. I okrutna groźba.

•

Góry tonęły w mętnawym *sfumato* pochmurnego zimowego dnia. Śnieg znowu zaczął padać. Zasypywał ślady.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Przypisy

Rozdział pierwszy

Memento, salutis Auctor... – tradycyjny hymn brewiarzowy:

Pomnij, o Stwórco wszechświata.
Żeś przyjął niegdyś kształt ciała
Naszego, kiedy Cię na świat
Prześwięta Panna wydała.

Ad te levavi oculos meos... – mnisi śpiewają kolejno psalmy 122, 123 i 124. Numeracja psalmów w całej książce przyjęta wg numeracji *Wulgaty* w łacińskim przekładzie świętego Hieronima. *Biblia Tysiąclecia*, skąd pochodzą wszystkie cytaty biblijne w książce, została przełożona z języków oryginalnych, przez co wystąpiły różnice (o jeden) w numeracji psalmów. Psalm *Ad te levavi...* (*Do Ciebie wznoszę me oczy...*) nosi w *Biblii Tysiąclecia* numer 123, a nie 122.

Rozdział drugi

„Cholerny połamany dziadyga..." – na użytek purystów językowych i innych nawiedzonych, lubiących powtarzać, iż „wówczas tak nie mówiono", wyjaśniam: nazwy „cholera" w znaczeniu jednostki chorobowej używał Hipokrates, w odniesieniu do paskudnych przypadłości żołądkowych. A że jak świat światem, ludzie klęli „chorobowo", tedy już od czasów Hipokratesa mogło być słowo „cholera" używane jako przekleństwo. Brak dowodów, by tak było, wcale nie oznacza, że tak nie było.

Rozdział piąty

„...nie dalej niż milę od grodu" – w całości książki określenie „mila" oznacza milę staropolską, używaną np. przez Długosza i Janka z

Czarnkowa, równą w przybliżeniu dzisiejszym siedmiu kilometrom z małym hakiem.

„Mój Alkasynie, ścigany za miłość...” – *Aucassin et Nicolette* (*Rzecz o Alkasynie i Nikolecie*), popularny w średniowieczu, powstały w XIII w. anonimowy francuski poemat śpiewano-deklamowany (tzw. *chantefable*) traktujący o perypetiach dwojga zakochanych.

Rozdział szósty

„...co mistrz Johann Nider w swym *Formicariusie* napisał” – *Formicarius* Nidera to oczywiście anachronizm, to osławione dominikańskie „dzieło” powstało dopiero w roku 1437.

„Konradswaldau należy do Haugwitzów. Na Jankowicach siedzą Bischofsheimowie...” – względem nazw miejscowości trzymam się źródeł historycznych, a według tych w danym przykładzie obecne Przylesie k. Brzegu zwało się w wieku XV Konradswaldau, obecny Skarbimierz – Hermsdorf, a obecna Kruszyna – Schönau. Natomiast nazwa Jankowice jest dla tegoż okresu historycznie prawidłowsza niż zniemczone (później) Jenkwitz. W dalszym tekście niekiedy – mając na uwadze czytelnika, by nie pogubił się totalnie – używam jednak nazw współczesnych, nawet jeśli z małą szkodą dla prawdy historycznej. Wielce względnej zresztą.

Rozdział jedenasty

Res nullius cedit occupanti – paremia prawnicza, znacząca: „Rzecz niczyja przypada temu, kto ją zawłaszczył”.

Tacitisque senescimus annis – „Starzejemy się wraz z cichym lat upływem” (Owidiusz).

Rozdział dwunasty

Bernardus valles, montes Benedictus amabat... – Bernard doliny ukochał, Benedykt góry, Franciszek miasta, Dominik ludne metropolie.

Popularne powiedzonko. Anonimowe jak większość popularnych powiedzonek.

Offer nostras preces in conspectu Altissimi... – modlitwa do św. Michała Archanioła, *Oratio ad Sanctum Michael*, część rytuału egzorcystycznego w obrządku rzymskim, autorstwa, jak się mniema, papieża Leona XIII. W przekładzie (moim) wygląda tak:

„Modły nasze zanosimy przed oblicze Najwyższego, by spłynęła na nas łaska Boża, by pojmany był smok, wąż starodawny, który zwie się diabeł i szatan, by spętany był i strącony w otchłań, aby nie zwodził więcej narodów. Tedy poddani pod Twą obronę my, kapłani, władzą nam daną podejmujemy się odpędzić podstępne zakusy diabelskiego szalbierstwa w imię Chrystusa Pana naszego..."

Ego te exorciso... – fragmenty rytuałów i zaklęć egzorcystów, zaczerpnięte z bardzo różnych źródeł. Z pewną, przyznaję, dozą bezładu. Ale zaplanowanego.

Rozdział trzynasty

Io non so ben ridir com'i' v'intrai... – Dante Alighieri, *Boska Komedia, Canto I.* W przekładzie Edwarda Porębowicza (PIW, Warszawa 1978) brzmi to tak:

Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierżawy,
Bo mną owładła senność jakaś duża
W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.

Rozdział szesnasty

Pange lingua gloriosi... – hymn eucharystyczny autorstwa św. Tomasza z Akwinu, pierwsza zwrotka. Poniżej jej przekład (za *Modlitewnikiem* wydanym przez PAX w roku 1990).

Sław, języku, tajemnicę
Ciała i najdroższej Krwi,
którą jako łask krynicę
wylał w czasie ziemskich dni
ten co matkę miał Dziewicę

Król narodów godzien czci.

Sô die bluomen ûz dem grase dringent... – Walther von der Vogelweide. W przekładzie Witolda Wirpszy (*Album poezji miłosnej*, Iskry, Warszawa 1970) fragment brzmi, jak następuje:

Jako gdy kwiaty z trawy wynikają,
Jakby się śmiały do słonka jasnego
O wczesnym ranku za dnia majowego,
Jako gdy ptaszki maleńkie śpiewają
By najpiękniejsze, co umieją, pienia,
Jakież z tym można rozkosze porównać?

Verbum caro... – ten sam hymn co wyżej. Czwarta zwrotka. W przekładzie:

Słowem więc wcielone ciało
chleb zamienia w ciało swe,
wino Krwią jest Chrystusową,
darmo wzrok to widzieć chce
tylko wiara, Boża mowa
pewność o tym w serca śle.

Rerum tanta novitas... – to również Walther von der Vogelweide, choć po łacinie. Przekład, niestety, tylko mój.

Wszystkie rzeczy się odradzają
w wiosennym święcie
A władza wiosny
radować nam się nakazuje.

Nü wol dan... – znowu Walther. I znowu przekład Witolda Wirpszy.

Więc nuże, patrzmy, kędy prawda stanie!
Chodźmy na gody, które maj nam sprawił,
Kiedy się z całą potęgą objawił.
Na niego spójrzmy i na piękne panie,
I która lepsza jest z obojga rzeczy,
I czy nie lepszą cząsteczkę mam w darze.

Genitori, Genitoque... – znowu Tomasz z Akwinu, ten sam hymn *Pange lingua...*, ostatnie zwrotki którego wyodrębnia się jednak jako tzw. *Tantum ergo*. Przekład zamieszczonego fragmentu:

Bogu Ojcu i Synowi
hołd po wszystkie nieśmy dni
Niech podaje wiek wiekowi
hymn triumfu, dzięki, czci.

Garbarze kurwiarze... – pożyczyłem ze *Słownika polskich wyzwisk, inwektyw i określeń pejoratywnych* Ludwika Stommy (Oficyna Wydawnicza Graf–Punkt, Warszawa 2000). Jest to jakoby przyśpiewka góralska z rejonu Suchej Beskidzkiej. Piękna, przyznać trzeba. I wzruszająca.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Cesarscy popowie są antychrystowie... – *cantilena*, czyli *Pieśń o Wiklefie* Jędrzeja Gałki została napisana oczywiście dużo później, zapewne około roku 1440. Gałka, jak wyliczyłem, był mniej więcej rówieśnikiem Reynevana. Mniema się jednak (*vide* Paweł Kras, *Husyci w piętnastowiecznej Polsce*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1998), że była to przeróbka jakiejś pieśni husyckiej. Może więc ułożonej przez mojego goliarda? Lub gdzieś przez niego zasłyszanej?

Nolite possidere aurum neque argentum... – „Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani miedzi do swych trzosów” (Mateusz, 10;9).

Rozdział dwudziesty drugi

„Konrad, od lat ośmiu biskup Wrocławia, zadziwiał swą iście rycerską posturą...” – opisując postać Konrada, książęcia piastowskiego z linii oleśnickiej, biskupa Wrocławia w latach 1417-1447, trzymałem się ściśle kronikarza – jeśli idzie o cechy charakteru, zwłaszcza upodobania biskupa do trunków i płci przeciwnej, o których Długosz mówi bez ogródek. Pozwoliłem sobie jednak na nieco dezynwoltury w opisie samej osoby, jej cech fizycznych. Po pierwsze, opis postaci u Długosza („...czarniawy złośnik... niskiego wzrostu... tłustego ciała... oczy miał

ropiejące... w mowie jąkał się i bełkotał...") zupełnie nie współgrał mi fabularnie i nie pasował. Po drugie, Bóg wie, przy kim prawda – Długosz potrafił paskudnie i nie całkiem wiernie portretować osoby, których nie lubił lub które mu się czymś naraziły. A że biskupa wrocławskiego kronikarz sympatią nie darzył, to pewne.

„Iskra rzecz jest mała..." – „kazanie" sławnego później Mikołaja z Kuzy (liczącego sobie w 1425 jednak zaledwie dwadzieścia cztery wiosny) skonstruowałem na podstawie znacznie późniejszych, kontrreformacyjnych wynurzeń Piotra Skargi, jezuity, w jego *Żywotach świętych Starego i Nowego Zakonu* zawartych.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nel mezzo del cammin di nostra vita... – Dante, *Boska Komedia, Canto I*. W przekładzie (tym samym, co wyżej) brzmi:

W życia wędrówce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi,
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.

Necronomicon Abdula Alhazreda... – jasna rzecz, ukłon w stronę H.P. Lovecrafta.

Liber Yog-Sothotis... – zmyśliłem. Biorąc wzór z Lovecrafta, Mistrza z Providence.

De vermis mysteriis... – choć wykorzystana w kilku opowiadaniach Lovecrafta i stanowiąca „bibliograficzny kanon" mitu Cthulhu, *De vermis*... – oddajmy honor – została wymyślona przez Roberta Blocha.

Exsiccatum est faenum... – „Trawa usycha, więdnie kwiat" (Izajasz 40;7).

Amantes amentes – „Zakochani są jak szaleni" (Plautus).

Grau, teurer Freund, ist alle Theorie – *Faust*, część I, scena z uczniem, słowa Mefistofelesa. Anachronizm oczywisty także w warstwie lingwistycznej – *Hochdeutsch* Goethego w wieku XV jeszcze nie istniał. Ale kto wie, może diabeł zawsze mówił w *Hochdeutsch*?

Meum est propositum... – Walter Map (według innych źródeł: Archipoeta). Przekład fragmentu (Edwarda Porębowicza, w *Wielkiej*

literaturze powszechnej, nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego, Warszawa 1933):

Przeznaczenie moje skończyć życie w szynku
Podsuń kubek ku gębie, nalej wina, synku,
By rzekli aniołowie, stojący w ordynku:
„Udziel Bóg pijanicy rajskiego spoczynku".

Bibit hera, bibit herus... – anonim, *Carmina burana*, ze zbioru zwanego *Carmina potoria*. Przekład mój.

Pije pani, pije pan
Pije rycerz, pije ksiądz
pije ów, pije owa
pije pachoł ze służącą
pije żwawy, pije gnuśny
pije biały, pije czarny...

„Ej wiwat, wiwat, ten miły kołek..." – *Łożnicopiew* Franciszka Ksawerego Woyny, szambelana u króla Stasia (druga połowa XVIII w.), *Trembecki i inni* (KAW, Białystok 1982).

„Fik z okna..." – wzbogaciłem zaklęcie lotne o ten zabawny, „rychtyk śląski" dwuwiersz, zaczerpnięty z baśni Stanisława Wasylewskiego pod takim właśnie tytułem. „Fik z okna", w *Baśniach polskich* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1968).

Rozdział dwudziesty piąty

Veni, veni, venias... – anonim, *Carmina Burana*, ze zbioru zwanego *Carmina amatoria*. Przekład mój.

Przybądź, przybądź, o, przybądź
Nie daj mi umrzeć
hyrca, hyrca
Nazaza,
Trillirivos...
Piękne są twe lica
Oczy twe błyszczące
Włosy twe w warkoczu

O, jakże piękną jesteś istotą
Od róży czerwieńsza
Od liliji bielsza
Od wszystkich piękniejsza
Chwała, chwała ci po wieczność.

„Mógł – i chciał – jej powiedzieć, że jest...” – Reynevan kolejno sięga w komplementach do *Pieśni nad Pieśniami*, *Eneidy*, pieśni trubadurów prowansalskich, pieśni ze zbioru *Carmina Burana*, Waltera von der Vogelweide i *Boskiej komedii* Dantego.

Rozdział dwudziesty ósmy

De mortuis aut bene, aut nihil – „O zmarłych (mówi się) albo dobrze, albo wcale” (Plutarch).

Do, ut des – „Dam, jeśli ty dasz”; tu sparafrazowane: *...ut facias*, czyli: „Dam, jeśli ty uczynisz”.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

„Z cichego świata...” – Dante, *Boska Komedia*, pieśń czwarta, tłum. Edward Porębowicz. W oryginale:

Fuor de la queta, ne l'aura che trema.
E vegno in parte ove non é che luca.